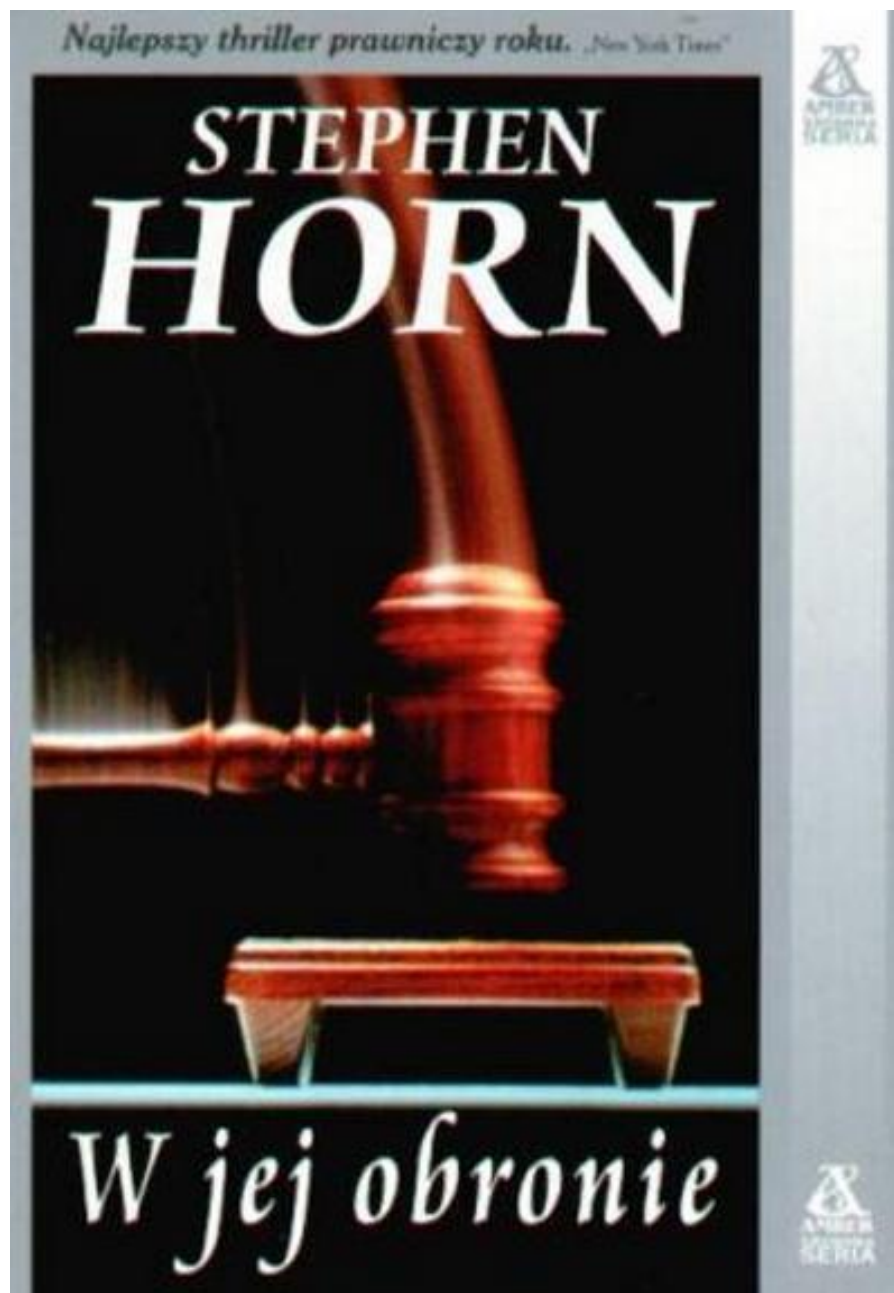


STEPHEN HORN

W jej obronie

Przekład Tomasz Wilusz



ISBN 83-7245-890-1

*Dla Kerry i moich rodziców.
Zawsze lubili zagadki*

1

Właśnie rozmyślałem o przeznaczeniu, kiedy w drzwiach stanął Harry Gregg.

Mógł to być zbieg okoliczności.

- Przepraszam, szukam uczciwego prawnika.

- Sprawdzałeś w Baltimore?

- Dobra, nadajesz się. - Harry usiadł wygodnie na krześle, odstawił kawę i splótł palce na kamizelce. Jak zwykle zajął się oglądaniem tego, co jest na moim biurku. Jego wzrok zatrzymał się na pierwszej stronie „Post”. - Czytasz o Ashley Bronson? Niezła historia, co?

- Mówisz jak spiker, którego słyszałem dziś rano: „Po przerwie usłyszycie państwo więcej o sprawie Ashley Bronson”.

- No i?

- No i kiedy zginął Kennedy, nie nazywano tego „sprawą Lee Harveya Oswalda”.

Harry zamrugał.

- Parafrazując słowa byłego senatora - powiedział z szerokim uśmiechem - Raymond Garvey nie był Jackiem Kennedym.

- Był za to byłym sekretarzem handlu, przewodniczącym delegacji handlowych i członkiem zarządów kilkunastu firm. Facet jeszcze nie ostygł, a już jest tylko przypisem do historii swojego własnego morderstwa.

Harry prychnął, pochylił się i dźgnął gazetę palcem wskazującym.

- Ale tak nie wyglądał - powiedział. - A poza tym ona jest bardziej znana.

Spojrzałem na zdjęcie. Rzeczywiście miał rację: nikt tak nie wyglądał, nawet w kajdankach. Ta kobieta od lat była ulubienicą kolumny „Styl”: przyjęcia, podróże, prawdziwe i domniemane romanse. Wielu ludzi marzyło, by żyć jej życiem czy choćby stać się jego częścią. Nikt nie marzył o sekretarzu handlu.

- W dodatku ma idealne nazwisko - przyznałem. - W sam raz do melodramatu z życia wziętego. Myślisz, że istnieje związek między nazwiskiem człowieka a jego przeznaczeniem?

Wzruszył ramionami.

- Niewykluczone.

- Zastanów się, Harry. Jonas Salk* ¹nie potrafił dobrze podać piłki, a żadna szczepionka nie została nazwana na cześć Johnny'ego Unitasa*². - Wbił we mnie wzrok, marszcząc czoło. - Nie wiesz, kto to był Johnny Unitas, prawda?

Zauważył krążek, który służył za podstawkę do szklanki.

- Hokeista?

- Nieważne. Co słyhać? - Był początek tygodnia, za wcześnie, by Harry mógł odegrać rolę starszego brata; zwykle zdarzało się to w piątkowe popołudnia, kiedy wchodził do mojego gabinetu, kładł nogi na moim biurku z nadwyżki rządowej i rozpoczynał niekończący się wykład o życiu, wolności i dążeniu do bogactwa. Po tym, jak żona zostawiła mnie dla American Express, znosiłem te kazania, traktując je jako pokutę, ale w końcu uznałem je za dodatek do czynszu.

- Frank - powiedział - ty nic nie zarabiasz.

- Postawiłem na Giantsów w następnym meczu. Roześmiał się.

- Udziałowcy chcą dla ciebie jak najlepiej, chłopie. Trzy lata temu wynajęliśmy ci ten gabinet, dorzuciliśmy wyposażenie i nasze najlepsze życzenia. Nie zażądaliśmy wysokiego czynszu. Nie zależało nam na pieniądzu, potraktowaliśmy to jako okazję, by pomóc facetowi, który na to zasługuje... rozkręcić interes.

- Doceniam to, Harry.

- Wiemy, wiemy. - Odstawił kubek i obrócił go tak, by ucho znalazło się równoległe do krawędzi biurka. - Powiem ci, jak to widzimy. Wszyscy tu cię lubią i szanują twoje umiejętności. Od czasu do czasu podsyłaliśmy ci różne drobne sprawy i robiliśmy to z przyjemnością.

Nie podobała mi się ta liczba mnoga.

- Firma się rozrasta - ciągnął. - Potrzebujemy doświadczonego prawnika, który wsparłby Marty'ego, a ty udowodniłeś, że masz umiejętności, jakich wymagamy. Poza tym - mrugnął do mnie - jesteś pod ręką. Zaoszczędzimy na szukaniu kogoś przez agencję. - Uśmiechnęliśmy się do siebie, lecz Harry spoważniał. - Taki układ ma sens, Frank. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, na razie nie możemy zaproponować ci wejścia do spółki. Byłbyś przez parę lat na stanowisku radcy, a potem zastanowilibyśmy się, co dalej.

¹ * Wirusolog amerykański, wynalazca szczepionki przeciwko chorobie Heine-Medina (przyp. tłum)

² ** Znany amerykański futbolista (przyp. tłum.)

- Byłbym radcą, a potem zastanowilibyśmy się, co dalej - powtórzyłem.

- No właśnie. Słuchaj, wiem, że Marty ma swoje dziwactwa, ale naszym zdaniem to w niczym nie musi przeszkadzać. - Podniósł kubek i spojrzał na mnie znad jego krawędzi.

To prawda, Marty miał swoje dziwactwa; dziwactwa zwykłego palanta.

Przed paroma laty pewnie wspomniałbym o tym, ale teraz byłem sprytniejszy - albo po prostu zaniepokojony tym, jak skończę.

- Pochlebiasz mi, Harry - powiedziałem - i jestem ci wdzięczny za wszystko, ale muszę to przemyśleć, zastanowić się, czy to dobry układ... dla wszystkich zainteresowanych. - Oto dojrzała odpowiedź: rozważę propozycję, uwzględniając inne opcje. Kiedy tylko jakieś znajdę.

Harry zdjął okulary i zaczął wycierać szkła końcem krawata.

- Frank, jeszcze jedno - powiedział powoli. - Miejmy to za sobą... Jeśli mam być szczerzy... - przyjrzał się szklom - ...niektórym udziałowcom nie podoba się to, że twoi klienci przechodzą przez nasze biuro.

Przed dwoma miesiącami, po serii kradzieży, kierowniczka biura na widok przechodzącego obok jej biurka podejrzanego typa w czarnej skórzanej kurtce, zielonych spodniach i tenisówkach wezwała ochronę. Właśnie wracałem z lunchu, kiedy usłyszałem odgłosy szamotaniny i krzyk, przypominający zgrzyt hamulców:

- Nie dotykaj mnie, skurwysynu! Przyszedłem do mojego adwokata!

Ochroniarz, przekonany, że złapał jakiegoś złodziejaszka, spytał, kto jest jego adwokatem. Podejrzany typ rozejrzał się na wszystkie strony i krzyknął:

„On!”, mierząc długim palcem w moją pierś. Spojrzenia wszystkich zwróciły się na mnie.

- Sala konferencyjna nie będzie potrzebna - rzuciłem półzartem. - Skorzystamy z mojego gabinetu. - Nikt się nie zaśmiał. Od tamtej pory Harry zajął się śledzeniem moich klientów na korytarzach.

Wciąż zastanawiałem się, co mu odpowiedzieć, kiedy zjawiła się moja sekretarka.

- Dzwonili z sądu - oznajmiła. - Masz klienta.

Mój chleb powszedni: sprawa przydzielona z urzędu.

Harry wstał i obciągnął kamizelkę.

- Interesy wzywają - burknął. - Odezwij się w przyszłym tygodniu, dobrze? Po-wiem, że rozważasz naszą ofertę.

- Niech będzie. I przekaz ode mnie podziękowania za wotum zaufania.

Poważnie się nad tym zastanowię.
Wychodząc, podniósł kciuki.

Spakowałem teczkę, wyczyściłem buty i przejrzałem się w lustrze. Nie wyglądałem na kogoś, kto nic nie zarabia.

Dawno, dawno temu Sąd Dystryktu Kolumbia mieścił się w klasycystycznym dziewiętnastowiecznym budynku, z jońskimi kolumnami i schowanymi we wnękach oknami, o ścianach wyłożonych wapieniem z Indiany. Kiedy, co nieuniknione, robiło się w niej zbyt tłoczno, sędziacy i sędzeni przechodzili na drugą stronę ulicy, do pałacu zwanego „Pensjonatem”, ogromnego gmachu zbudowanego po wojnie domowej, wzorowanego na

zaprojektowanym przez Michała Anioła pałacu Farnese, z arkadowymi pasażami i jeszcze bardziej imponującymi korynckimi kolumnami, wysokimi na dwadzieścia metrów. Kiedy jednak prawo zmieniło się z profesji w biznes, naturalną kolejną rzeczą świątynie i pałace ustąpiły miejsca biurowcom.

Nowy gmach sądu, opisany w jednym z przewodników jako „rozległy, przytłaczający kopiec”, był kanciasty, funkcjonalny i dowodził, że lepiej nie zawsze znaczy więcej. Mahoniowe ławy, rzeźbione poręcze, freski i wysokie sufity należały do przeszłości; budynek był nowoczesny i wygodny. Funkcjonalność dominowała też we współczesnym wymiarze sprawiedliwości, w którym lepiej nieuchronnie oznaczało mniej.

Skierowałem się w stronę schodów i zszedłem do piwnicy z celami dla aresztantów, w porównaniu z którą reszta budynku wydawała się pełna przepychu: ani kawałka drewna, skóry czy włókien mogących wchłonąć zapachy więźniów lub zachować ślady ich pobytu; żadnych zadrapanych krzesel, zasmarowanych graffiti ścian czy poplamionych materaców. Nic, tylko płyty, stal i chłodny zapach betonu. Pozowałem do kamery, dopóki drzwi nie otworzyły się z trzaskiem, wszedłem do poczekalni i od razu ruszyłem w

stronę cel dla kobiet. Zastępca szeryfa, rozpoznając we mnie stałego bywalca, nawet nie podniósł głowy.

Stały bywalec aresztu. Nie o takiej przyszłości marzy się, studiując prawo. Tego się nie planuje, to staje się samo. Za kilka tygodni wypada trzecia rocznica mojej pierwszej sprawy prowadzonej z urzędu - kamień milowy.

Któregoś wieczoru, parę miesięcy po tym wiekopomnym wydarzeniu, siedząc na stołku barowym, złożyłem sobie pewną obietnicę. W owym czasie składałem ich wiele, ale tej dotrzymałem. Tamtego dnia szedłem do sądu ze stacji metra, kiedy zauważyłem

Seymoura Hirschfelda, dziekana rady obrońców publicznych. W odróżnieniu od innych obrońców, Seymour miał w zanadrzu więcej atutów niż tylko umiejętność zachowania się na sali sądowej.

Naprawdę znał się na prawie i dzięki tej mieszance wiedzy i przebiegłości od czasu do czasu trafiali mu się wypłacalni klienci lub sprawy o uszkodzenia cielesne, w których chodziło o prawdziwe obrażenia.

Seymour nigdy nie przestał odwiedzać aresztów i za większość prowadzonych przez siebie spraw wciąż dostawał niezmienną stawkę godzinową, wynagrodzenie od wymiaru sprawiedliwości za pomoc najuboższym, pomniejszone o dwadzieścia lat inflacji. Dla takich jak on, na zawodowym zasiłku, artykuły pierwszej potrzeby stawały się towarami luksusowymi, a takie nie mieściły się w budżecie. Najpierw trzeba było zrezygnować z prenumeraty pism wzbogacających jego cenną bibliotekę, potem z samej biblioteki, sekretarki i wreszcie własnego gabinetu. Seymour stał się jednym z bezdomnych profesjonalistów, zabiegających o względy klientów na korytarzach sądu i handlujących usługami prawnymi jak owocami. Stołówka stała się jego salą konferencyjną, teczka - szafką na akta, a kieszenie - przegródkami na wysyłane i przyjmowane wiadomości. By zarobić na życie, przyjmował za dużo spraw, a jego klienci domagali się takich luksusów, jak gorliwe reprezentowanie ich interesów. Każdy dzień był więc papką pokrywających się terminów rozpraw, sprzecznych żądań i męczących konfliktów.

Seymour-handlarz włókł się właśnie przede mną, pogrążony w dyskusji, która w miarę, jak zbliżaliśmy się do gmachu sądu, stawała się coraz głośniejsza i bardziej burzliwa. Ożywiona wymiana słów zwracała uwagę przechodniów z oczywistego powodu: Seymour szedł sam. Czy sprawiło to jedno głębokie pchnięcie, czy tysiąc zadraśnień, był skończony, wypalony do cna.

Tego wieczoru obiecałem sobie, że nigdy nie stanę się takim Seymourem.

Miałem gabinet, bibliotekę i wspólną z innymi sekretarkę - i mógłbym to wszystko zatrzymać, gdybym tylko powiedział Harry'emu „tak”.

- Rasheeda Crispin?

- Tak. - Jej głos był cichy, ale niósł się po twardych powierzchniach z drugiego końca celi, gdzie stała w obszernym swetrze, którego ramiona zwieszały się niemal do jej łokci. Podeszła do drzwi i zatrzymała się metr od nich, nadając rzeczywisty wymiar dzielącej nas przepaści. Patrzyłem na nią przez kraty; ot, kolejna ofiara kokainy. Jej oczy powędrowały do zamka i tam zostały.

Była straszliwie chuda, miała wystające kości policzkowe, małe blizny na rękach i kostkach, i sińce na nogach. Według formularza, który trzymałem w ręku, skończyła do-

piero dwadzieścia lat, ale już dawno osiągnęła punkt kulminacyjny swojego życia; dalej nie czekało ją nic dobrego.

- Panno Crispin, nazywam się Frank O'Connell. Zostałem wyznaczony na pani adwokata. - Skinęła głową. - Za kilka minut odbędzie się przesłuchanie, zostanie pani zaprowadzona do sali sądowej. Będę tam na panią czekał. - Z czasem nauczyłem się, że trzeba wszystko tłumaczyć w prostych słowach, przynajmniej dopóki nie okaże się, iż mój klient jest bardziej doświadczony ode mnie. - Celem przesłuchania jest wyznaczenie kaucji - powiedziałem. - Nikt nie zapyta pani o przedstawione jej zarzuty. Rozumie to pani?

Nie odrywała oczu od zamka.

- Wyjdę stąd? - spytała.

- Tak sędzę. - Wyjąłem formularz z wnioskiem o kaucję. - Mam do pani kilka pytań. Mieszka pani na Brownlee Terrace dwa tysiące sto dwanaście?

- Uhm.

- Jak długo mieszka pani w tej dzielnicy?

- Od zawsze.

- Mieszka pani sama?

- Córka i ciotka. Przyjdzie do sądu. Ma sklep z perukami, tam pracuję.

- Była pani już kiedyś aresztowana?

Jej wzrok spoczął teraz na moim długopisie, przesuającym się po kartce.

- Mówili, że ukradłam coś w sklepie.

- Stawiła się pani w sądzie na wezwanie?

Skinęła głową i przeszedłem do innych spraw: wyroków, stosunków w rodzinie, poprzednich miejsc zamieszkania i tak dalej - wszystkiego, co wiązało się z prawdopodobieństwem ucieczki w razie zwolnienia za kaucją.

Prawdę mówiąc, na taki krok decydowało się niewielu przestępców, nawet tych, którym groziły długie wyroki. Zawsze mnie to dziwiło: dostawali wyrok i robili krok w tył - znów trafiali do aresztu. Widziałem parę więzień od środka; mnie musieliby tam zawlec siłą.

Dochodziliśmy do końca listy, kiedy kątem oka spojrzałem w lewo i zobaczyłem nogi. Ich właścicielka leżała na boku; górną część jej ciała zasłaniała ściana, na podłodze leżały damskie buty. To musiała być ona. Jej nazwisko dźwięczało w moich myślach niczym echo.

- Panna Bronson? Ashley Bronson? - Mark Stuart Preston z firmy Preston, Scott & Wilde szedł w moją stronę z dwoma współpracownikami. Po drodze zaglądał do wszyst-

kich cel. Preston był jednym z najważniejszych prawników Dystryktu Kolumbia, uczestniczącym we wszystkich walkach tytanów.

O ile jednak wiedziałem, nie tykał spraw kryminalnych. Tu, w areszcie, wyglądał obco, jak żywcem wyjęty z reklamy w kolorowym czasopiśmie.

Słyszając stukot obcasów, odwróciłem się z powrotem w kierunku drzwi celi. Ashley Bronson patrzyła na mnie przez kraty. Staliśmy trzydzieści centymetrów od siebie, ale już w chwilę później nie potrafiłbym jej opisać: mój żołądek skurczył się i nie mogłem zebrać myśli. Pewien byłem tylko tego, że jej oczy miały kolor szarozielony, taki, jaki producent jaguara nazywał kiedyś „wolframowym”. Wiem to, bo jechałem za takim jaguarem półtora kilometra, żeby to sprawdzić.

Odzyskałem dość zimnej krwi, by wskazać na Prestona, kiedy stanął obok mnie.

- Ashley, nazywam się Mark Preston - powiedział. Dotknął krat, chyba go irytowały. - Tom Hardaway poprosił mnie, żebym ci pomógł. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Ashley Bronson tylko skinęła głową, ale teraz jej oczy zwrócone były na niego, nie na mnie. Stykaliśmy się z Prestonem ramionami, więc wysunął się nieco do przodu. Najwyraźniej spodziewano się, że sobie pójdę. Jeden z jego asystentów wpatrywał się w Ashley, drugi patrzył na mnie, dając do zrozumienia, że jestem tu zbędny.

Powróciłem więc do rozmowy z moją klientką.

- Panno Crispin, czy rozmawiał z panią ktoś z Agencji Usług Przedprocesowych? - Zaskoczyłem ją. Skinęła głową kątem oka zerkając na towarzyszkę z celi.

- Przepraszam - powiedział Preston - ale o dziesiątej mamy wstępną rozprawę i musimy porozmawiać z naszą klientką na osobności. - Co znaczyło, że mam się wynosić.

Mogłem okazać trochę taktu, ale zrobiłem to już w czasie rozmowy z Harrym, a dwa razy w ciągu jednego poranka to przesada. Zniżyłem głos, jakbym chciał oszczędzić mu wstydu w obecności jego świty i rzekłem:

- Jeśli pańska klientka nie została jeszcze postawiona w stan oskarżenia, a co do tego nie mam wątpliwości, dziś czeka państwa wstępne przesłuchanie, nie rozprawa. Na wstępnej rozprawie klientka przyznaje się do winy bądź nie. Celem przesłuchania jest tylko ustalenie wysokości kaucji. W areszcie, w sprawach związanych z kaucją rozmowy z klientami nie muszą być prowadzone na osobności, ale jeśli woli pan poczekać, mam do tej pani jeszcze tylko kilka pytań.

Jego współpracownicy zbledli. Preston patrzył na mnie przez chwilę, jakby chciał dobrze zapamiętać moją twarz.

- Proszę, niech pan kończy - odparł spokojnie. - Zaczekamy.

- Jak pan sobie życzy. -Zwróciłem się do Rasheedy, która utkwiała wzrok w podłodze. Zadałem jej jeszcze kilka pytań i w pełnej napięcia ciszy przejrzałem formularz. Twarz Ashley Bronson nadal nie wyrażała żadnych uczuć, ale policzek jej adwokata wyraźnie drgał. Wreszcie wsunąłem wypełniony formularz do teczki i wyjąłem czysty, który dałem Prestonowi.

- To formularz z wnioskiem o kaucję, powinien go pan przejrzeć ze swoją klientką - powiedziałem. - Sędzia przyzwyczał się z nich korzystać, a to pomaga. - Jeden z asystentów zrobił krok do przodu, ale zmierzyłem go wzrokiem i zamarł. Preston wziął formularz, mamrocząc „dzięki”. Wychodząc, czułem na plecach spojrzenie wolframowych oczu.

Nawet gdyby ktoś nie czytał gazet, od razu po wejściu na salę sądową zorientowałby się, że coś wisi w powietrzu. Stałych bywalców zastąpili dziennikarze, którzy zajęli większość miejsc dla publiczności, w związku z czym policjanci, oskarżeni i prawnicy siedzieli stłoczeni i wyglądali na bardzo niezadowolonych. Mnie udało się znaleźć miejsce w pierwszym rzędzie przy przejściu - przywilej adwokata, który załatwia coś w sądzie. Zauważyło mnie kilku dziennikarzy i zaraz przysłali do mnie delegata.

- Jest pan tu w związku ze sprawą Ashley Bronson? - spytał cicho.

Lekko pokręciłem głową, a on bardziej energicznie powtórzył ten gest, patrząc w stronę kolegów.

O dziesiątej przyszedł sędzia Wilfred J. Robbins. Miał sześćdziesiąt trzy lata i był już u progu emerytury. W trakcie długoletniej kariery zaobserwował istotną przemianę, choć on sam wolałby określenie „upadek” - wszystko straciło klasę, nawet przestępstwa. Po zbyt wielu latach zmagania się ze zbyt licznymi nonsensami skoncentrował swoje wysiłki na sprawnym usuwaniu nadmiaru spraw blokujących pracę sądu.

Sekretarz podał mu akta. Podczas gdy sędzia je czytał, prawnicy krążyli po sali, patrząc po twarzach i szepcząc nazwiska klientów, których nigdy nie spotkali lub których już zdążyli zapomnieć. Policjanci czytali gazety i wypełniali formularze. Część adwokatów skupiła się wokół biurka sekretarza, by sprawdzić swoją kolejność w rejestrze i ocenić, czy przed wyznaczonym terminem zdążą jeszcze odbębnić inną sprawę. Starzy wyjadacze okazywali mu więcej szacunku niż Robbinsowi. O sędziów niech się martwią oskarżeni; w systemie, w którym najbardziej pożądaną umiejętnością było żonglowanie klientami, dobra wola sekretarzy stanowiła klucz do sukcesu.

Sędzia skinął głową na sekretarza, który zwrócił się w stronę widzów i ogłosił:

- Sprawa numer Cr jeden-cztery-jeden-jeden, Stany Zjednoczone kontra Luther Evans.

- Oskarżenie jest gotowe - odparł zastępca prokuratora federalnego, ale ze strony obrony nie było żadnej reakcji. Robbins spojrzął na sekretarza, który już przebiegał wzrokiem listę, z telefonem przy jednym uchu i szepczącym prawnikiem przy drugim. Rozwiązanie zagadki zaginionego adwokata zajęło tylko chwilę - okazało się, że był w innej sali, gdzie właśnie ogłaszano wyrok. Rozprawa została odroczone. Podobnie stało się z następną

z powodu nieprzybycia oskarżonego oraz trzecią - prokurator nie mógł znaleźć swoich akt. Typowy dzień w sądzie.

Brnęliśmy dalej. Po kwadransie środkiem sali przemaszerował Preston ze swoją świtą; usiedli obok innych pracowników firmy, którzy zajęli szefowi miejsce przy przejściu. Kolejni dziennikarze kucali przy nim, notując jego wypowiedzi, a spojrzenie rysowniczkę wędrowało od kartki do profilu adwokata i z powrotem.

Wielu oskarżonych było doprowadzanych z celi, co powodowało długie przerwy. Robbins wezwał do siebie zastępcę szefa strażników i od tej pory więźniów wpuszczano parami. Obliczyłem w myśli, jaki układ jest najbardziej prawdopodobny, dlatego nie zdziwiłem się, kiedy do sali weszły Rasheeda Crispin i Ashley Bronson, przepuściwszy strażników wyprowadzających poprzednią parę. Dziennikarze i rysownicy odnotowali oczywistą ironię tej sytuacji, która zrobiła wrażenie na wszystkich zgromadzonych. Za moimi plecami jakiś adwokat szepnął:

- Ucieczka w kajdanach, Tony Curtis i Sidney Poitier.

Strażnicy doprowadzili je do ławy obrony i zajęliśmy miejsca; ja znalazłem się między dwiema aresztantkami. Kiedy siadałem, Ashley zerknęła na mnie, ale Preston zaczął coś do niej szeptać, więc odwróciła się do niego.

- Sprawa numer Cr jeden-cztery-dwa-siedem, Stany Zjednoczone kontra Rasheeda Crispin.

- Gotowy, Wysoki Sądzie - powiedział prokurator.

- Francis O'Connell w imieniu oskarżonej, Wysoki Sądzie - oznajmiłem.

- Niech oskarżenie wypowie się w sprawie kaucji - powiedział Robbins.

Prokurator przebiegł wzrokiem po okładce teczki.

- Wysoki Sądzie - powiedział - oskarżonej zarzuca się posiadanie kokainy z zamiarem sprzedaży i nie jest to jej pierwsze przestępstwo. Naszym zdaniem, kaucja powinna wynieść dziesięć tysięcy dolarów gotówką. - Nie była to wygórowana suma, ale mimo wszystko poza zasięgiem Rasheedy Crispin.

Robbins spojrzął na mnie. Wstałem.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie w istocie przyznaje, że ryzyko ucieczki oskarżonej jest nikłe i trudno byłoby dojść w tej sytuacji do jakiegokolwiek innego wniosku. Moja klientka mieszka w naszym dystrykcie od urodzenia, tutaj przebywa też cała jej rodzina, włącznie z córką będącą na utrzymaniu panny Crispin. Oskarżona weszła już wcześniej w konflikt z prawem, ale zawsze stawiała się przed sądem w wyznaczonych terminach. Pragnę też

zauważyć, Wysoki Sądzie, że panna Crispin była jedną z siedmiu osób obecnych w mieszkaniu podczas rewizji. Nie miała przy sobie narkotyków, nie jest też właścicielem ani najemcą lokalu.

Robbins w mojej obecności wiele razy przywoływał w podobnych sprawach kwestię „bliskości”. Jak orzekł, „sama bliskość” narkotyków nie wystarcza, by udowodnić ich posiadanie. Teoretycznie w czasie przesłuchania w sprawie kaucji wina czy niewinność nie grają roli, jednak sędzia przy podejmowaniu decyzji nie może zignorować możliwości, że do rozprawy może w ogóle nie dojść. Skinął głową na znak, że przyjął do wiadomości moją argumentację, więc dokończyłem mowę.

- Moja klientka nie jest w stanie wnieść kaucji, o jaką wnioskuje oskarżenie, Wysoki Sądzie. Prosimy o przyjęcie osobistego poręczenia albo oddanie jej pod opiekę ciotki, która z nią mieszka. Jest obecna na sali.

Prokurator znów zaczął się podnosić, ale Robbins powstrzymał go machnięciem ręki; kwestia, czy Rasheeda Crispin będzie próbowała uciec przed sprawiedliwością, czy nie, zajęła już dość czasu.

- Proszę, by podeszła do mnie ciotka oskarżonej - powiedział. Zaraz potem Rasheeda mogła wrócić do celi, by załatwić formalności związane ze zwolnieniem. Ociągałem się jeszcze kilka chwil, licząc na to, że będę mógł powiedzieć coś - cokolwiek - do Ashley, ale ta słuchała Prestona, pokazującego jej coś na formularzu, który dostał ode mnie. Kiedy ludzie zaczęli mi się przyglądać, wstałem i skierowałem się do drzwi. Prawnicy i klienci pilnie powtarzali swoje kwestie, a rodziny oskarżonych siedziały zaniepokojone lub znudzone.

Wszyscy jednak jak na komendę ucichli i podnieśli głowy, kiedy sekretarz ogłosił kolejną sprawę, Stany Zjednoczone kontra Ashley Bronson, i salę wypełnił dźwięczny baryton Prestona. Stojąc w drzwiach, obejrzałem się. Asystent, który wcześniej chciał zająć moje miejsce, stał przy Ashley razem ze swoim szefem. Nie dziwiłem mu się: czasem wystarczyć musi sama bliskość.

2

Zaburczał interkom.

- Frank, pan Brennan do ciebie - powiedziała sekretarka.

Zamknąłem drzwi, zanim podniosłem słuchawkę.

- Cześć, Tatku. Nie mam pojęcia, czemu dzwonisz.

- Wypełniam swój obowiązek, chłopcze, jako giermek Jej Wysokości.

- Powiedz jej, że to się nie powtórzy.

- Już to zrobiłem, chłopcze.

- Powiedz, że byłem pijany.

- Wymyśl coś bardziej przekonującego.

- Jestem przekonany, że byłem pijany.

- Ha! Stałeś się najtrzeźwiejszym Irlandczykiem, jakiego znam. Znasz to powiedzenie? „Alkohol to klątwa ciężąca na ziemi. Przez niego chcesz bić sąsiada. Przez niego strzelasz do gospodarza. I przez niego chybiasz”. -Roześmiał się, a mnie jak zawsze na dźwięk jego głosu poprawił się humor.

Czterdzieści lat spędzonych w Ameryce nie stępiło jego irlandzkiego akcentu; zawdzięczał to regularnemu szlifowaniu go w pubie odwiedzanym przez emigrantów z ziemi ojców.

- Słyszałem, że nadzieję się na Marka Stuarta Nadętego - powiedział.

- Trochę mu pomogłem w zeszłym tygodniu i bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Pewnie zjemy lunch w klubie. Jakby co, możemy się do ciebie przysiąc?

- Przy moim stole zawsze jest dla ciebie miejsce, chłopcze, przecież wiesz.

- Wiem, Tatku. Szkoda tylko, że musisz w tym wszystkim uczestniczyć.

- Powiedziała, że następnym razem wezwie policję, Francis.

- To byłoby dobre. „Tak, panie władzo, gapię się w tamte okna. Nie, nie chodzi o tę kobietę, patrzę, jak rośnie mój synek. Nie będę stawiał oporu”.

- Francis, chłopcze...

- Wiesz co, Tatku, siedział na krześle w gabinecie z kciukiem w ustach i patrzył w dal.

- Powiedziałem jej, żeby uważała na ten kciuk. Mówiłem, że...

- Zastanawiałem się, co chodzi mu po głowie? O czym myśli? Czy jest to coś, w czym mógłbym mu pomóc? Próbuję sobie wyobrazić wszystko, co mogłoby interesować

czy niepokoić sześciolatka, wszystko to, o czym nigdy nie rozmawiałem ze swoim ojcem. Jak latają samoloty? Co się dzieje, kiedy człowiek idzie do nieba? Potem zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek myśli o tym, co się stało, i chciałem wbiec do domu i go przytulić...

- Możesz go widywać, kiedy tylko chcesz, przecież wiesz.

- Tak, spotykamy się. Dokąd można zabrać dziecko w tym wieku? Ile razy można pójść do parku, zoo czy do muzeum? Ile filmów można obejrzeć? Idziemy gdzieś, gdzie byliśmy już dwadzieścia razy, i lądujemy w McDonalddie, przy tym stoliku, co zwykle. Zawsze musimy gdzieś chodzić. Zabieram go do miasta, a potem odstawiam do domu.

- Możesz go wziąć do siebie. Pogralibyście w coś, posiedzieli, porozmawiali.

- Był już u mnie. Obejrzał mieszkanie, zajęło mu to minutę. Tam jest dla niego za ciasno, nie ma miejsca na jego zabawki i rzeczy. Spytał mnie, gdzie śpię, więc rozłożyłem łóżko, próbowałem zrobić z tego atrakcję, wiesz?

Zobacz, kanapa i łóżko jednocześnie! Szkoda, że nie widziałeś jego miny.

Nie wiedział, jak zareagować. Zaproponowałem kino i dosłownie rzucił się do drzwi. Nigdy więcej go do siebie nie zabiorę.

Telefon eksplodował.

- Jezu Chryste! I komu to zawdzięczasz? Czyja to wina? Miałeś dom!

Rodzinę! Mieliśmy spółkę, na litość boską! Wszystko grało, Francis. Nie chciała od ciebie niczego nadzwyczajnego. Każdy chciałby tego samego na jej miejscu! Ale ciebie to nie zadowoliło, prawda? Musiałeś wszystko robić po swojemu! No i teraz masz. Została sama z chłopakiem, a ty gapisz się w jej pieprzone okna! - Zapadła cisza. Pewnie zasłonił ręką słuchawkę.

Poczułem, że pieką mnie policzki. Do tej pory nigdy nie okazywał złości z powodu mojego postępowania, nie powiedział na ten temat ani słowa od tamtego dnia przed kilkoma laty, kiedy wszedłem do jego gabinetu, by przedstawić mu swój plan. Pamiętam, że wysłuchał mnie cierpliwie, a potem spytał tylko, czy jestem pewien, że robię dobrze. Skłamałem. Zamknął oczy i odwrócił się z fotelem do okna; nadal tam siedział, kiedy wieczorem przyszedłem powiedzieć mu dobranoc - na biurku stała butelka, a z całej jego postaci biła melancholia. Ten widok sprawił, że zacząłem się wahać.

Czy moje odejście tak go zabolowało, czy tak ponuro oceniał moje perspektywy?

Zaczekałem, aż usłyszę jego oddech.

- Słuchaj, Tatku, przepróż jaode mnie. To się więcej nie powtórzy. Obiecuję.

Nie słuchał mnie.

- Masz jej to za złe, prawda? To, że na to nie poszła? Myślisz, że jest niełojalna, rozpieszczona czy coś takiego, bo chce mieć dom i poczucie bezpieczeństwa.

- Nieprawda. - Kiedyś może i tak myślałem, ale teraz już nie. Świadomość, że mogłem popełnić błąd, i pewnie popełniłem, przytłaczała mnie każdego wieczoru, kiedy leżałem na składanym łóżku i wydawało mi się, że wiszę nad otchłanią, kurczowo trzymając się resztek wiary w słuszność moich wyborów. Czasami, po odwiezieniu syna do domu, miałem wrażenie, że spadam, przerażał mnie mój ponury pokój, czułem, że jestem niebezpiecznie blisko utraty czegoś, czego nigdy nie uda mi się odzyskać. Zacząłem bać się nocy, bo nie miałem odwagi iść do domu, a knajpy nie wchodziły w grę, więc włóczyłem się po mieście, dopóki nie poczułem się zmęczony i zostawało mi akurat dość sił, by wrócić do domu i zwalić się na łóżko, a za mało, by śnić.

Miałem kłopoty i dobrze o tym wiedziałem. Nauczyłem się polegać na drobnych zajęciach i nawykach, jak poranne składanie łóżka i zmywanie naczyń zaraz po jedzeniu. Robiłem to tylko po to, by się całkiem nie zatracić i nie zgubić kierunku. Zapisalem się do dzielnicowego YMCA i każdego wieczoru przed wyruszeniem na nocne wędrówki ćwiczyłem przez godzinę. Z zewnątrz wyglądałem jak facet ze starych zdjęć mojego plutonu; w środku byłem wrakiem.

Głos mówiący ze znajomym irlandzkim akcentem przerwał te rozmyślenia. Tym razem brzmiała w nim pojednawcza nuta, która była dla mnie kołem ratunkowym. Mimo bólu, jaki mu zadałem, ten człowiek nigdy mnie nie

odrzucał. Był specjalistą od ludzkich słabości, wygładzania zmarszczek i łatania dziur w tkance społecznej powstałych w wyniku korupcji, słabości czy zwyczajnej głupoty jakiegoś klienta czy politykiera. Przez lata obserwowałem go, jak wypełnia swoje obowiązki w gabinecie, na balach charytatywnych, w pubach i na spotkaniach rodzinnych - z podbródkiem wspartym na dłoni, głową nachyloną ku jakiemuś petentowi, słuchając jego spowiedzi i dając w zamian coś bardziej krzepiącego od pokuty i o wiele użyteczniej- szego: obietnicę poparcia albo oddania takiej czy innej przysługi, działającą jak narkotyk.

- Francis, chłopcze - powiedział łagodnie - ludzie przyzwyczajają się do pewnych rzeczy, do stylu życia i nie chcą tego stracić. Czy to coś złego? Pomogłem jej, może bardziej niż nakazywał zdrowy rozsądek, ale wiedziałeś, z kim się żenisz, i to ty zmieniłeś zasady, chłopcze, a nie ona.

Nie była to do końca prawda. W istocie nie znałem jej, ona mnie także nie, ale myśleliśmy, że tak jest bardziej romantycznie. Lubiła opowiadać ludziom naszą historię:

„Oglądam sobie mecz Redskinsów i nagle jakiś facet oblewa mnie piwem. Pochyla się i zaczyna mnie wycierać. No to mówię mu: »Zwykle pozwalam je macać dopiero na pierwszej randce«. A on na to: »Na spodnie też się trochę wylało. Nie ruszaj się, zaraz się zaręczymy«. Pobraliśmy się wiosną”.

Bez względu na to, co wiedziałem, a czego nie, nie mogłem się uskarżać na hojność Tatka dla córki. Pomagał jej jeszcze długo po tym, jak powierzył ją mojej opiece, a teraz utrzymywał też naszego syna. Moje groszowe alimenty nie starczały na jedzenie, nie wspominając o hipotece czy innych wydatkach. Prawda była taka, że wcale nie potrzebowali moich pieniędzy, ale ona i tak je brała i jakkolwiek dziwne może się to wydawać, nie sędzę, by robiła mi to na złość. Kiedy za pierwszym razem przyłapała mnie na obserwowaniu jej domu, długo patrzyliśmy na siebie, aż wreszcie odjechałem, a gdy kilka dni później przyszedłem po syna, nic nie powiedziała. To była nasza tajemnica, jedna z tych cienkich nici, które nas łączyły; drugą - w pewnym sensie – były przysyłane przeze mnie czeki. Nie chciała przeciąć tych więzi, ja zresztą też nie, choć przydałoby mi się więcej pieniędzy.

- Tatku, muszę kończyć. Przekaż jej, co powiedziałem. Proszę.

- Przekażę, chłopcze, możesz być pewien. - Odłożył słuchawkę.

Chodzę do terapeuty. Następny kamień milowy.

- Jak się masz, Frank?

- Dobrze.

- Od czego zaczniemy?

- Mam pytanie.

- Słucham.

- Jesteś Noahem Applebaumem dlatego, że jesteś lekarzem, czy jesteś lekarzem dlatego, że jesteś Noahem Applebaumem?

- Ciekawe pytanie.

- Pracuję nad pewną teorią.

- Rozumiem. To drugie, zdecydowanie.

- Serio? Dlaczego?

- Cóż, istnieje większa współzależność między Żydami a profesjami niż odwrotnie.

- To znaczy?

- To związek przyczynowo-skutkowy. Domyślam się, że proporcjonalnie więcej jest lekarzy wśród Żydów niż Żydów wśród lekarzy. Dlatego jeśli los daje światu kolejnego żydowskiego lekarza, decydującym czynnikiem jest raczej religia niż profesja.

- Czyli twoim przeznaczeniem jako Applebauma było zostać lekarzem?

- Nie, było to moim przeznaczeniem jako Żyda. Moim przeznaczeniem jako Applebauma było zostać terapeutą.

- Czemu?

- Musiałbyś poznać moją matkę.

- Aha. - Przy wtórze wypełniającego pokój tykania zegara myślałem, jakie to ma praktyczne konsekwencje dla mojej teorii. - A jak to jest z O'Connellem? - spytałem. Wzruszył ramionami. To z powodu jednego z O'Connellów tu byliśmy. - Chciałbym od tej pory przychodzić co dwa tygodnie - powiedziałem.

- Lepiej byłoby co tydzień.

- Nie stać mnie na to. Będę przychodził co dwa tygodnie, a ty możesz mi zadawać prace domowe.

- Przychodź raz na tydzień. Coś wymyślimy.

- Nie wiedziałem, że pracujesz społecznie, Noah.

- Frank, nie żartuj. Przecież ty też pomagasz ludziom, których na ciebie nie stać. Taki jest urok naszej pracy. - Trzeba przyznać, że w tym, co mówił, była pewna symetria. Miałem ubogich klientów, więc sam też cienko przędłem. Przynajmniej nie musiałem zastanawiać się specjalnie nad tym, jaki los mnie czeka: O'Connell żebrak. Może kiedy mojego terapeuty nie będzie już stać na opłacanie rachunków, to znajdzie sklepikarza potrzebującego usług prawnika. Moglibyśmy zorganizować własną gospodarke barterową.

- Jeśli moja teoria się sprawdzi, nazwę ją na cześć twojej matki.

- Umowa stoi. - Nalał wody do dwóch szklanek, a ja w tym czasie rozejrzałem się po gabinecie. Wszędzie widać było ślady życia rodzinnego: zdjęcie żony i dwóch córek na małym kredensie, większe fotografie dzieci zdobiące półkę z książkami, przycisk do papieru, który wyglądał jak zrobiony na szkolnych zajęciach z pracy-techniki, pomalowana kredkami kartka z pozdrowieniami, kubek z napisem „Najwspanialszy tata na świecie”. Noah, troskliwy ojciec.

- Czytasz dzieciom przed snem, Noah?

- Co wieczór. Chcesz porozmawiać o swoim synu?

- Raczej nie.

- Dobra. Chodzisz na spacer?

- Co noc.

- Wyglądasz, jakbyś dużo ćwiczył.

- Jeśli nic nie zmieni się na lepsze, to wygram konkurs Mister Uniwersum i zapłacę ci z nagrody.

- Miewasz sny?

- Każdy je ma; tak czytałem.

Zaczekał, aż zbiorę się w sobie. Właściwie trudno powiedzieć, by cokolwiek mi się „śniło”. Z tego, co wiem, sny są fantastycznymi impresjami na temat autentycznych zdarzeń, przed moimi oczami natomiast co noc przewijały się ich wyraźne i wierne, lecz surrealistyczne reprodukcje. Po przeszło dwudziestu latach okazało się, że moja podświadomość przypominała magnetowid, na który nagrywała się koszmarna panorama barw, dźwięków i szczegółów, szczęśliwie zapomnianych po przebudzeniu, choć moja psychika wciąż jeszcze pozostawała pod ich wpływem. Teoria była taka, że stres minionych kilku lat sprawił, iż wcisnął się przycisk „play” i tak już został.

- Tak, śniło mi się coś - powiedziałem.

Jego ołówek zaczął sunąć po kartce.

- Jaki był ten tydzień?

- Miewałem lepsze i gorsze chwile.

- Powiedz o tych lepszych.

- Firma zaproponowała mi stanowisko radcy i szansę na wejście do spółki za parę lat.

- I co ty na to?

- Powiedziałem, że się zastanowię. Co powinienem zrobić?

- Nie wiem. Teraz opowiedz o tych gorszych chwilach.

- Odezwał się mój były teść. Wygląda na to, że zbyt pochopnie uznałem jego długotrwałe milczenie za formę niechętniej akceptacji.

Noah zamrugał szybko. Kiedy się odezwał, wydawało się, że mówi raczej do siebie.

- Jego wsparcie było dla ciebie ważne. - Te słowa tłukły się po moich bebechach jak kula bilardowa, obijając się o nerwy i gruczoły; czułem, jak w moim żołądku kotłuje się kwas. Była to prawda, której unikałem od czasu tamtej rozmowy. Teraz mój umysł pracował własnym rytmem, każda mimo wolna myśl łączyła się z następną, prowadząc do nieuchronnego wniosku, że znalazłem się w sytuacji przekraczającej moją zdolność pojmowania. Nie byłem jakąś samotną, heroiczną postacią z fantazji egzystencjalistów, tylko zwykłym facetem, który podjął złą decyzję i musiał znosić jej konsekwencje. Facetem po czterdziestce. Nie dostanę drugiej szansy. Dzisiejszy spacer będzie długi.

- Wiesz, co mnie najbardziej denerwuje, Noah? Że w gruncie rzeczy chodziło tylko o moje ego. Zatrąłem życie kilku osobom tylko po to, by zostać członkiem klubu Zosisamosi. Na stare lata opowiadać historyjki jak z Horatio Algery*³, przesiadywać w jakimś barze, podśpiewując My Way.

- Myślisz, że o to w tym wszystkim chodzi?

- A ty nie? - Milczał. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może istnieć inna odpowiedź. Czuję się rozdarty. Miałem nadzieję, a zarazem bałem się, że kieruje mną jakiś głębszy cel, bardziej szlachetny lub godny pogardy niż dogodzenie własnej próżności, cel, którego nawet ja nie znałem. Ale cóż mogło być gorszego? - Ty nie? - powtórzyłem.

Odłożył notes i odchrząknął.

- Popatrz na swoje życie. To, co zrobiłeś, wybory, których dokonałeś.

Widzisz w tym jakąś prawidłowość?

- Prawidłowość? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Tak też myślałem.

- Słuchaj, Noah, dość już tej zabawy. Jeśli masz jakąś kosmiczną teorię na temat tego, co kieruje Frankiem, darujmy sobie te wszystkie zabiegi mające doprowadzić do jakiegoś katharsis. Znudziło mi się analizowanie wszystkich moich myśli i czynów, więc po prostu powiedz, o co chodzi.

- Lubisz ryzyko.

- Ludzie ryzykują każdego dnia.

- Jasne, w sprawach typu: kupić dom, zmienić pracę, zainwestować w to czy w tamto. Dokonują wyborów opartych na przemyślanej lub intuicyjnej ocenie poziomu ryzyka względem możliwych zysków. Ciebie nie pociąga skalkulowane ryzyko, Frank. Nie obchodzi cię szansa sukcesu, po prostu chcesz od razu iść na całość.

- A dlaczego tak jest, Noah?

Zmarszczył brwi.

- Powiem ci, co myślę. Kilka lat temu twoje życie osobiste i zawodowe było poukładane. Że się tak wyrażę, pozostało ci tylko robić swoje. Nie bierz tego do siebie. Prawda jest taka, że większość z nas w pewnym momencie osiąga punkt, kiedy wszystko, co najważniejsze, ma już za sobą: obarczeni rodziną pracą hipoteką godzimy się z tym, że nie wejdziemy na Everest, nie będziemy tajnymi agentami i nie spełnią się nasze marze-

³ * Amerykański autor książek przygodowych dla młodzieży (przyp. tłum.).

nia z dzieciństwa ani sny z czasów studenckich. Celem życia staje się utrzymanie stałego kursu, co wcale nie jest łatwe. Większość moich pacjentów próbuje tego właśnie dokonać. Pamiętasz słowa Thoreau? „Masy ludzi żyją w cichej de speracji”. Ale ty, Frank, zakosztowałeś innego życia. Jednego dnia jesteś w dżungli: serce bije jak oszalałe, gruczoły pracują pełną parą radość, strach, zwycięstwo i klęska, życie z rozmachem, ostra rywalizacja. I tobie się to podobało. Nagle odwracasz się i co? Jest sobota na przedmieściach, a ty stoisz w jakimś sklepie żelaznym i razem z milionem innych facetów porównujesz próbki farby do pomalowania przedpokoju. Różnica między tobą a nimi jest taka, że tobie udało się wyrwać z tego sklepu. Musiałeś to zrobić.

Zastanawiałem się nad tym, a zegar odmierzał czas pozostały do zakończenia naszej sesji. Próbowałem sobie przypomnieć, co myślałem i czułem przed podjęciem decyzji o wywróceniu własnego życia do góry nogami.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziałem. - Już ostatnie.

- Wal.

- Jak wrócić do tego sklepu?

Mój mały ford, rzeżąc, wtoczył się na wzgórze, na którym stała rezydencja Moiry Brennan O'Connell. Pierwszy raz widziałem ten dom na miesiąc przed naszym ślubem; tamtego wieczoru odbyliśmy dyskusję o finansach, pierwszą z wielu. Po dzieciństwie spędzonym w mieszkaniach w Bronksie wiedziałem, skąd bierze się amerykańskie marzenie o posiadaniu własnego domu. Miałem jednak dziwne przeświadczenie, że powinienem sam za niego zapłacić. Pierwsza rata wynosiła jednak siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, czyli brakowało mi jeszcze siedemdziesięciu jeden tysięcy. Uznałem, że nieprędko uwijemy nasze wymarzone gniazdko, ale Moira nie zgodziła się ze mną, podobnie jak jej ojciec, który nie zaszedłby tak wysoko, gdyby nie miał daru przekonywania. Stwierdził, że dobro firmy wymagać będzie pełnego zaangażowania z mojej strony, dlatego też musiałem „uporządkować sprawy rodzinne”, by skoncentrować się na bieżących zadaniach. Dochodziła też konieczność zabawiania ważnych klientów i pośredników, tłumaczył, istotna w działalności waszyngtońskiej kancelarii adwokackiej, takiej, jak ta, którą prowadził - a od tej pory prowadziliśmy razem. Moira, jako hostessa, odegra rolę, którą tak dobrze odgrywała jej świętej pamięci matka.

W końcu przekonałem sam siebie, że on ma rację. Po części wpłynęła na to gadka starego, po części zrozumiałe pragnienie, by zapewnić żonie poziom życia, do jakiego była przyzwyczajona. Czasami wmawiam sobie, że niewielką rolę odegrał też zdrowy rozsądek. Tak czy inaczej mój teść ustanowił własny Plan Marshalla dla swojej córki i

dla mnie. Połowa Waszyngtonu była zadłużona u Edwarda Brennana, druga połowa chciała wkraść się w jego łaski; obydwie uznały ślub jego córki za doskonałą okazję do zała-

twiania swoich interesów. Prezenty zostały dostarczone w czasie naszego miesiąca miodowego i kiedy przeniosłem Moirę przez próg, o mało jej nieupuściłem. Był to obraz wart najśmielszych snów uczestników teleturniejów.

Porcelanowe i srebrne serwisy dla dwudziestu czterech osób, kryształ Baccarat, francuskie miedziane garnki, srebrne lichtarze, pościel z Porthault, litografie i rzeźby, automat do cappuccino wielkości restauracji oraz urządzenia, których funkcji nawet sobie nie byłem w stanie sobie wyobrazić. Na widok prezentów mój teść roześmiał się i przytoczył jedno z irlandzkich przysłów, które tak lubił:

- Przyjmuj dary z westchnieniem, chłopcze - powiedział. - Większość ludzi daje po to, by im zapłacono. - A potem dorzucił do tego wszystkiego samochód.

Ile razy podjeżdżałem pod mój nowy dom, czułem zadowolenie. Dopiero co wzięliśmy ślub, a już zewsząd otaczał nas dobrobyt i kiedy mój syn po raz pierwszy, jeszcze niepewnym krokiem, wyszedł mi na powitanie, o mało nie rozplakałem się z radości. Minęło kilka lat i pewnego dnia przestałem być szczęśliwy. Dręczyło mnie to, że wszystko, co miałem, dosłownie dostałem na srebrnej tacy. A przecież kiedyś nabijałem się z takich ludzi.

Wiedziałem, że kocham żonę, wiedziałem też, że coś musi się zmienić. Może udałoby się tego dokonać stopniowo, krok po kroku, ale nam nie dane było nawet spróbować. Powiedziałem, że rozważam odejście z firmy teścia.

Oświadczyłem to, leżąc wpatrzony w sufit podczas kolejnej nieprzespanej nocy. Moira była zaskoczona, a jej nadzieja, że to jeszcze nie jest ostateczna decyzja, tylko pogorszyła sytuację. Próbowwała mi to wyperswadować, a gdy ja dalej plotłem swoje, próbując wyjaśnić to, czego sam nie rozumiałem, zdumienie na jej twarzy zmieniło się w strach, a potem w gniew. Kiedy zacząłem mówić o sprzedaży domu, to, co niewyobrażalne, stało się zatrwajająco realne. I dokąd pójdziemy? - spytała. Na co będzie nas stać? I co to będzie oznaczało dla Brendana? Nie potrafiłem odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Po tygodniu zaproponowała kompromis: odejdę z firmy, ale zatrzymamy dom. Tato będzie nam pomagał, dopóki mój interes się nie rozkręci. Powiedziałem jej, że nie mogę się na to zgodzić. To byłoby tak, jakbym po złożeniu rezygnacji zgłaszał się do kasy po wypłatę.

No i na tym stanęło: ona nie chciała odejść, a ja nie mogłem zostać.

Bardzo źle znosiliśmy separację. Jeśli można mówić, że komuś wychodzi to lepiej lub gorzej, to nam wychodziło to fatalnie. By zaoszczędzić na wydatkach wynająłem małą kawalerkę. Nadal widywaliśmy się w weekendy i nawet kilka razy spaliśmy ze sobą. To było jak powrót do etapu chodzenia na randki, powtórzenie biegu, w którym popełniliśmy zbyt wiele błędów, i nawet mój teść wydawał się tylko lekko zaniepokojony. „Wyboje na drodze życia, chłopcze” - powiedział. Tygodnie jednak zamieniły się w miesiące, a kiedy Moira zdała sobie sprawę, że to nie jest tylko jakaś czkawka wieku średniego, jej tolerancja dla moich powrotów i odejść stopniowo się zmniejszała i proces rozłąki rozpoczął się na dobre. Dom stał się metaforą rozpadu naszego związku. Najpierw przemeblowanie, a potem remont generalny.

Nowa farba, nowe dekoracje, nowe życie.

Nacisnąłem dzwonek. Kiedyś miałem w zwyczaju czekać, aż mój syn wyjrzy przez szparę na listy, i wsuwać do niej palec. On wtedy łapał go ze śmiechem. Wspomnienie tego małego rytuału wciąż powracało każdej nocy, kiedy stawałem przed moimi stalowymi drzwiami na końcu korytarza.

Otworzyła Moira. Właśnie kończyła przebierać się przed wyjściem do miasta; była umalowana, miała na sobie pończochy i szlafrok.

- Cześć - powiedziałem.

- Cześć, właśnie rozmawiam przez telefon. - Poszła do kuchni, więc ja powędrowałem do gabinetu. Kiedyś stoczyliśmy taką niby-kłótnię o to, jak nazwać ten pokój. Ja zaproponowałem „pracownię”, a ona przewróciła oczami.

- Ten pokój ma wymiary dwadzieścia pięć na osiemnaście i jest wysoki na trzy i pół metra - wyjaśniła. - Nad oknami są ozdobne karnisze, podłoga wyłożona jest dębową klepką, mamy też drzwi balkonowe, szafy zrobione na zamówienie i marmurowy kominek. Obawiam się, że to biblioteka. - Wyjęła projekty wnętrz. - Wysoki Sądzie - powiedziała z udawaną powagą - pragnę dołączyć do akt sprawy dowód A. - Owszem, podpis pod rysunkiem potwierdzał jej słowa, ale ja stwierdziłem, że „biblioteka” brzmi zbyt pretensjonalnie. Wzięła moją twarz w dłonie i zaśmiała się. - Jeśli to ukoi twoją robotniczą duszę, nazwiemy ten pokój „gabinetem”. - Tej nocy otworzyliśmy jeden z prezentów, srebrny stojak na wino, i ochrzciliśmy dębową podłogę tak, jak należy, przy marmurowym kominku. Potem, kiedy leżeliśmy zawinięci w koc, wznieśliśmy toast za nasz sprytny kompromis. Szkoda, że nie zawsze panowała między nami taka zgoda.

- Cześć, tato! - Mój syn stał w drzwiach, ubrany w sztruksowe ogrodniczki i golf. W ręku trzymał szklanekę soku z pokrywką mającą zapobiec poważniejszym wyciekom.

- Cześć, kolego! Jak się miewa mój wielkolud? - Podszedłem do niego i kucnąłem, rozkładając ramiona.

- Dobrze - powiedział i zarzucił mi ręce na szyję. Takie chwile, jak ta, były najpiękniejsze, i to dla nich żyłem. Odchylił się i zaczął bawić się moim krawatem.

- Tato? - spytał.

- Tak, kolego?

- Lubisz Giantsów, no nie?

- Uhm.

- Lubisz Giantsów, bo jak byłeś dzieckiem, to mieszkałeś w Nowym Jorku?

- Zgadza się.

- Ale teraz mieszkasz w Waszyngtonie.

- Uhm.

- Tato, czy mogę kibicować innej drużynie, nie Waszyngtonom?

- To znaczy Redskinsom? '

- Tak. Redskinsom. Muszę im kibicować?

- Nie, możesz kibicować, komu chcesz. Ludzie lubią dopingować drużyny ze swojego miasta, ale ty nie musisz. Jest jakaś inna drużyna, którą lubisz?

- Tato?

- Tak, skarbie?

- Czy Forty-Niners to dobra drużyna?

- No pewnie. Chcesz im kibicować?

Potrząsnął głową, jakby rozważał taką możliwość, ale ją odrzucił.

- Chcę kibicować Redskinsom - powiedział z naciskiem. - To moja ulubiona drużyna, tato.

- No to powinienesz to robić, kolego. Być z nimi na dobre i na złe.

Do pokoju weszła Moira, gotowa do randki. Długo udawało mi się nie przyjmować do wiadomości faktu, że moja piękna była żona nie zechce żyć samotnie; stojąc przede mną w wieczorowej sukni, aż nadto wyraźnie dawała mi to do zrozumienia.

- Świetnie wyglądasz - powiedziałem.

- Dziękuję - odparła. Przy naszym synu zawsze byliśmy wobec siebie bardzo uprzejmi. Na szczęście nie musiałem się obawiać, że Moira podburzy go przeciwko mnie; była zbyt dobra, by zrobić mi takie świństwo.

- To my już pójdziemy. Przywiozę go przed wpół do ósmej. Jak nazywa się opiekunka?

- Może zostanieie tutaj.

- Tutaj?

- A czemu nie? Będziecie mieli więcej czasu dla siebie. W lodówce są kotlety mielone, możecie pooglądać telewizję albo się pobawić. O ósmej musi pójść spać, ja wrócę przed jedenastą.

- To brzmi zachęcająco. - Wyglądało na to, że Tatko skontaktował się z nią po naszej rozmowie.

- Chyba że masz jakieś spotkanie? - dodała.

Spotkanie? Od lat nie wychodziłem nigdzie po szóstej po południu, chyba że akurat miałem spotkać się z synem. Były tylko miejsca, których unikałem, jak moje mieszkanie czy wszystkie okoliczne bary.

- Nie - powiedziałem. - Nie mam żadnych planów.

- No to wszystko ustalone. Zabawki są na półkach w jego pokoju. Bardzo lubi grę „Candyland”, zawsze w nią wygrywa. - Zabrzączał dzwonek do drzwi. Wzięła naszego syna w ramiona. - Baw się dobrze z tatusiem i połóż się spać, kiedy ci każe, dobrze? Obiecuję, że kiedy wrócę, przyjdę dać ci buzi. - Uśmiechnęła się do mnie i bez słowa ruszyła w stronę drzwi. Przywitała się z kimś i zniknęła.

Spędziłem więc wieczór w Candylandzie i dostałem nieźle w kość. Potem Brendan oprowadził mnie po swoim pokoju, którego nie widziałem od wielu miesięcy, bo ilekroć przyjeżdżałem, chłopiec był już gotowy do wyjścia - Moira chciała ograniczyć formalności do minimum. Pojawiło się kilka nowych zabawek, w tym zdalnie sterowany samochód od kogoś imieniem Rob, o kim Brendan mówił z wielkim entuzjazmem. Moje nieudolne próby przejścia na inne, poważniejsze tematy, nie powiodły się. Wyglądało na to, że sześciolatków nie ruszają takie pytania jak: „Czy jest coś, o czym chciałbyś porozmawiać?” lub inne, preferowane przez terapeutów. O ósmej pomodliliśmy się i położyłem go do łóżka, a potem, siedząc na krześle, patrzyłem, jak zasypia. Przechodząc obok sypialni, starałem się nie rozglądać, na wypadek, gdyby w środku były inne ślady pobytu Roba.

Przez następną godzinę siedziałem w gabinecie, słuchałem radia i czytałem gazetę. Kiedyś lubiłem tak spędzać wieczory, ale przeszło mi, kiedy przeniosłem się do kawalerki. Odprężenie mogłoby doprowadzić do rozmyślań, a rozmyślania do rozmaitych rzeczy, których należało unikać. Kiedy skończyłem gazetę, zacząłem się rozglądać za czymś innym do czytania i zauważyłem, że zniknęły rodzinne albumy ze zdjęciami. Przygotowywanie ich, rok po roku, było tradycją rodu Brennanów. Po naszym ślubie Moira została kuratorem kolekcji i niewiele nam już brakowało, by zapełnić naszą własną półkę, kiedy wszystko runęło.

Zacząłem myszkować w gabinecie i wreszcie znalazłem naszą ilustrowaną historię wciśniętą do reklamówek leżących na dnie szafki. Przez następne dwie godziny wspominałem niektóre z najszcześniejszych chwil mojego życia: miesiąc miodowy, zapowiedź ślubu Brennan i O'Connella, przyjęcia i urlopy, ciąża Moiry, narodziny Brendana i niemal każda godzina jego pierwszych dwóch lat życia. Długo patrzyłem na moje - i Tatka - ulubione zdjęcie zrobione w jego letniej posiadłości w Nantucket: Tatko, Moira, Brendan i ja na plaży, trzymający się za ręce. Trzej dorośli stali odwróceny plecami do aparatu, ale Brendan zauważył fotografa i odwrócił się do niego bokiem, robiąc minę do obiektywu. Myśląc o teorii Noaha, wypatrywałem oznak mojego rosnącego niezadowolenia: wymuszonych uśmiechów, odwróconych spojrzeń, jakichś gestów. Nie znalazłem niczego.

Z zamyślenia wyrwał mnie chrobot klucza w zamku. Pospiesznie chowając albumy do toreb, słyszałem głosy w holu - potem nastąpiła chwila ciszy i rozległ się trzask zamykanych drzwi. Ostrożnie zamknąłem szafkę i podszedłem na palcach do okna; zdążyłem jeszcze zobaczyć mężczyznę wsiadającego do dużego mercedesa. Jak widać, moja żona nie zamierzała drugi raz popełnić tego samego błędu. Przekradłem się do fotela i poderwałem się z niego w chwili, kiedy Moira weszła do gabinetu.

- I jak było? - spytała. Nie miała rozmazanej szminki ani porozpinanych guzików.

- Oszukuje w „Candyland”.

Skinęła głową.

- Za dużo prawników w rodzinie. Starczyło wam jedzenia?

- Było świetnie. Zjadł kolację, zanim zaczęliśmy się bawić, i punktualnie poszedł do łóżka. A ja siedzę sobie tutaj i czytam gazetę. - Machnąłem ręką w stronę małego stolika, na którym leżała.

- To dobrze. - Usiadła wygodnie w fotelu naprzeciwko. Nie wiedziałem, czy to zaproszenie, więc stałem dalej.

- Jak minął wieczór?

- Było miło - powiedziała, zdejmując buty. - Spotykam się z takim jednym facetem i dobrze nam ze sobą. - Spojrzała na mnie i dodała pospiesznie: - Jest bardzo dobry dla Brendana. Akceptuje fakt, że jesteś jego ojcem, ale naprawdę go lubi i wychodzi z siebie, żeby to okazać.

- To dobrze - powiedziałem. Chciałem coś dodać, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Zapadła kłopotliwa cisza, aż w końcu powtórzyłem: - To dobrze.

- Jak tam twoja praktyka?

- Birch & Hayes chcą żebyś został radcą, a za parę lat może awansują mnie na udziałowca.

- To dobrze, prawda?

- Pewnie tak. Albo się zgodzę, albo wylecę. - Zrobiła zdziwioną minę. - Boją się moich klientów.

- Byli dla ciebie dobrzy, Frank. Gdzie podziali się wszyscy twoi przyjaciele, kiedy poszedłeś na swoje?

W tym, co mówiła, było sporo racji. Prawnicy specjalizujący się w sprawach kar-nych, by przetrwać, potrzebują sieci referencji. Mój teść dopuścił mnie do największego kręgu wtajemniczonych w mieście, więc po odejściu ogłosiłem, że zakładam własną kancelarię, i spokojnie czekałem na pierwszy telefon. Daremnie. Nie sposób było nie dostrzec w tym pewnej ironii. Tatko trzymał się ode mnie z daleka, by uszanować moją niezależność, a

społeczność prawnicza, zwłaszcza po moim rozstaniu z Moirą, obawiała się, że pomagając mi, naraziłaby się jemu, a nikt nie chciał mieć wroga w Edzie Brennanie. Bez znajomości, daleko od miasta, w którym zapracowałem na swoją reputację, byłem odcięty od wszystkiego. Skoczyłem na oślep przed siebie - nic nowego - i długo spadałem, zanim wylądowałem w sieci Birch & Hayes.

- Byli dla mnie dobrzy - przyznałem - ale nie sądzę, żebym mógł im dać to, czego chcą.

- A co robiłbyś, gdybyś musiał odejść?

- To, co teraz. Musiałbym tylko znaleźć nowe biuro albo pracować w mieszkaniu.

- Ale jak długo tak można? - spytała ze smutkiem. - Może już czas... - Odwróciła wzrok.

- Na co?

- Nieważne - mruknęła.

- To nie jest jakaś tam gra, Moiro. Próbuję coś osiągnąć. Nie zamierzam zrezygnować.

Spojrzała na mnie i potrząsnęła głową.

- Chyba jesteś jedynym prawnikiem w Waszyngtonie... co ja mówię, na całym cholernym świecie... dla którego taka okazja oznacza rezygnację! Rezygnację z czego?

- Słuchaj, nie kłóćmy się, ja już podjąłem decyzję. - Jakies dziesięć sekund wcześniej.

- Odrzucisz ich propozycję. - Westchnęła. - Nie do wiary. - Wstała i skierowała się do holu. Najwyższy czas, żebym sobie poszedł.

3

Kiedy w poniedziałek rano przyszedłem do biura, od razu udałem się do gabinetu Harry'ego. Nie było sensu tego odkładać, a odrzucenie jego propozycji mogło być okazją do dobrej zabawy, jaka nieprędko mi się trafi.

Spadaj Seymour, pomyślałem, teraz kolej na mnie. Harry rozmawiał przez telefon, ale na mój widok zasłonił ręką słuchawkę.

- Frank! - krzyknął. - Wiem, że masz kupę roboty, więc zaczekajmy z nasząmąlarozmową, aż znajdziesz więcej czasu! -Znów zaczął mówić do telefonu i patrzeć na mnie szeroko otwartymi oczami, więc pomachałem mu i poszedłem do swojego gabinetu. Kupę roboty? Może rozmawiał z moim terapeutą? To nawet lepiej. Noah mógł go ostrzec, że jeśli mnie wywałą, to mogę wrócić tu z karabinem.

Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty. Przed moim biurkiem siedziała Ashley Bronson. Zamyślona obracała krążek hokejowy w gładkich dłoniach z paznokciami pomalowanymi jasnym lakierem, bez biżuterii, nie licząc zegarka, który można by wymienić na samochód. Na biurku stał kubek z herbatą.

- To podstawka - powiedziałem. Podniosła głowę. - Pod kubek.

- Oczywiście - odparła. Postawiła na nim kubek, wstała i wyciągnęła rękę. W takiej chwili człowiekowi przychodzą do głowy dziwne myśli. Wiedziałem, że jej uścisk będzie dokładnie taki jak trzeba, ani za mocny, ani za słaby. Trzymałem jej dłoń o sekundę dłużej niż wypadało, ale nawet jeśli to zauważyła, nie dała tego po sobie poznać.

- Przepraszam, nie jestem umówiona - powiedziała, przybierając skruszoną minę. Nie musiała się przedstawiać, więc tego nie zrobiła.

- Nic się nie stało. Proszę usiąść. - Podsunąłem jej krzesło i podszedłem do swojego. Było to nasze drugie spotkanie twarzą w twarz, ale tym razem kasztanowe włosy opadały jej na ramiona i nie miała za sobą nocy spędzonej w więzieniu. Spytałem przez lekko ściśnięte gardło:

- Jak się pani miewa?

- Mam kłopoty - odparła.

- Wiem. Co panią tu sprowadza?

- Powiedziano mi, że za tydzień zostanę postawiona w stan oskarżenia. O zabójstwo.

To akurat nie było zaskakujące. Problem polegał na tym, że źle zrozumiała moje pytanie.

- Wydawało mi się, że reprezentuje panią pan Preston.

- Powiedział, że nie zajmuje się prawem karnym, ale dał mi nazwiska paru dobrych adwokatów. - Nie mrugnawszy okiem, dodała: - Pańskiego nie wymienił.

To też nie było zaskakujące.

- Ale pani przyszła do mnie.

- Już wcześniej zdecydowałam, że chcę, by to pan mnie bronił.

- Tak? Kiedy?

- W areszcie - odparła. Areszt: nasze pierwsze krótkie spotkanie, w czasie którego nie zamieniliśmy słowa. Byłem ciekaw, czy zorganizujemy uroczysty ślub czy po prostu uciekniemy gdzieś razem. - W takich sprawach ufam mojemu instynktowi - uśmiechnęła się - ale w tych okolicznościach muszę spytać, czy jest pan równie dobry jak prawnicy z listy Prestona.

- Tak.

Uniosła brew.

- Nie podałam panu jeszcze ich nazwisk.

- Wiem.

Kąciki jej ust uniosły się.

- Lubię pewnych siebie mężczyzn - powiedziała cicho.

Rozważyłem kilka zagajeń w stylu Prestona, zanim zdecydowałem się po prostu przejść do rzeczy.

- To co, zaczynamy?

- Jestem gotowa.

- Panno Bronson, prawnicy różnie podchodzą do pierwszej rozmowy z klientem. Niektórzy nigdy nie pytają o to, co zrobił lub zrobiła, tylko o to, co policja może udowodnić. Inni przed zadaniem jakichkolwiek pytań przedstawiają możliwe warianty obrony. - Sięgnąłem po długopis i notes.

Spojrzała na mnie drwiąco.

- Nie chcą poznać prawdy?

- To nie takie proste i wbrew pozorom nie ma w tym nic podejrzanego. Rzadko się zdarza, by uczestnicy wydarzeń potrafili je wiernie opisać. Trzeba wziąć poprawkę na zawodność pamięci, przywidzenia, histerię, pobożne życzenia i zwyczajne kłamstwa. Raz opowiedziana historia zaczyna żyć własnym życiem. Klient czuje się z nią związany, a to

może zaszkodzić obronie, nawet jeśli później pojawią się nowe szczegóły. Oczywiście, motywy, jakimi kieruje się prawnik, też czasem bywają mało szlachetne.

- To znaczy?

- Kodeks etyki nie pozwala prawnikowi dopuścić do tego, by jego klient kłamał pod przysięgą. Przykładowo: jeśli mój klient twierdzi, że nie ukraść pieniędzy, to może zostać wezwany na świadka i powiedzieć, że jest niewinny, choćby dowody temu przeczyły. Jeśli natomiast przyzna mi się, że zabrał te pieniądze, to wtedy wiem, że jest na sto procent winny i nie mogę mu pozwolić na popełnienie krzywoprzysięstwa. To oznacza, że nie będzie zeznawał w obronie własnej, choćby tego chciał.

- Innymi słowy, znajomość prawdy ogranicza możliwości prawnika.

- Właśnie. Dlatego jeśli prawnik nie chce stracić jednej z opcji, to nie pyta klienta o całą prawdę.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- A pan? Jakie jest pańskie podejście?

- Chcę wysłuchać całej historii. Nie będę się wtrącał. Może to oznaczać, że nie będzie pani zeznawać, ale jeśli nie dowiem się, co się naprawdę stało, to może nie uda mi się obrać właściwej linii obrony albo co gorsza, oskarżenie zaskoczy mnie czymś w czasie procesu. Jako pani adwokat, chcę wiedzieć wszystko.

- To wydaje się sensowne - przyznała.

- To dobrze.

- Mam panu opowiedzieć, co się stało?

- Słucham.

- Zabiłam go.

W takich chwilach doświadczenie zawodowe bardzo się przydaje. Usłyszałem, jak mówię „Proszę dalej”, podczas gdy w żołądku ciągle czułem skurcze.

- Poszłam do jego domu, dostałam się bocznymi drzwiami do salonu. Wyjęłam z sekretarzyka pistolet, a kiedy on wszedł do pokoju, zastrzeliłam go. - Chciała mówić dalej, ale zacisnęła usta w wąską kreskę i odwróciła oczy.

Przez chwilę wyglądała na bezbronną, a lekkie drżenie ust wskazywało, że nie jest tak wyrachowana, na jaką chciała wyglądać. Mogłem próbować dodać jej otuchy, ale wiedziałem, że ława przysięgłych tego nie zrobi, więc rysowałem kółka na kartce i zastanawiałem się, czy w ogóle zaświeci dla nas słońce.

Zauważyła zdjęcie na ścianie, przedstawiające szesnastometrowy kecz „Jezebel” przechylony na wzburzonym szarobiałym morzu. Rok po powrocie z wojny przepląnąłem tą łodzią Atlantyk.

- Jest pan żeglarzem? - spytała.

- Ostatnio nie.

- Mamy łódź w Annapolis. Dawniej, kiedy ojciec był zdrowy, urządzaliśmy wycieczki. - Jeden z artykułów o jej aresztowaniu wspominał o śmierci Henry'ego Bronsona. W „Post” napisali, że w młodości był fizykiem, a ostatnio prowadził działalność charytatywną za pośrednictwem fundacji rodzinnej założonej przez jego ojca, który zbił fortunę na handlu drewnem. Wiele drzew zostało ściętych, by sfinansować styl życia Ashley Bronson; teraz i ja miałem na tym skorzystać. Pieniądze, które od niej dostanę, spożytkuję na własną działalność charytatywną - spłacę część moich długów.

- Słyszałem, że pani ojciec niedawno zmarł. Czy chorował?

- Przeszedł kilka wylewów i był przykuty do wózka. Jeśli chodzi o jasność umysłu, to miał lepsze i gorsze dni. - Spojrzała na mnie, jakby to było znaczące.

- Rozumiem - powiedziałem, niezgodnie z prawdą.

- Mój ojciec popełnił samobójstwo.

- Samobójstwo? Przykro mi... nie przypominam sobie, że bym o tym czytał.

- Nie pisali o tym w gazetach. Przedawkował środki nasenne. Jedynymi ludźmi, którzy o tym wiedzą, są jego lekarz i ja. No i pan.

- Mówiła pani, że miał lepsze i gorsze dni. Czy to nie mógł być wypadek?

- Tak sądzi lekarz. Zachował to w tajemnicy przez wzgląd na dobre imię naszej rodziny. Był oddanym przyjacielem mojego ojca.

- Ale pani uważa, że się myli?

- Bo znam prawdę. - Otworzyła torebkę i wyjęła niewielką, oprawną w skórę książkę. - Odkąd pamiętam, ojciec prowadził dziennik - powiedziała. - To ostatni tom i końcowy wpis nie pozostawia wątpliwości co do jego zamiarów. - Jej głos nabrał ostrego tonu. - W zasadzie można powiedzieć, że to Raymond Garvey zamordował mojego ojca.

- Zamordował? Jak?

- Dręczył go tak długo, aż doprowadził do samobójstwa.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. W dzienniku nie ma o tym mowy, ale nigdy nie widziałam mojego ojca w takiej rozpaczy. Ostrzegałam Raymonda, by do nas nie przychodził. Powiedziałam, że ojciec przez niego choruje, że może umrzeć, ale on mnie nie słuchał. Tylko... - Zawiesiła głos i potrząsnęła głową.

- Niech pani chwilę odpocznie - zasugerowałam.

Opanowała się i zaczęła mówić dalej.

- Mój ojciec był wrażliwym człowiekiem, panie O'Connell. Jego życie obracało się wokół książek, muzyki, sztuki i... i mnie. Niecałe trzy tygodnie temu weszłam do biblioteki, żeby powiedzieć mu dobranoc. Nie mógł już wtedy zbyt wyraźnie mówić, ale zawołał mnie do siebie i wziął moją rękę, świadom, że widzi mnie po raz ostatni. I kiedy pomyśle, jak wielki smutek musiał go ogarniać w tej ostatniej wspólnie spędzonej chwili... - Jej oczy rozbłysły i w głosie znów zabrzmiała harda nuta. - To, co zrobił Raymond Garvey, jest gorsze od morderstwa. Dlatego go zabiłam i nie żałuję.

Czyli była to zemsta. Znałem motyw, sprawcę i sposób popełnienia zabójstwa. Nie byłem już tak bardzo podekscytowany.

- Mam jeszcze pytania- powiedziałem. -Co oskarżenie może udowodnić?

- Na pistolecie były moje odciski palców. Tak powiedział detektyw.

- A pani co odpowiedziała?

- Nic.

- To dobrze. Nie powinna pani rozmawiać o tym z nikim oprócz mnie. Była pani wcześniej w tamtym domu?

- Wiele razy. Raymond Garvey był przyjacielem mojego ojca i traktowałam go jak wujka.

- Skąd pani wiedziała, gdzie trzyma pistolet?

- Pokazał mi go jakieś cztery miesiące temu. W okolicy było parę włamań, kupił go dla ochrony. - Pominęliśmy to milczeniem. Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

- To mogłoby wyjaśnić, skąd wzięły się pani odciski palców. Mówiła pani, że dostała się do środka. Miała pani klucz do domu Garveya?

- Tak.

- Gdzie jest teraz?

- Na policji. Zabrali go, kiedy przeszukali mój dom.

- Kto jeszcze miał klucz?

- Nie jestem pewna. Może gosposia...

- Jak dotarła pani do jego domu?

- Pieszko. Mieszkamy pięć przecznic od siebie.

- Czy ktoś widział, że pani tam szła lub stamtąd wracała?

- Idąc w tamtą stronę, nikogo nie widziałam. Drogę powrotną pamiętam jak przez mgłę, ale nie przypominam sobie, żebym kogoś spotkała.

Na razie nieźle.

- W co była pani ubrana?

- W płaszcz przeciwdeszczowy.

- Gdzie jest teraz?

- W czasie przeszukania zabrali go i dużo innych ciuchów. Nie wiem, co z nimi zrobili.

- Szukają na nich śladów prochu. Czy kiedy wychodziła pani z domu zamordowanego, padał deszcz?

- Była burza.

- Nikt pani nic nie powiedział o tych ubraniach?

- Nie.

Skoro padał deszcz, istniało spore prawdopodobieństwo, że na ubraniach nie było żadnych śladów. Wskazałem na książkę, którą wciąż trzymała na kolanach.

- Kto jeszcze wie o istnieniu tego dziennika?

- Może Marta, kucharka. Ona jedna z całego personelu mieszka w naszym domu. Jakie to ma znaczenie?

- Dziennik może być dowodem, że miała pani motyw, by popełnić zabójstwo. O ile uda im się dowieść, że przeczytała pani ostatni wpis.

- Oczywiście, że tak - szepnęła. - Nie myślałam... - Przycisnęła go do piersi. - Co mam z nim zrobić? - spytała.

Klasyczne pytanie na każdym egzaminie z etyki na studiach prawniczych:

Klient pokazuje ci zakrwawiony nóż i pyta: „Co mam z tym zrobić?”

- Cóż, najpierw chciałbym sam go obejrzeć - odparł. - Proszę mi go zostawić do jutra.

Położyła dziennik na biurku.

- Co teraz? - spytała. Coraz wyraźniej widać było, jak bardzo jest bezbronna.

- Na dziś to wszystko. Niech pani wróci do domu i spróbuje odpocząć.

Proszę tylko, by nie rozmawiała pani z nikim o tym, co się stało. Ja powiadomię prokuraturę, że panią reprezentuję i od tej pory będą mogli się z panią kontaktować tylko za moim pośrednictwem. Spróbuję też wyciągnąć od nich dowody rzeczowe, ale to pewnie będzie musiało poczekać do chwili postawienia pani w stan oskarżenia. - Skinęła głową i wyprostowała się nieco.

- Kto jeszcze wie, jak to się stało, oprócz mnie i pani? - No i prokuratora.

- Nikt. Nie rozmawiałam o tym z panem Prestonem ani z nikim innym. - Spojrzała mi w oczy i powiedziała: - Jest pan jedyny.

Jedyny. I wiedziała to od chwili, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy.

Uznałem, że w tej sytuacji mam do tego prawo, więc także spojrzałem w jej cudowne oczy, myśląc o duszy, której były zwierciadłami. Potem przeprowadziłem w pamięci obliczenia.

Kiedy wyjdzie, może będziemy jeszcze mogli mieć dzieci.

Zadzwoiłem do prokuratury i wsłuchałem się w swój głos, mówiący:

- Tu Frank O'Connell, dzwonię w imieniu Ashley Bronson. - Było to uczucie podobne do tego, jakie się ma, wchodząc na własne wesele, kiedy kapelmistrz woła: „Panie i panowie, proszę powitać po raz pierwszy...” Kazali mi poczekać, więc dla zabicia czasu przypomniałem sobie, jak wchodziliśmy na salę z Moirą. Morze kieliszków szampana rozstąpiło się, ukazując Tatka, zapraszającego nas na honorowe miejsca. Był rozpromieniony, ota czały go największe szczyty w mieście. Przed nami rozciągała się przyszłość:

dom, samochód pełen dzieci, Brennan & O'Connell -jej stary i ja mieliśmy rzucić wszystkich na kolana. Pamiętam, że dziękując za aplauz, myślałem:

Pinokio, teraz jesteś już prawdziwym chłopcem.

W słuchawce rozległ się inny głos.

- Biuro pana Rogavina. - Kyle Rogavin. Ciężka artyleria. Krążył o nim żart, że wsadził do Lewisburga tylu ludzi, iż mieli tam dla siebie cały blok i wydawali własną gazetkę.

- Czy mogę rozmawiać z panem Rogavinem? Mówi Frank O'Connell. Reprezentuję Ashley Bronson.

- Jedną chwileczkę, panie O'Connell. Sprawdzę, czy nie jest zajęty.

- Prokuratorzy, z którymi krzyżowałem miecze w sprawach o narkotyki rzadko odbierali telefony od obrońców z urzędu i prawie nigdy nie oddzwaniali. Jako adwokat Ashley Bronson będę miał sporo kłopotów, ale przynajmniej mogę być pewien, że moje prośby o kontakt nie pozostaną bez odpowiedzi.

- Kyle Rogavin.

- Frank O'Connell. Dzwonię w sprawie Ashley Bronson.

- A co z Prestonem?

- Prestonem?

- Słyszałem, że reprezentuje ją Mark Preston.

- O ile wiem, zajął się tylko wstępnym przesłuchaniem. Teraz to ja jestem jej adwokatem.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Znamy się? - spytał wreszcie.

- Nie sędzę, ale miałem wiele razy do czynienia z pańskim biurem.

- Poważnie? W jakich sprawach?

- Głównie o narkotyki.

- Narkotyki - powtórzył. - Rozumiem. Został pan zaangażowany wstępnie czy na stałe?

- Na stałe. Jeśli pomoże to panu w podjęciu decyzji, czy porozmawiać ze mną czy nie, mogę przefaksować swój życiorys.

Zapadła cisza. Rogavin najwyraźniej zastanawiał się, jak to się stało, że Ashley Bronson trafiła do obrońcy ubogich narkomanów. Kiedy już się tego dowie, będzie mógł i mnie to wyjaśnić.

- Co mogę dla pana zrobić, panie O'Connell?

- Chciałbym się z panem spotkać.

- Porozmawiamy o zawarciu ugody?

- A to dlaczego?

- Niech pomyślę. Może panna Bronson chciałaby uniknąć postawienia w stan oskarżenia? Może myśli, że siedem do dziesięciu lat w więzieniu jest lepsze niż dwadzieścia.

- Może i tak, ale więzienie jest dla winnych.

- Mam całe biurko pełne dowodów, które lokują ją w tej kategorii.

- No to nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że bym rzucił na nie okiem. Wtedy będę mógł jej wszystko wyjaśnić i zobaczymy, co się nam bardziej opłaca. - Sprawiał wrażenie pewnego siebie, ale to nie oznaczało, że mieli ją w garści. Byłem ciekaw, jakie jeszcze zostawiła ślady, o których mi nie powiedziała albo o których nawet nie wiedziała.

Zapadła cisza. Rogavin rozważał moją prośbę. Prokuratorzy nie cierpieli dawać nic za darmo, ale odkrycie części kart było najlepszym sposobem doprowadzenia do ugody. Jego odpowiedź mogła dowieść, jak bardzo mu na

tym zależy, a tym samym, jak przekonujące są dowody przeciwko Ashley Bronson.

- No dobra - powiedział. - Niech pan przyjdzie, to pogadamy.

- Dzięki. Może jutro?

- O wpół do trzeciej. - Odłożył słuchawkę. Nawet się nie pożegnał.

Zastępcy prokuratorów federalnych znani są z tego, że każą adwokatom czekać na siebie, ale pomyślałem sobie, iż mój nowy status zapewni mi lepsze traktowanie, więc przyszedłem punktualnie. Uznałem, że Rogavin przetrzyma mnie jakieś dziesięć, piętna-

ście minut, żeby pokazać, kto tu rządzi. Faktycznie, punktualnie za piętnaście trzecia do recepcji weszła jego sekretarka.

- Pan O'Connell? - spytała. Sięgnąłem po teczkę. - Pan Rogavin jest na spotkaniu - powiedziała. - Przyjdzie, kiedy tylko będzie mógł.

Usiadłem i krew zaczęła się we mnie gotować. O wpół do czwartej wskazówka na moim wewnętrznym kotle przekroczyła punkt krytyczny. Miałem ochotę wyjść, ale wstyd, jaki czułem na myśl, że musiałbym powiedzieć Ashley, iż zostałem splewiony, przygwoździł mnie do krzesła.

Za piętnaście czwarta zostałem wprowadzony do gabinetu Rogavina. Był pusty. Usiadłem na krześle przed biurkiem i rozmyślałem nad tym, jaka może być kara za okaleczenie zastępcy prokuratora federalnego. Gabinet, większy od innych, jakie miałem okazję oglądać, bardziej przypominał komnatę głównego udziałowca, a biurko musiało należeć do samego Rogavina, ponieważ było potężne, mahoniowe, z miejscem na nogi, obwódką ze złotej folii skórzaną wstawką. Biurko typowego prokuratora przypominało wysypisko

śmieci, ale na tym nie było nic oprócz koperty z napisem STANY ZJEDNOCZONE kontra BRONSON. Miała kilkanaście centymetrów grubości. Ja na razie dysponowałem tylko trzystronicową notatką z rozmowy z klientką.

Oskarżenie miało nade mną przewagę.

Za biurkiem stał należący do kompletu mały kredens z awangardowym zegarem i zdjęciem drużyny tenisowej. Po lewej tkwił stół z dokumentami ułożonymi w równe stosy i pięcioszufladowa szafka z zamkiem szyfrowym.

Ściana po prawej była ołtarzem próżności: wisiał na niej nie jeden, a dwa dyplomy z Yale, licencjacki i magisterski, obydwie z wyróżnieniem. Otaczały je specjalne pochwały udzielone Rogavinowi za pracę dla kraju i certyfikaty różnych stowarzyszeń, które zaszczycił swoim członkostwem.

Najbardziej interesującym elementem był zestaw trzech szkiców z sali sądowej przedstawiających gospodarza w działaniu; wyglądało na to, że zostały wykonane przez różnych rysowników na głośnych procesach. Po mojej lewej Rogavin zwracający się do sądu; po prawej przesłuchujący świadka; a na wprost przekonujący ławę przysięgłych. To wszystko miało zrobić na mnie wrażenie i skłonić do przemyślenia faktu, że moim przeciwnikiem jest ważny prokurator, który całą swoją uwagę poświęcił Ashley Bronson.

Za pięć czwarta drzwi się otworzyły i do gabinetu wpłynęła duma floty federalnej, niespiesznie halsująca w stronę biurka. Po drodze MS „Rogavin” zatrzymał się, by wyprostować jeden z certyfikatów i sprawdzić pocztę. Dopiero wtedy spoczął w swoim wy-

sokim skórzanym fotelu i wyciągnął nogi, które sięgały niemal mojej strony biurka. Opuścił wzrok na teczkę, jakby chciał poświęcić jeszcze chwilę snuciu doniosłych rozważań na temat naszej sprawy. Miał około trzydziestu pięciu lat, był wysoki i szczupły, z cofniętym czołem, długim cienkim nosem i czujnymi brązowymi oczami, które oceniały rozmówcę zza cienkich złotych oprawek. Nosił garnitur od Brooks Brothers, kontrastujący z koszulą w paski i muszką w grochy. Jego półbuty, oddalone o centymetry od moich, były wąskie, wypolerowane i drogie. Dopiero co się poznaliśmy, ale jajuż wiedziałem, kim jest: jednym z tych absolwentów prestiżowych uczelni, którzy uważali się za ludzi renesansu, bo umieli naprawić MG i wymienić wszystkich Poetów Jezior. Podniósł oczy i obdarzył mnie pobłażliwym uśmiechem.

- Pan O'Connell, jak przypuszczam? - Ani słowa przeprosin za to, że tak długo musiałem na niego czekać.

Wskazówka na moim wewnętrznym kotle doszła do końca podziałki, uszczelki puszczały i para zaczynała się uwalniać. Spojrzałem w sufit i powoli pokiwałem głową.

- Ach, rozumiem. Umówił się pan z tym O'Connellem na wpół do trzeciej i trudno było oczekiwać od niego, by tak długo na pana czekał. Z drugiej strony, o czwartej nie ma pan żadnego spotkania, a zazwyczaj nikt nie włamuje się do pańskiego gabinetu w godzinach pracy. Czyli przypuszcza pan, że Frank O'Connell to ja. I słusznie.

Uśmiech zniknął. Rogavin wstał i wyjął z akt sprawy Bronson kilka teczek. Przeglądając zawartość pierwszej z nich, powiedział:

- Wysoko pan zaszedł, panie O'Connell.

- Tak, zaczynałem w prokuraturze.

Przeszył mnie wzrokiem mającym zrobić z każdego adwokacyny galarete, aż wreszcie jego irytacja ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

- Był pan prokuratorem?

- Tak. - Podniosłem dłoń. - Ale tylko w prokuraturze okręgowej. Nie to, co pan.

- Naprawdę? - powiedział. Odłożył teczkę, pochylił się i oparł podbródek na dłoni. Patrzył na mnie jak na coś, co znalazł w gaźniku MG. - Gdzie?

- W Nowym Jorku. Dokładnie na Manhattanie.

Z miną pokerzysty wyjął z kieszeni na piersi złoty długopis i zaczął obracać go w palcach.

- A co pan robił w prokuraturze okręgowej na Manhattanie?

- To i owo. - Wzruszyłem ramionami. - Nie prowadziłem zbyt wielu spraw o zabójstwo, może trzydzieści, góra trzydzieści pięć. Dostawałem je regularnie, ale zostałem przeniesiony do wydziału specjalnego, który zajmował się głównie wymuszeniami i

przestępcami w białych kołnierzykach. Trafiło nam się parę głośnych spraw. Ale zanudzam pana. Wiem, że to błędnie w porównaniu z tym wszystkim. - Wskazałem tabliczki na ścianie.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się. - Cóż, to robi wrażenie. - Odchylił się na oparcie fotela i oparł nogi o kant biurka. - Czyli panna Bronson wynajęła sobie doświadczonego prawnika procesowego. To dobrze. Lubię rywalizację. A pan, panie O'Connell?

- Ja? Gdzie tam. Dostaję od tego rozstroju żołądka. Ja wolę mieć pewność. Lubię sprawy, w których jestem górą. - Moje oczy powędrowały ku szkicowi wiszącemu nad jego głową. - Ładny obrazek. To pan? - Posunąłem się bardzo daleko, nawet jak na moje niskie standardy, ale facet musiał się nauczyć, że nie drażni się ludzi, których życie sypie się w gruzy.

Rogavin też uznał, że przegiąłem. Stał się szorstki.

- Zacznę od tego, że jej odciski palców były na narzędziu zbrodni.

- Serio? Tylko jej?

- Właściwie nie. Znalezione też inne.

- Czyje?

- Dowie się pan w swoim czasie. W każdym razie żadna z tych osób nie jest podejrzana. To znajomi, którym zamordowany pokazywał broń. Każdy ma niezbite alibi.

- Z tego, co wiem, panna Bronson też dobrze знаła Garveya. Może i jej pokazywał broń.

- Może i tak, ale to tylko część całej historii. Najważniejsze są motyw, środki i okazja, prawda? Pańska klientka miała klucz do domu ofiary.

- Czy był to jedyny klucz oprócz tego, który miał Garvey? - Znałem odpowiedź na to pytanie i zakładałem, że on też ją zna.

- Nie - przyznał - klucz ma służba, a oprócz tego sąsiad mieszkający tam od dwudziestu dwóch lat. Ale oni wszyscy mają alibi.

- Coś jeszcze? - Jak dotąd, jego dowody nie zrobiły na mnie wrażenia.

Nie przekonałyby nikogo.

- Pańska klientka pokłóciła się ze zmarłym na krótko przed zabójstwem. Dość głośno krzyczeli. Usłyszano ich.

- O co poszło?

- Groziła, że zabije go, jeśli nadal będzie przychodził.

- Do niej?

- Niewykluczone.

- Kto ich słyszał?

- Cóż, i tak pan się tego domyśli, więc powiem od razu: Wardowie -gospoia pana Garveya i jej mąż, złota rączka. Niech pan spyta klientkę. Na pewno to pamięta.

- Czy ta kłótnia wydarzyła się w przededniu jego śmierci?

Potrząsnął głową.

- Krótko przed nią.

- Czyli pannę Bronson poniosły nerwy. To jeszcze nie motyw zabójstwa.

- Cóż, to jeden z dowodów. Szukamy innych. - Zerknął na zegarek. -Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że policja właśnie robi rewizję w domu pańskiej klientki. - Wyłowił z teczki jakiś dokument i pchnął go przez biurko.

Był to nakaz rewizji.

Nie wziąłem go.

- Później przeczytam. Czego szukają?

- Dowodów świadczących o charakterze stosunków Henry'ego Bronsona z Raymondem Garveyem.

Udałem zdziwionego.

- A co to ma wspólnego ze sprawą?

Postukał palcem w dokument.

- Wszystko jest w uzasadnieniu nakazu. Pan Garvey był częstym gościem w domu Bronsonów. Spotykał się z ciężko chorym ojcem pańskiej klientki, która kazała panu Garveyowi zostawić go w spokoju i groziła śmiercią. Potem nieszczęsny pan Bronson zmarł, a pan Garvey rzeczywiście został zamordowany. Cóż, jak pan widzi, jest w tym pewna logika.

- Trochę to naciągane. Czy to wszystko?

Rogavin skrzywił się.

- Pomyślmy - mruknął - czy to aby wszystko? - Popatrzył w sufit i zaczął odliczać na palcach kolejne punkty. - Mmmm. Motyw... środki... okazja... ach, oczywiście! - Strzelił palcami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. Wygląda na to, że nasza sytuacja poprawiła się nieco od chwili aresztowania pańskiej klientki. Możemy dowieść, że była w pobliżu miejsca zbrodni w czasie, kiedy ją popełniono.

Starąłem się, by mój głos brzmiał spokojnie.

- Rozumiem. Kim jest świadek?

- No wie pan! - Uśmiechnął się złośliwie. - Chciał pan tylko rzucić okiem na dowody, prawda? Dowie się pan tego we właściwym czasie.

- Czy w ogóle jest coś, co może mi pan o nim powiedzieć?

Potrząsnął głową.

- Myślę, że i tak byłem już dość rozmowny, zważywszy na to, jaka jest sytuacja. Powiem tylko, że widziałem się ze świadkiem i wydał mi się bardzo przekonujący. Nie ma wątpliwości, rozpoznał ją. - Nie wspomniał nawet, jakiej ten ktoś jest płci, choć próbowałem to z niego wyciągnąć. Moja klientka będzie musiała dokładnie sobie przypomnieć swoją drogę powrotną z miejsca zbrodni.

Spróbowałem usunąć jeszcze jedną cegłę z wyłomu, jaki zrobiłem.

- Czy może mi pan chociaż powiedzieć, gdzie był świadek w chwili, kiedy zobaczył moją klientkę, a gdzie była ona?

- Nie.

- Prędzej czy później będzie pan to musiał ujawnić.

- Mówi się trudno.

- Jest jeszcze coś, co może mi pan teraz powiedzieć?

- To wszystko. - Rogavin zamknął teczkę i wsunął ją razem z pozostałymi do aktówki. Odchylił się na oparcie i zaczął stukać długopisem w dłoń. - Oto, co proponuję. Panna Bronson przyzna się do zabójstwa drugiego stopnia, bez premedytacji. Ja będę milczał na ogłoszeniu wyroku, a pan może prosić o niski wymiar kary. Przy dobrym zachowaniu powinna wyjść za niecałe dziesięć lat.

Teraz to ja potrząsnąłem głową.

- Nie ma pan żadnych dowodów. Znała zmarłego i była w jego domu setki razy. Powiedzmy, że pokazał jej pistolet: „Zobacz, co kupiłem, moja droga, to dla ochrony”. Podaje go jej i stąd biorą się odciski palców. Zostaje więc kłótnia i pański świadek. Kłótnia wydarzyła się tego samego dnia, więc moja klientka zdążyła ochłonać. Każdy czasem mówi takie rzeczy i niko go potem nie zabija. Co się tyczy świadka, nawet nie znając szczegółów, jestem pewien, że nie mógł jej widzieć wyraźnie, ponieważ zabójstwo zostało popełnione w ciemną burzową noc. Poza tym nie jest wiarygodny, bo moja klientka nikogo nie zabiła. Zabójstwo drugiego stopnia? Przy tych dowodach nie wchodziłoby w grę nawet nieumyślne zabójstwo. Gdyby moja klientka chciała uniknąć procesu, musiałby pan skusić nas o wiele lepszą ofertą.

Rogavin zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał.

- Niech mi pan powie: jak to się stało, że z elitarnego wydziału prokuratury okręgowej na Manhattanie trafił pan do swojej obecnej praktyki?

Wstałem.

- Cóż, chętnie pogawędziłbym, ale jestem umówiony, a staram się być punktualny. A propos, gdybyśmy mieli się znowu spotkać, prosiłbym, żeby przyszedł pan na czas.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Dla byłego łowcy bandytów zrobiłbym wszystko. - Podeszedłem do drzwi. - Jeszcze jedno - zawołał.
- Słucham?
- Ofertajest aktualna do czasu postawienia pańskiej klientki w stan oskarżenia. Po-tem będzie zdana tylko na siebie.

4

Przed wyjściem z pracy zadzwoniłem do klientki. Odebrała gosposia, która poprosi-ła, żebym zaczekał, aż znajdzie „pannę Ashley”. Przeglądając notatki, zastanawiałem się, jak długo trzeba by mnie szukać w moim mieszkaniu, w którym mogłem oddalić się od telefonu o całe pięć metrów. Po chwili usłyszałem jej głos.

- Cześć, Frank.

- Cześć, Ashley. Właśnie wróciłem ze spotkania z niejakim Kyle'em Rogavinem z prokuratury. Powiedział mi, że znów przeszukali twój dom.

- Byli tu przez całą godzinę, ale zabrali tylko kilka zdjęć i zaproszeń.

Zostawili listę wszystkiego, co wzięli.

- Przejrzę ją później. Muszę się z tobą zobaczyć, zanim spotkam się z detektywem. Umówiłem się z nim na jutro, na jedenastą. Jesteś rano wolna?

- Mam lepszy pomysł. Właśnie robię kolację. Jeśli nie masz żadnych planów, mo-żesz wpaść i porozmawiamy.

Zostałem zaproszony na wpół do ósmej. Przez dwadzieścia minut pisałem notatkę ze spotkania z Rogavinem, trzymając się najważniejszych faktów i pomijając wątki uboczne, nawet te najciekawsze. Resztę czasu poświęciłem pracy nad listą spraw do zała-twienia, którą podzieliłem na rubryki „weryfikacja faktów”, czym zajmie się detektyw, oraz „zbieranie materiałów i przygotowywanie pism”, za co odpowiedzialny będzie mój pomocnik.

Mnie pozostanie tylko wyciąganie błyskotliwych wniosków. O siódmej dwadzieścia pojechałem z Dupont Circle do Georgetown. Dom Bronsonów stał przy N Street, naj-modniejszej ulicy w mieście, i bynajmniej nie psuł wyglądu dzielnicy. Była to dwupię-trowa rezydencja z cegły z sięgającym piętra gankiem, zwróconym w stronę ogrodu. Działka miała jakieś pół hektara, może nawet więcej; garaż stał oddzielnie, co w George-

town było rzadkością. Zaparkowałem wóz i kiedy zacząłem wbiegać po schodach, drzwi otworzyły się i przede mną stanęła Pani Dziedziczka we własnej osobie, bosa, z drewnianą łyżką w tej samej dłoni, w której nie tak dawno trzymała pistolet. Miała na sobie ciemne spodnie, białą bluzkę z podwiniętymi do łokci rękawami i nie była umalowana. Wyglądała olśniewająco.

- Aż tak cię zaszokowałam? - Zaśmiała się. - Tak, o dziwo, gotuję sama. Tobie pozostawię ocenę moich umiejętności.

- Nie o to chodzi - wymamrotałem, ale udała, że nie słyszy. Pewnie była przyzwyczajona do widoku facetów stojących pod jej drzwiami i gapiących się na nią. Jednak do tychczas, żaden z nich nie był adwokatem, w którego ręce złożyła swój los. Pomyślałem, że należy mi się kopniak w tyłek, i postanowiłem poprawić się na przyszłość. Zaprowadziła mnie do kuchni, która była w sam raz jak na dom tej wielkości; innymi słowy, zmieściłoby się w niej pół boiska do gry w kosza. Wszystko było wielkości przemysłowej - dwa piekarniki, kuchenka Vulcan, ustawione obok siebie lodówka Sub-Zero i zamrażarka wysoka na jakieś dwa metry oraz trzy ziewy. Z tworzących krąg haków zwisały miedziane garnki. Część kuchni przeznaczona na przygotowywanie posiłków ograniczona była z jednej strony przez blat i stołki zajmujące połowę jego szerokości. Naprzeciwko stał wiejski sosnowy stół, do którego dostawiono osiem krzeseł, pewnie dla służby i tych, którzy po-czują głód w środku nocy. Gospodyni powiedziała mi, żebym usiadł na stołku i nalał sobie wina, które stało na blacie w kubelku z lodem.

- Dzięki - powiedziałem. - Tobie też nalać?

- Na razie nie. - Była zajęta, właśnie tłukła z zapalem kawałek wołowiny.

Na palnikach stał duży garnek z gotującą się wodą i dwie patelnie. - Na kolację będzie wołowa piccata z makaronem i szparagami. Mam nadzieję, że nie jadłeś nic takiego wczoraj wieczorem.

- Nie, chyba że sprzedają to w torebkach.

- Myślałam, że jesteś jednym z tych kawalerów, którzy potrafią gotować.

- Kiedyś dużo gotowałem. Nawet byłem w tym dobry.

- Czemu przestałeś?

- Rozwiodłem się. Mieszkam sam i brakuje mi motywacji.

Uśmiechnęła się.

- Ja mam kucharkę, więc gotuję tylko wtedy, kiedy chcę. Tak jest o wiele przyjemniej. - Kiedy uwijała się przy kuchni z lekko wysuniętym językiem, nie wyglądała na morderczynię. Pytam was, panie i panowie, czy morderca mógłby zrobić taką wołową piccatą?

- Może to pytanie wyda ci się dziwne - powiedziałem - ale nie zadałem go, kiedy byłaś w moim gabinecie. Czym się zajmujesz?

- To znaczy, jaki mam zawód?

- Tak. To może być ważne.

- W gazetach piszą, że chodzę na przyjęcia i romansuję.

- Niezła fucha.

- Przynajmniej daje mi stałe zajęcie - odparła ze śmiechem. - A w wolnym czasie maluję. Miałam kilka wystaw tu i w Nowym Jorku. - Oderwała się na chwilę od ciężkiej pracy, podniosła głowę i dodała: - Niektórzy z nabywców nie są nawet moimi przyjaciółmi.

- Chciałbym obejrzeć kiedyś twoje prace. - Nie byłem uprzejmy, tylko oczarowany. Chciałem wiedzieć o niej wszystko.

- Chętnie ci je pokażę. - Zaczęła podsmażać wołowinę. - A w przerwach między malowaniem, balowaniem, romansowaniem i gotowaniem - ukłoniła się lekko - jestem naczelną małego miesięcznika poświęconego

sztuce. Czyli w sumie jakoś udaje mi się unikać kłopotów. - Nie podnosząc głowy, dodała: - Ale teraz już nie mogę tak mówić, prawda? - Podała mi butelkę wina i poprosiła, żebym nalał jej lampkę. Zrobiłem to i przeszedłem z kieliszkiem na drugą stronę blatu. - Teraz twoja kolej, żeby było sprawiedliwie - powiedziała. - Nic o tobie nie wiem.

- Byłaś pewna, że chcesz, żebym cię bronił.

- Kierowałam się instynktem. - Wypiła łyk wina. - Opowiedz mi o sobie, żebym mogła przekonać się, czy dokonałam słusznego wyboru.

O czym mieliśmy rozmawiać? O moim życiu osobistym? Karierze?

- Nie mówmy dziś o mnie - powiedziałem. - Zachowajmy to na inną okazję.

- Narzucam się. - Zmarszczyła brwi. - Proszę cię o pomoc, a potem przesłuchuję cię jak kandydata ubiegającego się o pracę. Przepraszam, Frank, to było nieuprzejme.

- Nie przepraszaj - powiedziałem pospiesznie, usiłując podtrzymać nastrój. - Na twoim miejscu też chciałbym wiedzieć o mnie jak najwięcej.

- Serio?

- No pewnie. - Uśmiechnąłem się do niej. Byłem na ziemi niczyjej i nadrabiałem miną. - Co chcesz wiedzieć?

- No cóż, zacznij od spraw zawodowych, a potem zobaczymy.

- Przez prawie dziesięć lat byłem zastępcą prokuratora okręgowego w Nowym Jorku. Zacząłem od wykroczeń i drobnych przestępstw, jakwłamania czy kradzieże samochodów, a potem przeszedłem do poważniejszych spraw.

- Jak zabójstwa? - spytała.
- Na przykład.
- Oskarżałeś wielu morderców?
- Tak.
- I większość z nich została skazana?

- Wszyscy.
- Wszyscy... dobry byłeś.
- Tak.

- A prokurator, który zajmuje się moją sprawą, ten Kyle Rogavin?
- Jest bardzo dobry.

- Bardzo dobry - powtórzyła cicho, wpatrzona w kuchenkę. Jej wzrok padł na wołowinę. Przewróciła ją na drugą stronę. - A co było po mordercach?

- Przenieśli mnie do wydziału specjalnego. Zajmowałem się przestępstwami gospodarczymi: machlojkami na giełdzie, fałszowaniem przetargów, korupcją urzędników. Wygrałem kilka głośnych spraw i zostałem mianowany szefem wydziału na krótko przed przeniesieniem się tutaj.

- Co ściągnęło cię do Waszyngtonu?

- Ożeniłem się i zatrudniłem w kancelarii prawniczej teścia. Pracowałem tam przez kilka lat.

- A potem odszedłeś.
- Rozwiodłem się. - Odwrócenie kolejności wydarzeń zawsze pomagało.
- Ale nadal zajmujesz się głośnymi sprawami?
- Tylko twoją.

Przez chwilę siedzieliśmy w niezręcznej ciszy, sącząc wino.

- No to przejdźmy do ciekawszych rzeczy - powiedziała. - Pochodzisz z Nowego Jorku?

- Z Bronksu.

- Opowiedz mi o swoim domu.

- Mieszkałem w blokach, najpierw z krewnymi, potem z rodzinami zastępczymi.

- Straciłeś rodziców?

- Nie.

- Mamy pominąć dzieciństwo?

- Dobra.

- Zaczynij od szkoły średniej.

- W wieku szesnastu lat przerwałem naukę i zaciągnąłem się do wojska.

- Nie podobało ci się w szkole? - Znów przewróciła wołowinę i włożyła szparagi do sitka umieszczonego nad wrzącą wodą.

- Trwała wojna w Wietnamie. Chciałem zobaczyć, o co w niej chodzi.

- Ja wtedy jeszcze chodziłam do podstawówki - powiedziała - więc nie znałam nikogo, kto walczył w Wietnamie, oprócz syna naszego ogrodnika.

Po powrocie mówił, że było okropnie, że wszyscy mieli dosyć tej wojny. - Zerknęła na mnie. - Ty też?

- Nie.

Uniosła brew.

- Podobało ci się tam?

Wzruszyłem ramionami.

Była wyraźnie zaintrygowana, prowadzone przez nią przesłuchanie zaczynało dawać efekt. Podeszła do blatu tak blisko, że nie wiedziałem, jak uniknąć spojrzenia jej niesamowitych oczu.

- Co ci się tam podobało? Naprawdę jestem ciekawa.

Przed dwoma laty Noah zadał mi dokładnie to samo pytanie. Nie potrafiłem na nie odpowiedzieć, więc w końcu ukuł teorię, którą przedstawił w zeszłym tygodniu. Wtedy nie wiedziałem, czy miał rację, ale teraz, stojąc twarzą w twarz z tą niezwykłą kobietą, w przededniu kolejnej wojny, nabrałem co do tego pewności. Dlatego powiedziałem jej:

- Rywalizacja.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie, po czym dopiła wino i podeszła do kuchenki. Nie miała więcej pytań; być może już dowiedziała się tego, co chciała.

Co do mnie, nie wytrzymałem długo w swoim postanowieniu; wodząc za nią wzrokiem, zastanawiałem się, jak wyglądałoby życie z Ashley Bronson.

Po kilku minutach kolacja była gotowa. Siedzieliśmy obok siebie, ja jadłem, a ona mówiła - obydwójce czuliśmy potrzebę wypełnienia pustki. Opowiadała mi o malowaniu i o swoim miesięczniku, wreszcie przeszła do lat dzieciństwa; wspomnianie go sprawiało jej wyraźną przyjemność. Miała podobną przeszłość jak Moira, obfitującą w te wszystkie przeżycia, które mogli zapewnić bogaci i pobłażliwi rodzice. Za to ich ojcowie bardzo się od siebie różnili. Mój były teść miał pewnie wiele wspólnego z Bronsonem, od którego wszystko się zaczęło: zaradnym imigrantem, który dzięki rozsądkowi i odwadze zrobił

fortunę. Za to Henry Bronson, nieobciążony koniecznością zarabiania na życie, odnalazł swój świat w książkach. Mimo to Ashley bardzo go kochała, tak jak Moira kochała Tatka - a nawet bardziej, jeśli uznać zabójstwo Garveya za punkt odniesienia - i była wy-

rażnie przygaszona, kiedy opisywała jego ostatnie lata, spędzone za biurkiem w bibliotece.

Kiedy siedzieliśmy razem w kuchni, rozmawiając o czymś mniej stresującym niż proces czy moje problemy, spłynęło na mnie zadowolenie, jakiego nie czułem od lat. Jej głos był kojący, bardziej głęboki niż się spodziewałem, z dykcją, jaką daje dobre wykształcenie i dziedziczny intelekt, a mimo to pełen ciepła. Taka była: łączyła w sobie wdzięk i kompetencję, pokazywała, że jest w stanie sama się sobą zająć - i tobą też, jeśli na to zasłużysz.

Sprzątając ze stołu, pomyślałem o zwrotach, jakie następowały w moim życiu - właściwie nie tyle zwrotach, co gwałtownych zmianach kursu, od euforii do rozpacz. Prawdabyła taka, że Moira Brennan O'Connell wciąż stanowiła ważną część mojego życia, ale u jej boku pojawił się inny mężczyzna. Co czułem, kiedy stali razem w drzwiach? Co poczułaby, widząc mnie w tej chwili?

- Jaką pijesz kawę? - spytała, podając mi dzbanek.

- Czarną. -Nadszedł czas, by przejść do ważniejszych spraw. Przymierzałem się do tego, podczas gdy ona nalewała kawę. - Ashley, Rogavin twierdzi, że ma świadka, który widział cię w pobliżu domu Garveya.

Odstawiła dzbanek i głośno wypuściła powietrze.

- Czyli to koniec - powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do mnie.

- Nie, nie, to dopiero początek. Przypomnij sobie jeszcze raz, jak wracałaś tamtego wieczoru do domu. Może po drodze minęłaś kogoś, kto szedł z naprzeciwka albo wysiadał z samochodu.

Zamknęła na chwilę oczy, odtwarzając w pamięci tamten wieczór.

- Nic - powiedziała wreszcie. -Nikogo sobie nie przypominam.

- O której to się stało? - To brzmiało lepiej niż „O której go zabiłaś?”

- Zdaje się, że między dziesiątą piętnaście a dziesiątą trzydzieści. Wiem, że wyszłam stąd około dziesiątej i wróciłam o wpół do jedenastej.

- Jest już prawie dziesiąta. Masz ochotę na spacer?

- Dokąd?

- Do domu Garveya i z powrotem. Zobaczymy, kto szwenda się po okolicy o tej porze. Może coś ci się przypomni albo natrafimy na jakiś trop.

Zresztą, tak czy inaczej muszę poznać trasę, którą szłaś.

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Powrót na miejsce zbrodni... To właśnie robią mordercy, prawda?

- Nie prosiłbym o to, gdyby to nie było ważne.

- Wiem. - Dopiliśmy kawę i poszedłem po płaszcz. Po chwili Ashley dołączyła do mnie, ubrana w przewiązaną pasem czarną kurtkę i wełniany beret. Biały kaszmirowy szal zasłaniał jej twarz, oprócz nosa i niesamowitych oczu; to tylko potęgowało efekt.

- Zachowujmy się jakby nigdy nic - powiedziałem, kiedy wyszliśmy na chodnik. - Jak dwoje ludzi na wieczornym spacerze. - Wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy na wschód N Street, w kierunku Trzydziestej. Dom Garveya znajdował się sześć przecznic dalej, świadkiem mógł być każdy, kto tu mieszkał albo tędy przechodził. Uznałem, że Ashley pewnie przestraszyłaby się kogoś idącego z przeciwka, więc człowiek, który ją zobaczył, musiał stać w miejscu. Budynki przy N Street były w sporej odległości od ulicy, więc mało prawdopodobne, by świadek zauważył ją z któregoś z nich; za to szeregowy domki po przeciwnej stronie stały przy samym chodniku, a w kilkupały się światła. Możliwe, że tamtego wieczoru w każdym z nich paliła się lampa, zasłony były odsunięte, ale ludzie są niewolnikami swoich nawyków, a w naszym eksperymencie najbardziej liczyły się zasady rachunku prawdopodobieństwa.

Idąc, rejestrowałem swoje spostrzeżenia za pomocą małego dyktafonu, zwracając uwagę na źródła światła, które mogły ukazać twarz Ashley świadkowi Rogavina. Było ich wiele. Łącznie z latarniami, doliczyłem się dwudziestu dwóch miejsc, w których mogła zostać zauważona i rozpoznana. A patrząc na Ashley w chwili, kiedy mijał nas samochód, doszedłem do wniosku, że świadkiem mógł być nawet jakiś przypadkowy kierowca, choć

to akurat wydawało się mało prawdopodobne.

Kiedy znaleźliśmy się po południowej stronie Q Street, poczułem, że Ashley drży. Dom Garveya stał w szeregu wiktoriańskich rezydencji po północnej stronie; według mojej towarzyski, była to willa we włoskim stylu, piętrowa, z „francuskim strychem”, połączona z drugą, identyczną. Nie chciałem zwracać uwagi sąsiadów, więc zostaliśmy po drugiej stronie ulicy, podchodząc na tyle blisko domu, by można było zobaczyć jego fronton i zachodnią ścianę.

- Tędy weszłam - powiedziała, wskazując drzwi balkonowe wychodzące na ogród.

- I wyszłaś? - Skinęła głową. - A do domu wróciłaś tą samą trasą?

- Tak. Chodźmy już. Proszę.

W chwilę później szliśmy już z powrotem, niczym spacerujący w milczeniu kochankowie. Ona była zatopiona w myślach, ja też się rozmarzyłem i udawałem przed sobą, że nie udajemy. Przecznicę od jej domu wyrwałem się z zadumy, by poruszyć drażliwy temat.

- Mam ci coś jeszcze do powiedzenia - powiedziałem. - Zaproponowano nam ugody.

Zatrzymała się.

- Jaka?

- Przyznasz się do zabójstwa drugiego stopnia, co znaczy, że nie działałaś z premedytacją. Oskarżyciel będzie milczał przed ogłoszeniem wyroku, a my poprosimy o niski wymiar kary. Możesz dostać mniej niż dziesięć lat.

- A jeśli odmówię?

- To czeka nas proces.

- Proces. - Zamyśliła się na chwilę. - A jeśli zostanę uznana za winną?

- Możesz dostać dwadzieścia lat. Rogavin mówi, że propozycja jest aktualna tylko do czasu postawienia cię w stan oskarżenia. Może to blef, ale nie jestem pewien.

Ashley znów zaczęła iść. Ruszyłem za nią, obserwując ją kątem oka. Po chwili wzięła mnie pod ramię i nachyliła się w moją stronę.

- To co zrobimy? - spytała.

- Z negocjowaniem ugody jest trochę tak, jak z grą w pokera. Czasem trzeba podjąć decyzję, nie widząc kart przeciwnika. Oni mają odciski palców, my możemy ich skontrolować. Twierdzą też, że Wardowie słyszeli twoją kłótnię z Garveyem na krótko przed jego śmiercią. Co ty na to?

- To prawda. To było ostrzeżenie, o którym ci mówiłam. Kazałam mu zostawić nas w spokoju, bo tego pożałuje.

- I co powiedział?

- Że to nie mój interes. Właściwie nic więcej.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że tego pożałuje?

- Sama nie wiem. W takich chwilach mówi się różne rzeczy, prawda?

- Może i tak. Kłótnia i odciski palców to nie są dowody, które można zlekceważyć, ale nie wystarczą do skazania.

- Jest jeszcze ten świadek - przypomniała.

- Jest jeszcze ten świadek - powtórzyłem. - Było ciemno - szerokim gestem wskazałem okolicę. - Oświetlenie wydaje się dość kiepskie, ale nie wiemy, jak daleko stał, czy jest spostrzegawczy, a nawet, czy cię znał lub znała.

Doszliśmy do drzwi jej domu.

- Myślisz, że może to być ktoś znajomy? - spytała.

- Niewykluczone. Znasz kogoś, kto mieszka przy trasie, którą właśnie przeszliśmy?

- Większość sąsiadów.

- A ludzi, którzy mieszkają w pobliżu domu Garveya?

- Nie sądzę, ale wiele osób mnie rozpoznaje.

Ciekawe, dlaczego.

- Ashley, decyzja należy do ciebie. Moim zadaniem jest przedstawić ci wszystkie opcje i udzielić rady. Jeśli zawrzemy ugodę z prokuratorem, pójdziesz do więzienia góra na dziesięć lat i tyle będziesz siedzieć. Jeśli zdecydujemy się na proces, masz szansę zostać na wolności, ale ryzyko jest większe.

- Czyli właściwie nie ma wyboru.

- Żyjemy w społeczeństwie rządzącym się określonymi zasadami. Ty złamałaś jedną z nich, i to ważną.

- Czyli moje miejsce jest w więzieniu.

- Nie.

Uśmiechnęła się.

- Dostałam dyspensę, tak? Czy kolacja była aż tak dobra?

- To nie dyspensa.

- A co takiego, Frank? - Jej oczy lśniły. Nieraz już stała w tych drzwiach i patrzyła na facetów, którym nagle zabrakło języka w gębie.

- Ashley, nigdy jeszcze nie musiałaś stawić czoła potwornościom, do jakich zdolni są ludzie, przynajmniej nie bezpośrednio. Ja widziałem je na własne oczy, nie tylko w dżungli. Oskarżałem i broniłem psycholi i różnych drani, których miejsce jest tam, gdzie nie będą mogli nikomu więcej zrobić krzywdy. Teraz trafiłaś ty. Miałaś lekkie życie, ale nie robiłaś nic złego, poza tym, że wniosłaś trochę piękna w ten świat. Straciłaś ojca i dokonałaś zemsty, nawet to rozumiem. Cóż, przykro mi, ale świat nie stanie się bezpieczniejszy, kiedy trafisz za kratki. A jeśli czujesz wyrzuty sumienia na myśl o umknieniu

kary, to pozbądź się ich, bo swoje i tak wycierpisz. Będziesz musiała z tym żyć. To też rozumiem. Ja do tej pory próbuję pogodzić się z pewnymi rzeczami, które zrobiłem, mimo upływu lat i pomocy specjalistów to mi się nie udaje. Gdybym teraz nie spacerował z tobą, to włączyłbym się sam po mieście, aż poczułbym się na tyle zmęczony, by zasnąć na stojąco. Wyrzuciłem to wszystko z siebie jednym tchem, bez namysłu - Chciałaś wiedzieć, jaki jestem - wybąkałem. - Teraz już wiesz.

- Teraz wiem - odparła cicho. - Powiedz, co mam zrobić

- Nie chcę, żebyś przyznała się do winy.

- Więc tego nie zrobię. - Otworzyła drzwi i odwróciła się do mnie. Teraz pójdziesz na spacer?

- Nie, dzisiaj nie będzie mi to potrzebne. Skinęła głową i położyła dłoń na moim policzku.

- Mnie też.

Nie wiem, czy sprawił to fakt, że jeszcze nie ochłonąłem po moim wyznaniu, czy wypite wino, ale pomyślałem sobie, że gdybym wziął ją w ramiona, to trzymając się mocno, zapomnielibyśmy o wszystkim, o całym tym bajzlu, jakiego narobiliśmy w swoim życiu, i moglibyśmy spokojniej patrzeć w przyszłość. Gdyby to było takie proste. Prędeż wielbłąd przejdzie przez ucho igielne.

Właściwie nie pamiętam, jak dotarłem do domu. Miałem w oczach Ashley: siedzącą w moim gabinecie, trzymającą mnie pod ramię robiącą mi kolację. Patrząca na mnie przez stalowe kraty.

„Lubi pan rywalizację, panie O’Connell?”

Pieprz się, Rogavin. Ty i te twoje sztuczki. Nie dostaniesz jej.

Jest moja.

5

Valter Feinberg, emerytowany detektyw, został przydzielony do wydziału V specjalnego nowojorskiej prokuratury, kiedy tam pracowałem i byłem jeszcze kawalerem, często zabierał mnie więc do barów odwiedzanych przez pohcjantów, by przedstawić mi swoich kumpli i fanki policji

- Załatwię ci panienkę - powiedział - a ty będziesz mnie krył, gdybym w coś wdepnął. - Po śmierci żony przeprowadził się z Queens do Falls Church, by być blisko córki i wnuków. Nie czuł się z tym najlepiej.

- W poniedziałek przed Paschą dzwoni do mnie - tłumaczył - i mówi „Masz jakieś plany, tato?” Jasne, i to jakie. W Hot Shoppes jest promocyjny seder, jedyne czternaście dziewięćdziesiąt pięć plus picie. Siedzę tam trzy miesiące, nikogo nie znam i mieszkam w czymś, co nazywa się „skrzyżowanie Baileya”, do cholery. Czyja mogę mieć jakieś plany? W dodatku wiem, że musiała wyklócić się z tym volvo-fiutem, za którego wyszła, o zgodę na to, żebyśmy usiadł przy stole z jego volvo-fiuciastymi kolesiami.

Walter czule nazywał wszystkich liberałów volvo-fiutami.

- No i - mówił dalej - jest Pascha, nie? Kładę uszy po sobie i idę do niej, trzymam gębę na kłódkę i jem kolację. Za każdym razem, kiedy podnoszę głowę, widzę, że volvo-fiut gapi się na mnie, jakbym nasrał do wazy z ponczem. - Nie minęły trzy miesiące, a Walter miał już licencję prywatnego detektywa.

Spytałem go, jak zamierza poradzić sobie w Waszyngtonie, skoro nie zna tego miasta.

- Żeby być detektywem, nie trzeba znać miasta - wyjaśnił. - Tak jest tylko w durnych serialach. Chodzi o to, żeby znać ludzi, a ci wszędzie są tacy sami. W nowojorskiej policji zrobiłem z tego doktorat. Wystarczy mi to i mapa.

Mówił prawdę. Jego zmięta twarz była magnesem przyciągającym zaufanie innych, kiedy słuchał, kiwając głową, okazując współczucie, powstrzymując się od wydawania osądów. Zawsze szanował rozmówcę, nawet jeśli ten był volvo-fiutem. Co więcej, miał szósty zmysł, zrodzony z obserwacji, intelektu i dwudziestopięcioletniego doświadczenia. Jeśli Walter Feinberg mówił, że ktoś lub coś nie jest tym, czym się wydaje, to tak było. Kiedy obaj pracowaliśmy w Nowym Jorku, prokuratorzy i inni policjanci prosili go, by

był obecny na przesłuchaniach, nawet jeśli nic nie wiedział o danej sprawie.

- Walter - mówili - posłuchaj i powiedz, czy ten gość coś kręci.

Rogavin wcześniej wystartował do biegu, ale ja miałem Waltera Feinberga.

- Jest taka ładna, jak na zdjęciach? - Kapłan prawdy. Zjawa w poliestrowych spodniach, kraciastej marynarce i źle dopasowanym krawacie patrzyła na mnie złośliwie z drugiej strony biurka.

- Ładniejsza. Bez porównania.

- O rany - mruknął, pocierając szczękę. - No to czemu przyszła do ciebie?

- Tobie też muszę się tłumaczyć? - Zaczynało mnie to irytować.

Uniósł dłonie.

- Hej, nie zrozum mnie źle, jestem taki zadowolony, że zaraz się zesram. Nie dawałeś mi zarobić od czasu, kiedy odszedłeś od starego, ale sam rozumiesz, w tych okolicach gwiazdą to ty nie jesteś.

Udałem obrażonego.

- Zaraz, zaraz, przecież podsylałem ci różne fuchy. A sąd za każdym razem zatwierdzał wynagrodzenie.

- Jasne. Jeszcze kilka spraw za takie gówniane stawki i byłbym taki spłukany jak ty.

- Kiwnął na mnie palcem. - No, gadaj.

Położyłem nogi na biurku.

- Zobaczyła mnie na dołku i... sam wiesz, jak działałam na kobiety.

- Taa. - Pociągnął nosem. - Dzień w dzień czytam o twoim życiu towarzyskim w „Washingtonian”. - Zaczął skubać kant spodni. - Czyli... sprzątnęła tego gościa, zgadza się?

- Tak sądzi oskarżenie.

Przez chwilę dłubał w zębach wykałaczką.

- Tak... sądzi... oskarżenie - powtórzył, patrząc na mnie. - A co my sądzymy? - Wiedział, co w trawie piszczy. Pewnie już domyślił się, że zjadłem z nią kolację. Gdybym go przycisnął, powiedziałaby „Jakaś potrawę z wołowiny”.

- Wczoraj miałem spotkanie z prokuratorem.

- Którym?

- Kyle'em Rogavinem.

Potrząsnął głową.

- To niedobrze. Dla tego faceta miejscowi adwokaci to przekąska.

- A ja będę siekaną wątróbką?

- Nie, jeśli dobrze to rozegrasz. - Pochylił się, by strzepnąć z buta wyimaginowany pyłek. - Słuchaj, nie posuwasz jej, co? Znaczy się, to nie mój interes, ale to poważna sprawa, sam rozumiesz...

- Nie i nie zamierzam, dziękuję. Możemy przejść do rzeczy, czy masz do mnie jeszcze jakieś pytania?

- Proszę cię bardzo.

- Rogavin mówi, że ma świadka, który widział klientkę w pobliżu domu Garveya.

- Co to, do cholery, znaczy „w pobliżu”?

- Nie wiem, ale im dalej, tym lepiej.

- No i?

- No i chcę, żebyś dokładnie sprawdził trasę od jej domu do domu Garveya i spróbował znaleźć tego kogoś. Tu masz mapę. - Dałem mu szczegółowy plan Georgetown z zaznaczonymi kółkiem domami Bronson i Garveya.

Przyjrzał mu się.

- Jest kilka możliwych dróg, nawet jeśli idzie się prosto od niej do niego. To może trochę potrwać.

Wziąłem od niego plan i zazaczyłem trasę, którą szliśmy z Ashley.

- Spróbuj tędy - powiedziałem.

Spojrzał na plan, a potem na mnie.

- To znaczy, że to pierwsza trasa, którą mam sprawdzić, czy jedyna?

- Jedyna. - Skinął głową. Wyraźnie mu ulżyło, kiedy zorientował się, że nie zamierzam ukrywać jej winy. - Szedłem nią wczoraj wieczorem - powiedziałem i pchnąłem przez biurko kopię zapisu moich spostrzeżeń nagranych na taśmie.

Walter przejrzał je.

- Na początek może być, ale w sumie niewiele z tego wynika. Mogła być widziana w każdym z tych miejsc.

- Dlatego chcę, żebyś zapukał do wszystkich drzwi. A przy okazji byłoby dobrze, gdybyś znalazł świadka lub dwóch, którzy widzieli kogoś, kogokolwiek, kto nie wyglądał jak Ashley Bronson, przyczajonego w pobliżu domu Garveya koło dziesiątej piętnaście tamtego wieczoru.

Jego oczy spoczęły na mojej twarzy.

- Na pewno?

- Miała powód, Walter.

- Zawsze jest jakiś.

- Po prostu znajdź mi coś, dobrze?

- Niczego nie obiecuję. - Wstał i położył dłonie płasko na biurku. Jego wielka głowa i ramiona górowały nade mną. - Jak długo się znamy?

- Bardzo długo.

- Trzymaj go w gaciach. - Wyszedł.

W chwilę później w drzwiach mojego gabinetu pojawił się rozpromieniony Harry.

- Frank, jest tu ktoś, kogo chcę ci przedstawić. - Wprowadził do środka chłopaka w szelkach i muszce, wyglądającego na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Widziałem go wcześniej, jak tyrał w bibliotece firmy. - To Andy Gardner - zachwycał się. - Jeden z naszych najzdolniejszych współpracowników. Powiedziałem mu, że podobno szukasz pomocnika. Nie muszę chyba mówić, że pali się do pracy.

Andy uśmiechnął się niepewnie.

- Nie zajmowałem się jeszcze sprawami karnymi - wyznał - ale na studiach miałem piątkę z prawa karnego.

- Andy skończył Columbię - dodał Harry, zniżając głos. - Kształcą tam niezłych prawników.

- Harry, jestem z Nowego Jorku.

- Oczywiście - wyjąkał. - Pamiętam. To dlatego będzie wam się dobrze razem pracowało. - Był naprawdę beznadziejny. Na przyjęciach trzymał się blisko żony, by szeptała mu do ucha imiona osób, które wcześniej spotkał już kilkanaście razy. Za to kiedy miał

do czynienia z potencjalnym klientem, potrafił zapamiętać numer jego buta, jeśli jakimś cudem go usłyszał. - Andy może zacząć od dziś - powiedział.

- Masz idealne wycucie czasu, Andy - powiedziałem. - Przyda mi się pomoc.

- Cudownie! - ucieszył się Harry. - Jest do twojej dyspozycji. - Wychodząc, podniósł kciuki.

Wskazałem najnowszemu członkowi Zespołu Bronson krzesło i sięgnąłem po listę spraw do załatwienia.

- No to jak, Andy, czym zajmowałeś się do tej pory?

- Zbieraniem materiałów, pisanem notatek, głównie w związku z prawem spółek. Zupełnie innymi sprawami, niż pan. Jestem wdzięczny, że dał mi pan szansę, panie O'Connell.

- Frank.

- Frank. Czytałem wszystkie artykuły o tej sprawie i wyszukałem w komputerze inne materiały o twojej klientce. Są tam wzmianki sprzed prawie osiemnastu lat i to wszystko jest... tego... interesujące.

- Będziesz miał okazję poznać ją osobiście. - Jego oczy płonęły zapałem. Jeszcze wczoraj brnął przez pustynię fuzji spółek, a dziś wyruszał na Everest i trzeba mu było tylko pokazać, gdzie jest góra, a gdzie dół. - Nasza klientka zostanie postawiona w stan oskarżenia w przyszłym tygodniu, prawdopodobnie w poniedziałek.

- Czy istnieje możliwość, że wielka ława przysięgłych odrzuci zarzuty?

- Nie. Zadzwonią do nas w sprawie daty postawienia w stan oskarżenia.

Pójdziemy do sądu, dostaniemy kopię aktu oskarżenia i powiemy, że nasza klientka nie przyznaje się do winy. Sąd wyznaczy termin składania wniosków, ale będzie on dość krótki, więc musimy jak najwcześniej wziąć się za ich przygotowanie. Oskarżenie przekaże nam większość dokumentów, których potrzebujemy, jak wyniki analiz i sekcji zwłok, ale najważniejsze jest zeznanie rzekomego naoczego świadka. Normalnie dostalibyśmy je przed samym procesem, ale w tym przypadku wtedy będzie za późno. Musimy się jak najwcześniej dowiedzieć, gdzie był ten świadek i co widział, więc twoim zadaniem będzie napisanie wniosku o zgodę sądu na przekazanie nam zeznania już teraz.

Podniósł głowę.

- Rozumiem.

- Dobra. Potem porozmawiasz z Cory Barnes, naszą asystentką. Potrzebne nam będą wszystkie artykuły o Raymondzie Garveyu, jakie kiedykolwiek się ukazały. Masz materiały o naszej klientce?

- Są w teczce.

- To dobrze. Zwróć uwagę na wszystko, co może wykorzystać oskarżenie. Wiem, że to brzmi dość mętnie, ale jeśli coś wzbudzi twoje wątpliwości, dołącz to do akt.

- Rozumiem. Wszystko, co mogłoby im się przydać na przesłuchaniu.

- No... wszystko, co może jej zaszkodzić. Aha, mam dla Cory jeszcze coś: policja przechowuje zgłoszenia o przestępstwach, zwane raportami o incydentach. Niech przejrzy zgłoszenia z dzielnicy Garveya z ostatnich sześciu miesięcy.

- Czego szukamy?

- Włamań, napadów rabunkowych, rozbojów, gwałtów i zabójstw.

Wszystkiego, co mogło być lub było połączone z wtargnięciem do jednego z domów.

- Tak jak było w przypadku Garveya.

- No właśnie. Na razie starczy, i tak masz już dużo pracy. - Andy poderwał się i wymaszerował. Nie spytał nawet, czy to zrobiła. Oznaczało to, że albo był naiwny, albo ostrożny, przynajmniej jak na świeżo upieczonego prawnika. Oczywiście, ja też unikałem tego tematu. Najpierw Walter, potem Andy: trudno mi było mówić ludziom prawdę o Ashley Bronson, może dlatego, że sam musiałem ją sobie przypominać. Nadeszła pora, by wziąć się za zadanie, które zachowałem dla siebie. Otworzyłem szafkę i wyjąłem oprawny w skórę tom. Ostatni wpis sporządzony został niewyraźnym charakterem pisma.

DZIENNIK HENRYEGO BRONSONA

25 października. Nie ma przyszłości. Patrzę przed siebie i widzę tylko odbicie tego, co byto. To wielka niesprawiedliwość - że konsekwencje młodzieńczego idealizmu mogą przetrwać tak, jak następstwa czynów wynikających z rozsądku i doświadczenia.

Myślałem, że żyję dość długo, by odkupić przeszłość, ale uniemożliwiła mi to moja własna próżność. Jak Frankenstein jestem prześladowany przez dzieło moich rąk. Mój drogi przyjaciel stał się moim dręczycielem. Pozostawia mi tylko jedno wyjście.

Moja droga córeczko, tak bardzo mi przykro. Nie potępiaj mnie za to, co zrobiłem i co zrobię. Ty jesteś moim największym dziełem. Poprzez Ciebie delektowałem się życiem, którego smaku nie pozwoliły mi poznać okoliczności i mój charakter. Zawsze będę nad Tobą czuwał.

6

W poniedziałek koło południa zadzwonił Rogavin. Pańska klientka została postawiona w stan oskarżenia - powiedział.

- Jestem wstrząśnięty.

- Zarzuca się jej morderstwo pierwszego stopnia. Wstępna rozprawa ma się odbyć w czwartek o dziesiątej rano. Przewodniczy sędzia Warner. Przypuszczam, że nakaz aresztowania nie będzie potrzebny.

Bardzo lubił snuć przypuszczenia.

- Włożę mój najlepszy garnitur - odparłem. - Coś jeszcze?

- Widziałem ją. Powinien pan być pójść na ugodę.

Zadzwoniłem do Ashley i uprzedziłem ją, by przygotowała się na telewizyjne powtórki nagrań z jej aresztowania i kolejne komentarze osób, które uważała za swoich przyjaciół. Zmieniła już numer telefonu, a Walter zorganizował ochronę, by zapewnić jej spokój od dziennikarzy i innych nieproszonych gości. Zasugerowałem, by przez najbliższy tydzień nie wychodziła z domu i dostosowała do tego swoje plany.

Tego popołudnia Andy przyniósł mi ostateczną wersję naszego wniosku.

Dobrze się spisał, postanowiłem więc pozostawić mu zbieranie materiałów i przygotowanie pism, a sam skoncentrowałem się na reszcie spraw z listy. Jeden z punktów dotyczył odcisków palców Ashley znalezionych na pistolecie, drugi - jej kłótni z Garveyem. Wyjaśnienie obu tych kwestii wymagało rozmowy z Edwardem i Charlotte Wardami, złotą rączką i gosposią Garveya.

Właśnie o nich myślałem, kiedy przyszedł Walter. Miał dla mnie wiadomość.

- Znalazłem kogoś.

Zerwałem się z krzesła.

- Świadka?

Wzruszył ramionami, otworzył notes i zaczął czytać:

- Pan William Bradmoor, zamieszkały na Dwudziestej Ósmej jeden-pięć-dziewięć-cztery, niedaleko Garveya, pół przecznicy na południe. Pamiętnej nocy wychodzi z domu po samochód, który stoi na Q Street, przecznicę na wschód od rezydencji denata. Dochodzi do skrzyżowania Dwudziestej Ósmej i Q Street i już ma przejść na drugą stronę, kiedy słyszy za plecami kroki - przy domu Garveya. Odwraca się i widzi kobietę, na wpół idącą na wpół biegnącą ulicą w jego kierunku.

- Od strony domu Garveya.

- Zgadza się. Nie widzi jej twarzy, kobieta ma na sobie kapelusz i płaszcz przeciwdeszczowy.

- Po czym poznał, że to kobieta?

- Po wzroście, sylwetce, ruchach i odgłosie, z jakim jej buty uderzały o chodnik. Jest tego pewien. W każdym razie kobieta wskakuje do sedana zaparkowanego po północnej stronie ulicy, piętnaście, dwadzieścia metrów od Bradmoora, zapala silnik i odjeżdża. Facet nie widzi w tym nic dziwnego - pada deszcz, jej się spieszy - więc przechodzi na drugą stronę. Nagle słyszy pisk hamulców i odwracając się, zauważa ten sam wóz w dalszej odległości.

Widzi tylko jego zarys i tylne reflektory, ale słyszy trzask drzwi...

- Jednych czy więcej?

- Dwóch. Wydawało mu się, że to były te po stronie pasażera, bo pozostałe słabo, bo słabo, ale widział. W każdym razie kobieta wciska gaz do dechy i wyrывa stamtąd, aż się kurczy. Na następnym skrzyżowaniu samochód skręca w lewo. To wszystko.

- O rany! O której to było godzinie?

- Około dziesiątej czterdzieści pięć, na pewno po wpół do jedenastej.

- No to świetnie! - krzyknąłem. - Znakomicie!

- Może i tak.

- Może? Jeśli to świadek Rogavina, to mamy z górki! Facet nawet nie widział twarzy kobiety. Nie może wiedzieć, kim była.

- Skąd wiesz, że to ten świadek?

- Czy Bradmoor rozmawiał z policją?

- Tak. Odwiedzili go, kiedy przeczesywali okolicę.

- Czyli to może być on!

- Po pierwsze, żaden z niego świadek, a po drugie, jak Rogavin wyjaśni trzask drzwi od strony pasażera?

- Może chciał mnie zrobić w konia. - Walter wyglądał na nieprzekonanego. - Zgoda

- przyznałem - to pewnie nie jest ten świadek, o którym mówił, ale mimo wszystko to dobra wiadomość: inna kobieta na miejscu zbrodni!

- Musimy wyciągnąć od oskarżenia to cholerne zeznanie.

- Andy napisał dobry wniosek i przy odrobinie szczęścia sędzia pójdzie nam na rękę.

- Świetnie - mruknął - musimy liczyć na sędziego.

- Hej, uszy do góry! Dobrze nam idzie, nie ma co się przejmować na zapas. Musimy się zająć sprawą odcisków palców Ashley na pistolecie i jej kłótni z Garveyem. To znaczy, że musisz znaleźć Wardów i zmusić ich do mówienia.

- Żaden problem - odparł. - Może po drodze zrobić coś jeszcze? Biec szybciej od kuli? Przeskoczyć wieżowiec jednym cholernym susem?

- To będzie bułka z masłem. Znają ją od czasów, kiedy chodziła do liceum. Mówi, że zawsze bardzo ją lubili.

- Bez jaj? A ja myślałem, że mogą być trochę wkurzeni.

- Może nie wierzą, że ona to zrobiła.

- Taa. - Pociągnął nosem. - Czemu mieliby w to wierzyć?

- Może mi wreszcie powiesz, o co ci chodzi?

Wypuścił powietrze z ust, nadymając policzki.

- A jeśli Bradmoor widział naszą klientkę?

- Niemożliwe. Ashley wyszła od Garveya pieszo, była sama i kierowała się na zachód. I to co najmniej piętnaście minut wcześniej.

- Tak twierdzi.

- A ja jej wierzę.

- Ty czy twój mały?

- Idź poszukaj Wardów, dobrze?

Wielkie łowy na świadka zostały więc zawieszono i następne dwa dni poświęciliśmy innym sprawom - z różnym skutkiem. Mimo że Garvey uznał za konieczne kupno broni, raporty policji z jego dzielnicy wskazywały, że zdarzały się tam głównie drobne wykroczenia, zazwyczaj w weekendy nad ranem, kiedy sfrustrowani klienci barów szukali swoich wozów zaparkowanych na łudząco podobnych do siebie ulicach Georgetown. Ofiarami były głównie pojemniki na śmieci, sadzonki i - od czasu do czasu - szyby samochodów. Nieliczne włamania zdarzały się tylko za dnia, kiedy właściciele domów harowali w biurach w centrum. Rzadkie spotkania włamywaczy z domownikami były czysto przypadkowe i na ogół nie kończyły się przemocą. Nie znaleźliśmy nic, co mogłoby wskazywać, że Garvey jest kolejną ofiarą rabusia buszującego po okolicy. Niezbyt dobry początek.

chodów. Nieliczne włamania zdarzały się tylko za dnia, kiedy właściciele domów harowali w biurach w centrum. Rzadkie spotkania włamywaczy z domownikami były czysto przypadkowe i na ogół nie kończyły się przemocą. Nie znaleźliśmy nic, co mogłoby wskazywać, że Garvey jest kolejną ofiarą rabusia buszującego po okolicy. Niezbyt dobry początek.

I nic nie zapowiadało zmian na lepsze. Wardów nie było tam, gdzie być powinni - ani w domu Garveya, ani w ich własnym, na wsi w Wirginii.

Przyszło nam do głowy, że prokuratura mogła ich gdzieś ukryć. Po namyśle uznaliśmy, że to raczej wykluczone, ale mimo to niepokoiłem się. Walter wrzał i oświadczył

krótko, że ich znajdzie. Zazwyczaj, kiedy postanawiał kogoś znaleźć, to nie było na kuli ziemskiej miejsca, gdzie delikwent mógłby się przed nim ukryć. Zazwyczaj.

W czwartek poszliśmy do sądu na rozprawę wstępną. Nie chciałem, by sąsiedzi Ashley widzieli w telewizji powtarzane w nieskończoność zdjęcia jej limuzyny, więc pojechaliśmy sedanem prowadzonym przez Dana White'a, byłego detektywa policji miejskiej, który dołączył do naszej ekipy, a Walter i Andy towarzyszyli nam w charakterze żywych buldożerów, mających utorować nam drogę do i z gmachu sądu. Wypucowana twarz Andy'ego emanowała podnieceniem. Walter zrzędził przez całą drogę, wściekły, że będzie musiał mieć do czynienia z dziennikarzami i sędziami. I jedni, i drudzy byli na jego czarnej liście, tuż za volvo-fiutami.

Spodziewaliśmy się, że będzie cyrk, ale nie byliśmy przygotowani na widok dwustu reporterów, fotografów i kamerzystów stłoczonych na chodniku. „Sprawa Ashley Bronson” - tak ją nazywali - wzbudzała zainteresowanie w całym kraju. Otoczyliśmy Ashley, osłaniając ją przed gradem pytań dochodzących z wszystkich stron.

- Panno Bronson, czy zabiła pani Raymonda Garveya?

- Co łączyło panią z Garveyem?

- Czy stanie pani przed sądem?

- Panno Bronson, czy to prawda, że pani odciski palców były na narzędziu zbrodni?

Kiedy doszliśmy do drzwi, odwróciłem się do kamer, by wydać oświadczenie. Nie mogłem wykluczyć, że wprowadzony zostanie zakaz kontaktów z mediami, i chciałem przedtem powiedzieć kilka słów do wieczornych serwisów informacyjnych.

- Panna Bronson nie przyznaje się do popełnienia zarzucanych jej czynów - oznajmiłem. - Chciałaby podziękować przyjaciołom i znajomym za wsparcie i prosi, by opinia publiczna nie wyciągała żadnych wniosków przed zakończeniem procesu. Jest niewinna. Spodziewamy się, że przysięgli zgodzą się z tym, kiedy zobaczą wszystkie dowody. Dziękuję. - Pochyleni, wskoczyliśmy do środka w chwili, gdy kakofonia wybuchła na nowo.

W sali sądowej czekała kolejna grupa dziennikarzy i kiedy ci z zewnątrz weszli do środka, nie zostało ani jedno wolne miejsce. Nasza sprawa była jedyną w rejestrze, więc zajęliśmy z Andym miejsca w ławie obrony. Walter usiadł w pierwszym rzędzie i zaczął czytać gazetę. Po jakimś czasie przyszedł Rogavin ze swoim asystentem i usadowili się w ławie tradycyjnie zajmowanej przez oskarżenie, stojącej najbliżej miejsc dla przysięgłych. Kilku rysowników szkicowało portrety Ashley - centrum uwagi i najpiękniejszą twarz w sali.

Parę minut po dziesiątej rozległo się pukanie do drzwi i wszyscy wstaliśmy. Wszedł sędzia Warner. Skinął głową na sekretarza, który ogłosił rozpoczęcie sprawy numer Cr jeden-cztery-dwa-trzy, „Stany Zjednoczone kontra Ashley Bronson”.

- Proszę strony o podanie danych do protokołu - powiedział sekretarz.

- Kyle Rogavin w imieniu Stanów Zjednoczonych, Wysoki Sądzie.

- Francis O’Connell w imieniu Ashley Bronson.

Sekretarz podał akta Warnerowi, który oświadczył:

- Oskarżona odpowie na przedstawione jej zarzuty. Panie O’Connell, czy pańska klientka życzy sobie odczytania aktu oskarżenia?

- Nie, Wysoki Sądzie, zrzekamy się tego prawa.

- W porządku. Czy pańska klientka jest gotowa odpowiedzieć na zarzuty?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Warner spojrział w jej stronę.

- Panno Bronson, proszę wstać. - Podniosła się. Przynajmniej się trochę bliżej, tak, że nasze ramiona zetknęły się ze sobą. Niektórzy moi klienci w takich chwilach tak mocno się trzęsą, że czuć, jak drży podłoga. Ona jednak stała bez ruchu, patrząc wprost na Warnera. Może była dobrą aktorką. Moim zdaniem, po prostu miała klasę. - Jak odpowie pani na zarzut zabójstwa pierwszego stopnia? - zaintonował Warner.

- Niewinna - odparła. Znowu ten głos. Była w nim pewność siebie, opanowanie, a nawet cień sprzeciwu, a do wyrażenia tego wszystkiego wystarczyło jedno słowo. Pewnie mógłbym oprzeć całą strategię obrony na jej fizycznych walorach - wybrać na przysięgłych samych mężczyzn, kazać jej

zeznawać i polecić, by mówiąc, patrzyła im w oczy. Chryste, wystarczyło, żeby czytała na głos książkę telefoniczną, a doprowadzilibyśmy do impasu. Szkoda, że wiedziałem, iż jest winna. Będę musiał zmienić metody przesłuchiwania klientów.

- Dobrze - powiedział Warner. - Proszę o zaprotokołowanie, że oskarżona nie przyznaje się do winy. Panie Rogavin, jak długo potrwa prezentacja dowodów oskarżenia?

Rogavin wstał.

- Około dwóch, trzech dni, Wysoki Sądzie.

- Panie O’Connell?

- Nie mogę być tego pewien, dopóki nie zostaną nam przedłożone dokumenty oskarżenia, Wysoki Sądzie, ale przypuszczam, że zajmiemy mniej więcej tyle samo czasu.

- W porządku. Oskarżenie przekaże wymagane dokumenty w ciągu najbliższych dwóch dni. Ma pan coś przeciwko temu, panie Rogavin?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Wszelkie wnioski mają zostać złożone do środy rano, odpowiedzi do piątku i na tym koniec. To znaczy, panowie, że muszą być krótkie, zwięzłe i na temat.

Dla mnie najważniejsze było co innego.

- Kiedy Wysoki Sąd poleci oskarżeniu przekazać nam relacje świadków? Chcielibyśmy dostać je możliwie najszybciej.

Rogavin wstał.

- Wysoki Sądzie, nie mamy obowiązku udostępnienia obronie oświadczenia świadka, dopóki ten nie złoży zeznań w sądzie.

Warner pokręcił głową, patrząc na prokuratora.

- Gdybyśmy ściśle trzymali się litery przepisów, musielibyśmy przerywać proces po przesłuchaniu każdego świadka, by dać obronie czas na zapoznanie się z jego zeznaniami i przygotowanie pytań. Przecież doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę, panie Rogavin.

Rogavin nie dawał za wygraną.

- Wysoki Sądzie, to sprawa o zabójstwo, budząca szerokie zainteresowanie mediów. - Wskazał widzów wypełniających salę. - Jednym z celów prawa jest ochrona prywatności świadków i zapobieżenie próbom manipulowania nimi bądź ich zastraszania. Ich zeznania powinny zostać udostępnione najwcześniej na tydzień przed rozpoczęciem procesu.

Zerwałem się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, ta sprawa nie dotyczy przestępczości zorganizowanej. Wszelkie sugestie, że może dojść do próby zastraszania świadków, są poprostu śmieszne. Poza tym w policji i prokuraturze jest prawdopodobnie ze sto osób znających ich tożsamość. Dodanie do tej grupy mnie i moich współpracowników nie zagrozi niczyjej prywatności. Składamy wniosek o niezwłoczne udostępnienie wszystkich zeznań świadków i prosimy, by Wysoki Sąd rozpatrzył go jak najszybciej.

Warner podjął decyzję.

- Zrobię to jeszcze dzisiaj i wydam orzeczenie. Dobrze więc, porozmawiajmy o terminach. - Sekretarz położył przed nim kalendarz i zaczęli dyskutować, nam pozostało tylko czekać. - Czy stronom odpowiada czwarty lutego?

Rogavin znów poderwał się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, chcielibyśmy rozpocząć proces na początku stycznia.

- Panie O'Connell?

- Wysoki Sądzie, do tego czasu zostało jeszcze pięć tygodni, wliczając w to okres świąt, kiedy trudno z kimkolwiek się skontaktować czy cokolwiek załatwić. Biorąc pod uwagę ciężar zarzutów i potencjalny wymiar kary, powinniśmy dostać więcej czasu na przygotowania.

- Panie sędzio - powiedział Rogavin - panna Bronson jest oskarżona o zabójstwo i została zwolniona za kaucją. Sprawa ta nie jest skomplikowana i proces może zostać zakończony po pięciu dniach. Pięć tygodni, wliczając w to święta, wystarczy, by się przygotować.

Warner spojrział na kalendarz.

- Wpiszę tę sprawę na trzydziestego grudnia. Będziemy mieli parę dni na wybranie ławy przysięgłych, dzień wolny i od czwartku zaczniemy prezentację dowodów. Panie O'Connell, powinien pan do tego czasu zdążyć się przygotować. Jeśli są jakieś istotne powody, dla których miałyby to okazać się niemożliwe, chętnie ich wysłucham w odpowiednim czasie, co nie znaczy w ostatniej chwili.

- Dobrze, Wysoki Sądzie.

Warner napisał datę na teczce z aktami i powiedział:

- Kaucja pozostaje w wysokości ustalonej przez sędziego Robbinsa. Proszę, by strony stawiały się w moim gabinecie. - Skinął głową na strażnika i wszyscy stanęliśmy na baczność, kiedy opuścił salę. Poszliśmy z Rogavinem za jednym z sekretarzy. Warner czekał na nas przy stole konferencyjnym.

Nie owijał w bawełnę.

- Biorąc pod uwagę zainteresowanie opinii publicznej, nie dziwię się, że to pan Rogavin reprezentuje oskarżenie. Panie O'Connell, pańskie poprzednie rozprawy w moim sądzie były mniej spektakularne. Dobrze sobie pan radził, ale teraz mamy zupełnie inną sytuację. - Warner wbił we mnie wzrok, nie mógł więc widzieć, że kąciaki ust Rogavina uniosły się. - Tak czy inaczej - ciągnął - chcę, żebyście zrozumieli, że trzymam się pewnych podstawowych zasad, zwłaszcza kiedy chodzi o tak głośne sprawy, jak ta. Wiem, jak bardzo takie procesy mogą pomóc w karierze. Sam uczestniczyłem w kilku podobnych, kiedy jeszcze pracowałem w kancelarii, i to dobra rzecz, rozumie się. Ale nie toleruję popisywania się ani w sądzie, ani poza nim. - Sięgnął po dzbanek z wodą, nalał jej do szklanki i spojrział na nas badawczo, zanim go odstawił. Od kopania w tyłki zasychało w gardle. - Nie wydałem zakazu kontaktów z dziennikarzami, ale jeśli zobaczę lub usłyszę coś, co będzie wskazywało, że ta sprawa jest sądzona w mediach, posypią się kary, i

to surowe. Niech to diabli! Dość już mam pyszałkowatości i chamstwa członków palestry. - Pogroził nam obu palcem. - Chcę, by był to wzorowy proces, prowadzony zgodnie z zasadami etyki. Jakies pytania?

- Nie, panie sędzio - powiedziałem.

- Żadnych, Wysoki Sądzie - dorzucił Rogavin.

- W porządku, to wszystko. Zostaniecie powiadomieni o dacie rozpatrzenia waszych wniosków. Dziękuję, panowie.

W drodze powrotnej z sądu wszyscy milczeli. Walter, Andy i ja wysiedliśmy przed biurem, a Dan zawiózł Ashley do Georgetown. Trudno było ocenić, jak zniosła swoje pierwsze publiczne wystąpienie w charakterze oskarżonej. Kiedy powiedziałem, że później do niej zadzwonię, skinęła głową, nie patrząc na mnie.

Andy wrócił do zbierania materiałów, a my z Walterem poszliśmy na spacer.

- Mamy mało czasu - powiedział.

-Musimy zacząć znajdować świadków, i to szybko.

- Staram się.

Wypuściłem głośno powietrze.

- Pięć tygodni. Pięć cholernych tygodni... ze świętami. - Spojrzałem w stronę Georgetown, miejsca zbrodni, dzielnicy, w której mieszkała. - Dobrze sobie poradziła, co?

- Ma coś w sobie, trzeba przyznać.

- I co, wygląda na morderczynię?

Wyjął świeżą wykałaczkę.

- Najpierw powiedz mi, jak wygląda morderca. Byłem gliną przez dwadzieścia pięć lat, piętnaście spędziłem w wydziale zabójstw, a nadal tego nie wiem. - Spojrzał na drugą stronę Dupont Circle. - Pamiętasz moją radę co do niej?

- Tak.

Mrugnął porozumiewawczo i poklepał mnie po plecach.

- Nie pękaj, mecenasie. Teraz, kiedy ci się poszczęściło, mam szansę nie źle zarobić, dlatego wyciągnę za ciebie kasztany z ognia, jak za dawnych czasów. - Spojrzał na zegarek, prezent z okazji przejścia na emeryturę od detektywów z jego starego komisariatu. - Muszę znaleźć Wardów - mruknął. - Pewnie wszyscy, którzy mają związek z tą sprawą, chowają się w jednej dziurze. - Nie zważając na czerwone światła, przeszedł przez plac, lawirując między samochodami. Zatrzymał się tylko raz, by wymienić uprzejmości z taksówkarzem, który na niego zatrafił. Można wyciągnąć człowieka z Nowego Jorku, ale nie można wyciągnąć Nowego Jorku z człowieka.

Faks z gabinetu sędziego przyszedł zaraz po lunchu. Była to pierwsza strona wniosku przygotowanego w pocie czoła przez Andy'ego, ze słowem „odrzucony” na marginesie i dopiskiem na dole: „Wszystkie zeznania świadków mają zostać udostępnione obrońcy do 23 grudnia”. Na siedem dni przed procesem, tuż przed świętami. Warner nie dał nam czasu na przeprowadzenie własnego dochodzenia, co oznaczało, że pewnie nie dowiemy się, na czym stoimy, aż do chwili, kiedy świadek zacznie zeznawać. Wtedy będzie już za późno.

Przez resztę popołudnia dręczył mnie niepokój. Oskarżycielem Ashley mógł być każdy, od Jasera Arafata po przeoryszkę klasztoru. Inna sprawa, że nawet gdyby chodziło o Arafata, to i tak nic by nam to nie pomogło, bo przyszedłby do sądu w habicie i z różańcem, jeśli Rogavin zasługiwał na swoją reputację. O siódmej wreszcie zadzwoniłem do naszej Ashley.

- Oglądam nas w telewizji - powiedziała.

- Wystaje mi brzuch?

- Nie, wyglądasz jak przystojniak. Zaraz zaczną do ciebie wydzwaniać dziewczyny.

- Ashley, Warner postanowił, że zeznania świadków dostaniemy dopiero na tydzień przed procesem.

- Och.

- Nie przejmuj się, Walter znajdzie tego świadka i wszystko będzie w porządku.

- Prawdziwy z niego oryginał. Właśnie tak wyobrażałam sobie nowojorskiego detektywa.

- I jest najlepszy. Zrobi wszystko, żeby nam pomóc.

- Przykro mi, że nie pamiętam, czy kogoś widziałam. Wiem, że niewiele ze mnie pożytku.

- Nie martw się. Świetnie się dziś spisałaś, wiesz?

- Tak, pamiętałam, żeby powiedzieć „nie” przed „winna”.

Pora zmienić temat.

- Ashiey, czytałem ostatni wpis w pamiętniku twojego ojca.

- Och... trudno to nazwać pożegnaniem, prawda?

- Nie zrozumiałem, o co mu chodziło, ale jedno jest pewne: kochał cię.

- Tak... to prawda. Bardzo mi go brakuje. To zły czas na samotność.

- Wiem, że marny ze mnie substytut, ale w razie czego dzwoń o każdej porze.

Zaśmiała się cicho.

- Firma z pełną obsługą, co? Otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie chodzi o sprawy zawodowe, Ashiey.

Palnąłem to bez namysłu. Przez chwilę milczeliśmy, a ja myślałem o mojej obietnicy.

- Dziękuję - powiedziała. - Potrzebowałam tego.

Nie tak bardzo, jak ja.

- Może wyłączysz wiadomości i odpoczniesz? Zadzwoń jutro.

- Dobrze. Dobranoc, Frank.

- Dobranoc.

7

W piątek Andy przyniósł z prokuratury materiały, które Rogavin przekazał nam dobrowolnie: porównania odcisków palców, wyniki sekcji zwłok Garveya i raport z przeszukania jego domu. Cory oddzielnie ułożyła wszystkie gazetowe wzmianki o Ashiey i Raymondzie Garveyu. Garvey mógł mieć przewagę na starcie, ale to stosik naszej klientki był wyższy. Przyciągała uwagę fotografów na wszystkich uroczystościach, w których uczestniczyła, a było ich wiele: otwarcia, bale charytatywne, kwesty i niezliczone przyjęcia.

Wycinki zostały ułożone w porządku chronologicznym; pierwszy dotyczył przyjęcia z okazji jej szesnastych urodzin, wydanego na trawniku na tyłach domu w Georgetown. Wśród gości znaleźli się najważniejsi przedstawiciele śmietanki artystycznej i naukowej, a także kilku polityków, w tym sekretarz Raymond Garvey. Cóż za ironia: jego nazwisko pojawiło się i w pierwszym, i w ostatnim artykule o Ashiey Bronson.

Reszta wycinków opowiadała historię życia pełnego przywilejów i osiągnięć: jazda konna w Hunt Country, regaty żeglarskie w Newport, ukończenie National Cathedral School i początek nauki w Wellesley, trzy lata studiów malarskich we Francji. Kiedy miała dwadzieścia siedem lat zorganizowano pierwszą wystawę jej obrazów, a zanim doszła do trzydziestki, jej prace osiągały już wartość dziesiątków tysięcy dolarów. Jedna z gazet zamieściła cudowne zdjęcie, pokazujące ją za biurkiem w redakcji „Atlantic Fine Arts”, ubraną w dżinsy i bluzkę koszulową, z ołówkiem w zębach.

Oczywiście nie mogła narzekać na brak adoratorów. W prasie pojawiło się dużo wzmianek na ich temat i fotografie dziesiątków z nich, przedstawianych jako „chłopak”,

„sympatia”, „obecna sympatia”, „narzeczony”. Moim ulubionym określeniem było „towarzysz”. Znalazłem nawet ogłoszenie o jej zaręczynach z synem przemysłowca z Lyonu. Zdarzyło się to w Paryżu. Przeczytałem wszystkie te notki i ślęczałem nad zdjęciami, próbując odszyfrować mowę ciała i wyraz twarzy. Na których facetach naprawdę jej zależało? Część wyglądała na nadzianych palantów, inni sprawiali wrażenie normalnych; najbardziej niepokoił mnie ci, którzy naprawdę coś osiągnęli. Na listach gości siedmiu - tak, siedmiu - kolacji w Białym Domu przy jej nazwisku widniały nazwiska kilku znanych osób. Nieźle jak na trzydziestoczworoletkę.

Materiały były uzupełnione o najświeższe publikacje. Ostatnie zdjęcie pokazywało nas wychodzących z sądu. Tylko na nim się nie uśmiechała. Aż do tego momentu jej życie było idealne. Nawet bardziej niż idealne. Teraz zaczął się dla niej koszmar, a ja grałem w nim główną rolę. Jeśli wygramy, jeśli wyjdzie na wolność, będzie ogromnie wdzięczna - do czasu. W końcu jednak zostawi to straszne doświadczenie za sobą, razem ze wszystkim i wszystkimi, którzy mieli z nim cokolwiek wspólnego. Mój widok zawsze będzie jej przypominał ten okres w jej życiu, kiedy się nie uśmiechała.

No to co? Najważniejsze, przypomniałem sobie, że nie ma w tych wycinkach nic, co mogłoby się przydać Rogavinowi. Ani śladu nieuczciwości, niemoralności, żadnych wybuchów agresji przy świadkach, żadnych nagród w zawodach strzeleckich. Kolejny plus, a przynajmniej nie minus dla obrony.

Większy plus zyskaliśmy dzięki Walterowi, który zjawił się u mnie w sobotę po południu wyraźnie z siebie zadowolony. Klapnął na mojej kanapie i skrzyżował nogi, odsłaniając żółte wełniane skarpety i kaburę na kostce.

- Znalazłem ich - powiedział.

- Gdzie?

- Na Florydzie. W Daytona Beach.

- Jak?

- Przez wspólnych znajomych. - Można to było zinterpretować na wiele sposobów: wtyczka w banku, w firmie telekomunikacyjnej lub na poczcie, albo inne układy, których wolałem sobie nie wyobrażać.

- Czyli zgodzili się z tobą porozmawiać?

Wyszczерzył radośnie zęby.

- A kto jest najbardziej czarującym facetem, jakiego znasz?

- Ty, to oczywiste. No i?

- Mam dobre i złe wiadomości.

- Liczyłem na same dobre.

- Taa, a ja liczyłem, że po powrocie do domu zastanę w wannie Sopię Loren. - Rozsiadł się wygodnie, wyjął notes i zaczął wertować go jedną ręką; drugą sięgnął do kieszeni koszuli po wykałaczkę. - Z odciskami palców nie powinno być problemów - powiedział. - Starsza pani mówi, że Garvey pokazywał jej pistolet, mężowi też. Chwalił się nim też dwóm swoim gościom. Podobno był z niego bardzo dumny.

- Czy któryś z nich miał go w ręku?

- Pan Ward i ci dwaj. Mam ich nazwiska.

- Domyślam się, że Wardowie nie widzieli, jak pokazywał go naszej klientce.

- Wiesz, na łut szczęścia można zawsze liczyć, na cud raczej nie. Ale to nie jest ta zła wiadomość.

- No dobra. Wał śmiało.

- Do kłótni doszło około półtora tygodnia przed zabójstwem. Obydwoje byli jej świadkami, przynajmniej od pewnego momentu. Najpierw usłyszeli podniesione głosy zza zamkniętych drzwi bawialni. - Podniósł głowę znad notatek. - Pamiętam coś takiego ze starych filmów. Czym, do cholery, różni się bawialnią od salonu?

- Ceną.

- Aha. W każdym razie Wardowie nie wiedzieli, o co chodzi, do chwili, kiedy nasza klientka otworzyła drzwi i wypadła na korytarz. Jej ostatnie słowa usłyszeli bardzo wyraźnie.

- Nie trzymaj mnie w niepewności.

- Dokładnie mi je powtórzyli - zajął do swoich notatek - cytując: „Więcej nie przychodź. Jeśli coś się stanie, zabiję cię. Przysięgam”.

- To było niecałe dwa tygodnie wcześniej?

- Tak mówią.

- I powiedzieli to wszystko glinom?

- Są przykładnymi obywatelami.

Zastanowiłem się nad tym głośno:

- Jej ojciec umarł dwudziestego szóstego października. Garvey został zabity pierwszego listopada. Z tego wynika, że kłótnia zdarzyła się na kilka dni przed śmiercią jej ojca. Szkoda, że nie wcześniej, bylibyśmy w lepszej sytuacji. - Kłótnia wiązała ze sobą te dwa zgony. Jeśli oskarżenie znajdzie następne ogniwo, będziemy mieli kłopoty.

- Taa - mknął Walter. Znow zajął do notatek. - Chyba gwiazdy Garveyowi nie sprzyjały, bo przed śmiercią pożarł się nie tylko z naszą klientką.

Wyrwałem się z zamyślenia.

- Co?

- Pożarł się nie tylko z naszą klientką.

- Zamieniam się w słuch.

- Wardowie wracali do domu z supermarketu. W środy robią zakupy na cały tydzień i... wiesz co? Korzystają z takiego samego wózka, jak nowojorczyki. Odkąd tu przyjechałem, nie widziałem jeszcze ani jednego. W tym cholernym mieście nikt nie chodzi pieszo. Ci, co nie siedzą w swoich bmw, biegają w tenisówkach za sto dolarów.

- Mam wyciągnąć to z ciebie siłą?

- Dobrze, już dobrze. W każdym razie są kilkadziesiąt metrów od domu, kiedy widzą, że drzwi frontowe otwierają się na oścież. Wybiega jakiś facet, odwraca się i mówi coś do Garveya stojącego na progu. Potem patrzy w bok i zauważa dynię, którą pan Ward przygotował na Halloween. Robi jeden krok, bierze zamach i strzela cholernego gola. To znaczy, gdziekolwiek spojrzeć, widać kawałki dyni. Pan Ward strasznie się wkurzył. Potem facet odchodzi szybkim krokiem, wsiada do, słuchaj tylko, pieprzonego rolls-roy-ce'a z kierownicą po prawej stronie i daje gaz do dechy.

- Kiedy to było?

- Dzień przed Halloween. Pan Ward musiał od razu kupić następną dynię.

- Czyli dwa dni przed śmiercią Raymonda. Kim był ten facet?

- Nie wiedzą. Wyglądał dystyngowanie, miał wąsy i siwe włosy. Nigdy wcześniej go nie widzieli, a ich pracodawca nie wspomniał o tym, co się stało.

- Teraz powiedz mi, że widzieli, jak czaił się w pobliżu domu w noc zabójstwa.

- Nie. To wszystko. Nigdy więcej go nie widzieli.

- Myślisz, że ma to jakiś związek z tym, czego Garvey chciał od jej ojca?

- A słyszałeś kiedyś o glinie, który wierzyłby w zbiegi okoliczności? Ten mężczyzna, kimkolwiek był, mógł stanowić kolejne ogniwo łączące dwa zgony. Poczulem się niepewnie.

- Policja wie coś o panu Rolls-Roysie?

- Wardowie nawet o nim nie wspomnieli. Nie widzieli takiej potrzeby.

- Czyli nie łączą tego, co się stało, ze śmiercią Garveya?

- Jeśli nawet, to się do tego nie przyznają, a ja za cholerę nie zamierzałem im nic sugerować.

- I oby tak dalej. - Nadciągająca bitwa nabierała coraz wyraźniejszych kształtów; zaczynaliśmy wypełniać luki. - Skoro chwalił się znajomym swoim pistoletem, to niewykluczone, że pokazał go też jej, zgadza się? Wyciągniemy to z Wardów na przesłuchaniu, a potem wezwiemy na świadków ludzi, którzy mieli tę broń w ręku. To da nam co najmniej trzy, cztery szanse na zasianie wątpliwości w sprawie odcisków palców.

Walter skinął głową.

- Jestem za.

- To dobrze. Czyli pokłóciła się ze zmarłym, ale zdarzyło się to przeszło tydzień przed zabójstwem. Dość czasu, żeby ochłonać. Nie można więc lekceważyć dowodów wskazujących, że miała motyw, ale z drugiej strony nie są one niezbite. Jeśli uda nam się dobrze rozegrać przesłuchanie naoczego świadka, jest szansa, że wywołamy wątpliwości co do jej winy. Mogło być gorzej.

- Taa - powiedział. - Wszystko zależy od punktu widzenia.

Walter w początkach swojej kariery nauczył mnie, że zawsze trzeba obejrzeć miejsce zbrodni. Zawsze. Prokurator zdobył nad nami przewagę, był tam bowiem kilka godzin po zabójstwie, ale my mieliśmy kopię jego raportu i jedyną osobę na świecie, która mogła opisać, co naprawdę zaszło. Ustaliłem, że załatwimy to w następny poniedziałek. Na miejscu powitał nas miejscowy policjant z pękiem kluczy do normalnych zamków i jednego specjalnego, zamontowanego przez ekipę śledczą.

Dom Garveya miał swój urok. Była to willa połączona wspólną ścianą z drugą, identyczną. Łukowate drzwi frontowe prowadziły do wyłożonego marmurem przedpokoju i długiego korytarza ciągnącego się przez cały dom.

Wszystkie pokoje mieściły się po zachodniej stronie, naprzeciwko wspólnej ściany. Od frontu znajdowała się bawialnia, w której Ashley pokłóciła się z Garyeyem. Dalej widać było schody, a zaraz za nimi pierwsze z dwóch wejść do salonu, w którym padł śmiertelny strzał. Był to przytulny pokój umeblowany w charakterystycznym męskim stylu, pełen skóry, drewna i obrazów marynistycznych, z antycznym kufrem na środku, służącym za

stolik. Po jednej stronie stało biurko z żaluzjowym zamknięciem i obrotowe krzesło; po drugiej mały kominek, a przy nim wygodny fotel i otomana. Na wprost były drzwi balkonowe prowadzące do ogrodu i wyłożonego kamiennymi płytami patio ze stołem z kutego żelaza i krzesłami. Tędy weszła Ashley.

Po prawej stronie drzwi znajdował się sekretarzyk, w którym Raymond trzymał pistolet.

Walter rozejrzał się po pokoju, podszedł do biurka i zaczął zaglądać do przegródek i szuflad.

- Czego szukasz? - spytałem.

- Nie wiem - odparł.

Tak to jest, jak się zadaje głupie pytania. Odwróciłem się i zobaczyłem Ashley stojącą koło fotela, wpatrzoną w dywan. Podchodząc do niej, zauważyłem narysowany kre-

dą kontur: przedostatnie miejsce spoczynku Raymonda Garveya. Posadziłem ją na sofie i wróciłem, by obejrzeć je dokładnie.

Walter przestudiował raport koronera i powiedział, że Garvey umarł, zanim upadł na podłogę. Sądząc po kredowym konturze, przewrócił się na plecy, z nogami ułożonymi w kształt przypominający czwórkę i rozkrzyżowanymi ramionami, jakby na powitanie swego losu. Widziałem wielu martwych ludzi, ale zawsze uważałem, że jest coś niepokojącego w redukowaniu człowieka, ciała i duszy, do linii na dywanie. Z prochu powstałeś, w kredowy pył się obrócisz: oto alchemia zabójstwa.

Walter skończył przeszukiwać biurko i usiadł obok Ashley na sofie. Zaczął rozmawiać z nią o szczegółach tego, co powiedziała mi w czasie pierwszego spotkania.

- Czy światła były zapalone, kiedy podchodziła pani do tego domu? - spytał.

- Nie. Było ciemno.

- Ale wiedziała pani, że Garvey tu jest?

- Myślałam, że wyszedł. Zadzwoiłam do niego i nikt nie odebrał.

Tego mi nie powiedziała. Podszedłem i usiadłem po jej drugiej stronie.

Walter kontynuował przesłuchanie, przytakując i ostrożnie ciągnąc ją za język, jak to robił z tysiącami innych osób.

- Po co pani dzwoniła? - spytał.

Przez chwilę patrzyła na podłogę i powiedziała:

- Nie jestem pewna. Myślałam o ojcu i o tym, co się stało. Telefon był pod ręką i zanim zastanowiłam się, co właściwie robię, zaczęłam wykręcać numer Garveya.

- I nikt nie odebrał.

- Tak.

- Dlatego postanowiła pani... - Walter zawiesił głos, zachęcając ją, by dokończyła.

- Pójść do niego. Pokazałam Frankowi, którędy szłam. - Spojrzała na mnie, a ja pokiwiałem głową.

- Ashley, o czym myślałaś wychodząc z domu? - spytałem.

- O czym myślałam? - Zanim odpowiedziała wzięła głęboki oddech. - Właściwie bardziej czułam, niż myślałam. Byłam wściekła i chciałam stanąć z nim twarzą w twarz już, zaraz, jak najszybciej. Rozumiecie?

Walter odezwał się, zanim zdążyłem okazać jej współczucie.

- W domu było ciemno i miała pani klucz.

- Tak. Weszłam tędy. - Wskazała drzwi balkonowe prowadzące do ogrodu, odwróciła się do mnie i dodała: - Mówiłam ci o tym.

- To prawda-przytaknąłem. Zawsze czułem się nieswojo, kiedy świadek zaczynał chwytać się brzytwy i szukał u mnie potwierdzenia swoich słów.

- Po prostu musimy mieć pełny obraz- uspokoił ją Walter. -Nigdy nie wiadomo, co może się przydać w przygotowaniu linii obrony.

- No właśnie - przytaknąłem.

Spojrzała na mnie i zobaczyłem odbicie mojego uśmiechu w wolframowych zwierciadłach jej oczu.

- Oczywiście - powiedziała.

- W domu było ciemno - zaczął znowu Walter - i myślała pani, że nikogo nie ma.

- Tak.

- I weszła pani tędy, bo...?

Wbiła wzrok w szklane drzwi i powiedziała:

- Nie chciałam wejść od frontu. Nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył.

- Proszę dalej.

- Wyjęłam pistolet z sekretarzyka... - Znów urwała.

- Zamierzała pani zaczekać na niego - powiedział Walter, próbując pomóc.

- Tak, ale... - Jej oczy wypełniły się łzami.

- Spokojnie, Ashley - powiedziałem cicho. - Ale co?

- Nie jestem pewna, co myślałam. Od tamtej nocy zastanawiałam się nad tym tysiące razy i... - potrząsnęła głową. - ciągle nie jestem pewna, co zamierzałam zrobić w tamtej chwili. Wiem, że to zabrzmiało pokrętnie, ale naprawdę wydaje mi się, że chciałam go przestraszyć, zmusić, żeby...

- Co?

- Żeby błagał o przebaczenie! - krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

Wyciągnąłem do niej rękę, ale mina Waltera wskazywała, że złamię mi ją, jeśli się nie powstrzymam. Dałem więc Ashley chusteczkę i wstałem, żeby samemu spróbować odtworzyć przebieg wypadków. Na korytarzu skręciłem w lewo, w stronę tylnej części domu, minąłem jadalnię i spiżarnię, wszedłem w drzwi kuchenne i skierowałem się ku tylnym schodom. Uznałem, że skoro w domu było ciemno, to Garvey musiał przebywać na górze. Ashley myślała, że nikogo nie ma i nie starała się zachowywać cicho. Garvey zginął przy drugich drzwiach gabinetu, czyli musiał zejść tylnymi schodami, a skoro nie zapalił światła, to najprawdopodobniej chciał ukradkiem wziąć pistolet, nieświadom, że zrobił to już ktoś inny. Wyszedłem z powrotem na korytarz, idąc tą samą drogą, która zawiodła go do zguby.

- Czekaj. Nie ruszaj się. - Walter stał przy drzwiach balkonowych z ręką wyciągniętą w moją stronę. Zatrzymałem się przy narysowanej kredą sylwetce, a on przywołał do siebie Ashley. - Proszę mi pokazać, jak to było - powiedział, otwierając drzwi. Kiedy wyszła na zewnątrz, zatrzasnął je za nią.

Przez chwilę patrzyła na nas przez szybę, po czym otworzyła drzwi, weszła do środka i znów je zamknęła. Nie skrzypnęły.

Kiedy Walter zachęcił ją skinieniem głowy, zrobiła dwa kroki w stronę sekretarzynka, wysunęła szufladę i sięgnęła po wymaginowany pistolet.

- Proszę dalej - powiedział. Ashley ruszyła w stronę środka pokoju z opuszczoną prawą ręką, jakby trzymała w niej pistolet, i po chwili zatrzymała się. Patrzyła na mnie.

- Co dzieje się teraz? - spytał Walter.

- Grzmi i błyska się - odparła tępo. - Widać tylko zarysy mebli.

- Dobrze - powiedział. - W pokoju jest ciemno. Co dalej?

Wpijała się wzrokiem w moje oczy, jej głos był matowy, z trudem dobierała słowa.

- Błysnął piorun i przez ułamek sekundy widziałam go, a potem już tylko wchodzącą do pokoju sylwetkę, tak ciemną jak zarysy mebli. Zaczął odwracać się w moją stronę i... tak bardzo się boję.

- Proszę dalej - naciskał Walter łagodnie, nachylając się ku niej. - Jest tam. - Podniosła prawą rękę, z palcem wskazującym wymierzonym w moją twarz. Oto miałem przed sobą ostatni obraz, jaki zobaczył przed śmiercią Raymond Garvey: sylwetkę odcinającą się na tle okna. Była jak w transie; miała zamglone, nieobecne oczy, ale wciąż widziała go przed sobą. Jej palec zaczął zaciskać się na spuście. Poczulem pot pod pachami.

Zadzwoił telefon.

Wszyscy drgnęliśmy. Ashley zachwiała się, ale Walter ją podtrzymał.

Rozległ się następny dzwonek. Dźwięk zamkniętego w biurku telefonu odbijał się echem od drewnianych ścianek i niósł się po pustym domu. Wydawał się niesamowicie głośny. Po trzech dzwonekach rozległ się trzask.

- Halo - powiedział głos - mówi Raymond Garvey. Obawiam się, że w tej chwili nie mogę podejść do telefonu. - Nogi uginały się pod Ashley; Walter na wpół niósł, na wpół prowadził ją do sofy. - Proszę zostawić wia domość po sygnale, a oddzwonię, kiedy tylko będę mógł.

Chciałem im pomóc, kiedy usłyszałem swoje imię.

- Frank? Walter? Tu Andy. Jest tam kto? - Podbiegłem do biurka i podniosłem słuchawkę.

- Andy? Co się stało?

- Frank! Nie wiedziałem, czy ten telefon nadal działa. Dzwonili z biura Rogavina. Chcą dać nam zeznanie naocznego świadka! Możemy je odebrać w każdej chwili!

- Jezu! Co, Warner zmienił zdanie?

- Nie, robią to dobrowolnie! - krzyknął Andy. - Lecę tam, zanim się rozmyślą!

Ashley siedziała na kanapie oparta o Waltera.

- Rogavin udostępni nam zeznanie naocznego świadka-powiedziałem.

Walter uniósł brwi.

- Co, do licha? Trzy dni temu robił wszystko, żebyśmy go nie dostali!

- Widać mu się odmieniło. Niedługo dowiemy się, dlaczego. Andy już tam jedzie.

Walter uśmiechnął się szeroko; będzie więcej pracy dla detektywa.

- Zaczekajmy u niej - powiedział, kiwając głową w stronę naszej klientki, której cera przybrała odcień kredy widocznej na dywanie. - Za kilka godzin zrobi się ciemno, można będzie kontynuować rekonstrukcję wydarzeń.

-Ashley pewnie miała już dość rekonstrukcji, ale pokiwała głową na znak zgody. Powiedziałem Andy'emu, że zaczekamy na niego u niej.

- Dokończmy to - powiedziałem. Podeszedłem bliżej i kucnąłem przed nią. - Jeszcze tylko kilka pytań i będzie po wszystkim, dobrze?

- Przepraszam - wydyszała. - Po prostu nie spodziewałam się... tego.

- Nic się nie stało. Powiedz nam, co się stało, gdy strzeliłaś.

Zamknęła na chwilę oczy.

- Upuściłam pistolet i wymknęłam się tymi drzwiami. Szłam najpierw przez patio, a potem wzdłuż żywopłotu do chodnika. Tam zatrzymałam się na minutę czy dwie.

- Po co? - spytał Walter.

- Żeby sprawdzić, czy nikt nie idzie. Potem poszłam do domu.

- I nadal padało?

Z każdą chwilą wyglądała na coraz bardziej zmęczoną.

- Tak. Spojrzałem na Waltera.

- Zadowolony?

- Jeszcze kilka spraw, proszę pani - powiedział. - Mówiła pani, że padał deszcz.

Czym zasłoniła pani głowę? - Ja jej o to nie spytałem; dlatego to on był detektywem.

- Miałam kapelusz.

- Gdzie on jest?

- Zabrała go policja, razem z płaszczem przeciwdeszczowym.

- Czy przed tamtym wieczorem kiedykolwiek strzelała pani z pistoletu?

- Nigdy.

- Ile razy strzeliła pani tamtego wieczoru?

Wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.

- Tylko raz. I proszę mówić mi Ashley.

- Oczywiście - powiedział. Było to równie prawdopodobne jak to, że Garvey odzwoni. Zerknął na mnie i wzruszył ramionami. - No dobra, bę dziemy mądrzejsi, kiedy dowiemy się, gdzie stał świadek.

Po półgodzinie Ashley była już w swojej sypialni i dochodziła do siebie po spotkaniu z automatyczną sekretarką Raymonda a my czekaliśmy w kuchni na Andy'ego. Walter pił kawę i jadł bułkę z masłem, czytając gazetę. Prasa była jego biblią. Czytał ją - studiował - każdego dnia. Wiele lat temu spytałem go o to.

- Nie skończyłem szkoły średniej - wyjaśnił - a tam też niewiele się nauczyłem, więc gazety to mój uniwersytet. Jeśli czyta się je od deski do deski, można się wiele dowiedzieć o tym, co naprawdę ważne w życiu, zwłaszcza dla detektywa. No i często są w nich po prostu ciekawe rzeczy.

Byłem zbyt rozkojarzony, by przejrzeć gazetę i nie miałem apetytu, więc wpatrywałem się tępo w garnki i na przemian martwiłem się tym, co zdarzyło się godzinę temu i tym, co będzie za godzinę. W końcu nie wytrzymałem.

- Może wreszcie wydusisz to z siebie? - warknąłem.

- Co? - spytał nie podnosząc głowy.

- Nie kpij ze mnie.

- Przecież czytam gazetę.

- Ty myślisz - powiedziałem oskarżycielsko.

Przewrócił stronę.

- O czym?

- O tym, co powiedziała: że chciała stanąć z nim twarzą w twarz, ale poszła do niego, kiedy myślała, że nie ma go w domu, do środka dostała się bocznymi drzwiami, by nikt jej nie widział, i wyjęła pistolet z sekretarzyka.

Dlaczego więc nie przyzna po prostu, że od początku chciała go zabić? Co cię w tym dziwi? Wpadła we wściekłość, szalała z nienawiści. Życzyła Garveyowi śmierci, jasne, ale nie to było jej celem. Weszła do środka, wzięła pistolet. Postanowiła, że jeśli nie da mu się zaskoczyć, to będzie trzymać go na muszce dotąd, aż facet zacznie błagać o litość. Nikt nie będzie musiał zginąć.

- W porządku - powiedział, nie przerywając czytania.

- W porządku?

- Ludzie czasami robią głupie rzeczy.

- To prawda - przytaknałem. - Głupie. - Minęło kilka minut, w czasie których jedynym dźwiękiem był szelest przewracanych stron gazety. - Nadal czekam - powiedziałem ze złością.

Westchnął i złożył gazetę.

- Facet siedzi sam w domu, jest ciemno. Co ma na sobie?

- To jakaś zagadka? No dobra... bermudy. - Zmarszczył brwi. - A co? Smoking?

- Rusz głową. Kiedy siedzisz po ciemku w tej swojej norze, to jak jesteś ubrany?

- Gdybyś czytał „Washingtonian”, wiedziałbyś, że śpię nago.

- No właśnie, śpisz. Na zdjęciach widać, że Garvey był ubrany.

Zastanowiłem się.

- Wiesz, z zewnątrz może się wydawać, że w domu jest ciemno, nawet jeśli gdzieś pali się jakieś światło. A może facet zasnął nad gazetą? Jest na górze, słyszy coś, idzie tylnymi schodami do gabinetu i bum.

- No dobra, bum. Jak daleko byli od siebie, kiedy do niego strzeliła?

- Jeśli tamtego wieczoru stała w tym samym miejscu, co dzisiaj, a nieboszczyk był tam, gdzie ja, to tak na oko dzieliło ich jakieś sześć metrów.

- Strzał z trzydziestki ósemki, z sześciu metrów, w ciemnym pokoju. Nigdy wcześniej nie miała w ręku broni. Gdybyś wziął dziesięć wystraszonych kobiet i kazał każdej strzelić do jakiegoś faceta w takich warunkach, ile byłoby trupów?

- Trafiła go w głowę. Zdarza się.

Rozległ się dzwonek do drzwi. W korytarzu rozbrzmiały kroki Marty i po chwili do pokoju wszedł Andy z kamienną twarzą.

- Mam - oznajmił. Położył teczkę na stole i zaczął grzebać w kieszeni.

Kiedy po kilku sekundach zjawiła się Ashley, Andy nie mógł oderwać od niej oczu, mimo że widział ją nie po raz pierwszy.

- Co ty robisz? - spytałem.

- Hę?

- Czego szukasz? - Wskazałem na jego kieszeń.

- Aha. Kluczyka - wyjaśnił. Nie znałem do tej pory nikogo, kto zamykał swoją teczkę na kluczyk. Ba, nikogo, kto w ogóle go zachował. Andy w końcu otworzył zamek i położył na stole dużą brązową kopertę. Na wierzchu widniał napis ZEZNANIE MILESA KELLOGGA.

- Czy komuś mówi coś to nazwisko? - spytałem.

- Nie, chyba że ma coś wspólnego z płatkami owsianymi - odparł Andy. - Poprosiłem Cory, żeby sprawdziła w bazie danych. Ma zadzwonić, jeśli coś znajdzie.

Koperta była zaklejona.

- Nie otworzyłeś jej?-spytałem.

- Jest zaadresowana do ciebie - odparł zdziwiony. Rozciąłem kopertę i wysypałem zawartość na stół. Był tam trzystronicowy raport policyjny z przesłuchania Milesa Kellogga, zamieszkałego na 3087 Avon Street, w Waszyngtonie. W tej chwili stało się jasne, dlaczego Walter nie znalazł tego świadka: Kellogg mieszkał daleko od Garveya, Ashley i trasy łączącej ich domy. Do zeznania dołączony był plan. Rozłożyłem go na stole i wszyscy nachylili się nad nim, by lepiej mu się przyjrzeć.

Wydaje mi się, że przez chwilę nie czułem nic, mniej więcej tak, jak bokser po otrzymaniu nokautującego ciosu: najpierw jesteś oszołomiony, potem do twojej świadomości dociera ból i wreszcie padasz na deski. Na kartce widniał plan ulicy, chodnika i domu, z kilkoma dodatkowymi szczegółami. Przy chodniku było kółko z literami AB w środku. Kawalek dalej – według podziałki jakieś sześć metrów przy krawężniku, znajdowało się drugie, z literą K. Rogavin powiedział, że może udowodnić, iż była „w pobliżu” miejsca zbrodni; nie sprecyzował tylko, jak małą odległość ma na myśli. Na rysunek domu naniesiony był adres Garveya; zakreślone AB widniało dokładnie tam, gdzie Ashley zatrzymała się przed wejściem na chodnik. W czasie naszego pierwszego spaceru nie zauważyłem, by w tym miejscu paliło się jakieś światło.

Zobaczyłem je dopiero przed godziną-jego źródłem była staroświecka latarnia stojąca przy ścieżce prowadzącej do domu Garveya. Walter pierwszy przerwał milczenie.

- Chryste - mruknął.

- Ashley, czy latarnia była zapalona tamtego wieczoru? - spytałem. Nie podniosła oczu znad planu.

- Pewnie tak. Zawsze jest zapalona.

- I nie zauważyłaś nikogo w miejscu oznaczonym literą K?

- Już wam mówiłam, że nie - odparła. - Myślałam tylko o tym, żeby stamtąd uciec. Może ktoś tam stał, ja go w każdym razie nie widziałam. - Wyjąłem spinacz i rozłożyłem raport na stole. Kartka przyklejała się do moich wilgotnych dłoni.

Protokół przesłuchania Milesa Kellogga przez detektywów Powersa i Mathisa

Rozmowa ze świadkiem odbyła się w jego domu na 3087 Avon Street w Waszyngtonie. Jest on białym mężczyzną w wieku około 60-65 lat.

Mieszka samotnie pod wyżej podanym adresem. Twierdzi, że jest wdowcem i emerytowanym pracownikiem rządowym. Niżej podpisani zakomunikowali świadkowi, że policja miejska została powiadomiona, iż ma on informacje na temat zabójstwa Raymonda Garveya. Świadek potwierdził, że poprzedniego wieczoru dzwonił do trzeciego komisariatu i nie sprzeciwił się przesłuchaniu.

Świadek zeznał, że wieczorem pierwszego listopada udał się samotnie do kina Biograph Theater na M Street w Georgetown.

Obejrzał tam film Nieznajomi z pociągu. Powiedział, że często bywa w tym kinie, bo pokazywane są w nim klasyczne stare filmy. Poszedł na seans o 20.15, który skończył się około 22.00. Po wyjściu z kina ruszył w drogę powrotną do domu. Był ubrany w trencz, kapelusz, kalosze i niósł parasol.

Świadek zeznał, że oddalając się od M Street, widział bardzo mało osób i samochodów. Droga do domu zwykle zajmuje mu około dwudziestu minut. Poszedł na północ Dwudziestą Ósmą ulicą i około 22.15 przechodził przez Q Street, z południa na północ, kierując się w stronę Dwudziestej Dziewiątej. Powiedział, że niewiele słyszał, ponieważ wszystko zagłuszały krople deszczu uderzające o jego parasol. Kiedy przeszedł na północną stronę ulicy, ku swojemu zaskoczeniu zauważył po lewej stronie jakiś ruch. Twierdzi, że około pięciu-sześciu metrów od niego, na trawie przy chodniku stała biała kobieta. Wczoraj wrócił w to miejsce i potwierdził, że było to na 2871 Q Street, N.W. (Jest to adres denata.)

Stojąca na trawniku latarnia była zapalona. Świadek twierdzi, że wyraźnie widział twarz kobiety. Według jego opisu, miała 30-35 lat, była ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz. Stała nieruchomo i zdawała się nie widzieć świadka, który znajdował się między zaparkowanymi samochodami. Świadek zeznał, że nie poruszył się, ponieważ nie chciał jej przestraszyć i był ciekawy. Kobieta wydała mu się znajoma i był pewien, że widział ją już wcześniej, ale nie mógł sobie wtedy przypomnieć jej nazwiska.

Świadek powiedział, że kobieta sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała. Po minucie szybkim krokiem skierowała się Q Street na zachód.

Świadek twierdzi, że wtedy ruszył w dalszą drogę do domu i dotarł tam około 22.30. Nie podejrzewał, że stało się coś złego..

Następnego ranka świadek samotnie opuścił dom około 6.00 i pojechał swoim samochodem do letniego domku niedaleko Berkeley Springs w Zachodniej Wirginii. Na miejscu był około 9.00. W domku nie ma telewizora, a radia świadek nie słucha. Na tamten adres nie przychodzą też żadne gazety, dlatego też świadek nie mógł

dowiedzieć się o śmierci Garveya.

Świadek wrócił do domu wczoraj, we wtorek 5 listopada, około 22.30. Około 23.00 był w kuchni i robił sobie kanapkę. Telewizor był włączony na wiadomości Kanału 9, ale świadek nie słyszał dźwięku.

Przechodząc obok wejścia do salonu, spojrzął na ekran i zobaczył zdjęcie kobiety. Natychmiast rozpoznał w niej osobę, którą widział wspomnianego wieczoru. Świadek twierdzi, że na ekranie nie było żadnych informacji dotyczących nazwiska kobiety ani śmierci Raymonda Garveya. Wbiegł do pokoju i usłyszał, że osobą tą jest Ashley Bronson, aresztowana pod zarzutem zabójstwa Garveya. Świadek nie przypomina sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział ją osobiście.

Następnie udał się po gazety do sąsiada, który je odbierał podczas jego nieobecności. Sąsiadem jest Randall Kitchens, zamieszkały na 3092 Avon Place, N.W. Po przeczytaniu artykułów dotyczących zabójstwa Garveya świadek poszedł pod dom denata, by upewnić się, że tam widział podejrzaną.

Świadek wrócił do domu i o 0.15 zadzwonił na policję. Wtedy ustalono termin tego przesłuchania. Świadek zdaje się zdrowy i nie ma żadnych widocznych ułomności, mogących uniemożliwić rozpoznanie podejrzaney.

Zadzwonił telefon. Cory coś dla mnie miała.

- Frank - powiedziała z ożywieniem - właśnie wstałam od komputera.

Nazwisko Milesa Kellogga pojawiło się kilkakrotnie w gazetach przed kilkoma laty, podczas śledztwa dotyczącego afery Iran-contras. Na kilku rozprawach zeznawał w imieniu rządu.

- W jakim charakterze?

- Miał być świadkiem oskarżenia, ale tak naprawdę pomógł obronie.

- Do rzeczy.

- Kellogg był agentem CIA. Siedział w kwaterze głównej, kiedy Kongres prowadził przesłuchania w sprawie wsparcia dla kontras, i osobiście w nich uczestniczył. Zanim trafił do centrali, działał w terenie i opisując w sądzie swoje misje, używał kodu, by chronić bezpieczeństwo narodowe. żył w „państwie A”, pracował nad „programem C” i tak dalej. Przeszedł na emeryturę mniej więcej rok przed złożeniem zeznań.

Zrobiło mi się ciężko na sercu. Wszyscy na mnie patrzyli, nie trzymałem ich więc w niepewności.

- Kellogg pracował dla rządu, owszem, tyle że w CIA. To były agent.

-Andy skrzywił się. Wykałaczką Waltera podniosła się i opadła. Oczy Ashley były utkwione w mojej twarzy i po raz pierwszy zobaczyłem w nich rezygnację. - Coś jeszcze? - spytałem Cory.

- Na, razie to tyle - powiedziała. - Nadal sprawdzam.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zapadła cisza. Andy przyglądał mi się uważnie, próbując rozpoznać moją reakcję na tę wiadomość.

- Co teraz będzie? - spytał.

- No cóż, coś trzeba z tym zrobić - powiedziałem, siląc się na beznamiętny ton. - Najpierw musimy jeszcze raz rzucić okiem na miejsce zbrodni.

- Trzeba będzie zapalić latarnię - zauważył Andy. - Zadzwońię do Rogavina i spytam, czy mogliby tu przysłać policjanta z kluczami.

- To nie będzie konieczne - powiedziałem i spojrzałem na Waltera.

-Pamiętasz, latarnia świeciła się, kiedy wychodziliśmy. Policjant pewnie zapalił ją przez pomyłkę.

Walter pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Kiedy chcesz tam pójść?

- Jak tylko sąsiedzi świętej pamięci Garveya wrócą z pracy i siądą przed telewizorami. Dobrze by było, gdybyś poszedł tam pierwszy i dał nam znać, kiedy droga będzie wolna.

- Potrzeba ci towarzystwa? - spytał go Andy.

Nie można było dopuścić, by Andy poszedł z Walterem.

- Masz dużo pracy w biurze - powiedziałem mu. - Postaraj się załatwić kopie nagrań serwisów informacyjnych z dnia aresztowania Ashley.

- Pewnie o tej porze nikogo tam nie ma - zaprotestował. - Zajmę się tym z samego rana.

- Tak czy inaczej, spróbuj! - warknąłem. Andy cofnął się; Ashley dotknęła mojego ramienia. Wziąłem głęboki oddech i spróbowałem odzyskać panowanie nad sobą, podczas gdy cała reszta wpatrywała się w podłogę.

-Andy - powiedziałem cicho - stacja telewizyjna pójdzie ci na rękę, jeśli zasugerujesz, że to może być opłacalny interes dla obu stron. Powiedz, że będziemy wdzięczni za każdą pomoc. I spróbuj zdobyć kopię zdjęcia, które wykorzystali tamtego wieczoru.

Andy skinął głową.

- Obskoczę wszystkie stacje na wypadek, gdyby miało się okazać, że zmieniały kanały.

- Słusznie. Zaczynj zbierać materiały o Kelloggu. Wyszło kilka książek o aferze Iran-contras, w których może być coś więcej o jego przeszłości.

Drukarnia rządowa pewnie ma oficjalną kopię stenogramu przesłuchań w Kongresie. I zdobądź nazwiska dziennikarzy „Post” i „New York Time-sa”, którzy zajmowali się tą sprawą. Może będziemy musieli w którymś momencie z nimi porozmawiać.

- Dobra - odparł cicho Andy. - To wszystko?

- Powiedz Cory, żeby nikomu nie mówiła o Kelloggu. Jeśli wiadomość o nim trafi do gazet, Warner będzie chciał kogoś powiesić i tym kimś nie będzie Rogavin.

- No, mecenasie - powiedział Walter, klepiąc go w ramię - podrzucę cię do biura. - Poszli wykonać wyznaczone zadania. Marta wróciła do swojego pokoju, zostawiając mnie w kuchni z Ashley.

- Chyba Walter nie będzie miał kłopotów? - spytała. Niewiele umykało jej uwadze.

- Nie możemy prosić policji o włączenie światła. To mogłoby podsunąć Rogawinowi pewien pomysł.

- Jaki?

- Pokazu dla przysięgłych. Przyprowadziłby ich pod dom Garveya, żeby mogli cię obejrzeć w świetle latarni. Nie robi się tego często, ale sędziowie czasem pozwalają urozmaicić proces odrobiną dramaturgii. Gdyby Warner zgodził się na coś takiego i przysięgli uznaliby, że w tym świetle są cię w stanie rozpoznać, to byłoby po nas. - Złożyłem zeznanie świadka i schowałem je z powrotem do koperty. - Może pójdziesz na górę i trochę odpoczniesz? - zasugerowałem. - Przyjdę po ciebie, kiedy zadzwoni Walter.

O ósmej piętnaście przejechaliśmy obok domu Garveya. Lampa była zapalona, świeciła tylko trochę jaśniej niż typowa latarnia uliczna. Walter siedział w swoim samochodzie zaparkowanym kawałek dalej i kiedy zatrzymaliśmy się po drugiej stronie ulicy, wysiadł i przeszedł obok domu. Na ulicy panowała cisza, zasłony w oknach sąsiednich domów były zaciągnięte. Walter dał nam znak i wysiedliśmy. Ashley miała na sobie kapelusz z szerokim rondem i trencz podobny do płaszcza, w który była ubrana tamtego wieczoru.

- To nie potrwa długo - powiedziałem, kiedy ruszyliśmy w stronę domu. - Ja stanę tam, gdzie Kellogg, a ty idź pod żywopłot, dokładnie w to miejsce, w którym byłaś tamtego wieczoru. Co kilka sekund spoglądaj na mnie. Jeśli ktoś wyjdzie z któregoś domu albo pojawi się na ulicy, zacznij iść w przeciwnym kierunku. - Skinęła głową. - Masz opuszczony kołnierz. Czy tamtego wieczoru był postawiony?

- Nie pamiętam.

- Spróbujemy i tak, i tak.

Walter nadszedł z drugiej strony. Zatrzymałem się. Ashley minęła go, podeszła do żywopłotu, stanęła na trawniku i odwróciła się. Lampa wisiała nisko nad ziemią i kapełusz dawał niewiele cienia, kiedy światło padało na jej twarz.

Subiektywizm jest do dupy. Nie chciałem jej rozpoznać, więc wręcz mimowolnie starałem się to sobie utrudnić. Z drugiej strony, wiedziałem, że to ona. Czy to dlatego, że byłem w stanie ją rozpoznać, czy też rozpoznałem ją dlatego, iż wiedziałem, że to ona? Im dłużej patrzyłem, tym efekt był gorszy.

Czy potrafiłbym ją wskazać, gdyby stała w szeregu? Próbowałem wyobrazić sobie, że obok niej jest inna, piękna kobieta, mniej więcej w jej wieku i o podobnej sylwetce. Na przykład Moira.

No proszę, wybieraj.

Walter stał obok mnie i wyteżał wzrok.

- No i co? - spytał.

- Może tak, może nie. - Dałem jej znak i postawiła kołnierz.

- Teraz lepiej - powiedział. - Trudniej ją rozpoznać. - Zrobiliśmy jeszcze kilka prób, z drobnymi modyfikacjami. Musiała być bardzo zdenerwowana, ale nie dała tego po sobie poznać, kiedy to podnosiła, to opuszczała kołnierz i odwracała się to w tę, to w tamtą stronę. Wreszcie Walter stwierdził: - Starczy. Gapimy się na nią od pięciu minut.

Przywołałem Ashley gestem ręki i szybko wróciliśmy do samochodu. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem, ale czułem na sobie jej spojrzenie.

- Nie jestem pewien - powiedziałem wreszcie. - Trudno być obiektywnym. - Zaparkowałem pod domem i ruszyliśmy schodami w górę, kiedy do krawężnika podjechał Walter i pomachał do mnie. Powiedziałem jej, że zaraz przyjdę, i wsiałem do jego wozu od strony pasażera. - Co ci chodzi po głowie? - spytałem.

- Alibi - odparł.

- Alibi? Nie na tym opieramy naszą linię obrony, ale w tej chwili jestem otwarty na wszystkie sugestie.

Włożył wykałaczkę w kącik ust i powiedział:

- Pamiętasz tego gościa z Central Parku, który ukatrupił żonę młotkiem?

- Tak. Jak on się nazywał?

- Arthur Tilden.

- No właśnie. Tilden. Chcesz go zrobić w zabójstwo Garveya? Mogą być z tym kłopoty, bo facet od dwunastu lat siedzi w Attica.

Puścił moje słowa mimo uszu.

- Pamiętasz, gdzie, jak mówił, był w czasie, kiedy jego żona została zamordowana?

- Nie.

- Właśnie, że pamiętasz. To było strasznie wkurzające.

- Jest mi zimno, jestem zmęczony i lekko sfrustrowany. Do rzeczy.

- Mówił, że był w kinie. - Spojrzał na mnie tak, jakby oczekiwał, że w głowie zapali mi się żarówka, ale nadal panowały tam ciemności, co jeszcze bardziej mnie zirytowało.

- A, chwytam - powiedziałem. - Zrzucimy winę na Kellogga. To lepszy pomysł, przynajmniej on nie siedzi.

Poklepał mnie w pierś, żeby podkreślić wagę swoich słów.

- Słuchaj. Kiedy gość idzie na kolację, zakupy czy drinka, można to sprawdzić. Jest kelner, barman, ekspedientka i rachunek, nie wspominając o innych klientach. Ale jak facet mówi, że był w kinie, to kto temu zaprzeczy?

- Do czego zmierzasz?

- Gość mieszka w Georgetown, ma telewizor, radio, gazety i sąsiadów. Jeśli w okolicy kogoś zabiją, na pewno o tym usłyszy, a jeśli będzie coś wiedział, to zgłosi się na policję albo znajdzie cholernie dobry powód, żeby tego nie robić. Możesz jakiś wymyślić?

- Wyjechał za miasto i jest odcięty od świata?

- Na przykład. A jakiś inny?

Przemyślałem to.

- Nic poza śpiączką nie przychodzi mi do głowy.

- No właśnie. Jeśli słyszysz taką historyjkę jak ta, którą opowiedział Kellogg, możesz co najwyżej sprawdzić, dokąd wyjeżdżał i dlaczego nie zgłosił się wcześniej na policję. W jego przypadku wszystko to jest doskonale wyjaśnione.

- No i?

- No i może wcale go tam nie było.

- Nie było? To ciekawe. Bardzo ciekawe. Teraz ja mam dla ciebie zagadkę. Ile osób wie, co zrobiła nasza klientka po przedziurawieniu Raymonda? Oczywiście oprócz niej, ciebie i mnie.

- Kellogg.

- Brawo. Ani ty, ani ja nie mówiliśmy o tym nikomu. Myślisz, że ona się wygadała?

- Nie.

- No to możemy wybić sobie z głowy teorię, że go tam nie było. A propos, Bradmoor stał się bezużyteczny. Jego słowo przeciwko słowu agenta CIA, tę walkę mamy z góry przegraną. A co się tyczy spóźnionego zgłoszenia na policję, niejaki pan Kitchens twierdzi, że w czasie nieobecności Kellogga zabierał gazety spod jego domu.

- Uhm.

- No i?

- To zbyt zgrabne.

- Jezu! Do procesu zostało pięć tygodni, nie zaczynaj mi tu marudzić!

Kobieta przyznaje się do zabójstwa; świadek oskarżenia potwierdza jej słowa. Czego, do licha, więcej ci trzeba?

- To zbyt zgrabne - upierał się.

- No to idź, narób bałaganu.

Poszedłem za Martą do przytulnego salonu z małymi perkalowymi sofami, stojącymi naprzeciwko siebie po dwóch stronach małego marmurowego kominka. Ashley siedziała na jednej z nich, wpatrzona w ogień. Przysiadłem obok i obserwowałem ją kątem oka. Zdawała się mnie nie zauważać aż do chwili, kiedy przechyliła się na bok i oparła głowę na moim ramieniu. Czuję zapach jej włosów.

- Wiesz, gdzie najbardziej lubię być? - spytała cicho.

- Gdzie?

- W ogrodzie koło domu. Wiosną, kiedy kwitną derenie i azalie, siedzisz sobie na ławce i czujesz się jak w pudełku kredek.

- To musi być cudowne.

- Pomyślałam sobie, że kiedy ogród znów rozkwitnie, będzie już po procesie.

- Zgadza się. A ty będziesz tutaj i zobaczysz to na własne oczy.

To jej nie przekonało.

- Dzisiaj w kuchni wyglądałeś, jakbyś się martwił. - Zwróciła się twarzą do mnie. - Teraz też tak wyglądasz.

- Tak to już jest z prawnikami, przejmują się prowadzonymi przez siebie sprawami.

- I wszystkimi przejmujesz się tak samo?

- Niektórymi bardziej, innymi mniej.

Odchyliła głowę do tyłu. Jej twarz była o centymetry od mojej.

- A tą? - spytała łagodnie.

Poczułem, że żołądek mi się kurczy, i przypomniałem sobie ostrzeżenie Waltera. Jeszcze jeden krok i nie będzie odwrotu.

- Chcę cię o coś spytać - powiedziałem.

- Słucham. - Uśmiechnęła się, jej oczy błyszczały.

- Mówiłaś, że chciałaś tylko nastraszyć Garveya..

Zamrugnęła i uśmiech zniknął z jej twarzy.

- To prawda - powiedziała bezbarwnym tonem.

- Kiedy rozmawialiśmy w moim gabinecie, mówiłaś, że nie żałujesz, że go zabiłaś. Dlatego... właśnie o tym myślałem.

Zanim odpowiedziała, patrzyła na mnie przez długą chwilę.

- Nie żałuję... i żałuję. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Jestem zmęczona - powiedziała, podnosząc się.

- Ashley. - Sięgnąłem po jej rękę i odchyliła się znowu, kładąc drugą dłoń na mojej dłoni. Natychmiast pożałowałem tego, co zrobiłem. Zanim otworzyłem usta, wiedziałem, jak głupio zabrzmiały moje słowa. - Jakoś z tego wyjdziemy - powiedziałem. - Obiecuję.

- Wiem. - Uśmiechnęła się, ale blask zniknął z jej oczu.

W drodze do domu próbowałem sam siebie przekonać, że postąpiłem słusznie: była praktycznie bezbronna, a do jutra zda sobie sprawę, jak wielki błąd mogliśmy popełnić. Ale kto zaczął? Dzwoń do mnie o każdej porze, powiedziałem. Nie chodzi o sprawy zawodowe, powiedziałem. Zgredowaty wybawca, flirtujący jak studenciak.

Czułem się jak idiota, ale problemy zawodowe szybko wzięły górę nad osobistymi. Sprawa przeciwko Ashley Bronson przybrała niekorzystny obrót.

„A zatem, panie i panowie, oskarżona była widziana przez wiarygodnego świadka, kiedy wychodziła z domu ofiary w chwilę po tym, gdy padł śmiertelny strzał z pistoletu, na którym zostawiła swoje odciski palców. Dodam, że niedługo przedtem groziła panu Garveyowi, że go zabije”.

Jak mówił Walter: wszystko zależy od punktu widzenia.

8

Byliśmy zdecydowani dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o Milesie Kelloggu, świadku oskarżenia, jego przeszłości, wykształceniu, przebiegu kariery i emerytury, dochodach, majątku i zobowiązaniach, przyjaciółach, krewnych, współnikach i wrogach, miejscach, w których bywał, i tych, gdzie robił zakupy, jego pasjach, nawykach, zainteresowaniach i słabościach.

No i czy trzymał w domu zwierzęta. Czy kłamał pod przysięgą podczas przesłuchań w sprawie Iran-contras? Czy kiedykolwiek zetknął się z Garveyem?

Czy znali go bileterzy z kina Biograph?

Było tego dużo, więc Walter postanowił włączyć do zespołu jeszcze jednego detektywa, Harry'ego Lenera, byłego sierżanta policji, który wziął go pod swoje skrzydła, kiedy pracowali w Bronksie. Nie byłem zachwycony tym pomysłem.

- Dlaczego akurat on? -jęknąłem.

- A dlaczego nie? - Pociągnął nosem. - Przyda się jeszcze jeden łaps. Poza tym, ta sprawa robi się dziwna i kto wie, jak się rozwinie.

No właśnie. W swoich zielonych latach Lerner miał przydomek Harry Koń i, jak mawiał Walter, był „legendą od jednego do drugiego końca Fordham Road”. Zasłużenie. Jednym z najtrudniejszych zadań policjanta jest aresztowanie człowieka siedzącego w knajpie z kumplami. Mieszanka alkoholu, testosteronu i presji otoczenia może zmienić zwyczajnego faceta w King Konga, a grupkę pijaczków w żądny krwi tłum. Niejeden policjant został pobity do utraty przytomności - albo gorzej - w którymś z „barów ludzi pracy”. Przed Harrym szła jego reputacja. Wchodził spokojnie do knajpy, kładł na kontuarze kajdanki i mówił aresztowanemu, że ma dwie minuty na to, by docić drinka i wyjść - skuty. W drzwiach dodawał jeszcze: „Czekam w samochodzie. Nie zmuszaj mnie, żebym tu po ciebie wrócił”.

Bywalcy wszystkich knajp w Bronksie wiedzieli, co się stało, kiedy pewnego razu Harry musiał wrócić. Miał ze sobą strzelbę. Wielka ława przysięgłych w końcu nie postawiła go w stan oskarżenia, ale Komisja Praw Obywatelskich bardzo chciała odebrać mu odznakę. Na szczęście dla Harry'ego wszyscy uczestnicy zajścia byli biali. Brak rasistowskich podtekstów sprawił, że nikomu nie zależało na rozdmuchaniu sprawy, a kiedy wreszcie przy-

cichła, załatwiono ją dyskretnie wewnątrz wydziału. Harry dostał trzy miesiące zawieszenia i po powrocie stał się legendą.

- Biorę dwie stowy dziennie plus wydatki - oświadczył. W porównaniu z nim Walter mówił językiem wprost szekspirowskim. -No i - wyszczerzył zęby w uśmiechu - chcę poznać tę dzierlatkę.

Czy sprawa jest dziwna, czy nie, włączenie Harry'ego do naszego zespołu budziło mój niepokój.

- Nie pozwolę na nic gorszego od naszego małego włamania - uprzedziłem Waltera.
- Trzymaj go na smyczy.

Skoro nasz rozszerzony zespół skupił się na Kelloggu, ja mogłem się zająć czymś innym, ale niepokój uniemożliwiał mi koncentrację i kiedy w środę rano zadzwonił do mnie mój ulubiony prokurator, nie tryskałem humorem.

- Przypuszczam, że dostał pan mój mały prezent - powiedział.
 - Tak. Wcześniej nie chciał mi pan tego przekazać. Skąd ta zmiana?
 - Jutro Święto Dziękczynienia. Będzie pan miał za co dziękować.
 - Jasne. Pomyślę o panu, krojąc indyka.
 - Świetnie, nie stracił pan poczucia humoru. Mam nadzieję, że będzie panu dopisywać również na naszym spotkaniu.
 - A czegoż miałyby dotyczyć?
 - Myślę, że sprawa... rozwija się. Może dobrze byłoby wymienić poglądy. Gotów byłem się założyć, że jego poglądy są o wiele bardziej optymistyczne.
 - No dobra, kiedy?
 - Może w piątek? Powiedzmy, o dziewiątej? - Mówił wręcz serdecznie.
 - O dziewiątej. Tego... nie spóźni się pan, co? - Odłożył słuchawkę.
- Serdeczność ma swoje granice.

Większą część Święta Dziękczynienia spędziłem w domu, potem poszedłem do baru, w którym było czterech klientów i telewizor pokazujący motocykle przelatujące nad wielkimi kupami błota. Stamtąd wyruszyłem do biura, gdzie usiadłem za biurkiem i zacząłem nerwowo myśleć o świadku.

Czy był wiarygodny? Zasady logiki zadawały kłam instynktowi Feinberga, ale tak czy inaczej Kellogg był sztyletem wbitym w serce obrony. Nie mogłem już dłużej usiedzieć na miejscu, więc wyszedłem z gabinetu, by strzec bezpieczeństwa pracowników nocnej zmiany i ludzi cierpiących na bezsenność. O północy spacerowałem po terenach Kapitolu, o świcie znalazłem się przy pomniku Lincolna, a wschód słońca powitałem na moście Key. Po nieprzespanej nocy poszedłem do biura Rogavina.

Uśmiechnął się zza biurka.

- Wygląda pan na lekko zmęczonego. Ufam, że ma pan dość czasu na odpoczynek?
- Dużo imprezuję. Zawsze tak robię, kiedy czuję się niezwykły.

Między nami leżały akta „Stany Zjednoczone kontra Ashley Bronson”.

Sprawa rzeczywiście była rozwojowa: kartoteka składała się już z trzech kopert wypełnionych owocami pracy wszystkich policjantów, naukowców i asystentów prokuratora, starających się posłać Ashley do więzienia.

- Mam nadzieję, że znalazł pan trochę czasu, by przestudiować zeznanie pana Kellogga - powiedział.
- Czytałem je.
- To dobrze. Jestem ciekaw, czy zmienił pan stanowisko.

- A czemu miałbym to zrobić?

Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, jak u profesora mającego do czynienia z tępowym studentem.

- Ponieważ teraz już wie pan, że... - uniosł jeden palec - mamy bardzo wiarygodnego świadka, który widział pańską klientkę... - dwa palce - z bliskiej odległości... - trzy palce - kiedy stała na posesji zmarłego w porze jego zabójstwa.

Wzruszyłem ramionami.

- Wcale nie. Wiem tylko tyle, że ma pan kogoś, kto twierdzi, że ją widział. Ponieważ jednak jej tam nie było, rodzą się pewne wątpliwości.

Westchnął.

- Na przykład jakie?

Uniosłem jeden palec

- Facet widzi kobietę w świetle latarni z odległości sześciu metrów... -dwa palce - w ciemną deszczową noc... - trzy palce - i rozpoznaje ją po czterech dniach... - cztery palce - w telewizorze stojącym na drugim końcu pokoju. Może i jest wiarygodny, ale z drugiej strony może ostatnio widział Elvisa w supermarkecie?

- To były agent CIA.

- To dobrze czy źle? Tak czy inaczej, coś tu nie gra, bo ona tego nie zrobiła. Nie miała motywu.

Skubnął wargę.

- Przecież panu tłumaczyłem: obwiniała Garveya za śmierć ojca.

- Tak, to pańska teoria. Śmierć ojca była dla niej ciosem, ale nie winiła za nią nikogo, bo nikt nie był temu winny.

- Może i nie. Ale jeśli jest jakiś związek, to go znajdziemy.

- Jak wam się to uda, to dajcie znać.

- Wtedy będzie za późno.

- Myślałem, że już jest za późno. Pańska propozycja była aktualna do chwili postawienia mojej klientki w stan oskarżenia.

- Powiedzmy, że okres ważności został przedłużony.

- Serio? Najpierw daje mi pan zeznanie Kellogga, a teraz taka niespodzianka. Co jest grane?

- To bardzo proste. Prokurator federalny został mianowany przez polityków, a mieszkamy w małym mieście, w którym ludzie mają dobrą pamięć.

Księżniczka ma wielu wpływowych przyjaciół, którzy nie opuścili jej w potrzebie, przynajmniej na razie. Jak już mówiłem, jutro będzie pan miał za co dziękować.

- No to co ma mi pan do zaoferowania?

- To samo. Oskarżenie milczy, kiedy panna Bronson opowiada o swoich cierpieniach. Cnotliwa kobieta u kresu wytrzymałości, bla, bla, bla. Takie pieprzenie dobrze się sprzedaje w dzisiejszych czasach. - Powoli obrócił się na krześle i odchylił do tyłu, kładąc na biurku nogi w mokasynach.

-Rzeczni przyjaciele piszą dużo listów i nagabują sędziego na przyjęciach świątecznych. Kto wie? Może dopisze jej szczęście. W Boże Narodzenie cuda się zdarzają.

- Cóż za hojność. Zadzwońmy do pana.

- Ależ proszę bardzo. Nic nie trwa wiecznie.

Sytuacja nie poprawiła się, kiedy Walter przyszedł w następny poniedziałek

- No i - powiedziałem - co z Kelloggiem?

- To uczciwy obywatel.

- Nie to chciałem usłyszeć.

- Wdowiec. Bezdzienny. Siostra mieszka w Saint Louis. Zarejestrowany jako niezależny wyborca. Rachunki opłaca w terminie, nie ma dużych długów. Spory portfel akcji, ale w zasięgu pracownika rządowego. Prenumeruje „New York Times”, „Economist” i „National Geographic”, żadnego „Playboya” czy innego „Hustlera”. Dwa, trzy razy w tygodniu jada na mieście. Pije do kolacji dwie lampki wina. Daje piętnastoprocentowy napiwek.

- Piętnastoprocentowy? To mamy go w garści.

- W środy gra w brydża z sąsiadami. Zbiera płyty z muzyką klasyczną, które kupuje w Nowym Jorku, w specjalistycznym sklepie dla... melomaniaków.

- Melomanów.

- Jeden diabeł. Kupuje garnitury u Braci Brooks, a normalne ciuchy w L. L. Bean. Niewiele na nie wydaje. Po żarcie chodzi do Safewaya na Wisconsin Avenue, preferuje zdrowe produkty, takie, co nie szkodzą na serce.

Nie gra w golfa ani w tenisa, nie biega, ale jest w przyzwoitej formie. Do czytania zakłada okulary. Bierze leki na obniżenie poziomu cholesterolu.

- Wiem, że masz coś w zanadru.

- W weekendy często spaceruje po okolicach domku w Zachodniej Wirginii, który kupił w siedemdziesiątym pierwszym roku za trzydzieści jeden patoli. W sobotę drugiego listopada zatankował paliwo na stacji Exxon w Berkeley Springs i o jedenastej trzydzieści pięć zadzwonił do sąsiada, pana Kitchensa. W poniedziałek rozmawiał też ze swoją siostrą. W domku jest wieża z radiem, ale nie ma telewizora. Nie docierają tam żadne gazety

oprócz lokalnego tygodnika, a w nim nie było nic o Garveyu.

- A co z kinem?

- Wieczorem pierwszego listopada pokazywano w nim Nieznajomych z pociągu. Seans zaczął się o ósmej piętnaście, skończył o dziesiątej. Kierownik kina mówił, że nasz znajomy jest stałym bywalcem, ale nie potrafił powiedzieć, czy był tam tamtego wieczoru. Dzieciak z kasy miałby kłopoty z rozpoznaniem własnej matki.

- Możesz przejść do dobrych wiadomości. Nie krępuj się.

- Trasa, którą wracał do domu, nie była najkrótszą z możliwych. Nadłożył jakieś dwie przecznice i musiał kluczyć po dzielnicy.

- No to co? Przecież często tamtędy chodzi. Pewnie chciał sobie urozmaicić spacer.

- Padało.

- Miał płaszcz przeciwdeszczowy, parasol i kalosze.

- Było zimno i padało.

- Facet jest typem twardziela, lubi spacerować.

- Chcesz mnie wkurzyć?

- Robię za adwokata diabła.

- Z tym poszłoby ci lepiej - burknął, wskazując swoje krocze. - No dobra, słuchaj: facet przyjeżdża do swojego domku i pierwsze, co robi, to dzwoni do sąsiada, pewnie żeby poprosić go o odbieranie gazet. Dlaczego nie zostawił mu kartki albo nie porozmawiał z nim przed wyjazdem?

- Jest spontaniczny. Nie ma żony ani dzieci, więc ot tak postanowił wyjechać.

- Gość w życiu nic nie zrobił spontanicznie.

- Może tak, może nie. I co z tego wynika?

Zmarszczył brwi.

- Na razie, nic.

Spojrzałem w sufit i głośno wypuściłem powietrze z płuc.

- Może lepiej zajmij się szukaniem czegoś, co pozwoliłoby nam zakwestionować jego wiarygodność, i przestań tracić czas na sprawdzanie, co robił przed i po zabójstwie. Myślałem, że zgodziliśmy się co do tego, że musiał ją widzieć, bo wiernie opisał jej zachowanie.

- To ty się zgodziłeś - odparował. - Ja się z niczym nie zgadzałem. - Zanim zdażyłem odpowiedzieć, podniósł dłoń i powiedział: - Najlepsze za-chowałem na koniec. Jest zapisany do wypożyczalni wideo na Wisconsin Avenue. Zgadnij, jaki film wziął stamtąd po powrocie z domku?

- Nieznajomych z pociągu?

- Brawo!

- Żartujesz? W piątek obejrzał to w kinie, a w środę wypożyczył. Po co?

- Może wcale tego nie oglądał. Może chce być przygotowany na wypadek, gdyby ktoś go spytał, o czym to jest.

- Przestań już - powiedziałem. - Przez ciebie łeb mnie boli. Może rzeczywiście tamtego wieczoru nie poszedł do kina. Może wracał od swojej panienki, kiedy zobaczył naszą klientkę, więc wymyślił całą historyjkę z kinem, żeby zaoszczędzić sobie wstydu. Widział ją, ale skłamał, że wracał z kina - wielkie rzeczy.

- Tak? To po co pojechał w góry?

- Po co? Może ma tam dom i lubi wędrowki, jak sam przed chwilą mówiłeś. Co za różnica, po cholere pojechał w góry? Był w domku, to się liczy!

Walter potrząsnął głową.

- To daje mu idealne wytłumaczenie, dlaczego zgłosił się na policję dopiero we wtorek. To zbyt zgrabne.

- Super. „Zbyt zgrabne"! Czas ucieka, a my wracamy do tych samych wniosków. Jeśli masz chwilę, to przedstawię ci naszą sytuację z prawnego punktu widzenia. Do procesu zostało dokładnie dwadzieścia osiem dni, a na razie zanoszi się na to, że moje przesłuchanie kluczowego świadka oskarżenia składać się będzie z pytań: „Prawda, że było ciemno, panie agencie CIA? Prawda, że padał deszcz, panie agencie CIA?" Jak myślisz, dużo nam to da?

- Raczej nie - mruknął.

- A widzisz? Powinieneś być studiować prawo, bo bez żadnego przeszkolenia prawniczego udało ci się zgadnąć, że mamy przejebane!

- Może karta się odwróci - burknął. Wstał i zapiął marynarkę; była zielona, w kratę.

- Wiesz, nie powiedziałeś mi jeszcze, co było motywem.

Westchnąłem.

- Zemsta. Garvey był odpowiedzialny za śmierć jej ojca.

Wbił we mnie wzrok.

- Czekaj no! Gazety pisały tylko, że stary zmarł. Bez żadnych szczegółów.

- Według oficjalnej wersji przyczyną śmierci były powikłania po wylewie, ale naprawdę Bronson przedawkował środki nasenne. Jego lekarz wie o tym, ale uznał to za wypadek. Prawda jest taka, że to było samobójstwo.

- Mam rozumieć, że to Garvey go do tego doprowadził?

- Tak mówi ona.

- Wierzysz jej? - Wyglądał, jakby miał wątpliwości. W tej chwili wydało mi się istotne, by on też jej uwierzył.

- Dziennik Bronsona potwierdza jej słowa.

Westchnął i usiadł ciężko. Wyglądał na zmęczonego.

Wstałem i zamknąłem drzwi.

- Jej ojciec prowadził dziennik. Mam go, a przynajmniej jego ostatni tom.

- Od niej?

- Tak.

- I jest w nim napisane, że zrobił to przez Garveya?

- Mniej więcej.

- Chryste! Jeśli to wpadnie w ręce glin, to już po niej. To dowód, że działała z premedytacją. Zabójstwo pierwszego stopnia.

- Wiem.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, do cholery?

- Może lepiej takich rzeczy nie wiedzieć.

Potał szczękę.

- Czy to, że przetrzymujesz dowód, nie jest tym... no... prawnym... jak to się nazywa?... dylematem... dylematem...?

- Dylematem.

- No właśnie. No to jak, jest czy nie?

- Pewnie tak.

- I co zamierzasz z tym zrobić?

- Nie jestem pewien. Na razie mam większe zmartwienia.

Reszta dnia była stracona. Siedziałem przykuty do krzesła, z zamkniętymi drzwiami, nie odbierając telefonów. Byliśmy przyparci do muru i patrząc wstecz, dziwiłem się, dlaczego jestem tym zaskoczony. Rogavin pierwszego dnia wyłożył kawę na ławę, ale ja go nie słuchałem, bo byłem zbyt zajęty wymianą złości i ochroną mojej dziewczyny przed łobuzem z rządu.

Mojej nowej, sławnej dziewczyny. Po biurku wciąż walały się wycinki z prasy na jej temat, wspomnienia o uprzywilejowanym dziecku, z którego wyrosła niezwykła kobieta, fascynująca mężczyźni z wyższych sfer. I w najbardziej krytycznym momencie swojego życia wybrała mnie. A teraz mogła pójść na dwadzieścia lat do więzienia, bo jej adwokat czuł się trochę samotny.

Moje oczy powędrowały do zdjęcia Jezebel i doznałem chwilowego olśnienia: można by wywieźć ją łodzią przez zatokę Chesapeake na morze, a stamtąd w siną dal. No proszę, a myślałem, że brakuje mi pomysłów. Rzeczywistość wcisnęła mnie głębiej w krzesło. Dobrze, ucieknę, ale dopiero wtedy, kiedy to wszystko się skończy. Wydam wszystkie pieniądze, które od niej dostałem, ale ona nigdzie nie wyjedzie, przynajmniej nie za młodu.

Zapadałem w drzemkę i budziłem się. Zacząłem rysować na kartce z notesu: ulica, chodnik, dwa kółka. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer.

- Halo?

- Cześć.

- Cześć.

- Co słychać?

- Wszystko w porządku. A u ciebie?

- Jakoś leci. Pomyślałem, że wpadnę do was dzisiaj. Jeśli można.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu nie wyrobiłem się w weekend i... sama rozumiesz.

- Jasne. Bardzo się ucieszy. Wypytuje o ciebie.

- Świetnie. To świetnie...

- Powiedz mi, co się stało.

- Nic. Naprawdę.

Chwila ciszy.

- Przyjdź o siódmej. Zrobię kolację. - Kiedy robi się gorąco, twardziele biorą się do działania. My, zwykli ludzie, szukamy schronienia. Zwlekałem tak długo, jak to było możliwe, i zadzwoniłem do drzwi za piętnaście siódma.

Po chwili stanąłem twarzą w twarz z byłą panią O'Connell.

- Nie wracałeś tak wcześnie, kiedy byliśmy małżeństwem - powiedziała.

- Trochę się pospieszyłem. Przepraszam.

- Nic się nie stało. - Musnęliśmy się policzkami. Przypomniała mi się noc, kiedy poszliśmy na całość tu, pod drzwiami; nawet nie zdjąłem wtedy płaszcza. A teraz muskailiśmy się policzkami. Moje życie było jednym wielkim absurdem: cofałem się i w sprawach zawodowych, i osobistych. Zaprowadziła mnie do salonu i zawołała Brendana. - Przyszedł tatuś, skarbie.

Brendan leżał na podłodze z jakąś grą planszową, ale kiedy tylko usłyszał tę wiadomość, natychmiast zerwał się i rzucił biegiem w moją stronę.

- Tatusiu! Mam chińskie warcaby! - Skoczył na mnie i złapałem go, kiedy jeszcze był w powietrzu.

- Cześć, kolego. Jak się miewa mój duży chłopiec?

- Dobrze. Umiesz w to grać, tatusiu?

- Trochę zapomniałem. Będziesz mi musiał pokazać, co i jak.

- To nic. Mamę też musiałem uczyć. -Zaczął ciągnąć mnie w stronę gry.

Moira szepnęła:

- Będzie tak jak z „Monopolem”.

Zdjąłem marynarkę i krawat, a Brendan przygotował planszę, ustawiając krążki w czterech kolorach na, wydawało się, losowo wybranych polach, choć doświadczenie podpowiadało mi, że jeden z graczy już ma poważne kłopoty.

- No dobra, kolego. Jak się w to gra?

- Musisz spróbować doprowadzić swoje pionki tutaj, a ja swoje tam. - Nie wyjaśnił, jak osiągnąć ten cel. Kiedy powiedział, że zrobi pierwszy ruch, usłyszałem dochodzący z kuchni chichot Moiry. Poszło mi jeszcze gorzej niż w „Monopol”. Raz myślałem, że już mam go w garści, ale wtedy zostałem zaskoczony nagłą zmianą zasad, i po chwili Brendan znudził się grą z tak nieudolnym przeciwnikiem. - Tatusiu?

- Słucham, kolego.

- Lubisz ciasto?

- Ciasto? No pewnie. A jakie?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Wreszcie krzyknął:

- Mamo!

Z kuchni dobiegł głos Moiry:

- Tak, kotku?

- Jakie ciasto lubię?

Cisza. Potem:

- Szarlotkę, skarbie. Brendan uśmiechnął się szeroko.

- Szarlotkę, tatusiu. Jadłem szarlotkę.

- W Święto Dziękczynienia, tak?

- Uhm.

- Upiekła je Bridey?

- Bridey? - Znów zmarszczył brwi.

- Jadłeś szarlotkę u dziadzia?

Przewrócił oczami, zirytowany.

- Nie, tatusiu, w restauracji.

- W restauracji?

- Takiej z końmi! One tam mieszkają, tatusiu! W... w takim domu, w którym śpią konie.

- W stajni?

- No! W stajni! Mieszkają w restauracji!

- Był tam staw z kaczkami?

- No! - Był zachwycony. - Karmiliśmy je z Robem! Byłeś tam kiedyś?

W kuchni zapadła grobowa cisza. Zajazd ze stajnią i stawem z kaczkami znajdował się na wschód od Shenandoah Park. Chodziliśmy tam z Moirą przy wyjątkowych okazjach, na przykład w ten weekend, kiedy test ciążowy zabarwił się na niebiesko.

Podniosłem głowę i napotkałem jej wzrok.

- Brendan - powiedziała - pora spać. - Standardowe protesty szybko zostały uciszzone i wszyscy razem udaliśmy się na górę. Moira szła przodem, a Brendan siedział mi na plecach. Pomogłem mu włożyć piżamę i nadzorowałem mycie zębów. Moja była żona dała się wciągnąć w debatę o stosowności noszenia koszulek futbolowych w szkole. Potem we trójkę przeczytaliśmy historię o chłopcu, który uratował smoka. Chciałem, żeby to

trwało wiecznie. Kiedy nadeszła pora snu, ułożyłem Brendana w łóżku.

- Tatusiu?

- Co?

- Lubię się z tobą bawić.

- Dziękuję, kolego. Tatuś bardzo cię kocha, wiesz?

- Tak. - Pocałowaliśmy się, Brendan przewrócił się na brzuch i ścisnął w rękę swojego ulubionego kosmicznego komandosa, dowódcę plastikowej armii, która okupowała cały pokój. Cudowny jest świat, w którym człowiek musi się martwić tylko o to, jak uratować Ziemię przed zniszczeniem. Przystanąłem na chwilę, by objąć wzrokiem królestwo mojego syna, podczas gdy Moira czekała w drzwiach. Wreszcie zesliśmy na dół.

Kolację jedliśmy przy świecach. Moira położyła moje nakrycie u szczytu stołu, co w tych okolicznościach uznałem za szlachetny gest.

- Ten wieczór był mi potrzebny - powiedziałem. - Dzięki.

- Proszę bardzo. A teraz powiedz mi, co jest grane... tylko bez owijania w bawełnę.

- Sprawa się sypie.

Odłożyła widelec.

- A co się stało?

- Nic konkretnego; po prostu stos dowodów rośnie.

- To cię dziwi?

Potrząsnąłem głową.

- Nie i to właśnie jest najgorsze. Przez pewien czas miałem przecucie że możemy wygrać. Było nieuzasadnione, no i spotkał nas zimny prysznic.

- Zostanie skazana?

- Tak. - Nie musiałem jej mówić, że to tajemnica. Moira potrafiła trzymać język za zębami w sprawach zawodowych i osobistych. Założę się, że nikt nie poznał całej prawdy o naszym rozstaniu, nawet Rob.

- Nie możecie pójść na ugodę?

- Już raz odrzuciliśmy taką propozycję. Nie sądzę, by zmieniła zdanie.

- Cóż, nie zdręczaj się tym, Frank. Z tego, co wiem, to bardzo inteligentna kobieta i samodzielnie podjęła decyzję.

- Jest inteligentna, ale posłuchała mojej rady. Zaufała mi.

- Jestem pewna, że w tamtym momencie ta rada była najwłaściwsza. Tatko mówi, że jesteś obrotny, takiego słowa użył, i że nie zna drugiego tak rozsądnego prawnika.

- Nie wiem, czy to jej w czymś pomoże. - Zapadła niezręczna cisza.

Moira wpatrywała się we mnie, starając się przeniknąć do ukrytych zakamarków mojej duszy.

- Jest bardzo piękna - powiedziała cicho.

- To prawda.

- O to chodzi?

- Między innymi.

Próbowała to ukryć, ale widziałem, że jest poruszona, co wzbudziło we mnie poczucie winy i radość zarazem.

- No i co teraz będzie? - spytała spokojnie.

- Nie mam pojęcia.

- Cóż, na pewno coś wymyślisz.

- Tak, w końcu jestem obrotny. - Zachowywała się już jakoś inaczej. Nie chciałem dłużej rozmawiać o sprawie, ale tematy, o których dyskutowaliśmy dawniej, strategia i taktyka przetrwania rodziny z przedmieścia w latach dziewięćdziesiątych, były już właściwie zamknięte. Ostatnim łączącym nas ogniwem pozostawał Brendan. Spróbowałem przywrócić wcześniejszy nastrój. - Zrobił już listę życzeń do Mikołaja? Zasłoniła oczy.

- Była gotowa we wrześniu. Uwierzysz?

- Jest dobrze zorganizowany.

- Lista ma z kilometr długości.
- Nie zadowala się byle czym.
- Chce komputer za dwa tysiące dolarów.
- Zwariował.
- Ma to po tobie.
- Mogę zobaczyć tę listę?

- Mam ją w kuchni. - Wstała i po chwili wróciła z kartką żółtego papieru zapisaną niebieską kredką.

- Kiedy nauczył się tak ładnie pisać?

- Jeszcze nie umie, ale znalazł w grupie dziewczynkę, która zrobiła to za niego.

Wygląda na to, że została jego sekretarką.

- Siada mu na kolanach?

- Pewnie tak. To pudełko farb to chyba dla niej.

Mój syn rzeczywiście nie zadowolił się byle czym. Na liście znalazło się siedemnaście zabawek i gier, poczynając od tych tradycyjnych, a na najnowszych osiągnięciach elektroniki kończąc. Jeden z punktów zwrócił moją uwagę.

- Wykreśl rękawicę bejsbolową- powiedziałem. - Biorę to na siebie.

- Może wolałbyś kupić Nintendo? Wiem, że nie jest tanie, ale myślę, że naprawdę mu na nim zależy...

Potrząsnąłem głową.

- Nie chcę dać mu czegoś, co przykuje go do telewizora.

- Frank...

- Czyli mam kupić rękawicę i... co? - Wyglądała na niespokojną.

- Rękawicę bejsbolową już mamy z głowy.

- Tatko chce mu jadać? Zamieni się ze mną. Niech kupi łuk...

- Rob.

- Rob ma kupić Brendanowi rękawicę?

- Tak.

- Rob da mojemu synowi jego pierwszą rękawicę bejsbolową?

- Brendan już mu powiedział, że chce rękawicę. Rob obiecał, że ją kupi.

Wybierz co innego.

- Powiedz Robowi, żeby to on wybrał co innego.

- Nie.

- No to ja mu powiem.

- Nie! Na litość boską! W czym problem? Obaj go kochacie i obaj dacie mu prezenty!

- Aha. No cóż, dzięki, że mi to wytłumaczyłaś, Moiro. Rob i ja jesteśmy dwoma zwykłymi facetami, którzy kochają Brendana. Nie wiem, co mnie opętało! Strzeliła mi do głowy taka idiotyczna myśl, że mam jakieś specjalne prawa.

- Tylko razem ze specjalnymi obowiązkami.

- Nie mów takich rzeczy, Moiro! Do cholery! Robię, co mogę!

- Nie, po prostu robisz to sam, a to dla ciebie najważniejsze. I to jest luksus, na który nie mógłbyś sobie pozwolić, gdyby nie wspierał nas mój ojciec.

- Może wsparcie Tatka nie byłoby potrzebne, gdyby jego córka udzieliła mi swojego.

- I wszyscy spalibyśmy na twoim składanym łóżku. Miałaś obowiązki i odszedłeś. Może twój ojciec to samo zrobił tobie, ale nie on był temu winien.

Nachyliłem się do niej.

- Mój ojciec? Powiem ci coś o moim ojcu. Nie zapewnił mi ciepła rodzinnego, ale nawet on pamiętał o rękawicy bejsbolowej. I mogłem mówić wszystkim kolegom: „Dostałem to od ojca”. Mojego ojca, Moiro, nie jakiegoś obcego człowieka.

- Przestań! Tu wcale nie chodzi o rękawicę! A Rob nie jest obcym człowiekiem.

- No jasne. Jest członkiem rodziny, co tłumaczy, dlaczego nie mogłaś go zabrać do Tatka na Święto Dziękczynienia.

- Nie mieszaj w to Tatka. Nigdy nie pogodził się z naszym rozwodem.

Tutaj chodzi o moje uczucia.

- Tak, Rob i ja jesteśmy sobie równi.

- Nie, Frank, to nieprawda. Ty byłeś moim mężem. Rob nim będzie.

Pokój zaczął powoli wirować mi przed oczami.

- Kiedy?-wychrypiałem.

- W czerwcu. Sprzedał swoją firmę grupie inwestycyjnej, do tego czasu obowiązuje go umowa o pracę.

- Kiedy to zostało postanowione?

- Niedawno.

- To znaczy minutę temu?

- Idź do diabła!

- Posłuchaj, chodzi o to, że... sposób, w jaki zareagowałaś na to, co mówiłem o Ashley Bronson. Nie wiem... Jezu... nie mogę zebrać myśli.

Odwróciła się.

- To nie wszystko - powiedziała łagodnym tonem.

Przeszył mnie lęk.

- Co jeszcze?

- Rob ma dom w San Francisco. Brendan i ja pojedziemy tam z nim.

„Czy Forty-Niners to dobra drużyna?”

Poczułem coś jakby silny cios, a potem mrowienie twarzy. Położyłem dłonie na stole, by nie upaść. Pokój zdawał się wirować przed moimi oczami, chwyciły mnie mdłości.

- Muszę iść - wydyszałem, usiłując podźwignąć się na nogi, wsparty o krzesło.

Podniosła się i złapała mnie za przedramię.

- Musimy porozmawiać, Frank. Teraz!

Podniosłem rękę na znak, że mam dosyć. Nie chciałem rozmawiać, nie chciałem też zarzygać całego salonu. Wymamrotałem „muszę iść” i ruszyłem w stronę przedpokoju, ale ona stanęła przede mną, cofając się i próbując

zastąpić mi drogę.

- Chcę, żebyś ze mną porozmawiał! - krzyknęła, bardziej przerażona niż wściekła. Precisnąłem się obok niej, ale złapała mnie za rękaw. Pociągnąłem ją za sobą w stronę drzwi. - Co miałam robić, Frank, czekać, aż wrócisz? Czekałam trzy zaszranie lata! Miałam do końca życia być samotną matką? Powiedz, co powinnam zrobić! Słucham cię, ty... ty draniu!

Otworzyłem drzwi wolną ręką i odwróciłem się. Była przerażona, w niczym nie przypominała kobiety, która przywitała mnie przed zaledwie kilkoma godzinami. Od lat dawaliśmy sobie nieźle w kość, ale tak jeszcze nigdy, to był nowy rekord. Raz jeszcze mruknąłem „muszę iść” i wyrwałem się.

Zatrzasnęła za mną drzwi i kiedy chwiejnym krokiem podszedłem do samochodu, usłyszałem jej szloch. Byłem zbyt wstrząśnięty, by prowadzić. Na chwilę położyłem głowę na kierownicy, potem przekręciłem kluczyk i skierowałem się w stronę ulicy. Odjeżdżając, jeszcze raz rzuciłem okiem na dom. Brendan stał w oknie swojego pokoju. Pomachał mi.

Huey pomknął z opuszczonym nosem w stronę lądowiska, które wyglądało jak rana w sercu dżungli. Wyszedłem na płożę, prosto w prąd powietrza, z M-16 przewieszonym przez szyję i granatem dymnym w wolnej ręce. Widziałem twarz pilota śmigłowca bojowego cobra, który leciał obok. Karabin gatling obracał się automatycznie, zgodnie z ruchem hełmu, kiedy pilot rozglądał się, szukając czegoś do zabicia. Zbliżając się do lądowiska, odpalił jedną rakietę, potem drugą, puścił serię z gatlinga i ziemię spowiły kłęby

dymu. Zza moich pleców dobiegł trzask odbezpieczanych karabinów - to reszta oddziału przygotowywała się do skoku. Cobra odbiła w bok i rzuciliśmy się prosto w dym. Nie widzieliśmy nic aż do chwili, kiedy dżungla nagle ukazała się raptem dwa metry pod płozami. Skoczyłem, przebiegłem kilka metrów i schowałem się za przewróconym drzewem. Łoskot wirników zagłuszał terkot AK-47, ale charakterystyczne zielone smugi już przecinały polanę. Wyciągnąłem zawleczkę z granatu dymnego i rzuciłem go do góry;

czerwony dym mieszał się z brązowymi chmurami powstałymi w wyniku wybuchów i strumieniem zaśmigłowym, dając reszcie plutonu sygnał, że lądowisko jest „gorące”. Huey powinien był już odlecieć. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem pilota bezwładnie zwisającego z siedzenia. Do-wódca walczył z dźwignią, helikopter niezgrabnie zwrócił się ku górze i zaczął wirować, rozpaczliwie usiłując nabrać wysokości. Śmigło ogonowe zbliżało się do moich nóg, tnąc rośliny. Byłem przygwożdżony do drzewa. Krzy-

czałem i krzyczałem, ale śmigłowiec nie odlatywał.

Obudziłem się. Moje oczy nie otworzyły się od razu, ale już byłem na jawie. W przyciśniętym do materaca uchu słyszałem łomotanie pulsu. Dla pewności poruszyłem nogami i kiedy strach ustąpił, poczułem ból z tyłu głowy i ucisk w gardle. Takie są skutki. Otworzyłem oczy i powoli, ostrożnie odwróciłem się do ściany, ledwo widocznej w słabym świetle płynącym z okna. Przesunąłem rękę po prześcieradle tak, by zegarek znalazł się w zasięgu mojego wzroku: sześć po piątej, świt nowego dnia.

Nie pamiętałem picia. Przypominałem sobie wizytę u Moiry, ale nie chciałem myśleć o tym, co się tam stało. Później, kiedy poczuję się lepiej, pójdę do Noaha i razem zaplanujemy moje zstąpienie w otchłań przewlekłej depresji. Z upływem czasu ściana stawała się coraz słabiej widoczna, co niepokoiło mnie aż do chwili, kiedy przypomniałem sobie, że w grudniu słońce wschodzi grubo po piątej rano. Wtedy niepokój zmienił się w rozpacz: to nie był świt, tylko zmierzch, a ja leżałem nieprzytomny przez cały dzień. Wszyscy mnie pewnie szukali. Uznałem, że lepiej mi będzie tu, gdzie jestem.

To, gdzie byłem, stanowiło kolejną zagadkę. Do ściany miałem co najmniej trzy i pół metra, za daleko jak na mieszkanie o szerokości niecałych pięciu metrów, a meble, które widziałem przed sobą, nie wyglądały znajomo.

Jak na człowieka o analitycznym umyśle przystało, szybko domyśliłem się, co to za dom, ale żeby się upewnić, wstałem z łóżka i chwiejnym krokiem podszedłem do okna. Nie mogłem nie rozpoznać tego widoku, na niewielu posesjach w Georgetown stały oddzielne garaże. Skierowałem się prosto do łazienki, wsadziłem głowę do sedesu i pozby-

łem się mdłości z poprzedniej nocy. Moja przewidująca gospodyni zostawiła na umywalce aspirynę; wziąłem cztery tabletki, wszedłem pod prysznic i przez następne dziesięć minut oblewałem się na przemian zimną i gorącą wodą. Kiedy skończyłem się wycierać, pokój oświetlały tylko zapalone na zewnątrz latarnie, ale udało mi się znaleźć moje ubranie, wyczyszczone i wyprasowane, powieszona na drzwiach garderoby. Ubrałem się, pościeliłem łóżko i usiadłem w fotelu przy oknie. Na południu, nad dachami, widoczny był blask restauracji i barów na M Street.

Siedząc w ciemnościach, uznałem, że oto dotarłem do celu: zakończyła się odyseja, która miała być najpiękniejszym okresem mojego życia.

Stawienie czoła najgorszemu, co może się zdarzyć, wywołuje dziwne poczucie swobody. Koniec końców, strach to nic innego jak wyczekiwanie, a kiedy wszystko trafia szlag, kiedy człowiek jest okrążony i wie, że kawaleria nie przyjdzie z odsieczą sływa na niego całkowite zubożenie. Nic, co może się stać, nic, co ktokolwiek zrobi, nie budzi przerażenia. Strach znika bez śladu i przestaje się przywiązywać wagę do tego, co dzieje się wokół.

Poznałem to uczucie pół życia temu i przeżyłem; może uda mi się to jeszcze raz.

Usłyszałem kroki na korytarzu i po chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. Na dywan padła smuga światła, do środka weszła pani domu i usiadła naprzeciwko mnie na łóżku.

- Walter jest na dole - powiedziała cicho. - Pomyślałam, że moglibyśmy wspólnie zjeść kolację.

- Jutro złożę rezygnację z funkcji twojego adwokata. Zaproponuję ci parę osób na moje miejsce, a kiedy zdecydujesz się na którąś z nich, w sądzie zostanie złożony wniosek o przekazanie pełnomocnictw. Nie musisz się martwić, czy starczy czasu, bo twój nowy adwokat będzie dążył do przełożenia procesu, a sędzia wyrazi na to zgodę. Jutro też oddam ci pieniądze, ale sugeruję, żebyś zatrzymała Waltera, bo zna sprawę i nikogo lepszego nie znajdziesz. - Z tymi słowami wstałem.

- Frank?

- Co?

- Czy z czasem to przychodzi łatwiej?

Odwrociłem się.

- O czym mówisz?

- O odchodzeniu.

- Nie wiem, co masz na myśli, ale kiedy się zastanowisz, zrozumiesz, że robię to dla dobra nas obojga.

- To właśnie powiedziałaś żonie?

A ja myślałem, że gorzej już być nie może.

- Mówiłem przez sen?

- Byłeś pijany i nie mogłabym cię uciszyć, nawet gdybym spróbowała.

Tak czy inaczej, stało się, co się stało, a życie toczy się dalej.

- Potrzebujesz nowego adwokata.

- Nie jestem rozczarowana, Frank. Zadałam Tomowi Hardawayowi kilka pytań, zanim cię zatrudniłam. Powiedział mi o twoich... kłopotach.

- Wiesz, to ciekawe. O ile pamiętam, kiedyś opowiadałaś, jak to zobaczyłaś mnie w więzieniu i od razu pomyślałaś, że jestem tym, kogo potrzebujesz. Ponosi mnie wyobrażenia czy jeszcze nie wytrzeźwiałem?

- Frank...

- Hej, nieważne. Miałaś prawo poznać prawdę, a poza tym mimo wszystko mnie zatrudniłaś. Właściwie to mi nawet pochlebia. Tyle że ciekaw jestem, po co była ta szopka? Myślałaś, że będę się bardziej starał, jeśli uwierzę, że połączył nas los albo ślepa wiara? A przy okazji możesz powiedzieć, o co ci chodziło tamtego wieczoru w salonie?

- Nie podoba mi się, kiedy tak się zachowujesz.

- To prawdziwy ja. Opowieści, które słyszałaś, są prawdziwe.

- Nie obchodziło mnie to ani wtedy, ani teraz.

- No to może obejdziesz cię to: zawałiłem twoją sprawę. Kazałem ci odrzucić propozycję ugody, którą powinnaś przyjąć. Od samego początku wszystkie dowody świadczyły przeciwko tobie, a ja nie chciałem tego zobaczyć, bo byłem prawnikiem w potrzebie, a ty jesteś tym, kim jesteś, i... nieważne. Tak to wyglądało. Powiem ci coś jeszcze: Rogavin i ja nie przepadamy za sobą. Obraziłem go i teraz chce pokazać, jaki los czeka prostaczków, którzy zadarli z królem. Z nowym adwokatem, kimś, kogo szanuje, będziesz miała szansę na lepsze warunki ugody.

Ashley wstała z łóżka i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie odrzuciłam propozycji ugody tylko dla ciebie, Frank. Zrobiłam to, bo nie chcę iść do więzienia. Ani na dwadzieścia, ani dziesięć lat. Jakikolwiek miałaś powody, by udzielić mi tej rady, nadal uważam, że była słuszna.

- Ashley...

Podeszła do drzwi i odwróciła się.

- Nie chcę nic więcej słyszeć. Wierzyłam w ciebie. Nadal wierzę. Trzeba tylko, żebyś i ty w siebie uwierzył. A teraz idę na dół zjeść kolację z moim detektywem. Dołączysz do nas czy nie?

No i tak to wyszło. To były naprawdę niesamowite dwadzieścia cztery godziny. Dwie kobiety będące częścią mojego życia dokonały wyboru na podstawie tego, co o mnie wiedziały. Teraz kolej na mnie. Najgorsze obawy sprawdziły się, wyznałem grzechy i zmyłem z siebie poczucie winy. Teraz musiałem tylko zdecydować, czego chcę, a to akurat nie było trudne: chciałem tego, co mi zostało.

- Chętnie zjem kolację - powiedziałem.

Kiedy weszliśmy do kuchni, Marta właśnie stała nad garnkiem z zupą.

Na twarzy nie miała charakterystycznego dla niej dobrotliwego uśmiechu, co dowodziło, że moja przeciągająca się wizyta zburzyła spokój tego domostwa. Pamiętając, że być może to ona poprzedniej nocy zdejmowała mi spodnie, starałem się nie patrzeć w jej stronę, kiedy szedłem przez kuchnię w stronę stołu, przy którym siedział Walter z „New York Post” i butelką importowanego piwa z zapasów Ashley. On też nie wyglądał na zadowolonego. Miałem trzymać się z dala od knajp i klientki. Uznał to, że zszedłem w jej sypialni, za zły znak.

Marta postawiła na stole wazę z zupą i gorący bochenek chleba, przyniosła lampkę wina dla Ashley, drugie piwo dla Waltera i wodę mineralną dla mnie. Mnie jednego nie zapytano, czego chcę się napić, ale uznałem, że nie było to przeoczeniem, więc jadłem zupę i trzymałem głowę na kłódce, podczas gdy oni gawędzili.

Po kolacji przeszliśmy do biblioteki na kawę. Pomieszczenie w pełni zasługiwało na to miano, miało ze dwadzieścia metrów długości, stały w nim dębowe drabiny na kółkach sięgające najwyższych półek - tak te, jak i wszystkie pozostałe były dosłownie zapchane. Książki zostały ułożone tematycznie i według nazwisk autorów. Dowodem fascynacji naukowych Henry'ego Bronsona były stare dzieła z dziedziny matematyki, fizyki, che-

mii, elektrotechniki i obwodów, kilka stosunkowo nowych prac o informatyce i wiele materiałów na pierwszy rzut oka dotyczących teorii liczb. Jednak jego zainteresowania były o wiele szersze: w bibliotece znalazły się też książki o ogrodnictwie, ekologii, planowaniu miejskim, astronomii i historii; do tego dochodziły jeszcze biografie oraz klasyka beletrystyki i literatury faktu.

W pomieszczeniu były wygodne sofy i krzesła, wózki do transportu książek i ławy zastawione tomami, manuskryptami, zdjęciami i pamiątkami. Na środku stał ładny ośmiokątny stół z mapą morską, antycznym mikroskopem i -jakżeby inaczej - stosami książek. Zadarłem głowę, by popatrzeć na sztukaterię i żyrandole, a Walter krążył wśród półek, dotykając skórzanych opraw, podziwiając obrazy i studiując zdjęcia okiem detektywa.

- O rany - westchnął - kiedy ostatnio widziałem coś takiego, przed wejściem stały kamienne lwy.

Ashley wniosła tacę z kawą i rozłożyła nakrycia na niskim szklanym stoliku wspartym na książkach.

- No i jak?-spytała.

- Przytulnie tu - powiedziałem.

Zaśmiała się.

- Też coś. - Wskazała pokój szerokim gestem ręki. - Mój ojciec był bibliofilem. To jego biblioteka, styl angielski, wzorowana na tej w Badminton House w Gloucestershire. Po śmierci matki większość czasu spędzał tutaj, za tym biurkiem. - Wskazała kąt pokoju, w którym stało biurko z pozłocanego brązu, większe od mojego mieszkania, ale proporcjonalne do rozmiarów pomieszczenia.

Usiedliśmy wokół kominka, Ashley na małej sofie, a Walter i ja na kanapie. Nikt nie miał wiele do powiedzenia, więc wydawało się, że pora jest odpowiednia, by wrócić do gry.

- Coś nowego? - spytałem Waltera.

- Nie - odparł. - Wiemy o Kelloggu tyle, co parę dni temu. Mówię ci, życie tego faceta jest zapięte na ostatni guzik.

- Co zrobimy? - spytała Ashley.

Walter pochylił się w moją stronę.

- Nasz mecenas dozna natchnienia, kiedy tylko trochę przewietrzy głowę.

Ashley uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś pewien? Nie wygląda na zbyt natchnionego. - Świetnie się bawili, rozprawiając o moim nadwątlonym zdrowiu.

- Cóż - powiedział - wiem, że czasami bywa do niczego, skubaniec... przepraszam za wyrażenie... ale kiedy robi się gorąco, potrafi wziąć się w garść.

- Chyba jest gorąco -powiedziała.

- Taa - mruknął. Popatrzył na mnie, odwrócił się do niej i mrugnął porozumiewawczo. - Poznaję tę minę. Ma pomysł.

Ashley przyjrzała mi się i spytała:

- Czy pan mecenas ma jakiś pomysł?

- Pan mecenas ma pomysł - odparłem.

- No to niech się nie krępuje - powiedział Walter. -I wali śmiało.

- No właśnie - poparła go Ashley. - Śmiało.

- Przeprowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Raymonda Garveya.

Popatrzyli na siebie, a potem na mnie. Ashley pierwsza przerwała mil czenie.

- Zdaje się, że wiemy już, jak to się skończy. Zrobiła to pensjonarka przyczajona w salonie z pistoletem.

- Ale nie wie tego ława przysięgłych - powiedziałem.

Walter pocierał szczękę.

- To prawda.

Spojrzała na niego, a potem na mnie.

- Istnieją dwie możliwe linie obrony - wyjaśniłem. - Jedna polega na próbie wywołania uzasadnionych wątpliwości poprzez wskazanie luk w argumentacji oskarżenia. Przypomina to mecz tenisowy, tyle że prokurator zawsze serwuje, a obrońca trzyma się linii końcowej i bije returny, próbując wymusić błąd. Właśnie to robiliśmy do tej pory. Staraliśmy się znaleźć słabe punkty Kellogga.

- A ta druga? - spytała.

- Odbierasz serwis tak jak w poprzednim przypadku, tyle że potem atakujesz przy siatce, czyli przedstawiasz przypuszczenie, że ktoś inny popełnił tę zbrodnię. Wtedy w procesie nie chodzi już o to, czy dowody wystarczają, by skazać Ashley Bronson, lecz o to, kto zabił Raymonda Garveya, a to już inna para kaloszy. Oskarżenie musi nie tylko wykazać, że ty to zrobiłaś, ale i że nie zrobił tego ktoś inny, a wykazanie czyjejś niewinności może być bardzo trudne. Krótko mówiąc, ława przysięgłych musi mieć uzasadnione wątpliwości co do twojej winy, jeśli choćby podejrzewa, że mordercą jest ktoś inny.

Zmarszczyła brwi.

- Przecież nie ma innego podejrzanego.

- Ależ jest.

- Kto?

- Pan Rolls-Royce - powiedział Walter.

- To nasz kandydat numer jeden - przytaknąłem.

- Kim jest pan Rolls-Royce? - spytała Ashley.

- Dystyngowanie wyglądającym siwowłosym dżentelmenem z wąsami.

Wardowie widzieli, jak wychodził z domu Garveya wyraźnie wzburzony.

- To wszystko?

- Na razie wystarczy.

Ashley była sceptyczna.

- Jak możemy mówić, że popełnił morderstwo? Przecież to tak, jakbyśmy chcieli go w to zrobić, zgadza się?

- Nikogo nie będziemy w nic wrabiać. Zamierzamy tylko zasugerować możliwość innego rozwiązania zagadki. Jeśli będą dwa warianty zamiast jednego, powinny się pojawić uzasadnione wątpliwości co do twojej winy.

- Ale dowody wskazują na mnie.

Potrząsnąłem głową.

- Nie wszystkie, tylko te wybrane przez oskarżenie. My przedstawimy dowody sugerujące inną wersję wydarzeń. ^

Na twarz Waltera wrócił uśmiech.

- Będzie nam potrzebny motyw - powiedział.

- Jeszcze go nie mamy - odparłem - ale wiem, gdzie go szukać. - Podeszedłem do Ashley i usiadłem przy niej. - Nadal we mnie wierzysz? - spytałem. Skinęła głową. - No dobra. Potrzebna mi będzie pozostała część dziennika twojego ojca, wszystkie tomy.

- Czemu?

- Raymond był zły na twojego ojca, a pan Rolls-Royce był zły na Raymonda. Może to zbieg okoliczności, ale jeśli nie, ta historia może stać się ciekawą alternatywą dla tej, którą opowie Rogavin.

- A co ma do tego dziennik?

- Ostatni wpis wskazuje, że kłopoty twojego ojca z Raymondem wzięły się z czegoś, co zrobił w młodości. Mówiłaś, że odkąd pamiętasz, prowadzi dziennik, więc gdzieś w nim może być klucz do sprawy. - Wziąłem ją za rękę. - Ashley, musimy się dowiedzieć, co knuli ci ludzie. W jej głosie i twarzy była rozpacz.

- Chcesz się dowiedzieć, dlaczego mój ojciec się zabił, prawda? Frank, nie...

- Nie prosiłbym o to, gdyby to nie było konieczne.

- Nie wiem, gdzie jest dziennik.

- Ile ma tomów?

- Tego też nie wiem. Możliwe, że dużo.

- Sprawdzałaś w sejfie?

- Tak. Były tam tylko papiery, żadnego dziennika.

Nie mogłem przyjąć do wiadomości, że utknęliśmy w martwym punkcie, zanim zaczęliśmy cokolwiek robić.

- Nie martw się, mamy tu detektywa. Teraz to jego kolej na natchnienie.

- Zwróciłem się do Waltera. - Musimy to znaleźć - powiedziałem.

Nie wydawał się ani trochę przejęty perspektywą kolejnego przeszukania. Odchylił się na oparcie i sięgnął po wykałaczkę.

- Pamiętasz, jak cię szkolilem? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Co było najważniejszą rzeczą, którą każdy detektyw wiedzieć powinien?

- Nie pamiętam. W której kafejce można dostać darmową dolewkę?

Potrząsnął głową.

- To był punkt drugi. Najważniejsza sprawa to nigdy nie przeoczyć tego, co oczywiste.

- A co jest takiego oczywistego w zaginionym dzienniku?

Przechylił głowę w moją stronę.

- Gdybyś chciał schować jakieś książki, gdzie byś je włożył? - Jakby pragnąc mi odpowiedzieć, podniósł oczy na półki nad moją głową.

Ashley usiadła prosto.

- Myślisz, że to jest tutaj?

- To miałoby sens - odparł.

W tym pomieszczeniu musiały być tysiące książek.

- Ashley - powiedziałem - może poprosisz Martę, żeby wstawiła wodę na kawę? Ja zadzwonię po Andy'ego. Jemu zostawimy górne półki.

Kiedy wyszła, Walter ostrzegł:

- Jeśli go w to wciągniesz, będziesz musiał mu powiedzieć o książce, którą trzymasz w swoim gabinecie.

- Skoro jest członkiem zespołu, to i tak prędzej czy później się o niej dowie.

- A co z naszym dylematem?

- Wiesz, co się mówi w takich sytuacjach.

- Co?

- Kiedy nie ma wyboru, problem nie istnieje.

Dziennik Henry'ego znaleźliśmy o świcie, wszystkie dwanaście tomów, schowane na półce w drewnianym pudełku oklejonym imitacją książkowej okładki. Dla niewtajemniczonych były Historią Anglii.

9

DZIENNIK HENRYEGO BRONSONA

12 sierpnia 1952. Dziś zaczynam pisać dziennik. Jeśli wytrwam w swoim postanowieniu, kiedyś będę miał pełne świadectwo, ale nie słów czy czynów, ponieważ moim zamiarem nie jest odnotowywanie wydarzeń. Wolę powierzyć to pamięci i korzystać z łaski, jaką daje czas i subiektywizm. Poza tym są praktyczne ograniczenia, których przysiągłem przestrzegać.

To będzie zapis moich refleksji. Nasz świat, pod rządami Boga i nauki, jest perpetuum mobile, wypełnionym energią umożliwiającą czynienie dobra i zła. Ja mam okazję urzeczywistnić marzenia. Mogę się tylko modlić, by wynikło z tego coś dobrego, ale niewykluczone, że to źle się skończy dla wszystkich zainteresowanych.

Dla detektywa, który w mgnieniu oka potrafił wydedukować, gdzie schowany jest zaginiony dziennik, identyfikacja i odnalezienie właściciela rolls-royce'a z kierownicą po prawej stronie nie było wielkim wyzwaniem.

Wczesnym popołudniem znaleźmy już nazwisko drugiego podejrzanego o zabójstwo Raymonda Garveya.

- Sherman P. Burroughs - oświadczył Walter.
- Sherman P. Burroughs - powtórzyłem.
- Sherman Pierce Burroughs.
- Sherman Pierce Burroughs - powtórzyłem.
- I to, skubaniec, trzeci.
- Trzeci...?
- Sherman Pierce Burroughs Trzeci.
- Aha. Co o nim wiemy?
- Jeździ żółtym rolls-royce'em zarejestrowanym w Wirginii.
- I?
- Nieźle kopie dynie.
- To wszystko?
- Na razie.
- A co będzie potem?
- Dowiemy się, którą ręką wyciera tyłek.
- Świetnie. Potem, to znaczy kiedy?
- Za tydzień.
- Zaczyna nam brakować tygodni. Lepiej mierzmy czas w dniach.
- Za siedem dni.

- Bardzo śmieszne. Każdy dzień jest dla nas na wagę złota.

- Jeden już straciliśmy wczoraj.

- Odpuść sobie, Walter.

- Nie, to ty sobie odpuść. Co w ciebie wstąpiło, do cholery? Chryste, nie myślałem, że znowu zobaczę cię schlanego, a mam już dość wyciągania cię z knajp. - Stał nad biurkiem i wymierzył gruby palec wskazujący między moje oczy. - To przez nią się rozklejasz. Trzymaj się od niej z daleka, jak ci radziłem.

- Moira wychodzi za mąż. Przenoszą się z Brendanem do Kalifornii.

- Moira wychodzi... - Wbił wzrok w sufit, cofnął się w stronę kanapy i usiadł, przeczesując palcami rzednące włosy i mruczając coś pod nosem.

Kiedy podniósł głowę, w jego oczach było autentyczne współczucie. - Cholernie mi przykro, chłopie - powiedział. - Co mogę zrobić?

- Zastrzelić niejakiego Roba.

- Kiedy to ma się stać?

- W czerwcu.

- W czerwcu? To jeszcze kawał czasu. - Westchnął i potrząsnął głową. - Co chcesz zrobić?

- Nie będę użalać się nad sobą. Skoncentruję się na tej sprawie, a kiedy będziemy ją mieli z głowy, rzucę się pod autobus.

Pokiwał głową, jakby uznał to za dobry pomysł.

- A jeśli wygramy?

- Obleję to. Potem rzucę się pod autobus.

- Lubię irlandzkie pogrzeby. - Tak, to byłby dopiero pogrzeb: ja, wyciągnięty w salonie, wyglądam nieźle jak na gościa, którego rozjechał autobus. Mój były teść przyjmuje wyrazy współczucia od nieprzebranej rzeszy lizusów. Walter i grupa starych nowojorskich byków w kącie przerzucają się opowieściami. Może kilku moich klientów dla urozmaicenia i większej równowagi rasowej. A po bokach trumny, z chusteczkami w rękach,

Moira Brennan O'Connell i Ashley Bronson. To się nazywa odejść w wielkim stylu.

- Co zrobisz najpierw? - spytałem.

- Pogadam z ludźmi, którzy wiedzą coś o nadziańcach z Wirginii.

- W porządku. Zobaczmy, co da się udowodnić Shermanowi Pierce Burroughsowi.

- Trzeciemu - dodał.

- No właśnie. Trzeciemu, skubańcowi.

Po wyjściu Waltera zadzwoniłem do Ashley. Odebrała Marta. Powiedziała, że pójdzie po pannę Bronson. Jej ton wskazywał, że rzeczywiście widziała mnie w majtkach.

- Cześć, Frank.

- To ja, twój zapracowany agent. Muszę z tobą porozmawiać, a cały dzień siedzę w gabinecie. Masz ochotę na spacer?

- Oczywiście.

Po piętnastu minutach zaparkowałem wóz na jej podjeździe i poszliśmy na wschód do Parku Rock Creek.

- Rzadko wychodzę z domu - powiedziała. - Gdziekolwiek pójde, wszyscy się na mnie gapią.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Dzięki. Ostatnio potrzeba mi komplementów.

- Za dużo czasu spędzasz sama. Co z twoimi przyjaciółmi?

- Wspierają mnie, ale chcą znać prawdę. To znaczy, nie pytają o to, nie zrobiliby tego, ale nasze rozmowy są sztuczne. Wszyscy w Waszyngtonie mówią o sprawie Ashley Bronson. My rozmawiamy o wszystkim oprócz sprawy Ashley Bronson. Zresztą, co miałabym im powiedzieć? „Dziewczyny, należało mu się”? Dlatego omijamy ten temat i w końcu zapada niezręczna cisza, a one uśmiechają się do mnie, jakbym była śmiertelnie chora. Nie zamierzam się z nimi spotykać, dopóki to się nie skończy.

- Potrzebujesz kogoś, z kim mogłabyś pogadać.

- Chciałabym, żeby był tu mój ojciec - powiedziała cicho. - Gdybym mogła teraz z nim porozmawiać...

- A propos. - Wyjąłem z kieszeni na piersi kopertę i wyciągnąłem z niej fotografię.

- Poznajesz to?

Było to czarno-białe zdjęcie trzech mężczyzn na ławce w parku. Dwaj siedzieli, uśmiechnięci i mrużący oczy od słońca świecącego za plecami fotografa. Trzeci stał za nimi i patrzył w bok, jakby ktoś lub coś zwróciło jego uwagę. Ashley spojrzała na fotografię i rozpromieniła się.

- Ten po prawej to mój tata! Skąd to masz?

- Zacząłem czytać jego dziennik. Zdjęcie było w pierwszym tomie, wsunięte pod oprawę. Kim są pozostali?

Wpatrywała się przez chwilę w ich twarze, po czym potrząsnęła głową.

- Nie poznaję żadnego z nich, ale to dość stare zdjęcie.

- Zobacz. - Odwróciłem fotografię, by pokazać jej zapisek ołówkiem:

L3-1953. - Wiesz, czym twój ojciec zajmował się w pięćdziesiątym trzecim?

- Nie. Rzadko opowiadał o tamtych czasach. Wiem, że po studiach został w Princeton, prowadził też jakieś badania na uniwersytecie w Chicago.

- Jakież?

- Wspominał coś o radarze, sonarze czy czymś takim. Naprawdę nie pamiętam.

- W tle widać góry, więc zdjęcie nie zostało zrobione w Princeton ani w Chicago.

Może domyślasz się, co mogło znaczyć „L-3”?

Dokładnie przyjrzała się zapiskowi.

- To nie „L-trzy”. Trójka jest nad L. Widzisz? To wyrażenie matematyczne: L do sześcianu.

- L do sześcianu?

- L do potęgi trzeciej.

- Kojarzę, miałem w szkole algebrę. Jesteś tego pewna? Na zdjęciu są trzy osoby. Myślałem, że może to się jakoś z tym wiąże.

- Widziałam wiele naukowych zapisków ojca. Ten wygląda jak L-sześcian.

- W porządku. Co „L do sześcianu” znaczy dla naukowca?

- Samo z siebie chyba nic. Czy o tym chciałeś ze mną porozmawiać?

- Właściwie nie. Mówi ci coś nazwisko Burroughs?

- Sherry Burroughs?

- Sherry? Nie wiem. Chodzi ci o Sherry'ego Trzeciego? Mieszka w Wirginii i jeździ żółtym rolls-royce'em?

Zatrzymała się.

- To Sherry Burroughs jest panem Rolls-Royce'em?

- We własnej osobie. Jak dobrze go znasz?

- Nie bardzo. Za to jego rodzina jest bardzo wpływowa. Zdaje się, że należy do FFV.

- FFV?

- Przepraszam. - Musiała to przetłumaczyć na język bogatych inaczej. - Pierwszych Rodzin Wirginii, potomków pierwszych kolonistów.

- Aha.

- Burroughsowie byli właścicielami rozległych terenów w północnej Wirginii i hodowali konie.

- Byli?

- Może nadal są, nie wiem. Sherry kiedyś współorganizował Złoty Puchar, doroczne wyścigi konne w hrabstwie Fauquier. Tyle że kiedy byłam tam w zeszłym roku, już nie należał do komitetu organizacyjnego ani nie wystawił żadnych koni.

- Co go łączyło z Garveyem?

- Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam, że się znali.

- Czy jest ktoś, kto może to wiedzieć?

- Mogę spytać o to kilka osób. - Westchnęła. - Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, Frank. Sherry to miły starszy człowiek z pokolenia mojego ojca.

- To dla nas ważne, a ty masz dojścia do ludzi, którzy nie zechcą rozmawiać ze mną czy z Walterem.

- Nie mogę zadawać takich pytań, nie budząc podejrzeń. Czy na pewno robimy to, co słuszne?

- Tak.

O to właśnie chodziło, żeby wzbudzić podejrzenia.

Kiedy Andy w piątek rano wszedł do mojego gabinetu miał strapioną minę.

- Frank, ja... tego... przejrzałem trochę materiałów.

- Na jaki temat?

- Dziennika... to znaczy faktu, że masz go w swoim posiadaniu. Pomyślałem, że chciałbyś, żebym sprawdził, czy wszystko jest w porządku.

- Serio? - Mogłem go spytać, od kiedy to sam sobie wyznacza zadania, ale w tej chwili nie to było najważniejsze. - I co znalazłeś?

- No, właściwie to niewiele jest orzeczeń dotyczących tego rodzaju sytuacji, ale myślę, że już to rozgryzłem. Najprościej mówiąc, kiedy prawnik uniemożliwia policji zdobycie dowodów, jest to uznawane za manipulację nimi lub próbę matactwa.

- A jak to się wiąże z naszą sprawą?

Zamrugnął.

- No... miałeś dziennik, kiedy policja robiła rewizję w domu Ashley.

Mogliby to uznać za matactwo.

- Ale dostałem go do ręki już po aresztowaniu Ashley, kiedy miała zostać postawiona w stan oskarżenia. Skąd mogłem wiedzieć, że będą chcieli jeszcze raz przeszukać jej dom?

Andy skrzywił się.

- Nie sądzę, by adwokat mógł przetrzymywać obciążające klienta dowody w jakiegokolwiek sytuacji, ale to i tak nie ma znaczenia, bo dowiedziałeś się o rewizji, a mimo to zatrzymałeś książkę.

- A jaki miałem wybór?

- Na przykład mogłeś ją oddać.

- Klientce? Przecież to od niej ją dostałem. Po chwili namysłu powiedział:

- To by nic nie dało. Musiałbyś oddać ją policji.

- I wtedy policja byłaby w korzystniejszej sytuacji niż gdybym w ogóle jej nie przyjął. Spójrzmy prawdzie w oczy: dziennik nie jest dowodem motywu Ashley, chyba że oskarżeniu uda się wykazać, że go przeczytała. Gdyby policja znalazła zapiski Bronsona na półce, nie miałyby z nich żadnego pożytku, ale jeśli dostanie je ode mnie, ława przysięgłych może dojść do wniosku, że przekazała mi je Ashley. Pomógłbym wykazać winę własnej klientki.

Andy odparł:

- Gdyby znaleźli tę książkę na półce i byłyby na niej jej odciski palców, to też dowodziłoby, że ją czytała.

- Tak, o ile w ogóle znaleźliby wyraźne odciski, a poza tym musiałyby być na ostatniej stronie, żeby to cokolwiek znaczyło.

Wcisnął ręce do kieszeni.

- Moim zdaniem, z twojej argumentacji wynika tylko tyle, że prawnicy, którzy przetrzymują dowody, pogarszają sytuację swoich klientów.

- Andy, skąd mogłem być pewien, czy to dowód, nie zaglądając do środka? A nawet gdyby nim był, to czy nie powinienem mieć możliwości obejrzenia go? Gdzie jest napisane, że oskarżenie ma większe prawa do dowodów niż obrona?

- Nigdzie.

- No właśnie. I w czasie, kiedy ja robiłem, co do mnie należy, policja przeprowadziła rewizję. Dlaczego miałyby to pogorszyć sytuację mojej klientki?

Nie był przekonany, ale wahał się, rozdarty między wymogami biurowej dyplomacji a zawodowym wyszkoleniem. W końcu powiedział:

- Wiem tylko tyle, że masz dowód, którego szukała policja. Dla mnie to problem natury etycznej.

- Może i masz rację - przyznałem. - Znalazłeś orzeczenie, które potwierdzałoby twój punkt widzenia? - Zanim zdążył odpowiedzieć, podniosłem rękę w ostrzegawczym geście. - Chodzi mi o bezpośrednie potwierdzenie.

- Nie. Jak już mówiłem, takich orzeczeń jest mało. - Patrzył na mnie, czekając na rozwiązanie gnębiącego go dylematu lub chociaż coś, co uspokoiłoby jego sumienie. Cóż, ja sam mierzyłem się z tym problemem od chwili, gdy Ashley położyła dziennik na moim biurku, i do tej pory nie znalazłem niepodważalnego uzasadnienia mojej decyzji.

- No to - westchnął - co zrobimy? - Zadowoliliby go tylko jedna odpowiedź, to było jasne.

Nie miałem ochoty wykonywać niczyich rozkazów.

- Powiem ci, czego nie zrobię. Nie wsadzę mojej klientki na dwadzieścia lat do więzienia tylko dlatego, że jakiś żółtodziób myśli, że pochwaliłaby to komisja etyki.

Poczerwieniał ze wstydu. Nie tego oczekiwał.

- Dobra, Frank - wyjąkał. - To ja... ja wrócę do pracy. - Nadal stał w miejscu, nie wiedząc, jak z tego wybrnąć.

- Andy, przykro mi, ale to nie egzamin. Jeśli zostaniesz obrońcą w sprawach karnych, znajdziesz się w wielu sytuacjach, których nie da się zgrabnie rozwiązać z podreżnikiem w ręku. Nasza klientka jest człowiekiem z krwi i kości, jeśli więc trzeba podjąć trudną decyzję, to przede wszystkim staramy się ochronić ją, nie własne tyłki.

- Rozumiem.

- Wiem, że chcesz zrobić wszystko, co w twojej mocy, by pomóc Ashley.

Wyprostował się.

- Oczywiście - odparł. Był w niej zadurzony, a ja bezczelnie to wykorzystałem, co oznaczało, że taki ze mnie mentor, jak z Harry'ego.

- To dobrze. A teraz mam dla ciebie ważne zadanie. Idź do policyjnego magazynu. Mamy raporty dotyczące wszystkiego, co zabrali, sfotografowali i widzieli w domu Garveya. Chcę, żebyś sprawdził, na ile są zgodne ze stanem faktycznym. Obejrzyj dokładnie każdy z wymienionych w nich przedmiotów, pamiętaj też, żeby porównać zdjęcia z opisami. Szukaj jakichkolwiek nieścisłości czy sprzeczności, bo każde przeoczenie ze strony policji może nam pomóc. Nasi eksperci przestudiują raport z sekcji zwłok i analizę odcisków palców, więc tym się nie przejmuj, ale gdyby było coś innego, co nie zgadza się w stu procentach, musimy to wiedzieć. W porządku?

Był zadowolony, że może wyrwać się z biblioteki i choć na jakiś czas zamienić się w detektywa.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Tak. Chcę, żebyś przedstawił na piśmie swoje wątpliwości. Wyłóż wszystko tak, jak zrobiłeś to przed chwilą.

- Po co?

- Mogę chcieć wrócić do tego tematu. Łatwiej mi go będzie przemyśleć. - A jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, będzie dowód, że Andy był tylko młodym współpracownikiem, którego sprzeciw został zignorowany przez szefa. Kiedy skończą ze mną, na niego już nie będą mieli ochoty.

Sześć dni po przystąpieniu do wdrażania planu B spotkaliśmy się, by ocenić, jak nam idzie. Kuchnia Ashley stała się kwaterą główną Zespołu Bronson. W siedzibie firmy

nie dało się rozmawiać; każdy znajdował pretekst, by w trakcie wizyty klientki wpaść do mnie na słówko, poklepać po ramieniu czy choćby popatrzeć. Restauracje i inne miejsca publiczne od początku nie wchodziły w grę. Pozostawał jedynie czyjś dom, a tylko u niej

było dość krzeseł dla całego zespołu. Spotkanie nieprzypadkowo rozpoczęło się w porze kolacji. Siedzieliśmy z Walterem przy stole, zdejmując krawaty i rozkładając serwetki, podczas gdy nasza klientka-gospodyni stała przy kuchence i polewała sosem marinara - „specjalny przepis, znany tylko absolwentom Wellesley” - spaghetti z klopsikami. Miała na sobie dzinsy i szarzielony sweter tylko trochę ciemniejszy od jej wolframowych oczu. Kiedy Walter był w pobliżu, unikałem patrzenia w nie, jak w słońce podczas za-

ćmienia, tak silne targały mną uczucia.

Właśnie zabraliśmy się do jedzenia, kiedy przekazała nam ważną wiadomość. Choć miała wątpliwości co do tego, czy Sherry Trzeci rzeczywiście powinien zostać uwzględniony w naszej strategii obrony, spisała się doskonale.

- Sherry i Raymond Garvey na początku października zjedli razem kolację w Middleburg Inn.

- Kto tak mówi?

- Cynthia Bates. Widziała, jak siedzieli razem w kącie. - Musiałem oprzeć się pokusie wyciśnięcia pocałunku na tych cudownych ustach. Potajemne spotkanie ofiary z podejrzany: właśnie czegoś takiego było nam trzeba.

Walter przerwał milczenie.

- Kto to jest Cynthia Bates?

- Słabo ją znam, to przyjaciółka Ann Seymour. Seymourowie urządzają wiele przyjęć i zbiórek funduszy w swoim domu w Great Falls. Kilka razy spotkałam tam Cynthię.

- I zadzwoniłaś do Ann Seymour?

- Nie. Ann jest szwagierką Barbary Stockman, jednej z czterech osób, do których dzwoniłam. — Skrzywiła się. - Stało się to, czego się obawiałam, Frank. Poprosiłam Barbarę, żeby zachowała to dla siebie, ale ona powiedziała, że chce o to spytać jeszcze jedną osobę, kogoś, kto na pewno będzie dyskretny. I tak się zaczęło. Nie udało się nad tym zapanować. To zbyt... nie wiem, jak to nazwać.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

- I ta Cynthia Bates знаła Sherry'ego i Garveya?

- Znała Sherry'ego, pewnie tak słabo, jak ja. Nie wiedziała, że ten drugi to Raymond, do chwili, kiedy zobaczyła jego zdjęcia w gazetach.

- Wiedziała coś jeszcze?

- Tylko to, co o Sherrym mówiło się od dłuższego czasu. Rodzina Burroughsów ma poważne kłopoty finansowe. Wystawili stadninę na sprzedaż i przez kilka ostatnich lat unikali rozgłosu.

- Co się stało?

- Z tego, co wiem, mieli dużo ziemi w hrabstwach Fairfax i Loudon, kiedy był na nią duży popyt, ale w latach osiemdziesiątych zrobili masę nieudanych inwestycji i od ostatniego załamania na rynku nieruchomości nie udało im się wyjść na prostą.

- Co Sherry robi teraz?

- Właściwie nikt tego nie wie.

- Myślisz, że spotykał się z Garveyem, bo potrzebował pieniędzy?

- Wątpię. Raymond dostał w spadku dom i szerokie koneksje, ale tak naprawdę nie miał dużego majątku. Cieszył się za to reputacją człowieka z dostępem do wielkich pieniędzy i zarabiał na życie łączeniem pomysłów z kapitałem. Bez przerwy szukał nowych układów, ale nie słyszałam, by był czymś finansowym aniołem stróżem.

- Burroughs już miał anioła - oznajmił Walter.

Ashley i ja zapytaliśmy jednocześnie:

- Kogo?

- Organizację o nazwie Octagon. To ona wykupiła hipotekę stadniny, kiedy bank już miał ją zabezpieczyć. I umożliwiła Burroughsom zawarcie umowy z wierzycielami, łączącej wszystkie długi w jeden z wydłużonym terminem spłaty.

- W jaki sposób? - spytałem.

- Udzielając gwarancji. Licząc hipotekę i dług, Octagon wyłożył w sumie siedem i pół miliona.

- Skąd ty bierzesz takie informacje? - Przy ogólnym zainteresowaniu, jakie miała wzbudzić nasza nowa strategia, korzystanie przez Waltera z usług „wspólnych znajomych” mogło skończyć się dla nas pobytym w celi sąsiadującej z celą Ashley.

Pokręcił głową.

- Bez obaw. Rutynowe czynności śledcze. Umowa hipoteczna jest na piśmie. Wydłużenie terminu spłaty to też żadna tajemnica. Dowiedziałem się o tym od prawnika z Wirginii, który od czasu do czasu podrzuca mi różne robótki. Reprezentował jednego z wierzycieli.

- Powiedział ci, kto stoi za Octagonem i dlaczego pomogli Sherry'emu?

- Nie. Pośrednikiem był jakiś prawnik z Nowego Jorku, który nie chciał nic powiedzieć.

- Myślisz, że Octagon jest powiązany z tą sprawą?

Ashley wtrąciła się, zanim Walter zdążył odpowiedzieć.

- Jaką sprawą? Frank, rozmyślałam się. Nie chcę mieć na sumieniu ani Sherry'ego Burroughsa, ani tych ludzi z Octagonu. I bez tego czuję się winna. Chcę, żebyś zrezygnował z tej strategii, zanim komuś stanie się krzywda.

- Ashley - powiedziałem cicho - to twoja największa szansa na uniewinnienie, może nawet jedyna.

- To nie jest tego warte - oświadczyła.

- Tak mówisz teraz - prychnąłem - ale zaczekaj, aż zamkną cię w celi mniejszej od twojej bielizniarki.

Ashley nie przywykła do tego, by mężczyźni zwracali się do niej takim tonem.

- Podjęłam decyzję - powiedziała, unosząc podbródek.

Wybrała najgorszy możliwy moment. Żyłam w ciągłym stresie i jej bunt, który nastąpił zaraz po mojej ciężkiej rozmowie z Andym, stał się kroplą, która przepełniła czarę.

- Ty podjęłaś decyzję? - warknąłem. - Kiedy chodzi o twoją obronę, to ja decyduję, co jest słuszne, a co nie.

Wbiła we mnie wzrok.

- O moją obronę? Wydaje mi się, że chodzi tu przede wszystkim o ciebie i Rogavina. A może tylko o ciebie!

- Ashley, jak sądzisz, czy Rogavin myśli o czymkolwiek oprócz wygranej? Myślisz, że nie jest gotów zrobić wszystkiego, co konieczne? Założę się, że kiedy Kellogg rozpoznał cię za pierwszym razem, nie był tego taki pewien, jak to stwierdzi przed sądem. Czasami nagina się reguły, czasami sieje łamie, tym istotniejsze, im poważniejsza jest sprawa. To nie ma znaczenia, że w grze biorą udział prawnicy. Obie strony będą za wszelką cenę

dążyć do zwycięstwa.

Kiedy kończyłem mówić, kiwała głową.

- Tak to jest z takimi ludźmi, jak ty! - powiedziała ze złością. - Sam tak mówiłeś tamtego wieczoru w kuchni. Chodzi o rywalizację!

- Tak! A ty cieszyłaś się jak cholera, kiedy to powiedziałem!

Była bardziej opanowana ode mnie. Odłożyła serwetkę i powiedziała cicho:

- Dokończcie kolację, ja idę na górę. Deser jest w lodówce, potem możecie napić się kawy. Marta pozmywa naczynia. - Wstała, powiedziała Walterowi dobranoc i wyszła.

Nie odzywaliśmy się do chwili, kiedy usłyszeliśmy jej kroki na schodach.

- No i co z tym Octagonem? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Pracuję nad tym. - Nie powiedział nic więcej, ale gotów byłem się założyć, że nie chodzi o rutynowe czynności śledcze.

Mój mózg pracował na przyspieszonych obrotach.

- Wszystko się zgadza, nie? Octagon wyciąga Sherry'ego z bagna i chce czegoś w zamian za wyłożone pieniądze, czegoś na tyle ważnego, że uzasadniało inwestycję. Dlatego Sherry jest zmobilizowany do działania i naciska na Garveya.

- To ma sens. Ale czego Garvey chciał od starego Bronsona?

- Nie wiem. Może uznał, że jest za stary, by szukać nowych układów.

To miał być pożegnalny występ przed przejściem na emeryturę. Może czas grał ważną rolę, dlatego Raymond był nieugięty.

- Ale stary nie próbował się go pozbyć, więc co Garvey miał na niego? Przecież nie zabił się dlatego, że Raymond był upierdliwy.

- Chodzi o coś, co zdarzyło się dawno temu - powiedziałem.

- A ty myślisz, że to jest w dzienniku?

- Mam nadzieję. Będę szukać dalej. Ty zajmij się Octagonem.

- A co z panienką? - Wskazał kciukiem sufit.

- Trzeba ją podziwiać. Jej życie jest zagrożone, a mimo to chce chronić Sherry'ego i jakichś ludzi, których nawet nie zna.

- Taa. - Dopił resztę piwa i wstał. - To dopiero coś, nie?

- Tak czy inaczej, nie przejmuj się tym. Porozmawiam z nią. - Przewrócił oczami. - Przestań, co? Zajmę się tym.

Uśmiechnął się.

- Co chcesz, muszę troszczyć się o swojego chlebodawcę.

Poczekalem chwilę, ale Ashley nie wróciła. Najrozsądniej byłoby posiedzieć na dole, aż ochłonie, ale nie chciałem przerywać mojej fatalnej passy, więc poszedłem na górę i zapukałem do drzwi jej sypialni.

- Kto tam? - zawołała.

- Pies.

- Odejdź, proszę.

- Nie mogę. Zostawiłem smycz pod łóżkiem.

Minęła chwila.

- Wejdz. - Siedziała na łóżku z długopisem w ręku, rzucając nieprzyjazne spojrzenia znad okularów do czytania. Usiadłem na skraju łóżka.

- Co robisz? - spytałem.

- Piszę list do Sherry'ego - oświadczyła

- O czym?

- Przepraszę go i obiecuję, że zrobię wszystko, co możliwe, żeby naprawić szkody.

Potrząsnąłem głową.

- Nie możesz napisać tego listu.

- Zrobię, co uważam za słuszne.

- Pamiętasz, w czasie ostatniej z naszych sypialnianych pogawędek to ja chciałem się wycofać. Powiedziałeś mi, że nie chcesz iść do więzienia, że dla twojego dobra muszę uwierzyć w siebie. No i dałem się przekonać. Potem musieliśmy liczyć na to, że wpadnę na jakiś pomysł, a kiedy to się stało, ty go zaakceptowałeś, wiedząc, czym to się skończy... nie, nawet nie zaprzeczaj. No i teraz nie ma już odwrotu. Walczymy o twoje życie i zrobimy, co konieczne.

- A Sherry, Frank? Co z jego życiem?

Zacisnąłem zęby. Uznałem, że w tych okolicznościach jest nieco zbyt skłonna do ferowania wyroków.

- Sherry pewnie miał coś wspólnego ze śmiercią twojego ojca.

- I to ma być usprawiedliwieniem tego, co robimy?

- To nic w porównaniu z tym, co zrobiłaś Garveyowi! Wiedziałem, co się stanie, ale na to pozwoliłem; jej otwarta dłoń trafiła mi w twarz, tuż pod uchem. Ashley była jednak zaskoczona: przeniosła wzrok ze swojej ręki na mnie, szeroko otwierając oczy, i odwróciła się. Nie to miałem na myśli, mówiąc Walterowi, że się tym zajmę, a i on

przewidywał inny przebieg wydarzeń, kiedy wątpił w moje zapewnienia, ale w tej chwili nie obchodziły mnie już niczyje uczucia, nawet jej.

Kiedy dochodziła do siebie, ja wpatrywałem się w ścianę niewidzącym wzrokiem i minęło parę minut, zanim zauważyłem zdjęcia. Większość przedstawiała scenki z ulic Paryża. Na jednym była dziewczyna czytająca książkę w kawiarnianym ogródku, obserwowana z drzwi przez zadowolonego kelnera. Kobieta, która siedziała za moimi plecami, we Francji zaznała prawdziwej miłości.

W doskonałym świecie tam właśnie wszystko by się zaczęło. Ja kazałbym podać jej lampkę wina, a ona zaprosiłaby mnie do swojego stolika. Niedługo potem byłibyśmy już kochankami, hasającymi po mieście jak Bogart i Bergman, do czasu, gdy wmieszałyby się w to los. Zawsze jednak mielibyśmy Paryż.

To właśnie bolało najbardziej: nie mieliśmy Paryża. Kiedy zjawiała się w moim życiu, była już ścigana przez czarne charaktery. Ja mogłem tylko odpierać ich ataki aż do ostatniej sceny na lotnisku.

Na ścianie wisiały też czarno-białe zdjęcia przedstawiające Ashley z ojcem w ogrodzie. Ona, ubrana w luźne spodnie i golf, trzymała go pod ramię.

Henry miał na sobie trzyczęściowy garnitur z koszulą zapiętą pod szyję, bez krawata. Jedną ręką opierał się na lasce, w drugiej trzymał czapkę. Patrzył na swoją córkę i widać było w jego oczach miłość i troskę. „Zawsze będę nad Tobą czuwał”.

Łóżko ugięło się, kiedy przysunęła się do mnie od tyłu, zarzucając mi ręce na szyję i opierając podbródek na moim ramieniu. Milczeliśmy i tylko lekko kołysaliśmy się na boki.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nic się nie stało. - Otworzyłem oczy i kiwnąłem głową w stronę fotografii. - Bardzo cię kochał.

- Tak.

- To łatwe.

Uścisnęła mnie mocniej i dotknęła policzkiem mojego policzka.

- W „Post” był artykuł o procesie jednego bankiera. Został zwolniony za kaucją, ale zaraz po uznaniu go za winnego trafił do więzienia.

- Tak bywa. W razie stwierdzenia winy ława przysięgłych może anulować kaucję nawet przed wydaniem wyroku.

- Czy to samo może spotkać mnie?

- Nie, bo wygramy.

- Wiem. Ale gdyby coś poszło nie tak, mogłoby to spotkać i mnie, prawda?

- Tak. - Odwróciłem głowę, zbliżając twarz do jej twarzy. - Powinnaś uporządkować swoje sprawy przed rozpoczęciem procesu. - Czułem, jak kiwa głową. Nie pierwszy raz mówiłem klientowi coś takiego i byłem zadowolony, że nie widzę jej twarzy. Uporządkuj swoje sprawy. Nagle myśl o kresie dotychczasowej egzystencji przeradza się z abstrakcyjnej idei, takiej jak śmierć, w coś przerażająco rzeczywistego. Ci, których spotykało to po raz pierwszy, zwłaszcza przestępcy w białych kołnierzykach, zwykle nie dopuszczali do siebie tej możliwości aż do chwili prawdy. Widziałem to już nieraz: oskarżony wchodzi różnym krokiem do sali sądowej, prosto z jakiejś restauracji, w której czekał na werdykt. Ława przysięgłych mówi „winny” i biedny skubaniec zatacza się do tyłu i nieruchomieje, nieświadom tego, co powoduje ożywienie całej reszty. Adwokat coś do

niego mówi, ale on nie rozumie słów, jakby słuchał płyty odtwarzanej z niewłaściwą prędkością.

Potem ktoś chwyta go za łokieć i delikwent ląduje w małym pokoju, gdzie opróżnia kieszenie i jest przygotowywany do przeprawy przez Styks. I wtedy dopiero dociera do niego, że zjedzony w restauracji posiłek, którego smak jeszcze czuje w ustach, na długo pozostanie jego ostatnim, że nie wróci do domu i że ktoś powinien powiadomić rodzinę.

- Wiesz, że jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu? - powiedziała łagodnie.

- Szkoda, że to z braku wyboru.

Kołysaliśmy się nadal, jej policzek ocierał się o mój.

- Jeśli zostanę skazana, nieprędko znajdę innego.

- Przecież ci mówiłem. Wygramy, a ty będziesz wolna.

- Ale jeśli tak się nie stanie, to kiedy wyjdę, nie będę wyglądać ani czuć się tak, jak teraz, prawda?

- Nadal będziesz sobą. A co do wyglądu, może będziesz tylko olśniewająca, a nie boska.

- Kochamy się, prawda? - szepnęła.

- Mów za siebie. Mnie chodzi tylko o pieniądze.

- Jesteś we mnie zakochany.

- Kto tak powiedział? Walter, co?

- Ta sprawa była tylko okazją do naszego spotkania. W każdej innej sytuacji kochałabym cię tak samo.

Moje serce waliło tak mocno, że musiała to wyczuć.

- Wiesz, co leży na moim biurku?

- Co?

- Wycinki z gazet o tobie i wielu innych facetach.

- No i?

- No i pomyślałem sobie, że powinnaś mnie pocałować tak, jak nie całowałaś żadnego z nich. Głupio prosić o coś takiego, nie?

- Nie. - Położyła mnie na łóżku i nachyliła się nade mną. Na początku nasze usta muskały się lekko, a potem stopniowo coraz mocniej wpijały się w siebie. Powiodłem dłońmi po jej pośladkach i plecach, przyciskając ją mocno.

Móc jej dotykać, czuć jej smak po tylu dniach patrzenia - co chwila musiałem przypominać sobie, że to nie złudzenie.

Usiadła na mnie okrakiem, wciąż uśmiechnięta.

- Chcesz przygasić światła?

- Nie.

- To dobrze. Podnieś się. - Patrząc mi w oczy, rozpięła mi koszulę i powoli przesunęła dłońmi po moich ramionach i piersi. -No, no-mruknęła -jeśli mamy stanąć do walki, wygląda na to, że jesteś gotowy. - Odchyliła się i zdjęła sweter przez głowę. Ubrania nigdy nie skrywały jej kształtów, ale i tak nie byłem przygotowany na ten widok. Niemal zabrakło mi tchu, gdy zbliżyła się do mnie na tyle, że jej sutki muskały moją pierś, a nasze usta ocierały się o siebie. Myślałem, że jeszcze chwila, a eksploduje mi serce.

Wzięła mnie za ręce i położyła je na swoich piersiach; między palcami czułem jej twarde sutki. Pieściłem je opuszkami palców i dłońmi, potem wpiłem się w nie wargami. Zaczęła jęczeć, trzymając mnie za głowę i wciskając pierś głębiej w moje usta.

Sprawy zaczęły nabierać tempa. Pchnęła mnie na łóżko i szybko rozebrała, zostawiając tylko koszulę. Potem zdjęła dzinsy i sięgnęła do gumki majtek, ale wstrzymała rękę. Pochyliła się nade mną z uśmiechem.

- Zajmiesz się nimi?

- Jestem dyplomowanym profesjonalistą. - Przeturlałem się na nią, zdjęłem koszulę i wsunąłem rękę pod gumkę jej majtek. Powoli zsunąłem je z bioder, po tych niesamowitych nogach, przez kostki, aż na sam dół. Nadzy, syciliśmy się swoim widokiem. Siedziałem na piętach między jej nogami, ona trzymała łydki na moich udach. Podniosłem jej nogę i pocałowałem wewnętrzną stronę kostki, łydki i kolana. Jej oczy były na wpół przymknięte, a z głębi gardła dobywały się jęki rozkoszy. Rozpalona, emanowała erotyzmem, z jakim jeszcze nigdy się nie zetknąłem. Chciałem mieć ją całą i to już, ale najbardziej pragnąłem zbliżyć twarz do jej twarzy i słyszeć jej głos, tak jak wcześniej. Położyłem się na niej i całowaliśmy się raz po raz, a ona pocierała piętami moje łydki.

Nie wiem czemu, ale przed oczami zaczęły przewijać mi się obrazy: Tatko, Rogavin, mój ojciec, Walter, Brendan... i Moira. Słyszałem jej szloch dochodzący z wnętrza domu. I wszystko, co w sobie dusiłem, zaczęło wyrwać się na zewnątrz: bałem się i zarazem byłem podniecony, czułem złość i wyrzuty sumienia, wszystko to wydostawało się ze mnie i przechodziło na nią; ona też to poczuła.

- Co? - wydyszała.

- Nie puszczaj mnie - szepnąłem, obawiając się, że to zrobi.

Uniosła moją twarz i spojrzała mi w oczy.

- Co się stało?

- Nic... wszystko.

Położyła palce na moich ustach.

- To...

- Wyjdziemy z tego. Obiecuję. Wyjdziemy.

Zacisnęła powieki. Kiedy otworzyła oczy, zdawały się utkwione w jakiś odległy punkt.

- Teraz, Frank... proszę! - krzyknęła. Sięgnęła między moje nogi i wsunęła mnie w siebie, a jej stopy spoczęły na moich pośladkach. Jęknęła, kiedy w nią wszedłem, pociągnęła mnie w dół, wpiła się w moje wargi i wepchnęła język do moich ust, kiedy wsunąłem pod nią ręce i ścisnąłem pośladki. Jej nogi zacisnęły się wokół mnie i ruszyliśmy, powoli, stopniowo nabierając prędkości, pędząc coraz szybciej i szybciej, ku wolności. Byłem zgubiony.

Przyłożyła usta do mojego ucha, poganiając mnie, ale nie rozumiałem, co mówi. To było szalone, przerażające. Zaczęła jęczeć, z jej ust wydobył się niski, przesywający dźwięk, który przeszedł w skowyt, gdy wygięła plecy w łuk, podnosząc mnie ze sobą, a potem usłyszałem swój jęk, kiedy osiągnąłem szczyt i razem opadliśmy na materac.

Przez jakiś czas leżeliśmy splecieni w uścisku, wtuleni w siebie w naszym wspólnym schronieniu, aż nasze oddechy uspokoiły się i w pokoju zrobiło się chłodniej. Jej dłonie gładziły moje plecy, ramiona i przeczesywały włosy. Zwróciła moją twarz ku sobie i delikatnie musnęła ustami moje wargi.

- Udało mi się - szepnęła.

- Mnie chyba też.

- Tobie chyba też. - Uśmiechnęła się i szepnęła: - Pocałowałam cię tak, jak nie całowałam jeszcze żadnego mężczyzny.

- No to nie mogę cię puścić.

- Zostaniemy tak na zawsze?

- Uhm.

- Mmm. Ciekawe, co na to Marta.

- Niech sama sobie znajdzie faceta.

Zaczęła się śmiać, ale na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

- Przestań! Nie mogę się śmiać, kiedy mnie przygniatasz.

- Mam wstać?

Potrząsnęła głową i dalej przeczesywała palcami moje włosy.

- Co z Walterem?

- Chyba nie jest w typie Marty.

Dała mi kuksańca w zebro.

- Mówię serio! Jeśli dowie się...

Wybuchnąłem głośnym śmiechem.

- No właśnie!

- Co w tym śmiesznego?

Pokręciłem głową.

- Dowie się.

- Jak?

- Zorientuje się, kiedy tylko znajdziemy się we trójkę w jednym pokoju.

- Świetnie. - Zmarszczyła brwi. - Bardzo go cenisz, prawda?

- W tym, co robi, jest najlepszy.

Pocałowała mnie.

- Ty też.

- Teraz tylko muszę to udowodnić Rogavinowi.

Zaśmiała się.

- Nie chodzi mi o twoje umiejętności zawodowe. Puść mnie. - Rozplataliśmy się, zgasiła lampę i przykryła nas kocem. Objąłem ją i wtuliłem twarz w jej szyję. Przysunęła się do mnie, wpijając pośladki w moje krocze. - Czy dziś złamałeś ważną zasadę etyki zawodowej?

Odpowiedziałem, nie odrywając ust od jej szyi.

- Mało ważną. Te najważniejsze złamałem już dawno.

Westchnęła.

- Zrobiłeś to dla mnie.

- Nie bierz tego na siebie. Nigdy nie szanowałem zasad. Dopiero zaczynamy rozumieć, dlaczego.

- My?

- Ja i mój terapeuta. Próbujemy znaleźć to, czego szukam.

Odwróciła się i położyła dłoń na moim policzku.

- A propos tych wycinków leżących na twoim biurku... - szepnęła.

- Tak?

- Wyrzuć je. Znalazłam to, czego szukam.

Wkrótce zasnęła i musiałem sam stawić czoło konsekwencjom tego, co zrobiliśmy. Reakcja Waltera była najmniej istotna; czas pokaże, jak to, co się stało, wpłynie na naszą sprawę. Jedno wiedziałem na pewno: gdyby poszła do więzienia i nie zostalibyśmy kochankami, zawsze zastanawialibyśmy się, jak mogło być. Teraz będzie jeszcze gorzej.

10

DZIENNIK HENRTEGO BRONSONA

31 sierpnia 1952. Kalifornia! Dom gwiazd! A wokół nich planety, a wokół planet księżycy jak ja, schowane w cieniu swoich ograniczeń. Spotkanie z prawdziwym geniuszem jest czymś niepokojącym.

Nie możemy się nadziwić zdolnościom naszego gatunku i rozpaczamy, że nasze własne dary są, w gruncie rzeczy, tylko czymś w rodzaju odbitego blasku.

Jakież przedsięwzięcie mogło spowodować zbiorową radość i osobiste cierpienie? Przyłączyłem się doń późno, ale jestem jego częścią - nie tyle dzięki moim zdolnościom, co wytrwałości i choć pozbawiony wszelkich złudzeń, nadal biorę w nim udział - i zdecydowany jestem wnieść mój wkład.

Na moim biurku leżała wiadomość, że mam oddzwonić do Roberta L. Burnside'a, Esq., z Delbarton & Brand, najstarszej kancelarii w mieście.

Zatrudniająca około pięćdziesięciu prawników, nie była duża jak na Waszyngton, ale reprezentowała najstarsze i najznamienitsze rody, Jaskiniowców". Podobnie jak jej klienci, firma unikała rozgłosu, dlatego opuściła pełne zgiełku centrum i przeniosła się do szeregu domów na New Hampshire Avenue. Wiadomość nie zawierała żadnych szczegółów. Chciałem złożyć to na karb braku doświadczenia mojej najnowszej sekretarki, ale wyjaśniła, że pan Burnside nie chciał nic powiedzieć, a poza tym „nie był zbyt uprzejmy”.

Według rejestru prawników, był on pięćdziesięcioletnim absolwentem wydziału prawa Uniwersytetu Wirginii i specjalizował się w sprawach podatkowych. Nie wspomniano nic o jego uprzejmości bądź jej braku, ale sam szybko rozstrzygnął wszelkie związane z tym wątpliwości.

- Mówi Frank O'Connell. Prosił pan o telefon.
- Chcę spotkać się z panem w moim biurze. Jeszcze dziś.
- W jakiej sprawie?
- Reprezentuję Shermana P. Burroughsa. Mówi panu coś jego nazwisko?
- Może. Którego?
- Jak to, którego?
- Z tego, co wiem, jest ich trzech.

- Tego, którego szkalujecie, pan i pańska klientka. Tego, który zobaczy się z panem na postępowaniu w sprawie odebrania licencji adwokackiej.

Może się pan spotkać ze mną dziś u mnie albo jutro, w sądzie.

- Pańskie biuro mi odpowiada. Może być o jedenastej?

- Będę czekał.

Nie, nie był ani trochę uprzejmy.

Pomijając to, co mnie stamtąd wygoniło, uwielbiałem pracować w firmie Tatka, a tym, co podobało mi się tam najbardziej, były gabinety. Większość prawników w mieście tkwiła w pudłach ze szkła i stali, z niewielką liczbą ozdób i nieotwierającymi się oknami. Brennan & O'Connell miała dwupiętrowy dom z cegły na ulicy Jeffersona, niedaleko restauracji Palm.

Na tyłach znajdował się mały ogród, w którym przy lunchu słuchałem opowieści Tatka, poczynając od jego młodości spędzonej w hrabstwie Clare, a na najświeższych politycznych plotkach kończąc. Tam spędziłem kilka najszcześniejszych chwil mojego życia.

Prawnicy z Delbarton & Brand mieli równie dobre warunki, tyle że dysponowali trzema połączonymi trzypiętrowymi gmachami, z których każdy był dwa razy szerszy od siedziby firmy Tatka. Na podjeździe przed wejściem do głównego budynku stały dwie limuzyny z tablicami DB-1 i DB-2. Panowała tu cisza jak w bibliotece i jedynym śladem wskazującym, że jest to kancelaria adwokacka, były rozwieszony w holu portrety sędziów Sądu Najwyższego.

Recepcjonistka siedząca za biurkiem w stylu królowej Anny zaprowadziła mnie do małej windy, wcisnęła trójkę i zamknęła za mną drzwi. Po chwili otworzyła je sekretarka Burnside'a. Najwyraźniej większa część klienteli D & B zapomniła, co się robi z drzwiami, a może nigdy się tego nie nauczyła. Sekretarka zaprowadziła mnie do Burnside'a, który stał na progu gabinetu, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy dobierze mi się do skóry. Nie podał mi ręki; odwrócił się i wskazał jedno z krzeseł, maszerując w stronę swojego biurka.

Był nieco szczuplejszą, nieco starszą kopią Harry'ego Gregga, ale na tym podobieństwa się kończyły. Burnside roztaczał wokół siebie aurę bezlitosnego gracza, a jeśli miał w sobie choć odrobinę ciepła i serdeczności, to starannie usunął wszelkie tego oznaki: nie zauważyłem żadnej obrączki, zdjęć rodziny, pucharów z turniejów golfa, dyplomów dla „człowieka roku”. Jediną dekorację gabinetu stanowiła kolekcja fotografii posepnego Burnside'a wymieniającego uściski dłoni z różnymi białymi mężczyznami wyglądają-

cymi na członków Lions Club*⁴ z Indianapolis, około 1955 roku.

Otworzył teczkę.

- To pan jest O'Connell - burknął. Był to raczej wyrzut niż stwierdzenie faktu.

- We własnej osobie.

Zamknął teczkę i włożył ją do szuflady.

- Sherman Burroughs jest powszechnie szanowanym członkiem jednego z najstarszych i najznamienitszych rodów Wirginii. Wynajął naszą firmę, by zajęła się sprawą oszczerczych ataków na jego reputację, a także nieuprawnionych prób zbadania jego spraw finansowych. Uważamy, że jest pan odpowiedzialny za jedno i drugie.

- Dochodzenie w sprawie pana Burroughsa jest prowadzone na moje polecenie. Nie wiem nic o żadnych oszczerstwach.

- Sugerowanie, że pan Burroughs miał jakikolwiek udział w zabójstwie Raymonda Garveya to niecne oszczerstwo, potęgowane przez dochodzenie dotyczące jego sytuacji finansowej. Dodam, że miało też miejsce naruszenie prywatności mojego klienta.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak już mówiłem, nic nie wiem o żadnych oszczerstwach, o naruszeniu prywatności zresztą też. Reprezentuję klientkę oskarżoną o zabójstwo i mam obowiązek dokładnego zbadania sprawy. Pan Burroughs i pan Garvey prowadzili wspólne interesy w okresie poprzedzającym śmierć tego ostatniego i mam powód, by wierzyć, że doszło między nimi do kłótni.

Mój spokojny ton zadziałał jak benzyna wylana w ogień.

- O czym pan, do licha, mówi? - warknął. - Jakie znowu interesy?

- Nie wolno mi o tym teraz rozmawiać, ale mimo to może pan pomóc swojemu klientowi.

- Co pan powie?

- Tak. Jeśli zgodzi się na przesłuchanie, może uda nam się wyjaśnić kilka spraw, oszczędzając mu dalszych nieprzyjemności.

Burnside wyprostował się.

- Mam zgodzić się na przesłuchanie mojego klienta przez pana?

⁴ * Stowarzyszenie zrzeszające ludzi biznesu pragnących działać dla dobra swojej społeczności (przyp. tłum.).

- Otóż to. Chcę go spytać o jego znajomość z panem Garveyem i przy okazji o parę innych rzeczy. Oczywiście, mogę to zrobić w pańskiej obecności. Nie mam nic przeciwko temu.

- Nie ma pan nic przeciwko temu. - Położył dłonie na biurku. - To ja mam inną propozycję. Przestanie pan interesować się sprawami pana Burroughsa, potem wyśle mu list z bardzo szczerymi przeprosinami, w którym będzie pan go błagał o wybaczenie i oświadczy, że nie miał on nic wspólnego ze śmiercią Garveya. Jeśli wszystko dobrze pójdzie i będziemy wspaniałomyślni, może za rok nadal będzie pan mógł pracować w tym mieście jako adwokat. Co pan na to?

- Stawia pan ostre warunki.

- I dobrze.

- Ile mam czasu na zastanowienie się?

- Około dwudziestu sekund. Stracił pan już dziesięć.

- No dobra. Nie zgadzam się. Burnside odchylił się na oparcie fotela.

- No to pozwoli pan, że powiem mu, co będzie dalej. Kiedy skończy się ta sprawa, nikt więcej pana nie wynajmie. Nikt. Zostanie pan poproszony o odejście z firmy, w której jest pan obecnie zatrudniony i żadna inna pana nie przyjmie ani nawet nie wynajmie panu pokoju. Z tego, co wiem, zarabia pan na życie, kręcąc się po więzieniu i broniąc za minimalną stawkę biedaków, którzy nie mają innego wyboru, niż skorzystanie z pana usług. To też się skończy, ponieważ zostanie pan skreślony z listy adwokatów uprawnionych

do prowadzenia takiej działalności. W mgnieniu oka skończy się życie, do jakiego pan przywykł. Może dostanie się pan do palestry w jakimś odległym stanie, ale jeśli się o tym dowiemy, to tam też nie będzie pan miał czego szukać. A propos, z tego, co wiem, swego czasu dużo pan pił. Proponuję, by wrócił pan do tego, bo odrętwienie może przynieść panu ulgę. I co pan na to?

- Nie brzmi to najlepiej.

Teraz to on panował nad sytuacją i świetnie się bawił.

- A co pan zrobi, kiedy spotkają pana wszystkie te nieszczęścia?

- Nie mam pojęcia. Nie mnie powinien pan o to pytać.

- Nie pana - prychnął, kręcąc głową z odrazą.

- Niech pan skontaktuje się z Noahem Applebaumem.

Jego szczęki zaczęły drżeć.

- A kto to, jeszcze jeden prawnik więzienny?

Potrząsnął głową.

- Mój terapeuta. Leczy mnie od kilku lat.

- Jest pan jeszcze głupszy niż sobie to wyobrażałem.

- Nie, nie głupi, tylko zestresowany. Pewnie słyszał pan o zespole pourazowym.

Miałem złe doświadczenia w Wietnamie i kiedy jestem w stresie, wspomnienia wracają. - Nachyliłem się ku niemu i zniżyłem głos. - Kiedyś w miejscu o nazwie Dolina A Shau udusiłem wartownika Wietkongu garotą ze struny fortepianowej i spinaczy do rozwieszania bielizny... - Pokazałem, jak zarzuciłem drut na szyję mojej ofiary. - O mało co nie odciąłem

mu głowy. Czasami, kiedy się naprawdę zdenerwuję - pomachałem pięściami - to czuję, jak się szamocze i wrywa, zupełnie jak ryba złapana na haczyk. - Wykonałem ostatnie, silne szarpnięcie, cios łaski. Burnside drgnął. - Noah uważa, że mogę zrobić komuś coś złego, jeśli za bardzo się zdenerwuję, więc raz na tydzień chodzę na terapię, a oprócz tego stosuję techniki kontroli stresu. - Rozluźniłem się i upuściłem wyimaginowane ciało; Burnside spojrzał w miejsce, w którym legło. - Mówi, że muszę unikać stresujących i niebezpiecznych sytuacji, ale w naszej branży to trudne. - Wzruszyłem ramionami w

bezradnym geście, po czym wziąłem z jego biurka długopis i notes. -Wiem, że to brzmi jak pieprzenie w bambus. Dam panu numer Noaha. Powiem mu, że może swobodnie rozmawiać o moich problemach i o tym, co się stanie, jeśli zniszczy pan moje życie. - Rzuciłem notes przez biurko.

Burnside odchylił się do tyłu. Jego czoło było wilgotne, oddychał przez usta, cicho poskrzekując.

- Ja tylko próbowałem... tego... - Głos uwiązł mu w gardle, ale jego dłonie podjęły wątek i wykonały przeproszający gest.

Nadeszła pora, żebym wyszedł.

- Wie pan, przykro mi, że pan Burroughs się denerwuje, ale wszyscy musimy robić, co do nas należy, zgadza się? Jeśli chce pan zniszczyć z tego powodu moje życie, cóż, spróbuję się jakoś z tym pogodzić, ale nie mogę niczego obiecać, rozumie pan. - Wstałem i wyprostowałem się.

Burnside podniósł głowę.

- C-co?

Nachyliłem się nad biurkiem; wcisnął się głębiej w fotel.

- Powiedziałem: „Rozumiemy się?” - Energicznie pokiwał głową. - To dobrze. W takim razie myślę, że wszyscy wyjdziemy z tego bez szwanku. - Kiedy wyłoniłem się z gabinetu jego sekretarka rzuciła się w stronę guzika windy, ale ja poszedłem schodami.

W systemie prawnym jest coś, co nazywa się „samopomocą”, na przykład kiedy dealer odzyskuje samochód, zamiast podawać dłużnika do sądu.

Właśnie zrobiłem coś podobnego. Może trochę przesadziłem, ale należało mu się. Rażnym krokiem wróciłem do swojego biura.

Kiedy przyszedłem do naszej kuchennej kwatery głównej, w powietrzu wisiał zapach gumbo z krabów. Walter usadowił się wygodnie z piwem i gazetą, zbyt pochłonięty rozwiązywaniem krzyżówki, by mnie przywitać.

Ashley siedziała z podkurczonymi nogami na krześle naprzeciw niego, z lampką wina w dłoni. Nasze spojrzenia spotkały się, kiedy zdejmowałem płaszcz. Szukała w moich oczach śladów żalu czy wątpliwości. Żadnych, dziękuję, a u ciebie? Też nie. I tak bez słowa zawarliśmy układ: nie będziemy patrzeć w przeszłość ani w przyszłość. Spróbujemy żyć z dnia na dzień.

Może kierował nami pragmatyzm, ale raczej był to po prostu strach.

Marta prawie się uśmiechała stawiając przede mną to, co zwykle. Najwyraźniej nasza gospodyni wyjaśniła jej, jak wygląda sytuacją co oznaczało, że została jeszcze tylko jedna osoba, której o niczym nie powiadomiono. Ashley naprawiła to drobne niedopatrzenie, kiedy tylko zostaliśmy w kuchni we trójkę.

- Walter - zamruczała z uśmiechem. - Frank i ja spaliśmy ze sobą zeszłej nocy.

- Jestem wstrząśnięty - burknął, nie podnosząc głowy. - Co to jest, „inaczej: mroczny”, sześć liter, zaczyna się na p?

- Ponury - odparła. - Słuchaj, nie złość się. Nie chciałam iść do więzienia jako dziewica. Frank zerznął mnie z litości.

Mruknął coś pod nosem. Ashley mrugnęła porozumiewawczo. Otarłem wodę mineralną z podbródka.

W końcu wzięliśmy się za gumbo i poważne sprawy i jej dobry humor prysł, kiedy powiedziałem o wezwaniu od Burnside'a.

- Co powiedział? - spytała.

- Są niezadowoleni. Uważają, że Burroughs został zniesławiony.

- Co zrobią?

- Niewiele mogą.

- No to co powiedział, że zrobią?

- Cóż, mówił o podjęciu jakichś działań, ale wyjaśniłem, że po prostu badamy sprawę, bo mamy do tego prawo i żaden sąd nie może nas winić za to, że usiłujemy dojść, co Garvey robił przed śmiercią.

Ashley powoli zakręciła lampką wina.

- To nie wystarczyło, prawda?

- Myślę, że w końcu przyjął do wiadomości nasze stanowisko. - Trochę za szybko wróciłem do pałaszowania gumbo, ale zanim Ashley zdążyła o cokolwiek spytać, Walter wyjął notes i bez wstępu zaczął przedstawiać swój raport.

- Octagon Associates to nowojorska spółka z siedzibą pod adresem firmy prawniczej z centrum, Charlton & Revis. Została zarejestrowana w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, ale jak na biznes działający od przeszło pięćdziesięciu lat nie zrobiła wielkiej kariery. Nie ma telefonu, żadnych spraw sądowych ani informacji o wypłacalności, słowem: nic. Założyli konto w oddziale Chase Manhattan Bank w centrum, ale udzielili firmie prawniczej pełnomocnictwa do korzystania z niego.

- To wszystko? - spytałem.

- Tak.

- No i co teraz?

- Zrobiliśmy właściwie wszystko, co można było zrobić, nie łamiąc prawa. - Ashley zdawała się nie słyszeć tych ostatnich słów, pogrążona w rozmyślaniach o Burroughsie i oskarżeniu o zniesławienie.

- Frank, nadal jesteś pewien, że postępujemy słusznie? - spytała.

- Oczywiście. Coś w tym wszystkim jest, to oczywiste. Burroughs i Garvey byli związani z Octagonem i cokolwiek knuli, miało to coś wspólnego z twoim ojcem.

To jej nie przekonało.

- Raymond był odpowiedzialny za śmierć mojego ojca, ale skąd możecie wiedzieć, że Sherry i Octagon też są w to zamieszani? Oprócz faktu, że wszystko to działo się w tym samym czasie, nie widzę żadnych innych związków. To wszystko poszlaki.

Spojrzałem na Waltera.

- Cóż-powiedział-skoro już jesteśmy jedną wielką rodziną... -Wyjął z kieszeni na piersi kopertę i rozłożył jej zawartość na stole. - To są kopie wyciągów z konta Garveya w Riggs Bank - wyjaśnił. - W sierpniu i wrześniu wpłynęły dwie wpłaty po pięćdziesiąt tysięcy dolarów każda, obydwie w postaci czeków bankowych Chase Manhattan Bank z Nowego Jorku. Pieniądze dała firma Charlton & Revis. Garvey działał w imieniu Octagonu, bo to oni płacili mu za fatygę.

Ashley obejrzała je.

- Skąd to masz?

- Dzięki pracy wywiadowczej - powiedział. O niektórych sprawach nie mówi się nawet rodzinie.

- Skąd możesz wiedzieć, kto wpłacił te pieniądze? Na wyciągach nie ma o tym mowy.

- Dzięki pracy wywiadowczej - powtórzył.

- Planujesz dalszą pracę wywiadowczą? - spytałem.

- Tak. Harry znalazł pewien ślad. Sherry wywalił na bruk jakąś starą kwokę, która od lat była jego gosposią, podobno strasznie się wkurzyła. Pracuje u jakiejś rodziny w Chevy Chase, ale jest harda i nie chce rozmawiać z glinami ani detektywami.

Świadek z domostwa Burroughsa mógł się okazać darem bożym.

- Jak się nazywa?

Zajrzał do notatek.

- Maureen Carmody.

- A widzisz, na tym polega problem. Musi się tym zająć wygadany Irlandczyk.

- Ucieszy się, jak usłyszysz swojską gwarę? Jest twoja.

Walter wypił kawę w bibliotece i wyszedł, a Marta położyła się spać; zostaliśmy sami. Ashley była zatopiona w myślach. Ja też rozmyślałem, głównie o tym, jak skończy się ten wieczór. Choć byłem zakochany, zachowałem dość zdrowego rozsądku, by здаwać sobie sprawę, że im więcej czasu ze sobą spędzimy, tym trudniej mi będzie pracować.

Ona pierwsza przerwała milczenie.

- Chcę cię o coś spytać. Chodzi o moją sprawę.

- Słucham.

- Nie powiedziałaś nic o dzienniku.

- Przeczytałem tylko fragment, a poza tym jest dość nietypowy. Twój ojciec pisał nie tyle o wydarzeniach, co o swoich przemyśleniach na ich temat, więc trudno powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Czyli nadal nie wiesz, dlaczego Raymond i Sherry znęcali się nad nim?

- Nie. Myślę, że zdjęcie, które ci pokazałem, prawdopodobnie zostało zrobione w Kalifornii, może w okolicach Hollywoodu albo Los Angeles. Nie wiesz, co twój ojciec mógł tam robić w latach pięćdziesiątych?

Potrząsnęła głową.

- Nigdy o tym nie mówił, a ja nie znalazłam żadnych dokumentów.

- A co z jego znajomymi z tamtego okresu? Żyje jeszcze któryś z nich?

- Herbert Epstein, mieszka w małym mieście w Pensylwanii. Razem studiowali i zdaje się, że utrzymywali ze sobą kontakty.

- Kiedy ostatnio go widziałaś?

- Nie przypominam sobie, że bym go kiedykolwiek spotkała. Wszystko, co ci o nim powiedziałam, było w przysłanym przez niego liście z kondolencjami.

- Może będę go musiał odwiedzić.

- Mam pojechać z tobą?

- Miło byłoby mieć towarzystwo, ale raczej powinienem to załatwić sam.

Położyła mi głowę na ramieniu.

- Jesteś dziś małomówny - powiedziała.

- Możliwe.

- Czy ma to jakiś związek z tym, co stało się wczoraj?

- Przypomniał mi się artykuł z „Cosmopolitan”.

- Hmm, nie wiedziałam, że czytasz takie rzeczy.

- Nie zgłębiłaś jeszcze moich tajemnic.

- Leżał przy kasie w supermarkecie, co?

- Muszę być na bieżąco z potrzebami nowoczesnej kobiety.

- Oby tak dalej. Moje potrzeby zaspokoiliś znakomicie.

Objąłem ją i zniżyłem głos.

- Wiedziałaś, że okres między kolejnymi „wspólnymi nocami” jest równie istotny dla związku, jak decyzja, by zrobić to po raz pierwszy?

- Nie.

- A widzisz. Rozsądek powinien brać górę nad popędem.

- No proszę.

- W „Cosmo” napisali, że to raczej do mnie należeć będzie dokonanie właściwego wyboru.

- Oczywiście - szepnęła, wodząc palcem po moim uchu. - A napisali, jak masz to zrobić?

- Była tam tabelka z kategoriami reprezentującymi różne rodzaje związków. Właściwie trochę to skomplikowane.

- A była kategoria „Pary, które mają napięty harmonogram, bo on lub ona może na długo trafić do więzienia?”

- Hmm... nie.

- No to chodźmy do łóżka. Zgłębię twoje tajemnice.

Przy niej wszystko wydawało się prostsze.

Proces w sprawie karnej jest moralitetem odgrywanym przed małą publicznością i dobry prawnik stara się być jego producentem, reżyserem i gwiazdą. Zanim jednak roz-

początek się przedstawienie, trzeba przeprowadzić próby, a przed próbami napisać scenariusz, powstający podczas dochodzenia.

Może to być najtrudniejszy, a zarazem najciekawszy etap przygotowań: prawnik jako stronnicy historyk, opisujący ład, który uległ samoczynnemu zniszczeniu, usiłujący zrozumieć, jak ludzie myślą, działają i w jakie wchodzi relacje, poznać ich nawyki, zwyczaje i skłonności, a wszystko po to, by odtworzyć i zinterpretować przeszłość jak najkorzystniej dla klienta.

W drodze do Chevy Chase zastanawiałem się, jak rozmawiać z gospożą Sherry'ego. W normalnych okolicznościach zostawiłbym to Walterowi, ale instynkt podpowiedział mi, że tym przesłuchaniem powinienem się zająć osobiście. Żeby zacząć rozmowę ze świadkiem, najpierw trzeba wsadzić nogę w jego drzwi, dlatego kiedy zadzwoniłem do niej, udało mi się dostatecznie niejasno wyjaśnić, o co chodzi, a ona nie wypytywała o szczegóły. Jeśli jednak rzeczywiście chciała rozmawiać o swoim poprzednim miejscu pracy, to

dobrze to ukrywała.

- Kerry, tak? - Maureen Carmody uniosła brew, nalewając herbaty. Tak to jest, jak człowiek zda się na instynkt. Siedziałem u niej od przeszło godziny i nie zadałem ani jednego pytania, za to ona byłaby godnym przeciwnikiem Waltera w najwyższej formie. Omówiliśmy już moją karierę, nowojorskie parafie, w których mieszkałem, moje małżeństwo i rozwód („jaka szkoda”), a teraz odgrywaliśmy irlandzką wersję Korzeni.

- Tak mi się wydaje.

- Killarney?

- Hmm... nie jestem pewien.

- W Killarney są prawie sami turyści. My jesteśmy ze Sligo. Kraju Yeatsa.

- Rozumiem.

- A rodzina pańskiej szanownej matki? - zakwiliła, podając mi filiżankę.

Jej błada cera prawie nie odróżniała się od porcelany.

- Nie pochodzą z Irlandii - wymamrotałem. Nie skomentowała mojego wyznania, ale od tej pory zaczęła zwracać większą uwagę na swoją herbatę.

Moja misja była zagrożona. Wyglądało na to, że przez całe życie będę pokutował za lekkomyślność Terry'ego O'Connella.

- No to jak, panie O'Connell - powiedziała z westchnieniem - o co chodzi?

- O Raymonda Garveya. Jak pani zapewne wie, moja klientka jest oskarżona o jego zabójstwo.

- Cały świat to wie. Czemu przychodzi pan z tym do mnie?

- Sądzymy, że Sherman Burroughs znał pana Garveya i muszę się dowiedzieć, co ich łączyło.

- Po co?

- Ciężko byłoby mi to wyjaśnić już teraz. Jako prawnik, muszę zachowywać dyskrecję dla dobra moich klientów. Jestem pewna, że pani to rozumie.

- Och, oczywiście. A ja, jako była pracownica, też muszę zachowywać dyskrecję dla dobra moich byłych pracodawców, no nie?

- To prawda.

- Nie żebym im była coś winna. - Zacisnęła usta w wąską kreskę, jej policzki lekko się zaróżowiły. - Dwadzieścia cztery lata! - rzuciła. - Dwadzieścia cztery lata uczciwej pracy! - Zawiesiła głos, czekając na moją reakcję. Energicznie pokiwałam głową. - I o co poprosiłam w zamian? O zawieszenie do domu? Ani razu! O dużą podwyżkę? Też coś! - prychnęła. - Nie byłoby ich stać! - Położyła rękę na moim kolanie. - O ubezpieczenie zdrowotne!

- Ubezpieczenie zdrowotne?

- Co, myśleli, że nie czytam gazet? Nie oglądam telewizji? Tyle się słyszy o ludziach, którzy przez chorobę stracili oszczędności swojego życia.

- To okropne - przytaknąłem.

- Nie dla mnie. Niedługo stuknie mi sześćdziesiątka, a ja jeszcze ani razu nie chorowałam! Moja mama skończyła już osiemdziesiąt jeden lat i ma sześć siostr i braci, w wieku od siedemdziesięciu pięciu do dziewięć-dziesięciu dwóch lat.

- To wspaniale.

- Dzięki Bogu i Matce Najświętszej. Ale czy to znaczy, że człowiek nie może zlecieć ze schodów? Albo wpaść pod samochód w drodze na targ?

- Oczywiście, że nie.

- Oczywiście, że nie! Musimy być przygotowani! Kto w dzisiejszych czasach nie ma ubezpieczenia zdrowotnego?

Najwyraźniej nikt prócz kilku służących i prawników. Zmarszczyłem brwi, porażony tak jawną niesprawiedliwością.

- Zwolnili panią, bo poprosiła pani o ubezpieczenie zdrowotne?

Wyglądała na oburzoną.

- Zwolnili? I znaleźli kogoś, kto tyrałby dla nich jak ja przez te wszystkie lata? Akurat! Sama odeszłam! Skoro nie mogą zapewnić mi spokoju ducha, to nie będąmieli ze mnie pożytku, tak powiedziałam. Po dwóch tygodniach byłam już tutaj.

- I teraz ma pani ubezpieczenie?

- Dostałam wyższą pensję, to sama je sobie opłacałam. To naprawdę szczodrzy, serdeczni ludzie. Burroughsowie, to zimne dranie, mówię panu.

- No cóż, wygląda na to, że wszystko się dobrze skończyło.

- I zawdzięczam to tylko sobie - mruknęła, odstawiając imbryk. Wyrzała przez okno na ogródek na tyłach i zamilkła. Chciałem, by wzbierający w niej żal skłonił ją do dalszych zwierzeń, więc sączyłem herbatę w ciszy, podczas gdy ona rozpamiętywała lata spędzone na służbie.

Minęło sporo czasu, widać miała co rozpamiętywać. Z tego, co wiedziałem, zaczęła pracować za kadencji Sherry'ego Pierwszego, a tak dawne czasy mnie nie obchodziły. W końcu odkaszlnąłem i ocknęła się,

- Nie proszę pani o nadużycie czyjegokolwiek zaufania - powiedziałem - ale jeśli to możliwe, chciałbym dowiedzieć się paru rzeczy o panu Burroughsie. Moja klientka będzie pani bardzo wdzięczna. Ci mili ludzie, u których pani pracuje, na pewno też.

- Kiedyś ją spotkałam.

- Pannę Bronson?

Skinęła głową.

- Na gali charytatywnej w domu Chandlersów w McLean, wie pan, to była taka głupia aukcja, jakich teraz wiele. Ja pomagałam służbie. - Zamilkła, by upić łyk herbaty, i pokręciła głową na to wspomnienie. - Och, ależ ona wyglądała. Weszła do pokoju w takiej zielonej sukni i wszystkie rozmowy ucichły, wie pan? Pomyślałam sobie: „No proszę, co my tu mamy?” - Nachyliła się do mnie i szepnęła: - Niektórzy z tych bogaczy... - zaczęła,

potem rozmyśliła się i potrząsnęła głową. - Ale ta dziewczyna ściąga na siebie całe światło w sali, rozumie pan?

- Rozumiem.

- Cóż - znów westchnęła - trafił pan we właściwe miejsce. Stara miotła najlepiej zna brudne zakamarki.

- Czy pan Burroughs znał Raymonda Garveya?

- Tak. - Oprócz chwil spędzonych na sali sądowej odnalezienie świadka było najprzyjemniejszą częścią mojej pracy.

- Jak dobrze?

- Bywał u nas. Zdaje się, że prowadzili z panem Burroughsem jakieś interesy. Spotkali się parę razy i pan Garvey często do niego dzwonił.

- Czy wszystkie te spotkania odbywały się w domu pana Burroughsa?

- Przynajmniej te, o których wiem.

- A wie pani coś o spotkaniu w restauracji w Middleburgu?

- Przecież nie byłam jego sekretarką, nie? Nie mówił mi, dokąd chodzi.

- Panno Carmody, to bardzo ważne. Czy nie domyśla się pani, czego dotyczyły ich spotkania?

Potrząsnęła głową.

- Nie moja sprawa. Niech pan spyta pana Burroughsa.

- Niestety, pan Burroughs nie chce ze mną rozmawiać, a pan Garvey nie może.

- Był jeszcze trzeci dżentelmen.

Dzięki Bogu i Matce Najświętszej.

- Kto taki?

Uśmiechnęła się.

- Pan Brown i pan Clay.

- Było ich dwóch? Potrząsnęła energicznie głową.

- Jeden.

- Przepraszam, powiedziała pani „pan Brown i pan Clay”.

- Bo najpierw był panem Brownem, a potem panem Clayem. Kiedy Robert, znaczy się szofer, pojechał po niego na lotnisko, miał trzymać tabliczkę z napisem „pan Brown”. Ale innym razem ten sam człowiek zadzwonił do nas, nie wiedzieć czemu cały w nerwach. Powiedziałam, że pan Burroughs jeździ konno, a on na to: „Niech mu pani przekaże, że dzwonił pan Clay”. A potem kazał mi powtórzyć „pan Clay”. Ale to był ten sam człowiek.

- Skąd pani wie?

- Poznałam po głosie. Takiego się nie zapomina: miał dziwny akcent, europejski, ale nie wiem, z jakiego kraju.

- Ile razy ten człowiek był u państwa?

- Trzy czy cztery, coś koło tego. Dolać panu herbaty?

- Tak, dziękuję bardzo. Czy pan Garvey był obecny przy każdej wizycie pana Browna?

- Nie. Parę razy pan Burroughs przyjął go sam. To znaczy wtedy, kiedy byłam w domu. Nie wiem, czy spotykali się, jak miałam wolne.

- Może mi pani coś o nim powiedzieć? Skąd przyjechał?

- Nie mam pojęcia, proszę pana. Robert zawsze odbierał go spod terminalu i w tym samym miejscu zostawiał. Tak kazał pan Burroughs.

- Jak wyglądał?

- Starszy człowiek, na oko jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Chudy, ale nie drobny, rozumie pan. Sztywno wyprostowany. Wyglądał na twardziela.

- Twardziela?

Skinęła głową.

- Nigdy się nie uśmiechał. Miał takie siwobrazowe włosy, bardzo krótko obcięte. I bardzo dziwne oczy.

- Czemu dziwne?

- W ogóle nimi nie mrugał. Bóg mi świadkiem, bez przerwy patrzył. Aż ciarki mnie przechodziły. I miał bliznę na grzbiecie dłoni, bardzo brzydko wyglądała.

- Której dłoni?

- Lewej. Przy pasku od zegarka.

- Kiedy ostatni raz miała pani z nim kontakt?

- Wtedy, kiedy zadzwonił.

- Panno Carmody, to może być ważne. Czy pamięta pani, kiedy to było?

- Och, no pewnie. W niedzielę. Telefon zadzwonił, kiedy wychodziłam z domu, i właściwie to nie chciałam go odebrać. Tego dnia miałam podawać komunię i bardzo mi się spieszyło.

- To zrozumiałe.

- Kościół tak bardzo się zmienił w ciągu mojego życia. - Westchnęła. - Czy w pańskim kościele też pozwalają starym pannom podawać komunię, panie O'Connell?

- No... czasem. Czyli odebrała pani telefon i okazało się, że to pan Brown, przedstawiający się jako pan Clay?

- Tak.

- Czy przypomina sobie pani dokładną datę?

- Jest w moim kalendarzu, nie?

- Mogłaby pani to sprawdzić? To może być ważne.

- Czy to pomoże tej dziewczynie?

- Tak.

- No to sprawdzę. - Poszła na dół i wróciła po chwili z powleczonego winylem kalendarzem z nazwą miejscowej agencji ubezpieczeniowej. - O, tu jest - powiedziała, otwierając go na październiku. - Moje zajęcia. - Pewnie był to jedyny kalendarz w Waszyngtonie z mniejszą liczbą zapisków od mojego. Znalazły się w nim tylko dwa, a w dodatku przy jednym widniało słowo „odwołane” wpisane ołówkiem obok środy. Za to jedna z niedziel

była zakreślona na czerwono.

Dwudziesty siódmy października, dzień po samobójstwie Henry'ego. Pan Brown-Clay miał dobry powód, by się zdenerwować. Czegokolwiek szukali, ojciec Ashley zabrał to ze sobą do grobu.

Parę godzin później leżałem już w łóżku Ashley, gdzie spędzałem wszystkie noce od naszego dziewiczego rejsu sprzed trzech dni. Człowiek, który ma napięty harmonogram, nie może sobie pozwolić na stratę czasu. Po załatwieniu większości najważniejszych spraw, drzemaliśmy objęci, kiedy spytała:

- Jak było dzisiaj? Dowiedziałeś się czegoś nowego o Octagonie?

- Poznałem nowego członka. Pana Browna i pana Claya.

- Było ich dwóch?

Pokręciłem głową, wtuloną w jej szyję.

- Tylko jeden - mruknąłem. - Jeden człowiek, dwa nazwiska.

- Brzmi złowieszczo.

- Tak też wyglądał. Stary, chudy, nie mruga oczami. - Poczułem, że zeszywniała. - Co się stało? - spytałem.

- Nic - powiedziała cicho.

- Jesteś pewna?

Odwróciła się do mnie.

- To wszystko mnie przeraża i tyle. - Przysunęła się bliżej i położyła głowę na mojej piersi. - Cieszę się, że tu jesteś - szepnęła.

11

DZIENNIK HENRYEGO BRONSONA

9 października 1952. Większość spraw najlepiej rozpatrywać czysto teoretycznie; dotyczy to z pewnością konsekwencji naszych czynów. Czy rozwodząc się nad realiami, moglibyśmy iść naprzód?

Zasilana strumykami tysięcy polityków i asystentów, prawników i dyplomatów, lobbistów, publicystów, członków śmietanki towarzyskiej i służących, rzeka plotek w Waszyngtonie jest wartka i głęboka. Co nieuniknione, od czasu do czasu następuje erozja i powódź; reputacje i kariery zostają poniesione z prądem, bywa, że w ciągu jednej nocy.

W dodatku rzeka bezustannie zmienia koryto. Jednego dnia podziwiasz widok ze wzgórza, następnego walczysz z nurtem, trzymając się kamienia.

W poniedziałek, trzynaście dni po pierwszych telefonach w tej sprawie, woda przełała się przez worki z piaskiem otaczające posiadłość Burroughsów. To był materiał na pierwszą stronę, tuż pod zagięciem kartki: obrona Ashley Bronson sprawdza powiązania Raymonda Garveya z Shermanem P. Burroughsem III, patriarchą znamienitego rodu z Wirginii, który popadł w kłopoty finansowe. Według anonimowych źródeł, Garvey i

Burroughs prowadzili wspólne interesy i na kilka dni przed zabójstwem doszło między nimi do gwałtownej kłótni. Robert Burnside w imieniu Burroughsa „kategorycznie” zaprzeczył, jakoby jego klient miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Garveya. obrońca Ashley Bronson Frank O’Connell oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia na ten temat.

Nieźle jak na adwokata prowadzącego swoją pierwszą głośną sprawę. Minęło trochę więcej czasu, niż się spodziewałem, zanim cała ta historia znalazła się na radarze „Post”, ale pod wpływem skrupułów Ashley czułem się zmuszony pozostawić wszystko w rękach losu. Dziennikarz wyszperał materiały dotyczące kwestii finansowych i towarzyskich. Ja dorzuciłem informacje o wspólnych interesach i kłótni.

Jechaliśmy na grzbiecie tygrysa. Wszystkich zaintrygował nagły zwrot w sensacyjnej sprawie o zabójstwo. Jedna ze stacji telewizyjnych puściła materiał z wizyty Burroughsa na wyścigach o Złoty Puchar, druga nadała transmisję sprzed bramy jego posiadłości, a trzecia pokazała patriarchę rodu wysiadającego z rolls-royce'a. Kiedy wszedłem do gabinetu, moje biurko było zasłane prośbami o kontakt napływającymi z całego kraju: zgłosiły się telewizje, gazety, czasopisma, no i, oczywiście, brukowce. Moim głównym celem było jednak dotarcie do lokalnej widowni. Warner nie jest w stanie usunąć wszystkich kandydatów na przysięgłych, którzy czytali artykuły o Sherrym; kilku prześlizgnie się przez sito. Jednak nawet gdyby jakoś udało mu się wyeliminować tych, którzy czytają gazety albo oglądają wiadomości w telewizji, zostaliby sami najbiedniejsi, najgorzej wykształceni mieszkańcy naszego miasta, ci najbardziej nieufni w stosunku do agentów CIA i bogaczy o nazwiskach typu Miles Kellogg i Sherman Pierce Burroughs. Nie miałbym nic przeciwko temu.

Ten etap naszej nowej strategii zakończył się sukcesem, ale na dłuższą metę niewiele mógł znaczyć, bez uzupełnienia go o przekonującą historię.

Musieliśmy rozpracować Octagon i tajemnicę przeszłości Henry'ego.

Przeglądałem wiadomości, aż jedna z nich zwróciła moją uwagę - prośba o telefon od Maureen Carmody. Skontaktowała się z nią ekipa jednego z programów telewizyj-

nych, w związku z czym chciała ze mną natychmiast porozmawiać. Jezu, dobrzy byli; w ciągu kilku godzin dowiedzieli się o jej istnieniu i ją znaleźli. Myślałem, że dostanę solidną dawkę znanego irlandzkiego temperamentu, ale - niespodzianka! - po prostu chciała się mnie poradzić: zaproponowano jej pięć tysięcy dolarów za opowiadanie historii jej

pracy w domostwie Burroughsów. Co o tym sędzę? Więcej wiadomości, większe zainteresowanie - to były plusy. Minusem była niechęć Amerykanów do wszelkich kapusiów i informatorów. Świadkowie, którzy sprzedawali swoje historie, na ogół dostawali w kość na przesłuchaniu. Rogavin wypatroszy ją, po czym ciśnie jej zwłoki na ławę obrony. Jednak, co jej się chwali, Maureen nie miała ochoty mówić. Nikt nie cierpiał kapusiów bardziej niż Irlandczycy i wystarczyło, że napomknąłem o potrzebie zachowania dyskrecji, by utwierdziej ją w jej przekonaniach. Odłożyłem słuchawkę z nadzieją, że nie będzie-

my musieli wrócić do tego tematu, kiedy cena pójdzie w górę.

O drugiej dostałem ręcznie pisany list od Burnside'a, do którego dołączona była kopia skargi złożonej w radzie adwokackiej Dystryktu Kolumbia. Zakończył go słowami: „Przykro nam, że konieczny był tak drastyczny krok, ale uważamy, że okoliczności wymagają przekazania sprawy w ręce komisji etyki, która podejmie odpowiednie działania”. Innymi słowy, nic ponadto nie zamierzał zrobić i prosił, bym nie uduślił go na parkingu. Nie musiał się obawiać.

W całym kraju nie było liczącego się adwokata, którego postępowanie nie zostałoby choć raz poddane w wątpliwość, zwykle przez jakiegoś „eksperta”, który nie miał pojęcia, jak to jest wejść na arenę i walczyć o czyjeś życie. Zanim jednak rada zdecyduje, czy przekroczyłem swoje uprawnienia, proces Ashley Bronson będzie już należał do przeszłości, a opinia komisji, tak czy inaczej, nie znajdzie się na czele listy moich priorytetów.

Właśnie zajmowałem się kreśleniem ogólnego zarysu sytuacji dla „News-weeka”, kiedy wniesiony został kolejny stos wiadomości. Moja sekretarka zajęła się ich segregowaniem i wręczyła mi dwie jako zasługujące na szczególną uwagę. Jedna była od Tatka; na drugiej widniały słowa: „od syna”.

Podniosłem ją.

- Mojego syna?

- Tak myślę, panie O'Connell. To był mały chłopiec.

- Co powiedział?

- Chciał mówić z tatą. Spytałam, o kogo chodzi, i zawahał się. Chyba pytał kogoś o coś, a potem powiedział: „z Frankiem”. Wyjaśniłam mu, że rozmawia pan przez telefon i spytałam, czy chce zostawić jakąś wiadomość.

Był taki miłutki. Powiedział: „Tęsknię za tobą”. I tyle: „Tęsknię za tobą”, jakby mówił do pana i... Czy coś się stało?

Wymamrotałem pod nosem „dziękuję” i wyprosiłem ją gestem ręki. Minęły przeszło dwa tygodnie od tamtego wieczoru, kiedy pomachał mi na pożegnanie, w tym czasie ani razu go nie odwiedziłem, nawet nie zadzwoniłem. Nie mogłem pogodzić się z tym, że moja rodzina zaczyna nowe życie, więc unikałem jej, by o tym nie myśleć. Wzięłem głęboki oddech i wykreciłem numer. Odebrała Moira.

- To ja. Dostałem jego wiadomość.

- Mówił, że za tobą tęskni, więc pozwoliłam mu zadzwonić.

- Dzięki. Serio.

Zniżyła głos.

- Powiedziałaś mu, że wyjechałeś w związku ze sprawą więc w razie czego tak się tłumacz.

- Nie martw się, oszukam go. Przecież to tylko dziecko, prawda? - Wypuściłem powietrze z ust. - Może rzeczywiście będzie mu lepiej z nowym ojcem.

- Nie będzie miał innego ojca. Nigdy.

Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że mówi poważnie, ale co będzie myślała za cztery, pięć lat?

- Kiedy mogę go zobaczyć?

- Może dziś wieczorem?

- Im wcześniej, tym lepiej. Przyjadę po niego o szóstej.

- Nie, zjemy kolację u mnie.

- Posłuchaj, nie...

- Frank, wykorzystajmy ten czas, dobrze? Dla Brendana.

- Dobra... dla Brendana. Dzięki.

Tatko był następny. Jego sekretarka powiedziała, że jest na spotkaniu, ale kazał, by go zawołać, gdybym zadzwonił. Przeczynałem, co mnie czeka, taki drobiazg jak rozwód nie był w stanie zniechęcić Tatka. Jeśli dowie się o Robie i San Francisco, zrobi wszystko, by pojednać mnie z Moirą.

Nie tracił czasu.

- Francis, musimy porozmawiać - burknął. Ton, jakim powiedział te słowa, rozwił wszelkie wątpliwości. Wiedział, co jest grane i nas oboje - mnie i jego córkę - czekała trudna przeprawa. Zostałem wezwany do jego gabinetu na następny dzień.

Przed wyjazdem do Moiry musiałem przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę. Wykręciłem nowy numer Ashley. Odebrała osobiście.

- Słyszałaś wiadomości? - spytałem.

- Trudno było je przegapić.

- Nie rozmyśliłaś się, co?

- Nie. A jeśli szukasz schronienia przed burzą, dziś znów gotuję i pachnie tu coraz ładniej.

- Wiesz, nie mogę przyjść.

- Ach... no trudno. Ja...

- Idę do Brendana. Dzwonił do mnie, zostawił wiadomość, wydawał się smutny i mówił, że za mną tęskni, a ja nie widziałem go od paru tygodni, więc pomyślałem sobie...

- Moment, moment. Zwolnij trochę.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Jezu, czuję się, jak gówniarz tłumaczący dziewczynie, że nie może pójść z nią na studniówkę.

- Przecież się nie umawialiśmy, pamiętasz? Mamy żyć z dnia na dzień, nie wybiegać w przyszłość.

- Straciłem głowę. To przez ten cholerny „Cosmopolitan”.

- Frank, posłuchaj mnie. Pewnie przed północą nie zasnę. Nie oczekuję tego od ciebie - nie oczekuję, rozumiesz? - ale jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń pod ten numer. Tak czy inaczej, nie przejmuj się.

- W porządku. -Noah powiedziałby, że jestem „rozdartą”. Walter wybrałby bardziej dosadne określenie.

Moira była zdecydowana wykorzystać ten czas, jak należy. Po raz pierwszy od czasu, kiedy się wyprowadziłem, siedzieliśmy we trójkę przy stole w jadalni i Brendan był zachwycony. Nie zamykała mu się buzią po części dlatego, że mama zarzucała go naprowadzającymi pytaniami, tak bym dowiedział się wszystkiego o szkole, halowym futbolu, jego decyzji, że zostanie nurkiem w marynarce wojennej i innych rzeczach, których nie udawało mi się z niego wyciągnąć, kiedy zostawaliśmy sami. Mój chłopak miał wkrótce stać się małym mężczyzną. Nie przypuszczałem tylko, że dojdzie do tego bez mojego udziału. Kiedy ułożywszy go do snu, zszedłem na dół, Moira zmywała naczynia,

więc podszedłem do niej, by je wytrzeć i włożyć do zmywarki. Był to dla nas pewnego rodzaju

rytuał, pora dyskusji na ważne i błahe tematy związane z życiem rodzinnym. Tak to wyglądało kiedyś, a teraz za tabu uznawaliśmy wszystko, co mogłoby sprowokować kolejną kłótnię, więc rozmawialiśmy o sprawie Ashley Bronson.

- Czytałam, co piszą gazety - powiedziała. - Czy powinno mi być żal BuiTOughsa?

- Nie.

- Nie rozumiem. Kiedy powiedziałeś mi, że zostanie skazana, uznałam, że jest winna.

- Bo jest, ale nie można wykluczyć, że Burroughs przyłożył rękę do tego, co się stało.

- A ty chcesz dać ławie przysięgłych wybór. - Uśmiechnęła się. - Cóż, Tatko mówił, że jesteś obrotny.

- A propos Tatka, zostałem wezwany na audiencję.

- Powiedział, czego chce?

- Nie, ale zdaje się, że to coś poważnego. Zna twoje plany?

Potrząsnęła głową.

- Zbieram się, żeby mu o tym powiedzieć, ale możliwe, że już coś podejrzewa. - Jedyne pewien żydowski detektyw miał lepszą intuicję niż Tatko.

- Może to głupio zabrzmieć, ale co mogę zrobić? Zanim odpowiedziała, przez chwilę wpatrywała się w brudną wodę.

- Kiedy nadejdzie pora - powiedziała cicho - daj mu do zrozumienia, że nie masz nic przeciwko temu.

- Jasne. - Następne kłamstwo. Było ich tyle, że już zaczynały się układać w stos.

W drodze powrotnej do centrum zatrzymałem się na stacji benzynowej.

Wykręciłem numer Ashley, ale odłożyłem słuchawkę i pojechałem prosto do domu. Było dopiero wpół do dziesiątej, miałem mnóstwo czasu na spacer.

12

DZIENNIK HENRYEGO BRONSONA

7 marca 1954. Gdybym mógł nie myśleć o niczym prócz moich osiągnięć, byłyby to najpiękniejsze dni w moim życiu. Przerosłem własne oczekiwania i świadomość tego powinna sprawiać mi satysfakcję.

W tych czasach trzeba jednak widzieć wszystko z szerszej perspektywy. Tego wymaga rozsądek. Jeśli zagrożona jest cała rodzina, czy którykolwiek z jej członków może być zadowolony?

W firmie nic się nie zmieniło. Tatko od czasu mojego odejścia nie przyjął nikogo na wspólnika, ale zatrudniał trzech doświadczonych prawników o pierwszorzędnym kwalifikacjach, całą kadrę sekretarzy obdarzonych przez los wpływowymi krewnymi i dwóch pełnoetatowych lobbistów, którzy urabiali Kongres w interesie klientów firmy. Tatko miał też dwie asystentki. Millie Fields była kobietą w średnim wieku, pochodzącą z Minnesoty. Przyjechała do stolicy w 1968 roku, by pracować przy kampanii dzieci-kwiatów na rzecz nominacji McCarthy'ego na kandydata na prezydenta. Pisała na maszynie i

porządkowała dokumenty, gdy Gene walczył z amerykańskimi wiatrakami, a teraz harowała dla Edwarda Brennana, niezrównanego obrońcy wiatraków.

Tatko od lat starał się ją kimś wyswatać, ale jakoś nigdy mu nie wyszło, i co noc wracała sama do mieszkania w Adams-Morgan.

Drugą asystentką była Margaret McCauley, od dnia stworzenia świata prawa ręka Tatka. „Maggie Mac” pilnowała terminów, rozsyłała podarki, fałszowała podpis szefa i strzegła zamku w kryzysowych chwilach. W zależności od tego, na kogo lub na co trzeba było wpłynąć, zdarzało się, że o miejsce przed biurkiem Edwarda Brennana walczyło kilkanaście osób. Maggie decydowała, kto uzyska audiencję, a kto nie, i znała wszystkie szczegóły intryg snutych w murach zamku Brennan. Była też kuzynką szefa - więzy krwi stanowiły jeden z najważniejszych warunków przyjęcia na to stanowisko. Tatka zawsze zdumiewała niekończąca się parada kongresmenów, lobbistów i prezesów lądujących w więzieniu z winy zaufanych asystentów.

Kręcił głową i mówił: „To dlatego dobry Pan Bóg stworzył rodzinę”.

Maggie zapukała do dębowych drzwi gabinetu Tatka i wprowadziła mnie do środka. Chyba nigdy nie było mi tak dobrze, jak w pierwszych latach, które tu spędziłem. Teraz, przechodząc przez próg, czułem się, jakbym wracał do łona matki. Na ciemnozielonych ścianach wisiły obrazy i zdjęcia ulubionych osób i miejsc Tatka. Nie było standardowych fotografii VIP-ów, nie licząc jednej, czarno-białej, stojącej na biurku; przedstawiała go z młodym Johnem F. Kennedym, kiedy żeglowali po Nantucket Sound. Jedną ze ścian zajmowało panoramiczne zdjęcie wnętrza pubu w Limerick, tak realistyczne, że każda rumiana twarz mogłaby posłużyć za punkt wyjścia długiej opowieści, czasem nawet zdarzało mi się wymyślać biografie tych ludzi.

Nad kominkiem wisiał portret matki Moiry, a między oknami wychodzącymi na ulicę Jeffersona - zdjęcie nas wszystkich na plaży w Nantucket.

Tatko podźwignął się z fotela stojącego przy kominku. Miał te słynne irlandzkie geny długowieczności, ale coraz szybciej się starzał i poczułem wyrzuty sumienia, że nie odwiedzałem go przez tyle miesięcy. Uścisnęliśmy się nieco dłużej niż zwykle, poklepując się po plecach, po czym usiadł i wskazał mi swój stary fotel, ustawiony naprzeciwko. Przed tym kominkiem spędziliśmy wiele wieczorów. Tatko nalewał dwie whisky i zaczęliśmy rozmawiać: o interesach, polityce, sprawach rodzinnych i przyszłości. Mówił, że chce żyć dotąd, aż zobaczy Brendana w swojej firmie.

Czasami dzwoniła Moira. To były magiczne chwile. Mówiłem jej, że jestem z Tatkiem i zaczęli ze sobą rozmawiać za moim pośrednictwem, aż wreszcie on sam brał ode mnie słuchawkę. Zawsze pytał: „Dobrze cię traktuje, dziecko?” i słysząc jej odpowiedź, wybuchał śmiechem, aż do tego wieczoru, tuż przed końcem, kiedy musiała się rozplakać.

- No to powiedz mi - zaczął - jak to jest być grubą rybą?

- Gdybym nie miał tylu zmartwień, pewnie by mi się nawet podobało.

- Ach, chłopcze, zmartwienia są rdzą na ostrzu.

- Następne irlandzkie przysłowie?

- To z Henry'ego Warda Beechera, ale musiał to ukraść jakiemuś Irlandczykowi, bo kto wie o zmartwieniach więcej od nas? - Zajrzał do szklanki i zmarszczył brwi.

- A ty masz jakieś, Tatku?

Zanim odpowiedział, upił łyk whisky. Zaczynałem się niepokoić. Jeśli nie chodziło o Moirę, musiało to być coś równie poważnego.

- Chłopcze - powiedział - wiesz, że nie mam wątpliwości co do słuszności decyzji, jakie podejmujesz na sali sądowej, ale ta sprawa z Burroughsem... Jeśli plotę głupoty, to powiedz mi, żebyś się zamknął, zanim zacznę.

- Mów dalej, słucham.

- Chłopcze, prasa i telewizja mają używanie i wielu ludzi się niepokoi, można nawet powiedzieć, denerwuje tym, co się dzieje.

- Nie wiedziałem, że znasz Shermana Burroughsa.

- Słabo. Ale rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy znają go lepiej. -Upił następny łyk. - Wieloma - powtórzył.

- I poprosili cię, żebyś pogawędził ze swoim byłym zięciem?

- Nie mieszajmy w to rodziny. Powiedzmy, że chodzi o rozmowę o interesach z byłym wspólnikiem. Słyszałem, że facet mocno się zdenerwował.

- Aktywne życie i zmartwienia z czasem zmogą najsilniejszy organizm, ale poczucie winy i melancholia to szybko działające trucizny.

- To też nie brzmi jak irlandzkie przysłowie.

- Cytat z Thomasa Paine'a. Tatku, nawet jeśli facet osobiście nie pociągnął za spust, to ma, na co zasłużył.

- To znaczy, że przyłożył do tego rękę?

- W pewnym sensie.

- Nie chwytam, Francis. Zlecił to komuś?

- Nie.

- Czyli nie pociągnął za spust i nikomu tego nie zlecił. To chyba wyczerpuje wszystkie możliwości?

- Nie.

- Tak myśli reszta świata.

- Badam powiązania między Burroughsem a Raymondem Garveyem. Nie mogę mówić ludziom, co mają myśleć.

- Może za długo w tym siedzę, ale czytuję gazety i wydawało mi się, że w niektórych fragmentach poznaję rękę adwokata Ashley Bronson.

- Tatku, przecież wiesz, o co mi chodzi.

Zajrzał do pustej szklanki.

- Pozwól staremu człowiekowi zadać jeszcze jedno pytanie, potem się zamknę. Czy jest to coś, co musisz zrobić?

- Tak.

Wypuścił powietrze z ust.

- No, to tyle. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. - Zaczął podnosić się z miejsca. - Napijesz się, chłopcze?

- Siedz, ja się tym zajmę. - Podeszedłem do kredensu i nalałem whisky do szklanek z Waterford. Obok srebrnej tacy stało oprawione w szkło ogłoszenie o powstaniu spółki Brennan & O'Connell. Zewsząd otaczały mnie pamiątki po tym, co kiedyś miałem, i zaczynałem sobie przypominać, dlaczego z tego zrezygnowałem. Rozmawialiśmy o tym i o owym, ale nie poruszyliśmy tematu nowego ukochanego Moiry i właśnie śmialiśmy się z listy wymarzonych prezentów Brendana, kiedy Tatko przeprosił mnie i poszedł odebrać telefon od klienta.

Ja w tym czasie wpatrywałem się w zdjęcie z plaży, wyobrażając sobie, że mężczyzna odwrócony plecami do aparatu to Rob, i widziałem już dno w swojej szklance, kiedy wrócił Tatko.

- Ach, ta ochrona zdrowia - poskarżył się. - Dużo świń zje z tego koryta. - Klepnął mnie w kolano i mrugnął porozumiewawczo. - No to opowiedz mi o pannie Bronson. Jaka jest?

- Jaka? - zawahałem się. - Cóż... inteligentna. Maluje obrazy, jest naczelną małego pisma i chyba ma dość siły, by w miarę dobrze znieść to, co się wokół niej dzieje.

- Jeśli chodzi o urodę, to jest na poziomie Moiry.

- Możliwe... na tym poziomie.

- Byłeś w domu, chłopcze? - spytał cicho. Nadal uważał, że dom Moiry jest też moim domem.

- Wczoraj wieczorem. Zjedliśmy we trójkę kolację. Jego twarz rozpromieniła się.

- No proszę! To chyba dobrze, prawda?

- Tatku, to była kolacja. Nie ma się czym podniecać.

Uniósł dłonie w pojednawczym geście.

- Nie wolno człowiekowi mieć nadziei? Odmówisz mu tego?

- Tatku... - Mój głos załamał się. Gdyby starczyło mi odwagi, powiedziałbym mu wszystko już teraz i oszczędził Moirze przykrości.

- No dobrze. - Westchnął. - Nie będę wtykał nosa w cudze sprawy.

- Przepraszam, Tatku. Ale ci podpadam, co?

- To nic, chłopcze. Robimy to, co musimy.

- Muszę wracać do biura. Ta sprawa z Burroughsem... nie przyprawi cię o ból głowy, co?

- Nic mi nie będzie. - Spojrzał na mnie z troską. - A tobie?

- No cóż, lepsze to niż pętanie się po areszcie, prawda?

Uśmiechnął się.

- A owszem. - Pomogłem mu wstać, podeszliśmy razem do drzwi i uścisnęliśmy się. Kiedy odwróciłem się, by odejść, przytrzymał mnie. - Jeszcze jedno, chłopcze - powiedział. - Jeśli ta sytuacja będzie miała jakieś następstwa, raczej niewiele będę mógł zrobić. Powinieneś to wiedzieć.

- A będzie miała, Tatku?

Zmarszczył brwi.

- Zdziwiłbym się, gdyby tak się nie stało.

Jak zwykle, radar Tatka był niezawodny. W gabinecie czekał na mnie list z komisji etyki. Pierwsze akapity wyglądały tak, jak się spodziewałem: w związku ze skargą wniesioną przez Burnside'a wszczynają dochodzenie, bla, bla, bla. Nie ma problemu, pomyślałem, nie spieszcie się. Przejrzałem resztę listu.

Zatrzymałem wzrok dopiero na ostatnim akapicie i przeczytałem go jeszcze raz, powoli: „Ponieważ kwestie poruszone przez pana Burnside'a mają związek z trwającym postępowaniem, komisja uważa, że sprawę tę powinien niezwłocznie rozpatrzyć przewodniczący składu sędziowskiego i podjąć stosowne działania. Komisja rozpocznie dochodzenie po zakończeniu procesu”.

Okazało się to pierwszą falą skoordynowanego ataku. Po południu przyszło pismo z gabinetu Warnera, zapowiadające, że sąd rozpatrzy tę sprawę i w związku z tym będzie chciał przesłuchać wszystkich członków zespołu obrony. Miałem spotkać się z Warnerem w piątek. Pismo nie zostało udostępnione opinii publicznej: to była sprawa między obroną a sądem. Nawet Rogavin, choć dostał jego kopię, nie będzie miał nic do gadania.

Nie doceniłem wpływów Burroughsa i firmy Delbarton & Brand, ale miałem aż nadto wystarczające powody, by zbadać powiązania między Sherrym a Raymondem Garveyem, i nie byłem źródłem przecieków do „Post”. A niech po mnie przyjdą, pomyślałem, nie ma sprawy.

Bardzo szybko zmieniłem zdanie. Andy przeczytał pismo z taką miną, jakby była to karta powołania do wojska. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- O czym chce ze mną rozmawiać? -jęknął.

Próbowałem dodać mu otuchy.

- O Shermanie Burroughsie. Jaki ma związek ze sprawą, jak prowadzimy dochodzenie, czy mamy kontakty z prasą, i tak dalej. Może poruszy też inne kwestie.

- Jakie?

- Nie wiem. - Przesunąłem pismo od Warnera na moją stronę biurka. -Jest tu napisane, że sąd rozpatrzy „wszelkie przypadki możliwego naruszenia kodeksu etyki”. Może zadać kilka ogólnych pytań.

- Spyta o dziennik?

- Nic o nim nie wie.

- Ale czy zada pytania, które zmuszą mnie, żebym mu o nim powiedział?

- Wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy. Biorąc dziennik, nie postąpiłem nieetycznie.

Andy siedział z wzrokiem utkwionym w pismo od Warnera.

- Nie... nie jestem pewien, czy się z tym zgadzam. Raczej nie zmieniłem zdania. - Wypuścił powietrze i spojrzał mi w oczy. - Co zrobiłby Warner, gdyby dowiedział się o dzienniku?

- Nie wiem. Mógłby kazać oddać go policji.

- A wtedy dostałby go Rogavin?

- Nie, bo nie wykonałbym polecenia.

Otworzył szeroko oczy.

- Nie wykonałbyś...

- Zgadza się. Wniósłbym odwołanie.

- Oczywiście, odwołanie! - ucieszył się. Wyraźnie mu ulżyło, że chodziło mi o legalne działanie. - Wreszcie dowiedzielibyśmy się, jak postąpić.

- A gdybyśmy przegrali, Rogavin wykorzystałby dziennik, a Ashley zostałaby skazana za zabójstwo pierwszego stopnia.

- Nie mamy wyboru.

- Możemy sami podjąć decyzję. Jeśli uznamy, że nie było naruszenia zasad etyki, to nie ma powodu, by w ogóle wspominać o dzienniku.

- Już o tym myślałem, i to dużo.

- Traktujesz to tak, jak temat na egzaminie. Musisz myśleć jak adwokat.

- Wydawało mi się, że mamy być obiektywni w kwestiach etycznych.

- Andy, powiem ci to tylko raz, i jakkolwiek podejmiesz decyzję, postaraj się to zapamiętać: w świecie prawdziwego prawa nie ma czegoś takiego, jak obiektywny punkt widzenia. Każdy, kto bierze udział w procesie, ma własne poglądy: prokuratorzy, obrońcy, klienci, świadkowie, sędziowie -zwłaszcza sędziowie. Jeśli porzucisz swój punkt widzenia na rzecz jakiejś złudnej neutralności, twój klient będzie miał duże kłopoty.

Nakreślił czubkiem buta łuk na dywanie.

- Jeśli masz rację - powiedział po namyśle - to normy etyczne nie istnieją. To relatywizm moralny.

- Nie rób z tego studenckiej debaty. Prawnicy muszą podejmować decyzje na podstawie własnego rozeznania i nie ma nic złego w rozstrzygnięciu wątpliwości na korzyść oskarżonego. A jeśli sąd apelacyjny odrzuci nasz wniosek wynikiem dwa do jednego? Będziesz spał dobrze wiedząc, że Ashley jest w więzieniu?

- Tak, jeśli uznam, że sprawiedliwości stało się zadość - oświadczył.

- Tak ci się tylko wydaje. A poza tym zdradzę ci pewien sekret: nie istnieje coś takiego, jak sprawiedliwość, ani w sądzie, ani poza nim.

- Kto tak mówi?

- Clarence Darrow⁵, gość, który wiedział co nieco o prawie. Przemyśl to. Mam nadzieję, że spojrzysz na tę sytuację z innego punktu widzenia.

⁵ * Słynny amerykański adwokat (przyp. tłum.).

Ashley na pewno podzieli moje zdanie. - Uznałem, że na razie nie ma sensu jeszcze bardziej go stresować.

- Zastanowię się - wymamrotał, wstając z krzesła. - Ale nie traktuję obrony Ashley jak jakiegoś sprawdzianu na studiach. Po prostu chcę zrobić to, co uważam za słuszne. - Czekał na słowa otuchy, ale stawka była zbyt duża, a ja nie miałem już czasu na grę fair.

Zadzwoiłem na pager Waltera. Zgłosił się po dwóch minutach.

- Gdzie jesteś?- spytałem.

- W Ziemi Świętej. Zgadnij, co jest na pierwszej stronie „Timesa”?

- Tu też mamy prawdziwe piekło. Jakież postępy?

- Rysopis pana Browna nic nie mówił ochroniarzom i konserwatorom z siedziby Charlton & Revis. To samo z Octagonem. Na lunchu przysiadłem się do recepcjonistki; ta sama historia. Spróbuję jeszcze pogadać z nocną zmianą. Na razie oglądam hol główny, a jutro zadzwonię do kilku znajomych. Może oni słyszeli o Octagonie.

- Mało prawdopodobne.

- Chcesz usłyszeć coś jeszcze mniej prawdopodobnego? Kazałem Harry'emu i Danowi szukać powiązań między Octagonem a Kelloggiem.

- To by dopiero było, co?

- Pomarzyć można, nie? Co chcesz zrobić?

- Wyjechać z miasta. Sherry kontratakuje, jestem oblężony. - Powiedziałem mu o komisji etyki i piśmie od Warrena.

- Poradzisz sobie - skwitował.

- To nie takie proste. Sędzia chce porozmawiać z Andym i nasz młody współpracownik jest w rozterce.

- Chodzi o ten drobiazg w twoim kredensie?

- Tylko nie mów, że mnie ostrzegałeś.

- Na twoim miejscu też dałbym dyla. Dokąd jedziesz?

- Do Pensylwanii. Umówiłem się ze starym znajomym Henry'ego Bronsona. Jeśli ty zajmiesz się Octagonem, a ja tajemnicą Henry'ego, może któryś z nas w końcu znajdzie klucz do tej sprawy. Spotkamy się tu jutro wieczorem?

- Taa, jeśli do tego czasu cię nie aresztują. O, w holu robi się tłok. Muszę lecieć.

13

27 marca 1954. Nauka nie zna złych odkryć. Wiedzę gromadzi się dla dobra wspólnego. Co innego odkrycia dotyczące własnej psychiki. Wielkie przedsięwzięcie daje możliwość poznania takiego siebie, o jakim być może nigdy się nie myśli, a jeśli nawet, to się go unika; poznania własnej natury, nie tylko natury wszechrzeczy. Najwięcej trudności sprawia nie wybór między własnym interesem a dobrem wspólnym, lecz dostrzeżenie różnicy. Alea iacta est.

Dom Herberta Epsteina stał w zachodniej części miasta, na skraju pasma wzgórz biegnącego równoległe do rzeki. Jego dach widoczny był ze stacji benzynowej na głównej ulicy. Przyjechałem pół godziny przed czasem, ale zadzwoniłem do Epsteina z automatu i powiedział mi, że mogę przyjść już teraz. Czekał na mnie na ganku. Mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat wyglądał rześko, ubrany w spodnie khaki, kraciatą koszulę i buty robocze.

Kosmyki siwych włosów i schludnie przystrzyżona broda kontrastowały z ogorzałą twarzą człowieka spędzającego dużo czasu na powietrzu. Mocno uściśnął mi dłoń i po wymianie uprzejmości zaprowadził mnie do kuchni na tyłach domu. Była tu kuchenka, w której paliło się drewnem, sosnowe meble i wyblakłe zasłony.

- Niech pan siada - nakazał. - Właśnie miałem jeść lunch.
- Przepraszam, powinienem był zadzwonić później.
- Nie ma problemu. To tylko zupa i mogę otworzyć drugą puszkę. Co pan na to?
- Dziękuję. Jestem panu wdzięczny, panie Epstein.
- Mów mi Herbert. Siedzisz przy moim stole.
- Dobrze. Jestem Frank.

Otworzył szafkę nad zlewem i odchylił głowę do tyłu, by przeczytać etykiety przez dwuogniskowe okulary.

- Rosół, jarzynowa albo jęczmienna. Sam wybierz.
- Jarzynowa.

- Jedna jarzynowa, jeden rosół - mruknął. - Czeka cię niezła gratka. Mam chleb domowej roboty.

- Jesteś piekarzem?

- Ja? - prychnął. - Cholera, ledwo sobie radzę z odgrzewaniem zupy. Ale Bóg jest łaskawy. Pamiętasz te wszystkie dziewczyny, za którymi uganiałeś się na studiach i których nigdy nie poderwałeś? Cóż, wystarczy przeżyć ich mężów i same do ciebie wracają. Tym razem z kolacją.

- Mam na co czekać.

- A wiesz, co jest najlepsze?

- Co?

- Kiedy jesteś stary, zaczynają ci się podobać starsze kobiety. Masz żonę?

- Już nie.

Wlał zawartość puszek do dwóch garnków.

- Bez niej jest lepiej, co?

- Nie.

Zerknął na mnie przez ramię.

- Przepraszam. Człowiek za długo mieszka sam i zaczyna gadać głupoty. - Wyjął chleb z puszek po kawie i zaczął go kroić. - Ja byłem żonaty przez trzydzieści sześć lat. Nikt nie mógłby mi jej zastąpić, choć okoliczne wdowy starają się, jak mogą.

- Nie umrzesz z głodu, to pewne.

Odwrócił się i mrugnął do mnie.

- Przynajmniej dopóki zachowam urodę. Role jakby się odwróciły, co?

- Na to wygląda. Herbercie, spotkałeś kiedyś Ashley?

- Dawno, dawno temu. Raz niedługo po jej narodzinach, a potem jeszcze raz czy dwa, miała wtedy rok, może trochę więcej. Byłem na kilku przyjęciach u Henry'ego w czasach, kiedy je jeszcze urządzał.

Zadzwoił telefon i sądząc po odpowiedziach, Epstein rozmawiał z kolejną wielbielką. Mrugnął do mnie, kiedy spytał, czy ma coś przynieść i odłożył słuchawkę z szerokim uśmiechem.

- Jutrzejsza kolacja - powiedział, chichocząc radośnie. - Najlepsze nadzienie na świecie. Może ożenie się z nią dla przepisu i rozkręcę własny interes.

- Łatwiej byłoby ją poprosić.

- Prędzej oddałyby ci swoje złote koronki. Te przepisy to ich skarb. O czym to mówiliśmy?

- O przyjęciach u Henry'ego. Z tego, co wiem, studiowaliście na jednej uczelni.

- W Princeton, skończyliśmy w czterdziestym czwartym. Parę lat później nasze drogi rozeszły się i spotkałem go dopiero po piętnastu latach, na zjeździe absolwentów. Potem od czasu do czasu wysyłał mi kartki i rozmawialiśmy przez telefon, aż w końcu zaprosił mnie na swój ślub. To było w sześćdziesiątym trzecim, parę miesięcy przed śmiercią Kennedy'ego.

Od tamtej pory mieliśmy ze sobą stały kontakt i przed śmiercią Audrey byłem u nich na kilku przyjęciach. - Postawił na stole chleb i zupę, i usiadł. - Ostatni raz widziałem go na jej pogrzebie. Biedny Henry był załamany.

- Jaka była jego żona?

- Audrey? - westchnął. - Audrey Taylor Bronson. - Zaczął ostrożnie dobierać słowa. - Była... ładna, może nie oszałamiająco piękna, ale na swój sposób atrakcyjna. - Sądząc po minie Epsteina, na jego sposób też. Szkoda, że nie było Waltera, pomógłby mi wypełnić wszystkie luki. - Idealnie pasowała do Henry'ego.

- To znaczy?

- Interesowała się tym, co on, kochała sztukę. Ale lubiła też przyjęcia i towarzystwo, a gdy wprowadziła się do jego domu, miała tego w bród. -Zachichotał pod nosem. - Wiesz, kiedy brali ślub, Henry miał już prawie czterdzieści lat, ale na przyjęciach nie odstępował jej nawet na krok.

- Ashley mówiła mi, że był trochę nieśmiały.

- Nieśmiały? - Uśmiechnął się. - Był nieporadny. Łagodna, nieporadna dusza. Kochał swoje książki. Myślę, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł bez przerwy siedzieć w bibliotece. Miał niewielu przyjaciół.

- Z tego, co wiem, Raymond Garvey był jego przyjacielem.

Epstein skrzywił się.

- Garvey nie był niczym przyjacielem. Gdybyś miał pieniądze czy wpływy, jadłby ci z ręki. W przeciwnym razie nawet by cię nie zauważył. A na salonach brylował jak dziwka na zjeździe partyjnym.

- Czyli znałeś go?

- Spotykaliśmy się na przyjęciach u Henry'ego. Po śmierci Audrey Henry postanowił, że nie dopuści, by córka żyła tak jak on, więc Raymond stał się jego łącznikiem ze światem zewnętrznym. Wiesz, facet znał wszystkich. Henry urządził przyjęcie, a potem chodził za nim po własnym domu. To było żalosne, ale płacił mu za udostępnianie swoich kontaktów, bo chciał zapewnić córce jak najlepsze perspektywy. Oczywiście, wszystko to zmieniło się, kiedy dorosła.

- Przejęła obowiązki gospodyni?

- No właśnie. Z tego, co czytałem, Ashley jest kopią Audrey, tyle że lepszą od oryginału. Wiesz, co kiedyś powiedział mi Henry? Nie może uwierzyć, że Bóg obdarzył go takim dzieckiem, jak ona. Powiedział, że takich ludzi zawsze podziwiał z daleka. - Epstein potrząsnął głową. - Jak oni, do licha, mogą myśleć, że kogoś zabiła? Co za pieprzenie!

- Herbercie, co Henry robił po studiach?

Epstein zatrzymał łyżkę w połowie drogi do ust.

- Zdaje się, że robił doktorat w Chicago. Ja zostałem w Princeton, żeby pracować z Morleyem Bennettem.

- Wiesz, co tam robił?

- W Chicago? - Potrząsnął głową. - Wtedy pewnie wiedziałem. Teraz za cholerę nie pamiętam.

- A nie domyślasz się, co mógł robić w Kalifornii? Z tego, co wiem, na początku lat pięćdziesiątych pracował tam przy jakimś projekcie, prawdopodobnie w okolicach Los Angeles.

- Hmm. Chyba rzeczywiście pojechał do Los Angeles, ale nie mam pojęcia, co tam robił.

- Czy mówi ci coś „L do sześcianu”?

- L do sześcianu? - Przez chwilę wpatrywał się w kromkę chleba, rozprawdzając masło równomiernie od środka po brzegi. - Cóż, L to symbol litra, jednostki objętości, ale litr do trzeciej potęgi... nie, to nie ma sensu. - Ugryzł kęs chleba i żuł go w zamyśleniu. - Musisz zrozumieć jedno: większość prac zlecał nam rząd i nie wolno było o nich rozmawiać z ludźmi nieupoważnionymi. Wielu naukowców uważało to za wojskowe bzdety, ale ja

nie, a znając Henry'ego, on też.

- Nigdy o tym nie mówił? Nawet po latach?

- Nigdy. Kiedy spotkaliśmy się na zjeździe absolwentów, Henry od dawna już nie zajmował się fizyką. Gdybym odziedziczył fortunę, poszedłbym w jego ślady.

- Czemu?

Uśmiechnął się.

- Cóż, okazało się, że byłem jednym z tych ludzi, którzy szczyt swoich możliwości osiągnęli w młodości. Tak to czasem bywa z naukowcami. Wiesz, nie miałem jeszcze trzydziestu pięciu lat, a już byłem na okładce „Physicist”. Po raz pierwszy i ostatni. - Westchnął. - Pomysły po prostu się wyczerpały. Właściwie sam nie wiem, dlaczego.

- Czym się zajmowałeś?

- Dynamiką płynów. Opublikowałem pracę, która zyskała duży rozgłos, i byłem w siódmym niebie. - Przeżuwał chleb w zamyśleniu. - Oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to koniec. Po kilku latach skończyły się pieniądze z grantów, a wszystkie dobre stanowiska na uczelniach zajęli uchodźcy z Europy. Skończyłem jako nauczyciel w małej szkole pod Harrisburgiem.

- Herbercie, masz może jakiś pomysł, jak dowiedzieć się, co Henry robił w Kalifornii?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, z kim wtedy pracował. Może kiedyś wiedziałem, ale to było przeszło czterdzieści lat temu i... - dotknął głowy. - Wiesz, komórki obumierają. A co z rządem? Jeśli Henry pracował nad czymś, co finansował Wuj Sam, na pewno jest to w jakichś aktach.

- Cóż, w tej chwili to mi raczej nic nie da. Gdybyś coś sobie przypomniał, mógłbyś do mnie zadzwonić?

- Oczywiście. Czy to może ci pomóc w prowadzeniu obrony?

- Nigdy nie wiadomo. Informacje o przeszłości Henry'ego mogą się przydać.

- Myślałem, że spytasz mnie o tego, jak mu tam, Burroughsa - powiedział i uśmiechnął się na widok mojej reakcji. - Wiesz, nawet tu dociera telewizja! W każdym razie parę dni temu usłyszałem o nim pierwszy raz w życiu.

Wstałem od stołu.

- Dzięki za lunch i pomoc. Muszę już lecieć. Mam mnóstwo roboty.

- Taa, pamiętam czasy, kiedy ja też miałem mnóstwo roboty. Odprowadzę cię.

Zapinałem płaszcz w przedpokoju, kiedy Epstein położył mi dłoń na ramieniu.

- Hej! - zaszczebiotał. - Masz jeszcze chwilę? Chcę ci coś pokazać, zanim wyjdiesz. - Poszedłem za nim do gabinetu z oknem wykuszowym wychodzącym na dolinę i widoczne w oddali góry Pensylwanii. Ustawił mnie przed ścianą obwieszoną zdjęciami i dyplomami i pokazał fotografię umieszczoną na samym środku. - Proszę bardzo - oznajmił. - Piętnaście minut sławy Herberta Epsteina. - Było to zbliżenie młodego, przystojnego Epsteina, o gęstych, kręconych czarnych włosach i zarozumiałym uśmiechu człowieka, przed którym świat stoi otworem. Stał oparty o szafę z książkami i trzymał w ręku pismo ze swoim zdjęciem na okładce. - No i co ty na to? - spytał z szerokim uśmiechem. - Połączenie Tyrone'a Powera z Errolem Flynnem, co? Patrzyłem na zdjęcie.

- Frank?

- Co? Przepraszam... Errol Flynn. Tak, jasne.

W drodze powrotnej widziałem wszystko jak przez mgłę. Pojechałem do Pensylwanii, by rozwikłać zagadkę, ale wróciłem jeszcze bardziej zdezorientowany. Młody Epstein nie przypominał Tyrone'a Powera czy Errola Flynna, ale za to wyglądał dokładnie tak, jak człowiek, którego widziałem niedawno.

Na starej fotografii.

Obiecałem Ashley, że zadzwonię do niej po przyjściu do biura.

- Już jestem- powiedziałem.

- Widziałeś się z Herbertem?

- Tak. Nie wie, co twój ojciec robił w Los Angeles. Jeśli nawet wiedział, to już dawno zapomniał.

- Aha. Czyli nic ciekawego?

No, nie całkiem.

- Nie, nic - odparłem. Dodałem, że potem opowiem jej wszystko szczegółowo.

Walter przyszedł o siódmej, wyraźnie zmęczony. Nawet jak na niego, ciężko harował. Instykt policjanta nie pozwalał mu wybaczyć Ashley tego, co zrobiła, ale widząc jego zaangażowanie, można by pomyśleć, że poruszyła w nim jakąś czułą strunę - gdyby nie było wiadomo, że takiej nie ma. Los obdarzył go za to właściwą policjantowi lojalnością i nierozsądnym przyjacielem, który posunął się za daleko ze swoją klientką.

- Nie znalazłeś pana Browna? - spytałem.

- Nie.

- A co z Kelloggiem? Powiedz, że jest przyrodnim bratem Sherry'ego.

- Żadnych związków z Octagonem - burknął. - Na koncie nie ma nic, a twoja znajoma Maureen mówi, że nigdy w życiu nie widziała go na oczy.

Próbowaliśmy nawet rozegrać to odwrotnie: naszkicowaliśmy portret pana Browna na podstawie jej opisu i pokazaliśmy go sąsiadom Kellogga.

- Całkowita klapa - powiedziałem.

- Jedno mi się udało: postawiłem śniadanie staremu znajomemu od federalnych, z kontrwywiadu.

- FBI gra po stronie Rogavina! Co ty wyprawiasz?

- Spoko. Od dawna jest na emeryturze i wiele mi zawdzięcza.

- Pytałeś go o Octagon? Co powiedział?

- Nic.

- Nic... nie rozumiem.

- Nic, to znaczy „nic”. Gość wypił kawę i tyle.

- A w żargonie glin - westchnąłem - to znaczy...

- Że Octagon to coś, o czym dawny pracownik kontrwywiadu wie, ale nadal nie może rozmawiać. Nie może rzucić staremu kumplowi nawet okruszynki.

- No dobra. A teraz powiedz mi, co to naprawdę znaczy.

- To kawałek układanki i tyle. Jak ci poszło z Herbertem?

- Mówi, że nie ma pojęcia, co Henry robił w latach pięćdziesiątych.

Spojrzał na mnie.

- No i?

- Kłamał. - Powiedziałem mu o zdjęciu.

- Serio? Myślisz, że jest w to zamieszany?

- Nie sądzę, żeby miał coś wspólnego z Octagonem, ale jeśli pracował z Henrym, to jest szansa, że wie o projekcie i o tym, co było jego celem.

- Może powinniśmy odwiedzić go z Harrym?

- Jezu, Walterze, facet ma siedemdziesiąt pięć lat! A jeśli Harry przyprawi go o atak serca?

Zastanowił się.

- W porządku. A jak chcesz to z niego wyciągnąć?

- Nie jestem pewien, ale zanim tam wrócę, musimy zdobyć dobre argumenty, bo jeśli następnym razem nim nie wstrząsnę, to już nigdy się do niego nie dobierzemy. A propos, nie mów o tym naszej klientce. Chcę się najpierw dowiedzieć, co ten Henry knuł.

- Jakoś to rozgryziemy - oświadczył.

- Nie wiem. Nawet Kellogga nie możemy rozgryźć. Wie, co Ashley robiła po wyjściu z domu Garveya, ale ty ubzdurałeś sobie, że jest lewy. Jak to możliwe? A jeśli nawet, to jaki ma motyw? Gdzie powiązania z Octagonem?

- Może za bardzo wszystko komplikujesz. Może nie miał nic wspólnego z Octagonem. Może po prostu zastępuje prawdziwego świadka.

- Po co?

- Nie mam pojęcia.

- Jeśli to prawda, nigdy nie poznamy motywu.

- Pewnie nie.

W geście frustracji rąbnąłem dłonią w biurko i długopis spadł na podłogę.

- Do cholery, to jedna wielka łamigłówka, a my nie mamy ani jednej wskazówki!

Położył długopis z powrotem na biurku.

- A co z dziennikiem starego?

- Jeszcze jedna zagadka. Założę się, że co najmniej cztery razy w roku publikowane są czyjeś dzienniki, podające więcej pikantnych szczegółów, niż komukolwiek potrzeba do szczęścia. Nam trafił się wyjątek. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent dziennika Henry'ego to rozważania o życiu, człowieku i jego miejscu we Wszechświecie. Tu i ówdzie pojawiają się fragmenty jakiejś historii, ale to tylko niejasne aluzje, bez żadnych szczegółów. Uczestniczył w ważnym projekcie w Kalifornii i myślę, że „dzieło”, o którym

wspominał w swoim ostatnim wpisie, to, co go tak prześladowało, było jego wkładem w całokształt, ale tylko zgaduję.

- To jak, Garvey szantażował go czy nie?

- Tak myślę. Hakiem były „konsekwencje młodzieńczego idealizmu”, o których pisał Henry. Pewnie wiąże się to jakoś z decyzją, którą podjął w pięćdziesiątym czwartym, dotyczącą tego samego projektu.

- Była aż tak ważna?

- Tak. Napisał: *Aha iacta est*.

- Co?

- Kości zostały rzucone. Tak powiedział Juliusz Cezar, kiedy przekraczał Rubikon. Chodzi o kości do gry.

Zmrużył oczy.

- Grał w kości? O jaką stawkę, skoro po pięćdziesięciu latach ciągle się tym przejmował?

- Ty to masz gadane. - Ale było to dobre pytanie, pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary.

- Jak nie chcesz, to nie kończ, dalej trzymaj mnie w napięciu.

- To wszystko. Nic więcej nie wiem. Następne wpisy to mieszanka tego i owego. Jeśli wiesz mniej więcej, co się działo, znajdujesz odbicie tego w tekście. Życie toczy się dalej, Henry się żeni, rodzi mu się córka, no i sytuacja człowieka we Wszechświecie wygląda całkiem nieźle. Potem żona umiera i zaczynają się rozważania o sensie tego wszystkiego.

- Nic więcej o wielkiej tajemnicy?

- Jedno. - Otworzyłem kredens, wyjąłem jeden z tomów i otworzyłem go w zaznaczonym miejscu. - Posłuchaj tego.

7 czerwca 1982. Minęło dość czasu, by strach zelżał, i gdy patrzę wstecz wydaje mi się, że przekonałem siebie, iż jestem szlachetny, a nawet odważny. Dziś rano obudziłem się w świecie uludy, ale do snu ukołysze mnie rzeczywistość. Mój strach jest namacalny, otepiający, o wiele silniejszy, niż to sobie wyobrażałem. Myślałem, że mój wybór oparty był na racjonalnych przesłankach, ale nie znałem samego siebie.

- No i co ty na to? - spytałem.

- Dostał złe wiadomości. Kury wróciły do kurnika.

- Gdybyśmy wiedzieli, co to za wiadomości, może połapalibyśmy się, o co w tym wszystkim chodziło.

- Rozumie się - powiedział.

- No to co teraz zrobisz?

- Spróbujemy podejść Octagon od innej strony. Szofer Burroughsa woził Browna na lotnisko w określone dni. Mówi, że może nam powiedzieć, kiedy dokładnie. Może uda nam się zdobyć listy pasażerów latających w tamtym okresie do Nowego Jorku. No i jest jeszcze Charlton & Revis. Ich konto...

Uniosłem dłoń.

- Moment. Wystarczy, dziękuję.

Sięgnął po płaszcz.

- Wiesz, to ty wymyśliłeś wątek Burroughsa, a my zaczęliśmy go badać na własne ryzyko. Ale okazało się, że coś w tym jest, i może wyjdzie z tego ciekawa historia: stary człowiek z tajemnicą i stara spółka próbująca ją z niego wyciągnąć. Kto wie, w jakie gówno wpakował się Raymond? Gdyby prawda wyszła na jaw, ława przysięgłych mogłaby dać naszej klientce medal.

- Próbujesz mi powiedzieć, że jestem genialny?

- Taa, jesteś pieprzonym Einsteinem.

- Dzięki.

- Ale ciągle nie zauważasz tego, co oczywiste.

- A co jest oczywiste?

- Zagadka z dziennika - złe wieści, które dostał stary.

- To znaczy?

Pokręcił głową.

- Uczę cię, uczę, i nic.

- Aha, rozumiem. Ty jesteś Mojżeszem, a ja synem pierworodnym. -Odwróciłem się i wykonałem ukłon. - Ojej, tatusiu, co takiego oczywistego przeoczyłem?

- Kiedy chcesz wiedzieć, co się dzieje, to gdzie zaglądasz?

- Do gazety.

- No właśnie. - Wyszedł z gabinetu.

Zawołałem za nim.

- Co takiego? Myślisz, że pisali o tym w gazetach?

- Tam zajrzałyby Czcigodny Przodek - powiedział i poszedł.

W czwartek po południu zadzwonił mój ulubiony prokurator.

- Już prawie Boże Narodzenie - powiedział. - Wie pan, jak to mówią: przyjemniej jest dawać niż dostawać.

- Chce pan umorzyć sprawę?

- Tak - odparł ze śmiechem. - Okazuje się, że to Sherman Burroughs jest mordercą.

- Ma pan dla mnie prezent?

- Już go pan dostał. Teraz pana kolej. Zapewniam, nie chodzi o nic wielkiego. Tyle że chciałbym go dostać, zanim Warner odbierze panu tę sprawę.

- Słucham.

- Chodzi o ciągłość przechowywania pocisku po wyjęciu go z głowy biednego pana Garveya. Lekarz sądowy dał kulę agentowi FBI, który wziął na siebie rolę kuriera. Agent zezna, że dostał pocisk od lekarza i osobiście zaniósł go rzeczonemu ekspertowi. Jeśli będziemy musieli go powołać na świadka, zrobimy to, ale został przeniesiony do biura w San Diego, a ponieważ ostatnimi czasy bardzo troszczymy się o nasz budżet, chcielibyśmy zaoszczędzić na kosztach przelotu i transportu.

- Skąd wziął się tam agent FBI? Sprawą zajmowała się przecież policja.

- To prawda, ale Garvey był byłym członkiem administracji prezydenckiej i Biuro nie chciało ryzykować. Dlatego miły pan agent poszedł do lekarza sądowego zadać kilka pytań i przy okazji zgłosił się na kuriera. To wszystko. No to jak?

- Pomyślimy. Być może będę chciał porozmawiać z agentem, żeby się upewnić, czy żyje.

- Oczywiście. Niech pan da znać, to zorganizuję telekonferencję. Byłbym wdzięczny, gdyby dało się to załatwić jak najszybciej.

- Odezwę się w przyszłym tygodniu.

- Chyba do tego czasu nie skreślą pana z listy adwokatów, co? - Parsknął śmiechem. - Wie pan, przygotowania do procesu są męczące nawet bez tych wszystkich zbędnych utrudnień. Może przyjmie pan propozycję ugody i odwoła nagonkę na pana Burroughsa, który, jak obaj wiemy, nikogo nie zabił? Mógłby pan oszczędzić klientce bólu, no i dziesięciu dodatkowych lat więzienia.

- To propozycja nadal jest aktualna? Widzę, że coraz bardziej się pan niepokoi.

- Nie bardzo, ale w końcu ja mogę myśleć tylko o procesie. Niepokoiłbym się, gdybym był w pańskiej skórze.

Facet miał rację: ja byłem w swojej skórze i bardzo się niepokoiłem.

W piątek o dziesiątej rano zostałem wprowadzony do gabinetu Warnera.

Sędziowie są ogólnie mniej punktualni niż prokuratorzy, ale ten pewnie nie mógł się doczekać, kiedy da mi po łbie. Siedział za stołem konferencyjnym, przeglądając stos dokumentów. Musiałem chwilę poczekać, zanim podniósł głowę i wskazał mi miejsce na drugim końcu stołu. Leżały tam kopie pisma z komisji etyki i nakazu sądowego. W postępowaniu kryminalnym zwyczajowo dostarczano oskarżonemu kopie zarzutów.

Bez słów dano mi do zrozumienia, że nie zostałem wezwany na pogawędkę, a jeśli takie samo przyjęcie czekało Andy'ego, to pewnie zacznie paplać o dzienniku, zanim jego tyłek wyląduje na krześle. Patrząc przez bezmiar stołu na Warnera, myślałem o tym, że rzadko zdarza się, by przy podejmowaniu decyzji, które potem przysparzają człowiekowi kłopotów, gdzieś głęboko w trzewiach nie zapalało się światełko ostrzegawcze. Wiedziałem, że ryzykownie będzie powiedzieć Andy'emu o dzienniku, ale byłem podniecony moją nową wspaniałą strategią i ta chwila nieuwagi mogła skończyć się dla Ashley utratą wolności.

Minęło następne pięć minut, zanim Warner odsunął stos papierów na bok, zdjął okulary i zaczął przecierać oczy.

- Miał pan okazję przeczytać te dokumenty? - spytał, nie przerywając przecierania.

- Tak, panie sędzio.

- To poważny zarzut.

- Tak sędzę.

- Tak pan sądzi? Myślałem, że nie ma co do tego wątpliwości.

- To poważny zarzut.

Założył okulary i powiedział:

- Mówiłem panu, że mam wątpliwości co do tego, jak poradzi pan sobie ze sprawą takiego kalibru. Czy nie ostrzegałem, by postępował pan zgodnie z zasadami etyki?

- Ostrzegał pan.

- No i?

- Nie złamałem zasad etyki, panie sędzio.

- Pan Burnside jest innego zdania.

- Myli się.

Zaczął pisać w notesie.

- W czasach mojej praktyki adwokackiej miałem kilku przyjaciół i kolegów w firmie Delbarton i muszę stwierdzić, że zawsze wydawali mi się wiarygodni i godni zaufania.

- Nie wątpię w ich wiarygodność, panie sędzio, ale nie są świadkami. Po prostu bronią klienta, który twierdzi, że stała mu się krzywda. Taką mają pracę, ale w tym przypadku popełniają duży błąd.

- Ale czy jako prawnicy - odparował - nie mają obowiązku dokonania oceny faktów przed sformułowaniem poważnych zarzutów dotyczących czyjegoś charakteru, w tym przypadku pańskiego?

- Tak.

- No i oczywiście - ciągnął, tkając misterną sieć logicznego rozumowania - ma pan podobne obowiązki względem pana Burroughsa, prawda?

- Nie postawiłem panu Burroughsowi żadnych zarzutów. Po prostu badam niektóre fakty z jego życia.

- Rozumiem. Nie rozmawiał pan z prasą?

- Odpowiadałem tylko na ich telefony. Nie inicjowałem żadnych kontaktów i nie poinformowałem nikogo o moim śledztwie.

- Coś spowodowało, że trwają intensywne spekulacje, czy pan Burroughs jest zabójcą, czy raczej powinienem powiedzieć: tym zabójcą. - Patrzył na mnie wyczekująco.

- Przykro mi. Co chce pan wiedzieć?

- Na początek, skąd „Washington Post” dowiedział się o waszym śledztwie w sprawie Shermana Burroughsa.

- Wysoki Sądzie, mogę tylko przypuszczać, że ktoś, z kim się skontaktowaliśmy, rozmawiał z dziennikarzami albo z kimś innym, kto następnie przekazał informacje prasie. Trudno powiedzieć. Takie wiadomości szybko się rozchodzą.

- Fakt. Czy naprawdę wierzy pan, że to Sherman Burroughs zamordował Garveya?

- Tego nie wiem.

- Pytałem, czy pan w to wierzy.

- Nie uchylam się od odpowiedzi, panie sędzio, ale to, w co wierzę, nie ma związku z etyczną stroną mojego śledztwa.

- Myślę, że ma, i to duży, panie O’Connell. Stawka jest reputacja powszechnie szanowanego człowieka.

- Wysoki Sądzie, moim zamiarem nie jest oczernianie pana Burroughsa. Próbuję tylko wypełnić swój obowiązek wobec klientki i zapewnić jej możliwie najlepszą obronę, a to wymaga przedstawienia dowodów, które mogą wywołać uzasadnione wątpliwości co do jej winy. Nic nie poradzę, że budzi to różne domysły.

- O tym, czy pańskie działania są dopuszczalne z etycznego punktu widzenia, zdecyduję ja, przynajmniej na razie. Chcę znać wszystkie fakty: powód prowadzenia śledztwa w sprawie pana Burroughsa, z kim pan rozmawiał i to, czego się pan dowiedział.

- Musiałbym ujawnić praktycznie całą linię obrony.

- Proszę bardzo, mam czas. - Przewrócił kartkę w notesie.

Delbarton & Brand była wiarygodną firmą, a ja - prawnikiem narkomanów, który wziął się za coś, co go przerastało. Przygryzłem język i przypomniałem sobie, co jest moją misją.

- Mam powód, by wierzyć, że istniały powiązania między panem Burroughsem a ofiarą, jakieś finansowe układy, w których brał udział jeszcze jeden człowiek. W grę wchodziły duże sumy pieniędzy. Mam też powód, by wierzyć, że układy te miały pewne... problematyczne aspekty i że niedługo przed zabójstwem doszło do kłótni między panem Garveyem a panem Burroughsem.

- To wszystko jest dość niejasne. Proszę dalej.

Myślałem, że podałem wystarczająco dużo szczegółów. Gdyby na moim miejscu siedział ktoś z Delbarton & Brand, nie byłoby żadnych problemów.

- Przykro mi, panie sędzio, ale w takich okolicznościach wolałbym nie zdradzać szczegółów mojej linii obrony.

- To postępowanie niejawne, panie O'Connell. Oskarżenie nie dowie się, co od pana usłyszałem, aż do procesu. O ile pańskie teorie ujrzą światło dzienne.

- Na tym właśnie polega problem, panie sędzio. W tych okolicznościach zatarciu ulega granica między określeniem, czym jest etycznie prowadzone śledztwo, a co stanowi istotny materiał dowodowy. Obawiam się, że pański szacunek dla firmy Delbarton & Brand może wpłynąć na pańską postawę w trakcie procesu. Proszę wybaczyć, że tak mówię, ale chodzi o pański obiektywizm.

- Nie jesteśmy tu, by dyskutować o moich zasadach etycznych, panie O'Connell.

- Nie taki miałem zamiar, Wysoki Sądzie. Proszę o wybaczenie.

Warner uznał, że podniosłem białą flagę. Po kilku sekundach ciszy jego twarz spochmurniała.

- Nie obchodzą mnie pańskie zamiary - powiedział, powoli cedząc słowa. - Jeśli nie poznam szczegółów pańskiej teorii, panna Bronson będzie musiała poszukać sobie nowego adwokata. Mówię poważnie, panie O'Connell.

Mój ostrożny plan legł w gruzach. Zaczynała się ostra jazda.

- Nie znajdzie żadnego, panie sędzio. Zażąda, abym to ja ją reprezentował i będzie pan zmuszony wyznaczyć adwokata z urzędu, mimo jej sprzeciwu. To będzie klęska. Nie

będę miał innego wyboru, jak tylko złożyć wniosek o wyłączenie pana ze sprawy. Nie chcę, by uznał to pan za wyraz braku szacunku, ale myślę, że pańskie związki z firmą Delbarton & Brand budzą pewne wątpliwości.

- Radzę panu, by pan uważał, mecenasie - powiedział surowo. - Posuwa się pan za daleko.

- Nie sędzę. Mam przekonujące dowody, że Sherman Burroughs i Raymond Garvey prowadzili razem jakieś śmierdzące interesy i że pokłócili się tuż przed śmiercią Garveya. Ja tylko badam wszystkie tropy, przestępstwem byłoby tego nie zrobić i nie odpowiadam za to, że ktoś wygadał wszystko prasie. Nie zrobiłem nic, co byłoby nieetyczne, i nie powinienem być zmuszany do odpowiadania na pańskie pytania tylko dlatego, że pan Burroughs ma adwokatów, których pan szanuje.

Warner był czerwony jak burak, miał coraz większe kłopoty z utrzymaniem nerwów na wodzy.

- Czy poda mi pan więcej szczegółów na temat pańskiego dochodzenia?

- Nie.

- W porządku - powiedział, energicznie kiwając głową. - Umieszczę to w protokole.

- Przez pięć minut pisał zapamiętałe w notesie, o wiele dłużej niż trwała nasza rozmowa.

- Jeszcze kilka pytań natury ogólnej i kończymy - stwierdził wreszcie. Przewrócił kartkę i zaczął czytać. - Czy od momentu, kiedy został pan obrońcą oskarżonej, zasięgał pan opinii osób spoza pańskiej firmy, dotyczących sposobu prowadzenia przez pana tej sprawy?

Czy zasięgałem? Andy analizował to z własnej inicjatywy.

- Nie.

- Czy wiadomo panu o jakichkolwiek naruszeniach kodeksu etyki lub zasad dyscyplinarnych, popełnionych przez pana lub kogokolwiek przydzielonego do tej sprawy od czasu, kiedy został pan oficjalnie wyznaczony na obrońcę oskarżonej?

- Nie.

To było wszystko. Odwrócił notes i ponownie zdjął okulary.

- Jest jeszcze jeden obrońca, zgadza się?

- Mój współpracownik. To jego pierwsza sprawa.

- Chcę go tu widzieć w poniedziałek o dziesiątej.

- Zajmuje się zbieraniem materiałów i pisaniem notatek, to wszystko.

- Poniedziałek. Dziesiąta rano. Może pan iść, ale niech pan sobie nie myśli, że ta sprawa jest zamknięta.

Piętnaście minut później siedziałem na ławce, odtwarzałem w myśli przebieg spotkania i próbowałem wmówić sobie, że nie mogłem tego rozegrać inaczej. Warner był

zdecydowany odrzucić wszystko, co miałem na Burroughsa, i byłoby głupotą przedwcześnie ujawnić mu strategię obrony.

Sędzia może cię wykiwać na milion sposobów niedających podstawy do złożenia apelacji. Wszystko sprowadzało się do tego, że miałem siedemdziesiąt dwie godziny na przekonanie Andy'ego, że może odpowiedzieć przecząco na wszystkie pytania Warnera i nie będzie się przez to smażył w piekle.

Powlokłem się do biura, mijając udekorowane witryny i tłumy ludzi korzystających z przerwy na lunch, by zrobić zakupy. Po incydencie z rękawicą bejsbolową jakoś udało mi się zapomnieć o zbliżających się świętach, ale kiedy przedzierałem się chodnikami przez tłum, przyszło mi do głowy, że wróciłem do punktu wyjścia. W dzieciństwie bałem się świąt Bożego Narodzenia. Ciotka i wujek nie mieli dzieci i właściwie nic ich już ze sobą nie łączyło. Mieszkali razem, bo żadne z nich nie chciało się dobrowolnie wyprowadzić. Za mój pobyt u nich płacił ojciec zgodnie z umową, którą zawarł z ciotką, kiedy nie miała pracy i brakowało jej na komorne. Trochę przypominało to internat, tyle że byłem jego jedynym mieszkańcem, a personel co noc prał się po gębach.

Prezenty świąteczne nie były przewidziane w umowie, ale ojciec zazwyczaj pamiętał, by coś mi kupić. Zawsze dostarczał to, kiedy byłem w szkole. Zabierałem paczkę do swojego pokoju i kładłem pod moją plastikową, metrową choinką, która przez resztę roku stała w kącie garderoby, ozdobiona i gotowa. Rankiem w Boże Narodzenie zamykałem drzwi i siadałem na łóżku. Z jakiegoś powodu uważałem, że muszę otworzyć prezent w całkowitym odosobnieniu. Robiłem to ostrożnie, z namaszczeniem. Potem chowałem choinkę z powrotem do garderoby i pisałem kartkę do ojca.

Zwykle rysowałem na niej siebie z prezentem w ręku i jeszcze tego ranka wrzuciłem ją do jego skrzynki. Każda rodzina ma swoje rytuały świąteczne, tak wyglądał nasz.

Wszystko zmieniło się po ślubie, kiedy zostałem wprowadzony w tradycje rodu Brennanów, ale tak naprawdę poznałem, czym jest duch świąt, dopiero po narodzinach Brendana. Kiedy w jego drugie Boże Narodzenie przyniosłem mu rower, wrotki i zestaw klocków tak duży, że wystarczyłyby do budowy drugiego Chicago, Moira zasugerowała, że w ten sposób odreagowuję własne nieudane dzieciństwo. Po rozwodzie starałem się udawać, że wszystko zostało po staremu, ale powodowało to tylko, iż czułem się, jakbym próbował kupić coś, na co mnie nie stać.

Andy czekał na mnie w biurze. Przystąpił do przesłuchania, kiedy tylko powiesiłem płaszcz na wieszaku.

- Jak było?

Próbowałem zachowywać się, jakby nigdy nic.

- Pytał mnie o nasze śledztwo. Powiedziałem, że mamy wystarczające powody, by zająć się Burroughsem i że to nie od nas był przeciek do prasy.

Jego oczy rozbłysły nadzieją.

- I to wszystko?

- Nie, chciał też, żebym przedstawił dowody przeciwko Burroughsowi, ale to nie jest dobry pomysł, więc opowiedziałem o wszystkim w ogólnym zarysie.

- I to mu wystarczyło?

- Raczej nie. Musimy porozmawiać o tym, jak daleko powinieneś się posunąć.

- Czyli chce się ze mną zobaczyć?

- W poniedziałek, o dziesiątej rano.

- Cholera - mruknął. - I to wszystko? Pytał tylko o Burroughsa?

- Zadał też parę ogólnych pytań. Chciał wiedzieć, czy zasięgaliśmy opinii w kwestiach etycznych. Powiedziałem, że nie. Ty możesz powiedzieć to samo.

- Opinii w kwestiach etycznych - powtórzył. Wyglądał, jakby go zemdliło. Nie było sensu dłużej owijać w bawełnę.

- Pytał też, czy wiadomo mi o jakichkolwiek naruszeniach zasad etyki popełnionych w toku tej sprawy.

Wciągnął powietrze.

- No i?

- Zaprzeczyłem.

Ścisnął poręcz krzesła jak skazaniec czekający na opuszczenie dźwigni.

- Cholera jasna!- krzyknął.

- Rozmawialiśmy już o tym, Andy. Przyszłość Ashley jest w twoich rękach i musisz rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości na jej korzyść. Obiecuj, że to przemyślisz.

Przez chwilę patrzył na swoje buty.

- Ja... przemyślę to - powiedział wreszcie.

- W porządku - powiedziałem, próbując wprowadzić nutę optymizmu, którego nie czułem. - A tymczasem cała naprzód, co? Przed nami proces, jakiego to miasto nie widziało od lat! Lepiej skocz do fryzjera, chyba chcesz dobrze wyglądać w telewizji? - Byłem bezczelny. Zdesperowany i bezczelny.

Po dziesięciu minutach zjawił się Walter.

- Złe wieści - powiedziałem mu.

- Andrew się nie wymiga?

- Ma przyjść w poniedziałek rano, o dziesiątej.

- Jak szeroka jest sieć?

- Wystarczająco. Teraz wszystko zależy od niego.

- Nie chwytam - poskarżył się. - Co, do licha, miałeś zrobić, kiedy przyniosła ci tę książkę? Kazać ją spalić? Schować? Oddać policji?

- Nikt tego nie wie - powiedziałem. - Dlatego to jest dylemat. Może podniesiesz mnie na duchu i powiesz, jak idzie śledztwo?

- Jeśli chodzi o twoje dylematy - burknął - to ta sprawa nie ma sobie równych: gość, który mówił, że był w jakimś miejscu, choć możliwe, że wcale go tam nie było, facet o dwóch nazwiskach, którego nigdzie nie ma, i organizacja, która istnieje od dawna, ale tak jakby nie istniała. Robimy, co możemy, ale na razie uganiamy się za swoimi ogonami.

- Nie chcę, żebyśmy wszyscy przez to dostali w kość. Jeśli złączą dochodzenie w sprawie sposobu prowadzenia obrony, trudno powiedzieć, czym się to skończy. Macie przestać ryzykować. - Odpowiedzią było milczenie.

-Mówię serio, Walterze. Dość już tego.

- Jasne - powiedział. - Dam chłopakom znać. Poradzicie sobie bez nas?

Nie posłucha mnie. Wiedziałem o tym, a on wiedział, że ja o tym wiem. I nic nie można było na to poradzić.

- Tak - powiedziałem.

Przez następną godzinę nie robiłem nic, próbując zebrać się w sobie, by do poniedziałku zrobić coś jeszcze oprócz wstrzymywania tchu. Byłem prawie że w śpiączce, kiedy do drzwi zapukała Cory Barnes.

- Hej, Frank! Koniec pracy?

- Chciałem chwilę odpocząć.

- Mówiłam o sobie - powiedziała ze śmiechem. - No, dawaj coś. Twoje zlecenia są tryliard razy ciekawsze od innych rzeczy, które tu muszę robić. Nie masz nic dla uczynnej asystentki?

- Prawdę mówiąc, jest coś, co powinno cię zainteresować. Znasz Bibliotekę Kongresu?

- W razie czego pójde do informacji. O co chodzi?

- Chcę, żebyś przejrzała numery „New York Timesa” i „Washington Post” z tygodnia kończącego się siódmego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

Uniosła brwi.

- To w związku ze sprawą panny Bronson?

- Tak. Nie każ mi tego wyjaśniać.

- Dobra, żadnych zbędnych pytań. No to czego mam szukać?

- Cóż... - Czego my właściwie szukamy, do cholery?

Patrzyła na mnie pytająco.

- Jestem uczynna, ale nie wszechwiedząca.

- Właściwie sam nie jestem pewien, ale postaram się dać ci kilka wskazówek. Po pierwsze, chodzi o jakieś sensacyjne wiadomości. Zdaję się na twoje wycucie.

- Sensacyjne. Rozumiem.

- Po drugie, musi to mieć związek z nauką. Prawdopodobnie fizyką lub chemią.

Miała coraz bardziej niepewną minę.

- Fizyką lub chemią- powtórzyła.

- Po trzecie, w grę musi wchodzić jakieś przestępstwo.

Skinęła głową.

- Sensacja. Nauka. Przestępstwo. Hmm. Coś w stylu „Studenci przyłapani na kradzieży palników Bunsena”, tak?

- No właśnie - roześmiałem się. - Słuchaj, wiem, że dałem ci niezłą łamigłówkę, ale dorzucę jeszcze czwarte kryterium, najbardziej ogólne: zwróć uwagę na wszystko, co twoim zdaniem mogłoby nas zainteresować.

Zapisała coś w notesie.

- Dobra, biorę się do roboty.

- Przepraszam, że nie mogę dać ci lepszych wskazówek.

- Nie ma sprawy. To i tak o wiele ciekawsze od innych moich zajęć. Na kiedy mam to zrobić?

- Na wczoraj.

Jęknęła.

- Na wczoraj. Jak zwykle. - Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Gabinet pana O’Connella... chwileczkę. - Zakryła słuchawkę dłonią i powiedziała:

- Moira O’Connell. - Po czym oddała miją i pomachała na pożegnanie.

- Cześć.

- Co robisz? - spytała.

- Miotam się między młotem a kowadłem. Co słychać?

- Właśnie byłem na lunchu z jednym facetem.

- Tak?

- Straszny sknera. Każe mi za wszystko płacić, a w dodatku musiałam obiecać, że pokażę mu choinkę pod Białym Domem. Może do nas dołączysz? - Moira starała się, jak mogła, by Brendan spędził jak najwięcej czasu z tatą; dzielnie stawiała czoło rzeczywistości, z którą ja nie mogłem się pogodzić.

Po kilku minutach byłem już w windzie i czułem się o wiele lepiej niż niecałą godzinę temu, kiedy jechałem na górę.

Już dawno nie spotkałem się z nimi poza domem. Kiedy skierowałem się ku Connecticut Avenue, zobaczyłem ich po drugiej stronie ulicy. Brendan stał z głową odchyloną do tyłu, a Moira wiązała mu szalik. Zauważyła mnie i powiedziała coś do niego, a on odwrócił się i uśmiechnął. Przetruchałem przez ulicę i wziąłem go w ramiona. Moira pocałowała mnie w policzek i powiedziała:

- Cieszymy się, że mogłeś przyjść.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Brendan o mało nie oszalał z radości. Od naszego rozvodu ani razu nie był na spacerze z obojgiem rodziców.

- Tato! Mama chce mi pokazać choinkę!

- Serio? Tę dużą, pod Białym Domem?

- Tę, co była w telewizji!

- Tatusz pójdzie z nami - powiedziała Moira. - A to niespodzianka, co?

Spojrzał na mnie roziskrzonymi oczami.

- Czy to jeden z moich prezentów gwiazdkowych, tato?

Prezent gwiazdkowy: oboje rodzice naraz.

- To wyjątkowy dzień dla nas wszystkich, skarbie, i nawet nie liczy się jako jeden z prezentów. - Ruszyliśmy Connecticut Avenue w stronę placu Farragut, prowadząc Brendana między nami. Czasem były takie chwile, że marzyłem, by uciec od teraźniejszości, by zaczął się już następny dzień czy choćby godzina.

Teraz chciałem tylko tego, by czas się zatrzymał. Żadnych procesów, żadnych małżeństw. Nikt nie wylądował w więzieniu. Ani w Kalifornii.

Niespiesznie szliśmy aleją oglądając wystawy sklepowe. Kiedy krążyliśmy z Moirą po Brookstone, Brendan testował wszystkie gadżety.

- Nic mu jeszcze nie kupiłem - powiedziałem. - Co jest na pierwszym miejscu listy?

- Kup rękawicę bejsbolową

- Myślałem, że...

- Nie ma o czym mówić. Rozmawiałam już ze sprzedawcą. Weź rękawicę rozmiar jedenaście, a jeśli jakimś trafem będzie na niej nazwisko Kena Griffeya, to Brendan zemdleje z wrażenia.

- Dzięki, Moiro.

- Miałaś rację. To twój przywilej.

- Tak czy inaczej, dzięki. Za wszystko.

W końcu dotarliśmy do Ellipse. Mimo że były godziny pracy, co najmniej dwustu ludzi gapiło się na dwudziestometrową jodłę. Kupiłem gorącą czekoladę dla nas wszystkich i usiedliśmy z Moirą na ławce, a Brendan, jak na wnuka wytrawnego politykiera przystało, zagadywał swoich rówieśników.

- No i co, nie przyjemniej tu niż w biurze? - spytała.

- Zdecydowanie. Nie uwierzysz, ale dziś to już moja druga ławka.

- Ławka. Czyli to miałeś na myśli, mówiąc, że jesteś między młotem a kowadłem.

Chcesz o tym porozmawiać?

Nie potrzebowałem dalszej zachęty. Opowiedziałem jej całą historię: o Kelloggu, dzienniku, Burroughsie, panu Brownie-Clayu, Epsteinie aż po ostatnią rozmowę z Andym. Zadała kilka pytań, ale głównie słuchała moich żalów. Kiedy skończyłem, spytała:

- Jak myślisz, co zrobi?

- Andy? Wszystko wygada.

- A Warner?

- Zwali mi się na głowę jak dziesięcotonowy młot.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Kto jeszcze wie o twoim dylemacie?

- Na razie tylko ty.

- A jej jeszcze nie powiedziałeś?

- Nie, na razie przymierzam się do tego.

Westchnęła.

- Co zrobisz?

- Naprawdę nie wiem. Mógłbym zlecić komuś porwanie Andy'ego, ale niewiele poza tym.

Moira zmarszczyła brwi i spojrzała na zegarek.

- Jesteśmy umówieni z Tatkiem. Ma nas zabrać na przyjęcie do jakiejś ambasady. Wszystkich Europejczyków już chyba obskoczył, więc tym razem może chodzić o Japonię lub Chiny.

Zatrzymałem taksówkę i po dziesięciu minutach staliśmy już przed domem na ulicy Jeffersona i zegnaliśmy się. Brendan wbiegł na schody, by zapukać w drzwi mosiężną kołatką.

- Wejdiesz? - spytała.

- Chciałbym, ale wiesz, jaki jest Tatko. Jeśli zjawimy się tam razem...

- Masz rację. To zły pomysł.

- Tak czy inaczej, mam parę spraw do załatwienia. Trzeba powiedzieć ludziom, co się dzieje, i tak dalej.

Położyła dłoń na moim ramieniu.

- Przyjąłeś właściwą taktykę, Frank. Wszystko będzie dobrze. - Odpro wadziłem ich wzrokiem, po czym podałem taksówkarzowi adres Ashley.

14

I co stałoby się wtedy? Siedziała obok mnie przy kuchennym stole i piła herbatę, a ja tłumaczyłem, na czym polega nasz dylemat. Ani jej twarz, ani zachowanie nie zdradzały, że jest zdenerwowana. Widziałem na własne oczy, że można ją wyprowadzić z równowagi, ale ludzie tacy jak ona w głębi ducha zawsze pozostawiają w stanie niezmaconego spokoju. Gdy nimi wstrząsnąć, są rozdygotani jak wszyscy, ale szybko wychodzą z szoku i wracają do naturalnego stanu. Obok nich żyją ludzie tacy jak my - żywe kamertony. Jeśli uderzyć nas mocno, to tłuczemy całą porcelanę w pobliżu. Wytłumaczył mi to

Noah. Zapłaciłem mu za to, więc podaję dalej.

- Warner przeprowadziłby przesłuchanie - odparłem - a po zakończeniu prawnych sporów mógłby polecić, bym oddał dziennik oskarżeniu. Rogavin musiałby wykazać, że miałaś motyw, by zabić Garveya, a to wymagałoby dowiedzenia, że czytałaś ostatni wpis ojca. Spróbowaliby zmusić mnie do zeznania, że dostałem dziennik od ciebie.

- Jak możesz zeznawać, skoro jesteś moim adwokatem?

- Warner pewnie odsunąłby mnie od sprawy za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. A kiedy w grę wchodzi poważne przestępstwo, tajemnica adwokacka nie obowiązuje.

- Czyli kazaliby ci świadczyć przeciwko mnie. - Powiedziała to bez cienia emocji, stwierdzając fakt.

- Nie zeznawałbym.

- Możesz po prostu odmówić? - spytała.

Wzruszyłem ramionami.

Pokręciła głową i powiedziała:

- Poświęcisz się dla mnie, o to chodzi?

- Nie, złożenie zeznań i tak w niczym by mi nie pomogło.

Myślała o tym przez chwilę.

- Frank, a gdybyśmy jeszcze dziś poszli na ugodę?

- Chcesz się przyznać i pójść siedzieć?

- Czemu nie? Mógłbyś zadzwonić do Rogavina i przyjąć jego propozycję. Potem...

- Próbowałem jej przerwać. - Zaczekaj chwilę! - krzyknęła, ściskając moje ramię. - Tak, jak się sprawy mają, pewnie zostanę uznana za winną, zgadza się? - Nie mogłem zaprzeczyć. - No właśnie - ciągnęła - gdybym poszła na ugodę, byłoby po wszystkim. Andy nie musiałby iść na rozmowę, ja dostałabym niższy wyrok i nie wyszłaby na jaw sprawa dziennika.

Pokręciłem głową.

- Zapomnij. Nie mógłbym żyć ze świadomością, że siedzisz w więzieniu z mojej winy.

Patrzyła na mnie przenikliwie.

- Ale ja mam żyć ze świadomością, że ty siedzisz w więzieniu, tak? Dlaczego, Frank? Może dlatego, że jesteś chłopcem?

- Dlatego, że jestem adwokatem i popełniłem błąd.

- Nie mogłeś przewidzieć, czym to się skończy. Nikt nie mógł.

- Może i tak, ale podjąłem zbyt duże ryzyko.

- Frank, proszę, posłuchaj mnie. Jeśli pójde do więzienia, to dlatego, że zabiłam człowieka. Jestem na to przygotowana. Nie zamierzam jednak pozwolić, by spotkała cię kara za to, że próbowałeś mi pomóc.

- I kto się chce poświęcić?

- Tak jest rozsądniej.

- Rozsądniej? Jedno z nas trafia za kratki, drugie musi żyć z poczuciem winy, a do nas należy tylko decyzja, jaką kto dostanie rolę? Może rzucimy monetą?

- Tak jest najbezpieczniej.

- To prawda - przytaknąłem. - Tak jest najbezpieczniej.

- Ale nie pójdziesz na to - powiedziała matowym głosem. - Nie rozumiem.

- Mój terapeuta mówi, że lubię ryzyko. Bez względu na szanse sukcesu. - Uśmiechnąłem się do niej. - Założę się, że tego nie wiedziałaś, kiedy postanowiłaś mnie zatrudnić.

Odpowiedziała bladym uśmiechem.

- To nie miałyby dla mnie znaczenia.

Położyłem dłoń na jej włosach i przyciągnąłem ją do siebie.

- Masz ochotę zagrać w kości?

Dotknęła ręką mojego policzka i skinęła głową.

- Takie kobiety lubię. Jak już się do czegoś bierzesz, to idziesz na całość.

Resztę popołudnia i wczesny wieczór spędziliśmy w łóżku. Kochaliśmy się, zapadaliśmy w drzemkę, a potem znów się kochaliśmy. Właśnie zasypialiśmy, kiedy szepnęła mi do ucha:

- Musimy rozwiązać pewien problem - powiedziała, przeczesując palcami moje włosy. - Chodzi o mojego faceta.

- Rzuć go - mruknąłem.

- Czasami się przydaje, ale nigdzie mnie nie zabiera. Chyba nie chce, żeby mnie z nim widziano.

- To zrozumiałe.

- Ale chcę, żebyśmy uciekli razem.

Otworzyłem oczy.

- Dokąd?

- Jeśli nie masz żadnych planów i chcesz zaszaleć, to mam domek w Sun Valley. Moglibyśmy spędzić tam święta.

- Ty na dywanie z niedźwiedziej skóry w domku w górach... tak wyobrażam sobie raj.

- To dobrze, moglibyśmy sobie darować jazdę na nartach.

- Jazdę na nartach owszem, ale nie proces. Mamy jeszcze dużo roboty, a czasu zostało niewiele.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

- Frank, to może być moja ostatnia szansa.

- Moim zadaniem jest dopilnować, by tak nie było.

- Wiedziałam, że powiesz coś takiego.

- Nie musisz tu siedzieć. Może pojedziesz tam mimo wszystko?

- Bez ciebie?

- Czemu nie? Jedź, zabaw się. Tylko nie wróc opalona.

- No... myślałam, że spędzimy trochę czasu razem, to znaczy, gdybyś nie miał innych planów. - Zawahałem się, próbując zebrać myśli. Zaczęła mówić szybko: - Przepraszam, nie chciałam się narzucać. Wiem, że masz syna i...

Przewróciłem się na brzuch.

- Hej, czekaj no! Chwileczkę! Chcę spędzić z tobą tak dużo czasu, jak to możliwe.

- Przepraszam, że w ogóle cokolwiek powiedziałam.

- Nie przepraszaaj. Po prostu nie chcę, żebyś zrezygnowała z wyjazdu, jeśli ci na nim zależy. Ja... Jezu! Ależ to skomplikowane, co?

- To ja namieszałam. Nieważne.

Czułem, że jest zawiedziona. Przewróciłem się na plecy i przyciągnąłem ją do siebie.

- Zobaczę się ze swoim synem, ale chcę też być z tobą. Nie jedź do Sun Valley.

Uścisnęła mnie mocniej.

- Dałam się przekonać. Tak czy inaczej, wiedziałam, że nie będziesz chciał wyjechać, więc przygotowałam plan rezerwowý: kolacja u mnie w Wigilię. Uroczysta.

- Uroczysta? To znaczy, że mam założyć czarny krawat?

- Z szarfą.

- Będzie jeszcze ktoś? Przycisnęła pośladki do mojego krocza.

- My obydwóje, mam nadzieję, ale ja pierwsza.

- Musimy dopełnić formalności. Co jeszcze mam zrobić?

- Nie mamy choinki.

- Wszystkie już są wykupione.

- Nie wszystkie. Byłam na spacerze na Wisconsin Avenue i widziałam na placu jeszcze kilka.

- Nędzne resztki.

- Liczy się klimat. Chodźmy tam.

- Do usług.

- Dzień i noc - powiedziała.

Następnego ranka o dziewiątej byłem w biurze. Stojący w kuchni dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą wskazywał, że nie przyszedłem pierwszy, ale to mnie nie zdziwiło: w każdy weekend dziesięć do dwudziestu procent prawników firmy siedziało za swoimi biurkami. Ten, kto zrobił kawę, dobrze się sprawił, a w lodówce zostało jeszcze trochę mieszanki portera i piwa. Napełniłem kubek i wróciłem do swojego gabinetu, biorąc po drodze „Post”.

Kiedy w sobotni poranek ma się przed sobą rubrykę sportową gazety i kubek niezłej kawy, świat nie wygląda tak źle - pod warunkiem, że nie wybiega się myślą za daleko w przyszłość. Właśnie siadałem wygodnie, kiedy zauważyłem, że na telefonie pali się światełko: poczta głosowa. Rzadko mi się do czegośkolwiek przydawała, bo, po pierwsze, nie miałem aż tylu klientów, a po drugie, wołałem, by wiadomości zapisywała sekretarka, ponieważ zakładałem, że większość ludzi nie znosi nagrywać się na maszynę

tak samo, jak ja.

Moira powiedziała kiedyś, że urodziłem się trzydzieści lat za późno, bo byłem oczarowany latami czterdziestymi: big bandy, papierosy Lucky Strike, film noir; wojna mająca jakiś cel. Szkocka zamiast białego wina, mocna kawa zamiast cafe latte. Budyńki miały nazwy, a taksówkarze wiedzieli, gdzie są. I żadnych faksów, e-maili, pagerów, telefonów komórkowych i poczty głosowej. Ignorowałem świecąca zieloną kropkę tak długo, jak się dało, ale nie zniknęła. Promień światła przechodził przez gazetę i odbijał się w kawie.

Zaczął mu towarzyszyć piskliwy jęk: „wysłuchaj mnie, wysłuchaj mnie”.

Byłem coraz bardziej niespokojny i kiedy nie mogłem już tego dłużej znieść, wcisnąłem guzik i wystukałem swój kod. Nagrany głos powiadomił mnie, że mam jedną wiadomość. Była od Cory Barnes: „Dzwonię z Biblioteki Kongresu. Wczoraj wieczorem wrzuciłam ci do skrzynki kopię artykułu z »Timesa«. Pewnie nie tego szukasz, ale nic ciekawszego nie znalazłam.

Zadzwoń. Na górze zapisałam numer mojej komórki”.

Był to artykuł o agencji KGB nazwiskiem Kowaliew, który uciekł do Stanów Zjednoczonych. Ciekawa informacja, ale nie wiedziałem, jaki ma związek z Henrym Bronsonem.

Cory odebrała po pierwszym sygnale.

- O to chodziło? - spytała. - Jest tak jakby o przestępstwie i tak jakby sensacyjny.

- Trudno powiedzieć. Masz coś jeszcze, co dowodziłoby, że to wiąże się z naszą sprawą?

- Wątek naukowy. Facet, o którym mowa, jest legendą i jego nazwisko przewija się w zeznaniach innych uciekinierów i książce napisanej przez oficera KGB po upadku Związku Radzieckiego. Podczas drugiej wojny światowej zinfiltrował nasz program prac nad bronią atomową i działał tu przez wiele lat, zanim wrócił do domu, gdzie został szefem kremłowskiego aparatu dezinformacji.

Broń atomowa. Fragmenty dziennika Henry'ego przesuwają mi się przed oczami.

- Co jeszcze?- spytałem.

- Frank, ten facet zrobił więcej przekrętów niż Nixon, a największym mogła być jego ucieczka! Kilka miesięcy po przyjeździe do Stanów rzekomo mu się odmieniło i wrócił do Moskwy. W wywiadzie zapanował totalny chaos. Jedni drugich oskarżali o nieudolność i vice versa, choć istniały podejrzenia, że od samego początku był to podstęp Kremla. Posłuchaj tego: facet umarł w osiemdziesiątym ósmym i pochowano go z

wszystkimi honorami, co samo w sobie mogło być mistyfikacją mającą dowiedzieć, że jego ucieczka

została sfingowana i że informacje, które przekazał CIA, nie są wiarygodne.

Wystarczająco zagmatwane? Tak czy inaczej, mam tu jeszcze jeden artykuł z jego zdjęciem.

- Przefaksuj mi go, kiedy tylko się rozłączymy. Potem chciałbym, żebyś zrobiła coś jeszcze.

- Ale ja mam dzisiaj randkę!

- To nie powinno zająć ci dużo czasu. Chcę wiedzieć, gdzie w Kalifornii we wczesnych latach pięćdziesiątych prowadzono badania nad bronią atomową. Dasz sobie z tym radę?

- Bardzo jestem ciekawa, jaki to ma związek ze sprawą.

- Może żadnego. Na razie nikomu o tym nie mów. Kiedy czegoś się dowiesz, zadzwoń pod ten numer. Gdybym gdzieś wychodził, wezmę komórkę.

Podaliśmy jej numer i podszedłem do faksu. Po chwili zobaczyłem zdjęcie.

Nie minęło kilka sekund, a już biegłem do samochodu.

Tego ranka ruch na autostradzie był niewielki. Miałem prawie całą drogę dla siebie, mogłem więc spokojnie poukładać sobie wszystko w głowie.

Teraz, kiedy już wiedziałem, co przeraziło Henry'ego tak dawno temu, mogłem się domyślić, co Raymond miał na niego i dlaczego Epstein kłamał.

Najtrudniej będzie to z niego wyciągnąć. Nie zastałem go i dopiero teraz przyszło mi do głowy, że mógł wyjechać na święta. Skoczyłem do miasta po kawę, wróciłem pod dom Epsteina i zacząłem czekać. Wśród wzgórz Pensylwanii było o wiele zimniej niż w Waszyngtonie i kiedy gasiłem silnik, w samochodzie szybko robiło się chłodno.

Właśnie kończyłem kawę, kiedy zadzwoniła Cory.

- No dobra - powiedziała. - Już co nieco wiem. Jeśli to cię zadowoli, to mogę jeszcze zdażyć na randkę.

- Jest dopiero druga. To musi być ważna randka.

- Co ważniejsze, to trzecia randka. Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Domyślam się. Mów, co dla mnie masz.

- Dobra. Jak dotąd znalazłam trzy instytucje w Kalifornii, w których na początku lat pięćdziesiątych prowadzono badania nad bronią atomową. Pierwsza to Cal Tech w Pasadena.

- Pod Los Angeles.

- Zgadza się. Tam zaczynał Robert Oppenheimer, ojciec bomby atomowej.

- To może być to. Co jeszcze?

- Radiation Laboratory na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Pracował tam Ernest O. Lawrence. Wynalazł cyklotron i odegrał ważną rolę w badaniach nad bronią.

- Też brzmi obiecująco. A co było trzecie?

- Najlepsze zachowałam na koniec: wielki tajny instytut zbudowany w Livermore dla Edwarda Tellera, ojca bomby wodorowej. Lawrence Livermore National Laboratory, pewnie nazywali je potrójnym L - powiedziała ze śmiechem.

- Nie. L do szczęścia.

- Och, to brzmi jeszcze lepiej, bardziej naukowo.

- To wszystko, czego mi trzeba. Idź, przygotuj się do randki. I powodzenia.

- Jemu bardziej się przyda. Na razie.

Po południu Epstein wreszcie wrócił do domu i nie wyglądał na uradowanego moim widokiem, ale ściskając mi dłoń, zmusił się do uśmiechu.

- Jesteś ostatnią osobą którą spodziewałem się dziś zobaczyć - powiedział. - Nie przyjechałeś tu po choinkę, co?

- Nie, Herbercie, chciałem z tobą pogadać.

- Jasne. Wejdz, zanim tu zamarzniemy. - Nieporadnie grzebał kluczem w zamku, wyraźnie podenerwowany. - Zimno bardziej mi doskwiera niż kiedyś - poskarżył się. - Może powinienem się przenieść na Florydę, jak wszyscy.

- Może to i dobry pomysł - odparłem chłodno. Moje zachowanie wyraźnie go zaniepokoiło. Powiesiliśmy płaszcze w przedpokoju i zaprowadził mnie do gabinetu.

- Przynieść ci coś? Kawy?

- Nie, dzięki. Opilem się jej tyle, że na dziś wystarczy.

- Dobra. Gdybyś zmienił zdanie, to żaden kłopot. - Usiadł na jednym z krzeseł stojących przy oknie, ja zająłem drugie. Wbiłem w niego wzrok, ale nic nie powiedziałem, tylko patrzyłem, jak się wierci. W końcu spytał:

- Zapomniałeś o czymś, kiedy byłeś tu ostatnio?

- Nie. Prawdę mówiąc, przyjechałem, żeby udzielić ci porady prawnej.

- Porady prawnej? - Zmarszczył brwi. - Jakiej?

- Zdrada nie ulega przedawnieniu.

Zamrugnął oczami.

- Co?

- To znaczy, że możesz zostać oskarżony o czyny, które popełniłeś dawno, nawet pięćdziesiąt lat temu.

- Ja... nie wiem, o czym mówisz! Przychodzisz do mojego domu i...

- Nie kłam, Herbercie! - krzyknąłem, uderzając pięścią w poręcz krzesła. - Okłamałeś mnie, kiedy tu byłem ostatnio, i strasznie mnie to wkurza!

Skulił się na krześle.

- Okłamałem? Kiedy? - zaskomlał.

- Kiedy mówiłeś o Henrym i Kalifornii. Byłeś tam.

- Gdzie?

- W Lawrence Livermore, razem z gwiazdami fizyki jądrowej.

- Ja... nic o tym nie wiem - wykrztusił.

Wyjąłem z kieszeni marynarki zdjęcie i rzuciłem mu je na kolana. Kiedy spojrzał na nie, krew odpłynęła mu z twarzy i od razu zaczął wyglądać na swoje lata.

- Kogo rozpoznajesz na tej fotografii?

- To ja - wymamrotał - a to Henry.

- A ten człowiek za ławką?

Jego dłonie zaczęły drżeć.

- To było tak dawno temu - powiedział. Wyciągnąłem rękę i postukałem palcem w twarz na fotografii.

- No, Herbercie - warknąłem - na pewno go pamiętasz. Epstein poruszył ustami, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

- Nie słyszę. Powiedz jego nazwisko.

- Kowaliew - wydukał. Wyglądał, jakby miał zaraz paść na podłogę. Pora na blef.

- Henry zachował nie tylko zdjęcie, Herbercie. Prowadził dziennik. Przyznał się w nim do tego, co zrobił... co obaj zrobiliście.

- Co zrobiłem... - milczał przez chwilę, potem ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał cicho. Jego chude ramiona zaczęły drżeć. - Co ze mną będzie? - krzyknął.

- Nikt oprócz mnie nie musi o tym wiedzieć, ale niczego nie obiecuję poza jednym. Jeśli mi nie pomożesz, wydam cię. Pewnie nie trafisz na krzesło jak Rosenbergowie, ale do śmierci będziesz siedział w małej celi. Koniec z przepyszными wypiekami i figlami z wesołymi wdówkami.

- Mój Boże!

- Bóg ci nie pomoże. Odpowiesz na moje pytania czy nie? - Przetarł oczy rękawem wełnianej koszuli i pokiwał głową. - Henry Bronson przekazywał informacje Rosjanom. Tak było?

- Tak.

- Ty też brałeś w tym udział?

- Nie... nie miałem wyboru.

- Opowiedz o tym. Od początku do końca.

- Od początku do końca - powtórzył cicho, po czym wziął głęboki oddech i zaczął mówić monotonnym głosem, ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Dorastałem w czasie Wielkiego Kryzysu. W mojej rodzinie, tam, gdzie mieszkałem, modnie było winić kapitalizm za krzywdy spotykające społeczeństwo. Wiele osób myślało, że Związek Sowiecki to ostatnia nadzieja ludzkości. - Podniósł na mnie oczy. - Twoje pokolenie przeszło przez coś podobnego w latach sześćdziesiątych. Założę się, że ty też paliłeś flagi i robiłeś inne dziwne rzeczy, zgadza się?

- Mów dalej.

- Zwrócili się do mnie, kiedy studiowałem w Princeton. Pamiętaj, byli wtedy naszymi sojusznikami, razem walczyliśmy z nazistami, więc zgodziłem się współpracować. Mówiłem im o pracach, jakie prowadziliśmy w laboratorium, ale to były drobnostki, nic, co mogłoby im się przydać. Czasami prosili mnie, żebym poszedł na jakieś spotkanie i opowiedział, co się na nim działo, albo przedstawił ich ludzi znajomym naukowcom.

- Na przykład Henry'emu?

- Tak, ale nie znaleźliśmy żadnych prawdziwych tajemnic. Na litość boską, byliśmy tylko studentami!

- Co stało się potem?

- Henry przeniósł się na uniwersytet w Chicago. Byliśmy nowymi twarzami, mieliśmy za mało doświadczenia i osiągnięć, by Oppenheimer ściągnął nas do Los Alamos. Fizycy, którzy skonstruowali bombę, pomogli wygrać wojnę i należeli do elity. My myśleliśmy, że zaprzepaściliśmy naszą szansę.

- Ale Henry był ambitny, zgadza się?

- Henry chciał dokonać czegoś wielkiego, ja zresztą też, i rozłam w społeczności naukowej dał nam po temu okazję. Wielu fizyków sprzeciwiało się pracom nad bronią atomową, ale trudno było dawać temu wyraz, kiedy trwała wojna i wszyscy bali się, że naziści pierwsi zdobędą bombę.

- Ale to się zmieniło.

- Zdjęcia z Hiroshimy i Nagasaki wywołały wielki wstrząs. Oppenheimer stał się przeciwnikiem dalszych badań nad bronią atomową, a był bardzo wpływowy. Z kolei Edward Teller chciał skonstruować coś, co nazywano Super, czyli bombę wodorową, i sfrustrowany odszedł z Los Alamos. Kiedy jednak Sowieci zdetonowali własną bombę atomową, zaczął się wyścig.

- Co stało się potem?

- Rząd zbudował Tellerowi laboratorium w Livermore, by mógł dalej pracować nad Superem i Henry załapał się tam w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Mnie się nie udało, ale Henry tak zachwycił się Zachodem, że kiedy tylko dostałem propozycję z Uniwersytetu Kalifornijskiego, przeniosłem się tam i staliśmy się prawie sąsiadami. Oczywiście, Livermore było ściśle tajnym laboratorium, więc nie mogłem go odwiedzać. Spotykaliśmy się w Berkeley.

- A co miał do tego Kowaliew?

- Był naszym łącznikiem w Princeton. Pojawił się znowu w pięćdziesiątym trzecim i poprosił, żebym skontaktował go z Henrym. Musisz zrozumieć jedno: ja już siedziałem w tym po uszy. Nie mogłem odmówić. Spotykaliśmy się w Berkeley i Kowaliew prawil nam kazania o tym, że trzeba dzielić się tajemnicami broni atomowej, by zapobiec kolejnym wojnom... a propos, podobnie myślało wiele osób. - Zawiesił głos, szukając u mnie zrozumienia.

- Mów dalej, Herbercie.

- Henry zgodził się dostarczać informacje, głównie dokumenty, które zostawiał w umówionych miejscach na obszarze Berkeley. Czasami byłem pośrednikiem. To trwało ponad rok, ale w końcu pod wpływem poczynań Sowietów Henry uznał, że równowaga atomowa to niekoniecznie dobry pomysł. Odmówił dalszej współpracy i wtedy Kowaliew zagroził, że nas wyda. Mówił to w zawołany sposób, ale zagrożenie było realne. Myśla-

łem, że jesteśmy zgubieni.

- Ale nigdy nie spełnił swoich gróźb?

- Nie. Przeżyliśmy nerwowy rok, a potem obiecaliśmy sobie nigdy więcej o tym nie rozmawiać. Przez prawie trzydzieści lat był spokój, kiedy nagle w gazetach pojawiły się informacje o ucieczce Kowaliewa i jego przesłuchaniach w CIA.

- Siódmy czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego - powiedziałem. - Henry był przerażony.

- Ja też! Myśleliśmy, że obaj pójdziemy na krzesło! Ale wygląda na to, że Kowaliew nie powiedział im o nas.

- Jaki był wkład Henry'ego w prace prowadzone w Livermore? Co było jego dziełem?

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, jakby bił się z myślami.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - Jak już mówiłem, zaczął się wyścig. Wielu ludzi pracowało nad większymi, potężniejszymi rodzajami broni. Inni zajęli się pokrewnym, równie pilnym zagadnieniem.

- To znaczy?

- Po co komu bomba, skoro nie ma jej jak użyć? W tamtym czasie nikt nie miał jeszcze rakiet międzykontynentalnych, a bombowce strategiczne były dopiero w fazie koncepcji. Wszyscy ważni ludzie snuli wielkie plany, a Henry'emu trafił się mały projekt, który nie interesował jego współpracowników: zmniejszenie atomowej bomby w stopniu umożliwiającym przenoszenie jej środkami konwencjonalnymi.

- To znaczy?

- Żeby można było wsadzić ją do pudełka, zawieźć do miejsca przeznaczenia, zaparkować samochód i odejść.

- Chryste! Samochód-pułapka?

- Nie, atomowy samochód-pułapka. Praktycznie byłaby to idealna broń pierwszego uderzenia: żadnego ostrzeżenia, od razu wybuch. Henry rozwiązał najtrudniejszy problem związany z tym projektem.

- Jaki?

- Detonator. Wiesz, jak to działa?

- Wy tłumacz mi.

Wyrzekał notes i ołówek i narysował diagram. Wyraźnie mu ulżyło, że zamiast wyznawać grzechy, może poprowadzić wykład.

- Aby bomba wyzwoliła maksymalną ilość energii, uranowy bądź plutonowy rdzeń musi zostać ściśnięty do masy krytycznej błyskawicznie i całkowicie, w przeciwnym razie wybuchu nie będzie. Do tego potrzebny jest detonator. Kiedy konstruowano pierwsze bomby w Los Alamos, pracowało nad tym zagadnieniem wielu mądrych ludzi. W pewnym sensie było to ich najtrudniejszym zadaniem. W końcu powstały dwa typy detonatorów. Jeden z nich był czymś w rodzaju „pistoletu”, który wstrzeliwał w rdzeń uranową „kulę”; taki mechanizm został użyty w bombie, która spadła na Hiroshimę.

Drugi powodował implozję, a wykorzystano go w Nagasaki. Henry zaprojektował zmniejszoną wersję mechanizmu „pistoletowego”. Nie działał tak skutecznie jak ten w dużej bombie, ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że ważyła prawie pięć ton.

- To znaczy, że na ile był skuteczny?

- Cóż, nie dałoby się zniszczyć całego miasta, ale jego centrum owszem.

- Albo, na przykład, Kreml.

- No właśnie. Projekt był genialny dzięki swojej prostocie. To cholera praktycznie można by zmagistrować we własnej piwnicy.

- Czy Rosjanie o nim wiedzieli?

- Nawet jeśli tak, to tylko tyle, że Henry jego miał. Nie dał im planów, to wiem na pewno.

- Co się z nimi stało?

- W jakim sensie? - Unikał mojego wzroku.

- To proste pytanie. Co się stało z planami detonatora zaprojektowanego przez Henry'ego?

- Nie wiem.

- Kłamiesz, Herbercie, wystarczy na ciebie spojrzeć. Widziałeś je na własne oczy. - Kiedy wstałem, poruszył się niespokojnie. - No, powiedz, czy się mylę.

- Nie mylisz się.

- Gdzie one są?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem. - Wpiłem w niego wzrok, a on podniósł ręce w błagalnym geście. - Nie kłamię, przysięgam! Pokazał mi je tylko raz, prawie czterdzieści lat temu!

- Czyli je zachował.

- To było jego dzieło. - Westchnął. -1 wiesz co? Gdybyś je dzisiaj miał, byłbyś bogaty.

Serce łomotało mi w piersi, ale mój głos ociekał sarkazmem.

- Bogaty? - prychnąłem, kręcąc głową. - Po co ktoś miałby płacić za jakieś projekty sprzed pół wieku?

Epstein połknął haczyk.

- W czasie wojny - tłumaczył - produkcja uranu czy plutonu nadające go się do użycia w broni atomowej wymagała wykorzystania dużej części naszego potencjału przemysłowego. Było to największe przedsięwzięcie lat wojny; największe w historii. Żeby tego dokonać, dosłownie budowaliśmy całe miasta, i to praktycznie w jedną noc. W dzisiejszych czasach nie trzeba aż tak się wysilać. W dawnym Związku Sowieckim wygłodzeni eksperci za marne grosze pilnują materiałów nadających się do produkcji broni, wartych

tysiące razy więcej, niż ważą. W Europie Wschodniej funkcjonuje czarny rynek plutonu i z tego, co czytałem, w Niemczech roi się od agentów wywiadu udających nabywców!

- Mów dalej.

- No cóż, sam materiał rozszczepialny to jeszcze nie broń. Brakuje ważnego elementu.

- Detonatora.

- No właśnie.

- Czyli projekt Henry'ego jest dużo wart.

- Byłby idealny dla terrorysty, który chciałby wysadzić w powietrze tylko Wall Street czy, powiedzmy, Pentagon.

- Herbercie - powiedziałem od niechcienia - komu jeszcze mówiłeś o detonatorze Henry'ego?

- Nikomu! - krzyknął. - Powiedziałem to Henry'emu i teraz mówię tobie, że nigdy, przenigdy nawet słowem nie wspomniałem o detonatorze czy czymkolwiek innym. Nawet słowem! - Rozpaczliwie łapał powietrze.

Bąłem się, że wykituje, zanim z nim skończę.

- Czemu musiałeś to powiedzieć Henry'emu?

- Zadzwoił do mnie bardzo poruszony i spytał: „Czy złamałeś naszą umowę, Herbercie?” - Epstein potrząsnął głową. - To było w jego stylu.

- I powiedziałeś mu, że tego nie zrobiłeś?

- Tak jak mówię to tobie. Daj spokój, to byłoby samobójstwo.

- Kiedy to było?

Potał czoło.

- Człowiek traci poczucie czasu, kiedy nie pracuje - mruknął. - Chyba w sierpniu, na początku sierpnia.

- Opowiedz mi o Raymondzie Garveyu. Co on miał z tym wszystkim wspólnego? Epstein albo był dobrym aktorem, albo to pytanie rzeczywiście go zaskoczyło.

- Garvey? - Patrzył na mnie ze zmarszczonym czołem, aż wreszcie zrozumiał, o co chodzi. - Garvey wie? - jęknął. - O nie! Nie! Nie! Nie!

- Spokojnie! Przecież nikomu nic nie powie, nie pamiętasz?

Ukrył twarz w dłoniach.

- Tak - wydyszał. - Słusznie. - Znów podniósł głowę, bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony. - Detonator Henry'ego ma jakiś związek z tym morderstwem?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale tu jesteś i zadajesz pytania.

- Herbercie, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Najlepsze, co możesz zrobić, to zapomnieć, że tu w ogóle byłem, rozumiesz? - Wstałem.

- Mogę zadać ci tylko jedno pytanie? - spytał błagalnym tonem.

- Jakie?

- Czy Ashley wie? Czy ona...

- Ashley nic o tym nie wie. Ani o tobie, ani o Henrym. I tak już zostanie. Rozumiemy się?

Drgnął.

- Nic nie powiem. Milczałem przez... pięćdziesiąt lat. - Jego ogorzała twarz była blada jak papier. Kiedy znów zaczął mówić, prawie nie było go słyszeć. - To, co zrobiłem, co zrobił Henry, umrze razem ze mną.

Mylił się. Jeszcze co najmniej trzech ludzi wiedziało, co Henry robił w Livermore. Ashiey zabiła jednego z nich, drugi zniknął. Trzeci próbował doprowadzić do skreślenia mnie z listy adwokatów.

Zadzwoił telefon. Epstein spojrział na aparat, ale nie mszył się z miejsca. Poszedłem po płaszcz.

- Lepiej odbierz, Herbercie - rzuciłem przez ramię - może to twoja kolacja.

- Strzelałeś na oślep i miałeś szczęście. Gdybyś nie trafił, wróciłbyś z pustymi rękami.

- Gówno prawda, wcale nie strzelałem - odparłem. - To była duża dawka dedukcji przyprawionej szczyptą dobrej techniki śledczej. Przyznaj, jesteś zazdrosny.

- Taa, niech ci będzie. - Walter zajrzał do papierowej torby i wyłowił z niej paczkę zawiniętą biały papier. Odsunąjąca długość ramienia i zmrużonymi oczami przyjrzał się znaczkom wykonanym czarną kredką.

- Może to po prostu otworzysz?

- Zaraz - burknął, odwracając paczkę do góry nogami. - No dobra. Bajgiel z cebulą, ser śmietankowy, czerwona cebula i pomidor. - Rzucił to mnie, sięgnął po kubek i odczytał napis na pokrywce. - Twoje - powiedział.

- Posłudzili?

Odwijając drugą paczkę, wbił we mnie wzrok.

- Kupowałem w zeszłą niedzielę. Teraz miała być twoja kolej.

- Byłem w kościele, modliłem się za twoją duszę.

Poruszył pięścią w górę i w dół, biorąc się za bajgla i sałatkę z siei.

- Czyli - powiedział, żując - chodziło im o wynalazek starego?

- Wszystko się zgadza. Wiedzieli, że szpiegował w Livermore, i pewnie grozili mu, że go wydadzą, jeśli nie odda im projektu. To właśnie miał na myśli, pisząc, że jest prześladowany przez własne dzieło. Był przyparty do muru, ale znalazł wyjście. Pociągnął nosem.

- Tak, i to ostateczne, ale tu pojawia się następne pytanie: skąd wiedzieli?

Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby zdradził swoje tajemnice Raymondowi.

- Handlarze plutonu dostali w swoje ręce raporty Henry'ego z Livermore. Może znaleźli je w starych aktach, a może w latach pięćdziesiątych pracowali z Kowaliewem. Kto wie? Dzięki projektowi Henry'ego mogliby zaoferować pełen asortyment każdemu, kto chce skonstruować bombę.

- Dlatego dobrali się do niego.

- Tak, i wybrali Garveya na swojego łącznika. Nadawał się idealnie, pośrednik łasy na forszę i stary przyjaciel Henry'ego.

- Zgarnąłby za to dużą prowizję.

- Nie jestem pewien, jaki udział ma w tym Burroughs. Domyślam się, że on też należy do Octagonu. Wiek się zgadza. Pewnie powiedział im o Raymondzie.

- A pan Brown-Clay?

- Maureen mówiła, że miał dziwny akcent, jakby europejski. Na pewno jest rosyjskim łącznikiem. A Octagon działa od lat trzydziestych, za długo, by być własnością jednej osoby czy nawet grupy ludzi. Może Sowieci wykorzystywali go do transferu pieniędzy albo innych szpiegowskich działań.

Znów zaglądał do torby.

- Gdzie ten cholerny słodzik? -mruknął, po czym powiedział: -Jak, do cholery, możemy udowodnić, że ta bajka jest prawdziwa?

- Nawet nie spróbujemy. Jego nos wysunął się z torby.

- Nie?

- Nie, z dwóch powodów. Po pierwsze, nasza historyjka składa się z dwóch odrębnych części. Jedna to Octagon, trzech facetów, czyli Burroughs, Garvey i pan Brown-Clay, biorących udział w jakimś spisku. Jest w niej wszystko, co trzeba: duże pieniądze, potajemne spotkania i jeden martwy spiskowiec. To możemy udowodnić. Druga część to szpiegowska opo- I wieść o Henrym Bronsonie, najprawdopodobniej kończąca się w sierpniu tego roku, kiedy to odwiedził go ktoś, kto znał prawdę o jego przeszłości. Są i na to dwa dowody: zeznanie Epsteina i dziennik. Herbert nie zgodzi się zeznawać, a w dzienniku są tylko niejasne wskazówki. Zresztą i tak nie możemy go użyć.

Walter skinął głową.

- Pograżyłyby ją.

- No właśnie. Szkoda, że nie możemy opowiedzieć tego wszystkiego.

To historia tak niesamowita, że Ashley nie gra w niej nawet drugoplanowej roli. Nawet po uwzględnieniu zeznania Kellogga przysięgli musieliby ją uniewinnić, chyba że Rogavin ma kasetę z nagraniem sceny zabójstwa.

Walter wzruszył ramionami.

- Nie ma dziennika, nie ma Epsteina, nie ma historii.

- Do tego to się sprowadza - przytaknąłem. - Jedyna nadzieja, że Burroughs zdecyduje się zeznawać, ale nie liczyłbym na to.

- Mówiłeś, że są dwa powody. Jaki jest drugi?

- To, czego ta historia dotyczy. Gdybyśmy ją ujawnili, cały świat dowiedziałby się, że Henry Bronson szpiegował dla Rosjan, a pierwsza usłyszałaby o tym jego córka. Nie życzyła sobie, żebyśmy szukali powodów jego samobójstwa, pamiętasz? Chciałbyś jej o tym powiedzieć?

Skrzywił się.

- No dobra, skoro już rozwiązałeś tę starą zagadkę, to powiedz mi, co zrobimy, kiedy zaczniesz się rozprawa, czyli już w przyszłym tygodniu.

- Musimy trzymać się pierwszej części, tej, którą potrafimy udowodnić:

Raymond Garvey wszedł w konszachty z jakimiś spotykającymi się potajemnie typami, używającymi fałszywych nazwisk, mającymi dużo pieniędzy, należącymi do tajnej organizacji o nieznanym przeszłości.

- I mu się zmarło - dodał.

- I mu się zmarło. Nieźle, co?

- Brakuje punktu kulminacyjnego. Nie wiesz, co oni knują, ani dlaczego Raymond wyleciał z organizacji.

- Ale to już coś - odparłem. - Jeśli połączyć to z dobrze przeprowadzonym przesłuchaniem Kellogga i dorzucić nasze wytłumaczenie, skąd wzięły się odciski palców na pistolecie, będziemy mieli zarys linii obrony. Wskażemy przysięgłym słabe punkty aktu oskarżenia, a potem przedstawimy alternatywną wersję wydarzeń, może niepełną, ale prawdopodobną.

Walter w zamyśleniu sączył kawę.

- No to jak oceniasz jej szanse? - spytałem go.

- Trudno powiedzieć. Na trzydzieści, może czterdzieści procent.

- Pewnie masz rację-westchnąłem.

- Został nam jeszcze tydzień. Co chcesz zrobić?

Zastanowiłem się.

- Myślisz, że Octagon to ślepa uliczka?

- Sprawdziliśmy w liniach lotniczych, w banku i nic.
- No to pozostaje nam tylko dalej kopać dołki pod Kelloggiem. Zanim Walter zdążył odpowiedzieć, włączył się jego pager - dzwonił jeden z członków zespołu. Oddałem mu swoje krzesło i podszedłem do okna.

Był typowy, grudniowy dzień w Waszyngtonie, jeśli chodzi o temperaturę -do zniesienia, ale silny wiatr powodował, że przechodnie kulili się, pochylali głowy i poprawiali szaliki. Gdyby poprosić kogoś, by rozpoznał którąś z mijanych tego dnia osób, to można się założyć, że nie byłby w stanie tego zrobić.

Walter skończył rozmawiać i podszedł do mnie.

- Nie to, co w Nowym Jorku, nie?
- Tak, tam jest wszystkiego więcej.
- Ciągle za nim tęsknię - powiedział.
- Ja też... czasem. Trzeba przyznać, że moje życie było tam o wiele łatwiejsze.
- Coś nowego z Moirą i dzieckiem?
- Będzie, co ma być. Najlepsze w tej sprawie jest to, że daje mi zajęcie.

To tak jakby mieć migrenę i walić się młotkiem w kciuk.

Uznał, że to sygnał do zmiany tematu.

- Musimy zająć się Kelloggiem - stwierdził. - Rogavin będzie chciał przekonać przysięgłych, że ten facet to Bóg wie co.

- Tajny agent o oczach widzących w ciemności i fotograficznej pamięci.,
- Zero-zero-pieprzony-siedem.

Nagle błysnęła mi pewna myśl.

- Czekaj no! A jeśli udowodnimy, że facet wcale nie jest taki niesamowity?
- Super. A jak?
- Sprawdzimy go na sali sądowej. - Wytłumaczyłem, o co chodzi.

Wysłuchał mnie uważnie i przemyślał moje słowa, dopijając kawę.

- A jeśli to nie wyjdzie? - spytał.
- Pewnie przegramy.
- Pewnie?

- No dobra, przegramy. Słuchaj, zaproponowałem to, bo jesteśmy zdesperowani. Jeśli sprawy ułożą się po naszej myśli, jeśli uda nam się narobić, mu kłopotów na przesłuchaniu bez tej próby, to nie będziemy ryzykować.

- Kiedy podejmiesz decyzję?
- W czasie przesłuchania. Dopiero wtedy będę miał pewność.

Walter zmarszczył brwi.

- Taką decyzję podejmować w ostatniej chwili... Postawimy wszystko na jedną kartę.

- Mnie też się to nie podoba, ale brakuje mi pomysłów. No to jak, zrobisz to, czy nie?

- Nie będzie łatwo, zostało mało czasu - mruknął.

- Dasz radę?

- Może. Lepiej, żebym już zaczął.

- Nie mów o tym nikomu, kto nie musi tego wiedzieć. I nie wspominaj przy Andym o twoich „wspólnych znajomych”. I tak ma już dość zmartwień z powodu tego małego dziennika.

- Rozumiem, że sumienie naszego zespołu nie odezwało się?

- Nie. Pokręcił głową.

- To niedobrze. Chcesz, żebym z nim pogadał?

- Nie, już wystarczająco go przycisnąłem. Zajmij się Kelloggiem.- Odwrócił się w stronę drzwi. - Chwileczkę - powiedziałem. - Podnieś mnie na duchu i powiedz mi jeszcze raz, że jestem geniuszem.

- Jesteś geniuszem - rzucił przez ramię - ale od jutra może to być gównem warte.

Andy nie pojawił się w biurze i zadzwonił dopiero o piątej. Wiedziałem, co to znaczy, zanim jeszcze zaczął mówić.

- Nie zmieniłem zdania, Frank, ale zrobię, co się da.

- To znaczy?

- Niczego nie powiem z własnej woli. Wejdę tam i dam mu do zrozumienia, że jestem nowym pracownikiem, którego przydzielono ci do pomocy, i mam za zadanie siedzieć w bibliotece i pisać notatki. Może nie zada właściwego pytania.

- Rozumiem.

- Tak sobie pomyślałem: może skontaktujemy się z moim profesorem etyki? To człowiek praktyczny. Jeśli powie, że masz rację, to nie ma sprawy.

Gdyby jednak uznał, że trzeba to ujawnić, mógłbyś wszystko odkręcić, zanim pójde na rozmowę z Warnerem. Wtedy nie czułbym się tak, jakbym zdradził zespół.

- Przykro mi, Andy, nie zrobię tego.

- Dlaczego?

- Bo wierzę w słuszność moich decyzji i gotów jestem ponieść ich konsekwencje. Jeśli ty masz inne zdanie, to znaczy, że możesz zajmować się prawem, ale nie prawem karnym.

Zapadła chwila ciszy.

- Dobrze, zrobię, co w mojej mocy - powiedział cicho. - Przykro mi, Frank.
- Andy?
- Co?
- Zadzwoń do mnie, kiedy tylko od niego wyjdiesz.

W garnku, na który patrzysz, woda się nie gotuje. Przysłowie to przypomniało mi się kilka razy między dziesiątą siedemnaście a dziesiątą trzydzieści. Walter przyszedł o dziewiątej, by towarzyszyć mi w czuwaniu, i leżał wyciągnięty na kanapie z zamkniętymi oczami.

Minęła jedenasta, a telefon milczał.

- To trwa już godzinę - oświadczył Walter. - Jak długo ty tam siedziałeś?
- Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.
- Cholera. Pewnie go nagrywają.

Andy przywłókł się o jedenastej czterdzieści pięć i usiadł ciężko. Wyglądał na wyczerpanego.

- Długo tam siedziałeś - powiedziałem.

- Szedłem pieszo z budynku sądu - odparł zmęczonym głosem. Czekaliśmy na dalszy ciąg, ale nic więcej nie powiedział.

- I jak było? - ponagliłem go.

- Spytał, czemu interesuje nas Burroughs. Powiedziałem mu to samo, co ty. Potem spytał, czy moim zdaniem Burroughs zabił Garveya.

- I co ty na to?

- Że o ile wiem, to możliwe. - Spojrzał na mnie i wzruszył ramionami. - Nikt mi nie powiedział, że tak nie jest. - To było prawdą: jakoś się na to nie zdobyłem.

- Spytał, czy wiadomo ci o naruszeniach zasad etyki?

- Szkoda, że nie zadzwoniliśmy do mojego profesora.

- Powiedziałem ci, dlaczego nie mógłbym tego zrobić.

- Jak bardzo jesteś pewny swego? - spytał.

- Czy w tej sytuacji to ważne?

- Ważne, bo od tej pory siedzimy na jednej gałęzi. Mam nadzieję, że nikt jej nie odpiłuje.

Zerknąłem na Waltera.

- Co mu powiedziałaś, Andy?

- Że nic mi nie wiadomo o żadnych naruszeniach zasad etyki.

Walter uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A co powiedział Warner? - spytałem, oszołomiony.

- Nic, ale zanim wyszedłem, polecił, żebym przekazał ci wiadomość.

Cytuję: „Powiedz mu, że w następny poniedziałek ma być gotowy do rozprawy. Nie będzie żadnych odroczeń, choćby podał nie wiadomo jakie powody”, koniec cytatu.

Walter lekko ścisnął jego ramię. Minęła chwila, zanim to do mnie dotarło: a jednak weźmiemy udział w procesie.

- Krótko spałeś tej nocy, co? - spytałem z uśmiechem.

- W ogóle - odparł. - Gapilem się w sufit. Nie miałem pojęcia, że prawo karne jest takie trudne.

- Nie wiem, czy to ci w czymś pomoże, ale ja też kiedyś gapilem się w sufit.

- Ale ci przeszło, prawda?

- Uhm. Teraz spaceruję.

- Świetnie - oświadczył. - Wszystko jeszcze przede mną.

- To znaczy, że to nie będzie twoja ostatnia sprawa karna?

- Mimo wszystko lepsze to niż prawo spółek. - Ziewnął, przeciągnął się i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi. - Idę się zdrzemnąć. Po lunchu będę gotów do pracy.

Walter mrugnął do mnie i powiedział:

- No to mamy co robić.

Zadzwoiłem do Ashley, by przekazać dobre nowiny. Radość w jej głosie jeszcze bardziej podniosła mnie na duchu. Musiałem sobie co chwila przypominać, że wygraliśmy bitwę, a nie wojnę. Jednak teraz już wiedzieliśmy na pewno, że na nią idziemy i po zostawało tylko mieć nadzieję, że będziemy równie zadowoleni, gdy dobiegnie końca.

15

Dzięki temu że miałem na głowie już tylko Kellogga, w poniedziałkową noc spałem o wiele lepiej niż przez cały weekend. O wpół do dziesiątej wszedłem do gabinetu i na biurku znalazłem wiadomość, że dzwoniła Moira.

„Mówiła, że próbowała skontaktować się z panem wczoraj wieczorem”. Byłem wtedy u Ashley, tak jak każdej nocy w ciągu ostatniego tygodnia. W pierwszej chwili pomyślałem z obawą, że coś jest nie tak. Przeczucie mnie nie zawiodło.

- To ja. Dostałem twoją wiadomość.

- Którą? Nagrałam ci się wczoraj na sekretarkę.

- Nie było mnie.

Zapadła złowieszcza cisza. W końcu Moira powiedziała:

- Jutro Boże Narodzenie.

- Miałem zadzwonić dzisiaj, żeby ustalić, kiedy mam wpaść.

- Chciałam, żebyś przyszedł dzisiaj.

- Och... może lepiej jutro rano. Nieważne, o której, jak ci będzie pasowało. Chcę po prostu być przy rozpakowaniu prezentu. - Znów chwila ciszy. - Kupiłem te z podpisem Kena Griffeya - dodałem niepewnie.

- Przy rozpakowaniu prezentu. Oczywiście.

- O której będzie ci pasowało?

- Koło dziesiątej - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Sprawy przybrały zły obrót, a ja z nerwów jeszcze bardziej wszystko zagmatwałem. Przyłapany na zdradzie przez moją byłą żonę. To nie miało najmniejszego sensu. Mój świąteczny nastrój już się ulatniał, kiedy zadzwonił Rogavin.

- Dostałem wiadomość od Warnera. - Roześmiał się. - Wymigałeś się, co?

- Wiem, że cieszysz się razem ze mną.

- Och, no jasne. Jak już mówiłem, lubię rywalizację. Czy nie jest miło usunąć wszelkie przeszkody i wziąć się spokojnie do roboty?

- Do roboty? Ach, chodzi ci o rozprawę. Zaczyna się za... ile?... sześć dni? O rany, a ja ciągle myślę o świętach. A propos, nosisz rozmiar M, zgadza się?

- Nie straciłeś poczucia humoru, to dobrze. Może dzięki niemu przetrwasz czekające cię ciężkie czasy. No i jak będzie z tym pociskiem? Jeśli nieszczęsny agent Windemere będzie musiał przylecieć tu z Kalifornii, trzeba mu o tym powiedzieć już dziś. To na pewno zepsułoby mu święta, jeśli ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

- Powiedz mu, że może zostać w domu. To prezent ode mnie. Szkoda tylko, że nie mogę znaleźć nic odpowiedniego dla ciebie.

- Mógłbyś pójść na ugodę. Kto wie, może dalibyśmy się przekonać, że to było nieumyślne zabójstwo.

- Nieumyślne zabójstwo? Święta uderzyły wam do głowy czy co?

- Zapewniam cię, że to nie mój pomysł. Przyjaciele księżniczki zaczepiają mojego szefa na wszystkich przyjęciach, w których uczestniczy, poczuł się więc w obowiązku sprawdzić, czy poszedłeś po rozum do głowy.

Powiedziałem mu, że to strata czasu, dla ciebie ta sprawa jest niepowtarzalną szansą. To pierwszy krok na drodze do wielkiej kariery, nie? Z korytarzy więziennych wyłania się nowy Prometeusz.

- Kurczę, niczego się nie da przed tobą ukryć, co? Masz rację, to krok na drodze do kariery, jeśli wygram. Oczywiście, musiałem uwzględnić wiele czynników: fakty, przepisy, klasę przeciwnika. Wszystko mi mówiło: „Bierz się za to”.

- Wiesz - powiedział ze spokojem - nigdy nie działałem z pobudek osobistych, ale myślę, że dla ciebie zrobię wyjątek.

- Następny prezent! Muszę, po prostu muszę jakoś ci się odwdziaczyć. Słuchaj, co powiesz na ładny szkic przedstawiający ciebie na sali sądowej? Powiesiłbyś go sobie w biurze. Wiem, niektórzy mogliby pomyśleć, że to pretensjonalne, ale...

- Do zobaczenia w sądzie, palancie.

- Ja tobie też życzę wesołych świąt.

Ponieważ moje życie osobiste i zawodowe zmierzało ku przepaści, miałem szczęście, że akurat tego dnia czekało mnie spotkanie z człowiekiem, którego zadaniem było doprowadzenie wszystkiego do ładu. Musiałem być nieźle podminowany, bo kiedy zrobiłem przerwę dla nabrania tchu, okazało się, że do końca sesji zostało raptem kilka minut.

- Krótko mówiąc, w moim życiu panuje zamęt - podsumowałem.

Noah patrzył na mnie z uniesioną brwią.

- Lubię kończyć rok optymistycznym akcentem - stwierdził z kamienną twarzą i poruszył się na krześle. - Wszystko to wydaje się strasznie skomplikowane.

- Skomplikowane? Nie. Stresujące, owszem. Ale nie skomplikowane.

Może się to skończyć na dwa sposoby. Albo totalną klęską, albo częściową.

Tak naprawdę to bardzo proste.

- Tak to widzisz?

- Tak sędzę.

- Gdyby wszystkie sprawy, bez wyjątku, mogły potoczyć się po twojej myśli, czym by się to skończyło?

- Oprócz tego, że Rogavin zostałby wyniesiony na noszach, a mnie obwołano by nowym Darrowem?

- Tak.

- Chodzi ci o sprawy osobiste?

- Tak.

- Ashley, Moirę, Brendana?

- Zgadza się.

- No dobra... mam ci dać odpowiedź już teraz? W odpowiedzi tylko popatrzył na mnie. Westchnąłem.

- To skomplikowane.

Walter zadzwonił o piątej, by poinformować mnie, że Kellogg miał gości z prokuratury.

- Rogavin przygotowuje go do przesłuchania - powiedziałem.

- Jedno ci powiem: facet jest ostrożny. Wczoraj wieczorem poszedł do kina Biograph trasą prowadzącą obok domu Garveya. Zupełnie jakby wiedział, że możemy go obserwować, i starał się, żeby wszystko grało.

- I w związku z tym gotów był nadłożyć dwie przecznice.

- Tak.

- Nadal myślisz, że kłamię, co?

- Uhm.

- A co z naszą próbą? Może zrobimy ją dziś wieczorem?

- Kto to może wiedzieć?

- Za pięć dni wybieramy ławę przysięgłych!

- Trzeba poczekać na odpowiednie warunki - odparł. - Wiesz, jakie są problemy z logistyką? Nawet inwazja na Normandię nie była aż tak cholernie skomplikowana! Po pierwsze, facet wcale nie łązi całymi nocami po ulicach

Po drugie, na drzewach nie ma liści. Przy bezchmurnym niebie księżyc świeci jak cholerna gigantyczna latarnia. Po trzecie, moi ludzie muszą zmieniać samochody i ubrania, żeby nie zwracać na siebie uwagi. To nie getto, chłopcze. W tych okolicach wzywa się policję, kiedy pieprzony śmieciarz się spóźnia. A jeśli damy plamę, to po nas.

- Ja już dałem plamę - mruknąłem. - Teraz wyżywam się na tobie.

- Robi się ciemno, dzisiaj chyba będą lepsze warunki. Może zanim położysz się do łóżka, będziemy mieli dla ciebie jakieś wiadomości.

- Dzisiaj Wigilia - powiedziałem bez szczególnego powodu.

- Taa, zawieszę pończochę na mojej menorze.

- Głupio mi, że ty pracujesz, kiedy inni świętują.

- Jeśli chcesz mi dotrzymać towarzystwa, to nie mam nic przeciwko temu.

- Aż tak głupio mi nie jest. Gdybyś mnie potrzebował, będę u Ashley.

- Dobra. Będę miał numer pod ręką.

- Wesołych świąt.

- I nawzajem.

Sądząc po starych biletach w kieszeni mojego smokingu, państwo O'Connell po raz ostatni oficjalnie pokazali się razem w operze w Kennedy Center dokładnie trzy lata,

miesiąc i cztery dni przed wigilijnym przyjęciem u Ashley. Na biletach widniał tytuł Cyganeria, ale dla mnie równie dobrze mógłby to być występ braci Marx. W tamtym okresie byłem już zdecydowany opuścić Tatka i zacząć od nowa, a wszystkie godziny czuwania, około dwudziestu dziennie, spędzałem dręczony myślą że muszę to powiedzieć Moirze.

Spodziewałem się po niej łez i gniewu spowodowanego zburzeniem naszego wygodnego życia, ale nawet nie przyszło mi do głowy, że nie pójdzie ze mną rzadziej uczęszczaną drogą. Pół roku później zastanawiałem się, dlaczego właściwie liczyłem, że to zrobi. Po roku byłem wdzięczny losowi za jej odmowę.

Kiedy przyjechałem, przed domem Ashley stała taksówka z silnikiem na jałowym biegu. Otworzyła Marta, ubrana w płaszcz, a przy drzwiach stała mała walizka. Gospościa miała spędzić święta u kuzynki w Marylandzie i czekała na mnie z wyjazdem.

- Ach, pan Frank. Wesołych świąt.

Czyli wreszcie zdecydowała się, jak mnie tytułować: „pan Frank”. Kawaler starający się o rękę panny Ashley. Doradca Domu Bronsonów. obrońca królestwa.

- I nawzajem, Marto. Słyszałem, że jedziesz do rodziny. Dobrze ci to robi.

- Do kuzynki, jej dzieci i wnuków. W święta dom jest pełen rodziny. — Pożałowała tych słów, kiedy tylko wyszły z jej ust. - Ja... przepraszam pana. Nie wiem, czy powinnam mówić...

- Nie, nie, nic się nie stało - przerwałem jej i rozglądając się, zdjąłem płaszcz. - Dom wygląda wspaniale, Marto. Dokonałaś cudu. - Rzeczywiście, napracowały się. Jeszcze w sobotę w domu nie było nic, co wskazywałoby, że zbliżają się święta, a teraz wewnątrz wyglądało jak z pocztówki z życzeniami.

Hol został udekorowany czerwonymi i białymi poinsecjami, a poręcz schodów aż do piętra zdobiła girlanda. Drzwi salonu były otwarte, w kominku pełgały płomienie, a w stojaku przy kanapie chłodził się szampan.

W kącie stała nasza choinka, wysokości niecałych dwóch metrów, mocno przerzedzona, przystrojona ozdobami stanowiącymi część dziedzictwa Bronsonów, mającymi ukryć jej niedostatki. Idealna na tę okazję.

- Panna Ashley chciała, żeby wszystko było jak trzeba - powiedziała, biorąc mój płaszcz. - Dawniej w święta tyle się tu działo... ludzie przychodzili, wychodzili, nawet pan sobie nie wyobraża, jak to było. - Taksówkarz zatrafił, dając upust swojemu zniecierpliwieniu, więc otworzyłem drzwi i pomachałem do niego. Marta dźwignęła walizkę i stanęła na progu. - Panna

Ashley jest na górze, przebiera się - powiedziała drżącym głosem. - Wygląda tak pięknie.

Wziąłem ją za wolną rękę.

- Marto, daję słowo, następne święta będą takie, jak dawniej. Ashley i ja będziemy się dziś dobrze bawić, weź więc z nas przykład i postaraj się niczym nie przejmować.

- Pomodłę się za was na pastercie! - Stłumiła szloch i szybkim krokiem poszła w stronę taksówki.

Jedynym dźwiękiem wewnątrz domu był trzask płomieni. Oparłem się o framugę i wyobraziłem sobie ten salon wypełniony muzyką skrzypiec, śmiechem i brzękiem kieliszków, tak jak pamiętała go Marta. Bogate dekoracje kontrastowały z przytłaczającą ciszą i w tej chwili przyjęcie dla dwojga wydało mi się złym pomysłem, przepisem na świąteczną depresję.

- Wesołych świąt. - Jej głos dobiegł od strony antresoli.

Maureen Carmody miała całkowitą rację: kiedy podniosłem głowę, hol pogrążył się w ciemnościach, całe światło zdawało się skupiać u szczytu schodów, tam, gdzie stała ona. Miała na sobie idealnie dopasowaną, czarną, sięgającą podłogi jedwabną suknię. Powoli obróciła się, pokazując mi duże

Wycięcie na plecach. Jej włosy były upięte w kok. Uroda Ashley była zbyt niezwykła, by do niej przywyknąć, ale po sześciu tygodniach myślałem, że wiem, jak na mnie działa, w zależności od oświetlenia, kąta widzenia i nastroju. Myliłem się. Jak najlepsi sportowcy i konie wyścigowe, w najważniejszych chwilach Ashley potrafiła dać z siebie jeszcze trochę więcej.

Kiedy spłynęła schodami na dół i zatrzymała się o kilkanaście centymetrów ode mnie, zmieniłem się w kłębek odruchów bezwarunkowych.

- No i co ty na to? - powiedziała. Mój oddech był płytki i przyspieszony.

- Nie mogę myśleć.

- Co czujesz?

- Że wybuchnę, jeśli zaraz nie wezmę cię w ramiona.

Przysunęła się bliżej, przywarła do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i musnęła ustami moje ucho tak, jak lubiłem.

- To dobry punkt wyjścia. Dokąd nas to doprowadzi?

- Znajdziemy drogę. Przyniosłem kompas.

- Czuję go - szepnęła. - Wskazuje północ?

To niesamowite, jak wiele można zapomnieć, kiedy człowiek się postara.

Piliśmy szampana i tańczyli w salonie. Jedliśmy kolację w blasku świec przy stole dla dwudziestu osób. Na kawę, deser i seks przenieśliśmy się do biblioteki, która stała się naszym ulubionym miejscem schadzek. I przez cały ten czas udawało nam się nie zważać

na wiszący nad nami cień. Zagoniliśmy go do kąta za pomocą żaru podsycanego szampa-
nem, miłości i sporej dozy strachu.

Ale nie można było odpędzać go bez końca. Leżeliśmy nadzy pod kocem, kiedy zegar w salonie wybił północ.

- To był ostatni dzień na przedświąteczne zakupy - mruknęła. A do rozprawy zostały tylko cztery dni.

Mercedes ciągle stał na podjeździe pół godziny po tym, gdy po raz pierwszy przeje-
chałem obok domu. Postanowiłem wrócić trochę później, ale wszystko było pozamykane
i z rosnącą frustracją krążyłem po dzielnicy, czując się jak palant. Nie miałem ochoty po-
znać Roba. Najmniejszej. Ale nie mogłem też bez końca jeździć w kółko. Zatrzymałem
wóz możliwie najdalej od mercedesa i zacząłem się zastanawiać, jak to rozegrać. W koń-
cu postanowiłem poczekać na reakcję Moiry: jeśli będzie sprawiać wrażenie nękaney wy-
rzutami sumienia, postaram się jej dogryźć, jeśli natomiast będzie udawać, że
wszystko jest w porządku zachowam się tak samo.

Wcisnąłem dzwonek i ćwiczyłem uśmiech dotąd, aż otworzyła drzwi.

- Jesteś! - powiedziała wesoło. Wyglądała odświeżenie; miała czarne spodnie, zielo-
ną atłasową bluzkę i czerwoną wstążkę we włosach.

- Przepraszam za spóźnienie. Nie czekaliście na mnie z niczym, mam nadzieję?

- Nie. Jest Rob.

Już to zauważyłem. Czy Rob powinien tu być? Dałem jej jeszcze jedną szansę wy-
jaśnienia jego obecności.

- Och - kiwnąłem głową w stronę samochodu - właśnie zastanawiałem się, kto tu
przyjechał w Boże Narodzenie.

- Uhm. - Skinęła głową. Nie wiedziałem, czy jest zaniepokojona, czy też ma rado-
chę na myśl o mano a mano między jej byłym a przyszłym. Zawsze potrafiła znaleźć zło-
ty środek, ale takiego posunięcia nie przewidziałem. - Grają z Brendanem w grę wideo.
To prezent od Roba - wyjaśniła, prowadząc mnie do salonu. Najpierw zauważyłem grę na
dużym ekranie telewizora, a potem Brendana i Roba, siedzących po turecku na podłodze.
Brendan był w piżamie, a Rob, ubrany we flanelowe spodnie i biały golf, wyglądał,

jakby na dobre się tu zadomowił. Poruszali dżojstikami, a figurki podskakiwały i
omijały przeszkody przelatujące przez ekran. Brendan był oniemiały z zachwytu, a Rob
na przemian uśmiechał się to do mojego syna, to do ekranu.

- Rob? - zawołała Moira. Jej ukochany zerwał się na równe nogi i pośpieszył ku
mnie z wyciągniętą ręką. Był dwa-trzy lata młodszy niż ja, miał falujące jasnobrązowe

włosy i wyglądał jak okaz zdrowia ze Środkowego Zachodu. Niektórym kobietom podobał się ten typ urody. Był zbudowany jak tenisista, ale najbardziej zaskoczył mnie jego wzrost. Przy moim metrze osiemdziesiąt pięć przywykłem do tego, że na większość ludzi patrzę z góry, ale on górował nade mną o co najmniej kilka centymetrów.

- Cześć, Frank. - Uśmiechnął się szeroko. - Wesołych świąt. - Kiwnął głową w stronę Brendana, który był zbyt pochłonięty grą, by zauważyć moje przybycie. - Właśnie niszczyliśmy z Brendanem hordy mutantów z kosmosu, jak to zwykle w Boże Narodzenie bywa. - Za moimi plecami Moira zaśmiała się z uznaniem. Jej nowy mężczyzna sprawiał wrażenie pewnego siebie i, z tego, co mówiła, wynikało, że był miły i nie miał żadnych nerwic ani chorób zakaźnych. Biorąc to wszystko pod uwagę, Rob zapowiadał się na kogoś, kogo taki facet jak ja mógłby szczerze zniechęcić, gdyby nie to, że polubił go Brendan. Kiedy zaczynałem myśleć trzeźwo, dochodziłem do wniosku, że nie chcę, by mojego syna wychowywał jakiś palant.

- Brendan - zawołał - przyszedł twój tata!

Brendan odłożył dżojstik i podbiegł do mnie.

- Wesołych świąt, kolego! - krzyknąłem, wyciągając do niego rękę.

- Wesołych świąt, tatusiu! - Wykręcił się w moich ramionach i wskazał telewizor. - Rob kupił to, co chciałem!

- Naprawdę?

- Tak! - Już zaczynał skupiać uwagę na grze, którą zatrzymał w trakcie bitwy.

- To wspaniale. Dasz radę przyjąć jeszcze jeden prezent? Jego oczy rozbłysły.

- Co?

Podąłem mu pudełko, a on rzucił się na srebrną folię i czerwoną wstążkę.

- Rękawica bejsbolowa! - krzyknął. Spojrzał na widniejące na niej litery. - Co tu jest napisane, tatusiu?

- „Ken Griffey, Jr”, kolego. To taka sama rękawica, jakiej używa.

Brendan zrobił wielkie oczy.

- To jego rękawica?

- No cóż, nie ta, której używa podczas meczu, ale tego samego typu.

Nawet podpisał się na niej dla ciebie.

Włożył rękę do środka i z uśmiechem uderzył pięścią w rękawicę.

- W lecie będę grał w drużynie bejsbolowej, tatusiu. Na tej samej pozycji co Ken Griffey!

- To świetnie.

- Będziesz przychodził na moje mecze?

Moira zdawała się patrzeć w telewizor.

- Tak często, jak to możliwe. A kiedy tylko trochę się ociepli, porzucamy sobie piłkę, żeby przygotować cię do sezonu.

Zapadła niezręczna cisza. Temat rękawicy został wyczerpany, ale Brendan dalej uderzał w nią pięścią i zerkał ukradkiem na kuszącą grę wideo.

Myślałem, że nadszedł czas, by Rob się zmył, ale on ciągle tu sterczał, uśmiechał się i patrzył na mój prezent, kiwając głową na znak aprobaty. Wreszcie ciszę przerwała Moira.

- Brendan, może pokażesz tacie, co dostałeś od dziadzia? - powiedziała i spojrzała na mnie. - Napijesz się czegoś? A może coś zjesz?

- Kawy, dziękuję. - Poszła do kuchni, a Rob podążył za nią. Najwyraźniej nigdzie się nie wybierał. Frustracja wezbrała mi w piersi, czułem ją w gardle. Nie podobało mi się, że tu był, i nie podobało mi się, że mi się to nie podoba. Chciałem tylko miło spędzić świąteczny poranek, oderwać się na jakiś czas od wszystkiego. Czy żądałem zbyt wiele?

Brendan pokazywał mi swoje prezenty. Kiedy chodziło o jego jedyne wnuka, Tatko miał do świąt takie samo podejście, jak do ślubu córki. Próbowałem skupić się na tym, co mówił Brendan, ale utrudniał mi to fakt, że ciągle zerkał na grę wideo, prezent, którego kupno Moira sugerowała mnie.

Co to, to nie: nie byłem aż tak głupi.

- Tato!

- Co?

- Mówiłem do ciebie, a ty mnie nie słuchałeś.

- Przepraszam, kochanie. Zamyśliłem się. O co chodzi?

- Chcesz zagrać ze mną?

- W grę wideo? Jasne. - Usiedliśmy na podłodze i zaczęliśmy się bawić prezentem od Roba. Brendan szybko wciągnął się w grę, a ja poczułem się wyobcowany. W przerwach między rozlegającymi się w stereo wybuchami statków najeźdźców słyszałem dochodzące z kuchni rozmowy i wybuchy śmiechu, a kiedy Moira przyniosła kawę, posłałem jej spojrzenie, którym chciałem dać do zrozumienia, że nie bawię się dobrze. Wydawało się, że przyjęła to do wiadomości, co dowodziło, że doskonale wiedziała, co robi, czymkolwiek to było.

Graliśmy przez jakiś czas; ja zerkałem na zegarek, obawiając się widoku zasmuczonej twarzy Brendana, kiedy powiem mu, że wychodzę. W rzeczywistości wypadło to jeszcze gorzej: zatrzymał grę i uściśnął mnie jedną ręką, nawet na chwilę nie puszczając

dżojstika. Przytuliłem go, przepelniony smutkiem, poczuciem winy i nadal zirytowany. Zanim zrobiłem dwa kroki, Brendan grał już dalej.

Moira i Rob siedzieli przy stole i śmiali się z czegoś.

- Muszę lecieć - powiedziałem. - Za kilka dni początek procesu.

- Już? - spytała Moira. - Chcesz w Boże Narodzenie iść do pracy?

Zwęszyłem okazję i postanowiłem jej nie przepuścić.

- Nie, jestem umówiony z klientką. Mamy dużo pracy, wiesz, jak to jest. - Miałem nadzieję, że użyje swojej wyobraźni. Uścisnąłem dłoń Roba, który praktycznie sam się napraszał, żebyśmy złamał mu nos, bo przez cały czas wyglądał tak, jakby był na pełnym luzie.

Moira poszła za mną do garderoby na korytarzu i stała obok, kiedy z niezwykłym pietyzmem zapinałem płaszcz.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko wyjdiesz - powiedziała spokojnie.

- Brendan jest pochłonięty grą. Prawie tego nie zauważył.

- Nie mogliście zająć się czymś innym? Włożyłem rękawiczki, wciąż nie patrząc na nią.

- Jest za zimno na bejsbol.

- O ile pamiętasz - najeżyła się - sugerowałam, żebyś kupił mu grę wideo. Ty upierałeś się przy rękawicy.

Skinałem głową.

- To prawda.

- No to o co chodzi?

Spojrzałem na nią.

- O nic. Muszę lecieć.

Zniżyła głos.

- Rob miał przylecieć z Chicago wczoraj wieczorem... Nawiasem mówiąc, zmieniliśmy plany w ostatniej chwili ze względu na ciebie. Ale jego lot został odwołany, więc przyjechał dziś rano z prezentem. Co miałam zrobić, nie wpuścić go?

- Czyli dał Brendanowi prezent i co potem?

- Potem poszłam z nim do kuchni, żeby zostawić was samych. To dlatego tu jesteś, prawda?

- Powiedziałaś mu, że przyjdę?

- Po co? Żeby coś zasugerować?

- Nie, nie chciałbym sprawiać ci kłopotów. W końcu spędza z Brendanem tak mało czasu. W Kalifornii prawie w ogóle nie będą się widywać.

Patrzyła na mnie z otwartymi ustami, a po chwili syknęła:

- Posłuchaj, co mówisz! Dopiero co byłeś sam na sam z Brendanem i mogłeś zostać z nim cały dzień, ale nie minęła godzina, a twój kutas już wskazał ci drogę do jej domu!

Wbiłem w nią wzrok, ale nawet nie drgnęła.

- Przecież wiesz, że to bzdury, Moiro.

- Naprawdę? Przekonaj mnie. No, czekam.

Żadne z nas nie zamierzało spojrzeć prawdzie w oczy.

- Zapomnij - westchnąłem. - Są święta. Muszę iść.

Otworzyłem drzwi i ruszyłem chodnikiem przed siebie. Po sekundzie coś śmignęło obok mojej głowy i rozległ się trzask zamykanych drzwi. Wyjąłem to coś z krzaków. Była to mała paczuszka zawinięta w złotą folię, przewiązana czerwoną wstążką, z przyklejoną małą karteczką w kształcie misia. Prezent dla mnie. Wesołych świąt, Frank.

Poszedłem do domu i do zmroku leżałem na łóżku, potem włożyłem ciepłe ubranie i wygodne buty. Zostawiłem w biurze garnitur na następny dzień, przybory toaletowe i koło siódmej wyruszyłem w drogę. Było mroźno. Podobnie jak kilka dni wcześniej, poszedłem na plac, na którym stała wielka choinka, potem skierowałem się ku Union Station; tam kupiłem kawę i pomaszerowałem w stronę Mail. Miałem przed sobą całą noc, więc nie spieszyło mi się. Przeszedłem przez most na Czternastej, potem powędrowałem ścieżką rowerową na północ do mostu Memoriał i wzdłuż rzeki do Kennedy Center. O jedenastej byłem w Georgetown i mimowolnie obrałem trasę, którą Kellogg wracał z kina.

O jedenastej piętnaście dokręciłem żarówkę w lampie i poszedłem w miejsce oznaczone literą K na planie Rogavina. Księżyc przesłaniały chmury.

Próbowałem wyobrazić sobie tamtą scenę. Ashley patrzyła na mnie, ubrana w zieloną bluzkę, z czerwoną wstążką we włosach.

Na moim ramieniu zacisnęła się silna dłoń. Odwróciłem się na pięcie, przykucnąłem i cofnąłem pięść, szykując się do zadania ciosu w krocze. Schowany w cieniu mężczyzna szybko zrobił krok do tyłu i lampa oświetliła jego twarz.

- Jezu Chryste! - krzyknąłem. - O mało nie dostałem przez ciebie zawału. Co ty tu robisz?

- Pracuję - szepnął Walter. - A ty?

- Pracujesz?

- Nasz dobry znajomy jest na przyjęciu w Four Seasons i właśnie czekaliśmy na niego, kiedy zauważył cię Harry. Co tu robisz?

- No cóż...

Z jego kieszeni dobiegł terkot telefonu komórkowego.

- Tak? - Słuchał przez chwilę, po czym powiedział: - Dobra, słuchaj radia. - Schował komórkę do kieszeni, podszedł do lampy i wykręcił żarówkę.

- Chodź - powiedział, biorąc mnie za rękę. Poszliśmy w stronę ciemnego sedana, ledwo widocznego w cieniu między latarniami. Kiedy otworzyliśmy drzwi, światło pozostało włączone. Walter zapalił silnik: - Przywitaj się ze swoim pracodawcą.

- Dobry wieczór, panie O'Connell. - Odwróciłem się i znów o mało nie dostałem ataku serca. W świetle bijącym z deski rozdzielczej zobaczyłem uśmiechniętą młodą kobietę. Miała na sobie płaszcz i kapelusz podobny do tego, jaki tamtej nocy włożyła Ashley.

- Ty naprawdę chcesz mnie zabić, co? - spytałem Waltera.

- Spoko. Przywitaj się z Natalie. Jest studentką uniwersytetu Johna Hopkinsa i studiuje... co właściwie?

- Psychologię sądową- powiedziała. - Korzystam z okazji, żeby zdobyć trochę doświadczenia.

- Cześć, Natalie. Jak my cię znaleźliśmy?

- Przez mojego tatę. Siedzi w samochodzie kilka przecznic dalej.

Walter wyjął z drugiej kieszeni krótkofalówkę.

- Trójka, tu Jedyńka. Gdzie on jest?

W odpowiedzi rozległ się głos Harry'ego, mówiący z charakterystycznym nowojorskim akcentem.

- Idzie na północ Dwudziestą Dziewiątą, właśnie przeszedł na drugą stronę OHve.

- Dwójka? - rzucił Walter.

- Czekam przy O Street - powiedział Dan White. - Moment.

- Nie będzie tędy przechodził - stwierdził Walter. - Jest dalej na zachód. Pojedziemy równoległe do niego i zobaczymy, gdzie skęci. - Odbił od krawężnika i ruszył na zachód. Światła włączył dopiero na końcu ulicy.

Przejechał przez Trzydziestą do Trzydziestej Pierwszej, a potem zboczył na południe i przy N Street zawrócił. Kiedy powoli toczyliśmy się Trzydziestą Pierwszą na północ, dwie przecznice na zachód od Kellogga, jedynym dźwiękiem był cichy szum radia. Czulem się coraz bardziej podekscytowany, tak jak przed laty, na nocnym patrolu.

- Jedyńka? Tu Trójka.

Walter włączył radio.

- Tu Jedyńka.

- Mija Dumbarton.

Walter przejechał przez Dumbarton i znów zwolnił.

Po chwili:

- Jedyńka? Tu Dwójka. Idzie O Street na zachód, po północnej stronie.

- W porządku - odparł Walter. - Trójka, gdzie jesteś?

- Tu Trójka. Na Trzydziestej, zaraz na południe od O Street.

Natalie miała małą latarkę i trzymała na kolanach plan okolicy. Powiedziała:

- Jeśli dalej będzie szedł Trzydziestą na zachód, to od południa minie L-Siedemnaście, między Trzydziestą a Trzydziestą Pierwszą.

Walter powiedział przez radio:

- Jeśli będzie szedł na zachód, pierwszą możliwością będzie L-Siedemnaście. Daj znać, Trójka.

Odpowiedział mu głos Harry'ego.

- Tak. Czekaj.

Walter wyłączył reflektory i podjechał do krawężnika na południowo-wschodnim rogu Trzydziestej Pierwszej i O Street. Czekaliśmy, wsłuchani w trzask krótkofalówki. Dmuchawa, będąca częścią systemu klimatyzacji, chodziła na pełnych obrotach i czułem na kostkach podmuch ciepłego powietrza, dopóki Walter jej nie wyłączył. Spojrzałem na wschód, w stronę niewidocznego Kellogga, od którego dzieliły nas już niecałe dwie przecznice. Kiedy nie świecił księżyc, widoczność poza zasięgiem światła latarni była ograniczona do dziesięciu metrów.

Walter powiedział do Natalie:

- Przygotuj się do próby radia. - Usłyszałem, jak wierci się na tylnym siedzeniu. Walter wyjął odbiornik, wyciągnął antenę i włączył go. - Mów - rzucił przez ramię.

- Tu Czwórka - powiedziała cicho. - Jak mnie słyhać? - Głośnik wzmacniał jej głos.

- W porządku - odparł Walter.

- Jedyńka? Tu Trójka. Idzie na zachód, północną stroną. Standardowe tempo.

- Tu Jedyńka - powiedział Walter. - Wykorzystamy L-Siedemnaście.

-Zgasił silnik i skinął głową na Natalie, która wysiadła, przeszła na północną stronę ulicy, skręciła na wschód i zniknęła w mroku. Wziąłem mapkę i oświetliłem ją latarką. Właściwie był to zestaw planów poszczególnych przecznic.

L-17 okazała się latarnią stojącą po północnej stronie ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Widziałem ją z samochodu. Oświetlała obszar o średnicy mniej więcej dwunastu metrów, w którym Natalie miała spotkać Kellogga.

Musiała to wypaść naturalnie. Nie mogła sprawić wrażenia, że na niego czekała, ani okazywać nerwowości.

- Jak ona wyczuje odpowiedni moment? - spytałem. Walter gestem na kazał mi milczenie.

Zatrzeszczało radio.

- Tu Dwójka. Jeszcze trzydzieści metrów. Standardowe tempo.

- Tu Czwórka. Trzydzieści metrów - usłyszałem głos Natalie. To było odpowiedzią na moje pytanie. Wszystko zostało zaznaczone na planie. Trzydzieści metrów to dwa domy od L-17. Natalie poszła w ustalone miejsce i zaczęła, aż Kellogg znajdzie się w tej samej odległości od L-17, tyle że z drugiej strony. Walter zwiększył natężenie dźwięku. Słysząc było jej kroki, kiedy pokonywała ostatnie trzydzieści metrów w standardowym tempie.

Walter nie odrywał oczu od radia. Wydawało się, że minęło już zbyt wiele czasu, kiedy nagle wskaźnik drgnął i wewnątrz wozu wypełnił głos Natalie.

- Przepraszam, ale szukam swojego samochodu i chodzę w kółko. Co to za ulica?

- Jest pani na O Street - odparł męski głos, nie przyjazny, ale i nie wrogi.

- Oj, chyba nie tu parkowałam.

Męski głos:

- No, a skąd pani przyszła?

- Z domu znajomych na Dumbarton Rock Court - odparła.

- To sąsiednia ulica. Jak daleko stamtąd zaparkowała pani wóz?

- Zdaje się, że trzy czy cztery przecznice. Bliżej nie było żadnych wolnych miejsc.

- Pamięta pani, jak wyglądało miejsce, w którym pani zaparkowała?

- To było na środku przecznicy. Zdaje się, że szłam Trzydziestą. Pamiętam, że kiedy skręciłam w prawo, w stronę P Street, zobaczyłam duży biały dom z żelazną bramą z orłem.

- Aha. Wiem, gdzie pani była. Ten dom stoi na rogu Trzydziestej i N Street. Musi pani przejść jeszcze jedną przecnicę na południe i skręcić na wschód. Na końcu ulicy odbije pani w prawo, a przecnicę dalej w lewo. Pani samochód jest na N Street, między Dwudziestą Dziewiątą a Trzydziestą. To tam.

- Och, bardzo panu dziękuję. Gdyby nie pan, pewnie krążyłabym po tej okolicy aż do zamarznięcia. Te ulice są strasznie do siebie podobne.

- Wszyscy tak mówią.
- Nie wie pan, która jest godzina?
- Za piętnaście dwunasta.
- Dziękuję. Do widzenia.
- Żegnam.

Przez następnych kilka sekund słychać było tylko kroki. Potem:

- Mówi Natalie White. Jest dwudziesta trzecia czterdzieści pięć, środa, dwudziesty piąty grudnia. Właśnie rozmawiałam z człowiekiem, którego zdjęcie wcześniej widziałam i którego przedstawiono mi jako Milesa Kellogga.

Walter powiedział przez radio:

- Trójka? Dwójka? Tu Jedyńska.
- Tu Dwójka.
- Tu Trójka.
- Odprowadźcie go do domu.

Kellogg wyłonił się z mroku na południowo-wschodnim rogu skrzyżowania i skręcił na północ. W chwilę później pojawił się Dan, który przeszedł na zachodnią stronę ulicy i ruszył w ślad za zwierzyną. Za nim pojechał sedan, z kawałkiem taśmy klejącej na jednym z reflektorów. Walter skierował się na wschód; na następnym skrzyżowaniu do samochodu wsiadła Natalie.

- Dobra robota - powiedziałem.
- Dzięki. - Spojrzała na Waltera. - Wszystko w porządku, szefie?
- Było nieźle - powiedział. Popatrzył na mnie. - No i co ty na to?
- Myślę, że jesteśmy gotowi do procesu.
- Jasne - powiedział Walter. - Igrzyska czas zacząć.

16

Panie Rogavin, proszę o mowę wstępną. Rogavin wstał i podszedł do pulpitu.

Z jego miny i ruchów przebijała pewność siebie człowieka będącego w swoim żywiole. Położył przed sobą kartkę z zapiskami i wytarł okulary końcem krawata. Ta chwila przed rozpoczęciem występu była najlepsza, w sądzie, teatrze, na wiecu politycznym i wszędzie, gdzie liczyły się zdolności oratorskie. Człowiek wiedział, co i jak zrobi, jak

będzie mówił, wyglądał i poruszał się, miał zaplanowane wszystkie, nawet te najdrobniejsze gesty, które zawsze się sprawdzały.

Z czystymi notesami rozłożonymi na kolanach, nasi przysięgli patrzyli na niego w skupieniu. „Równi” Ashley Bronson tylko z punktu widzenia prawa, stanowili mieszankę ras, pokoleń, klas i płci, powstałą w wyniku trzech dni przesiewu prowadzonego przez dwóch prawników o sprzecznych celach, zdecydowanych wykorzystać wszelkie uprzedzenia i jeśli mogłoby to nam ująć na sucho, neutralność. Naszym celem było wyeliminowanie wszystkich oprócz tych, którzy ślepo podzielali nasze przekonania.

W sumie wydawało mi się, że obronie poszło lepiej. Wszyscy kandydaci na przysięgłych słyszeli o tej sprawie i należeli do jednej z dwu kategorii: ludzi, którzy wiedzieli, że jakaś Ashley Bronson jest oskarżona o zabójstwo jakiegoś faceta, lub tych, którzy dobrze znali wszystkie niuanse, łącznie z wątkiem Burroughsa. Ta pierwsza grupa złożona była w większości z najmłodszych, najbiedniejszych i najbardziej wyalienowanych mieszkańców miasta- najmniej skłonnych ufać świadkom z policji. Mogliby nam się przydać, tyle że wydawało się mało prawdopodobne, by Ashley udało się wzbudzić ich współczucie. Mimo to można było spośród nich wyłowić paru dobrych przysięgłych.

Druga, większa grupa była bardziej różnorodna. Jej członków łączyło co najmniej przelotne zainteresowanie tym, co dzieje się na świecie, a sprawa

Ashley Bronson bez wątpienia była w tej chwili jedną z ważniejszych informacji. Wszystkich nie dało się usunąć, więc Warner oświadczył, że tylko jawnie okazywane uprzedzenie może stanowić podstawę do eliminacji kandydatów, nawet tych najlepiej zorientowanych. To bardzo nam pomogło, bo spekulacje mediów na temat Burroughsa „uprawomocniły” naszą linię obrony jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy. Wszyscy, którzy śledzili informacje na temat sprawy, chcieli wiedzieć, co on miał z nią wspólnego, i jeśli tylko zrobię, co do mnie należy, to zasieję wątpliwości co do winy Ashley.

Nie umknęło to uwadze Rogavina. Starał się, jak mógł, wyeliminować tak zwanych „fanów Bronson”, ale był to dla niego ciężki bój, bo kandydaci nie chcieli odejść, zwłaszcza gdy się dowiedzieli, że będą potrzebni na nie dłużej niż tydzień. Kiedy patrzyłem, jak zмага się z tymi, których chciał skreślić z listy, śmiałem się w duchu, ale i ja miałem niełatwe zadanie. Stało się to oczywiste w czasie naszej ostatniej burzy mózgów, kiedy spytałem, kogo powinniśmy się obawiać.

- Pozbądź się kobiet - nalegała Cory. - Ashley Bronson jest typem królowej balu maturalnego, która odbija facetów innym dziewczynom. Będą jej nienawidzić.

- Wywal robotników - powiedział Andy. - Jest bogata.

- Uważaj na miłośników prawa i porządku - ostrzegł Walter. - Zagłosują, że jest winna, bo tacy nikomu nie przepuszczają.

Krótko mówiąc, miałem pozbyć się mężczyzn i kobiet, a z grona tych, którzy zostaną, usunąć fanów Rogavina. Z pomocą znamienitego psychologa, doktora Feinberga z policji nowojorskiej, wyszukałem wśród kandydatów samozwańczych szarych obywateli, miłośników Clinta Eastwooda oraz kobiety z tiaro fobią i wyeliminowałem po kilka osób z każdej kategorii. Nie ma czegoś takiego jak idealna ława przysięgłych. Po zakończeniu selekcji byliśmy zachwyceni trzema z nich, zadowoleni z czterech, pełni obaw co do trzech następnych, a pozostałych dwóch baliśmy się jak ognia. W sumie nieźle, jak na początek. Chcieliśmy uniewinnienia, ale każdy adwokat, który mówi, że w sprawie o zabójstwo nie skorzystałby z okazji, by uniemożliwić ławie przysięgłych uzgodnienie werdyktu, to idiota lub kłamca. Ja przyjąłbym takie rozwiązanie z pocałowaniem ręki. Oskarżenie nie mogłoby wytoczyć następnego procesu, chyba żeby za skazaniem głosowało co najmniej dziewięciu przysięgłych.

No i w końcu nadeszła ta chwila: czwartkowe popołudnie, w pierwszym tygodniu procesu, trzy i pół dnia od momentu, kiedy Warner po raz pierwszy zastukał młotkiem w blat. Oskarżenie miało przedstawić swoje dowody przeciwko Ashley Bronson.

- Panie i panowie - zaczął Rogavin - Raymonda Garveya nie ma już wśród nas. Jego obfitujące w sukcesy życie dobiegło końca. Zamienił swój ciepły dom na zimny grób, znajdujący się zaledwie kilka kilometrów od miejsca, w którym siedzicie. Dowody wykazują że zamordowała go kobieta siedząca za mną, ta w drogim czarnym kostiumie. - Spojrzenia przysięgłych na chwilę skierowały się na Ashley. Prokurator przeszedł na lewą stronę ławy przysięgłych, potem zaczął iść wzdłuż niej, powoli, zgodnie z rytmem swojego przemówienia. - Życie pana Garveya dobiegło końca w chłodny deszczowy wieczór pierwszego listopada. Kilka minut po godzinie dziesiątej wyszedł z sypialni, udał się na dół, do swojego salonu i zginął od kuli, która wbiła się w jego mózg. - Kilkoro przysięgłych drgnęło; zczekał, by nieco ochłonęli, zanim dodał: - Mamy tę kulę. Zobaczcie ją państwo na własne oczy. Są na niej ślady pozwalające biegłym stwierdzić, z którego pistoletu została wystrzelona. Spodziewamy się, że wskażą pistolet pana Garveya,

który trzymał go w szufladzie w salonie.

Wrócił za pulpit, udał, że studiuje swoje notatki, i dodał jakby od niechcienia:

- Na pistolecie są odciski palców, między innymi Ashley Bronson. - Podniósł głowę. - Oczywiście, nie tylko jej. Inne należały do przyjaciela i krewnego pana Garveya, ludzi, którzy nie mieli powodu, by mu źle życzyć, a tym bardziej - zapewnił - by pozba-

więc tego biedaka życia. - Podszedł do ławy przysięgłych i oparł się o poręcz; w jego głosie zabrzmiała złowieszcza nuta. - Ale ktoś taki powód miał. Wkrótce przed zabójstwem panu Garveyowi grożono śmiercią i nie był to zbieg okoliczności. Ta groźba została przypadkowo podsłuchana przez ludzi, którzy przyjdą tu, by powtórzyć te straszne słowa i wskazać osobę, która je wypowiedziała. - Pozwolił, by przysięgli sami domyślili się, kto to mógł być.

Rogavin rzeczywiście był zawodowcem. W stolicy rocznie dochodziło do przeszło trzystu morderstw i opowieść o kolejnym zarżniętym współobywatelu była czymś tak powszednim, jak prognoza pogody czy horoskop. Jak większość mieszkańców miasta, przysięgli uodpornili się na rzeczywistość, choćby po to, by stłumić strach, kiedy szli do sklepu, na parking czy do bankomatu. Sprytny prokurator musiał przewiercić się przez ich grubą skórę i trafić w czuły punkt, sprawić, by sami doznali poczucia straty i zapragnęli sprawiedliwości dla jakiegoś faceta, którego nawet nie znali. Rozbierając zabójstwo na czynniki pierwsze, zestawiając ciepły dom z zimnym grobem, Rogavin na nowo uczył ich, jak wielką tragedią jest morderstwo. Odłożył kartkę na pulpit i znów zaczął spacerować po sali.

- Podczas gdy Raymond Garvey szedł schodami na spotkanie z losem, mężczyzna nazwiskiem Miles Kellogg wracał do domu z kina. Tak jak Raymond Garvey, pan Kellogg mieszkał samotnie w domu w Georgetown. Nigdy się ze sobą nie spotkali, ale łączyły ich dwie rzeczy. Pierwsza to wspaniała kariera w służbie kraju. Raymond Garvey doszedł do stanowiska sekretarza handlu, na które został mianowany przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Miles Kellogg pracował w wywiadzie i służył naszej ojczyźnie na niebezpiecznych placówkach rozsianych po całym świecie.

- Tamtej nocy, kiedy pan Kellogg przechodził przez Q Street, dokładnie przed domem Raymonda Garveya, coś zwróciło jego uwagę. Może był to dźwięk, może jakiś ruch, a może po prostu zadziałał szósty zmysł, który rozwinął się w ciągu wielu lat polegania na własnym instynkcie. - Zniżył głos, jakby chciał zdradzić im jakąś tajemnicę. - Spojrzał w lewo. - Rogavin odwrócił się w tamtą stronę, przysięgli zrobili to samo. - Lampa przed domem była włączona, światło padało na trawnik i oto niecałe sześć metrów od pana Kellogga stała kobieta. - Wskazał to miejsce, by i oni mogli ją zobaczyć oczami wyobraźni. - Jej twarz była oświetlona. Kobieta nie zobaczyła pana Kellogga, ale on ją widział i patrzył na nią przez długą chwilę, zanim odeszła w głąb ulicy. - Rogavin zaczekał, aż zobaczą, jak kobieta rozplywa się w mroku. - Pan Kellogg przyjdzie tu, by ją zidentyfikować. Jeszcze jedno bowiem łączy go z Raymondem Garveyem: ostatnią osobą

widzianą przez nich tamtej nocy była ta sama osoba - wskazał ją palcem i oświadczył: - oskarżona Ashley Bronson.

Przysięgli znów wbili wzrok w Ashley. Dał im na to dużo czasu, zanim podsumował swoją mowę głosem pozbawionym emocji.

- Zamierzamy wykazać, że wieczorem pierwszego listopada tego roku w Dystrykcie Kolumbia oskarżona Ashley Taylor Bronson z premedytacją i bez jakiegokolwiek uzasadnienia zamordowała Raymonda Bennetta Garveya. Kiedy przedstawione zostaną wszystkie dowody, ponownie stanę przed państwem i poproszę, byście uznali ją za winną zabójstwa pierwszego stopnia. Dziękuję.

Rogavin wrócił na swoje miejsce, zasłużenie zadowolony z siebie. Pod wpływem opowieści prokuratora nastrój na sali wyraźnie się zmienił. Niektórzy przysięgli zerkali na oskarżoną, a inni wodzili oczami po publiczności.

Wszyscy mieli posępne miny. Sama Ashley siedziała sztywno i patrzyła prosto przed siebie. Żadne przestrogi nie mogą przygotować oskarżonego na wstępną mowę prokuratora. Nieważne, że człowiek wie, co zrobił. Żaden czyn nie wydaje się tak straszny, jak jego opis.

- Panie O'Connell - powiedział Warner - proszę o pańskąmowę wstępną.

Podszedłem do pulpitu i od razu przystąpiłem do ataku.

- Cóż, Raymond Garvey nie żyje, co do tego nie ma wątpliwości. Został postrzelony w głowę z pistoletu, na którym były odciski Ashley Bronson. Gdyby oskarżenie musiało udowodnić tylko tyle, moglibyśmy wszyscy rozejść się do domów, bo akurat w tym punkcie obie strony się zgadzają. - Wyszedłem zza pulpitu i skierowałem się w stronę ławy przysięgłych. - Powiem państwu, co do czego jeszcze się zgadzamy. Ashley i Raymond Garvey pokłócili się przed jego śmiercią. Nie chwilę, godzinę, dzień czy nawet tydzień przedtem. Tak naprawdę posprzeczali się niemal dwa tygodnie wcześniej. Czy moja klientka użyła słów: „Zabiję cię”? Tak. Tych samych słów, których używa wielu z nas, gdy rozłości nas jakiś krewny czy znajomy.

Zatrzymałem się.

- Ale jest coś, czego oskarżenie wam nie wyjawilo. Ashley bardzo dobrze znała Raymonda Garveya, praktycznie przez całe życie. Był najbliżej szym przyjacielem jej ojca i traktowała go jak wujka. Bywali u siebie setki razy. Może oskarżyciel nie powiedział wam tego, ponieważ niewiele wie o Raymondzie Garveyu. Kiedy jednak człowiek zostaje zamordowany we własnym domu, należy się spodziewać, że kryje się za tym jakaś dłuższa historia i tak też jest w tym przypadku, ale oskarżenie nie może jej wam opowiedzieć, bo po prostu jej nie zna. -Zawiesiłem na chwilę głos. - Myją znamy. Znamy ją, po-

nieważ nasze śledztwo nie zakończyło się z chwilą aresztowania Ashley Bronson, która, nawiasem mówiąc, została zatrzymana z powodu pozostawionych przez nią odcisków palców oraz jej kłótni z Raymondem Garveyem, a nie dlatego, że zidentyfikował ją Miles Kellogg. Dlaczego? Tego też nie usłyszeliście od oskarżyciela. Pan Kellogg rozpoznał ją dopiero po tym, gdy jej zdjęcie zostało pokazane w telewizji... i wszyscy w Waszyngtonie dowiedzieli się o jej aresztowaniu!

Niektórzy przysięgli spojrzeli na Rogavina.

- Czy chcieliby państwo poznać prawdę o kręgu, do którego Raymond Garvey wstąpił na kilka miesięcy przed śmiercią? Oskarżenie nic o nim nie wie, ale my wiemy i wszystko wam powiemy. Czy chcielibyście usłyszeć o jego potajemnych spotkaniach za miastem? O tym oskarżenie też nic nie wie, tego też dowiedziecie się od nas. Chcielibyście poznać prawdę o wielkich sumach pieniędzy? O kryptonimach? Nie usłyszycie tego od oskarżyciela, bo on nic nie wie. Tak jak wy, pozna okoliczności śmierci Raymonda Garveya, kiedy obrona przystąpi do przedstawiania swoich argumentów.

Podobnie jak wy, będzie musiał poczekać, aż skończą zeznawać powołani przez niego świadkowie, zanim dowie się, co stało się naprawdę. A kiedy zaprezentowane zostaną wszystkie dowody, podobnie jak wy, prokurator uzna, że niesłusznie postawił Ashley Bronson w stan oskarżenia. Do jej skazania nie wystarczy bowiem fakt, że była jedną z kilku osób, którym Raymond Garvey pokazał swój pistolet, że wdała się z nim w głupią sprzeczkę na długo przed jego śmiercią i że świadek rozpoznał ją na ekranie telewizora. Podobnie jak wy, oskarżyciel pozna prawdę. Ashley Bronson jest niewinna. Ruszyłem w stronę swojego miejsca i nagle odwróciłem się.

- Ach, byłbym zapomniał, zgadzam się z prokuratorem w jeszcze jednej kwestii: kostium Ashley rzeczywiście jest drogi. Ale co to ma wspólnego z zagadką śmierci Raymonda Garveya? Tyle, co reszta argumentów oskarżenia: nic.

Kiedy siadałem na krześle, Walter podniósł kciuk, a Ashley ścisnęła moje ramię. W tej chwili nie przejmowałem się już przyszłością. Rogavin może i lubił rywalizację, ale Noah miał rację: ja dla niej żyłem. Potrzebowałem ryzyka i po raz pierwszy od wielu lat miałem poczucie, że jest ono duże i dotyczy mnie osobiście. Ashley groziło wielkie niebezpieczeństwo, a ja stałem u jej boku i tak mi się to podobało, że prawie nie czułem już wyrzutów sumienia.

Warner powiedział:

- Proszę strony do mnie - i podeszliśmy z Rogavinem do ławy sędziów

skiej. Wychylił się i powiedział: - Zgadza się co do wielu faktów, może rozmawialiście już więc o zawarciu jakiejś formy porozumienia? Moglibyśmy zrezygnować z przesłuchania kilku świadków.

- Oskarżenie gotowe jest do porozumienia - odparł Rogavin bez wahania.

Warner spojrział na mnie.

- Co na to obrona?

- Zaakceptowaliśmy zeznanie świadka, który przewiózł kulę od lekarza sądowego do laboratorium. Zgodziliśmy się też, że pistolet znaleziony na miejscu zbrodni jest zarejestrowany na Raymonda Garveya.

- To wszystko? Nic więcej?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia nie wyglądał na zadowolonego.

- Właśnie powiedział pan przysięgłym, że nie kwestionuje wielu faktów. Będą się zastanawiać, czemu musimy przejść przez to wszystko. Mogą nawet obwiniać za to obronę - dodał ostrzegawczym tonem.

Znałem wielu sędziów takich jak Warner. W gruncie rzeczy był snobem, który puszczał oko do tych, których uznawał za równych sobie, i srał na całą resztę. Ulegając mu, można było tylko utwierdzić go w przekonaniu o własnej wyższości, ale takim jak on często wystarczyło się odgryźć, by spotulnieli.

- Nawet nie wiedzą o możliwości zawierania takich porozumień - powiedziałem. - Jeśli tak pozostanie, nie będą obwiniać obrony o nic.

- Byłbym wdzięczny, gdyby proces przebiegł szybko i sprawnie - warknął Warner.

- Ta sprawa zajęła mi już więcej czasu, niż powinna. - Ciągle wisiało nad nami dochodzenie w kwestii naruszenia przez mnie zasad etyki.

- Przykro mi, że muszę sprawić panu zawód, panie sędzio, ale mam klientkę oskarżoną o zabójstwo. To, czy proces będzie przebiegał szybko i sprawnie, nie jest w tej chwili dla mnie najważniejsze.

Szczęki Warnera drżały.

- No dobrze - burknął i spojrział na Rogavina. - Proszę wezwać pierwszego świadka.

Rozprawa Ashley Bronson zaczęła się standardowo, od zeznania detektywa prowadzącego dochodzenie, Edwarda Mathisa, jednego z dwóch, którzy przesłuchiwali Milesa Kellogga. Mathis powiadomił przysięgłych, że rankiem w sobotę drugiego listopada wezwano go do domu Garveya, który został ogrodzony zgodnie z rutynowym tokiem postępowania w tego rodzaju sytuacjach. Policjant obecny na miejscu zdarzenia zaprowadził

detektywa do znajdującego się na tyłach domu pokoju, w którym leżało ciało Raymonda Garveya. Potem Rogavin przeszedł do spraw formalnych.

- Pan Garvey już nie żył? - spytał.

- Tak - powiedział Mathis.

- Jak pan to stwierdził?

- Sprawdziłem jego tętno. Nie oddychał.

- Coś jeszcze?

- Jego źrenice były nieruchome, a skóra zimna.

- Czy zauważył pan coś, co wskazywałoby na przyczynę zgonu?

- Po lewej stronie głowy, tuż nad skronią zobaczyłem coś, co wyglądało na otwór po kuli. - Rogavin pokazał mu zdjęcie. Detektyw potwierdził, że przedstawia ono zamordowanego w takim stanie, w jakim go znalazł. Zdjęcie trafiło do rąk przysięgłych. Jęki i grymasy przebiegły najpierw po jednym, a potem po drugim rzędzie ławy, niczym makabryczna wersja stadionowej „fali”. Kiedy ucichło ostatnie westchnienie, przesłuchanie zostało wznowione.

- Czy szukaliście śladów na miejscu zbrodni?

- Tak. Ekipy śledcze wypatrywały włókien, odcisków palców i innych dowodów, a lekarz sądowy obejrzał ciało pana Garveya. Ja, wraz z resztą detektywów, zająłem się przeszukaniem pokoju i reszty domu.

- I co pan znalazł?

- Na dywanie, około pięciu metrów od ciała pana Garveya, leżał smith & wesson kalibru trzydzieści osiem. -1 znów potwierdził autentyczność fo-tografii, którą następnie przekazano przysięgłym. Pokazywała pistolet leżący w miejscu, w którym stała Ashley, kiedy odtwarzała przy nas przebieg wydarzeń tamtego wieczoru.

- Detektywie, co stało się z pistoletem widocznym na zdjęciu?

- Włożyłem go do torebki na dowody, która następnie podpisałem, oznakowałem datą i przekazałem Dennisowi Doyle'owi z policji miejskiej do zbadania na obecność odcisków palców.

Rogavin przedarł kopertę i wyjął z niej przezroczysty plastikowy woreczek, w którym był pistolet.

- Przedstawiam państwu dowód numer cztery. Czy poznaje pan ten pistolet?

- Tak. Wydaje mi się, że jest to pistolet, który podniosłem z dywanu. Na torebce widnieje data i mój podpis, zgodnie z tym, co mówiłem.

- Co jeszcze pan znalazł?

- Boczne drzwi prowadzące na patio i do ogrodu były otwarte. Wszystkie pozostałe były pozamykane i nie znaleźliśmy śladów włamania, co wskazuje, że prawdopodobnie właśnie tędy zabójca dostał się do domu.

- Czy zauważył pan ślady walki?

- Nie.

No i to by było na tyle. Rogavin oddał detektywa w moje ręce. Przed przesłuchaniem nie stawiałem sobie zbyt ambitnych celów. Widziałem już wielu adwokatów ośmieszonych przez doświadczonych gliniarzy.

- Detektywie Mathis, powiedział pan, że nikt nie włamał się do domu pana Garveya?

Riposta Mathisa była szybka.

- Nie to powiedziałem, mecenasie. Powiedziałem, że nie było śladów włamania.

- Co znaczy, że włamywacz nie zawsze pozostawia ślady?

Zacisnął zęby zły, że dał się podejść.

- To możliwe - przyznał.

- Czy „włamanie” jest otwarciem zamka wytrychem?

- Możliwe. Dla mnie niekoniecznie.

- Czy zamek w bocznych drzwiach został otwarty wytrychem?

- Nie wiem.

- Czyli mogło mieć miejsce włamanie, po którym nie zostały żadne ślady, lub zamek mógł zostać otwarty wytrychem, zgadza się?

- Tak.

- Czy opierając się na swoim doświadczeniu, może pan stwierdzić, że niektórzy zawodowi przestępcy potrafią dokonać włamania lub otworzyć zamek wytrychem, nie zostawiając żadnych śladów?

- No pewnie.

- No i, oczywiście, ktoś mógł posłużyć się kluczem?

Zbiłem go z tropu. To Rogavin miał mówić o kluczu, więc poruszając ten temat, uprzedziłem jego atak.

- Zgadza się - odparł.

- Uwzględniając inne możliwości, czy na podstawie tego, co widział pan w domu zamordowanego, jest pan w stanie stwierdzić, czy pan Garvey mógł osobiście wpuścić zabójcę? Może nawet frontowymi drzwiami?

- Światła w holu były zgaszone.

- Czy mógł je zgasić zabójca?

W odpowiedzi Mathis wzruszył ramionami.

- Będzie pan musiał odpowiedzieć głośno.

- Tak. - Z każdą chwilą wyglądał na coraz bardziej niezadowolonego.

- Czy z punktu widzenia zabójcy nie byłoby rozsądnie zgasić światła, skoro chciał niezauważony opuścić dom ofiary?

- Nie wiem, co mógł lub mogła myśleć.

- Czyli, uwzględniając wszystkie fakty, zabójca mógł posłużyć się kluczem, otworzyć zamek wytrychem, włamać się, a nawet zostać wpuszczonym przez samego pana Garveya, zgadza się?

- Można tak powiedzieć.

- Właśnie to zrobiłem. Czy teraz pan mógłby to powiedzieć?

Mathis poruszył się niespokojnie.

- Tak. - Zerknął na Rogavina, by sprawdzić, czy to pieprzenie w bambus, czy też rzeczywiście mogą narobić mu kłopotów. Prokurator nie podniósł głowy znad notesu.

- No to która z tych wersji jest prawdziwa?

Zapadła cisza. Mathis wbił we mnie wzrok, a ja udawałem, że tego nie widzę.

- Detektywie - powtórzyłem - która z tych wersji jest prawdziwa? Może nam pan powiedzieć?

- Nie. Każda z nich jest prawdopodobna.

- A jeśli zabójca nie wszedł do domu bocznymi drzwiami, to mógł je otworzyć, wychodząc. Zgadza się pan ze mną?

- Można tak... tak.

- No dobrze. Jedźmy dalej. Zeznał pan, że nie było śladów walki. Czy to znaczy, że pan Garvey znał mordercę?

- Nie.

- Czyli go nie znał?

- Nie znaczy to, że go znał, ale i nie znaczy to, że go nie znał.

- Przepraszam bardzo. Jaki więc wniosek przysięgli mają wyciągnąć z tej części pańskiej wypowiedzi?

Mathis wypuścił powietrze nosem.

- Że nie było śladów walki.

- Czyli ten fakt nie obciąża Ashley Bronson, prawda?

- Sprzeciw! - powiedział Rogavin.

- Podtrzymuję - zdecydował Warner.

- Detektywie - powiedziałem - czy fakt, że nie było śladów walki, w jakikolwiek sposób wskazuje, kto zamordował Raymonda Garveya?

- Jak już mówiłem, znaczy to tyle, że nie było śladów walki i nic więcej.

- Dziękuję. Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

- Panie Rogavin, chce pan zadać dodatkowe pytania?

- Nie, Wysoki Sądzie.

Następnym świadkiem oskarżenia był lekarz sądowy, doktor Harold Kranz, który został wezwany na miejsce zbrodni, by obejrzeć ciało. Na podstawie temperatury i zsiwienia zwłok oszacował, że Garvey przeniósł się na tamten świat między dziewiątą a jedenastą wieczorem. Kranz zawiózł ciało do kostnicy, gdzie dla dobra śledztwa od ręki przeprowadzono sekcję.

Badanie potwierdziło, że Garvey zginął na miejscu od rany postrzałowej głowy. Lekarz sądowy usunął pocisk i schował go do koperty, którą podpisał i przekazał agentowi FBI nazwiskiem Windemere. Kula została dołączona do dowodów wraz z kilkoma zdjęciami mającymi rozdrażnić przysięgłych. Ja ograniczyłem się do dwóch pytań, za pomocą których chciałem zwrócić ich uwagę na fakt, że Garvey mógł zostać zamordowany już o dziewiątej wieczorem, na długo przedtem, nim Kellogg natknął się na Ashley.

Po przesłuchaniu Kranza Rogavin powiadomił przysięgłych, że oskarżenie i obrona zgodziły się, iż gdyby agent Widemere miał stawić się w sądzie, zeznałby, że otrzymał pocisk w torebce na dowody od doktora Kranza, podpisał się na wierzchu i zaniósł ją Markowi Rostrowowi z laboratorium policyjnego.

Rostrow został zaprzysiężony następnym. Praktycznie rzecz biorąc, był zawodowym świadkiem, dzielącym swój czas między laboratorium policyjne a salę sądową na której zeznawał setki razy. Dokładnie wypytany przez Rogavina o kwalifikacje, został zaakceptowany jako biegły w dziedzinie balistyki i umiejętnie modulowanym głosem, z ujmującą grzecznością udzielił naszym przysięgłym pierwszej lekcji nauki dopasowywania pocisków do pistoletów. Przechodząc od teorii do praktyki, przedstawił swoją opinię, „opartą na solidnych naukowych przesłankach”, że pocisk usunięty z mózgu Garveya został wystrzelony z pistoletu będącego dowodem numer cztery. Nie miałem żadnych pytań. Niech przysięgli sami zastanowią się nad ironią tej sytuacji: człowiek ginie od broni, którą kupił dla własnego bezpieczeństwa.

Rostrow skończył zeznawać późnym popołudniem i Warner zarządził dwudziestominutową przerwę, uwalniając tłumioną dotąd energię widzów i dziennikarzy. Kiedy doszliśmy do drzwi, na korytarzu było głośno jak na stacji kolejowej, ale wszyscy milkli na

widok Ashley, przez co wokół naszego zespołu wytworzyła się ruchoma strefa ciszy. Wszyscy odetchnęliśmy, kiedy Andy zamknął drzwi pokoju obrony.

Ashley opadła na krzesło.

- Jak to znosisz? - spytałem.

- Przysięgli gapią się na mnie, kiedy tylko ktoś przestaje mówić - powiedziała zmęczonym głosem. - Boję się, że ile razy się ruszam, zdradzają mnie moje gesty.

- Dobrze sobie radzisz. Chyba już przyzwyczaiłaś się do tego, że ludzie na ciebie patrzą.

- Ale nie tak. Jak nam idzie?

- Jak dotąd, dobrze, no i... - spojrzałem na Waltera - szybko. Kellogg będzie zeznał jutro, może już rano.

- Jesteśmy gotowi - powiedział. - Wszyscy czekają na sygnał.

- O której pojawili się pierwsi widzowie?

- Koło szóstej. Ci, którzy przyszli po ósmej i nie mieli legitymacji prasowych, mogli wracać do domu. Jutro przyślemy tu kogoś o piątej i dopilnujemy, żeby wszystko poszło gładko.

- W porządku - powiedziałem. - Następnym świadkiem jest ich spec od daktyloskopii. Po nim będzie koniec na dzisiaj. Potem wrócimy do biura i dopracujemy ostatnie szczegóły.

Dennis Doyle od dwudziestu czterech lat pracował w laboratorium policji miejskiej. Tak jak to było z Rostrowem, Rogavin nie szczędził mu pochwał. Przysięgli usłyszeli o wykształceniu świadka, specjalistycznych kursach, które ukończył i prowadził, napisanych przezeń artykułach, dokonanych przez niego niezliczonych analizach porównawczych odcisków palców i wszystkich sądach, które uważały go za eksperta. A przecież my nawet nie chcieliśmy kwestionować wyników jego pracy.

Badanie pistoletu otrzymanego od detektywa Mathisa wykazało obecność czterech pełnych odcisków palców i jednego częściowego. Zespół Rogavina wykonał kawał dobrej roboty i na podstawie sporządzonej naprędce listy przyjaciół, znajomych i sąsiadów dopasował wszystkie odciski - prezentowane przez Doyle'a na powiększonych zdjęciach - do osób, które je pozostawiły. Jeden z nich należał do samego Garveya, a drugi do Clarka Bensona, męża jego kuzynki. Częściowy odcisk „prawdopodobnie” zostawił Robert McGuinn, sąsiad ofiary. Wiedzieliśmy z oświadczeń świadków, że Benson zezna, iż w noc zabójstwa był w domu w Orlando, a McGuinn leżał wtedy w szpitalu Sibley i przechodził rekonwalescencję po operacji pęcherzyka żółciowego.

Mimo moich usilnych starań, by umniejszyć znaczenie tego faktu, oświadczenie, że pozostałe dwa odciski są odciskami palca wskazującego i kciuka Ashley Bronson, wygłoszone głębokim basem Doyle'a, zdawało się rozbrzmiewać w sali na długo po tym, gdy Rogavin wrócił na swoje miejsce.

Przysięgli wyraźnie spochmurnieli.

Jest taka zasada, której przestrzegają co bystrzejsi prawnicy: „Kiedy masz dobrą pozycję, stój w miejscu”. Pod koniec pierwszego, najważniejszego dnia, byłem przekonany, że nasza pozycja jest całkiem niezła. Wstępne mowy zakończyły się co najmniej remisem. Przesłuchanie Mathisa przebiegło korzystnie dla nas. Jak dotąd, żadnych niespodzianek i żadnych błędów. Chciałem jeszcze tylko zdobyć parę punktów kosztem Doyle'a i skończyć na dzisiaj.

- Panie Doyle, twierdzi pan, że porównanie odcisków palców wykazało, że narzędzie zbrodni miały w rękę trzy osoby, nie licząc zamordowanego?

- Zgadza się.

- Kto ostatni?

- Słucham?

- Która z tych osób trzymała pistolet ostatnia?

- Nie da się tego stwierdzić.

- Czy może pan określić, jak stare są te odciski palców?

Doyle zmarszczył brwi.

- Nie, panie mecenasie, nikt nie byłby w stanie tego zrobić. - Prychnął i spojrzał na przysięgłych z rozbawioną miną, jakby powiedział dowcip, który tylko oni byli w stanie zrozumieć.

- Czyli nie może pan powiedzieć przysięgłym, kiedy Ashley Bronson miała w rękę pistolet pana Garveya?

- Zgadza się.

- Nie może pan stwierdzić, że trzymała go tej nocy, kiedy zamordowany został pan Garvey?

- To właśnie powiedziałem. Jej odciski palców są na narzędziu zbrodni,

wraz z odciskami dwóch innych osób i ofiary. -Nie mógł oprzeć się pokusie i dodał:

- Myślę, że wkrótce będzie pan miał okazję wysłuchać zeznań wspomnianych dwóch osób.

- Chodzi panu o to, że wyjaśnią, gdzie przebywali w noc zabójstwa?

- Tak, ale to oni panu wszystko powiedzą.

- Oczywiście. Ale jeśli tamtej nocy nie było ich w domu pana Garveya, to wychodzi na to, że zostaje nam tylko panna Bronson, zgadza się?

Doyle skinął głową.

- Pan to powiedział, mecenasie, nie ja.

- To prawda. A osoba, która zamordowała pana Garveya, zostawiła na pistolecie swoje odciski palców, zgadza się?

- O tym zadecydują przysięgli.

- Słusznie, ale ja pytam pana jako eksperta od daktyloskopii: czy wyłącznie na podstawie swoich badań może pan stwierdzić, że człowiek, który zabił pana Garveya, zostawił na pistolecie swoje odciski palców?

- Tego nie wiem na pewno.

- Dlaczego?

- Trzymając broń w ręku, nie zawsze zostawia się odciski palców. Nie da się ich zdjąć z pokrytej kraciastym wzorem rękojeści, a pistolet można chwycić tak, by nie było żadnych tego śladów. Poza tym odciski można zetrzeć, choć nie sądzę, by tak się stało w tym przypadku.

- No i zawsze można włożyć rękawiczki, prawda?

- Gdyby zabójca był w rękawiczkach - przyznał - nie zostawiłby odcisków palców.

- Czy zabójca nosił rękawiczki, czy nie?

- Nie mam pojęcia.

- Jeśli to prawda, to mordercą mógł być każdy?

- Nie jest to jedyny dowód - odparował.

- Rozumiem, ale w świetle tych, które pan przedstawił pańskie wnioski w najmniejszym stopniu nie wykluczają możliwości, że dosłownie każdy mógł zamordować Raymonda Garveya, prawda?

Doyle zmarszczył brwi.

- Powiedziałem tylko, że na pistolecie są odciski palców Ashley Bronson.

- No cóż, często zdarza się, że na miejscu zbrodni znajduje się odciski palców osób niewinnych, prawda?

Doyle milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Tak.

- Odciski palców pana Bensaona i pana McGuinna mogą należeć do tej właśnie kategorii, prawda?

- Sądzę, że na pewno do niej należą.

- Panie Doyle, czy Ashley Bronson mogła w sposób zgodny z prawem znaleźć się w domu denata i trzymać ten pistolet, jak Benson i McGuinn?

- Nie wiem.

- Próbował pan to sprawdzić?

- Ja się tym nie zajmuję - odparł, czerwieniejąc. - To zadanie detektywów prowadzących śledztwo. Zakładani, że to zrobili.

- Cóż, zobaczymy. Dziękuję, panie Doyle. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. Kiedy Doyle skończył zeznawać, Warner zwrócił się do przysięgłych.

- Panie i panowie, na dzisiaj to wszystko. Przypominam, że nie wolno wam rozmawiać o tej sprawie z nikim, ani czytać bądź słuchać czegokolwiek na jej temat. Ani w telewizji, ani w radiu, ani w prasie. Jeśli chcecie przejrzeć gazety, poproście członka rodziny albo znajomego o wycięcie wszystkich materiałów dotyczących sprawy. Następne posiedzenie sądu roz pocznie się jutro o dziewiątej trzydzieści.

Wszyscy staliśmy, kiedy przysięgli opuszczali salę. Warner zastukał młotkiem w stół i tak zakończył się pierwszy dzień procesu „Stany Zjednoczone kontra Bronson”. Członkowie zespołu Rogavina szybko się spakowali, a sam prokurator, idąc w stronę wyjścia, zatrzymał się i nachylił nad naszą ławą.

- Tylko nie złam sobie ręki od klepania się po plecach - powiedział ze złośliwym uśmiechem. - Dziś był tylko wstęp. Zobaczymy, jak poradzisz sobie jutro.

- Jutro? Jeszcze ci mało?

- Kiedy to wszystko się skończy, odechce ci się żartów.

- Wiesz, jak na gościa, który podobno lubi rywalizację, strasznie się przejąłeś tą drobną wpadką.

Wpatrywał się we mnie przez sekundę, po czym uśmiechnął się i zaczął kiwać głową, jakby powiedział sobie w duchu jakiś dowcip. Potem wyszedł wraz ze swoją świtą.

Ashley słyszała tę rozmowę.

- Zwykle lubię, jak mężczyźni walczą z mojego powodu - powiedziała.

- Czy rozwścieczanie go w czymś pomaga?

- Tak. Łatwiej mi ignorować jego pieprzenie. Chodźmy.

Zaabsorbowani snuciem planów, zapomnieliśmy poprosić Harry'ego Dana, by przyszedł po nas do sądu. Andy podniósł teczkę, Walter chciał zrobić to samo, ale nie pozwoliłem na to.

- Ja je wezmę - powiedziałem - ty utoruj nam drogę do samochodu. Zatrzymamy się dopiero w biurze.

Mediom nie wolno było nagabywać uczestników procesu w budynku sądu, ale na chodniku powitała nas ścieżka zdrowia z kamer i dyktafonów.

Po całym dniu biernej obserwacji procesu dziennikarze pałali żądzą czynu, i opadli nas ze wszystkich stron, kiedy Walter i Andy ruszyli w stronę samochodu, za którego kierownicą siedział Dan.

- Panno Bronson, jaki był dla pani ten dzień?
- Ashley, czy będziesz zeznawać?
- Dlaczego na pistolecie są twoje odciski palców, Ashley?
- Ashley, co cię łączy z Frankiem O'Connelllem?

Na to pytanie zastygła w bezruchu. Odwróciła się i spojrzała na dziennikarza, który je zadał, wyraźnie zaskoczona. Walter i Andy, nieświadomi tego, co się działo, dalej parli naprzód. Dziennikarze wdarli się w powstałą lukę.

Znaleźliśmy się w potrzasku.

- Skomentujesz jakoś artykuł opublikowany w „Galaxy”?
- Frank, dlaczego spędzasz noce w domu panny Bronson?
- Czy jesteście dla siebie kimś więcej niż tylko adwokatem i klientką, Ashley?

Każda odpowiedź oprócz stanowczego „nie” oznaczała „tak”, ale Ashley była w stanie tylko odwracać się od jednego dziennikarza do następnego, zbyt oszołomiona, by wydobyć z siebie głos. Moja pomoc nie na wiele się zdała: wszystkie stacje przez cały wieczór pokazywały, jak kręcę głową i rozglądam się za Walterem, który wreszcie przedarł się z powrotem do nas i złapał ją za rękę. Znów ruszyliśmy przed siebie, w oku cyklonu wirujących wokół nas dziennikarzy, kamer i mikrofonów, aż wreszcie dobrnęliśmy do samochodu i wcisnęliśmy się na tylne siedzenie. Jeden z paparazzich nie dał za wygraną, wsadził głowę do samochodu, blokując drzwi, i wymierzył obiektyw aparatu w twarz Ashley. Natychmiast zasłoniła ją obiema rękami. Ja uderzyłem natręta w krocze; zeszytniał i zatoczył się do tyłu, na tłum zgromadzony zajęgo plecami. Walter zatrzasnął drzwi i wóz ruszył. W milczeniu mknęliśmy Massachusetts Avenue. Ciszę mącił tylko jej stłumiony szloch.

Wróciłem do biura o siódmej, by spotkać się z Walterem i raz jeszcze przeanalizować moje plany wobec Kellogga. Ashley siedziała w domu, okrążonym przez dziennikarzy nagrywających relacje na jego tle. Jeden z nich dał mi ostatni numer „Galaxy”. Na pierwszej stronie widniało zrobione przez teleobiektyw zdjęcie pokazujące, jak wychodzę z domu Ashley o wschodzie słońca. W środku były fotografie z moich kolejnych wizyt, a także jedna, zrobiona w chwili, kiedy kupowaliśmy choinkę. Zobaczyliśmy ją ponownie w wiadomościach o szóstej.

Walter jeszcze się nie zjawił. Połknąłem cztery aspiryny, popiłem zimnym piwem i popatrzyłem na swoje biurko. Moja niezastąpiona sekretarka ułożyła wiadomości od dziennikarzy na dwóch stosikach oznakowanych napisami „miejscowi” i „krajowi”. Była też trzecia kupka: „inne”. Na telefonie paliło się złowróżbne światełko; mechaniczny głos powiadomił mnie, że mam trzydzieści dwie wiadomości i moja skrzynka jest pełna.

Próbowałem skoncentrować się na konsekwencjach tego, co się stało.

Po pierwsze, ława przysięgłych. Jeśli postąpią zgodnie z instrukcjami Warnera, nie poznającej historii, ale to było mało prawdopodobne. Zwykle trafia się jeden lub dwóch, którzy nie mogą oprzeć się pokusie przeczytania artykułów albo obejrzenia wiadomości dotyczących procesu. Będę musiał poprosić Warnera, żeby to sprawdził.

No i dochodził kłopot z naszym szanownym sędzią. Po klęsce w sprawie Burroughsa i naszej utarczce słownej w czasie rozprawy, to mogła być ostatnia kropla, która przepełni czarę. Gdyby się wściekł, nie pomógłby mi nikt, nawet Tatko. Może nawet unieważniłby proces. Nie trzeba było długo się zastanawiać, by dojść do wniosku, że nie mamy z Ashley innego wyбору, jak tylko wszystkiemu zaprzeczyć, i to stanowczo.

Kiedy myślałem, że już gorzej być nie może, przyszło mi do głowy, że mam jeszcze jeden kłopot. Wypiłem piwo i zadzwoniłem do Moiry, modląc się, by właśnie była na safari albo wyprawie na Everest. Ale jak pech, to pech, odebrała po pierwszym sygnale.

- Tak?

- To ja.

- Rozmawiam na drugiej linii. Nie odkładaj słuchawki, zaraz do ciebie wrócę. - Ton, jakim mówiła, aż nadto wyraźnie zdradzał jej myśli. Słuchawka zaczęła mi strasznie ciążyć. Przycisnąłem ją policzkiem do ramienia i zamknąłem oczy.

- Frank?

- Jestem.

- Chcę wiedzieć, czy zamierzasz zobaczyć się z Brendanem w ten weekend.

- Co?

- Z Brendanem... to twój syn, pamiętasz? Mówiłeś, że chcesz spędzać z nim więcej czasu, zanim wyjedziemy.

- Jezu, Moiro. Mam dużo na głowie.

- Słyszałam.

- Wiem. To...

- Znasz to powiedzenie: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”?

Cóż, ktokolwiek zadzwoni, żeby przekazać mi tę wiadomość, za rok nie dostanie ode mnie prezentu na Święta. Zaoszczędzę w ten sposób fortunę.

- Kochanie, przykro mi, ale...

- Nie jestem twoim „kochaniem”.

- No to po co ja cię właściwie, do licha, przepraszam?

- Bo masz syna! - krzyknęła. - A on ogląda telewizję!

- Aha, o to chodzi. Słuchaj, jeśli chcesz mi dokopać, to stoisz na końcu długiej kolejki.

- Już nie! Zobaczysz się z nim w ten weekend czy nie? Muszę sobie zaplanować zajęcia.

- Mam na głowie mnóstwo spraw, które muszę załatwić już, w tej chwili.

Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim, i porozmawiamy.

- Myślę, że powinieneś usłyszeć to teraz. Rob mówi, że możemy wyjechać do Kalifornii, kiedy tylko będę gotowa, a ja postanowiłam, że im wcześniej to się stanie, tym lepiej.

Zrywając się z fotela, rzuciłem do słuchawki:

- Postanowiłaś to dzisiaj?

Puściła moje słowa mimo uszu.

- Chcę tak wszystko zorganizować, żebym mogła wyjechać możliwie najwcześniej. Będziesz pewnie musiał trochę zmienić swój plan zajęć, jeśli chcesz spędzić z synem więcej czasu, zanim się wyprowadzimy.

Miałem rzucić słuchawką, ale zmieniłem zdanie i krzyknąłem:

- Przecież trwa rok szkolny!

- Jest dopiero w pierwszej klasie - odparła już spokojniej. - Nie sądzę, by wpłynęło to na jego decyzję co do studiów.

- Moiro, nie...

- Do widzenia, Frank.

- Cholera jasna! Ty... - Nadal wymyślałem sygnałowi w słuchawce, kiedy zauważyłem stojącego w drzwiach Waltera.

- Przepraszam - mruknął. - Dopiero przed sekundą domyśliłem się, z kim rozmawiasz.

- Wejdz i zamknij drzwi. Dostarczyłem tej firmie już dość rozrywki jak na jeden dzień.

Usiadł na kanapie w tym samym miejscu, co zwykle, i rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Oglądałeś coś jeszcze w telewizji? - spytał.

- Nie.

Pokręcił głową.

- Nic, tylko proces i te inne sprawy. Można by pomyśleć, że jesteśmy najważniejszymi ludźmi w Ameryce.

- Przepraszam, Walterze. Ostrzegaleś mnie, a ja wszystko spieprzyłem.

Wzruszył ramionami.

- E tam, zapomnij. Tak czy siak, wszędzie mnie pokazują. Mówili, że jestem jej ochroniarzem. Niech tylko volvo-fiut to zobaczy. - Roześmiał się. - Mogę się założyć, że będę zaproszony na następną Paschę.

- To dobrze. Zabierzesz mnie ze sobą. Przez następnych kilka lat raczej nie mam co liczyć na święta w rodzinnym gronie.

- O co chodziło z tą szkołą?

- Wyjeżdżają do Kalifornii. „Im wcześniej, tym lepiej”, powiedziała. - Nagle postanowiłem kopnąć z całej siły moje biurko. Fajnie huknęło, więc zrobiłem to jeszcze dwa razy.

- Może zmieni zdanie, jak trochę ochłonie.

- Jasne. Każ swoim ludziom odciąć jej prąd i telefon, aha, i przy okazji niech kradną gazety sprzed domu. Za kilka tygodni może zapomni, czemu jest taka wkurzona.

- Dziś w sądzie dobrze nam poszło - zmienił temat.

- Wszystko gotowe na jutro?

- Na tyle, na ile to możliwe. Na pewno skorzystamy z Natalie?

- Myślałem o tym. Tak, jak się sprawy mają, dobrze byłoby, gdybyśmy mogli dokopać Kelloggowi bez jej pomocy. Wolałbym nie ryzykować, bo gdyby to nie wypaliło...

- Przegralibyśmy - dokończył za mnie.

Telefon dzwonił co kilka minut. Walter w tym czasie drzemał, a ja rzucałem do kosza zgniecione kartki z wiadomościami. Wreszcie, nie otwierając oczu, spytał:

- Jak myślisz, co będzie jutro?

- Założę się, że Warner siedzi teraz w domu i ostrzy topór.

- Super. Co zrobimy?

- Nie damy się. Nie mamy innego wyjścia.

Wielki dzień. Dzięki „Galaxy” przez całą noc przewracałem się z boku na bok w moim obskurnym mieszkanku. O szóstej rano, w drodze na Dupont Circle, gdzie miałem zjeść śniadanie, kupiłem „Post”. Widok pierwszej strony odebrał mi apetyt, więc poprzestałem na kubku kawy i pojechałem do biura. Walter był już w gmachu sądu, by upewnić się, że wszystko jest gotowe. O wpół do dziewiątej staliśmy z Andym przed siedzibą firmy i czekaliśmy na samochód, który po chwili podjechał do krawężnika. Z przodu siedzieli Dan i Harry. Ashley wyglądała, jakby ona też nie spała najlepiej. Trzymaliśmy się za ręce, a wszyscy udawali, że tego nie widzą.

Dziennikarze czekali tam, gdzie ich zostawiliśmy. Jakiś przedsiębiorczy facet rozłożył kram z koszulkami z nadrukiem PRAWNICY ROBIĄ TO LEGALNIE. Dostaliśmy się do środka bez większych trudności. Tylko jeden dziennikarz spytał, czy zostaniemy z Ashley razem, jeśli zapadnie wyrok skazujący.

O dziewiątej w sali sądowej wszystko było już gotowe. Rogavin zjawił się ze swoją świtą o dziewiątej piętnaście i usiadł po drugiej stronie przejścia. Zerknął na nas i zaczął bazgrać coś na kartce. Po jego gębie przebiegł cień uśmiechu. O dziewiątej dwadzieścia przyszedł jeden z sekretarzy Warnera i oświadczył, że sędzia chce porozmawiać ze stronami. Tym razem zostaliśmy wprowadzeni do jego osobistego gabinetu; Warner siedział za biurkiem, na którym leżał „Post”.

Zaczął, ledwie zdążyliśmy zająć miejsca.

- Jestem sędzią od jedenastu lat - oświadczył - i nigdy jeszcze nie miałem okazji prowadzić postępowania w sprawie naruszenia zasad etyki. Teraz czeka mnie już drugie w tym miesiącu i obydwie dotyczą pana, panie O’Connell. Jak to wytłumaczyć?

- Nie postąpiłem nieetycznie.

- To się jeszcze okaże, nie sądzi pan? - Wziął gazetę i pokręcił głową. - Niezwykle - mruknął. - Cóż, chyba powinniśmy porozmawiać o tym, co łączy pana z pańską klientką.

- Nie ma o czym rozmawiać.

Wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami, jakby zastanawiał się, czy aby słuch go nie myli.

- Naraził mi się pan już po raz drugi, a to o dwa razy za dużo. Ostrzegam pana, proszę ostrożnie dobrać słowa. To ja decyduję, o jakich kwestiach związanych z tym procesem będziemy rozmawiać, a nie pan.

- Panie sędzio, to wysoce niestosowne. Jedyne informacje, jakie pan posiada, pochodzą z brukowców, i co z nich wynika? Że byłem gościem w domu mojej klientki, to

wszystko. Nie ma podstaw do wszczęcia postępowania, a ja nie zamierzam odpowiedzieć na żadne pytania dotyczące moich z nią kontaktów.

Warner spochmurniał.

- Może - wykrztusił - najlepiej będzie unieważnić proces i przekazać tę sprawę komisji etyki, by uwzględniła ją w dochodzeniu dotyczącym pańskich występów.

- Dobrze! Proszę bardzo! ~ odparowałem. - Ale chcę wyjść na salę i podać do protokołu swój sprzeciw. Kiedy sąd apelacyjny uzna, że pan się mylił i rozprawę należało kontynuować, nie będzie nowego procesu, zgodnie z zasadą, że nikogo nie można sądzić dwukrotnie za to samo przestępstwo.

Ashley Bronson nigdy nie stanie przed ławą przysięgłych, a pan będzie pośmiewiskiem całego kraju.

Warner odchylił się do tyłu. Przez chwilę popatrywał to na Rogavina, to na mnie, wyraźnie zaniepokojony. Prawda była taka, że nie miałem pojęcia, co sąd apelacyjny zrobiłby z tym bajzłem. Może wygralibyśmy, a może nie. Jedno wiedziałem na pewno: gdyby Ashley wytoczono drugi proces, byłibyśmy w gorszym położeniu. Pokazałem Rogavinowi kilka moich kart - następnym razem będzie lepiej przygotowany. Bardziej jednak niepokoił mnie Kellogg.

Musielibyśmy wziąć się za niego od nowa, bo od zainscenizowanego spotkania z Natalie upłynęłoby zbyt wiele czasu i kto wie, czym by się to skończyło?

Na szczęście znalazł się nieoczekiwany sprzymierzeniec. Rogavin podjął decyzję. Wiedział, że mogę mieć rację, i nie zamierzał dopuścić, by Ashley mu się wymknęła. Bitwa już się zaczęła i chciał doprowadzić ją do końca.

- Panie sędzio - powiedział spokojnie - myślę, że ma pan pełne prawo unieważnić proces, ale nie można tego stwierdzić z całą pewnością, dopóki nie wypowie się w tej sprawie sąd apelacyjny. W imieniu oskarżenia pragnę powiedzieć, że nie chciałbym, by zabójczym powszechnie szanowanego człowieka wyszła na wolność z powodu uchybień proceduralnych.

- Sugeruje pan, żebym to zignorował? - spytał Warner, stukając palcem w gazetę. Jego słowa były bardziej harde niż ton, którym je wypowiedział.

- Nie, panie sędzio. Sugeruję, żeby wezwał pan do siebie pannę Bronson i przedstawił jej, jak się sprawy mają. Kiedy zrozumie zasady stosunków adwokata z klientem i przekona się, że sąd przede wszystkim ma na uwadze jej dobro, będzie mogła poprosić o unieważnienie procesu, gdyby nadal miała jakiegokolwiek wątpliwości co do swojej sytuacji. Jeśli nie skorzysta z tej możliwości, cóż, w razie wydania wyroku skazującego trudno jej będzie domagać się rewizji procesu z powodu braku kompetentnego obrońcy.

Czasem wystarczyło wykazać, że adwokat źle wykonał swoje obowiązki bądź nie działał w zgodzie z interesami klienta, by skazany uzyskał prawo do ponownego procesu. Rogavin zaproponował sposób, by je poważnie ograniczyć: Ashley miała powiedzieć nie wprost, że nic między nami nie było.

Musiałem mu to przyznać: wiedział, że ten proces się odbędzie i że przebiegnie tak, jak tego obaj chcieliśmy.

W tej chwili dla Warnera liczyło się tylko to, by zachować twarz. Propozycja Rogavina była dla niego kołem ratunkowym.

- Niech pan przyprowadzi tu swoją klientkę - polecił.

Strażnicy wpuścili widzów i sala była pełna. Rysownicy, korzystając z przerwy, sporządzali kolejne szkice kobiety, której sława rosła z każdym dniem. Usiadłem i nachyliłem się do jej ucha.

- Warner chce z tobą rozmawiać - szepnąłem.

- Ze mną? Dlaczego? Co się stało?

- Pytał, co nas łączy, a kiedy powiedziałem, że nie chcę o tym rozmawiać, ścięliśmy się ze sobą i zagroził, że unieważni proces.

Poczułem, że zeszywniała.

- Nie, musimy to doprowadzić do końca!

- Moment, moment. Nie będzie żadnego unieważnienia procesu. Nasz sędzia uświadomił sobie, że pobłądził. Rogavin też chce, by rozprawa toczyła się dalej, i rzucił mu koło ratunkowe. Warner chce wyjść z tego z twarzą, więc da ci możliwość, żebyś obroniła się przede mną.

- Co to znaczy?

- Poinformuje cię, że jeśli doszło do jakiegokolwiek naruszenia zasad obowiązujących w kontaktach między adwokatem a klientem, to powinnaś rozważyć możliwość wynajęcia nowego obrońcy. Powie, że jest gotów przerwać proces, by ci pomóc na rękę.

- A ja muszę tylko powiedzieć mu, że chcę, by był kontynuowany?

- Tak, a do tego okazać oburzenie jego sugestiami. Ale bądź ostrożna, facet nie wie, co to wrażliwość. Może posunąć się za daleko.

- To nieważne - odparła. - Poza tym jest już za późno, żeby obronić mnie przed tobą.

Kiedy weszliśmy do gabinetu, Warner i Rogavin wstali. Przed biurkiem pojawiło się trzecie krzesło, dla niej. Sędzia wskazał jej to, które stało w środku, odkaszlnął i zaczął mówić.

- Panno Bronson, czy obrońca powiedział pani, dlaczego chcę z nią rozmawiać?

- Tak - odparła spokojnie.

- Adwokata z klientem łączy więź oparta na wzajemnym zaufaniu, najsilniejsza, jaką zna prawo - wyrecytował. - Prawnik ma obowiązek wykorzystać wszystkie swoje umiejętności wyłącznie dla dobra klienta i nie dopuścić, by cokolwiek przyćmiło jego zawodowy obiektywizm, mający kluczowe znaczenie dla tej więzi.

- Oczywiście.

Warner splótł dłonie na biurku i przybrał ojcowski ton.

- Panno Bronson, chodzi mi tylko o to, by upewnić się, że ta więź nie została w żaden sposób naruszona i że zapewniono pani pełną ochronę, do której ma pani prawo. - Zawiesił na chwilę głos, ale Ashley tylko patrzyła na niego. Nie okazywała niepokoju. W tym pokoju, pozbawiony atrybutów swojej władzy, Warner był jedynie kolejnym facetem, z którym musiała sobie poradzić, a potrafiła sobie poradzić z każdym. Sędzia natomiast wydawał się zakłopotany. Wiercił się na krześle i opuścił wzrok na gazetę. - Rozumiem, że czytała pani artykuły o... hmm... pani i panu O'Connellu?

- Tak. Napisano w nich, że nocował w moim domu.

- No właśnie - powiedział sędzia, kiwając głową. - Cóż...

- Chce pan wiedzieć, czy to prawda? - spytała.

- Nie! -krzyknął Warner, unosząc dłoń. -Nie chcę znać żadnych szczegółów. Po prostu...

- Proszę bardzo, mogę odpowiedzieć na to pytanie - powiedziała. - Czy jest jakiś przepis mówiący, że prawnik nie może być gościem w domu klienta?

- No cóż, gościem... nie.

- Czegoś więc nie rozumiem. Czemu miałyby dojść do naruszenia więzi adwokata z klientem, skoro nie zrobiliśmy nic złego?

Sędzia nie przestawał się wiercić.

- W mediach pojawiły się spekulacje, że jesteście państwo dla siebie... hmm... kimś więcej niż tylko gospodynią i gościem.

- Czy muszę reagować na plotki rozsiewane przez brukowce? - Mówiąc, nie odrywała oczu od Warnera. Jako że poznałem na własnej skórze moc jej spojrzenia, mógłbym mu współczuć, gdyby nie to, że sam był sobie winien.

Warner potrząsnął głową.

- Nie, skądże! Chodzi tylko o to, że... hmm, jak już mówiłem, musimy dopilnować, by zapewniono pani najlepszą możliwą obronę, to wszystko.

Ashley spojrzała na mnie i powiedziała:

- Jestem bardzo zadowolona z obrony, jaką zapewnia mi pan O'Connell. Myślę, że cokolwiek robi, ma na uwadze przede wszystkim moje dobro.

Warner uznał, że wypełnił swój obowiązek.

- No cóż - powiedział, przeistaczając się z powrotem w surowego sędziego - skoro sąd nie uzyskał żadnych informacji mogących potwierdzić fakt naruszenia świętej więzi między adwokatem a klientem, uważam, że proces powinien być kontynuowany. - Zerknął na Rogavina, który skinął głową na znak aprobaty. - Zaczynamy za dziesięć minut.

- Jeszcze jedno, Wysoki Sądzie - powiedziałem.

- Słucham?

- Proszę, by spytał pan przysięgłych, czy przestrzegali zakazu oglądania telewizji i czytania gazet.

- Dobrze. Od tego zaczniemy.

Wstaliśmy i udaliśmy się na salę sądową. Walter spojrzał na mnie pytająco. Kiwnąłem głową. Wszystko grało. Warner przeprowadził szybką sondę wśród przysięgłych - żaden z nich nie przyznał się do złamania wydanego przezeń zakazu. Niektórzy z nich pewnie kłamali, ale i tak nie mogliśmy im tego udowodnić. Jedyna nadzieja, że okażą się romantykami.

Zeznania Bensaona i McGuinna nie zawierały żadnych niespodzianek. Obaj powiedzieli, co łączyło ich z Garveyem, w jakich okolicznościach wzięli do ręki jego pistolet i gdzie przebywali feralnej nocy. Nie było to zbyt fascynujące, ale Rogavin wprowadził do przesłuchań trochę dramaturgii, wieńcząc każde z nich pytaniem: „Czy zabił pan Raymonda Bennetta Garveya?”

Obydwaj zaprzeczyli, co zawęziło krąg podejrzanych.

Późnym przedpołudniem wzięliśmy się za Edwarda Warda. Powiedział ławie przysięgłych, że pracował z żoną u Garveya przez siedemnaście lat, ona jako kucharz i gospoś, on w charakterze złotej rączki, ogrodnika i pomocnika. Raymond, ich zdaniem, był „dobrym pracodawcą”, ale nie sprawiali wrażenia głęboko przywiązanych do swojego zmarłego szefa.

- Panie Ward - spytał Rogavin - czy w trakcie wypełniania swoich obowiązków miał pan okazję poznać oskarżoną, Ashley Bronson?

- Tak, proszę pana. Poznałem ją, kiedy chodziła do liceum.

- Czy wedle pańskiej wiedzy była spokrewniona z panem Garveyem?

- Nie, proszę pana. Ojciec panny Ashley, Henry Bronson, był przyjacielem pana Garveya jeszcze przed jej narodzinami.

- Czy panna Bronson składała mu wizyty w ostatnich latach?

- Tak, ale nie tak często, jak dawniej. Zwykle była gościem na przyjęciach wydawanych przez pana Garveya. Czasami zostawiała coś u nas, kiedy pana Garveya nie było, a my z panią Ward mieliśmy wolne.

- Jak w takim razie dostawała się do domu, o ile to panu wiadomo?

- Miała klucz, proszę pana. Jeden zawsze był u Bronsonów. - Kilku przysięgłych pochyliło głowy i zaczęło robić notatki.

- Wie pan, do których zamków pasował ten klucz, panie Ward?

- Można nim otworzyć wszystkie drzwi na parterze.

- Włącznie z tymi prowadzącymi z salonu do ogrodu?

- Tak, proszę pana.

Rogavin podszedł do świadka i stanął przy nim, opierając się ręką o poręcz.

- Panie Ward - powiedział powoli - czy widział pan lub słyszał, jak panna Bronson kłóci się z panem Garveyem?

Ward skrzywił się. Ashley mówiła, że i on, i jego żona bardzo ją lubili i widać było, iż nie jest mu łatwo składać to zeznanie.

- Raz, proszę pana - powiedział ledwo słyszalnym głosem.

- Kiedy to było?

- W październiku tego roku, proszę pana. Sprzątaliśmy wtedy z panią Ward - podłogi i szafki w kuchni.

- Co państwo usłyszeli?

- Podniesione głosy. Dochodziły z frontowej części domu. Nie wiedzieliśmy, czy coś się stało, więc poszliśmy w tamtą stronę. - Ward wyjął chusteczkę i wydmuchnął nos, zerkając na Ashley. Potem znów zwrócił się w stronę Rogavina.

- Czy byli państwo w stanie wychwycić jakieś słowa?

- Tak, proszę pana. Panna Ashley wyszła z salonu i skierowała się do frontowych drzwi. Usłyszałem, jak pan Garvey ją woła, wtedy odwróciła się w stronę salonu.

- Co stało się potem?

Dłonie Warda drżały.

- No cóż, proszę pana, wydawała się bardzo zdenerwowana... i... -Jego głos się załamał.

- Niech pan się nie spieszy - powiedział Rogavin kojącym tonem.

-Wiem, że to dla pana trudne.

Ward wziął głęboki oddech i wydyszał:

- Krzyknęła do niego: „Więcej nie przychodź. Jeśli coś się stanie, zabiję cię. Przyśięgam”. Potem otworzyła frontowe drzwi i zatrzasnęła je za sobą.

- Czy pan Garvey cokolwiek powiedział?

- Nie, proszę pana. Wyrzął z salonu, zobaczył nas na korytarzu, odwrócił się, wszedł z powrotem do środka i zamknął drzwi.

- Na jak długo przed zabójstwem pana Garveya zdarzyła się ta kłótnia?

- Mniej więcej dwa tygodnie. Może trochę mniej.

- Czy wie pan, co takiego zrobił lub zamierzał zrobić pan Garvey, że wywołał taką reakcję panny Bronson?

- Nie, proszę pana.

- Dziękuję - powiedział Rogavin. - Nie mam więcej pytań. - Prokurator wrócił na miejsce, a kilku przysięgłych skończyło robić notatki.

- Panie O'Connell, jakieś pytania do świadka? - spytał Warner.

- Panie Ward - zacząłem - mówił pan, że od jak dawna zna Ashley?

- Siedemnaście lat, proszę pana, odkąd zacząłem pracować dla pana Garveya.

- Czy w tym czasie kiedykolwiek widział pan, by Ashley zrobiła panu Garveyowi coś złego?

Ward potrząsnął głową.

- Nie, proszę pana, nigdy.

- A czy kiedykolwiek dostała przy panu ataku furii?

- Panna Ashley? - Pokręcił głową. - Nigdy.

Dwaj przysięgli znów zaczęli notować.

- Panie Ward, czy wiedział pan, że pan Garvey kupił pistolet?

- Tak, proszę pana. Kupił go zaraz po tym, gdy do jednego z domów w okolicy było włamanie.

- Wiedział pan, że trzymał broń w szufladzie w salonie?

- Tak, proszę pana. W sekretarzyku.

- Czy pokazał panu ten pistolet?

- Tak, proszę pana. Tego dnia, kiedy go kupił.

- Czy miał go pan w ręku?

- Tak, proszę pana.

- Czy widział pan, by pan Garvey pokazywał go komuś innemu?

- Tak, proszę pana. Panu Bensonowi. I chyba panu Gloverowi, kiedy był u nas z wizytą.

- A kim jest pan Glover?

- To znajomy pana Garveya, kiedyś prowadzili razem interesy. Przyjechał wtedy z Londynu.

- Czy wie pan, dlaczego pan Garvey pokazał pistolet panu i tym innym ludziom?

- Dlaczego? - Ward wzruszył ramionami. - Pewnie ot tak sobie.

- Nie musiał pan prosić o to, by go panu pokazał?

- Nie, proszę pana.

- Czy zna pan jakikolwiek powód, dla którego miałby nie pokazać go pannie Ashley, tak jak innym znajomym?

- Nie, proszę pana. Nie znam żadnego.

Patrzyłem na przysięgłych kątem oka. Kilku robiło notatki; wszyscy zdawali się słuchać uważnie. Nadszedł czas, by położyć fundamenty naszej linii obrony.

- Powiedział pan, że słyszał, jak panna Ashley krzyczała na pana Garveya mniej więcej dwa tygodnie przed jego śmiercią, zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- Czy w tym okresie widział pan lub słyszał, jak ktoś inny kłóci się z panem Garveyem lub na niego krzyczy?

- Tak, proszę pana.

Rysy Rogavina stężały. To było coś nowego. Mogłem się założyć, że jakiś nieszczęsny detektyw drogo za to zapłaci. Wskazałem ręką ławę przysięgłych.

- Panie Ward, czy może pan powiedzieć, czego był świadkiem?

- Tak, proszę pana. - Spojrzał na przysięgłych, trzymających długopisy w gotowości. - W środę, dzień przed Halloween, wracaliśmy z żoną ze sklepu. W środy zawsze robimy zakupy na cały tydzień. Z odległości kilkudziesięciu metrów zobaczyliśmy, że z domu pana Garveya wyszedł jakiś człowiek. Stał na ganku i odwrócił się w stronę drzwi. Ruszał głową i groził palcem komuś, kto był w środku, a kogo ja nie widziałem. Wydawał się zdenerwowany.

- Sprzeciw! - pospiesznie powiedział Rogavin. - Świadek snuje przy-puszczenia.

- Podtrzymuję - orzekł Warner.

- Panie Ward - powiedziałem - czy słyszał pan coś?

- Jego głos dochodził do miejsca, w którym staliśmy, ale nie mogłem rozróżnić słów. Byliśmy za daleko.

- Co stało się potem?

- Ten mężczyzna odwrócił się, by zejść ze schodów. Na ganku leżała dynia. - Odpowiadając na pytanie, Ward patrzył na mnie, ale teraz odwrócił się w stronę ławy przysięgłych, by wyjaśnić: - Zawsze przed Halloween drażę dynię, tak fantazyjnie. - Wszyscy zgromadzeni czekali niecierpliwie na jego odpowiedź.

- Proszę dalej. Niech pan powie przysięgłym, co się stało.

- No, ten człowiek podniósł nogę i kopnął dynię tak mocno, że wylądowała na ulicy. Zrobiła się straszna packa. Potem zszedł na dół, wsiadł do żółtego samochodu, rolls-royce'a, i bardzo szybko odjechał.

- Czy zauważył pan w tym samochodzie coś niezwykłego?

- Tak, proszę pana. Kierownica była po drugiej stronie.

- To znaczy tam, gdzie powinien siedzieć pasażer?

- Tak, proszę pana. To był angielski samochód. Przejechał obok nas i mogłem dobrze przyjrzeć się kierowcy.

Wszyscy przysięgli skrzętnie to zanotowali. Dziennikarze też. Większość osób zgromadzonych na sali już wiedziała, kto prowadził ten wóz, dzięki tym samym pisarkom, którzy zatruwali życie mnie i Ashley.

- Czy widział pan tego człowieka wcześniej, panie Ward? - spytałem.

- Nie, proszę pana.

- Czy widział go pan później?

- Osobiście nie. Ale widziałem jego zdjęcia w gazetach i w telewizji.

- Jest pan pewien, że to ten sam człowiek?

- Na sto procent, proszę pana.

- Czy w gazetach i telewizji podano jego nazwisko?

- To był Sherman Burroughs, proszę pana.

Na tym skończyłem.

- Panie Rogavin? Jakies pytania do świadka? - powiedział Warner. Nie sądziłem, by z historii Warda dało się jeszcze cokolwiek wyciągnąć.

Była zbyt prosta i zwięzła. Jednak Rogavin udowodnił, że w pełni zasłużył na swoją reputację.

- Panie Ward, twierdzi pan, że nigdy potem nie widział tego człowieka, ale jest pan pewien, że był to Sherman Burroughs?

- Tak, proszę pana.

- Nie ma pan co do tego żadnych wątpliwości?

- Nie, proszę pana, nie mam.

- Jak daleko był pan od tego człowieka, widząc go po raz pierwszy?

Ward odchylił się na oparcie i zastanowił się przez chwilę.

- Najpierw byłem dwa domy od niego, to będzie jakies trzydzieści metrów. Potem przejechał obok nas, dziesięć metrów od miejsca, w którym staliśmy, nie więcej.

- I siedział w szybko jadącym samochodzie?

- Tak.

- Jak długo widzieliście go z odległości dziesięciu metrów?
- Sekundę lub dwie, ale to wystarczyło.
- Wystarczyło, by mieć pewność, że to jego zdjęcie widzieliście w telewizji?
- Tak.

Rogavin kiwał głową. Musiałem mu to przyznać: dostał silny cios, ale poderwał się z desek i walczył dalej.

- Czyli, panie Ward, o ile dobrze zrozumiałem pańskie zeznanie, przez sekundę lub dwie widzi pan z odległości dziesięciu metrów człowieka w szybko jadącym samochodzie i jest w stanie go rozpoznać wiele tygodni później na ekranie telewizora. Czy to się zgadza?

Ward pokiwał głową z poważną miną.

- Tak, proszę pana. Najzupełniej. Jestem tego w stu procentach pewien.

Rogavin uśmiechnął się.

- Nie wątpię. Dziękuję panu. Wszyscy jesteśmy panu wdzięczni za to zeznanie.

Ward został zwolniony. Rogavin różnym krokiem wrócił na swoje miejsce i po konsultacji z asystentami poprosił o rozmowę z sędzią. Nachyliliśmy się ku Warnerowi i Rogavin powiedział, że nie wezwie na świadka pani Ward.

Jako następny miał zeznawać Miles Kellogg. Warner doszedł do wniosku, że to przesłuchanie potrwa dość długo i postanowił ogłosić przerwę na lunch. Kilka minut później byliśmy już w pokoju obrony i dzieliliśmy się kanapkami i napojami przysłanymi z biura. Wszyscy byli zbyt spięci, by rozmawiać o błahostkach.

- Czy po przerwie nie będzie problemów z miejscami? - spytałem Waltera.

- Gdzie tam - powiedział, żując sałatkę z kurczakiem. - Numerki są ważne przez cały dzień. Poza tym nikt się nigdzie nie wybiera. Jesteśmy gotowi.

- Powtórzmy wszystko jeszcze raz - powiedziałem, rozglądając się po pokoju. - Jeśli zdecydujemy się wprowadzić nasz plan w życie, zachowujcie się tak, jak do tej pory. Nie okazujcie żadnych uczuć, patrzcie na świadka albo na stół stojący przed wami. Za żadne skarby nie odwracajcie się w stronę publiczności.

Jeszcze pół godziny. Miałem ogromną ochotę na spacer, ale wszędzie roило się od kamer. Byłby to świetny materiał na otwarcie serwisu informacyjnego: „Podejrzewany o romans ze swoją klientką, Ashley Bronson, mecenas Frank O’Connell wczoraj podczas przerwy krążył samotnie wokół gmachu sądu”. Przeniosłem się na krzesło obok Ashley.

- Jak się czujesz? - powiedziałem.

- Zapytaj mnie o to za parę godzin - odparła cicho. - Nie wiem, jak ty sobie z tym wszystkim radzisz - musisz myśleć, planować i walczyć jednocześnie. To wydaje się takie stresujące.

- Stresujące dla nas obojga. Staraj się nie przejmować tym, co się tam dzieje, kiedy masz chwilę odpoczynku.

- No dobra, zmiana tematu. Czy artykuły o nas przysporzyły ci jakichś kłopotów?

- Przecież nie jestem już żonaty, pamiętasz?

- To żadna odpowiedź.

- Tak mówisz? To ja jestem prawnikiem, zapomniałeś?

- Fakt. Łączy nas więź oparta na wzajemnym zaufaniu. To znaczy, że musisz mówić mi prawdę. Zawsze. Żadnych kłamstw.

- Za odpowiednią opłatą.

- A więc to tak? Muszę płacić za prawdę?

- Taki jest kodeks prawnika. Ale proszę cię bardzo, jednej odpowiedzi udzielę ci gratis. Pytaj, o co chcesz.

- Zachowam to na później.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Dan White i powiedział do Waltera:

- Jesteśmy gotowi.

18

Proszę podać nazwisko do protokołu. - Miles Patrick Kellogg. - Spojrzał na protokolantkę i przeliterował: -K-e-l-l-o-g-g.

Najważniejszy świadek Rogavina wyglądał, jakby przyszedł prosto z łoży absolutów, w której oglądał mecz Yale-Harvard. Prosty nos, mocno zarysowany podbródek, siwiejące włosy zaczesane bardziej do tyłu niż na bok i ta wrodzona, niezachwiana pewność siebie, która sprawiała, że w sądzie pełnym facetów w garniturach nikogo nie raziła jego lekka kurtka i szare flanelowe spodnie.

- Panie Kellogg, gdzie pan mieszka?

- Na Avon Street trzy zero osiem siedem w Waszyngtonie, w Dystrykcie Kolumbia.

Kilka następnych minut poświęcili rodzinie i wykształceniu świadka.

Dopiero potem przeszli do rzeczy.

- Panie Kellogg - spytał Rogavin - czym się pan zajmuje?

- Jestem emerytem.

- A co pan robił przed emeryturą?

- Byłem zatrudniony w Centralnej Agencji Wywiadowczej - odparł.

„Zatrudniony”? Zerknąłem na przysięgłych. Nie wyglądali na zniesmaczonych, nawet ci, którzy rzadko bywali gdziekolwiek zatrudnieni. Wręcz przeciwnie, byli pod wrażeniem. Poczulem pod pachami krople potu.

Rogavin też patrzył na Kellogga z podziwem, tyle że udawanym.

- Proszę pana - spytał - czy może nam pan powiedzieć, czym zajmował się pan w CIA?

- Obawiam się, że nie.

Prokurator udał zaskoczonego.

- Nie może pan odpowiedzieć na moje pytanie?

Kellogg podniósł oczy na Warnera.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale nie wolno mi wyjawiać szczegółów mojej służby.

Warner pokiwał głową ze zrozumieniem.

- A czy może pan powiedzieć cokolwiek, choćby w najbardziej ogólnych zarysach?

Kellogg wydał wargi i po chwili namysłu powiedział:

- Służyłem w wielu placówkach na całym świecie. To, czym się zajmowałem, jest utajnione ze względu na bezpieczeństwo narodowe.

Zamierzali zrobić z niego Jamesa Bonda, a my nie mogliśmy im w tym przeszkodzić. Obejrzałem się na Waltera, który znów ruszał pięścią w górę i w dół.

- Cóż - zaczął Rogavin - może więc powie nam pan, jak długo pracował w terenie?

- Około dwudziestu pięciu lat.

- Czy musiał pan przejść specjalne szkolenia przygotowujące do wypełnienia wyznaczonych panu zadań?

- Tak.

- Czy może nam pan powiedzieć coś o tych szkoleniach?

- Raczej nie. Obejmowały różne umiejętności.

- Włącznie z wymaganymi w pracy w terenie?

- Tak. - Jeden z przysięgłych siedzących w tylnym rzędzie spojrzął znacząco na drugiego.

- Jak długo był pan szkoleny?

- Przez wiele lat. Właściwie szkolenie nigdy się nie kończy.

- Czy działając w terenie, musi pan wykazać się, powiedzmy, spostrzegawczością?
- Tak. Od tego zależy sukces misji i własne... bezpieczeństwo.

Rogavin stał na baczność przed pulpitem. Chciał, by wszystkie oczy zwróciły się na Kellogga.

- Pozwoli pan, że przypomnę mu wieczór pierwszego listopada. Czy pamięta pan, gdzie wtedy był i co robił?

- Tak. Zjadłem w domu kolację, a potem poszedłem do kina.

- Którego?

- Biograph w Georgetown. Seans zaczynał się o ósmej piętnaście.

- Pamięta pan, jaka była pogoda tamtego wieczoru? - Pamiętam, że padał deszcz i było dość chłodno. Wiem, że miałem na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i niosłem parasol.

- O której godzinie skończył się film?

- Zdaje się, że około dziesiątej.

- Co zrobił pan potem?

- Poszedłem do domu.

- W deszcz?

- Tak, lubię spacerować w deszczu.

W czasie przerwy na lunch obok miejsca dla świadka ustawiono ekran. Projektor połączony był z komputerem stojącym na ławie oskarżenia. Na dany sygnał na ekranie pojawił się powiększony plan Georgetown. Kellogg odpowiadał na pytania Rogavina i laserowym wskaźnikiem kreślił krętą trasę, którą wracał z kina Biograph. Kiedy mówił, na planie pokazywała się przerywana linia. Gdy w swojej opowieści doszedł do momentu, w którym znalazł się na ulicy Garveya, na ekranie pojawiło się jej powiększenie, z jednym domem zaznaczonym na czerwono. Przysięgli mogli prześledzić marszrutę Kellogga aż do punktu położonego naprzeciwko czerwonego domu.

- Czy wie pan, o której godzinie doszedł do tego miejsca?

- Między dziesiątą piętnaście a dziesiątą dwadzieścia - odparł Kellogg.

Jeden z pomocników Rogavina wcisnął kilka klawiszy i obraz powiększył się jeszcze bardziej. Teraz na ekranie widać było tylko czerwony dom i odcinek ulicy bezpośrednio przed nim. Litera K oznaczała miejsce, w którym zatrzymał się Kellogg.

- Czy mógłby pan opowiedzieć przysięgłym, co stało się potem?

Kellogg wbił wzrok w ekran, widząc tamten wieczór oczami duszy. Przysięgli siedzący najdalej od niego wychylili się w jego stronę, by nie uronić ani słowa.

- Przeszedłem lekkim ukosem na drugą stronę ulicy i znalazłem się tu, przed domem, przy krawężniku. -Na ekranie ukazała się przerywana linia i nowe K. -O tu, w tym miejscu, była zapalona lampa. - Na planie pojawiła się litera L. -Kiedy wszedłem na krawężnik, coś zwróciło moją uwagę. Spojrzałem w lewo i dokładnie... tutaj - wskazał miejsce, w którym natychmiast wyskoczyła litera X - zobaczyłem kobietę stojącą na trawniku, tuż przy chodniku.

- Jak daleko był pan od niej?

- Nie więcej niż sześć metrów.

Rogavin odsunął się od pulpitu i odszedł na odległość mniej więcej sześciu metrów od Kellogga.

- Tak daleko?

- Na pewno nie dalej.

- Czy może pan opisać przysięgłym tę kobietę?

Kellogg zwrócił się w ich stronę.

- Wyglądała na trzydzieści-trzydzieści parę lat, była wysoka, miała na sobie ciemny trencz i kapelusz. Co prawda przez ten trencz nie mogłem być tego pewien, ale wydawała się szczupłą, na pewno nie otyłą.

- Widział pan jej twarz?

- Tak, bardzo wyraźnie. Padało na nią światło lampy. Była bardzo atrakcyjna, takiej twarzy się nie zapomina. - Przysięgli spojrzeli odruchowo na Ashley. Nikt nie zamierzał się z nim spierać.

- Co stało się potem?

- Patrzyłem na nią przez chwilę. Rozglądała się dookoła, ale zdawała się mnie nie widzieć, może dlatego, że stałem między zaparkowanymi tam samochodami.

Rogavin podniósł stoper.

- Panie Kellogg, jeśli Wysoki Sąd pozwoli, chciałbym zademonstrować, jak długo widział pan kobietę, na którą natknął się tamtego wieczoru. Poczynając od chwili, kiedy powiem „Już”, będzie pan patrzył na mnie, tak jak na nią. Kiedy uzna pan, że przygląda mi się tak długo, jak wtedy jej, niech pan powie „stop”.

Warner zgodził się na tę demonstrację. Część przysięgłych spojrzała na zegarki, a ja podniosłem rękę, by mieć swój w polu widzenia. Wydawało się, że Kellogg gapi się na Rogavina całą wieczność, zanim wreszcie powiedział: „Stop”. Trwało to dwadzieścia trzy sekundy.

Rogavin wrócił za pulpit i przewrócił kartkę. Tym razem korzystał z wcześniej spisane planu, by nie przeoczyć żadnego istotnego szczegółu.

- Co stało się potem?

- Kobieta wyszła na chodnik i szybkim krokiem ruszyła na zachód. Ja skierowałem się na wschód, do domu. - Ekran zgasł.

- Czy miał pan wtedy jakikolwiek powód, by sądzić, że w tym domu popełniono zbrodnię?

- Nie.

- Kiedy dowiedział się pan, co spotkało Raymonda Garveya?

- Dopiero w następny wtorek. - Kellogg wytłumaczył przysięgłym, że wyjechał w góry i był odcięty od świata aż do chwili powrotu do Waszyngtonu, kiedy to zobaczył w telewizji wiadomość o tym, co się stało. - Telewizor był włączony ze ściszym dźwiękiem - powiedział. - O jedenastej poszedłem do kuchni coś przekąsić. Kilka minut później przechodziłem obok drzwi salonu. Zerknąłem na telewizor, na kanale dziewiątym właśnie trwały wiadomości. Nie słyszałem, co mówi spiker, ale w prawym górnym rogu ekranu było zdjęcie. Przedstawiało tę samą kobietę, którą widziałem tamtego wieczoru. Zaraz potem fotografia zniknęła, ale włączyłem wiadomości na innym kanale i dowiedziałem się, że kobietą tą była Ashley Bronson.

Do tej chwili Kellogg ani razu nie spojrział w naszą stronę. Rogavin pokazał mu kadr z serwisu informacyjnego kanału dziewiątego, przedstawiający spikera z widocznym w tle zdjęciem Ashley. Kellogg potwierdził, że to właśnie zobaczył w telewizji i fotografię przekazano przysięgłym, by mogli porównać ją z oryginałem. Zdjęcie było dobrej jakości, zrobione en face.

Nikt nie mógł mieć kłopotów z rozpoznaniem widocznej na nim osoby.

Nadszedł kluczowy moment przesłuchania.

- Zapomnijmy na chwilę o tym zdjęciu. Czy jest na tej sali kobieta, którą tamtego wieczoru widział pan przed domem pana Garveya?

Kellogg natychmiast zwrócił się w stronę ławy oskarżonych i wyciągnął rękę.

- Tak, siedzi tam, ubrana w niebieski kostium. To ją widziałem.

- Jest pan tego pewien?

Kellogg patrzył przez chwilę na Rogavina, jakby zaskoczony tym pytaniem. Potem odparł:

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że kobieta, która tam siedzi, i kobieta, którą widziałem tamtego wieczoru, to jedna i ta sama osoba. To Ashley Bronson stała wtedy na trawniku przed domem pana Garveya.

- I co zrobił pan potem?

- Natychmiast zadzwoniłem na policję.

Rogavin pokiwał głową z poważną miną.

- Dziękuję, panie Kellogg. Nie mam więcej pytań. - Odwrócił się do mnie i powiedział wyniośle: - Świadek jest do pańskiej dyspozycji, mecenasie.

Położyłem swoje notatki na pulpicie. Ze wszystkich stron dochodziło mnie szuranie krzeseł: widzowie i przysięgli zmieniali pozycje po czterdziestu pięciu minutach całkowitego bezruchu. Nagle podszedł do mnie Andy.

Położył przede mną karteczkę z nabazgraną przez Waltera wiadomością: Nie było go tam. Spojrzałem na Feinberga, który niemal niezauważalnie kiwał głową, a potem skierowałem wzrok na Kellogga. Świadek wcale nie był świadkiem. Ten, kto widział, jak Ashley popełniła zabójstwo, krył się za jego plecami. W tej chwili, stojąc za pulpitem, nie potrafiłem odgadnąć, co z tego wynika. Serce waliło mi w piersi. Wzięłem kilka głębokich oddechów i próbowałem uporządkować myśli. Wszystko po kolei.

- Panie Kellogg, o ile dobrze pana zrozumiałem, w czasie szkoleń między innymi doskonalił pan swój dar obserwacji?

- Tak.

- Ciekaw jestem, na czym to polega. Czy w wyniku szkolenia poprawił się panu wzrok?

- Nie.

„Tak” i „nie”. Rogavin trzymał go krótko.

- Czy widzi pan w ciemnościach wyraźniej niż inni ludzie?

- Nie.

- Czyli, że z rozpoznaniem kogoś, kogo widział pan na ciemnej ulicy, miałby pan takie same kłopoty jak my wszyscy, zgadza się?

Nie zamierzał odpowiedzieć na to pytanie zwykłym „tak” lub „nie”.

- Spostrzegawczość nie wymaga wyjątkowo dobrego wzroku - wyjaśnił - tylko wysiłku, praktyki, że tak powiem. Wyszkolono mnie, bym potrafił obserwować. Ludzie często patrzą, ale nie widzą, ponieważ nie przywiązują do tego odpowiedniej wagi.

- Czy jest pan w stanie „włączać” i „wyłączać” ten dar obserwacji, jak za naciśnięciem guzika?

Potrząsnął głową.

- Nie. Lata szkolenia i praktyki powodują, że staje się on drugą naturą.

Człowiek mija kogoś na ulicy i odruchowo myśli: „dwadzieścia siedem lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilo wagi, brak zarostu”.

Jak już mówiłem, to kwestia praktyki.

- Czyli, o ile dobrze pana rozumiem, chodzi o to, by umysł odnotowywał to, co widzą oczy?

Skinał głową.

- Można to tak ująć.

- Ale co się tyczy „widzenia”, czy nie jest prawdą, że mimo wieloletniego szkolenia nie jest pan w stanie lepiej niż ktokolwiek inny... - podszedłem do ławy przysięgłych - na przykład państwo przysięgli, rozpoznać drugiego człowieka na ciemnej ulicy?

- Dzięki mojemu wyszkoleniu, jestem lepszym obserwatorem.

- Nie rozumiem pańskiej odpowiedzi. Czy przyznaje pan, że szkolenie nie sprawiło, że widzi pan ludzkie twarze w mroku wyraźniej, niż my wszyscy?

- Tak - powiedział z irytacją. Spojrzeliśmy na siebie i po kilku sekundach złość zniknęła z jego twarzy, zastąpił ją niezmacony spokój. Życie tego człowieka sprowadzało się do nieustannego przewycięzania trudności w drodze do celu. Nie zamierzał dać się wciągnąć w tę próbę nerwów.

- Panie Kellogg, wróćmy do tej nocy, kiedy zamordowany został Raymond Garvey. Była wtedy ulewa?

- Zgadza się.

- Nie świecił księżyc ani gwiazdy?

- Ani trochę.

- Ulica jest wysadzana drzewami?

- Tak.

- A na początku listopada na drzewach tych były jeszcze liście, dodatkowo zasłaniające światło płynące z góry?

- To prawda.

- Miał pan parasol?

- Tak.

- Przy domu Garveya nie ma żadnych latarni, zgadza się?

Przez chwilę patrzył w zamyśleniu w sufit.

- Nie, o ile sobie przypominam, najbliższa latarnia jest przeszło trzydzieści metrów dalej.

- To znaczy, że szedł pan po omacku?

Pokręcił głową.

- To nie tak. Nie potrzebowałem latarki, by znaleźć drogę. Widziałem ulicę i jej okolice, więc było trochę światła, może padało z okien, a może odbijało od niżej wiszą-

cych chmur. Zapewniam, że nie wpadałem na drzewa czy znaki drogowe i że nie miałem latarki.

- Czyli było dość jasno, by iść ulicą, ale nie na tyle, by zobaczyć czyjaś twarz z odległości sześciu metrów, zgadza się?

- To prawda - przytaknął. - Zobaczyłem ją w świetle lampy. - Mówiąc „ją”, wskazał Ashley.

- No to porozmawiajmy o tej lampie. - Podeszedłem do ławy obrony i wziąłem raport policyjny i torbę. - W jakie źródło światła była wyposażona?

- O ile dobrze pamiętam, w jedną żarówkę.

Zajrzałem do raportu i spytałem:

- Gdyby policja stwierdziła, że była to tylko sześćdziesięciowatowa żarówka, czy miałby pan powód, by temu zaprzeczyć?

- Nie.

Podeszedłem z torbą do ławy przysięgłych, wyjąłem żarówkę i podniosłem ją. Przysięgli spojrzeli na nią, kiedy oznajmiłem:

- Sześćdziesięciowatowa żarówka.

- Czy chce pan dołączyć ją do dowodów, panie O’Connell? - spytał Warner.

- Tak, Wysoki Sądzie. - Sekretarz oznakował żarówkę naklejką i oddał mnie. Ostentacyjnie podałem ją Rogavinowi, by się na nią napatrzył, potem położyłem na poręczy ławy przysięgłych, tak by widzieli dowód i świadka jednocześnie. - Panie Kellogg, mówił pan, że wracał z kina?

- Zgadza się.

- Często chodzi pan do kina?

- Dość często. Lubię stare, klasyczne filmy, które pokazują w kinie Biograph.

- Co obejrzał pan tamtego wieczoru?

- Nieznajomych z pociągu. To film Alfreda Hitchcocka z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

- Pamiętam go. To kryminał, prawda?

- Tak.

- Trzeba czekać do samego końca, by dowiedzieć się, kto zabił?

- Panie O’Connell - ostrzegł Warner.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. Panie Kellogg, czy w tym filmie są jakieś sceny rozgrywające się na powietrzu, kręcone w świetle dnia?

- Tak, oczywiście, jest ich kilka.

- Czy, jako miłośnik kina, zgodziłby się pan, że w czasie scen nakręconych pod gołym niebem w sali jest więcej światła niż może dać sześćdziesięciowatowa żarówka?

- Nie jestem pewien, czy rozumiem pytanie. Chodzi panu o światło z ekranu?

- Dokładnie tak.

Kellogg nie wiedział, do czego zmierzam. Nie był świadkiem dyskusji Zespołu Bronson na temat alternatywy dla ryzykownego eksperymentu z udziałem Ashley i lampy, czy to przed domem Garveya, czy na sali sądowej.

Musieliśmy odwołać się do czegoś dobrze znanego, przytoczyć przykład miejsca, w którym ludzie mieliby kłopoty z rozpoznawaniem siebie nawzajem, i to Ashley wpadła na pomysł z kinem. Od razu bardzo mi się spodobał, bo czegoś takiego właśnie potrzebowaliśmy, a najlepsze było to, że kino nikomu nie kojarzy się z jasnością ekranu. Dla większości jest to miejsce, gdzie człowiek dobrze się bawi w samotności, obściskuje się z dziewczyną albo szuka po omacku swojego fotela.

Kellogg wbił wzrok w żarówkę, zerknął na Rogavina i odpowiedział, ważąc słowa:

- Zgadza się, że kiedy na ekranie pokazywana jest scena rozgrywająca się za dnia, pod gołym niebem, to bije od niego silniejsze światło niż z sześćdziesięciowatowej żarówki.

- Powiedział pan, że kobieta, którą zobaczył, stała w odległości około sześciu metrów i miała na sobie trencz i kapelusz, zgadza się?

- Tak.

Ponownie włożyłem rękę do torby i wyjąłem taśmę mierniczą. Odmierzyłem przy ławie przysięgłych sześć metrów, tyle mnie więcej wynosiła odległość między jej jednym a drugim końcem - szerokość ośmiu siedzeń.

Rogavin, coraz bardziej zaniepokojony, obejrzał taśmę, po czym skinął głową przyzwalająco.

- Czyli - ciągnąłem - gdyby przysięgli chcieli się zorientować, jakie miał pan pole widzenia, powinni sobie wyobrazić, że siedzą w kinie i patrzą na człowieka w kapeluszu siedzącego na drugim końcu rzędu. Zgadza się?

- No cóż - odparł Kellogg, wychylając się do przodu - tylko pod warunkiem, że ekran dawałby tak silne światło, o jakim pan mówił.

- Właściwie, według pańskich zeznań, gdyby ekran dawał tyle światła, nasz przysięgły widziałby tę osobę lepiej niż pan tamtego wieczoru, zgadza się?

Przywołana przeze mnie analogia z każdą chwilą coraz mniej mu się podobała.

- Nie wiem - odparł.

- Nie wie pan? Czy nie przyznał pan przed chwilą że ekran dawał więcej światła niż żarówka?

Rogavin miał już dość mojego toku rozumowania.

- Wysoki Sądzie - zaprotestował - te głupstwa o kinie są zbyt niejasne, by cokolwiek z nich wynikało. Świadek powiedział, że na ulicy było wystarczająco jasno, by znaleźć drogę nawet bez pomocy latarki. Kto przy zdrowych zmysłach może porównywać sytuację w sali kinowej do tego, czego pan Kellogg doświadczył tamtej nocy, pod gołym niebem, w pobliżu lampy i innych źródeł światła? To nic innego, jak spekulacje. Wnioskuje, by ta część zeznania została wykreślona z protokołu, a przysięgli otrzymali polecenie zignorowania jej.

Warner spojrział na mnie pytająco.

- To nie są spekulacje, Wysoki Sądzie. Przysięgłych nie było tamtego wieczoru na miejscu zdarzenia, chcemy więc wskazać im punkt odniesienia, na podstawie którego będą mogli lepiej zrozumieć zeznanie. Świadek przyznał, że w opisanych przeze mnie warunkach widoczność jest lepsza niż w świetle lampy. Obrona jest przekonana, że przysięgli potrafią odpowiednio wykorzystać tę analogię w swoich rozważaniach.

Sprzeciw Rogavina był spóźniony. Przysięgli nie mogli zapomnieć tego, co usłyszeli. Sędzia wiedział o tym i nie zamierzał nagle zmieniać kursu, tym bardziej, że mogłoby to obrócić się przeciwko niemu. A Rogavin tylko pogorszył swoją sytuację; dał mi możliwość zademonstrowania, że z nas dwóch to ja bardziej wierzę w inteligencję przysięgłych.

- Sprzeciw zostaje oddalony - powiedział Warner. - Ale dość już się nasłuchaliśmy o kinie. Proszę dalej.

- Panie Kellogg, czy kobieta, którą pan widział, miała umalowane usta?

- Nie wiem.

- Było za ciemno?

- Nie widziałem szminki na jej ustach. Mogła być w kolorze cielestym.

- Jakiego koloru miała płaszcz?

- Był ciemny.

- To znaczy czarny, niebieski, zielony, jakiś inny?

- Nie wiem. Nie mogłem tego stwierdzić.

- Czyli było tak ciemno, że nie rozróżniał pan kolorów, zgadza się?

Kellogg wzruszył ramionami.

- Można tak powiedzieć.

- I cztery dni później zobaczył pan w telewizji zdjęcie tej samej kobiety, zgadza się?

- Tak. To była ona.

- I między piątkiem a wtorkiem nie myślał pan o niej, prawda?

- Nie, proszę pana. Myślałem. - Pierwszym odruchem nieprzyjaznego świadka było wszystkiemu zaprzeczać.

- Myślał pan. - Zmarszczyłem brwi. - Raz, dwa razy w ciągu czterech dni?

- Zapewniam, że częściej - odparł natychmiast.

Milczałem. Nie zniósł ciszy i zaczął rozbudowywać swoją opowieść.

- Cała ta sytuacja wydała mi się dziwna - wyjaśnił, patrząc na przysięgłych. - Samotna kobieta w deszczu, w mroku... to, jak się rozglądała i stamtąd uciekła... - Pokręcił głową. - Między piątkiem a wtorkiem dużo o niej myślałem.

- I kiedy wrócił pan do Waszyngtonu, nadal miał pan przed oczami jej twarz?

Teraz musiał konsekwentnie trzymać się swojej wersji.

- Tak. Można tak powiedzieć.

Wziąłem dowód z biurka sekretarza i mignąłem nim Kelloggowi z odległości półtora metra.

- Fotografia ta pokazuje Stuarta Campbella, spikera lokalnych wiadomości, patrzącego w obiektyw kamery. W tle, w prawym górnym rogu ekranu, widać zdjęcie Ashley Bronson, zgadza się?

Ledwie na nie zerknął.

- Tak.

- I zdjęcie to jest tego samego rozmiaru co ekran pańskiego telewizora?

- Tak.

- W jakiej odległości był pan od ekranu, kiedy zobaczył pan ten obraz? -

Ponownie pokazałem mu zdjęcie z odległości metra.

- Z tego, co wiem, zmierzyła to policja: pięć metrów.

Wyjąłem taśmę mierniczą i odmierzyłem pięć metrów od ławy przysięgłych - tyle wynosiła odległość do pulpitu. Stałem tam i znów podniosłem fotografię.

- Panie Kellogg, kiedy zerknął pan tamtego wieczoru na telewizor, wciąż myślał pan o tej kobiecie, prawda?

Zamrugał nerwowo. Gdzieś w głębi jego umysłu rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Zawahał się przez sekundę.

- Nie wiem, o czym myślałem w tamtej chwili - odparł ostrożnie.

- No cóż, faktem jest, że przez kilka dni myślał pan o pewnej kobiecie i oto - znów podniosłem dowód - rzucił pan okiem na telewizor i zobaczył w wiadomościach wieczornych, jej zdjęcie, zgadza się?

- W pewnym sensie, owszem.

- A potem dodał pan dwa do dwóch i skojarzył obraz z pańskich myśli z widocznym na ekranie.

Kellogg zaczął kręcić głową, zanim skończyłem mówić.

- Nie, to nie tak.

- Tu wcale nie chodzi o spostrzegawczość, prawda? - powiedziałem drwiąco. - To zwykle wyciąganie pochopnych wniosków!

- Nie, proszę pana! - Kellogg znów wychylił się do przodu. - Wcale nie tak było.

- Panie Kellogg, czy mamy przez to rozumieć, że zobaczył pan pewną kobietę w miejscu, gdzie było ciemniej niż w sali kinowej, a potem, po upływie czterech dni, patrząc na telewizor z odległości pięciu metrów, rozpoznał ją, bez cienia wątpliwości - wyciągnąłem dowód w jego stronę - jako tę oto kobietę?

Kellogg wskazał zdjęcie i powiedział z naciskiem:

- Mówię panu, że tę właśnie kobietę widziałem przed domem zmarłego!

Zaniosłem zdjęcie sekretarzowi.

- Wysoki Sądzie, czy mogę prosić o oznakowanie tego zdjęcia jako dowód obrony numer jeden?

Rogavin wstał.

- Panie sędzio, zdjęcie jest już oznakowane jako dowód oskarżenia numer dwadzieścia trzy.

- Nie to zdjęcie - odparłem.

Sekretarz nakleił nalepkę na zdjęciu, wyretuszowanej przez nas kopii tego, które dostaliśmy od prokuratora. Podałem je Rogavinowi, który spojrzał na nie i poczerwieniał. Zerwał się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie! Wyrażam sprzeciw wobec włączenia tej fotografii do materiału dowodowego!

Warner wezwał nas do siebie. Wziął do ręki dowód, a my rwaliśmy się do głosu.

- To zmodyfikowana wersja dowodu oskarżenia? - spytał.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Wysoki Sądzie - wtrącił Rogavin. - To zdjęcie zostało pokazane świadkowi, zanim je oznakowano do celów identyfikacji. To było wysoce niestosowne!

Warner skrzywił się.

- Co pan na to, panie O'Connell?

- Panie sędzio, ta demonstracja dowodzi, że pan Kellogg mógł tamtego wieczoru wyciągnąć pochopne wnioski. Nie osiągnęlibyśmy tego celu, gdybyśmy musieli wcześniej oznakować nowe zdjęcie do celów identyfikacji.

Świadek nabrałby podejrzeń. Najważniejsze, że nie zostało ono pokazane przysięgłym przed włączeniem w poczet dowodów, co powinno nastąpić teraz.

- Można było to załatwić przed rozpoczęciem przesłuchania - powiedział Warner. - Poleciłbym panu Rogavinowi, by nie czynił żadnych aluzji

do tego, co ma nastąpić, a my nie musielibyśmy przechodzić przez to wszystko.

- Wysoki Sądzie, mogłem spróbować tak zrobić, ale Wysoki Sąd dobrze wie, że pan Rogavin i każdy inny oskarżyciel na jego miejscu, świadom, co ma się stać, mógłby do woli wyrażać sprzeciw wobec wszystkich pytań wiążących się z przygotowywaną próbą, co byłoby ze szkodą dla spontaniczności niezbędnej dla jej sukcesu. Panie sędzio, ten człowiek jest kluczowym świadkiem oskarżenia i właśnie zademonstrował swoją omyłność.

Przysięgli muszą się o tym dowiedzieć!

- Kim jest kobieta z tego zdjęcia? - spytał Warner.

- To modelka, panie sędzio. Zamieniliśmy fotografię panny Bronson na zdjęcie podobnej do niej kobiety.

- Ale jeśli świadek nie przyjrzał się zdjęciu uważnie, czego to dowodzi?

- No właśnie, panie sędzio - wtrącił Rogavin. - Nie wynika z tego nic ponadto, że rozgniewanego świadka łatwo jest wprowadzić w błąd. To nie proces, to pokaz magicznych sztuczek!

Nie mogłem uwierzyć, że Warner robi z tego problem.

- Panie sędzio - powiedziałem cicho, starając się nie okazywać niepokoju - kiedy pokazałem panu Kelloggowi to zdjęcie, miał przed oczami obraz mojej klientki. Spojrzał na nie i zobaczył to, co chciał zobaczyć. To samo mogło się stać tego wieczoru, kiedy rozpoznał moją klientkę na ekranie telewizora. To jedna możliwość. Druga jest taka, że nie ma na tyle dobrego wzroku, by odróżnić podobnie wyglądających ludzi w opisanych przez nie go warunkach. Tak czy inaczej, ta próba jest istotna.

Warner potarł szczękę.

- Postawił mnie pan w trudnym położeniu, panie O'Connell. Najpierw te dywagacje o kinie, do których dopuściłem, choć wydawały mi się trochę naciągane. Teraz to. Gdyby przyszedł pan z tym do mnie wcześniej, prawdo podobnie zezwoliłbym na tę demonstrację i powiedział panu Rogavinowi, że nie pozwolę na żadne wygłupy w czasie, kiedy pan

będzie zadawał pytania. Dowód zostałby wpisany na listę i miałby pan święty spokój. - Pociągnął nosem i pokręcił głową. - Ale pan chce wszystko zrobić po swojemu.

Nadszedł czas odpłaty. Wyraźnie cieszył się na myśl, że wina za ten dotkliwy cios dla obrony spadnie na moje barki.

- Będę to musiał przemyśleć - powiedział. - Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

Czułem w środku pustkę. Mimo że Warner na mnie polował, nie sądziłem, by mógł zrobić mi coś takiego. To było gorsze niż zwycięstwo formy nad treścią; mało jednak prawdopodobne, by sąd apelacyjny uznał to za odwracalny błąd. Zgodzą się z jego tokiem rozumowania i załatwią mnie.

- Panie O'Connell, pytałem, czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka.

- Wysoki Sądzie, kiedy Wysoki Sąd podejmie decyzję?

- Raczej nie wcześniej niż w poniedziałek. Potrzebuję tyle czasu, ile powinien był pan mi dać przed zdecydowaniem się na ten wyskok. Aha, i jeśli może pan przytoczyć jakiś werdykt na poparcie swojego stanowiska ... - zwrócił się do Rogavina - ... jeśli którykolwiek z was może przytoczyć jakiś werdykt, możecie mi przed poniedziałkiem przysłać notatkę na ten temat. A teraz powtarzam po raz ostatni: czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

Skoro istniała możliwość, że przysięgli nigdy nie dowiedzą się o pomyłce Kellogga, nie było wyboru. Musieliśmy posłużyć się Natalie.

- Tak, panie sędzio, mam więcej pytań.

- No to proszę bardzo.

Idąc w stronę pulpitu, minąłem ławę obrony.

- Zaczynamy - szepnąłem. - Pamiętajcie, co mówiłem. - Odchodząc, napotkałem spojrzenie Waltera. Domyślił się wszystkiego, obserwując moje gesty w czasie dyskusji z sędzią.

Kiedy wróciłem za pulpit, Rogavin posłał świadkowi uspokajające spojrzenie. Kellogg wydawał się ożywiony i gotowy do walki. Spojrzałem na jego zadowoloną, patrycjuszowską twarz i obiecałem sobie, że jeśli Ashley pójdzie do więzienia, zrobię wszystko, by dowiedzieć się, kto i dlaczego kazał mu kłamać, i wtedy nie ochroni go żaden sąd i żadne przepisy.

- Panie Kellogg, o ile dobrze pamiętam, mówił pan, że tamtego wieczoru przed domem pana Garveya stał pan między samochodami, kiedy zobaczył na trawniku kobietę, zgadza się?

- Tak.

- Jakiej marki były te samochody?

Kellogg zmrużył oczy.

- Marki?

- Chodzi o samochody, między którymi pan stał. Czy były to ford, chevrolet, toyota?

- Nie mam pojęcia.

- A czy mógłby pan spróbować to sobie przypomnieć?

Kellogg uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie. Nie zauważyłem, jakiej marki były te samochody. Nie zwracałem na nie uwagi. Patrzyłem na osobę, którą widziałem przed domem. - Mówiąc to, wskazał Ashley.

- No dobrze. Pomówmy w takim razie o ludziach, których widział pan tamtego wieczoru. Proszę opisać osobę siedzącą w kinie po pańskiej prawej stronie.

- O ile mnie pamięć nie myli, miejsce po prawej stronie było wolne.

- Cały rząd był wolny?

- Nie, dalej siedzieli jacyś ludzie.

- Dobrze więc, proszę opisać osobę, która siedziała najbliżej pana po lewej lub prawej stronie.

- Nie mogę tego zrobić.

- Było za ciemno, by cokolwiek zobaczyć?

Kellogg skrzywił się.

- Chyba już o tym rozmawialiśmy - odpowiedział.

- Skoro nie było za ciemno, czemu nie może pan podać opisu osoby, która siedziała blisko pana przez... ile?... przeszło półtorej godziny?

- Nie patrzyłem na tę osobę. Oglądałem film.

- Czy tamtego wieczoru zauważył pan kogokolwiek w kinie, powiedzmy, zanim zgasły światła albo kiedy ponownie się zapaliły?

- Tak, widziałem różnych ludzi.

- Proszę opisać jednego z nich.

Kellogg rozejrzał się, jakby liczył na to, że ktoś przerwie te wygłupy.

Rogavin jednak nawet nie drgnął. Znając skłonności Warnera, wiedział, że sędzia lada chwila sam się tym zajmie. Prokurator nie zamierzał marnować atutów po to, by postawić na swoim w jakichś nieistotnych kwestiach. Przecież przysięgli nie będą mieli za złe jego świadkowi, że nie pamięta twarzy, które widział przed dwoma miesiącami w kinie.

Kellogg jednak nie znał myśli Rogavina i nie zamierzał przewrócić się na grzbiet, za bardzo się cenił. Skoro chciałem opisu, to proszę bardzo.

- No cóż - zaczął - przypominam sobie, że przede mną, dwa siedzenia w bok, siedział mężczyzna. Zauważyłem go, zanim zgasły światła. Wyglądał na... hmm... mniej więcej pięćdziesiąt pięć lat, był łysiejący i dość tęgi. Nie wiem, ile miał wzrostu, bo widziałem go tylko jak siedział. Przypominam sobie, że był w płaszczu z futrzanym kołnierzem.

Nie potrzebowałem pomocy Waltera, by wiedzieć, że to kit. Kellogg mógł pleść bzdury do woli bez obawy, że złapię go na kłamstwie, i w pełni korzystał z okazji, by zabłysnąć przed publicznością.

- Panie Kellogg - powiedziałem - czy widzi pan tego dżentelmena dziś w sądzie?

- Mężczyznę z kina?

- Tak, tego, którego pan przed chwilą opisał.

Machinalnie rozejrzał się po sali i odparł:

- Nie, nie widzę go.

- Czy po wyjściu z kina, zanim dotarł pan przed dom pana Garveya, minął pan kogoś na ulicy?

- Padał deszcz, większość przechodniów niosła parasole. Nie przypominam sobie, żebym patrzył któremuś z nich w twarz.

- A osoba, która siedziała w kasie kina i od której kupił pan bilet? Może pan opisać ją lub jego?

- Cóż, byłem w tym kinie wiele razy. Bilety sprzedają tam różni młodzi ludzie. Mogę opisać kilkoro z nich, ale nie pamiętam, kto miał dyżur tamtego wieczoru. Mogła to być młoda kobieta, która pracuje tam od kilku lat.

- Proszę ją opisać.

- Ma około dwudziestu trzech lat, metr sześćdziesiąt wzrostu, waży około siedemdziesięciu kilo, trochę za dużo. Niech pomyślę... ma rudobrazowe włosy, brązowe oczy i bez przerwy żuje gumę.

- Czy jest to kobieta, którą widział pan wiele razy w ciągu ostatnich kilku lat?

- Tak.

- Czy jest dzisiaj na tej sali?

Rozejrzał się szybko i powiedział:

- Nie, nie ma jej tu.

- Bardziej interesują mnie ludzie, których widział pan jeden jedyny raz,

tak jak tę kobietę na trawniku. Czy ostatnio spacerował pan trasą, którą tamtego wieczoru wracał pan do domu?

- Nie.

- A czy ostatnio spacerował pan po swojej dzielnicy?

- Robię to bardzo często.

- No dobrze. Kiedy po raz ostatni był pan na spacerze?

- Przedwczoraj.

- Czy minął pan kogoś na ulicy?

- Kilka osób, owszem.

- Dobrze. Proszę opisać ostatnią z nich.

Rogavin w końcu nie wytrzymał.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Świadek powtarzał wiele razy, że kobieta stojąca na trawniku zwróciła jego uwagę. To nie to samo, co obserwacja przechodniów.

- Panie sędzio - odparłem - pan Kellogg powiedział też, że dar obserwacji nie jest czymś, co może do woli „włączać” i „wyłączać”, lecz stał się jego „drugą naturą”, zdaje się, że takiego właśnie sformułowania użył, i zaczyna działać automatycznie w chwili, kiedy świadek mijają kogoś na ulicy.

Jestem pewien, że dobrze zapamiętałem jego zeznanie, ale jeśli są co do tego jakieś wątpliwości, to proszę protokolantkę o przytoczenie odpowiednich fragmentów. Jeśli mam rację, to mamy pełne prawo poruszyć ten temat.

Rogavin uniósł dłoń w geście kapitulacji. Instynkt nadal podpowiadał mu, że kilka moich drobnych sukcesów nie może mu zaszkodzić.

- Wysoki Sądzie, pan O’Connell dobrze zapamiętał słowa świadka. Wy cofuję sprzeciw.

- Proszę, by świadek odpowiedział na pytanie - polecił Warner.

Kellogg przez chwilę pocierał podbródek.

- To dość trudne. To był mężczyzna. Tam, gdzie się mijaliśmy, było ciemno i zobaczyłem jego twarz dopiero, kiedy podszedł bardzo blisko mnie, i to tylko przez ułamek sekundy. Zdaje się, że był mniej więcej mojego wzrostu, metr osiemdziesiąt, szczupłej budowy ciała. Nie jestem pewien, ile do kładnie miał lat, bo, jak już mówiłem, było dość ciemno, ale wyglądał na czterdzieści-czterdzieści pięć. Miał na sobie płaszcz i jakiś kapelusz.

- Czy jest dzisiaj w sądzie?

Kellogg rozejrzał się.

- Nie widzę go, ale zaznaczam, że nie przyjrzałem mu się uważnie. Minęliśmy się szybko i nie przywitaliśmy się.

- Nie pomachaliście sobie, nie wymieniliście ukłonów?

- Nie.

- I nie zamieniliście nawet słowa, choćby „dobry wieczór” czy „cześć”?

- Nie, nic takiego.

- A czy zdarza się panu rozmawiać z ludźmi, których spotyka pan podczas spaceru?

- Czasami.

- Czy ostatnio spotkał pan kogoś, na kogo patrzył pan dłużej niż sekundę-dwie, z kim może pan nawet rozmawiał?

Kellogg w zamyśleniu wbił wzrok w sufit, a my czekaliśmy. Ciszę mąciło tylko łomotanie mojego serca. Byłem pewien, że on też to słyszy. Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Tak - odparł. - Rozmawiałem z kobietą, która się zgubiła.

- Zgubiła się?

- Tak jakby. Była u kogoś z wizytą i nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zostawiła samochód. Pomogłem jej go znaleźć.

- To znaczy, że chodziliście po okolicy, szukając samochodu? No cóż, mnie bardziej interesują...

- Nie, nie. - Machnął ręką. - Wskazałem jej drogę, kiedy powiedziała mi, w którym miejscu zostawiła samochód.

Nie odrywałem oczu od leżącej przede mną kartki, na której rysowałem kółka, by sprawić wrażenie, że robię notatki.

- Czy zdarzyło się to w ciągu ostatnich dwóch miesięcy? - spytałem.

- W zeszłym tygodniu, w Boże Narodzenie.

- I było to w Georgetown?

- Tak, na O Street, między... - zamknął oczy - ..Trzydziestą a Trzydziestą Pierwszą. - Widać było po nim, że dobrze się bawi.

- Jak długo rozmawiał pan z tą kobietą?

- Piętnaście-dwadzieścia sekund, może trochę dłużej.

- Jaka była odległość między wami?

- Jak to w czasie rozmowy. Metr, może mniej.

- Czy było jasno?

- Dostyc. Staliśmy pod latarnią.

- Było tam jaśniej niż pod lampą przed domem pana Garveya? - spytałem jakby nigdy nic.

- Nie, oświetlenie było mniej więcej takie samo. Widziałem jej twarz wyraźnie, tak jak twarz kobiety, którą obserwowałem tamtego listopadowego wieczoru.

- Jak wyglądała kobieta, z którą rozmawiał pan w zeszłym tygodniu?

- Była pod trzydziestkę. Średniego wzrostu, około metr sześćdziesiąt pięć, szczupła sylwetka, nie za gruba, nie za chuda. Miała nakrycie głowy podobne do beretu. Jej włosy sięgały prawie ramion. No i była atrakcyjna.

Przybierając zrezygnowany ton, spytałem:

- Panie Kellogg, czy naprawdę wystarczyło panu dwadzieścia sekund rozmowy z tą kobietą, żeby zwrócić uwagę na te wszystkie szczegóły?

- Tak.

- Czy jest ona dziś w sądzie?

Kellogg ponownie spojrzał nad moim ramieniem na publiczność. Oparłem się pokusie, by odwrócić się i zobaczyć, jak wygląda nasze dzieło z jego punktu widzenia. Dążyliśmy do tego, by maksymalnie zwiększyć nasze szanse, nie zdradzając się przy tym. Początkowo zdecydowaliśmy się na osiem kobiet w podobnym wieku i o podobnej karnacji, co Natalie White, ale w końcu uznaliśmy, że do tak dużej sali swobodnie może wejść ich czternaście, nie budząc niczyich podejrzeń. Przynęty były rozmieszczone tak, by Kellogg miał w zasięgu wzroku co najmniej dwie, w którąkolwiek stronę spojrzy. Ta, która była najbardziej podobna do oryginału, siedziała dokładnie naprzeciwko miejsca dla świadka. Każdej poleciliśmy nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

Minęło pięć sekund. Mój układ nerwowy funkcjonował na przyspieszonych obrotach, a długopis sam kreślił kółka na kartce. Widziałem, jak przesuwa się wskazówka zegarka. Dziesięć sekund. Sukinsynowi się nie spieszyło. Piętnaście sekund. Czyżbym się czymś zdradził? Zacząłem czuć ból w piersi i "zorientowałem się, że wstrzymuję oddech.

Zebrałem całą swoją siłę woli, wziąłem notes i przewróciłem kartkę.

Robiąc to, podniosłem głowę.

- Panie Kellogg?

- Nie widzę jej...

- Zdaje się pan mieć wątpliwości.

- Nie, nie. Jestem pewien. Nie ma jej tu.

- W porządku.

Wróciłem do ławy obrony i wziąłem kopertę. Stając twarzą do przysięgłych, rozewałem ją teatralnym gestem i wyjąłem zawartość, dwie kasety magnetofonowe. Jedną

dałem sekretarzowi i poprosiłem, by włączył ją do dowodów. Drugą wręczyłem Rogawinowi. Andy wyjął z torby magnetofon z dużymi głośnikami, mającymi dość mocy, by wypełnić dźwiękiem całą salę. Położył go na pulpicie. Jego ręce drżały, a pod pachami garnituru widać było plamy potu. Wziąłem taśmę od sekretarza i pokazałem ją Kelloggowi, który wpatrywał się w nią jak w węża.

Do Rogawina wreszcie dotarło, co się dzieje. Krew odpłynęła mu z twarzy i zerwał się z krzesła.

- Wysoki Sądzie! - krzyknął, ale Warner już przywoływał nas gestem do siebie. Prokurator nie czekał, aż protokółantka znajdzie się w zasięgu głosu, od razu zaatakował.
- Panie sędzio, czy to kolejny wyskok obrońcy?

Najpierw rozważania o kinie, potem podejrzone dowody, a teraz jakaś taśma, o której oskarżenie nic nie wie!

Warner przeszywał mnie wzrokiem.

- Czy świadek został nagrany? - spytał.

- Tak, panie sędzio - odparłem.

- Co u... nie wie pan, że manipulowanie świadkiem to przestępstwo?

- Nikt nie próbował wpływać na pana Kellogga, Wysoki Sądzie. Mamy takie same prawo do rozmowy ze świadkami, jak oskarżenie, i skoro możemy zadawać panu Kelloggowi pytania dotyczące sprawy, by ocenić jego spostrzegawczość, to w tym samym celu możemy rozmawiać z nim także na inne tematy. Jak pan usłyszy, świadek zamienił na ulicy kilka słów z przypadkowo spotkaną osobą, to wszystko. Nikt nie próbował skłonić go do zmiany zeznań czy zastraszyć. Nie zaszło nic niestosownego.

- Nagrali go bez jego wiedzy! - upierał się Rogavin.

Nie odrywałem oczu od Warnera.

- Wysoki Sądzie, jak pan wie, w naszym dystrykcie wymagana jest zgoda tylko jednej ze stron. Nie potrzebowaliśmy zezwolenia świadka, by na grać jego rozmowę.

Rogavin nie zamierzał dać za wygraną.

- Panie sędzio, zostaliśmy wciągnięci w pułapkę! To przesłuchanie powinno zostać przerwane do czasu, aż oskarżenie sprawdzi stosowne przepisy i rozważy swoje stanowisko. Zajmie nam to co najmniej jeden dzień.

- Myślę, że tak powinniśmy postąpić - przytaknął Warner.

- To wykluczone, panie sędzio - powiedziałem. - Pan Kellogg mówił o tym, co widać na sali sądowej, a obecny skład publiczności i jej rozmieszczenie jest istotne dla pytań, które chcę mu zadać. Jeśli przerwie pan rozprawę, nie będzie można odtworzyć tych warunków ani jutro, ani kiedykolwiek. Zmieni się otoczenie, a pan Kellogg będzie miał

dość czasu, by umniejszyć znaczenie tego, co się dziś stało. Rano obawiał się pan popełnienia odwracalnego błędu. Jeśli teraz zarządzi pan przerwę i moja klientka zostanie skazana, wyrok zostanie uchylony, a Ashley Bronson już nigdy nie stanie przed sądem.

Warner nie odpowiedział; spojrział na mnie, na Rogavina, a potem na widzów. W sali panowała cisza. Wszyscy wiedzieli, że nadeszła krytyczna chwila. Wreszcie zwrócił się do Rogavina.

- Czy może mi pan podać istotny powód, dla którego miałbym zakazać tej demonstracji? Już, w tej chwili?

Prokurator wbił wzrok w młotek sędziego, myśląc usilnie, szukając ratunku w swojej pomysłowości i latach doświadczenia, ale w końcu pokręcił głową.

- Nie w tej chwili - przyznał.

Warner skrzywił się.

- Będę więc musiał pozwolić obronie na dalsze przesłuchanie. Może pan kontynuować, panie O'Connell, ale ostrzegam: nie podoba mi się ton naszych rozmów. Kiedy ta rozprawa się skończy, rozliczymy się, zapewniam pana. Dziękuję, panowie. - Wróciliśmy na swoje miejsca i sędzia polecił mi wznowić przesłuchanie.

- Panie Kellogg, dowód obrony numer dwa to taśma z nagraniem pewnej rozmowy. Chciałbym, by pan tego posłuchał i powiedział, czy jest w stanie rozpoznać jej uczestników i okoliczności, w jakich się odbyła. - Włożyłem kasetę do magnetofonu i wcisnąłem „play”. Po kilku sekundach salę wypełniły głosy:

Przepraszam, ale szukam swojego samochodu i chodzę w kółko. Co to za ulica?

Jest pani na O Street.

Oj, chyba nie tu parkowałam.

W czasie odtwarzania nagranej rozmowy nikt na sali nawet nie drgnął.

Kellogg siedział sztywno i ze wzrokiem wbitym w magnetofon. Rogavin patrzył prosto przed siebie, jego noga stuknęła w podłogę jak klucz telegraficzny. Warner odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Ashley patrzyła na mnie tak jak całe wieki temu, w areszcie, kiedy uznała, że to ja jestem tym, kogo jej potrzeba.

Mówi Natalie White. Jest dwudziesta trzecia czterdzieści pięć, środa, dwudziesty piąty grudnia. Właśnie rozmawiałam z człowiekiem, którego zdjęcie wcześniej widziałam i którego przedstawiono mi jako Milesa Kellogga.

Podszedłem do pulpitu i zatrzymałem taśmę. Warner otworzył oczy i spojrział na świadka. Wszyscy przysięgli wychylili się do przodu i znieruchomieli.

- Panie Kellogg - powiedziałem cicho - czy było to wierne nagranie rozmowy, którą opisał pan przed kilkoma minutami?

Kellogg nadal wpatrywał się w magnetofon.

- Panie Kellogg? Podniósł na mnie oczy.

- To brzmiało jak tamta rozmowa - wymamrotał.

- Spytam pana jeszcze raz. Czy kobieta, z którą rozmawiał pan tamtego wieczoru, jest w tej sali?

Świadek, sędzia i przysięgli spojrzeli na morze twarzy rozciągające się za przegrodą. Rogavin na wpół odwrócił się na krześle, niespecjalnie zainteresowany. Widzowie patrzyli po sobie, jakby szukali tej tajemniczej kobiety.

Minęła kolejna minuta. Wreszcie Warner powiedział:

- Panie Kellogg, może pan odpowiedzieć na to pytanie? Czy ta kobieta jest w sądzie?

Kellogg wyciągnął rękę i odparł:

- Wydaje mi się, że to ona. Ta w szarej sukni.

Młoda kobieta w szarej sukni nie zareagowała.

- Wysoki Sądzie - powiedziałem - za pozwoleniem, czy mogę prosić o przyjęcie przysięgi od tej kobiety? Wiem, że to dość nietypowy wniosek, ale to bardzo ułatwiłoby nam zadanie.

Warner był równie zaciekawiony, jak wszyscy. Wezwał kobietę do siebie i kiedy stanęła przed poręczą, między ławami obrony a oskarżenia, kazał sekretarzowi odczytać tekst przysięgi.

- Niech pan kontynuuje, panie O'Connell - powiedział sędzia.

- Proszę podać swoje nazwisko do protokołu.

- Cecilia Ennis.

- Gdzie pani mieszka?

- W Arlington, w Wirginii.

- Pani Ennis, czy to pani głos słyszeliśmy na taśmie?

- Nie.

- Czy dwudziestego piątego grudnia była pani w Georgetown na lub w pobliżu skrzyżowania Trzydziestej Pierwszej i O Street?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek spotkała pani dżentelmena siedzącego na miejscu dla świadków?

- Nie wydaje mi się.

Spojrzałem na Warnera.

- Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do pani Ennis.

- A pan, panie Rogavin?

Rogavin pokręcił głową i pani Ennis została odesłana na swoje miejsce.

Warner kazał mi kontynuować.

- Panie Kellogg, zapytam pana raz jeszcze. Czy kobieta, z którą pan rozmawiał, jest w sali?

- Chyba nie - wymamrotał.

- Przepraszam, ale musi pan mówić głośniej.

- Chyba nie.

- „Chyba”? Nie jest pan pewien?

Kellogg miał już dość.

- Nie ma jej tu! - krzyknął. Przysięgli aż podskoczyli.

- Wysoki Sądzie, za pozwoleniem, chciałbym powołać na świadka jednego z widzów.

- Proszę bardzo.

Odwrociłem się i skinąłem głową. Siedząca w ósmym rzędzie Natalie wstała i wyszła na środek, by złożyć przysięgę.

- Proszę podać nazwisko do akt.

- Natalie White.

- Panno White, czy to pani głos jest nagrany na taśmie?

- Tak.

- Czy wieczorem dwudziestego piątego grudnia rozmawiała pani ze świadkiem w pobliżu ulic Trzydziestej Pierwszej i O Street?

- Tak.

Zajrzałem do notatek.

- Czy jest pani kobietą „pod trzydziestkę”, jak mówił pan Kellogg?

- Mam dwadzieścia dwa lata.

- Czy ma pani około metra sześćdziesiąt pięć wzrostu?

- Mam metr siedemdziesiąt. Wskazałem jej włosy, obcięte na pazia.

- Czy pani włosy sięgały ramion, kiedy spotkała pani pana Kellogga?

- Nie, były tej samej długości, co teraz.

- Czy miała pani na głowie beret?

- Nie, kapelusz z rondem.

- Pomijając stwierdzenia, że jest pani „atrakcyjna” i „szczupła” - powiedziałem z uśmiechem - czy pan Kellogg trafnie opisał choć jeden szczegół pani wyglądu?

- Nie.

- Dziękuję pani. - Zwróciłem się do Warnera. - Panie sędzio, za pozwoleniem, chciałbym, by panna White stanęła w takiej samej odległości od pana Kellogga, jak tamtego wieczoru, a my jeszcze raz odtworzymy nagranie.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Jaki to ma sens? - Rogavin był w coraz bardziej podłym nastroju.

- Jaki to ma sens, panie O'Connell?

- W czasie przesłuchania pan Rogavin polecił świadkowi pokazać, jak długo i z jakiej odległości patrzył na kobietę stojącą na trawniku. My mamy prawo do podobnej demonstracji.

Warner nie miał wyboru i zasepiony Kellogg zszedł z podwyższenia, by stanąć twarzą w twarz z Natalie i odegrać niemą wersję ich spotkania, podczas gdy nagranie znów rozbrzmiało w sali. Rozmowa trwała minutę i dziesięć sekund, praktycznie całą wieczność, a z chwilą, kiedy się zakończyła, ten sam los spotkał sprawę przeciwko Ashley Bronson.

Warner też tak uważał. Przywołał do siebie strony i zwrócił się do prokuratora niemal przepaszającym tonem:

- Panie Rogavin, będę musiał poważnie rozważyć wniosek o umorzenie sprawy, który pan O'Connell niewątpliwie złoży po zakończeniu prezentacji pańskich argumentów. Być może w interesie sprawiedliwości oskarżenie po winno samo wycofać zarzuty.

Rogavin skinął głową.

- Rozumiem, Wysoki Sądzie. Rzeczywiście, pan Kellogg okazał się mniej wiarygodnym świadkiem, niż na to liczyliśmy, ale podczas ostatniej przerwy dostarczono mi pewną wiadomość i w związku z tym proszę o spotkanie w pańskim gabinecie.

- W jakiej sprawie? - spytał Warner.

- Mamy jeszcze jednego świadka. - Sędzia otworzył szeroko oczy, wskazał drzwi i kazał nam pójść prosto do jego gabinetu. Wyszliśmy z sali.

Zza zamykających się za nami drzwi dobiegł głos Warnera, ogłaszający przerwę.

Kiedy czekaliśmy na sędziego, Rogavin unikał mojego wzroku. Nie miał i zamiaru niczego powiedzieć przed jego przyjściem. Byłem zdezorientowany.

Może prawdziwy naoczny świadek zgodził się zeznawać? Ale co by im i to dało? Jeśli oskarżenie trzymało go w odwodzie, choćby przez jeden dzień, nie ma mowy, by Warner pozwolił mu zeznawać. Tak bezczelna propozycja spowodowałaby przerwanie rozprawy tu i teraz. Z drugiej strony, jeśli świadek zgłosił się dopiero tego dnia, jego zeznania będą bezwartościowe. Po wysłuchaniu mów wstępnych cały świat wiedział, co rzekomo zobaczył Kellogg.

Oskarżenie mogłoby ściągnąć całą wycieczkę zakonną, które potwierdziłyby jego zeznania, a ja pozwoliłbym Andy'emu je przesłuchać, bo byłoby to takie łatwe.

Rogavin musiał zdawać sobie z tego sprawę. Czyżbym go przeceniał? W tej chwili zdziwienie przerodziło się w niepokój. Niemal dwadzieścia lat spędzonych w salach sądowych nauczyło mnie, że kiedy człowiekowi przez głowę przebiegają słowa typu „łatwe” czy „przeceniać”, to najwyraźniej coś przeoczył.

Rozkojarzony sędzia wszedł po pięciu minutach, prowadząc sekretarzy.

Kazał im zaczekać na zewnątrz i kiedy tylko zamknął drzwi, dał upust swoim emocjom.

- Odkąd zajmuję się prawem, jeszcze nigdy nie widziałem takiej sprawy! Nawet o takiej nie słyszałem! Proszę, niech pan mówi, panie Rogavin, ale lepiej, żeby miał pan naprawdę coś dobrego.

Rogavin podniósł kartkę papieru.

- W czasie przerwy wręczono mi tę notatkę. Sporządził ją Dennis Yee, który, jak sądzę, jest znany Wysokiemu Sądowi. To zastępca dyrektora laboratorium sądowego...

- Wiem, kim jest Yee - powiedział Warner. - Do rzeczy.

- Pan Yee twierdzi, że wczoraj wieczorem powtórzył część badań przeprowadzonych w czasie śledztwa. Zapewniam pana, że nie zrobił tego na moją prośbę, nic o tym nie wiedziałem. Powiedział, że zajął się tym z własnej inicjatywy, kierowała nim wyłącznie ciekawość. Przedmiotem jednej z analiz był płaszcz zarekwirowany w czasie rewizji w domu oskarżonej zaraz po jej aresztowaniu.

- No i?

- Pan Yee twierdzi, że znalazł ślady prochu wewnątrz prawego rękawa.

Zakręciło mi się w głowie.

Warner też był zszokowany.

- Za pierwszym razem niczego nie wykryli, a teraz Yee nagle znajduje ślady prochu?

- Tak.

- I chce pan, by zeznawał już dziś?

- Nie, Wysoki Sądzie. Oczywiście, przed powołaniem go na świadka przekazemy obronie jego raport i udostępnimy płaszcz do analizy.

Sędzia potarł szczękę.

- A kiedy to miałyby nastąpić? Jesteśmy w środku procesu.

To był sygnał dla mnie i wreszcie udało mi się zaczerpnąć dość powietrza, by wydobyc z siebie głos.

- Wysoki Sądzie, laboratorium policyjne miało wystarczająco dużo czasu, by przeprowadzić wszystkie niezbędne analizy. Jak sam pan mówił, je steśmy w środku procesu, a ja przygotowałem naszą strategię na podstawie tego, co wiedziałem o argumentach oskarżenia, i wszystko jej podporządkowałem. Jeśli proces będzie kontynuowany, muszę przygotować świadków obrony do złożenia zeznań i napisać mowę końcową. Co mam zrobić? Tracić czas na szukanie po całym kraju odpowiedniego eksperta? Rzucić wszystko, by przygotować odpowiednie pytania do pana Yee? Panie sędzio, odwołuję -W jej obronie się do pańskiego poczucia sprawiedliwości. Nie wiem, dlaczego pan Yee dopiero teraz zdecydował się zrobić, co do niego należy, ale to nie obrona powinna ponieść tego konsekwencje!

Rogavin wtrącił się, kiedy tylko zrobiłem przerwę, by zaczerpnąć powietrza.

- Panie sędzio, jest piątkowe popołudnie. Przysięgli nie są zakwaterowani w hotelu, więc nie stanie im się krzywda, jeśli dostaną dwa dodatkowe dni wolne. Moglibyśmy odroczyć rozprawę do środy, a to dałoby panu O'Connellowi cztery dni na przygotowania. W tej okolicy mieszka wielu znakomitych ekspertów. Miałem już do czynienia z analizami śladów prochu i wiem, że dla Wysokiego Sądu też nie są one niczym nowym. To wcale nie jest takie skomplikowane.

Warner spojrzał na mnie.

- Czy kiedykolwiek zetknął się pan z tego rodzaju dowodami?

Moje serce przygniótł ogromny ciężar.

- Tak.

- Naprawdę? Ile razy?

- Kilka. Było to jednak wiele lat temu, kiedy pracowałem w prokuraturze.

Nie musiałem przesłuchiwać świadków oskarżenia. To ja ich wzywałem.

- Ale musiał pan zaznajomić się z tą dziedziną, zgadza się?

- Tylko ogólnie. Przygotowanie do przesłuchania pana Yee zajmie mi sporo czasu.

- Zeszłego lata prowadziłem sprawę, w której była mowa o śladach prochu - powiedział Warner. - Oskarżony nazywał się Anton Carter. Oskarżycielem był Błock.

- Warren Błock - podsunął mu Rogavin.

- Warren Błock - powtórzył Warner. - Biegłym powołanym przez obronę był emerytowany technik laboratoryjny, który, o ile mnie pamięć nie myli, mieszka w Aleksandrii. Zdaje się, że niedaleko mnie. - Kupi to. Wystarczy go lekko pchnąć i wpadnie w siła Rogavina.

- Panie sędzio, pan O'Connell w przygotowaniach będzie mógł liczyć na pomoc eksperta. Wiem, że nie jest to dla niego najlepszy moment, na jego miejscu byłbym tego

samego zdania. Jednak pozostaje faktem, że właśnie zdobyliśmy ważny dowód, o którym przysięgli powinni usłyszeć. Może zrobimy przerwę do wtorku rano i wtedy sprawdzimy, co panu O'Connellowi udało się zdziałać? Jesteśmy gotowi niezwłocznie przekazać mu raport pana Yee, a ja osobiście dopilnuję, by mógł obejrzeć płaszcz oskarżonej o każdej porze dnia i nocy.

Warner kiwał głową, słuchając słów Rogavina.

- Panie O'Connell, od chwili rozpoczęcia tego procesu dałem obronie dużą swobodę działania, a pan w pełni to wykorzystał. Nie widzę powodu, żeby inaczej postąpić wobec oskarżenia. - Spojrzał na Rogavina. - Proszę dopilnować, by obrona uzyskała dostęp do wspomnianego płaszcza - powiedział - i jeszcze dziś, przed godziną szóstą, przekazać panu O'Connellowi nazwisko i numer telefonu eksperta.

- Załatwię to zaraz po zakończeniu dzisiejszego posiedzenia.

- Panie O'Connell, oczywiście może pan wybrać na bieglego, kogo tylko pan zechce - powiedział Warner. - Coś jeszcze, panowie?

Zabrałem głos.

- Chcę podać mój sprzeciw do protokołu. Przygotowałem linię obrony na podstawie dokumentów przekazanych przez prokuraturę na polecenie sądu. To jest atak z zaskoczenia, złamane zostało prawo mojej klientki do uczciwego procesu.

- Będzie pan miał po temu okazję - odparł Warner i wstał na znak, że to koniec rozmowy. - Spotkamy się we wtorek o dziesiątej rano, by sprawdzić, jak obrona sobie radzi. Wrócimy do sali. Powiem przysięgłym, że w poniedziałek i wtorek mają wolne i że powinni zgłosić się telefonicznie we wtorek wieczorem.

Wstaliśmy i skierowaliśmy się do wyjścia.

- Jeszcze jedno- dodał Warner - panie Rogavin, lepiej, żebym do czasu złożenia zeznań, o ile do nich dojdzie nie przeczytał o pańskim świadku w gazetach. Nie muszę panu mówić, jakie to miałyby skutki.

Głowa Rogavina podskakiwała jak korek unoszący się na wodzie.

- Rozumiem, Wysoki Sądzie.

Kiedy wróciliśmy na salę, wszyscy widzowie byli na swoich miejscach.

Wielu pewnie uważało, że rozprawa zaraz się skończy. Walter tylko rzucił okiem na moją twarz i od razu zmarszczył brwi. Ledwie usiadłem, Andy nachylił się do mnie i szepnął:

- To koniec? - Kiedy potrząsnąłem głową, mina mu zrzędała, ale zanim zdążył spytać, co się stało, wszedł Warner.

- Zarządzam przerwę do środy rano - oznajmił. - Przysięgłych proszę, by we wtorek wieczorem, między piątą a szóstą, skontaktowali się z biurem do spraw ławy przysięgłych w celu otrzymania ewentualnych nowych instrukcji. Wiem, że wszyscy państwo znacie numer. - Zdezorientowani przysięgli zostali wyprowadzeni z sali. Warner zastukał młotkiem w blat i za naszymi plecami rozległ się gwar.

Dziennikarze byli zaskoczeni nagłym zakończeniem posiedzenia i nie mieli dość czasu, by zająć miejsca przy wejściu do gmachu sądu. W ich branży wybór, czy narazić się sędziemu, czy naczelnemu, był prosty. Kiedy ruszyliśmy do wyjścia, zaczęli zarzucać nas pytaniami.

- Skąd ta przerwa, panie Rogavin?

- Co zaszło w gabinecie sędziego?

- Dlaczego oskarżenie nie zakończyło prezentacji swoich dowodów?

- Frank, czy obrona mimo wszystko będzie musiała przedstawić swoich świadków?

Ostrzał trwał nawet w windzie, która nie mogła ruszyć z miejsca, dopóki nie wyleciało z niej kilku dziennikarzy. Ashley stała w kącie, schowana za groźnie nachmurzonym Walterem, a ja mamrotałem: „Bez komentarza” do wszystkich podtykanych mi dyktafonów. Harry i Dan jakimś cudem dopchali się do nas w holu i utworowali nam drogę do samochodu. Wgramoliliśmy się do środka i powiedziałem Danowi, żeby zawiózł nas do domu Ashley. Była godzina szczytu i zaczęliśmy wlec się w stronę Georgetown. Wszyscy byli spięci. Siedzieliśmy w samochodzie całe pięć minut, kiedy Walter wreszcie odwrócił się i spojrzał na mnie pytająco.

- Mają jeszcze jednego świadka- powiedziałem.

Ashley do tej pory wyglądała przez okno, teraz zwróciła się twarzą do mnie.

- Naoczny? - spytał Walter.

- Nie, to specjalista z laboratorium. - Spojrzałem na Ashley i powiedziałem: - Mówią, że dopiero co znaleźli ślady prochu wewnątrz rękawa twojego płaszcza. To dowód na to, że strzelałaś z pistoletu.

- Nie mogą powołać nowego świadka! - krzyknął Andy. - To sprzeczne z konstytucją! To... nie fair!

- Rogavin twierdzi, że dowód został znaleziony zeszłej nocy. Dyskutowaliśmy o tym u sędziego, ale zdaje się, że Warner to puści. Słyszeliście, co mówił. W poniedziałek i wtorek nie ma posiedzenia sądu. Mamy czas do środy, żeby się przygotować.

Ashley bez słowa odwróciła się z powrotem do okna. Kątem oka zobaczyłem, jak Andy ociera oczy.

- To nie fair - wymamrotał.

19

Prasa postawiła tylną straż. Kiedy przyjechaliśmy do Georgetown, krótki zimowy dzień miał się już ku końcowi, ale dom tonął w blasku lamp kamer telewizyjnych, okrążony przez dziennikarzy chcących się dowiedzieć, dlaczego obrońcy nie zachowują się jak zwycięzcy, a oskarżyciele jak przegrani. Na N Street stały samochody i wozy transmisyjne z sygnałami wywoławczymi stacji i antenami teleskopowymi. Przedsiębiorczy sprzedawca kawy wydłużył swój dzień pracy, by być tam, gdzie coś się działo, i im zimniej się robiło, tym lepiej kręcił się interes.

Dziennikarze byli zbyt zmarznięci i sfrustrowani, by przejmować się granicami prywatnej posesji: chodnik prowadzący od podjazdu do domu został przez nich zablokowany, wysiedliśmy więc nieco dalej, na ulicy. Było nas tylko czterech plus Ashley, ale postanowiliśmy nie dopuścić, by powtórzyła się wczorajsza scena sprzed gmachu sądu. Uformowaliśmy klin, z Danem White'em na czele, i ruszyliśmy naprzód równym krokiem. Jak większość policjantów, Dan zawsze traktował dziennikarzy jak wrogów i torując drogę do domu, nie zyskał sobie ich przychylności.

Ledwie stanęliśmy na progu, Marta otworzyła drzwi na oścież i wpadliśmy do środka, ścigani przez psy gończe. Zaprowadziła Ashley na górę, a my zaczerpnęliśmy tchu i oszacowali szkody. Dan stracił guzik z rękawa ulubionego trencza Burberry i właśnie wyrzucał z siebie strumień soczystych przekleństw, kiedy zabrzączał dzwonek. Na ekranie monitora pojawiła się znajoma twarz lokalnego dziennikarza telewizyjnego, za którym stał kamerzysta.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - powiedziałem. - Chce nagrać, jak go spławiamy.
- Dzwonek rozległ się ponownie; słyszeliśmy przez drzwi, jak dziennikarz rozmawia z kamerzystą o oświetleniu.

Dzwonek zabrzączał po raz trzeci, potem czwarty.

- Dupek - burknął Dan i ruszył w stronę drzwi.

- Daj spokój - powiedziałem. - Nie chcemy, by nas pokazali w wiadomościach.

- Wierz mi - warknął. - Nie pokażą. - Otworzył szeroko drzwi i uśmiechnął się do zaskoczonego dziennikarza. - Hej, co słyhać? - powiedział przyjaźnie. - Nie widziałem cię od... Kiedy to było...? Trzy, może cztery lata temu.

Dziennikarz szybko odzyskał zimną krew.

- Tak... co najmniej - powiedział z uśmiechem. - Nazywasz się...

- Dan White. - Dan wyciągnął do niego dłoń. Dziennikarz przełożył mikrofon do lewej ręki i podał mu prawą.

- Tak, oczywiście. A co u ciebie?

- Jest nieźle. Przeszedłem na emeryturę - powiedział Dan, nie puszczając go.

- Zazdroszczę ci - stwierdził dziennikarz. - Słuchaj, chcielibyśmy...

- Hej! - wtrącił Dan, przyciągnął go do siebie i zniżył głos. - Chyba nie miałeś żadnych kłopotów po tamtym wieczorze, co?

- Kłopotów? - odparł dziennikarz. Nie uśmiechał się już tak szeroko.

- No właśnie. Pamiętasz to przyjęcie w ambasadzie kanadyjskiej? Pomagaliśmy je ochraniać i przyłapaliśmy cię, jak w limuzynie dawałeś sobie obciągnąć. Twoja żona się wkurzyła. - Kamerzysta odchylił się od celownika, by spojrzeć na dziennikarza.

- Żona? - Niepokój stał z jego twarzy resztki uśmiechu.

Dan też spowaźniał.

- To nie była twoja żona? - powiedział, mrużąc oczy. - Wiesz, zastanawialiśmy się, jak ci się udało złapać taką młodą. No, może włączysz kamerę, cwaniaku?

- To my już pójdziemy - wyjąkał dziennikarz, próbując wyrwać rękę z jego uścisku.

- Słusznie - prychnął Dan i puścił go. Zamknął drzwi, mamrocząc pod nosem o „zasranych pasożytach”.

- Oni wszyscy są pasożytami! - krzyknął Andy. - Parszywymi, zasranymi pasożytami, gorszymi od Rogavina! - Najmłodszy członek naszego zespołu wpatrywał się w drzwi roziskrzonymi oczami i zaciśniętymi pięściami. Za jego plecami, znieruchomiła w połowie schodów, stała Marta, która po chwili ochłonęła na tyle, by zaproponować nam kawę i ciastka. Idąc za nią do kuchni, obiecałem sobie, że kiedy będzie po wszystkim, przeprowadzę z moim współpracownikiem długą rozmowę o jego pierwszej sprawie.

Zadzwońłem do biura i dowiedziałem się, że Rogavin zostawił numer Arthura D. Bonnera, naszego potencjalnego eksperta. Chciałem porozmawiać z nim od razu, ale telefon odebrała pani Bonner, która była ciekawa, czy jestem tym Frankiem O’Connell, „który ma romans z Ashley Bronson”. Powiedziała, że Arthur nie wróci przed północą i przeprosiwszy kilkanaście razy za jego bezmyślność, obiecała, że każe mu zadzwonić do mnie, kiedy tylko przyjdzie. Zapewniłem, że może z tym poczekać do ósmej rano. Mimo że czas nas naglił, znałem się na badaniu śladów prochu na tyle, by wiedzieć, że nie jest to złożony problem. Albo były na płaszczu, albo nie, a jeśli nie było ich wcześniej, to teraz już były.

Nie minęło pół godziny od naszego przyjazdu, a my już musieliśmy wyjść.

Poszedłem na górę; nasza klientka obserwowała obłęzenie z okna sypialni, wciąż ubrana w płaszcz. Zrobiłem, co mogłem: powiedziałem, że to jeszcze nie koniec, że musi zachować optymizm, przytoczyłem wszystkie możliwe frazesy ze zbiorów mów motywacyjnych, ale ona nawet na chwilę nie oderwała wzroku od okna. Kiedy odwróciłem się, by wyjść, dotknęła mojego rękawa i wtuliliśmy się w siebie. Kołysaliśmy się w przód i w tył, próbując ocknąć się z koszmaru. Obiecałem, że wrócę - pieprz „Galaxy” i czwartą władzę.

O szóstej Zespół Bronson zebrał się w biurze, by stawić czoło naszemu ostatniemu niepowodzeniu - o ile śmiertelną ranę można nazwać „niepowodzeniem”. Panował posępny nastrój. Andy ciągle nie mógł się pogodzić z nagłą zmianą sytuacji, a Harry i Dan siedzieli ponurzy. Nie znali całej historii, ale uważali, że jeśli taka kobieta jak nasza klientka rzeczywiście zabiła jakiegoś faceta, to musiała mieć po temu ważny powód, a kiedy człowiek przez całe życie pochyla się nad obrabowanymi sklepikarzami i ofiarami porachunków gangów, nawet najlichszy powód ma dla niego dużą wagę.

Harry przyniósł coś do picia i przez kilka minut jedynym dźwiękiem w pokoju był trzask otwieranych puszek.

- Może ktoś ma jakiś wspaniały pomysł? - spytałem, patrząc na ich twarze.

Wszyscy utkwili wzrok w swoich piwach.

- No dobra, może być dobry... cholera, chłopaki, niech będzie nawet zły.

Brak odpowiedzi.

- Dan, co z tym facetem, jak mu tam, Yee?

- Pracował przy kilku moich sprawach. Chyba jest czysty. Tak wszyscy mówią.

- A co z tym drugim, tym, który przeprowadził pierwszą analizę? Andy, jak on się nazywał?

Miał raport rozłożony na kolanach.

- Einbinder. Jest asystentem w laboratorium. - Dan go nie znał.

- Na początek - powiedziałem - musimy sprawdzić Yee. Byłoby miło, gdyby okazał się moczymordą.

- Zdaje się, że nie pije - powiedział Dan. - Ile razy widziałem go ze szklanką w ręku, miał w niej tonik.

- Wiecie, chłopaki, byłbym zachwycony, gdybym dostał zdjęcie tego faceta wychodzącego z motelu z owcą, ale jeśli nie zdobędziecie niczego takiego, to wyszperajcie coś, z czego będę mógł skorzystać w czasie przesłuchania. Dan, porozmawiaj ze swoimi starymi znajomymi.

- Postaram się - obiecał - ale wczoraj zmieszałeś policję z błotem, kolego, a gliny trzymają się razem.

- Powiedz im, żeby nie brali tego do siebie. Obiecaj, że kupię pięćdziesiąt biletów na następny Bal Policjanta. Zrób, co uznasz za stosowne, bylebyś dowiedział się, kiedy i jak ten człowiek spieprzył jakąś sprawę.

- A co z biurem obrońców publicznych? - wychrypiał Harry. - Pracownicy biura na pewno często mieli do czynienia z technikami z laboratorium policyjnego.

- Dobra myśl - odparłem. - W weekendy zwykle siedzi w nim kilka osób. Skocz tam z samego rana, potem obdzwon całą resztę. Przy okazji sprawdź, czy ktoś dokonał jakiegoś cudu w sprawie, w której dowodem były ślady prochu. Chrzanię honor. Jeśli istnieje jakaś sprytna sztuczka, trzeba ją będzie wykorzystać.

- Taa - powiedział. - Z samego rana.

- I nie mów, dla kogo pracujesz. Jeśli rozniosą się pogłoski o śladach prochu na płaszczu, chcę, by Warner wiedział, kogo za to winić. Powiedz, że przysłała cię duża firma, która będzie ogromnie wdzięczna za pomoc okazaną jej detektywowi.

Przez następne trzy godziny uzgadnialiśmy wszystkie szczegóły i w końcu zdecydowaliśmy, że w razie sporu co do autentyczności śladów prochu będziemy mieli do wyboru co najwyżej dwie teorie: albo ktoś umieścił je tam celowo, albo między pierwszą a drugą analizą płaszcz został przypadkowo zabrudzony. Im dłużej o tym rozmawialiśmy, tym bardziej byłem przekonany, że będziemy musieli ogłosić, iż Ashley padła ofiarą spisku. Wiedzieliśmy, że jest trzech-czterech przysięgłych, którzy podejrzliwie zareagują na dowód ujawniony w ostatniej chwili. To oni prawdopodobnie byli naszą ostatnią nadzieją.

Jednym ze sposobów wzbudzenia ich podejrzeń było wykazanie, że Einbinder raczej nie mógł popełnić błędu. Andy powtórzył, że przeglądając materiał dowodowy stwierdził, iż policja i laboratorium pracowały z niezwykłą starannością. Znalazł tylko jeden błąd, coś było nie tak z jakimiś zdjęciami; poza tym policjanci sprawili się doskonale. Uznaliśmy, że powinniśmy to zweryfikować, ale mieliśmy tylko kopie raportów. Wszystkie dowody były zamknięte w magazynie.

- Myślisz, że pozwolą ci to wszystko jeszcze raz obejrzeć? - spytałem Dana.

- Żaden problem.

- Ty najlepiej zorientujesz się, czy wszyscy przestrzegali procedur. Jeśli tak, to pomyłka Einbindera może wydawać się podejrzana.

- Trochę to chyba naciągane - mruknął Harry.

- To jest naciągane! - warknąłem. - To jest cholernie naciągane! Ale jeśli ktoś nie przyniesie mi tego zdjęcia z owcą, to będzie musiało wystarczyć! - W pokoju znów zapadła cisza. Ci doświadczeni detektywi odgadli prawdę na długo przedtem, nim „Galaxy” opublikowała moje zdjęcia, i wiedzieli, pod jaką jestem presją. Kiedy odzyskałem zimną krew, dodałem: - Gdybyś miał z nimi jakieś kłopoty, Dan, daj znać. W tej chwili Rogavin pali się do tego, żeby mi pomagać.

Nic więcej nie przyszło nam do głowy. Andy miał napisać wniosek o wyłączenie zeznania Yee. Walter powiedział detektywom, żeby byli z nim w kontakcie na wypadek, gdyby miał dla nich nowe instrukcje.

Krótką podróż powrotna do Georgetown była pierwszą okazją do rozmowy z Walterem od czasu, kiedy przed sześcioma godzinami świat wypadł ze swoich torów.

- Teraz, kiedy już wiesz, że Kellogg kłamie - powiedziałem - może wytłumaczysz mi, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi.

Pokręcił głową z niesmakiem.

- Nie mogę tego rozgryźć - burknął. - Myślę i myślę i nic z tego nie wynika. - Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu i w końcu zaczął rozmyślać na głos. - No dobra, co właściwie wiemy? - Podniósł jeden palec. - Octagon chce wyciągnąć od starego jego wynalazek, on popełnia samobójstwo. Dobra, to ma sens. Po drugie, Garvey, który wiedział, co jest grane, zostaje zastrzelony. W porządku. Po trzecie, mamy dwie opowiadki o ludziach uciekających z miejsca zbrodni. Z jednej strony jest były agent CIA, który twierdzi, że nasza klientka odeszła sama, ale my wiemy, że kłamie.

- Jesteś tego pewien, co?

Spiorunował mnie spojrzeniem.

- Hej! Wiem to, co wiem.

- No dobra, mów dalej.

- Z drugiej strony mamy tego Bradmoora, który widział na miejscu zbrodni kobietę, która nie była sama, a on jest jedynym bezstronnym świadkiem w całej tej sprawie.

- Niedobrze mi się robi - powiedziałem.

- Spójrz prawdzie w oczy, mały. Dżokerem w talii jest nasza klientka.

Jeśli mówi prawdę, Kellogg jest podstawiony, zastępuje kogoś, kto nie może albo nie chce się ujawnić. Dlaczego? I czy ma to coś wspólnego z Octagonem i całym tym gównem? - Spojrzał na mnie, jakby spodziewał się, że mu odpowiem.

- Na mnie nie licz. Zgubiłem się, ledwie zacząłeś mówić.

- Jeśli ona kłamie, to miała co najmniej jednego współnika i go osłania.

- Jak to możliwe?

- To ją złapali. Jasne, nie chce iść do więzienia, ale nie zamierza też wciągnąć nikogo w ten bajzel. Dlatego ryzykuje na własną rękę.

Opuściłem szybę.

- A co ma do tego Kellogg?

- Może jest polisą ubezpieczeniową pozostałych. Gdyby się nie ujawnił, policja miałaby tylko zeznanie Bradmoora i zaczęłaby szukać człowieka, który wsiadł do samochodu uciekającego z miejsca zbrodni. - Zerknął na mnie z ukosa i wzruszył ramionami. - Wcale nie musiało tak być, ale mogło.

- Wolałbym nie zadawać tego pytania: która z tych dwóch wersji jest bardziej sensowna?

Westchnął.

- Pamiętasz naszą rozmowę po powrocie z domu Garveya?

- O tym, że Raymond był ubrany, a ona okazała się zadziwiająco dobrym strzelcem?

- No właśnie.

Wystawiłem twarz na mroźne powietrze.

- Co ty robisz, do cholery? - spytał.

- Weź, zastrzel mnie. Mierz tu, za uchem.

Podjechał do krawężnika na końcu ulicy i wyszedłem na ostry wiatr, sprawiający, że wydawało się, iż jest zimniej niż minus sześć stopni, które pokazywała tablica przy banku na Dupont Circle. Sierp księżycyca dawał niewiele światła. Ciszę mąciło tylko wycie wiatru i szelest suchych liści przetaczających się ulicą. Nie była to dobra noc dla podglądaczy. Podciągnąłem szalik i ruszyłem przed siebie, wypatrując fanatyków przyczajonych w bramach lub zaparkowanych samochodach. Sprawdziłem obie strony ulicy, zanim skręciłem na podjazd przed jej domem.

Zapukałem cicho. Otworzyła Ashley, w szlafroku i kapciach.

- Jadłeś coś? - spytała, kiedy powiesiłem płaszcz. Powiedziałem, że nie.

Zaprowadziła mnie do salonu, w którym na stoliku przygotowane było jedno nakrycie, a sama poszła do kuchni. Przeniknęło mnie ciepło bijące od ognia w kominku, a wraz z nim zmęczenie, które kleiło mi powieki. Osunąłem się niżej, by oprzeć głowę. W domu słychać było tylko brzęk garnków w kuchni.

Aż żał pomyśleć, że gdyby niejeden absolwent chemii, który miał za dużo wolnego czasu, tego wieczoru w posiadłości Bronsonów byłoby co świętować.

Ashley przyniosła tacę z talerzem zupy jarzynowej, bagietką i dwoma lampkami czerwonego wina. Rozpięła kołnierz mojej koszuli i wsunęła pod nią jeden róg serwetki.

- Jak było na spotkaniu? - spytała, masując mi kark.

Próbowałem ukryć niepokój.

- Mamy kilka spraw do załatwienia. Niejaki Arthur Bonner, podobno ekspert, jakich mało, ma zadzwonić tu z samego rana. Sprawdzamy też człowieka nazwiskiem Yee, który przeprowadził drugą analizę twojego płaszcza. I robimy przegląd procedur zastosowanych w czasie śledztwa. Jeśli policja była tak skrupulatna, jak sądzimy, może przysięgli nabiorą podejrzeń co do spóźnionego odkrycia Yee.

- A co ty myślisz o tym odkryciu?

- Nie wiem, czy proch tam był, czy nie.

- Chodzi mi o to, jakie to będzie miało znaczenie? Nie podniosłem głowy znad zupy.

- Jeśli przysięgli mu uwierzą, uznają cię za winną.

- Nie będą mieli innego wyjścia, prawda?

- Obecność śladów prochu można wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Jadłem, a Ashley siedziała w szlafroku i przyglądała mi się. Pewnie wyglądaliśmy jak większość małżeństw, choć niewiele żon łąduje w więzieniu, kiedy mąż ma zły dzień.

- Byłeś dzisiaj wspaniały - powiedziała, przeczesując palcami moje włosy.

Zabrzmiało to jak nagroda pocieszenia.

- Tak sądzisz?

- Chodzi mi o to, jak poradziłeś sobie z Kelloggiem.

- Kellogg kłamał. Wcale go tam nie było.

- Ale... powiedział prawdę.

- Na pewno? Przyjrzała mi się badawczo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Odłożyłem łyżkę i wyjąłem jej rękę z moich włosów.

- Nie mamy już więcej ruchów - powiedziałem. - Możemy tylko robić dobrą minę do złej gry.

Spuściła oczy.

- Rozumiem - szepnęła.

- Może gdybym wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, co stało się naprawdę, miałbym szansę uratować cię przed więzieniem.

- Jak to? Powiedziałaś ci wszystko...

Uniosłem dłoń.

- Dość. Jestem zbyt zmęczony i mam zszargane nerwy. Wiesz, Warner trafił w sedno, kiedy mówił o zawodowym obiektywizmie. Ja swój zatraciłem i kierując się uczuciami, pomiąłem zbyt wiele dowodów. Zawiodłem cię, Ashley. Dałem ci się oszukać.

Jej głowa odskoczyła do tyłu, jak od ciosu w twarz.

- Frank, przysięgam...

- Skoro już przysięgasz, to powiedz mi, kto oprócz ciebie był tamtego wieczoru u Garveya. Brown? - Na dźwięk tego nazwiska otworzyła szeroko oczy. - Tak myślałem. Czy to ty zastrzeliłaś Garveya, czy tylko prowadziłaś samochód? Nawet jak mi to powiesz, trzeba będzie jeszcze wyjaśnić, co Kellogg ma z tym wszystkim wspólnego... i w co właściwie jesteś zamieszana.

- Mylisz się. - Jej oczy wypełniały się łzami. - Nie oszukałam cię... Kocham cię.

- Dobra, dobra, zostanemy przy Brownie.

Otarła oczy i wydawało się, że przez całą wieczność wpatrywała się w ogień. Wreszcie zaczęła mówić:

- Był tu - powiedziała cicho. - Z Raymondem. Nie wiedziałam, jak się nazywał, dopóki go nie opisałeś.

Odłożyłem łyżkę i zamknąłem oczy. W głębi serca wciąż miałem nadzieję, że Walter się pomylił.

- Kiedy to było?

- Po pogrzebie taty pojechałam do domku w górach, żeby wyrwać się stąd na kilka dni. Wzięłam ze sobą dziennik i to tam przeczytałam ostatni wpis. Im dłużej o nim myślałam, tym bardziej byłam wściekła. W końcu wróciłam do domu. Marty nie było, ale Raymond zawsze miał klucz do naszego domu. Znalazłam ich w bibliotece. Wszędzie walały się jakieś papiery, a oni zdejmowali książki z półek i rzucali je na podłogę. Kazałam im przestać, ale Raymond powiedział, że mój ojciec miał jakieś dokumenty, które należały do niego, i że musi je natychmiast odebrać. Nie chcieli wyjść, nawet kiedy zagroziłam, że wezwę policję, więc w końcu powiedziałam mu, że je spaliłam.

- Spaliłaś je?

Potrząsnęła głową.

- Nie, tak tylko powiedziałam. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

- Jezu! Co było potem?

- Raymond mi nie uwierzył. Spytał, jak wyglądały te dokumenty. Powiedziałam, że były w wypchanych, zaklejonych kopertach, a ponieważ tata prosił, żebym ich nie otwierała, więc tego nie zrobiłam. Musiało to zabrzmieć przekonująco, bo Raymond zbladł i upadł na kanapę.

- Co powiedział Brown?

- Spytał, kiedy je spaliłam. Powiedziałam, że na kilka dni przed śmiercią taty. On tylko popatrzył na mnie... mówię ci, Frank, strasznie się bałam... a potem powiedział Raymondowi, że nie da się już nic zrobić.

- I to wszystko?

- Nie. Raymond wpadł w szal. Zaczął krzyczeć i przeklinać. Powiedział, że mój ojciec był dzieckiem, które ktoś zawsze musiał prowadzić za rękę, i że gdyby nie odziedziczył dużych pieniędzy, skończyłby jako nędzny bibliotekarzyna. Dokładnie tak powiedział: „nędzny bibliotekarzyna”. - Jej oczy błyszczały; od samego opowiadania tej historii na nowo rozgorzał w niej gniew i nie potrzebowałam pomocy Waltera, by wiedzieć, że mówi prawdę. - Powiedziałam mu, że tata był tysiąc razy lepszym człowiekiem od niego, a on uśmiechnął się dziwnie i spytał, czy chcę usłyszeć całą prawdę o moim ojcu, poznać mały sekrecik Henry'ego Bronsona. - Zawiesiła głos, usiłując się opanować.

- Mów dalej - powiedziałem zachęcająco.

- Brown kazał mu się zamknąć.

- I Raymond go posłuchał?

- Tak. Bał się go. Brown ani razu nie podniósł głosu, ale i tak budził strach. Widać było po nim, że jest zdolny do wszystkiego.

- Co stało się potem?

- Wyszli. Zostawili straszny bałagan. Siedziałam w bibliotece przez wiele godzin i z każdą chwilą coraz bardziej wściekałam się na nich za to, co zrobili.

Łatwo zgadnąć, co było dalej.

- I wtedy poszłaś do Raymonda?

Skinęła głową.

- Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałam znać prawdy o moim ojcu! - krzyknęła. - I tak już nie żył. Po co mi wiedzieć, co Raymond miał na myśli? Wyznałam ci, co zrobiłam i dlaczego, bo wydawało mi się, że tylko to się liczy. Wiedziałam też, że jeśli powiem ci o Brownie, w końcu zaczniesz go szukać, by ustalić, czemu tata się zabił. Więc tego nie zrobiłam.

- I to cała historia? Byłaś sama, kiedy zastrzeliłaś Garveya?

- Mówię prawdę, Frank. Teraz twoja kolej.

- Jak to?

- Coś ukrywasz. Ty wiesz, prawda? Wszystko rozgryzłeś.

- Wiem - przyznałem.

- Ja też chcę wiedzieć.

- Serio? Skąd ta nagła zmiana?

- Bo gorzej jest nie wiedzieć. To tak jakby mgła przesłaniała moje wspomnienia o ojcu, a teraz ich potrzebuję bardziej niż kiedykolwiek. Frank, nie wiem, czego się dowiedziałeś, ale Henry Bronson był dobrym człowiekiem i cokolwiek zrobił, jakoś się z tym pogodzę. Postaram się to zrozumieć i odzyskam wspomnienia.

Może gdybym nie był tak zmęczony, stawiałbym opór. Jednak moje zdecydowanie zniknęło bez śladu, a ona mówiła bardzo przekonująco.

- Pamiętasz zdjęcie, które ci pokazywałem? Zostało zrobione w Kalifornii, w pobliżu miejsca o nazwie Lawrence Livermore Laboratory, tajnego ośrodka, w którym prowadzono prace nad bombą atomową. Twój ojciec tam pracował. Mężczyzną siedzącym obok niego na ławce jest Herbert Epstein.

Spojrzała na mnie zdumiona.

- Bomby atomowe. Czy to właśnie...

- To jeszcze nie wszystko. Trzecim mężczyzną na fotografii jest rosyjski szpieg. Herbert i twój ojciec przekazywali mu tajne informacje.

- Mój ojciec? - Pokręciła głową oszołomiona. - Herbert powiedział ci, że mój ojciec był szpiegiem?

- Tak. I potwierdził autentyczność innych dowodów.

Ukryła twarz w dłoniach i szepnęła:

- O mój Boże!

- Ashley, to właśnie hak, który Raymond na niego miał.

- Ale dlaczego?

- Twój ojciec zaprojektował detonator bomby atomowej. Jego konstrukcja była bardzo prosta i dziś wart jest fortunę dla każdego, kto dysponuje innymi elementami niezbędnymi do jej produkcji. Mają je przyjaciele Raymonda. Gdyby zdobyli projekt twojego ojca, mogliby otworzyć sklepik dla wszystkich grup terrorystycznych gotowych dobrze zapłacić. Dali mu wybór: albo oddasz nam plany, albo cię wydamy. Dlatego...

Z jej gardła wyrwał się pierwszy szloch, a potem wszystko znalazło ujście, ból spowodowany stratą ojca, procesem i lękiem przed przyszłością, uczucia, które dusiła w sobie przez ostatnie tygodnie. Wzięłam ją w ramiona i zacząłem lekko kołysać.

- Przykro mi, Ashley. Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Herbert mówił, że twój ojciec wierzył, że dzielenie się tajemnicami broni atomowej z Rosjanami to jedyny sposób na to, by świat stał się bardziej stabilny.

Zrobił to, co uważał za najkorzystniejsze dla ludzkości. Zresztą, to już nie ma żadnego znaczenia. To historia, która nigdy nie zostanie opowiedziana.

- Chodźmy na górę - powiedziała błagalnym tonem. - Chcę, żebyś mnie przytulił. Chcę, żeby ten dzień już się skończył.

No i to właśnie zrobiliśmy.

Śniło mi się, że przegraliśmy. Przysięgli krzyknęli „winna”, strażnik stanął między nami i zaczął ją wyprowadzać, a ja próbowałem go powstrzymać, ale moje nogi były ciężkie i miałem jakieś kłopoty z butami, potem musiałem ominąć Rogavina, co zabrało mi jeszcze więcej czasu, a kiedy wreszcie dotarłem do celi, już jej tam nie było, więc zacząłem łomotać w zamknięte drzwi.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem sufit przez koronkowy baldachim nad jej łóżkiem. Sen prysnął, ale ja wciąż słyszałem łomot, choć nie tak głośny. Ucichł, by po chwili rozlegnąć się znowu. Kiedy wróciła mi jasność myśli, zdałem sobie sprawę, że ktoś lekko puka do drzwi. Wstałem, uchyliłem je i zobaczyłem Martę, która szepnęła, że dzwoni jakiś pan Bonner.

Włożyłem spodnie i koszulę, zszedłem na palcach do biblioteki i podniosłem słuchawkę. Głos na drugim końcu linii był rzeński.

- Pan O'Connell?

- Tak. Dzwoniłem do pana w imieniu Ashley Bronson.

- Domyśliłem się. Kobieta, która odebrała, powiedziała, że to rezydencja panny Bronson.

- Tak, hmm, właśnie mamy śniadanie robocze.

- Śledzę tę sprawę, jak chyba wszyscy.

- Zanim przejdę do rzeczy, panie Bonner, pozwoli pan, że o coś zapytam. Czy istnieje jakaś sprzeczność interesów bądź inne powody, mogące przeszkodzić panu w pracy nad tą sprawą?

- Nie. Żona zabiłaby mnie, gdybym odrzucił tę propozycję.

- To, co panu powiem, jest poufne.

- Niech się pan nie obawia. Nie będę pana oszukiwał, rozmawiam z żoną o mojej pracy, ale jesteśmy małżeństwem prawie czterdzieści lat i jeszcze nigdy nie powiedziała nikomu ani słowa o sprawach, w których uczestniczyłem, a mamy za sobą kilka naprawdę głośnych.

- Dobrze, przyjmuję pana. Jest pan gotów do pracy?

- Ubrany, nakarmiony i gotowy.

- Zastępca dyrektora laboratorium policyjnego szukał śladów prochu na płaszczu należącym do mojej klientki i twierdzi, że znalazł jakieś po wewnętrznej stronie rękawa.

To zdarzyło się wczoraj. Płaszcz został sprawdzony na początku października przez asystenta, który wtedy niczego nie wykrył.

Oskarżenie będzie twierdzić, że to było jego niedopatrzenie.

- I to spore.

Uzgodniliśmy, że Bonner obejrzy płaszcz jeszcze tego ranka, by sprawdzić, co i jak. Ostrzegł, że było mało prawdopodobne, by znalazł jakieś źródło zanieczyszczenia. Mógł co najwyżej stwierdzić, czy na płaszczu są ślady prochu, czy nie. Skąd się tam wzięły, Bóg jeden raczy wiedzieć.

20

Był późny sobotni poranek, drugi dzień kampanii, a ja nie miałem nic do roboty. Tak często bywa z przygotowaniami do procesu: najpierw walczysz, by zyskać jak najwięcej czasu, a potem siedzisz i myślisz, czego ci właściwie potrzeba. Czasem jest tego niewiele, zwłaszcza, kiedy tkwisz w pułapce i nie masz pola manewru. Bonner pewnie był już w laboratorium, może nawet zaczął badania. Andy pisał wniosek, Dan sprawdzał Yee, a Harry Lerner próbował dogadać się z ludźmi z biura obrońców publicznych.

Ja kręciłem młynka kciukami, bo parę godzin snu i długie rozważania nie podsunęły mi żadnych nowych pomysłów. O jedenastej postanowiłem wyjść, by Ashley nie widziała, jak się objam. Powiedziałem jej, że mam coś do załatwienia w biurze, i poszedłem kręcić kciukami gdzie indziej. Szybki marsz do Dupont Circle nie podziałał na mnie pobudzająco i wciąż wisiała nade mną groźba, że nie będę miał nic do roboty, kiedy wszedłem do gabinetu i zobaczyłem Waltera rozwalonego na kanapie.

- Spałeś tu?

- Ciągle myślę o Kelloggu.

- I?

- I nic. Szlag mnie trafia.

- No to trzymaj się mocno. Mieliśmy rację co do całej reszty. Garvey, Sherry i pan Brown działali wspólnie, szukali dokumentów, które, jak sądzili, miał Henry Bronson. Niewykluczone, że chodziło o plany detonatora.

Spojrzał na mnie.

- Kto ci to powiedział?

- Raymond i pan Brown zjawili się bez zaproszenia i przetrząsnęli bibliotekę starego. Wtedy wróciła gospodyni i wywiązała się kłótnia. Raymond powiedział, że Henry miał jakieś należące do niego dokumenty i stąd to przeszukanie. Ona w przypiływie olśnienia powiedziała, że je spaliła.

- Pierdolisz?

- I wypadła przekonująco. Pan Brown uznał, że to koniec. Raymond wściekł się i przed wyjściem zaczął mówić paskudne rzeczy o jej ojcu.

- A wtedy ona złożyła mu wizytę.

- Po odczekaniu kilka godzin, by wprawić się w odpowiedni nastrój.

Walter usiadł i sięgnął po stojący na podłodze kubek kawy. Sączył jąw zamyśleniu, rozważając nowe informacje.

- Czyli jednak coś ukrywała.

- Tak, ale teraz już powiedziała całą prawdę. - Spojrzał na mnie. - Jestem pewien. Poszła tam sama i zastrzeliła Raymonda. I wyszła sama.

- Czyli jeśli czegoś nie przegapiliśmy, Kellogg jest podstawiony. Skoro tak, to czemu prawdziwy świadek nie może się ujawnić i czy ma to coś wspólnego z Octagonem?

Zadzwoił telefon. Wcisnąłem guzik głośnika i pokój wypełnił głos Dana White'a.

- Frank?

- Jestem tu z Walterem. Co słyszeć?

- Przejrzałem materiał dowodowy. Wszystko jest w porządku, to chyba dobra wiadomość. To było podręcznikowe śledztwo.

- W laboratorium też?

- Uhm. Jeśli to w czymś pomoże, ze zdjęciami wszystko było w porządku. Te z miejsca zbrodni trafiły do jednej koperty. Inne nie zostały do nich dołączone, bo nie zrobiła ich policja. Ekipa śledcza zabrała je z domu Garveya, ale rozumiem, dlaczego chłopak myślał, że to jakaś pomyłka.

- Dlaczego?

- Bo wyglądają jak zdjęcia policyjne.

- Może nimi są?

Parsknął śmiechem.

- Słuchaj, chłopcze, pracowałem przez dwadzieścia trzy lata w wydziale zabójstw, zapomniałeś? Policja nie używa polaroidów.

Walter wstał i pochylił się nad głośnikiem, czerwony na twarzy.

- Dan, powiedz coś o tych polaroidach.

- Są trzy - padła odpowiedź. ~ Jeden przedstawia blat biurka. Na dwóch pozostałych są chyba wnętrza szuflad. Jakby ktoś uczył się robić zdjęcia czy coś w tym stylu.

- Słuchaj, Dan - powiedział z przejęciem - jest tam ktoś oprócz ciebie? Obserwuje cię ktoś?

- Nie. Sierżant przyprowadził mnie tylko do magazynu i życzył powodzenia.

- Przynieś tutaj te zdjęcia.

Na drugim końcu linii nastąpiła chwila zawahania.

- Jezu, Walter, przecież to dowody w trwającym procesie.

Walter był niewzruszony.

- Słuchaj, musimy mieć oryginały, rozumiesz? Schowaj je pod koszulą i przyjedź tutaj najszybciej, jak możesz.

- Ty tu rządzisz. Mam nadzieję, że klientkę będzie stać na opłacenie mi emerytury.

- Bez obaw - odparł i odłożył słuchawkę. Wrócił na kanapę i zaczął trzeć podbródek, mamrocząc pod nosem. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak poruszonego. - Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi - powiedział wreszcie i znów zamilkł. Minęło kilka minut.

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi - próbowałem pociągnąć go za język.

Skinał głową i powtórzył:

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi.

- W porządku - powiedziałem. - Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi. Nixon wygra! wybory, Miami ligę futbolową, a ktoś tam World Se-ries. I tyle. Brakuje mi pomysłów i jeszcze trochę, a cię uduszę.

- Pamiętasz ludzi, których widział Bradmoor?

- Tak, no i co?

- Zdaje się, że zostawili wizytówkę. Zaczekajmy, aż przyjdzie Dan. Chcę się co do tego upewnić, a poza tym muszę jeszcze trochę pomyśleć.

Dan zjawił się po piętnastu minutach, mimo zimna spocony jak mysz.

Miał polaroidy pod koszulą.

- Wedle rozkazu - powiedział, dając je Walterowi. - Mam nadzieję, że są warte mojego tyłka.

Dan nie chciał nawet przebywać w jednym pokoju z kontrabandą; wyszedł, by dalej rozpracowywać Yee.

Walter przejrzał zdjęcia i zaczął kręcić głową.

- Ktoś za to dostanie w dupę - powiedział z szerokim uśmiechem. Wstał z kanapy i usiadł na krześle stojącym przy biurku.

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi - powiedział.

- Ty znowu swoje?

- Jesteśmy na czatach na Upper West Side i nic się nie dzieje. Już mamy dać sobie z tym spokój, kiedy dostajemy wezwanie. Jakaś stara kwoka widzi błyski w oknach biurowca naprzeciwko. Wiemy, o który jej chodzi, nie?

Można się dostać na jego dach z sąsiedniego budynku, dlatego zostawiamy wóz na ulicy obok, wchodzimy na dach i skradamy się schodami w dół.

Słuchamy pod drzwiami i, kurde, fakt, w środku są włamywacze. To zupełnie bez sensu, bo tam jest redakcja jednej z tych porąbanych gazet, które domagają się odsunięcia Nixona od władzy i aresztowania całego Pentagonu.

Co stamtąd można zwinąć?

- Proszę, powiedz mi, że to ma coś wspólnego z naszą sprawą.

Uniósł dłoń.

- Wpadamy do środka z wyciągniętymi pistoletami i włączamy światła.

Patrzemy, a tu wszyscy mają broń, rozumiesz? My wrzeszczymy „policja”, oni „FBI”, a wszyscy naraz wydzieramy się „rzućcie broń”. Czegoś tak popieprzonego pewnie w życiu nie widziałeś. Wszyscy czerwoni, gapią się jedni na drugich, totalne zamieszanie. Musieliśmy wezwać porucznika żeby to wyprostować. Kiedy na niego czekaliśmy, zacząłem się rozglądać. Przeszukiwali ten lokal, rozumiesz? Wszędzie było widać polaroidy przyklejane do biurka, szuflad, szafek - wszystkiego, nawet koszy na śmieci. Oznakowane markerem, tak jak te. - Podniósł polaroidy. W prawym górnym rogu każdego widniał numer napisany czarnym markerem: osiemnaście, dziewiętnaście i dwadzieścia trzy.

- Po co to?

Zdawał się mnie nie słyszeć.

- Zjawia się porucznik, dzwoni do paru osób i obie strony postanawiają się wycofać.

- Nie rozumiem. FBI robiło rewizję?

Gwałtownie potrząsnął głową.

- E tam, rewizję! - prychnął. - To była robota. - Spojrzałem na niego bez wyrazu. - Czarna robota - wyjaśnił. - Tak nazywali takie przeszukania.

- Skąd to wiesz?

Parsknął śmiechem.

- Widzisz, później trzeba było wydać jakiś oficjalny komunikat, bo nagrane zostało zgłoszenie włamania i rozmowa między nami a dyspozytornią. Za Hoovera stosunki mię-

dzy policjanowojorską FBI na najwyższych szczeblach były do dupy, więc wysłano mnie na spotkanie z najwyższym rangą federalnym obecnym na miejscu zdarzenia. Gość okazał się cholernym Irlandczykiem z Fordham, nawet wychowaliśmy się w tej samej parafii. Tak czy siak, przy kilku, a może kilkunastu piwach ułożyliśmy przekonujący opis zajścia, a zanim nastał świt, poznałem całą historię FBI i czarnych robót.

- A teraz opowiesz ją mnie.

- Taa, musisz ją poznać. Zaczęło się w latach czterdziestych, kiedy federalni uganiali się po Nowym Jorku za nazistami. Bez przerwy łazili po biurach, tropiąc sympatyków faszyzmu, szpiegów i sabotażystów. W czasie wojny uważano, że tego wymaga bezpieczeństwo narodowe i nikt nie zawracał sobie głowy przepisami, choć Roosevelt podobno o wszystkim wiedział. W każdym razie robili to też w latach pięćdziesiątych, za czasów McCarthy'ego, tyle że sprawdzali komuchów i piątą kolumnę. W latach sześćdziesiątych Hoover podobno kazał z tym skończyć, ale to nic nie dało.

- Dlaczego?

- Przez Nową Lewicę. SDS, Weathermenów*⁶ i wszystkie grupy antywojenne, które pojawiły się na uniwersytetach. Wszyscy mieli to gdzieś do czasu, kiedy w Waszyngtonie zaczęły wybuchać bomby. Federalni nagle znaleźli się pod dużą presją. Musieli jak najszybciej wykryć sprawców. I bingo!

Ludzie od czarnej roboty wrócili do pracy.

- Działali bez nakazów?

- A skąd by je wzięli? Nie mieli uzasadnionego powodu. W połowie przypadków nie mogli nawet przypisać podejrzanym żadnego przestępstwa.

Wtedy coś mnie tknęło.

- Czekaj no, pamiętam. Jacyś pracownicy Biura stanęli z tego powodu przed sądem... kiedy to było... piętnaście lat temu? Dwadzieścia? Pamiętam, że w prokuraturze toczyły się dyskusje, czy te przeszukania były uzasadnione mimo braku nakazu. Agenci zostali skazani, a prezydent ułaskawił ich zaraz po wygraniu wyborów.

- Zgadza się. Wchodzili do domów krewnych, znajomych i sympatyków osób podejrzanych o zamachy. To była typowa obława, tyle że na większą skalę i wielu ludzi uważało, że wszystko jest w porządku.

- Czyli federalni szukali w redakcji gazety tropu zamachowców?

⁶ * Rewolucjoniści działający w Stanach Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych (przyp. tłum.).

- A jak. Podziemie było w stałym kontakcie z prasą, publikowało w niej manifesty i inne pierdoły.

- No dobra. Czarne roboty. Naziści, komuchy i Nowa Lewica. Chcesz przez to powiedzieć, że FBI odważyło czarną robotę w domu Garveya?

- Zdobyłeś główną nagrodę - powiedział z uśmiechem. Przez chwilę grzebał w kieszeni na piersi i wyjął wykałaczkę zawiniętą w biały papier.

Miała miętowy smak. Na ogół używał takich tylko po dobrych posiłkach; były dla niego tym, czym dla miłośników cygar dobre hawany. Najwyraźniej nadarzyła się okazja do świętowania.

- Polaroidy dowodzą, że było tam FBI, tak jak w redakcji tamtej gazety?

Skinął głową.

- Czarna robota to nie zwyczajne włamanie. Nie chodzi o to, żeby coś zabrać. Agenci mają zdobyć informacje i nie zostawić po sobie żadnego śladu. A żeby to się udało, trzeba odłożyć wszystko, dosłownie wszystko, na swoje miejsce.

- Dlatego robi się zdjęcia polaroidem.

- Nikt niczego nie dotyka, dopóki pomieszczenie nie zostanie obfotografowane. Goście z aparatami wchodzi do środka i robią zdjęcia wszystkiego.

Jeśli stoi tam biurko z jakimiś papierami, fotografują je. To samo, jeśli chcą przeszukać szuflady czy szafę z książkami. I przyklejają zdjęcia do biurka, szuflady, półki, wszędzie, gdzie trzeba. Zanim wyjdą, wszystko musi wyglądać tak, jak na fotkach.

- Po co je numerują?

- Żeby wychodząc upewnić się, że wszystkie zabrali. Jeśli zrobili dwadzieścia cztery zdjęcia, to powinni mieć polaroidy ponumerowane liczbami od jednego do dwudziestu czterech. Nie zostawiają żadnych śladów.

- Ale w domu Garveya zostawili trzy.

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- Może być tylko jeden powód. Wyszli w pośpiechu.

- Garvey wrócił?

Prychnął.

- Wykluczone! Czas się nie zgadza. Bradmoor widział, jak uciekali stamtąd koło dziesiątej czterdzieści pięć. Garvey zmarł między dziewiątą a jedenastą.

- Zostaje jeszcze kilka minut.

- Są zbyt ostrożni, żeby dać się złapać gospodarzowi. Wszyscy znani lokatorzy przeszukiwanego domu są obserwowani. Jeśli Garvey idzie do restauracji, to jakiś fede-

ralny filuje na wejście, a może nawet siedzi przy sąsiednim stoliku. Kiedy facet prosi o rachunek, to zanim wyciągnie kartę kredytową cała ekipa już o tym wie. Właściciel domu nie ma szans ich przyłapać.

- A mimo to ktoś ich zaskoczył.

- Tak. Ktoś. - Jego oczy utkwione były w moich.

Teraz to ja pokręciłem głową.

- Nie. Nie... to... niemożliwe! - Nie odpowiedział, tylko czekał, aż sam wyciągnę wnioski. Podszedłem do okna, odtwarzając w pamięci odegraną przez nią scenę. Ashley podchodzi w ciemnościach do domu, przemierza patio i otwiera drzwi. FBI jest w środku. I co potem?

Wtedy wgniotło mnie w podłogę. Obróciłem się na pięcie i wydyszałem:

- Robisz sobie ze mnie jaja! Walter, cholera jasna, powiedz mi, i to natychmiast, że nie myślisz, że zabiła agenta FBI!

- Nie myślę, że zabiła agenta FBI - powiedział ze spokojem.

- Dzięki Bogu!

- Myślę, że postrzeliła agenta FBI. Pewnie go nie zabiła.

Zatoczyłem się i runąłem na krzesło. Walter nie patrzył już na mnie; rozmyślał i kiwał głową, wypełniając ostatnie luki w tej absurdalnej historii, którą wymyślił na podstawie trzech polaroidów.

- No dobra - powiedział - może nie mam w stu procentach racji, ale myślę, że tak to było. Zaczniemy od tego, czego domyśliliśmy się już wcześniej. Są lata pięćdziesiąte, stary przekazuje tajne informacje Rosjanom, którzy wiedzą jego wynalazku. Octagon działa od dawna, pewnie jest częścią siatki zajmującej się tymi materiałami. Półwieku później kraj się sypie, według Herberta, Rosjanie sprzedają pluton temu, kto da najwięcej. Kłopot polega na tym, że nikt nie ma detonatora, i projekt starego staje się bezcenny.

Ktoś przypomina sobie o nim i niespodzianka, stary jeszcze żyje. Trzeba go tylko przekonać, żeby rozstał się ze swoim dziełem. Sherry mówi im o Raymondzie i robią z niego pośrednika.

- A teraz ciąg dalszy. FBI ich namierzyło?

- Jasne. Herbert powiedział, że na czarnym rynku materiałów do produkcji bomb jest pełno agentów wywiadu udających nabywców. A Biuro wiedziało o ich siatce od lat.

- No tak. Twój milczący przyjaciel z FBI z Nowego Jorku.

- Za pośrednictwem Raymonda zaczynają naciskać na starego. Kiedy ten popełnia samobójstwo, wszystko bierze w łeb. Wybucho panika.

- To wtedy pan Brown zostawił Sherry'emu wiadomość - powiedziałem.

- Tak. Sam dopowiedziałeś następną część tej historii. Raymond i pan Brown postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce i szukają projektu w domu Bronsona. Nasza klientka przyłapuje ich na tym, mówi, że się spóźnili, no i żegnaj, Raymondzie.

- Żegnaj, Raymondzie?

- Ci ludzie nie przetrwaliby w tej branży pięćdziesięciu lat, gdyby zostawiali nierozwiązane problemy. Raymond już raz o mało się nie wygadał, kiedy w domu naszej klientki puściły mu nerwy. Co gorsza, zrobił to w obecności Browna. To był błąd.

Jego opowieść wciągała mnie coraz bardziej.

- Skoro plany przepadły, Raymond stał się nierozwiązanym problemem. Byli z Brownem w domu Ashley po południu. Kilka godzin później już nie żył.

- Pewnie został zamordowany bliżej dziewiętej, bo to, że Raymond był martwy, kiedy weszła do jego domu, jest tak pewne, jak to, że gówno jest brązowe, a noc następuje po dniu.

- Mówiłeś, że FBI dobrze się zabezpiecza podczas czarnej roboty. Skoro Raymond był w domu, a oni mimo to tam weszli, to musieli wiedzieć, że on nie żyje.

- Uhm. Założę się, że dom był na podsłuchu, a skoro tak, to na pewno słyszeli, jak Raymond dostał kulkę.

- Raymond zginął, a oni natychmiast zjawili się w jego domu, tak to wyglądało?

- Na pewno. Mieli dużo powodów, by to zrobić. Skoro szlag trafił ich plany, może liczyli, że chociaż uda im się złapać Browna jeszcze na miejscu zbrodni. Gdyby zagrozili mu, że oskarżą go o zabójstwo, łatwiej byłoby wyciągnąć z niego to, na czym im zależy. Zresztą, nawet gdyby im uciekł, przynajmniej miałiby ostatnią szansę na przeszukanie domu Raymonda. No i nie zapominaj, że musieli przed przybyciem policji zabrać stamtąd kilka mikrofonów. Dużo roboty, mało czasu.

- Czyli nikt nie obserwował drzwi.

- A po co? Niby kto miał przyjść? Jest burzliwa noc, federalni siedzą w środku, robią swoje, kiedy nagle nasza klientka wpada do domu bocznymi drzwiami.

- Jeden z agentów wchodzi do salonu i bum!, rozpętuje się piekło. Czemu jej nie złapali?

- Spójrz na to z ich punktu widzenia. Nie powinno ich w ogóle tam być, zgadza się? Jeden z agentów jest ranny, wokół roi się od mikrofonów i lada chwila może się zjawić policja. Co mają zrobić? Aresztować tę nieznaną kobietę? Dopiero musieliby się tłumaczyć. Słuchaj, znam takich federalnych jak oni. Nikt, kto jest tak nisko w hierarchii, że musi narażać własny tyłek w czasie czarnej roboty, nie podejmie decyzji mogącej zagrozić Biuru. Będzie utrzymywał status quo, dopóki nie dostanie instrukcji z góry.

Dlatego skończyło się pewnie na tym, że ktoś poszedł za naszą klientką, by zidentyfikować ją na wypadek, gdyby szefowie chcieli później coś z nią zrobić.

- Wiesz, z ich punktu widzenia to nawet logiczne. Kiedy zauważyli, że Ashley po postrzeleniu agenta nie poleciała na policję, uznali, że chciała popełnić morderstwo. Musiała za to odpokutować. Skoro aresztowanie jej za to, co zrobiła, nie wchodziło w grę, wybrali inne rozwiązanie: aresztowali ją za to, co zamierzała zrobić.

Walter nie okazał zrozumienia.

- O ile się nie mylę, to nie była uczciwa zamiana. Zamiast usiłowania zabójstwa zarzucili jej zabójstwo pierwszego stopnia.

- Co wyjaśnia jeszcze jedną ciekawostkę związaną z tą sprawą: dlaczego kazano Rogavinowi przedstawić mi korzystną ofertę ugody. Gdybyśmy na nią przystali i Ashley przyznała się do nieumyślnego zabójstwa, dostałaby wyrok nie wyższy niż za usiłowanie zabójstwa. Tak naprawdę, byłby nawet niższy. Tylko pomyśl, nasza klientka zostaje skazana za przestępstwo, które zamierzała popełnić, i dostaje mniejszą karę, niż na to teoretycznie zasługuje. Jeśli jesteś zdecydowany ukarać winnych i uratować Biuro przed skandalem, to najbardziej logiczne rozwiązanie. Trzeba było tylko znaleźć dowody jej winy.

- Stąd wziął się Kellogg - powiedział.

- No właśnie. Społeczność wywiadowcza jednoczy wysiłki i znajduje świadka, kogoś, kto może wiarygodnie wyjaśnić, co robił późnym wieczorem pod domem Garveya.

- Na to wygląda - przytaknął. - Musieli siedzieć w centrali przez całą noc, bo wysłali Kellogga do Zachodniej Wirginii przed świtem. I trzymali go w odwodzie do czasu, kiedy okazało się, że jednak będzie im potrzebny. Gdyby się przyznała albo pojawiłyby się inne dowody, na nic by im się nie przydał.

Ale tak się nie stało, więc musiał się ujawnić i mieć cholernie dobre wytłumaczenie, dlaczego wcześniej nie zadzwonił na policję.

- Inne dowody spreparowali - powiedziałem. - Kula z mózgu Garveya pasowała do jego pistoletu. Są w takim razie dwie możliwości: albo strzelał Brown, co jest możliwe, albo ktoś podmienił pociski, co byłoby lepszym wyjaśnieniem, dlaczego to agent FBI przewiózł kulę z kostnicy do laboratorium, niż to, które usłyszałem od Rogavina.

- I dlaczego nie chciał zeznawać - dodał Walter.

- Tak, Biuro ma swoje zasady. Wrabiają Ashley w zabójstwo, a potem trzęsą portkami, bo jeden z ich chłoptasiów ma popełnić krzywoprzysięstwo. Aha, jeszcze jedno. Mówiłeś, że prawdopodobnie nie zabiła agenta, tylko go raniła. Dlaczego tak uważasz?

Uśmiechnął się.

- Czarne roboty to nie misje samobójcze. Nie wybiera się do nich agentów-samotników, za którymi nikt nie tęskni. Mężczyźni i kobiety, którzy weszli do tego domu, pewnie mieszkają w tej okolicy i mają rodziny. Gdyby ktoś zginął, trudno byłoby to ukryć. Musieliby ogłosić to publicznie i jakoś to wyjaśnić, no i odbyłby się uroczysty pogrzeb, na którym prokurator generalny wygłosiłby mowę o wszystkich federalnych, którzy oddali życie w obronie Ameryki. Nie przypominam sobie, żebym ostatnio słyszał o jakimkolwiek zabitym agencie.

- Może w ogóle go nie trafiła - powiedziałem z nadzieją.

- To, że zastrzeliła Garveya z takiej odległości, zawsze wydawało mi się podejrzane - stwierdził. - Kiedy tamtej nocy wróciłem na miejsce zbrodni, przeszukałem gabinet. I nic. Żadnych otworów po kulach w ścianach i meblach, żadnych śladów świeżej farby czy zagłębień w dywanie wskazujących, że czegoś brakuje albo coś zostało przestawione. Poza tym od chwili, kiedy padł strzał, do ucieczki federalnych minęło piętnaście minut. To za mało czasu na jakiegokolwiek przemeblowanie. Założę się, że agentka poszła po samochód, a ranny w tym czasie został wyprowadzony z domu.

Jest coś takiego, co nazywa się „metodą naukową”. Służy ona do poznawania świata. Człowiek wychodzi od teorii dotyczącej czegoś, co go interesuje, powiedzmy, budowy atomu lub tego, co naprawdę zdarzyło się tamtego wieczoru, kiedy zginął Raymond Garvey. Potem sprawdza jej zgodność ze znanymi faktami. Dopóki wszystko pasuje, trzyma się swojej teorii. Kiedy coś się nie zgadza, zastępuje ją nową. Jak dotąd, teoria Waltera dotycząca FBI, choć wydawała się dość zwariowana, zwycięsko wyszła ze wszystkich prób. - No dobra - powiedziałem - przekonałeś mnie. Nasza klientka jest oskarżona o zbrodnię, której nie popełniła, i są w rządzie ludzie, którzy to wiedzą.

Teraz pozostaje tylko jeden drobiazg: jak ją z tego wyciągnąć.

21

To ma sens. Tako rzecze Zaratustra. Walter właśnie skończył przedstawiać naszą teorię dotyczącą tego, co się stało i dlaczego. Zawarł w niej wszystkie najważniejsze szczegóły poza trzema: okolicznościami śmierci Henry'ego Bronsona, celem Garveya i jego współspiskowców oraz ich hakiem na Henry'ego. Nikt nie zaprotestował, kiedy wyjaśnił, że pewne informacje muszą pozostać utajnione.

Co ważniejsze, ani Dan, ani Andy nie zgłosili sprzeciwu wobec werdyktu Harry'ego, co było niezwykle, biorąc pod uwagę, że jeszcze pół godziny wcześniej wszyscy zastanawiali się, czy mi odbiło, kiedy oświadczyłem, że Ashley Bronson jest niewinna i zmieniamy taktykę. Co prawda zostali na miejscach, ale kręcili głowami, słuchając opowieści Waltera, a gdy doszedł do momentu, kiedy Ashley postrzeliła agenta FBI, nawet Harry - gość, który wiedział to i owo o strzelaniu do ludzi - uniósł brew. Mimo to trzeba pamiętać, że nasi detektywi przez całe życie kierowali się przede wszystkim doświadczeniem i dedukcją, nawet gdy prowadziło ich to do zaskakujących wniosków. W miarę jak kolejne fragmenty układanki trafiały we właściwe miejsca, zdumienie zostało zastąpione przez pewność, a kiedy obejrzelśmy polaroidy, nastąpiło pełne nawrócenie.

- Cholernie dobra historia - powiedział Dan. - Ale co będzie dalej? Od dawna mamy dowody na to, że Garvey i jego kumple knuli jakieś świństwo, ale jak wykazać, że to Brown był mordercą? Rząd na to nie pozwoli. Nawet gdybyśmy go znaleźli, wątpliwe, by się przyznał.

- Może go przekonamy - zasugerował Harry.

- Najpierw musielibyśmy go znaleźć - powiedział Dan i spojrzał na mnie. - Myślisz, że nadal gdzieś tu jest?

- Nie sądzę. Pewnie nie ma go już w Stanach. Moglibyśmy obserwować biuro Octagonu w Nowym Jorku, ale Walter już próbował to robić i nic. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle się tam pojawi.

- Ten drugi nadal tu jest - powiedział Harry. - Może z nim dałoby się porozmawiać.

- Mogę wam powiedzieć z własnego doświadczenia - odparłem - że Burroughs schowa się za plecami prawników. I trudno mu się dziwić. Nawet jeśli wie, jak zginął Garvey, nic na niego nie mamy.

Dan powiedział:

- Jeśli udowodnimy, że próbowali wyciągnąć coś od jej ojca przed jego śmiercią i opowiemy, co zaszło w bibliotece między Raymondem a panem Brownem, przysięgli sami zrozumieją, że Garvey został spisany na straty.

- Będziecie musieli wierzyć mi na słowo, ale nie jesteśmy w stanie wykazać, czego ci dwaj chcieli od Henry'ego Bronsona ani co na niego mieli.

Nawet gdyby, to ona jedna wie, co stało się tamtego dnia w bibliotece, a nie możemy kazać jej zeznawać przed sądem. Gdyby przysięgli nie uwierzyli, że w domu Raymonda byli federalni, jej wyjaśnienia byłyby równoznaczne z przyznaniem się do winy.

- Czyli mamy historię, która brzmi sensownie pod warunkiem, że przyjmujemy za pewnik wiele faktów, których nie możemy udowodnić - Andy podsumował.

- Mniej więcej - przytaknąłem. - Nie potrafimy wykazać, że to Brown zabił Garveya. Przysięgli uniewinnia Ashley tylko wtedy, kiedy Bonner zezna, że Yee pieprzy głupoty, a to raczej mało prawdopodobne.

- No to jaki będzie nasz następny ruch? - spytał Harry.

- Kluczem nie jest wykazanie, czego nie zrobiła. Ważne jest, co zrobiła. FBI o mało nie rozpadło się po skandalach z czarnymi robotami w latach siedemdziesiątych. Jeśli rząd dojdzie do wniosku, że to może się powtórzyć, zaczną się z nami targować i w końcu oskarżenie wycofa zarzuty, to pewne.

- Zgubiłem się - powiedział Dan. - Skoro nie możemy dowieść, czego ci goście chcieli od ojca klientki, to za cholere nie wykażemy, czemu Biuro w ogóle zainteresowało się domem Garveya. No a nieobecność agenta, który przewoził pocisk, i propozycje Rogavina wydają się podejrzanе tylko pod warunkiem, że zna się całą historię. To znaczy, że jedynym, co wiąże Biuro z tą sprawą są polaroidy, a te same z siebie niczego nie dowodzą.

- Masz rację - powiedziałem. - Potrzebujemy oprócz nich czegoś jeszcze, czegoś, co wykaże ich proveniencję

Harry popatrzył na mnie zmrużonymi oczami.

- Co wykaże?

- Autentyczność - wyjaśnił Andy. - Jakiś dowód na ich związek z Biurem.

Walter uśmiechnął się.

- Na przykład federalnego z dziurą po kuli.

- No właśnie - powiedziałem. - Gdyby tamtej nocy w którymś ze szpitali pojawił się ranny agent...

- Albo agentka - dodał Dan.

- Albo agentka - przytaknąłem - która twierdziłaby, że postrzeliła się, czyszcząc pistolet, byłby to cholernie interesujący zbieg okoliczności, nie sądzicie?

- No to chodźmy odwiedzić kilka szpitali - powiedział Harry.

- To, jak daleko go wywieźli, zależy od tego, jak ciężko był ranny - powiedział Walter. - Zacniemy od centrum, potem przeniesiemy się na przedmieścia. Jeśli to nic nie da, będziemy musieli szybko wymyślić coś innego.

- A co z raportami policyjnymi? - spytał Andy. - Szpital ma obowiązek zgłosić każdy przypadek postrzelenia.

Dan pokręcił głową.

- Niekoniecznie. Jeśli gość był agentem federalnym przywiezionym przez partnerów i miał dobrą przykrywkę, lekarz mógł odpuścić sobie formalności. Ale raporty spły-

wajado komisariatów w tych samych dzielnicach, w których stoją szpitale, więc zobaczę, co się da zrobić.

- Jak przekonamy administrację szpitali, żeby pozwolili nam zajrzeć do rejestru przyjęć, skoro nie jesteśmy z policji?

- Cóż, wszyscy kiedyś byliśmy w policji - powiedział Walter.

Andy wyglądał na zdezorientowanego.

- Czasami - wytłumaczyłem mu - drobna nieścisłość potrafi zaoszczędzić długich wyjaśnień.

- Ja też mam pytanie do naszego mecenasa - powiedział Harry. - No dobrze, wchodzisz do prokuratury z jakimiś tam zdjęciami i aktami szpitalnymi i zaczynasz straszyć, że obalisz całe FBI, może nawet cały pieprzony rząd. - Wzruszył ramionami. - Hej! Nie wiem, jak to wygląda tutaj, ale w Nowym Jorku połowa ludzi ma haki na drugą połowę, ale bez pleców to gówno warte. Nie obraż się. Jesteś cholernie wygadany, chłopcze, i gdybym znał cię parę lat temu, oszczędziłbym sobie kłopotów, nie? Ale powiedz mi jedno. Masz na tyle mocne plecy, żeby nastraszyć federalnych? Jeśli nie, to my tu właściwie walimy konia i nic więcej.

- Nie przejmuj się tym - powiedziałem. - Jeśli chodzi o plecy, to nikt mnie nie przebiję.

- To znaczy?

- Znam drogę na sam szczyt.

Słuchawka została podniesiona po pierwszym sygnale.

- Rezydencja pana Brennana.

- Bridey, to ja.

- Francis! Na miłość boską! - krzyknęła. - Bez przerwy oglądamy wiadomości i modlimy się z Josephem. - Joseph był totumfackim Tatka: służącym, szoferem, halabardnikiem i zaufanym posłańcem. Przekazywał wiadomości, które nie mogły zostać utrwalone na piśmie. Któż inny mógł pełnić tę funkcję, jak nie bliski krewny, syn kuzynów z hrabstwa Clare? Razem z Maggie Mac mogliby opublikować najbardziej skandalizujące wspomnienia wszechczasów, ale nigdy by tego nie zrobili.

- Dziękuję, Bridey.

- Powinni się wstydzić! Jak można pisać takie świństwa o tobie i tej biednej dziewczynie? Pan Brennan mówi, że to szakale, wszyscy bez wyjątku.

- No tak... ajestwdomu?

- Francis, wczoraj wieczorem była tu Moira, bez małego skarbeńka. Długo rozmawiała z panem Brennanem.

- Uhm.

- I, cóż... Francis, wiem, że to nie moja sprawa...

- O co chodzi, Bridey?

- Dziś rano Joseph mówił, że nie widział go w takim stanie od czasu, kiedy popsuło się między tobą a Moirą. Nie zszedł na dół, nie chciał śniadania ani lunchu. Nie mogłam nawet zanieść mu herbaty. Siedzi w gabinecie i nawet nie odbiera telefonów.

- Będę za pół godziny - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Tatko musiał zachodzić w głowę, jak to się stało, że wszystko diabli wzięli. Kiedy wieczorami przesiadywaliśmy w jego gabinecie, często mówił o swoich planach na emeryturę - chciał stopniowo wycofać się z życia zawodowego i wprowadzić mnie w sieć kontaktów, którym firma zawdzięczała swoje wpływy i sukcesy. Machnięciem ręki zbywał moje wątpliwości co do tego, czy będę w stanie godnie go zastąpić. Twierdził, że jestem właściwym człowiekiem na swoje czasy, tak jak on na swoje, i że firma rozkwitnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Zamierzał spędzać dużo czasu ze swoim wnukiem, by „znów zobaczyć świat oczami dziecka” i może nawet napisać wspomnienia do pośmiertnej publikacji. „To moja pokuta”, mówił. Teraz nie miał już następcy i groziło mu, że swoje ostatnie dni spędzi z dala od rodziny. Wydawało się to niestosownym zakończeniem tak udanego życia.

Rezydencja Brennanów była miejscem większych i mniejszych zgromadzeń, które stanowiły o pozycji Tatka w arystokracji miasta, i doskonale nadawała się do tego celu: duży dom w stylu kolonialnym o przecznicę od Chevy Chase Circle, na posesji wielkości hektara, z ogrodem będącym repliką tego z Bantry House w hrabstwie Cork. Po ślubie spędzaliśmy tam z Moirą więcej czasu niż w naszym nowym domu. Przychodziliśmy a to na kolację -Tatko nie lubił jeść sam, a Bridey nie cierpiała gotować dla jednej osoby -a to na oficjalne spotkania, których celem było wprowadzenie mnie w tajniki funkcjonowania firmy lub zaplanowanie kolejnego przyjęcia bądź balu charytatywnego, na którym Moira miała odgrywać rolę hostessy.

Kiedy zatrzymałem wóz przy bocznym wejściu, z którego zwykle korzystali członkowie rodziny, Bridey już stała w drzwiach.

- Ciągle tam jest - powiedziała nerwowo, biorąc ode mnie płaszcz. Poszedłem za nią schodami do gabinetu Tatka, też mocno zaniepokojony. Kiedy jej ciche pukanie nie wywołało żadnej reakcji, ominąłem ją i otworzyłem drzwi.

Siedział w fotelu ustawionym w kącie przy oknie, ledwo widoczny w zimowym półmroku, z szalem na ramionach i brodą opuszczoną na pierś. Serce na chwilę zamarło mi w piersi. Zaczęło bić dopiero, kiedy podszedłem na tyle blisko, by zobaczyć, jak jego wciąż szeroka pierś unosi się i opada w sennym rytmie. Dotknąłem jego ramienia i powiedziałem cicho:

- Tatku?

Otworzył oczy.

- Francis? - powiedział, wyraźnie znużony.

- To ja. Jak się czujesz?

- Jestem trochę zmęczony - powiedział, kładąc rękę na mojej dłoni.

Zauważył Bridey stojącą w drzwiach. - Nic mi nie jest - burknął. - Możesz już przestać robić zamieszanie. -Zaczekał, aż zamknie drzwi, i powiedział:

-Pewnie słyszałeś już ojej wizycie?

- Tylko, że tu była - skłamałem. Skinął głową i dalej pocierał moją dłoń.

- Zła wiadomość.

- Co się stało? - spytałem pospiesznie, zaniepokojony.

- Wychodzi za mąż za tego faceta - odparł głosem pełnym bólu - i zabiera mojego wnuka do Kalifornii. - Spojrzał na mnie i wyczytał ulgę z mojej twarzy: to była zła, ale nie nowa wiadomość. - Wiedziałeś o tym? -spytał.

- Tak, Tatku.

- Przykro mi to słyszeć. Miałem cię poprosić, żebyś z nią porozmawiał, chłopcze, dla dobra was obojga i chłopca.

Był ojcem, którego nigdy nie miałem, zrobił dla mnie tyle, że nie zdołałbym mu się odwdziżyć, nawet gdybym dostał na to jeszcze jedno życie, a podziękowaniem za to okazała się utrata wszystkiego, co najbardziej kochał.

A ja myślałem, że już bardziej nie mógłbym go zranić.

- Tatku, gdybym mógł cokolwiek zrobić... - Zabrzmiało to tak nieprzekonująco, że nie mogłem dokończyć. - Przepraszam, Tatku. - Nic więcej nie potrafiłem z siebie wydobyć.

Siedzieliśmy w ciemnościach, on w fotelu, ja na kanapie, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Tam jest butelka i szklanki - powiedział wreszcie. - Dobrze nam zrobi mocny drink. - Podszedłem do kredensu i nalałem dwie podwójne whisky do kryształowych szklanek z zestawu oznakowanego prezydencką pieczęcią.

Wypił swoją do połowy, potem spojrzał na mnie i spytał: - Co ci chodzi po głowie?

Po tym wszystkim, co zrobiłem, nie miałem prawa prosić go, by napędził stracha rządowi amerykańskiemu i uratował mnie i kobietę, z którą sypiałem.

- Nic, Tatku - odparłem. - Zadzwońłem ot tak, żeby cię pozdrowić, a Bridey trochę się o ciebie niepokoiła, więc pomyślałem, że wpadnę. Prychnął.

- Ta kobieta od urodzenia nic, tylko się niepokoi. Nie uwierzyłbyś, jak załamywała nad tobą ręce. Musiałem wstawić do kuchni taki mały telewizor, żeby mogła oglądać wiadomości na temat procesu. Od czasu, kiedy do tego wszystkiego doszły jeszcze te brednie z brukowców, prawie nie rozstaje się z różańcem. To cud, że odkłada go na dość długo, by coś ugotować.

- Za tę całą historię też cię muszę przeprosić.

Machnął ręką.

- Chłopcze, mam gdzieś te wszystkie szmatławce. Dwadzieścia pięć lat temu pisały, że pcham się do łóżek wszystkich kobiet na Kapitolu. Tak czy inaczej ostatnie wydarzenia zepchnęły te inne rzeczy z pierwszych stron, to na pewno. Myślałem, że już pogoniłeś im kota, ale pismacy spekulują, że powinna się wam noga.

- Pojawiły się nowe dowody. Musimy sobie z tym jakoś poradzić, pewnie coś wymyślimy.

Uśmiechnął się.

- Zawsze wiedziałem, że doskonale sobie poradzisz, chłopcze, nie tylko w tym procesie. Wierzę w ciebie.

- Jezu, nie wiem, czemu, Tatku. Przecież ciągle cię zawodzę.

Potrząsnął głową.

- Wiesz, o czym marzę, ale koniec końców nie możesz żyć ani dla mnie, ani dla niej. Jeśli nie jesteś ze sobą szczerzy, nie nadajesz się na męża ani na ojca. Twoje cierpienia tylko odbijają się na tych, na których ci zależy. Trudno mi się z tym pogodzić, bo jestem samolubnym starym draniem przyzwyczajonym dostawać to, czego chce, a poza tym to... - położył rękę na sercu

-...mówi mi, że nigdy nie przestaliście się kochać.

- Z tym akurat nigdy nie było kłopotów - powiedziałem.

Poprosił, żebym został na kolacji, ale wymówiłem się koniecznością załatwienia ważnych spraw - w tym rozmowy z klientką, która nadal trwała w przekonaniu, że jest zabójczynią. Wjechałem na Chevy Chase Circle, zamierzając skierować się Connecticut Avenue na południe, do Dupont Circle, ale w ostatniej chwili skręciłem w stronę Bethesdy. W połowie drogi do domu pomyślałem, że nie powinienem zjawić się bez zapowiedzi i zatrzymałem się, by zadzwonić. Odebrał Brendan.

- Cześć, tato! - krzyknął. - Widziałem cię w telewizji! Niosłeś teczkę.

- Tak, to byłem ja, kolego.

- Idę na przyjęcie urodzinowe. Będziemy jeździć na łyżwach.

- Doskonale! Kto ma urodziny?

- Ricky Foster. Chodzi ze mną do szkoły. Ma okulary. - Podał mi skrócony życiorys Ricky'ego i oddał słuchawkę mamie.

Moira była dla mnie serdeczna, jak zawsze, kiedy Brendan był w pobliżu.

- Cześć. Idzie na przyjęcie. Za dziesięć minut ktoś ma po niego przyjechać.

- Aha. Właśnie byłem u Tatka, więc pomyślałem, że do niego zajrzę.

Natychmiast stała się czujna.

- Tatko do ciebie zadzwonił?

- Nie, nie, ja do niego. Bridey była zaniepokojona, bo nie zszedł na dół i nie chciał nic jeść, więc tam pojechałem. Wszystko w porządku.

- Nieprawda. Musimy porozmawiać, Frank. Wiem, że go kochasz, więc odłóżmy wszystkie inne sprawy na bok i zajmijmy się tą.

- Jestem przy Safewayu.

- Jeśli się pospieszysz, to zdążysz się z nim zobaczyć, zanim pojedzie na przyjęcie.

Dotarłem na miejsce na chwilę przedtem, nim Brendana zabrał Jim Castleman, który wiozł na przyjęcie całą furgonetkę chłopców.

Castlemanowie mieli syna w wieku Brendana i poznaliśmy ich, kiedy nasze dzieci zaczęły chodzić do przedszkola. Jim pracował w Narodowym Instytucie Zdrowia i był sympatycznym facetem, który dzień w dzień wracał do domu o piątej i przypominał Henry'ego Fondę. Opiekował się zuchami i zawsze zgłaszał się na ochotnika do podwiezienia dzieci na niezliczone zajęcia pozaszkolne, które wypełniają współczesne dzieciństwo.

Kiedy wyszedłem z Brendanem z domu, Jim pomachał do mnie z furgonetki.

- Frank! - zawołał. - Bierz łyżwy! Potrzebuję pomocy!

- Nas dwóch to za mało, by poradzić sobie z tymi maruderami.

- Na lodowisku czekają posiłki, ale zdaje się, że Fosterowie zaprosili około dwadzieścioro dzieci. Wyobrażasz sobie, dwadzieścioro dzieci na przyjęciu dla siedmiolatka? Nazywamy to „horrorem na lodzie”. Tak czy inaczej, mam jeszcze minutkę, więc spełnij ostatnie życzenie skazańca i powiedz mi wszystko o Ashley Bronson: wymiary, jakich używa perfum, co lubi, czego nie, czy zabiła Garveya, co, do licha, dzieje się na tym procesie i czy wygrasz.

- A o czym będziemy rozmawiali przez resztę czasu?

Roześmiał się.

- Serio, kibicujemy ci z Jan, Frank. I brakuje nam ciebie.

- Dzięki. Powiedz jej, że mnie też was brakuje. A odpowiedzi na trzy ostatnie pytania brzmią: nie, nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić, i tak.

- Wiedziałem! Słuchaj, gdyby ci było ciężko - wskazał kciukiem stłoczoną za nim zgraję, w tej chwili śmiejącą się do rozpuku ze słowa „tyłek” -pamiętaj, że mógłbyś wieźć tę ekipę na lodowisko. Chciałbyś się ze mną zamienić? - Pomachał Moirze i odjechał.

Wszedłem za nią do domu i skierowaliśmy się do naszego tradycyjnego miejsca spotkań, czyli do kuchni.

- Chcesz czegoś? - spytała.

- Mógłbym napić się kawy?

- Kawę mamy. - Zajrzała do lodówki, gdzie trzymała ziarna, które meła każdego ranka. Dla Moiry parzenie i picie kawy było rytuałem. - Mówił ci Tatko, że z nim rozmawiałam? - powiedziała z głową w lodówce.

- Tak.

- I nie prosił cię, żebyś mi przemówił do rozsądku? - Zorientował się, że już wszystko wiem, i uznał, że to nic by nie dało.

Zerknęła na mnie przez ramię i znów pochyliła się, by wyjąć śmietankę coś zawiązanego w folię.

- Mam pół kanapki z Sutton Gourmet - powiedziała. - Z chudym pastrami i konserwą wołową.

- Od lat nie jadłem pastrami ani konserwy wołowej.

- Czekaj, podgrzeję ją. - Włożyła kanapkę do mikrofalówki i wcisnęła kilka guzików, by rozpocząć bombardowanie jądrowe. - Chciałabym, żebyś pozostał blisko Tatka - powiedziała, opierając się o blat. - Bliżej niż przez ostatnich kilka lat. Traktuje cię jak syna, Frank, a kiedy my z Brendanem będziemy tak daleko... - Przygryzła wargę. - Znasz go. Musi być otoczony rodziną. Nie mówię, żebyś chodził tam co tydzień, ale gdybyś mógł od czasu do czasu zjeść z nim obiad i może gdzieś go zabrać, to wiele by dla niego znaczyło.

- Nie musisz się o to martwić. Od tej pory zamierzam zachowywać się jak syn. Będę przy nim. - Odwróciła się, by spojrzeć na mikrofalówkę, ale zauważyłem, że otarła oczy.

- Czemu do niego zadzwoniłeś? - spytała, nie odwracając się. - Sądząc po ostatnich wiadomościach, powinieneś mieć dużo pracy.

- Właściwie to chciałem poprosić go o pomoc.

Odwróciła się.

- O pomoc? W związku ze sprawą?

- Wyszły na jaw pewne nowe fakty.

- Domyśliłam się. W telewizji mówili, że wychodząc z sądu, mieliście ponure miny.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co działo się na sali.

Przyniosła jedzenie i usiadła.

- No cóż, słyszałam już większą część tej historii, kanapka z pastrami i konserwą powinna być warta reszty.

Nawet ci prawnicy, którzy przywiązują wielką wagę do tajemnicy adwokackiej, zdradzają swoim małżonkom informacje dotyczące prowadzonych przez nich spraw, choćby po to, by skonsultować z kimś swoje pomysły i strategię. Taką rolę odgrywała Moira, kiedy byliśmy razem, ale miała też dodatkową zaletę: jak mało kto potrafiła rozwiązywać wszelkie zagadki. Zawsze mówiłem, że byłaby detektywem klasy Waltera. Jedynym zastrzeżeniem, jakie mogłem mieć do jej talentu, było to, że przed zjedzeniem pop-cornu znałem zakończenie każdego filmu.

Nasza teoria pomyślnie przeszła próbę, ale i tak chciałem wyłożyć ją raz jeszcze, głównie po to, by choć przez jakiś czas zająć się czymś innym niż skutki uboczne rozwodu.

- Opowiem ci całą historię - powiedziałem - ale pewnie nie będziesz mogła w nią uwierzyć.

Zacząłem od zdjęć, przedstawiłem fakty, których dotychczas nie znała.

W odróżnieniu od wykładu wygłoszonego w gabinecie, ten zawierał wszystkie szczegóły. Była oszołomiona, kręciła głową, kiedy powiedziałem jej o projekcie Henry'ego, zrobiła wielkie oczy na wieść o jego działalności szpiegowskiej i o działającej od pół wieku siatce, która sięgnęła po klucz do bogactwa. Kiedy doszedłem do opisu wydarzeń w gabinecie Garveya w noc jego śmierci i naszych domysłów na temat Kellogga i tajemniczego pocisku, była wyraźnie poruszona.

- Grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

- Niebezpieczeństwo? Z czyjej strony?

- Z czyjej?!-krzyknęła.-Po pierwsze, mamy siatkę szpiegowską handlującą bronią jądrową i zabijającą ludzi wiedzących o jej istnieniu. Jest też FBI, które chcesz oskarżyć o prowadzenie nielegalnych rewizji i skłonienie Kellogga do krzywoprzysięstwa. Wygląda na to, że nie mają nic przeciwko wrabianiu niewinnych ludzi.

- Nic mi nie grozi. Zabicie mnie niczego by nie dało. Zbyt wiele osób zna informacje o Octagonie, które mieliśmy przedstawić na procesie, w tym rysopis Browna i szczegóły dotyczące czeków wystawianych Garveyowi.

Poza tym, o ile się nie mylę, FBI jest już na tropie tej siatki i raczej nie będzie tracić czasu. A co się tyczy samych federalnych, wiedzieli, że Ashley jest winna usiłowania zabójstwa i nie zamierzali puścić jej tego płazem. Myślę, że dalej się nie posuną. A teraz powiedz mi, co sądzisz o tej historii?

- Jest niesamowita, ale trzyma się kupy; wszystkie szczegóły zbyt dobrze pasują, żeby był to zbieg okoliczności. Ale skąd wziąć dowody? Bez świadków nie wykażesz, że prawdą jest to, co mówiłeś o Rosjanach plutonie i detonatorach do broni atomowej, FBI i czarnych robotach. Jak chcesz to zrobić w czasie, który ci został?

- Nawet nie spróbuję.

- Aha. No cóż, w takim razie - powiedziała z uśmiechem - problem nie istnieje.

- Chcemy nastraszyć ich na tyle, by zgodzili się wycofać zarzuty, byle uniknąć skandalu, który zniszczyłby FBI i Departament Sprawiedliwości. Możemy przedstawić cholernie przekonujące argumenty na forum, na którym nie dowody są najważniejsze.

- Na przykład na przesłuchaniu w Kongresie?

- No właśnie. Nie zapominaj też o aktach FBI. Jeśli agencja wiedziała o działalności Octagonu, na pewno jest w nich wiele informacji, które tylko czekają na nakaz sądu.

- Akta można zniszczyć.

- Żyjemy w erze informatora. Zbyt wielu agentów i pracowników administracji wie o istnieniu tych dokumentów. Śmiertelnie baliby się przecieku.

- Dlatego poszedłeś do Tatka - powiedziała. - Myślisz, że gdybyś miał go po swojej stronie, groźba przesłuchań w Kongresie robiłaby większe wrażenie.

- To prawda, ale zmieniłem zdanie.

- Czemu?

- Bo FBI ma w tym mieście wielu przyjaciół, a Tatko nie stał się tym, kim jest, robiąc sobie stu wrogów, by pomóc jednemu klientowi.

- Wiedziałeś o tym wcześniej, a mimo to pojechałeś do niego.

- Nie poprosiłem go o to. Skończmy na tym.

- Naprawdę myślisz, że możesz ich nastraszyć?

- To zależy od tego, czy znajdziemy ранego agenta, a mamy mało czasu. - Zaczęłam wstawać.

- To było tylko pół kanapki - powiedziała, kiwając głową w stronę mojego talerza. - Chcesz coś jeszcze?

- Muszę już iść. Oprócz Waltera i mnie tylko ty znasz całą historię. Teraz muszę opowiedzieć ją jej.

- Zrobi ci kolację?

- Co?

- Nieważne - mruknęła, sięgając po mój talerz. - Tak mi się wypsnęło.

- Nie wierzę. To niemożliwe.

Siedzieliśmy w salonie. W drodze z Bethesdy powtórzyłem wszystko w myśli na dziesięć różnych sposobów, ale w końcu postanowiłem po prostu improwizować. Aż do samej pointy nie wiedziała, czego się spodziewać i, naturalnie, dotarło to do niej dopiero po dłuższej chwili.

- Ashley, jeśli ktokolwiek może wiedzieć, przez co przeszłaś, zwłaszcza w ciągu ostatnich paru dni, to tym kimś jestem ja. Nie powiedziałbym ci tego wszystkiego, gdybym nie miał pewności.

- Ja chyba śnię.

- To nie jest sen, tylko koniec koszmaru. Nikogo nie zabiłaś. Jest tak, jak mówiłem. Szukamy dalszych dowodów, ale nawet jeśli niczego nie znajdziemy, spróbujemy odeprzeć atak. Nie mogę niczego obiecać, ale jeśli Bóg istnieje, to wyciągniemy cię z tego. Musisz tylko robić to, co do tej pory.

Módl się, by było jak najlepiej, ale bądź przygotowana na najgorsze.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Bóg musi istnieć - oświadczyła - zesłał mi ciebie.

- Nie mnie, tylko świętego Waltera.

- Poprosiłabym go o rękę, ale zdaje się, że Marta ma u niego większe szanse.

- To dobrze. Karmi go tak, że nigdzie nie byłoby mu lepiej.

Wstała i podeszła do portretu matki. Herbert miał rację: Audrey Taylor Bronson nie była olśniewająco piękna, ale malarzowi udało się uchwycić jej wolframowe oczy i niezwykły uśmiech. Można było wyobrazić ją sobie słuchającą w skupieniu, z miłością, jak jej nieporadny Henry, biedny mały bogacz, który został szpiegiem, by ocalić ludzkość, dzieli się z nią skarbami wygrzebanymi w ukochanej bibliotece. Czy powiedział jej o swojej przygodzie w prawdziwym świecie, która tak go przeraziła, że stworzył sobie własny? Szukałem odpowiedzi na to pytanie w jej twarzy i uznałem, że tego nie zrobił: głę-

boko zagrzebał tę tajemnicę i spoczywała w pokoju do tego dnia, kiedy zjawił się Raymond.

- Mama umarła, kiedy miałam siedem lat - powiedziała, dotykając ramy obrazu. - Była o rok młodsza niż ja teraz. Pod sam koniec tata przywiózł ją ze szpitala i pamiętam, jak leżałam na jej łóżku, a ona czesała mi włosy i mówiła, żebym się nie bała. Powiedziała, że życie to drogocenny dar, który może zostać odebrany w każdej chwili, i kazała obiecać, że zawsze będę o tym pamiętała. - Odwróciła się do mnie: - Jeśli dostanę drugą szansę, zamierzam spełnić tę obietnicę. Spakować bagaże i wyjechać bez żadnych planów, bez przewodników, po prostu wyjechać.

- Myślisz o jakimś konkretnym miejscu?

- O wszystkich naraz. Czuję się, jakbym była pod kluczem, i chcę się wyrwać! Wybrzeże Amalfi. Zurych. Ateny.

- To dużo jak na osiem dni.

- Nie zamierzam się spieszyć. Potem pojedę gdzie indziej, może do Ameryki Południowej. Byłeś kiedyś w Rio?

- Raz.

- Podobało ci się?

- No pewnie. - Pamiętałem apartament hotelowy. Był wczesny wieczór i ku ziemi opadała lekka mgiełka, tłumiąca odgłosy ruchu ulicznego. Z głośnika płynęła fortepianowa solówka ze Stardust - może grał ją sam Hoagy Carmichael. Tak idealnie pasowała do nastroju, że zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę tam byłem, w tym apartamencie, o zmierzchu, przy opadającej mgielce, z Moirą na tarasie.

- Chciałabym pojechać tam z tobą- powiedziała. - Robilibyśmy wszystko, na co tylko mielibyśmy ochotę.

- Wrócilibyśmy tu?

- Po jakimś czasie. Ale chcę odzyskać wolność, Frank. Wyjechać, kiedy i gdzie zechcę.

- Wiem.

- I nie sama.

- Po zakończeniu procesu prawnicy zwykle tracą kontakt ze swoimi klientami. Przypominamy im o czymś, o czym woleliby zapomnieć.

- Czy klienci, o których mówisz, kochali swoich adwokatów?

- Może część z nich, w pewnym sensie.

- Tak jak ja?

- Nie, ty przetarłaś nowy szlak.

- Cóż, będę cię kochać długo potem, gdy ten proces się skończy. Za tydzień, za miesiąc, za rok i... - pocałowała mnie - przez wszystkie następne lata.

- Ja też będę cię kochał. Zawsze.

Walter zgłosił się o dziesiątej. Poszukiwania się przedłużały. W szpitalach panował duży ruch, nawet po normalnych godzinach pracy, i mimo „oficjalnego” charakteru próśby, ściąganie kogoś, kto mógłby sprawdzić rejestr przyjęć, zabierało sporo czasu. Nasi ludzie sprawdzili już wszystkie szpitale Waszyngtonu i teraz robili obchód okolicznych hrabstw. Na razie znaleźli dwa przypadki postrzelenia. Jednym był sprawca nieudanego napadu z hrabstwa Prince Georges, który trafił na koreańskiego właściciela sklepu z alkoholem, uzbrojonego w magnum kalibru 44; drugim - siedemnastoletni uczestnik kłótni narkomanów w Anacostii. Poszukiwania miały trwać do rana.

- A co u Dana? - spytałem.

- Policja dostała tylko raport ze strzelaniny w Anacostii - powiedział.

- Myślisz, że zabrali tego agenta do jakiejś prywatnej kliniki?

- Możliwe - przyznał - ale jeśli tak, to nikt nie pokaże akt jakiemuś człowiekowi z ulicy. Może będziemy musieli sami zrobić parę czarnych robót. Rozmawiałeś ze starym?

Westchnąłem.

- Jest z tym pewien kłopot.

- Odmówił?

- Nie, w ogóle go nie spytałem. Trudno to wyjaśnić. - Milczenie. Pewnie do tej pory myślał, że to on ma trudniejsze zadanie. - Wyjaśnię wszystko, kiedy się spotkamy - dodałem.

- Zadzwoń rano, chyba żebym miał jakieś nowe wiadomości. Co u niej?

- W porządku. Chce poprosić cię o rękę.

- Taa - mruknął. - Jak wszystkie.

Niedzielnny poranek zaczął się źle. Walter nie zadzwonił w nocy, ale kiedy o wpół do ósmej usłyszałem dzwonek telefonu, uznałem, że jest na tyle wcześnie, by oznaczało to dobre wieści. Wskoczyłem z łóżka i wypadłem na korytarz w spodniach i koszuli. Tam spotkałem Martę, która właśnie szła na górę. Jak się okazało, dzwonił Arthur Bonner. Meldunek był krótki: na wewnętrznej części rękawa znajdowały się ślady prochu, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Będzie musiał zgodzić się z wnioskami Yee.

Walter zadzwonił dopiero o wpół do dziesiątej. Objechali hrabstwa Alexandria, Arlington, Fairfax, Montgomery i Prince Georges i znaleźli jeszcze jedną ofiarę postrzału, dziewiętnastoletnią kobietę ranioną w pośladek w czasie kłótni z mężem.

- No i co? - spytałem.

- Im dalej od centrum, tym większy obszar musimy obskoczyć - poskarżył się. - A to oznacza więcej szpitali i dłuższy dojazd. A jeśli przewieźli go dokądś helikopterem? Policja ma ich dużo. Może gdzieś tu jest cholerna baza lotnicza federalnych.

- No to wynajmiemy śmigłowce. Wtedy pójdzie to szybciej i sprawniej. Gdzie jesteś?

- W Upper Marlboro. Słuchaj, to za duży obszar, jest na nim za dużo szpitali. A poza tym nie na każdym dachu można wylądować śmigłowcem, w niektóre miejsca i tak trzeba by jechać samochodem. Zresztą helikopterem mogli go wywieźć do Greater Baltimore, a nawet Richmond. Sprawdzenie szpitali w tych dwóch miastach zajęłoby nam cały dzień. Nic z tego, chłopcze. Trzeba ruszyć głową.

Nie było sensu się z nim spierać; to zaczynało przypominać szukanie igły w stogu siana, a poza tym agenci FBI mogli przekonać administrację szpitala, by utajniła akta albo wyrzuciła je do kosza w imię bezpieczeństwa narodowego.

- Na kiedy możesz ściągnąć wszystkich do biura? - spytałem.

- Daj im trochę czasu, żeby wzięli prysznic i zmienili majtki. Powiedzmy, na jedenastą.

- No to zbierz ich i zobaczymy się o jedenastej.

Ashley zeszła na dół, ubrana w szlafrok.

- Na razie nic - powiedziałem. - Walter ściąga wszystkich na spotkanie.

- Słyszałam. Chcę, żebyś coś im przekazał ode mnie. Bez względu na to, co się stanie, dziś rano obudziłam się ze świadomością, że nie jestem morderczynią. W tej chwili nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności, ale na pewno znajdę jakiś sposób, by to zrobić, kiedy już będzie po wszystkim.

Dotarłem do biura o wpół do jedenastej. Kawa stała na kuchence, co wskazywało, że nie ja jeden pracowałem w niedzielę rano. Mijając wejście do biblioteki, zauważyłem w jednym z boksów czubek głowy Andy'ego i zastukałem we framugę. Podniósł nieprzytomne oczy.

- Kiedy przyjechałeś? - spytałem.

- W ogóle nie wyszedłem. - Ziewnął i przeciągnął się. - Chyba przeczytałem orzeczenia ze wszystkich identycznych lub podobnych spraw. Na ogół tylko od oceny sędziego zależy, czy nowe dowody zostaną dopuszczone, czy nie. Jedynym powodem, dla którego sąd apelacyjny mógłby uchylić wyrok, byłoby nadużycie tego przywileju, i znalazłem tylko trzy sprawy, w których do tego doszło. Trudno będzie je dopasować do naszej.

- Zrób, co możesz. Musimy spróbować.

- A co u was?

- Zaraz mamy spotkanie. Nasi sprawdzili wszystkie szpitale w mieście i okolicznych hrabstwach. Dalej nie ma co szukać, to byłoby ponad nasze siły.

Andy skinął głową, krzywiąc się.

- A sprawdzili szpital FBI?

- Jaki?

- Szpital FBI. Miałem na studiach kolegę, który postanowił dać sobie spokój z prawem i wstąpić do FBI. W czasie szkolenia zaatakował go jakiś dziwny wirus. Chłopak przeleżał w szpitalu jakieś dziewięć tygodni, zdaje się, że byli tam głównie agenci FBI. Dlaczego klepiesz się w czoło?

Pobiegłem do gabinetu i wykręciłem numer komórki Waltera. Złapałem go na drodze z Baltimore do Waszyngtonu.

- Mówi ci coś nazwa Quantico? - spytałem.

Strumień przekleństw mieszał się z trzaskami w słuchawce.

- Jezu Chryste! - ryknął. - Trzech pieprzonych detektywów w jednym pokoju i żaden nie pomyślał o akademii federalnych! - Rozległ się głośny trzask, najwyraźniej Walter rąbnął telefonem w kierownicę. - Wystarczyło zrobić z tego wypadek na strzelnicy i żaden lekarz nie musiał niczego zgłaszać!

- Pewnie wsadzili go do śmigłowca przy Pentagonie i przewieźli tam w dziesięć minut.

- Tak, to Quantico, nie ma innego wyjścia - wrzasnął. - Wygrałeś niebieską wstążkę. - Walter nie do końca ufał technologii bezprzewodowej i uważał, że coś, co jest na baterie, może sprawnie działać pod warunkiem, że się na to nakrzyczy.

- To nie ja, tylko nasz młody współpracownik.

- Andrew? Ale jaja - roześmiał się. - Z ust dzieciątek...

- No dobra. Co teraz? Pojedziesz tam?

- Na cholere? Nie pokażą glinie żadnych akt - krzyknął. - Jadę do biura. Ty jeden spałeś tej nocy. Twoja kolej na przebłysk geniuszu.

O jedenastej wszyscy już byli i szybko przedstawiłem im, jak się sprawy mają. Andy podziwiał detektywów, zwłaszcza Waltera, i kiedy wyjaśniłem, że to on wpadł na pomysł z Quantico, pomruki aprobaty, i porozumiewawcze mrugnięcie Harry'ego, sprawiły, iż oczy mu rozbłysły. Sami detektywi, nawet jeśli lekko zirytowani tym, że zagadkę rozwiązała maskotka zespołu, byli zbyt zmęczeni, by to okazywać. W pokoju panował na-

strój odprężenia i wyczekiwania: zbliżaliśmy się do naszego celu, a jeśli osiągniemy sukces kosztem FBI, tym lepiej.

- Walter mówi, że szpital nie udostępni akt nikomu, kto ma odznakę policyjną- poinformowałem ich. - Czy ktoś jest innego zdania? - Nikt. - Ja też nie, więc jeśli mamy zdobyć te akta, to musimy wymyślić jakiś lepszy fortel od tego, który stosowaliśmy w szpitalach cywilnych. Może zadzwonić tam pod jakimś pretekstem?

- Pod jakim?- spytał Dan.

- Kto mógłby interesować się postrzelonym agentem?

- Może kwatera główna federalnych w Waszyngtonie - powiedział Dan. - Moglibyśmy powiedzieć, że wypełniamy jakieś papiery dotyczące tego gościa.

- To nie przejdzie - powiedział Walter. - Mógłbyś trafić na kogoś, kto pracuje w FBI, a może nawet na co dzień załatwia takie sprawy. Jeśli nie umiesz mówić ich językiem i nie wiesz, kto jest kim, w końcu się wkopiesz.

Mamy tylko jedną szansę, więc musimy ją dobrze wykorzystać.

- Kogo jeszcze mogłyby obchodzić takie akta? - spytał Harry. - Firmę ubezpieczeniową? Jakaś kasę chorych?

- Może - powiedziałem. - Ale nie wiemy, jakie mają warunki ubezpieczenia i znów moglibyśmy trafić na kogoś mówiącego językiem, którego nie rozumiemy. Za to gdybyśmy byli agencją, z którą nie stykaję się na co dzień, mielibyśmy prawo nie znać procedur obowiązujących w Biurze, a oni - naszych.

- O której agencji myślisz? - spytał Andy.

- Co powiecie na Biuro Zarządzania Personalem? Zajmuje się wszystkim, co dotyczy służby cywilnej. Może przygotowuje jakiś raport, na przykład...

- O przypadkach ciężkich obrażeń ciała! - krzyknął Andy. - Przygotowują raport i potrzebują rejestru przyjęć.

- To mogłoby się udać - powiedział Walter. - Ale musimy jakoś wyjaśnić fakt, że nie znamy nazwiska tego gościa, i wyrażać się na tyle jasno, żeby nie zaczęli sprawdzać wszystkiego, jak leci. Kiedy to załatwimy? Spotkanie z sędzią jest we wtorek.

- Zróbmy tak - powiedziałem. - Ktoś z Biura Zarządzania Personalem pracuje w niedzielę, żeby przygotować zaległy raport. Potrzebny mu jest nowy egzemplarz nieczytelnie wypełnionych akt, bla, bla, bla. Ponieważ zadzwonimy do nich w niedzielę, są spore szanse, że trafimy na kogoś, kto zwykle nie zajmuje się aktami.

- To mi się podoba - powiedział Dan. Zaproponował, by zadzwonił Andy, bo bardziej przypomina młodego urzędnika niż którykolwiek z detektywów.

- Powiem wam coś o takich telefonach - powiedział Harry. - Znałem jednego gościa, który łapał kanciarzy wyciągających od ludzi oszczędności i numery kart kredytowych. Opowiadał, że kiedy zakładali lewe firmy, zgadnijcie, kogo zatrudniali do obsługi telefonów? Starsze panie. Mówił, że ludzie tracą czujność, kiedy dzwoni do nich stara kwoka przypominająca im babcię.

- Logiczne - powiedział Dan. - Mamy kogoś takiego?

Marta była stremowana. Powtarzaliśmy to z nią kilka razy, ale zawałiła każdą z prób. Fakt, że staliśmy nad nią i załamywali ręce, nie dodawał jej pewności, więc wygoniliśmy wszystkich na lunch. Zaczynałem już tracić cierpliwość, ale Walter zachowywał spokój: spędził tysiące godzin na uspokajaniu nerwowych ludzi i skłanianiu ich do wykonania jego poleceń. Poskutkowało dopiero spisanie jej gadki i odpowiedzi na wszystkie pytania, które mogły zostać zadane. Karteczki leżały przed nią, kiedy wykręcała numer szpitala w Quantico. My z Walterem słuchaliśmy przez głośnik.

Już po pierwszym sygnale ktoś podniósł słuchawkę. Męski głos powiedział z ożywieniem:

- Szpital bazy, mówi kapral Dearman.

Skinąłem głową na Martę, wskazując jedną z kartek.

- Dzień dobry - powiedziała. - Mówi Wilson z Biura Zarządzania Personalem w Waszyngtonie. Czy mogłabym rozmawiać z biurem przyjęć?

- Chwileczkę, proszę pani.

Nastąpiło kilka trzasków i w słuchawce znów rozległ się sygnał. Przez minutę nikt nie podnosił słuchawki. Już miałem powiedzieć Marcie, by jeszcze raz spróbowała wykręcić numer centrali, kiedy wreszcie ktoś odebrał.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, ale w tle słychać było kobiecy głos. Wyglądało na to, że telefonistka rozmawia z kimś stojącym obok. Jej głos stał się wyraźniejszy, kiedy zbliżyła słuchawkę do ust.

- Biuro przyjęć - powiedziała.

Marta przeczytała z kartki:

- Dzień dobry, tu Wilson z Biura Zarządzania Personalem w Waszyngtonie. Przepraszam, z kim mam przyjemność?

- Mówi Jane Needham.

- Jak widzę, obie pracujemy w niedzielę. Zwykle w weekendy mam wolne.

Kobieta nie stała się ani trochę miłsza.

- Co mogę dla pani zrobić, pani Wilson?

- Przygotowuję raport dotyczący spadku produktywności FBI w wyniku urazów poniesionych podczas wykonywania obowiązków. Obejmuje poprzedni rok kalendarzowy i jutro powinien trafić do kongresowej komisji administracji. Problem polega na tym, że mam tu nieczytelne akta agenta FBI, który został przyjęty do waszego szpitala pierwszego lub drugiego listopada. Pomyślałam więc, że może wysłałaby mi pani lepszą kopię.

- Pracownicy zajmujący się aktami mają dziś wolne. Przyjdą jutro, o ósmej rano. Może być? - Wyglądało na to, że kobieta chce odłożyć słuchawkę. Walter zastukał w następną karteczkę.

Marta spojrzała na nią i przeczytała:

- Ojej - powiedziała - muszę skończyć ten raport jeszcze dziś. Chciałam zrobić to w piątek, ale w środę mój wnuczek miał przeszczep szpiku i nie mogłam wyjść z kościoła, po prostu nie mogłam. Powiedziałam przełożonemu, że jestem chora, i teraz tak mi wstyd, że go okłamałam. - Pociągnęła nosem. - Obiecałam, że z samego rana przyniosę ten raport komisji.

Z głośnika dobiegło westchnienie.

- Pierwszego czy drugiego listopada? Jak nazywał się ten agent?

- Och, złociutka - powiedziała Marta. - Nie mogę odczytać nazwiska.

Zdaje się, że został przyjęty... chyba o dwudziestej trzeciej, a może o północy, strasznie to niewyraźnie napisane. Aha, i w jednej rubryce napisane jest „RP”, cokolwiek to znaczy.

- Rana postrzałowa - odparła Needham. - Zaraz poszukam tych akt, nie powinno być z tym żadnych kłopotów. Proszę poczekać, tylko włączę komputer.

- Dziękuję, pani Needham. To miło z pani strony, że zgodziła się pani to dla mnie zrobić.

- Nie ma problemu. Jedną chwileczkę. - Położyła słuchawkę na biurku i słyszalne w tle odgłosy pracy biurowej zlały się w jedno z głośniejszymi dźwiękami dochodzącymi z bliska. Usłyszeliśmy piknięcie i głośny szum towarzyszący włączaniu komputera, a potem stukot klawiszy. Needham pisała szybko. Miałem nadzieję, że to dowodzi, iż jest obeznana z aktami. Słuchałem, jak komputer reaguje na jej polecenia szmerem twardego dysku. W pewnej chwili rozległo się charakterystyczne piknięcie wskazujące, że stało się coś, co nie spodobało się programowi. Needham zamruczała pod nosem.

Wcisnęła kilka klawiszy i znów rozległ się sygnał błędu. Moje serce zamierało przy każdym kolejnym piknięciu.

Minęły trzy minuty, które wydawały się trzema latami. Walter wpatrywał się w głośnik i tylko częstotliwość drgań jego wykałaczki wskazywała, jak bardzo się denerwuje.

Marta miała zamknięte oczy, a jej usta poruszały się w cichej modlitwie. Ta sytuacja doskonale pasowała do sprawy, która od samego początku wystawiała na próbę moją odporność psychiczną. Gdyby nie była tak makabryczna, wybuchnąłbym głośnym śmiechem.

- W porządku - powiedziała Needham. - Mam. Agent specjalny David Conroy, przyjęty pierwszego listopada o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt. Rana postrzałowa prawej nogi, jakiś wypadek na szkoleniu.

- Och, cudownie - ucieszyła się Marta. - To na pewno ten, widzę na mojej kopii kawałek nazwiska Conroy.

- Zaraz to wydrukuję. Jaki jest numer pani faksu?

- Chwileczkę - powiedziała Marta. - Aparat jest na korytarzu. Zaraz pójde i sprawdzę.

- Dobrze, drukowanie i tak zajmie mi jakąś minutę.

Marta wcisnęła guzik HOŁD i wszyscy odetchnęliśmy.

- No dobrze - powiedziałem do niej -jesteśmy o krok od celu, świetnie sobie radzisz. Oczekajmy dwie minuty.

Ani na chwilę nie oderwałem oczu od zegarka. Walter na wszelki wypadek zapisał informacje, które podała Needham.

- Gotowa? - spytałem Martę, kiedy upływały ostatnie sekundy.

- Do dzieła - powiedziała z uśmiechem. Walter podsunął jej następną karteczkę, a ona wcisnęła guzik i zaczęła udawać zasapaną. - Pani Needham? Przepraszam najmocniej, ale nie mogę się dostać do tego biura. Zadzwoiłam do synowej. Mieszka w Cleveland Park, dziesięć minut drogi stąd, i ma faks. Powiedziała, że może odebrać ten dokument, a potem syn mi go przywiezie.

Needham się roześmiała.

- Tyle się pani namęczy i pewnie w końcu żaden z ważniaków nie przeczyta tego raportu.

- Pewnie tak będzie. Założę się, że pani praca jest o wiele ciekawsza.

- Ma swoje zalety. Może pani podać ten numer? - Marta przeczytała numer mojego faksu. - Już wysyłam - powiedziała. - Gdyby pani tego nie dostała, proszę od razu dzwonić. Będę tu jeszcze tylko pół godziny.

- Bardzo pani dziękuję, pani Needham. Uratowała mi pani życie.

- Mam nadzieję, że pani wnuczek szybko wyzdrowieje. W dzisiejszych czasach taki zabieg to pestka. Do widzenia.

Stanąłem przy faksie, Walter i Marta dołączyli do mnie. Po dwóch minutach nasz dowód wysunął się z drukarki. Walter wziął kartkę, przebiegł po niej wzrokiem i podał ją mnie.

- Masz piłkę, chłopcze - powiedział, szeroko uśmiechnięty. - Teraz musisz ją tylko przenieść za linię końcową.

Podszedłem do telefonu i wykręciłem numer biura Rogavina. Nie sądziłem, by zrobił sobie wolne przed zakończeniem rozprawy, i nie zawiódł mnie.

- Kyle Rogavin.

- Mówi Frank O'Connell. Pomyślałem sobie, że pewnie jesteś w biurze.

- Lubię miło spędzać weekendy - powiedział. - A nic nie daje mi takiej satysfakcji, jak praca nad tą sprawą. Zatrudniłeś Bonnera?

- Był już w laboratorium i obejrzał płaszcz.

- No i?

- No i nie może uwierzyć, że ktoś mógł być na tyle niedbały, by nie zauważyć tych śladów podczas pierwszej analizy.

- Co znaczy, że nie kwestionuje ich obecności.

- Teraz tam są, owszem - przyznałem.

- No, no, ale jesteśmy podejrzliwi, co? Żeby być fair, uprzedzam, że pan Einbinder zezna, że nie sprawdzał wewnętrznej części rękawa. A potem pan Yee zrobi swoje. Prawdę mówiąc, właśnie szlifuję jego zeznania. Jak myślisz, co brzmi lepiej: „bez cienia wątpliwości” czy „z całą pewnością”?

- Proponuję spotkanie w sprawie rozstrzygnięcia procesu.

- Co ja słyszę? Uгода? - zakwilił. - Hmm. Obawiam się, że ten pociąg już odjechał.

- Chciałbym to usłyszeć z ust samego prokuratora federalnego.

Roześmiał się.

- Chyba przeceniasz wpływy swojej klientki. Dostała szansę, a nawet dwie, ale jej adwokat je odrzucił.

- Powiedz swojemu szefowi, że chcemy spotkać się z nim jutro o dziewiątej w jego gabinecie i życzyłbym sobie, żeby był tam też przedstawiciel FBI, najlepiej ktoś z kierownictwa.

- FBI? Tą sprawą zajmowała się policja.

- Mathis też powinien przyjść. Powiadom Biuro, że mam informacje, które na pewno uznają za intrygujące, i jestem gotów negocjować.

- Wiesz - powiedział chichocząc - chyba ci odbiło. To od stresu, nie? Bronisz swojej kobiety i tak dalej. Wielka szkoda, bo pierwszy byłbym gotów przyznać, że dzielnie walczyłeś.

- Posłuchaj mnie uważnie. Nie przepadamy za sobą, ale skoro już mamy być wobec siebie szczerzy, to ty też jesteś niezłym prawnikiem i chyba szanujemy się tak, jak dwaj godni siebie przeciwnicy. Powiem ci w zaufaniu, że jeśli wyjdzie na jaw, że odbyliśmy tę rozmowę i nie przekazałeś mojej prośby przełożonemu, to nawet ja nie będę się cieszył z tego, co cię spotka. Na prawdę dobrzy prawnicy potrafią wyczuć, kiedy robi się ich w konia, więc pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Czy słuchając mnie, masz wrażenie, że próbuję cię wykiwać?

Myśl, że być może coś przeoczył, zdenerwowała go, podobnie jak to, że odwoływałem się do jego zwierzchników. Trudno mu się dziwić. Zareagowałbym tak samo.

- O co w tym wszystkim chodzi, do cholery? - warknął.

- Dowiesz się jutro. Jeśli wyraziłem się nie dość jasno, ty też jesteś zaproszony. - Rzucił słuchawkę bez słowa pożegnania, jak za dawnych czasów.

Zadzwoń do Ashley.

- Znaleźliśmy go - powiedziałem. - Trafił do szpitala akademii FBI w Wirginii i mamy na to dowód. Umówiłem się na jutro z szefami Rogavina.

- Boję się oddychać - odparła - więc będę wstrzymywać oddech, aż stanie się, co ma się stać. Kiedy się zobaczymy?

- Nie dzisiaj. Muszę jeszcze przemyśleć parę spraw, a wychodzi mi to najlepiej, kiedy spaceruję.

- Może to będzie ostatnia noc, którą spędzisz na patrolu?

- Zobaczymy.

- Wiem. Jesteś przesądny, ale ja wierzę w moc pozytywnego myślenia, więc przez cały ten czas będę sobie wyobrażał nas jedzących śniadanie w łóżku we wszystkich pięciogwiazdkowych hotelach na świecie po kolei.

- Zobaczymy.

- Dobrze, dobrze. Nie chcę zapeszyć. Powodzenia. Kocham cię.

Przed wyjściem z biura zadzwoniłem do Moiry i powiedziałem jej, że znalazłem Conroya. Przybrała ton godny jej ojca i powiedziała:

- Chłopcze, wiesz, co masz robić, kiedy siedzisz za kierownicą?

- Co takiego? - spytałem.

- Prowadzić.

Pewnie nie powinienem być zdziwiony, kiedy po wejściu do biura prokuratora federalnego Gordona Simsa zobaczyłem, kto reprezentuje FBI.

Wicedyrektor James Lloyd był szefem wydziału kryminalnego i praktycznie numerem trzy w Biurze. Sama jego obecność stanowiła pewnego rodzaju potwierdzenie naszych przypuszczeń. Sims i Rogavin mogli zostać oszukani, ale Lloyd wiedział wszystko o Octagonie i pewnie był jednym z ludzi wezwanych do kwatery głównej po to, by zrobić porządek w Georgetown.

Sims, jako gospodarz, siedział u szczytu stołu, choć Lloyd był ważniejszą figurą w administracji federalnej. Rogavin siedział po prawej ręce swojego szefa, a obok niego zajął miejsce ubrany w wymięte ciuchy Mathis, wyraźnie niezadowolony z towarzystwa prawników i federalnych. Obok spoczął zastępca Lloyda, Oscar Wallace, który mazał po kartce dużym piórem Mont Blanc, obserwowanym podejrzliwie przez Mathisa, preferującego długopisy.

Lloyd rozsiadł się naprzeciwko Simsa, olśniewając wszystkich swoim garniturem koloru węgla, w paski nieco szersze od tych, które zdobiły ubranie Rogavina.

Walter i ja zajęliśmy miejsca po lewej ręce Simsa, naprzeciwko oskarżenia.

- Dziękujemy za przyjęcie nas - powiedziałem, kiedy wszyscy się już sobie przedstawili.

Sims odchrząknął.

- Ustalmy, że jest to spotkanie dotyczące możliwego rozstrzygnięcia procesu i że nic, co zostanie tu powiedziane, nie będzie mogło zostać wykorzystane przed sądem.

- Zgoda- odparłem.

- Co więcej - ciągnął - ponieważ jesteśmy świadomi, jak wielkie zainteresowanie opinii publicznej budzi ta sprawa, ustalmy, że wszystko, co zostanie tu powiedziane, jest tajne i że nikt po zakończeniu spotkania nie zwoła konferencji prasowej.

- Zgoda.

Szef prokuratury zwietrzył zwycięstwo, co wprawiło go w doskonały nastrój, tym bardziej, że jeszcze niedawno niektórzy komentatorzy otwarcie podważali wiarygodność argumentów oskarżenia.

- Dzielnie pan walczył, panie O'Connell - powiedział jowialnie. - Nasz as musiał się przez pana sporo napocić. - Rogavin zamrugał nerwowo, ale się nie odezwał.

- Dzięki. To była prawdziwa bitwa, w sądzie i poza nim.

- Cóż - powiedział - prasa jest od tego, żeby sprzedawać gazety. Powiem panu szczerze, na pana miejscu zorganizowałbym konferencję prasową i wyznałbym, że to wszystko prawda. Zazdrościliby mi wszyscy w Waszyngtonie. - Nikt się nie zaśmiał! Sims spoważniał. - To pan zorganizował tę imprezę - powiedział - ale zanim przejdziemy do rzeczy, muszę wyjaśnić nasze stanowisko. Kiedy zaczął się proces i poświęciliśmy mu wszystkie nasze środki, wszelkie propozycje przestały być aktualne. Nie zamierzamy więc zaoferować nic równie korzystnego.

- Nie przyszedłem, by prosić o takie same warunki ugody.

- To dobrze. Może się dogadamy. Co pan proponuje?

- Żebyście wycofali zarzuty i umorzyli sprawę.

Sims rozejrzał się po twarzach zgromadzonych, jakby szukał potwierdzenia, że się przesłyszał.

- A dlaczego, do licha, mielibyśmy to zrobić? - ryknął.

- Bo to oszczędziłoby pewnym obecnym tu osobom kompromitacji... a może i postawienia w stan oskarżenia.

Prokurator poczerwieniał. Rogavin tylko pokręcił głową, niewątpliwie przekonany, że stracił rozum. Mathis patrzył na coś nad moim ramieniem; tylko szybkość, z jaką żuł gumę, wskazywała, że wszystko się w nim gotuje.

Na drugim końcu stołu Lloyd patrzył z kamienną twarzą na notatkę napisaną przez jego zastępcę.

- Nie mamy już o czym mówić - wykrztusił Sims. Wstał i wskazał na

Rogavina. - Jutro pójdziesz do sądu i zakończysz to cholerstwo.

- Oskarżenia o co? - spytał Lloyd ze spokojem.

- O wrobienie Ashley Bronson w zabójstwo, którego nie popełniła. Wiemy, co wydarzyło się w nocy pierwszego listopada, panie Lloyd, znamy całą prawdę. - Spojrzał na mnie bez wyrazu, czekając na więcej.

Sims powoli osunął się na krzesło, nie odrywając ode mnie oczu.

- Widziałem w mojej karierze różne wariackie wyglupy - warknął. - Zdesperowanych prawników chcących ocalić klienta albo wyrobić sobie dobrą markę i szybko się wzbogacić, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Jest pan skończony, całkowicie... zawodowo... skończony. Po zakończeniu tej rozprawy nie wróci pan do zawodu, bo żaden sędzia

w tym mieście nie będzie chciał mieć z panem do czynienia. Myśli pan, że może tu wejść...

- Czy nie mamy już o czym mówić, panie Lloyd? - spytałem, ignorując Simsa.

Lloyd zanim odpowiedział spojrzał na Simsa.

- No cóż - powiedział - przyszedłem tu na prośbę prokuratora, ale muszę przyznać, że wzbudził pan moje zaciekawienie, pewnie dlatego, że z was wszystkich wiem o tej sprawie najmniej. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem. - Spojrzał na Wallace'a, który przytaknął mu skinieniem głowy.

Walter zwrócił się do mnie i powiedział:

- Kłamie. - W odpowiedzi Lloyd tylko przeszył go wściekłym spojrzeniem.

Powiedziałem:

- Obecny tu pan Feinberg to były detektyw wydziału zabójstw nowojorskiej policji. Oprócz legendarnej wręcz zdolności dedukcji posiada dar rozpoznawania kłamców. Jest swego rodzaju chodzącym wariografem, tyle że bardziej dokładnym. Inni policjanci przyprowadzali go do sali przesłuchań tylko po to, by przysłuchiwał się zeznaniom ludzi.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Lloyd.

- I słusznie - odparłem. - Na przykład od razu zorientował się, że Miles Kellogg kłamie, bo tak naprawdę nie było go w pobliżu domu Garveya w noc jego śmierci. - Spojrzałem na Rogavina i wyjaśniłem: - Kellogg był podstawiony, bo prawdziwy świadek nie mógł się ujawnić.

- Prawdziwy świadek? - prychnął Rogavin. - Chcesz usłyszeć prawdziwego świadka? Yee twierdzi, że twoja klientka strzelała z pistoletu.

Wzruszyłem ramionami.

- Skoro przyjęliśmy zasady ustalone przez pana Simsa, mogę powiedzieć wprost, że pierwszego listopada około dziesiątej piętnaście wieczorem Ashley Bronson weszła do domu Raymonda Garveya, wyjęła jego pistolet z szuflady i strzeliła.

- Czyli to ona go zabiła - oświadczył Mathis. - Mamy pocisk wyjęty z głowy Garveya.

- Macie pocisk - przytaknąłem. - Tyle że nie z głowy Garveya.

- Jak to? - zdziwił się Sims. - Skoro nie z Garveya, to skąd?

- Z niego - odparłem i rzuciłem na stół kilka kopii akt szpitalnych. Wylądowały przed Mathisem, który wydawał się zdecydowany nie zwracać na nie uwagi do chwili, gdy Rogavin od niechcienia wyciągnął rękę i wziął jeden egzemplarz.

Czytając, zaczął się prostować, skacząc wzrokiem po rubrykach. Widząc to, Sims nie wytrzymał, wstał i chwycił jedną z kopii. Lloyd wyciągnął rękę i Wallace podał mu

następną kartkę, a drugą wziął dla siebie. Została jeszcze jedna. Mathis odwrócił ją w swoją stronę tak, by nie zostawić odcisków palców.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła sekretarka. Położyła przed Simsem różową karteczkę z jakąś wiadomością on jednak był zbyt zajęty studiowaniem raportu, by zwrócić na nią uwagę.

Obserwowałem Lloyda, przebiegającego oczami formularz. Żyłka na jego szyi zaczęła pulsować, a kiedy skończył czytać, spojrzął prosto przed siebie z zaciśniętymi zębami.

- Co to ma znaczyć? - spytał Sims. - Postrzeliła agenta FBI?

- Zgadza się.

Mathis usłyszał już dosyć.

- Gówno prawda! - krzyknął, uderzając dłonią w stół. - Mamy pistolet i amunicję, którą Garvey kupił razem z nim. W pistolecie była jedna łuska i pięć nabojów, a w pudełku zostały czterdzieści cztery. To daje w sumie pięćdziesiąt, tyle ile było w pudełku! Kula została przewieziona z domu Garveya na test balistyczny i pasowała do pistoletu!

- Nie-powiedziałem.

- Przecież kula przez cały czas była w naszych rękach! - ryknął Mathis.

- To prawda - odparłem. - Najpierw miał ją lekarz sądowy, a potem ekspert od balistyki. A kto w międzyczasie?

Mathis zastanowił się przez sekundę i powiedział:

- Agent FBI.

- No właśnie. Proszę mi powiedzieć, detektywie, na podstawie własnych wieloletnich doświadczeń, czy agenci FBI często podejmują się transportu dowodów rzeczowych?

- Wizyta agenta Windemere'a w kostnicy miała charakter rutynowy -wtrącił się do rozmowy Wallace. - Zmarły był w przeszłości wysokim urzędnikiem państwowym, a gdyby okazało się, że został zamordowany z powodu czynności wykonywanych przez niego w czasie pracy w rządzie, mogłoby to być uznane za przestępstwo federalne.

- Ach tak - powiedziałem. - Raymond Garvey był członkiem administracji Cartera. Kto miałby go zabić?

Mathis był wrogo do mnie nastawiony, ale jako detektyw przestrzegął tej samej zasady, co Walter: kieruj się logiką i instynktem, a nie zbłądzisz.

Przechylił głowę w stronę raportu ze szpitala i powiedział:

- To znaczy, że Windemere podmienił kule?

- Zgadza się.

- No to kto zabił Garveya i co ten Conroy robił w jego domu?

Zerknąłem na Lloyda.

- W każdej chwili może się pan włączyć do rozmowy - powiedziałem.

Zmarszczył brwi.

- Nie, dziękuję, nie chcę się do tego mieszać. - Spojrzał na Simsa. - Czy prokuratora zamierza umorzyć wygraną sprawę z powodu wypadku na strzelnicy w Quantico?

- Nie umorzymy jej - oświadczył Sims. - Nie na podstawie zbiegu okoliczności.

- Gówno, nie zbieg okoliczności - powiedział Walter. Mówił do Mathisa jak glina do gliny. - Sam zobacz, weszła do tego domu koło dziesiątej piętnaście, a ten gość trafił do szpitala o jedenastej pięćdziesiąt. Kto o tej porze chodzi na strzelnicę? Musieli posprzątać po sobie, ściągnąć helikopter, przewieźć rannego na miejsce zbiórki i stamtąd do Cjuantico. Czas się zgadza. No i jest jeszcze sprawa pocisku. Gdyby gość naprawdę chciał się dowiedzieć, dlaczego zginął Garvey, to gdzie by poszedł? Do kostnicy? A co mógł tam usłyszeć? Przyszedł po kulę i ją dostał. Dla mnie to żaden zbieg okoliczności, tylko uzasadnione podejrzenie.

- No to odpowiedzcie na moje pytania - powiedział Mathis.

Rogavin nie odezwał się ani słowem od chwili, kiedy przeczytał raportze szpitala, a teraz w skupieniu obserwował Lloyda. Pchnąłem nasze następne dokumenty w jego stronę i powiedziałem:

- Zamierzaliśmy dołączyć to do materiału dowodowego. To kopie dwóch czeków wpłaconych na konto Garveya, opiewających w sumie na sto tysięcy dolarów, wystawionych przez coś, co nazywa się Octagon Associates. Jeśli to sprawdzicie, dowiedziecie się, że to nowojorska spółka z siedzibą pod adresem firmy prawniczej z Manhattanu. Nic nie wskazuje, by robiła jakiegokolwiek interesy, choć istnieje od przeszło pięćdziesięciu lat. Odkryjecie też, że ten sam Octagon spłacił wierzycieli Shermana Burroughsa. Wiecie już, że Burroughs miał jakieś układy z Garveyem i że nie był zadowolony. Nie wiecie natomiast, że oprócz nich zamieszany w to jest jeszcze ktoś trzeci, i mamy dwóch świadków, którzy go widzieli: byłą gosposię Burroughsa i jego szofera- ten człowiek był Europejczykiem i przedstawiał się jako Brown.

- To nie jest odpowiedź na żadne z pytań - powiedział Sims.

- Wszystko w swoim czasie - odparłem. - Octagon chciał czegoś od Henry'ego Bronsona i wykorzystał jego przyjaciela Raymonda jako pośrednika. Tak Garvey zarabiał na życie. Ale Henry nie był skłonny do współpracy, więc Sherry zaczął naciskać na Raymonda, a Raymond na Henry'ego.

- Wardowie słyszeli, jak kazała Garveyowi więcej nie przychodzić do jej domu - powiedział Mathis. - To znaczy, że chodziło o to, żeby odczepił się od ojca?

- Zgadza się - przytaknąłem. - A kiedy to się działo, ludzie pana Lloyda obserwowali ich wszystkich. FBI wiedziało o Octagonie. Niewykluczone, że akta tej sprawy sięgają daleko w przeszłość, może całe pięćdziesiąt lat.

- No to czego chcieli od Bronsona? - spytał Mathis.

- Mamy pewne podejrzenia - odparłem - ale nie możemy ich ujawnić.

- „Podejrzenia”? - powtórzył Lloyd. - „Niewykluczone”? „Nie możemy ujawnić”? To same domysły. Nie macie dowodów, że interesowaliśmy się tym Octagonem, i snujecie nieuzasadnione przypuszczenia, że to Octagon zetknął Burroughsa z Garveyem?

- Tak, to pewnie następny zbieg okoliczności.

Zwróciłem się do Rogavina, kontynuując mój wywód:

- W dniu, kiedy rozeszły się wiadomości o śmierci Henry'ego Bronsona, Brown zadzwonił do Burroughsa, mocno poruszony. Tym razem używał nazwiska Clay, pewnie był to jakiś szyfr. Odebrała gosposia. Rozpoznała jego głos, gotowa jest potwierdzić to przed sądem. Kilka dni później Garvey i Brown zjawili się w bibliotece Henry'ego Bronsona i zaczęli ją przeszukiwać. Wyjaśnili mojej klientce, że Garvey zostawił tam jakieś dokumenty.

Nie wiedziała, o czym mówią, ale żeby się ich pozbyć, powiedziała, że spaliła je na polecenie ojca. Była przekonująca. Brown uwierzył jej, a to sprawiło, że Garvey stał się zbędny.

Mathis skrzywił się.

- Twierdzisz, że to Brown zabił Garveya?

- Wszystko na to wskazuje. Jesteśmy przekonani, że FBI założyło podsłuch w domu Garveya. Kiedy został zamordowany, natychmiast tam przyjechali i byli w środku, kiedy moja klientka wystrzeliła z pistoletu.

Lloyd powoli zaklaskał w dłonie w udawanym aplauzie.

- Gratulacje, mógłby być z tego dobry film - powiedział ze złośliwym uśmiechem.

- Szkoda tylko, że niezgodny z faktami. - Spojrzał na Simsa. - Nasz udział w tej sprawie ograniczył się do wizyty w kostnicy i oddania przysługi lekarzowi sądowemu, to wszystko. Owszem, Garvey już od dawna nie miał nic wspólnego z rządem, ale kiedyś był jego członkiem. Wiesz, jak to jest, Gordon. W gazetach pojawiają się nagłówki: „Były sekretarz zamordowany” i wszyscy domagają się komentarza FBI. Obecny dyrektor niczym nie różni się od poprzedników. Lubi mieć pełny obraz i nie obchodzi go, czy sprawa leży w naszej gestii czy nie, bo opinia publiczna, a także, nawiasem mówiąc, trzy czwarte

Kongresu, nic nie wie o ograniczeniach, jakim podlegamy. Zасыpują nas pytaniami, a udzielając odpowiedzi typu „Nic nie wiemy”, nie zdobywamy sobie zaufania ludzi zawiązujących nasz budżet. Zasada obowiązująca w centrali jest prosta: jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że zostaniemy o coś zapytani, trzeba poznać związane z tym fakty.

Windemere dostał polecenie zbadania sprawy. Było za późno, by jechać na miejsce zbrodni, więc poszedł obejrzeć zwłoki i uzyskać informacje od lekarza sądowego. Natomiast jeśli chodzi o to, co stało się w Quantico, mamy na to kilku świadków, a pewien nieostrożny agent nazwiskiem Harvester został zawieszony i czeka go postępowanie dyscyplinarne. To wszystko. Oto wasz wielki spiszek.

- Dla mnie to ma sens - powiedział Sims. Spojrzał na mnie i dodał:

- Nie to, co pańska historia. Gdyby panu uwierzyć, oznaczałoby to, że członkowie zarządu FBI uknuli spiszek, by zrobić pańską klientkę w morderstwo, którego nie popełniła. Jest to tak absurdalne, że aż boję się spytać, dlaczego mieliby to zrobić.

- Takie rozwiązanie było najbardziej logiczne - odparłem. - Bez wątplenia uważali, że postrzelenie agenta Conroya jest przestępstwem, które nie może pozostać bez kary. Sądziłi też, że Ashley Bronson poszła do Garveya, by go zabić, więc wrabiali ją w zbrodnię, którą i tak zamierzała popełnić.

Tak pewnie łatwiej im było usprawiedliwić się przed sobą.

- Twierdzisz, że nie chciała zabić Garveya? - spytał Mathis.

- Myślę, że przeoczyliście inną możliwość. Poszła do Garveya, żeby powiedzieć mu, co o nim myśli, i otworzywszy drzwi kluczem, który od niego dostała, natknęła się na włamywaczy.

- To absurd! - warknął Sims.

- Niekoniecznie. W świetle przepisów, Conroy był włamywaczem. Ashley Bronson natomiast dostała się do domu w sposób zgodny z prawem. Postrzelenie intruza nie jest przestępstwem.

Lloyd zachichotał i pokręcił głową.

- Muszę to panu przyznać, potwierdza się opinia, że jest pan bardzo twórczym prawnikiem. Krótko mówiąc, mylnie uważaliśmy, że pańska klientka była winna przestępstwa i żeby nie uszło jej to na sucho, wrobiliśmy ją w poważną zbrodnię. Cóż za perfidia.

- Przekonanie ojej winie nie było waszym motywem. Tak tylko uzasadnialiście to, co chcieliście, a właściwie musieliście zrobić.

- Poważnie? No to niech pan nam powie: co nami kierowało?

- Chęć ratowania własnych tyłków. Gdybyście nie dali policji sprawcy, wszczęte zostałyby śledztwo i prowadzono by poszukiwania zabójcy Garveya. Byłoby kwestią czasu, kiedy policja odkryje powiązania między Garveyem a Burroughsem, dowie się o istnieniu Octagonu i na końcu dotrze do pana Browna. To oznaczałoby rozgrzebanie sprawy, którą FBI uważa za istotną dla bezpieczeństwa narodowego.

- Co to ma wspólnego z ratowaniem tyłków? - spytał Mathis.

- Nic, ale gdyby doszło do śledztwa, uważniej obejrzelibyście dowody znalezione u Garveya. - Wyjąłem z koperty polaroidy i pchnąłem je w stronę Mathisa. - Pamiętasz je? - spytałem. Rozłożył zdjęcia i obejrzał, jeden po drugim. Kiedy skończył, podał je Rogavinowi.

- Tak - powiedział Mathis. - Ekipa znalazła je w salonie. To oryginały. Skąd je macie?

Udałem, że nie usłyszałem pytania.

- Co o nich pomyśleliście? - powiedziałem.

- Nic. Uznaliśmy, że ktoś bawił się aparatem.

- A znaleźliście w domu polaroid?

- Nie.

- Wiesz, co to jest czarna robota?

- W jakim sensie?

Przekazałem pałeczkę Walterowi, który powtórzył swój wykład o FBI i czarnej robocie, po czym wyjaśnił, że agenci nie zdążyli zabrać wszystkich zdjęć, bo musieli szybko usunąć z domu Garveya rannego Conroya i mikrofony. Kiedy skończył, powiedziałem:

- Niektórzy z was, oprócz panów Lloyda i Wallace'a, być może pamiętają, co stało się ostatnim razem, kiedy tego rodzaju działania Biura wyszły na jaw. Komisje kongresowe nie pozostawiły na nim suchej nitki, a dwaj najwyżsi rangą członkowie kierownictwa zostali postawieni przed sądem i skazani. Prawda jest taka, że federalni bali się, że znów będą musieli przejść przez to piekło. Sprawa Garveya musiała zostać zamknięta.

Rogavin milczał już dość długo. Trzymał w palcach kluczyk bractwa Phi Beta Kappa, który nosił na szyi.

- Kiedy przychodzi czas ogłoszenia wyroku - powiedział cicho - jest duża różnica między usiłowaniem zabójstwa a zabójstwem.

- Chyba żebyśmy przyjęli twoją wielkoduszną propozycję - odparłem.

- Mogę obejrzeć te zdjęcia? - powiedział Lloyd. Mathis pchnął je przez stół. Lloyd zerknął na nie i pokręcił głową. - Pracuję w Biurze dwadzieścia dwa lata - oświadczył - i

przetrwalem wszystkie te oskarzenia i śledztwa, o których mówił pan O'Connell, ale nigdy nie słyzałem o tej sprawie z polaroidami. A ty, Oscarze?

- Ja też nie - odparł Wallace.

Lloyd pchnął zdjęcia z powrotem na środek stołu.

- Gordon, ci ludzie chcą, żebyś podkulił ogon i zrezygnował z najgłośniejszej od lat sprawy, jaka trafiła się tej prokuraturze. Była wygrana, za nim wykryto ślady prochu, zresztą obrona nie zaprzecza ich istnieniu. Jeśli wycofasz zarzuty, będziesz musiał odpowiedzieć na masę pytań. Co, wyjaśnisz, że dałeś się nabrać na jakieś sztuczki? Połowa profesorów prawa w tym kraju zagląda ci przez ramię z różnych studiów telewizyjnych i możesz założyć się, o co chcesz, że będą bardzo ciekawi, jakież to dowód skłonił cię do porzucenia tak głośniejszej sprawy. Pomyśl o wszystkim, co usłyszałeś od obrony, i oddziel przypuszczenia od dowodów. Co takiego mają, co nadawałoby się do przedstawienia w sądzie? - Lloyd spojrział na mnie i powiedział:

- O ile niczego nie przegapiłem, znaleźliście świadków mogących potwierdzić, że Garvey, Burroughs i ten Brown mieli ze sobą jakieś układy. Możecie nawet zasugerować, że Brown to podejrzany typ. Ale co z tego? Jeśli wasza klientka nie będzie zeznawać, nie udowodnicie, że naciskali na jej ojca i że szukali czegoś w jego bibliotece.

- Co pan na to? - spytał Sims. - Czy pańska klientka będzie zeznawać?

- Nie planujemy tego- przyznałem.

- To dopiero początek - ciągnął Lloyd. - Nie możecie udowodnić, że Octagon to jakaś nielegalna organizacja, nie macie nic na poparcie tej idiotycznej teorii o zamianie pocisków i nie potraficie wykazać, że FBI prowadzi lub prowadziło jakiegokolwiek śledztwo, czemu zresztą, stanowczo zaprzeczamy. Co więc macie? Raport ze szpitala, którego nie możecie przekonująco powiązać ze swoimi teoriami. Oskarzenie za to dysponuje świadkami, którzy mogą zeznać, jak to było z Conroyem. Warner nawet nie dopuścił was do głosu. A co się tyczy tych zdjęć, nie sądzę, by przysięgłych obchodziły wyjaśnienia prywatnego detektywa opłacanego przez oskarżoną, więc jeśli nie macie czegoś więcej, polaroidy też nie trafią do materiału dowodowego.- Spojrział na Simsa. - Gordon, nie jestem prawnikiem, więc daj znać, gdy bym mówił coś nie tak.

- Wszystko gra - odparł Sims. - A ja nie pozwolę, by prokuratora stała się obiektem kpin. O'Connell, chyba nie spodziewa się pan, że wycofamy zarzuty z powodu jakiejś naciąganej historyjki? W tych sprawach decyzje muszą być oparte na dowodach.

Wzruszyłem ramionami.

- Na Kapitolu mogą się inaczej na to zapatrywać. Jest dość szczegółów, które mogą zainteresować komisję kongresu, a kiedy zaczniesz się dochodzić, to historyjka pana

Lloyda okaże się niewiarygodna. Zbyt wiele osób zna prawdę o śledztwie w sprawie Octagonu, nie tylko agenci, ale i urzędnicy czy maszynistki. Ci sami ludzie słyszeli, jakie zadanie miał Conroy, i wiedzą, że pierwszego listopada nie było żadnego wypadku na strzelnicy.

Nastąpią przecieki do prasy, może pan być tego pewien, a wtedy tu i w kwaterze głównej stanie się coś podobnego do wybuchu bomby neutronowej. Budynki i meble zostaną, a ludzie przepadną bez śladu. - Nachyliłem się ku Simsowi. - Naprawdę uważa pan, że spoczniemy choć na minutę, kiedy Ashley Bronson będzie siedziała w więzieniu za zabójstwo, którego nie popełniła? Rodzina Bronsonów dysponuje dużymi środkami, które zostaną wykorzystane do tego, by wszyscy zgromadzeni przy tym stole dostali to, co im się należy.

Sims wstał, trzęsąc się ze złości.

- Ty sukinsynu! - ryknął. - Nie zdajesz sobie sprawy, na co się porywasz... Nie masz pojęcia, z kim zadarłeś, najmniejszego! Wiesz, jak zostaniesz przyjęty na Kapitolu? Jak zdesperowany adwokat skazanej zabójczynie, krętacz, który cudem uniknął kary za rzucanie kalumni na szanowanego człowieka i mieszkanie z własną klientką! Wyśmiejąte brednie, którymi nas tu karmiłeś, te twoje gówniane teorie o spiskach i drugich kulach, i możesz być pewien, że nie będzie żadnych przesłuchań dla zaspokojenia twoich kaprysów! A kiedy to wszystko się skończy, zamieciemy do kąta strzępy twojej licencji prawniczej. A teraz Rogavin musi się przygotować do rozprawy.

To spotkanie jest zakończone, więc wynoś się!

Popatrzyliśmy po sobie z Walterem: nic więcej nie można było powiedzieć. Sięgnąłem po teczkę, zdecydowany nie okazać czarnej rozpaczki, jaka we mnie wzbierała.

- Przemyśl to - powiedziałem do Simsa, zamykając teczkę. - Wykorzystują cię.

- Żegnam, panie O'Connell - wyrzucił z siebie. - I nie zapomnij swoich papierów. - Pchnął swoją kopię raportu ze szpitala w moją stronę i zauważywszy dopiero teraz różową karteczkę, podniósł ją i przeczytał wiadomość.

Otworzył szeroko oczy, złapał słuchawkę telefonu i wcisnął guzik. Uwagę wszystkich zwrócił jego zaniepokojony ton. - Jest tu? Co powiedział? - Słyszac odpowiedź, zwiesił ramiona. - Proszę go wprowadzić - mruknął, po czym odłożył słuchawkę i spojrzal na mnie. - Jest tu twój współpracownik - rzucił.

Nie odpowiedziałem. Byłem zbyt zaskoczony. Co mógł zrobić Andy, żeby wywołać taką reakcję? Drzwi otworzyły się i zanim się odwróciłem, usłyszałem ten głos:

- Przepraszam za spóźnienie, chłopaki, ale siedziałem pod gabinetem przez prawie pół godziny. Zaczynałem się czuć trochę zbyteczny.

- Przepraszam, panie Brennan - wyjąkał Sims, wyraźnie skruszony - moja sekretarka położyła wiadomość na stole, nie mówiąc ani słowa. Nie wiedziałem, że pan tam jest.

- Nic się nie stało, Gordon. - Tatko uśmiechnął się. - Miło mi się z nią rozmawiało. - Rozejrzał się po pokoju i skinął głową zgromadzonym. - Witam panów. - Wszyscy stali i uśmiechali się tak, jak to się robi w obecności ważnej osoby. Tatko uściskał wszystkim dłonie, niepotrzebnie powtarzając parę razy swoje nazwisko. Przez dłuższą chwilę wymieniał uprzejmości z Lloydem, w którym od razu rozpoznał najważniejszego adwersarza. Walter przesunął się, by Tatko mógł zająć miejsce na środku naszej strony stołu.

Siadając, mój były teść poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

- Przepraszam za spóźnienie, chłopcze. Przedstawiłeś tym dżentelmenom fakty, mam nadzieję?

- Tak - odparłem.

- No cóż, panowie - powiedział - jak widzicie, mamy do czynienia z ciekawym przypadkiem.

- Nie wiedziałem, że zajmuje się pan prawem karnym, panie Brennan - powiedział Lloyd.

- Bo się nim nie zajmuję - odparł Tatko. - Znam się na nim na tyle, by wiedzieć, kiedy wyjść ze spotkania. - Lloyd roześmiał się, a Wallace z Simsem mu zawtórowali. Mathis i Rogavin mieli pokerowe miny. - W każdym razie - ciągnął - nie wynajęto mnie jako specjalisty od spraw karnych. To zostawiam Francisowi. - Spojrzał na Rogavina. - Z tego, co słyszałem, pan też jest niezłym prawnikiem - powiedział. - To oczywiste, skoro przydzielono panu taką sprawę.

- Dziękuję - odparł Rogavin.

- A w jakim charakterze wynajęto pana? - spytał Wallace, ściągając na siebie gniewne spojrzenie Lloyda.

Tatko skierował swoją odpowiedź do wszystkich.

- No cóż, panna Bronson zdaje się uważać, że mogę pomóc w kwestii... hmm... politycznych aspektów tej sprawy, że tak powiem.

- Politycznych? - wymamrotał Sims.

- Tak, Gordonie, politycznych. - Odwrócił się do Lloyda i powiedział: - Wie pan, to zabawne, jak historia lubi się powtarzać. Ostatnim razem, kiedy stało się coś takiego, nasz dyrektor prosił mnie o pomoc w imieniu dwóch dżentelmenów uznanych za winnych popełnienia przestępstwa. Kongres dość ostro was wtedy potraktował i obawiano się, że wydanie wyroku skazującego sparaliżuje Biuro na wiele lat. - Tatko przerwał na chwilę i rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś ma ochotę zaprotestować. - Całe szczęście,

że właśnie wybrany został nowy prezydent, a ja zaliczałem się do grona uprzywilejowanych osób, które poproszono o pomoc w okresie przejściowym. Zapewniłem dyrektora, że oczywiście zrobię, co w mojej mocy i dzięki wielkim wysiłkom ludzi bardziej utalentowanych i kompetentnych ode mnie, udało się przekonać prezydenta, by ułaskawił tych dwóch nieszczęśników.

- To była zupełnie inna sytuacja - upierał się Wallace. - Zaprzeczamy, jakoby jakkolwiek agent FBI złamał prawo i odrzucamy wszystkie zarzuty, jakie nam tu dziś przedstawiono.

Lloyd położył dłoń na ramieniu Wallace'a, dając znak, że od tej pory to on będzie mówił.

- Wysłuchaliśmy teorii panów O'Connella i Feinberga - powiedział - i podaliśmy fakty, które wykazują ich nedorzecznosc. Nie licząc wysłania jednego agenta na krótką misję mającą na celu zebranie informacji, nie byliśmy w żaden sposób zaangażowani w tę sprawę.

Tatko przez długą chwilę wpatrywał się w Wallace'a. Powoli, niemal niezauważalnie, jego serdecznosc zniknęła i w pokoju nagle zrobiło się jakby chłodniej.

- Czy ma mnie pan za głupca, panie Lloyd? - powiedział cicho.

Po raz pierwszy tego dnia Lloyd wyglądał na zbitego z tropu. Wallace obserwował swojego szefa, wdzięczny losowi za to, że już nie musi brać udziału w tej dyskusji.

- Oczywiście, że nie, panie Brennan - odparł Lloyd, unosząc dłonie w przeproszącym geście.

Tatko zwrócił się do jego zastępcy:

- Ma pan rację, panie Wallace, sytuacja jest inna. Tym razem nie tylko liberałowie będą się domagać waszych głów. Po tym, co stało się w Waco i Ruby Ridge, będziecie mieli na karku również prawicę. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, a wyjdzie, zapewniam, nie będzie litości, i, ręczę, żadnych ułaskawień.

- Pan Sims nie sądzi, by Kongres miał się zainteresować tą sprawą - powiedziałem.

Tatko zbył moje słowa machnięciem ręki.

- Zaczniemy od „Post” i „Timesa” - powiedział. - Proces jest na tyle głośny, że wszystko zostanie opisane na pierwszych stronach gazet i temat nie zostanie wyczerpany w ciągu dnia czy choćby tygodnia. Dla dziennikarzy będzie to najsmakowitszy kąsek od czasów Watergate. A tego ranka, kiedy pojawią się pierwsze publikacje, będę na śniadaniu z przewodniczącym komisji nadzoru nad służbami specjalnymi.

- Nie jesteśmy całkiem bezbronni - odparował Lloyd. - Jest wielu senatorów i kongresmenów, którzy nie chcą, by Biuro stało się obiektem bezpodstawnych ataków.

- Proszę bardzo - powiedział Tatko. - Niech pan zbierze swoich sojuszników, a potem zobaczymy, jakimi siłami dysponujemy. Grałem w to z najlepszymi, z kilkoma prezydentami włącznie, i zapewniam, że nigdy nie rzucam słów na wiatr. - Spojrzał na Simsa, którego kołnierzyk był wilgotny od potu. - Gordonie, nie wierzę, że rozmyślnie brałeś w tym udział. Kiedy rozważano twoją kandydaturę na to stanowisko, z radością przedstawiłem ci właściwym ludziom i usunąłem wszystkie przeszkody stojące ci na drodze. Wierzyłem wtedy i wierzę teraz, że chcesz robić to, co słuszne. Czy kiedykolwiek się na mnie zawiodłeś?

Sims energicznie potrząsnął głową.

- Nie, panie Brennan. Chodzi tylko o to... próbuję dojść z tym wszystkim do ładu i tyle.

- Są zdesperowani, chłopcze, i wplątali się w niebezpieczną grę. Kiedy jednak będzie już po wszystkim, nawet najszlachetniejsze motywy nie będą miały znaczenia, takie są fakty.

W pokoju zapadła cisza. Nasi przeciwnicy musieli przetrwać ostrzeżenie Tatka. Mathis siedział sztywno, wpatrując się w fotografię. Wreszcie Rogavin drgnął.

- Gordonie - powiedział cicho - od kogo wyszły propozycje ugody?

Sims puścił to mimo uszu.

- Panie Brennan, bez względu na to, jaką decyzję podejmiemy, muszę skonsultować się z moimi przełożonymi. Będziemy potrzebowali trochę czasu.

- Obawiam się, że zostało go niewiele - odparł Tatko. - Dam ci jeszcze jedną, ostatnią już radę. Jeśli postanowisz dalej ciągnąć tę farsę, dopilnuję, by prezydent nie był zaskoczony tym, co stanie się potem. Jutro jem z nim kolację. Może lepiej, żebyś ty mu o wszystkim powiedział.

- Nie wiedziałem, że jutro jest jakieś przyjęcie w Białym Domu - zauważył Lloyd. - A my jesteśmy z wyprzedzeniem informowani o takich rzeczach.

- Kto mówi o Białym Domu? - powiedział Tatko. - Kolacja będzie u mnie. - Z tymi słowami wstał, Walter i ja zrobiliśmy to samo. - Życzę miłego dnia, panowie. Dla dobra wszystkich zainteresowanych mam nadzieję, że zamkniemy tę sprawę jeszcze dzisiaj.

Wyszliśmy za nim na korytarz. Z trudem panowałem nad emocjami, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, dołączył do nas Rogavin.

- O'Connell, możemy chwilę porozmawiać? - spytał. Tatko z Walterem

poszli w głąb korytarza, a my zostaliśmy z tyłu. - Słuchaj, nie jestem pewien, kto tu mówi prawdę, ale liczę, że do wieczoru się tego dowiem. Jeśli wyjdzie na twoje, chcę, żebyś wiedział, że nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego.

- Nigdy tak nie uważałem. Mogę ci coś zasugerować?

- Proszę bardzo.

- W centrali wszyscy trzymająęby na kłódki. Najlepiej zacznij od Kellogga. Na twoim miejscu dobrałbym się do niego z Mathisem, zanim zrobi to FBI. Powiedz mu, że wszystko diabli wzięli i że ma jedną szansę na uratowanie własnego tyłka. Możesz dodać, że wiesz już, że zaraz po powrocie z Zachodniej Wirginii wziął Nieznajomych z pociągu z wypożyczalni w Georgetown.

Rogavin zatrzymał się i wypuścił powietrze z ust.

- Może tak zrobię. Tak czy inaczej, zadzwonię do ciebie wieczorem.

- Gdyby nie było mnie w biurze, będę u klientki. - Dałem mu numer.

Kiedy wychodziłem z budynku, Joseph właśnie zamykał tylne drzwi limuzyny. Podbiegłem do krawężnika i Tatko opuścił szybę.

- Podwieźć cię gdzieś, chłopcze? - spytał.

- Pojadę z Walterem - powiedziałem.

- Co powiedział nasz młody prokurator?

- Zdaje się, że nam wierzy, ale musi najpierw uratować Simsa przed samym sobą.

Czeka go sporo pracy.

- Cóż, miejmy nadzieję, że Gordon przejrzy na oczy.

- Tatku?

- Tak, chłopcze?

- Jak jej się to udało?

Zaśmiał się i pokręcił głową.

- Bardzo łatwo. Spytała, kiedy chcę następnym razem zobaczyć mojego wnuka, w ten weekend, czy, powiedzmy, na uroczystości zakończenia studiów.

- Chryste! Ostro zagrała.

- Moja własna córka! A ja w tym czasie huštałem brzdąca na kolanie! -Uśmiechnął się z podziwem. - Po kim ona to ma? Jej świętej pamięci matka była prawdziwą damą.

- Nie mam pojęcia. Słuchaj, Tatku, dokonałeś już tylu cudów i nawet przed tym, co stało się dzisiaj, zrobiłeś dla mnie tak wiele, że nigdy nie zdołam ci się odwdzińczyć, ale, Jezus, jeśli pójdziesz z tym do Kongresu, to zmuszacie do wykorzystania wszystkich atutów, a prezydent nieprędko znowu pojawi się w twoim domu.

- To samo jej powiedziałem. „Będziesz przyprowadzać małego do mnie do przytułku?”, spytałem. I nic. A chodziło o jej własnego ojca.

- Tatku, nie...

- Nie przejmuj się. - Roześmiał się. - Słuchaj, chłopcze, uczestniczę w tej grze od dawna, ale nie jestem na tyle zepsuty, żeby nie obchodził mnie los niewinnej młodej kobiety. Zresztą, kiedy już zostaniesz najsławniejszym prawnikiem w tym mieście, będziesz mógł mi podsyłać tyle spraw, ile będę potrzebował, żeby znów stanąć na nogi.

- Musimy porozmawiać, Tatku. Jest wiele rzeczy...

Podniósł rękę.

- Zachowaj to na jutro. Jeśli dopisze nam szczęście, wypijemy kieliszeczek lub dwa.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- Zaczekaj z tym do naszej rozmowy. Możesz to dla mnie zrobić?

- Dla ciebie wszystko. Wszystko, o co poprosisz. - Ledwie wypowiedziałem te słowa, przypomniał mi się sobotni wieczór w jego gabinecie i zawód, jaki mu sprawiłem. Czytał w moich myślach.

- Nie martw się, chłopie - powiedział łagodnym tonem. - Wszystko się jakoś ułoży, tak to zwykle bywa. Zadzwoń, jak tylko będziesz miał jakieś wiadomości.

Uścisnąłem jego dłoń. Kiedy limuzyna odjechała, Walter wsadził wykałaczkę do ust i mrugnął do mnie.

- Wiesz - powiedział z szerokim uśmiechem - powinien był zostawić srebrną kulę czy coś takiego.

23

Noc po wielkim dniu. Siedziałem w ciemnościach w moim gabinecie i myślałem nie o obronie Ashley Bronson, lecz o sobie. Po raz pierwszy od kilku lat z zadowoleniem rozmyślałem o tym, że mam różne możliwości.

Dzięki temu spędziłem kilka interesujących godzin. W kluczowych momentach życia wybór to nie tyle efekt przemyśleń, co odkrycie. Odkrywasz, czego chcesz, a w konsekwencji, kim jesteś.

Zadzwoił telefon. Modliłem się, by był to Rogavin.

- O'Connell?

- Tak.

- Jutro rano wycofujemy zarzuty.

Nie od razu to do mnie dotarło. To była zbyt obszerna wiadomość o zbyt zwięzłej treści.

- Jesteś tam?

- Tak. Tak, jestem.

- Gratulacje.

- Dzięki. - Kiedy tlen znów zaczął docierać do mojego mózgu, szok zastąpiło zaciekawienie. - Widziałeś się z Kelloggiem?

- Nie, przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Sims postanowił obarczyć tym wszystkim prokuratora generalnego.

- O kurde. To mu chyba nie pomoże w karierze.

- Jakbym nie wiedział. „A jeśli ta historia jest prawdziwa?“, powiedziałem. W tym mieście dementi jest wszystkim, a jemu zachciało się zabawy w Tyfusową Mary*⁷.

- Co się stało?

Rogavin westchnął.

- To zostanie między nami, zgadza się?

- Masz moje słowo.

- Kiedy prokurator generalny usłyszał, o co chodzi, zaraz odesłał swoich asystentów. Zostaliśmy we trzech przy wielkim stole. Gordon opisał przebieg spotkania, nie pominął żadnego szczegółu. Gadał przez pół godziny, a prokurator generalny nie odezwał się ani słowem. Żadnych pytań, komentarzy, nic. Nawet nie mruknął.

- Jezus, myślałem, że chociaż pęknie mu żyłka czy coś.

- Przez cały czas ssał fajkę. Nie chciałbym grać z tym gościem w pokera.

- Dziwna sprawa.

- Nie, dziwnie zaczęło się robić dopiero potem. Kiedy Gordon skończył, prokurator kazał nam zaczekać i wszedł do swojego gabinetu. Nie było go przez godzinę, a ja w tym czasie zastanawiałem się nad rezygnacją z pracy.

- Może zadzwonił do dyrektora FBI? Biuro wchodzi w skład Departamentu Sprawiedliwości, zgadza się?

⁷ * Mary Mallon, kucharka podejrzewana o to, że była nieświadomym nosicielem duru brzuszego; członkowie rodzin wszystkich jej pracodawców zapadali na tę chorobę (przyp. tłum.).

- Tak, na papierze. W każdym razie w końcu wrócił, usiadł i spytał, jak dużo wiemy o przepisach dotyczących rewizji prowadzonych bez nakazu.

Gordon powiedział, że często mamy do czynienia z tą kwestią przy okazji rozpatrywania wniosków o wycofanie dowodów, ale prokurator generalny powiedział, że chodzi mu o coś innego: o uprawnienia władzy wykonawczej do podejmowania wszelkich działań mających na celu ochronę kraju przed zagrożeniami zewnętrznymi.

- Zagrożeniami zewnętrznymi? To znaczy, ze strony innych państw?

- Właśnie. Potem zapalił fajkę, odchylił się w fotelu i wygłosił wykład o prawie konstytucyjnym, jakbyśmy byli na Harvardzie. Sprowadzało się to do tego, że istnieją różnice poglądów co do tego, czy władza wykonawcza musi uzyskać w sądzie nakaz rewizji, kiedy w grę wchodzi zewnętrzne zagrożenie bezpieczeństwa narodowego.

- Na przykład Octagon - powiedziałem.

- Cóż, wiesz o tym więcej ode mnie. A propos, pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, co właściwie było ich celem.

- Nie mogę, ale jeśli sprawdzisz w encyklopedii prawa hasło „zagrożenie zewnętrzne”, to zobaczysz tam zdjęcie tych ludzi.

- No to wszystko pasuje.

- Bez nakazu rewizji, tak? To chyba nie znaczy, że FBI może robić, co chce?

- Po powrocie do biura szybko sprawdziłem kilka rzeczy. Jeśli, mówię „jeśli”, władza wykonawcza ma takie prawo, prawdopodobnie może z niego korzystać tylko prezydent lub prokurator generalny i każdy przypadek musi być rozpatrywany indywidualnie.

- Sądzisz, że to jeden z nich przysłał tu tych ludzi?

- Nie, Biuro stało za tym od początku do końca. Myślę, że prokurator generalny chciał nam powiedzieć, że przepisy w tej kwestii są niejasne. Skoro mogą się co do tego dogadać sędziowie i profesorowie prawa, to kto wytłumaczy to brukowcom? To byłoby jak Watergate, tylko pozbawione uroku.

- We wrabianiu kogoś w zabójstwo nie ma niczego niejasnego. Jak mógł uzasadnić fakt, że ujdzie im to na sucho?

- Nie zrobił tego. Prawdę mówiąc, rozegrał to sprytnie. Powiedział, że ujawni całą sprawę, jeśli mamy absolutną pewność co do tego, że twoja klientka padła ofiarą spisku. Jednak jeśli istnieje choćby cień możliwości, że jest winna, powtórzył „cień możliwości” trzy razy, a to jego zdaniem ważniejsze jest, by FBI odzyskało zaufanie opinii publicznej po ostatnich klęskach.

- Nie owijał w bawełnę, co?

- Skoro byliśmy na tyle głupi, by przyjść z tym do niego, pewnie myślał, że musi nam to wytatuować na czołach. Spytał, jak naszym zdaniem członkowie milicji obywatelskich wykorzystaliby historie o federalnych włamujących się do domów i wrabiających niewinne kobiety. Powiedział, że musielibyśmy potroić ochronę wszystkich budynków federalnych w kraju.

- A wspomniał przy okazji, że zagrożonych jest kilka karier?

- Oprócz naszych? Nie musiał, jest ważnym politykiem. W kręgach, w których się obraca, kariery ważniejsze są od jakichś tam budynków. Domyślam się, że uznali, że cała ta sprawa jest radioaktywna: wystarczy uchylić jej rąbka, a wszyscy umrą. Ci, którzy znajdują się w nieco większej odległości, będą trochę dłużej wierzgać i krzyczeć.

- Czyli został tylko złoty środek.

- Kiedy skończył swój wykład, spytał, czy możemy zrobić coś, by pannie Bronson nie stała się krzywdą, nie wyrządzając przy tym dalszych szkód Biuru i nie kompromitując Departamentu Sprawiedliwości. Nie musiał dodawać nic więcej.

- I jak to załatwisz?

- Bez trudu. Wydam komunikat: „Po wyczerpującym przesłuchaniu naszego świadka przez błyskotliwego obrońcę, prokuratorzy, działając w interesie sprawiedliwości, doszli do wniosku, że istnieją uzasadnione wątpliwości co do winy oskarżonej”.

- To szlachetne z twojej strony.

- Dzięki.

- Zapominasz o Yee. Będzie przeciek.

- Yee kieruje się przede wszystkim dobrem całego zespołu. Właśnie znalazł źródło zanieczyszczenia, które poddaje w wątpliwość wyniki jego badań.

- Wszędzie pełno brudu.

- Taa. Pewnie przydałby się nam wszystkim długi prysznic.

- Słuchaj, wolałbym jej jutro nie ściągać do sądu. To będzie cyrk.

- Dobrze, nie będziemy protestować. Powiedz jej, że może się wyspać. To prezent ode mnie.

- Dzięki. Czyli to koniec?

- Tak. Wygrałeś z powodu uchybień formalnych. Ale coś mi mówi, że od tej pory będziemy się częściej spotykać.

- Może. Do zobaczenia w sądzie.

- Taa. W sądzie.

Jak mówią, złe wieści podróżują szybko. W stolicy kraju wszystkie wieści są złe, ale i dobre zarazem. To, co złe dla republikanów, jest dobre dla demokratów, co zaszkodzi karierze Smitha, pomoże Jonesowi. To gra o zerowej stawce, dodatkowo komplikowana przez fakt, że te same wiadomości mogą być dobre i złe dla tej samej osoby, w zależności od tego, kto je zinterpretuje. Nagłe zakończenie procesu Ashley Bronson było wiadomością wymagającą natychmiastowej interpretacji, co spowodowało, że przekazanie jej prawnikowi oskarżonej nie zostało uznane za priorytet. Trudno powiedzieć, ile osób dowiedziało się o wszystkim, zanim zadzwonił do mnie Rogavin, ale próbuję sobie wmówić, że znalazłem się w pierwszej setce, co nie zabolalo mnie tak, jak fakt, że to nie ja pierwszy poinformowałem moją klientkę, co się stało. Ta przyjemność przypadła w udziale jej przyjaciółce, która kazała Ashley włączyć telewizor na dowolnym kanale.

Marta otworzyła drzwi i rzuciła mi się na szyję.

- To cudowne! - krzyknęła i ściskając mnie, zaczęła dziękować Wszechmocnemu i prosić o błogosławieństwo dla Waltera i mnie. Kiedy trochę ochłonąłem, przypomniałem jej, że to ona zdobyła najważniejszy dowód, i wtedy rozszoła się, z twarzą wtuloną w moją koszulę. W końcu odzyskała panowanie nad sobą i popchnęła mnie w stronę biblioteki.

Jedynymi źródłami światła były kominek i włączony telewizor stojący w kącie. Jakiś dziennikarz tłumaczył właśnie, że według źródeł zbliżonych do prokuratury, decyzja o wycofaniu zarzutów została podjęta po tym, gdy prokurator Gordon Sims poddał w wątpliwość wiarygodność Milesa Kellogga i postawił pytanie, czy dalsze prowadzenie procesu leżałoby w interesie wymiaru sprawiedliwości.

Stałem za jej plecami.

- Gratulacje - powiedziałem.

- To prawda? - spytała, nie odrywając oczu od telewizora.

- Już po wszystkim.

Wymierzyła pilota w telewizor i w pokoju zapadła cisza.

- Niczego nie czuję - powiedziała matowym głosem. - Powinam się cieszyć, ale nie mogę. Jestem... pusta.

Zaprowadziłem ją do kanapy.

- To przez szok - zasugerowałem. - Jutro rano będziesz cała w skowronkach.

- Znalazłam je - powiedziała chrapliwym głosem.

- Znalazłaś?

Spojrzała w kąt pokoju. Z najwyższej półki, ledwo widoczne w blasku płomyków, wystawały fałszywe okładki książek, szersze od tych, za którymi skrywały się dzienniki. „Oprawy” były przechylone w dół.

- Nie miałam z tym kłopotu - wyjaśniła - bo wiedziałam, czego szukać.

Po prostu stukałam dotąd, aż trafiłam na drewno. To jest tam.

Na biurku leżał rulon dokumentów przewiązany czarną wstążką. Rozwinałam je i na krawędziach położyłam prowizoryczne przyciski do papieru.

W dziewięć arkuszy z projektami zawiniętych było siedem kartek zapisanych ręką Henry'ego. Na szczycie pierwszej strony widniał wykonany drukowanymi literami tytuł: PROJEKT MECHANIZMU URUCHAMIAJĄCEGO REAKCJĘ ROZSZCZEPIENIA. Dalej znajdował się opis urządzenia i jego działania.

Ashley podeszła do mnie od tyłu.

- Miałaś rację - powiedziała beznamiętnym tonem. - Nie mogłam w to do końca uwierzyć. Musiałam wiedzieć na pewno.

- Herbert mówił, że twój ojciec nie dał im tych planów. Cokolwiek zrobił, ostatecznie podjął właściwą decyzję, a to musiało go wiele kosztować. Musiał być rozdarty między patriotyzmem a obawami o ludzkość.

Powiodła palcami po literach, jakby liczyła, że pomoże jej to zrozumieć jego cierpienia.

- Co zrobimy? - spytała.

- To, co powinno zostać zrobione już dawno temu. - Zwinąłem rysunki. - Chcesz, żebym ja się tym zajął?

Wbiła wzrok w rulon i potrząsnęła głową. Podeszliśmy do kominka. Wsunąłem jej w dłoń dzieło ojca. Z drżącymi ustami przycisnęła je do siebie, jakby było ostatnim łączącym ich ogniwem.

- Tatusiu - szepnęła i włożyła rulon do ognia.

Patrzyliśmy, jak zaczyna płonąć.

- Muszę wyjechać - powiedziała cicho. - Jak najszybciej.

- Możesz już się pakować. Nie musisz jutro iść do sądu. Nie będą domagać się twojej obecności.

- Nie muszę?

- Nie, przyjdą sami prawnicy. To będzie cyrk. Pomyśl, czy jest coś, co mam powiedzieć w twoim imieniu! Jeśli nie, to poprzestanę na stwierdzeniu, że czujesz się usatysfakcjonowana i nigdy nie straciłaś wiary w wymiar sprawiedliwości.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Wierzyłam w ciebie. Przekonałeś ich, czy się po prostu przestraszyli?
- Zostali przekonani, że powinni się bać, ale nie przeze mnie, tylko przez Edwarda

Brennana.

Zmarszczyła brwi.

- Twojego teścia?
- We własnej osobie.
- Dlaczego właśnie przez niego?
- Potrzebowaliśmy kogoś na tyle ważnego, że nastraszyłby cały rząd.

Lista takich osób jest krótka.

- Ale będą chcieli się odegrać. Zniszczą go!

- Wszystko tak się ułożyło, że nie będzie żadnych kłopotów. Ludzie, którzy wiedzą, co się stało, mają powody, by się z tym broń Boże nie ujawniać. Zadzierać z Edwardem Brennanem to samobójstwo. Zresztą jest Irlandczykiem. Uwielbia walczyć.

- Zrobił to dla ciebie - upierała się, kładąc głowę na moim ramieniu. - A ty poprosiłeś go o to ze względu na mnie. Aż tak mnie kochasz?

- Tak.

- Po twoim telefonie dziś po południu, kiedy pomyślałam, że to może być koniec tego koszmaru, zaczęłam się bać.

- Nic dziwnego.

Ścisnęła mnie mocniej.

- Nie, bałam się, że cię stracę. Ciągłe przypominałam sobie, jaką miałeś minę tamtej nocy, kiedy mówiłam o naszym wyjeździe. Nie byłam pewna, co czujesz.

Ja też nie. Dopiero przed kilkoma godzinami, w moim gabinecie, wszystko stało się dla mnie jasne.

Czekała, aż dodam jej otuchy, a ja szukałem właściwych słów. W końcu spojrzała mi w oczy. Czasem dobrze mieć uczucia wypisane na twarzy.

- Nie wyjedziesz ze mną, prawda? - powiedziała.

- Nie mogę.

Puściła mnie i osunęła się na kanapę.

- Wiedziałam to. Od samego początku. Po prostu nie chciałam się z tym pogodzić.

- Ashley, kiedy ożeniłem się z Moirą, dostałem wszystko, czego może chcieć człowiek. W końcu stałem się z tego powodu nieszczęśliwy i zepsułem jej życie. A wtedy ciężko pracowałem. Jak myślisz, do kiedy wystarczą nam twoje karty kredytowe? Poza tym nie sądzę, że bym był odpowiednim facetem dla ciebie, przynajmniej nie na dłuższą metę.

- Ale ja nie mogę tu zostać! - krzyknęła. - Niektórzy zawsze będą uważać, że to ja zabiłam Raymonda, a reszta będzie się zastanawiać: zrobiła to czy nie? Wszędzie, dokąd pójde, ludzie będą szeptać i wytykać mnie palcami, a dziennikarze, którzy rozbili obóz pod domem, nieprędko sobie pójda! - Potrząsnęła głową. - Nie mogłabym tego znieść, Frank. Może kiedyś, ale nie teraz.

- Wiem. I musisz dotrzymać obietnicy. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz żałowała. Miłość ci tego nie wynagrodzi. Mówię to z własnego doświadczenia.

- Nadal ją kochasz. - To nie było pytanie. Widząc moją minę, wyjaśniła:

- Tamtej nocy, kiedy byłeś pijany...

- Ashley, Moira wychodzi za mąż i zabiera naszego syna do Kalifornii, by zacząć nowe życie. Jeśli zostanę, mam cię szansy na to, by nie stracić go całkowicie, ale jeśli wyjadę z tobą, to będzie koniec. Nie mógłbym tego zrobić.

- Czyli nie chodzi tylko o pieniądze - powiedziała.

- Nie, tu jest moje miejsce.

Otarła oczy. Przez chwilę patrzyliśmy w ogień, po czym powiedziała ledwo słyszalnym głosem:

- Kiedy się spotkaliśmy, od razu wiedziałam, że cię pokocham. A kiedy już to się stało, zdałam sobie sprawę, że nie możemy być razem. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Wiesz, to chyba po prostu było zbyt romantyczne.

Nie mogłam sobie wyobrazić nas bez tej niepewności, bez...

- Ryzyka?

- Możliwe. Nigdy o tym tak nie myślałam, ale fakt, że byliśmy osaczeni, że nasz romans był... Jaki? Zakazany?... Chyba to właśnie nas do siebie zbliżyło. - Pokręciła głową. - W filmach obraz gaśnie, gdy bohaterka zostaje uratowana. Nigdy nie wiadomo, co stało się potem. - Wzięła mnie za rękę i zwróciliśmy się w stronę kominka, w którym kurczyły się i brązowały resztki rysunków Henry'ego. - No i - powiedziała - bohaterka została uratowana, mamy już prawie następną scenę. Co przyjdzie ci do głowy, kiedy pomyślisz o mnie?

- Że uratowaliśmy siebie nawzajem. Ja tonąłem, a ty rzuciłaś mi koło i ratunkowe. A potem, kiedy znów zacząłem się staczać, nie chciałaś mnie puścić. Miałaś wszystko do stracenia i nic oprócz serca i intuicji nie mówiło ci, że na to zasługuję, ale i tak to zrobiłaś.

- Uratowaliśmy siebie nawzajem - przytaknęła. Płomienie odbijały się l w łzach płynących po jej policzkach. - Pamiętasz, jak poprosiłaś mnie, żebym pocałowała cię tak, jak nie całowałam jeszcze żadnego mężczyzny?

- I zrobiłaś to.
- Myślisz, że mógłbyś zrobić to samo dla mnie?
- Tak. - Wziąłem ją w ramiona.
- Zrób to tak jak w filmach - szepnęła. - Zaraz przed napisami końcowymi.

W telewizji właśnie powtarzali moją konferencję prasową, kiedy Maggie Mac wprowadziła mnie do gabinetu Tatka. Siedział uśmiechnięty w swoim fotelu, i kiwał głową.

- Syn marnotrawny wraca - oznajmiła. Tatko zerwał się i rozłożył ramiona.

- Cóż, Margaret - powiedział, kiedy padliśmy sobie w objęcia - jesteśmy w towarzystwie najnowszej gwiazdy tego miasta, jak o nim mówią. To gość, którego wszyscy będą chcieli zatrudnić.

- Cóż - powiedziała, zamykając drzwi - mam nadzieję, że będzie pamiętał o szarych ludziach, kiedy zaczną mu przypinać ordery.

Tatko podszedł do barku i otworzył trzymaną na specjalną okazję whisky.

- Założę się, że panna Bronson też w tej chwili świętuje! - powiedział z uśmiechem.

- Prawdę mówiąc, pakuje bagaże. Wyjeżdża za granicę.

- No tak, musi trochę odpocząć po tym, co przeszła. - Podał mi szklanekę. - Wakacje dobrze jej zrobią.

- To coś więcej, Tatku. Myślę, że nieprędko tu wróci.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- A ty...

- Jest wyjątkową kobietą, ale pożegnaliśmy się.

- Rozumiem. - Uniósł szklanekę i uśmiechnął się. - Cóż, chłopcze, gratulacje. Chciałeś wyrobić sobie dobrą markę i ci się udało.

- Bo mogłem liczyć na pomoc.

Wzruszył ramionami.

- Tak to zwykle bywa, nie?

- Teraz już to wiem. Przykro mi, że tak długo trwało, zanim do tego doszedłem.

Mogłem oszczędzić nam wszystkim cierpień.

- Było, minęło. Co zamierzasz? Pewnie Birch & Hayes z chęcią zatrudniliby nowego wspólnika?

- Może, ale myślałem o czymś mniejszym.

- Za dużo biurokracji jak dla ciebie, co? - zaśmiał się. - Nie dziwię ci się. Sam nigdy nie wiedziałem, co ludzie w nich widzą. W każdym razie w okolicy na pewno jest dużo małych, solidnych kancelarii.

- Moje wymagania są dość ściśle sprecyzowane. Szukam małej firmy z powiązaniem w sferach biznesowych, której przydałby się dobry prawnik procesowy.

Opuścił drinka i zmarszczył brwi.

- Francis, chłopcze, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. To, co zrobiłem, zrobiłem z miłości. Ty musisz kierować się własnym dobrem.

- Nie chodzi o zobowiązania, Tatku. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak wtedy, kiedy siedziałem z tobą w tym gabinecie.

- Ale to się zmieniło.

- Tak, to prawda. Może było mi za dobrze. Może myślałem, że powinienem dojść do tego wszystkiego sam. Tak czy inaczej, zrobiłem to, co musiałem zrobić, i w tym czasie nawet nauczyłem się paru rzeczy. Masz rację, Tatku, sami do niczego nie dojdziemy na tym świecie. Zawsze stoimy na czyichś barkach, prawda? Rzecz w tym, by na to zasługiwać i od czasu do czasu służyć komuś swoim ramieniem. Chciałbym wrócić. Tu jest moje miejsce.

W Wietnamie ludzie na moich oczach w ułamku sekundy starzeli się o dziesięć lat, ale nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś o tyle odmłodził.

- Jeszcze whisky? - spytał, kierując się w stronę barku.

- Nie, dzięki.

- Jak chcesz. - Nalał sobie drinka i podszedł do fotela przy kominku, ja usiadłem w tym, co zawsze. Pociągnął whisky, patrząc na mnie. - Umowy są na ogół dwustronne - myślał na głos.

- To prawda.

- Jest coś, czego będę chciał w zamian.

- Dla ciebie wszystko.

- Powiedz, co czujesz do Moiry. Tylko mów prawdę. Powinienem być to przewidzieć.

- Tatku, jaki to ma sens? Wiem, do czego zmierzasz, ale czas już dać sobie z tym spokój.

- Chcę usłyszeć odpowiedź - upierał się. - Mam do tego prawo.

Prawdę? Łatwo było ją odkryć, trudno się z nią pogodzić, a jeszcze trudniej - wyznać.

- Tatku, wczoraj wieczorem powiedziałem Ashley Bronson, że ją kocham, i mówiłem szczerze. Kochałem ją i nadal kocham, ale nigdy nie będę czuł do żadnej kobiety tego, co do Moiry. Chciałem się z nią ożenić, jak tylko ją poznałem, a tamtego dnia, w kościele, kiedy zobaczyłem, jak prowadzisz ją do ołtarza, byłem pewien, że śnię.

Westchnął.

- Ja też pamiętam tę chwilę.

- Potem zjawił się Brendan. Czasem, kiedy widzę ich razem, kiedy widzę dar, który jej zawdzięczam, to...

Nie byłem w stanie mówić.

Tatko nachylił się ku mnie i położył dłoń na moim kolanie.

- Skoro takie są twoje uczucia, to jest coś jeszcze, czego chcę.

- Co?

- Powiedz jej to.

- Nie mogę.

- Możesz. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, to zrobisz to dla mnie!

- Tatku, zastanów się, o co mnie prosisz! Ona nie może przez całe życie siedzieć i czekać, aż dorosnę. Wychodzi za męża, i to za całkiem przyzwoitego faceta, jak mi się zdaje. Muszę teraz udzielić wsparcia i jej, i Brendanowi. Mam dużo do nadrobienia.

- Zadałem to pytanie temu osłu Lloydowi - powiedział - i teraz zadam je tobie, Francis. Uważasz mnie za głupca?

- Nie.

- Myślisz, że nie znam własnej córki?

- Tego nie powiedziałem...

Uniósł dłoń.

- Dałeś z siebie wszystko, żeby ocalić pannę Bronson. Czy twoja rodzina na to nie zasługuje?

- To nie fair, Tatku. Zrobiłbym wszystko, co mogłoby mi pomóc ich odzyskać.

- No to zrób, o co cię proszę. Zaufaj mi. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Czy dałem powód, żebyś zwątpił w mój rozsądek?

- Nie, Tatku.

- No to wszystko jasne, zgadza się?

Kiedy wjechałem na tę ulicę, zanosilo się na śnieg. Szare gęste chmury wisiały tuż nad czubkami dębów rosnących po obu jej stronach, a powietrze wydawało się lekkie, jak to czasem bywa tuż przed pojawieniem się pierwszych płatków. Kiedy w oddali ukazał

się dom, zobaczyłem na podjeździe Moirę. Wyszła na ulicę i ruszyła w przeciwnym kierunku. Miała na sobie szalik i gruby wełniany sweter. Podjechałem do niej i opuściłem szybę.

- Hej! - krzyknęła, zaglądając do środka. - Myślałam, że robisz objazd studiów telewizyjnych.

- Mam już dość sławy. Przenoszę się na wieś, żeby żyć jak prosty człowiek, obcować z naturą i oczyścić duszę. Dokąd idziesz?

- Przejdź się dla zdrowia. Zaparkuj gdzieś wóz, to poobcujemy razem. -Skręciłem na podjazd i chwilę później szliśmy już przez osiedle. -Nagrywam dla Brendana wiadomości ze stacji lokalnej - powiedziała.

- O, nauczyłaś się obsługiwać magnetowid?

- Ktoś musiał.

- Dzięki. A już zaczynałem mieć o sobie wysokie mniemanie.

- Właściwie to Rob mnie nauczył.

- Może po prostu rzucił się pod następny samochód.

- Zmienisz zdanie, kiedy obejrzysz tę kasetę. Jest na niej twoja konferencja prasowa i wywiad z prawnikiem z Los Angeles, który uważa cię za geniusza.

- No cóż, ludzie stamtąd są bardzo spostrzegawczy.

- Też tak słyszałam.

- Tutaj ktoś mógłby pomyśleć, że po prostu miałem odpowiednie osoby w moim narożniku.

Wzruszyła ramionami.

- Może jedno i drugie.

- Powiesz mi, dlaczego to zrobiłaś?

Włożyła ręce do kieszeni.

- Myślałam... myślałam, że jeśli wygrasz tę sprawę, to... - Jej głos załamał się i odwróciła głowę.

Wziąłem ją pod ramię i przyciągnąłem do siebie.

- Powiedz, proszę. Jeśli wygram, to co?

Zaczerpnęła powietrza.

- Znajdziesz to, czego szukałeś od czasu, kiedy odszedłeś.

- Rozumiem... miałaś rację.

- Och. Niedługo to trwało - powiedziała cicho.

- Ale ja już jestem pewien.

Skinęła niepewnie głową.

- To niezwykła kobieta, Frank. Przyjaciółki, które ją znają mówią o niej same dobre rzeczy, a rzadko się zdarza, by wyrażały się tak o kobiecie, która jest i piękna, i bogata.

- Mówią tak o tobie.

Zdobyła się na uśmiech.

- Dzięki. W każdym razie znalazłeś to, czego szukałeś. Cieszę się.

- Moiro, Ashley Bronson jest wyjątkową kobietą, ale nie pasujemy do siebie. Dziś wieczorem wyjeżdża za granicę i nieprędko wróci. Już się pożegnaliśmy.

Milczała. Weszliśmy na teren Landon School, prywatnej szkoły dla chłopców, i przemierzaliśmy rozległy trawnik, służący za boisko. Obserwowałem ją uważnie, próbując ocenić efekt moich słów, ale udało jej się uniknąć mojego wzroku.

- Widziałem się z Tatkiem - powiedziałem. - Godzinę temu wyszedłem z jego biura.

- Pewnie od wypinania piersi wyleciały mu wszystkie guziki. Jest z ciebie strasznie dumny.

- Spytałem go, czy mógłbym wrócić.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Wrócić? Jako współnik?

Zaśmiałem się.

- Chyba że chce, abym znów zaczął od zera.

- Po co to, Frank? Wiem, prosiłam, żebyś się nim opiekował, ale to nie znaczy...

- Chwila! To jest to, czego chcę. Mówię serio. Nie ma w Waszyngtonie niczego, co byłoby dla mnie ważniejsze. - Patrzyła na mnie z niedowierzaniem. - Daję słowo, Moiro, to nie ma nic wspólnego z twoim wyjazdem. Westchnęła i powiedziała:

- Podstępny stary drań.

- Czemu?

- Bo ja nie wyjeżdżam.

- Nie? - Moja nieskrywana radość wyraźnie ją zaskoczyła. Próbowałem się opanować. - To znaczy... to niespodzianka i tyle. Myślałem, że niedługo wyjedziesz, a tu się okazuje, że... tego... że będziesz tutaj. Co się stało?

- Twoja troska jest wzruszająca. Przesunęłam termin, żeby zrobić ci na złość, i nie bądź z siebie taki zadowolony, bo to było oczywiste. - Posłała mi takie spojrzenie, że podniosłem ręce w geście kapitulacji. - Tak czy inaczej, Rob zasługuje na coś lepszego, więc zmieniliśmy plany.

- Ale tak czy inaczej wyjeżdżacie w czerwcu?

- Tatko cię tu przysłał, tak?

- Właściwie nie.
- Właściwie nie - powtórzyła.
- Przedstawił mi coś, co prawnicy nazywają „warunkiem zatrudnienia”.

Musiałem szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie.

- Mów dalej.
- Musiałem mu powiedzieć, co myślę o tobie... o nas.
- I co stało się potem?
- Pojawił się następny warunek.
- No jasne.
- Powiedział, że muszę to powiedzieć tobie. No to przyszedłem.

Pokręciła głową.

- Podstępny drań, słowo daję. Tak samo postąpił ze mną.
- Serio?

- Poszłam do niego w sobotę wieczorem i powiedziałam, jakie masz kłopoty. Myślałam, że to wystarczy, ale on lubi zaskakiwać ludzi. Powiedział, że grozić tak wielkim skandalem to tak, jakby szantażować samego prezydenta, i że gdyby to zrobił, nie zostałby mu w mieście ani jeden przyjaciel.

- Mówił, że posłużyłaś się Brendanem.

- Straciłam nad sobą panowanie. Wtedy spytał mnie, dlaczego miałby ryzykować wszystko, na co zapracował, by pomóc kobiecie, której prawie nie zna. Powiedziałam, że nie chodzi o nią, tylko o ciebie. On na to, że nie jest gotów posunąć się tak daleko, ale może zrobić to dla mnie, jeśli powiem mu to, co chce wiedzieć.

Zamilkła. Minęliśmy korty tenisowe i obeszliliśmy budynek administracji, ale ona nadal się nie odzywała. Miałem tak sucho w ustach, że z trudem wydobyłem z siebie głos, kiedy w końcu zapytałem:

- Co chciał wiedzieć?
- To ty jesteś prawnikiem. Nie możesz się domyślić?

Czułem, że nogi mam jak z waty.

- Moglibyśmy gdzieś usiąść?

- Dobrze - powiedziała i podeszła do ławki. Było tam dość miejsca dla nas obojga, ale tak się jakoś stało, że ukląknęłam przed nią. Wziąłem ją za rękę, pragnąc powiedzieć coś oryginalnego, odpowiedniego na tę okazję, zamiast zwykłego „kocham cię”. Nic nie przychodziło mi do głowy i w końcu Moira otarła mi twarz chusteczką.

- Podobno mam gadane - wymamrotałem.
- Tak wszyscy mówią.

- Bałem się, Moiro. Zawsze było mi ciężko, aż tu nagle pewnego dnia okazało się, że mam wszystko: ciebie, Brendana, spółkę z Tatkiem i wielki dom pełen kosztownych rzeczy. Nie mogłem pogodzić się z tym, że życie może być takie łatwe. To znaczy, Tatko zaczął od zera, wsiadł na statek, przepłynął ocean i tu dorobił się fortuny. Wydawało mi się, że popełniam wielkie oszustwo, przyjmując od niego wszystko, włącznie z tobą, i bałem się, że pewnego dnia zostanie mi to odebrane, bo na to nie zapracowałem.

A najbardziej dręczyła mnie świadomość, że mógłbym sam do tego dojść, jak Tatko. Noah mówi, że lubię podejmować ryzyko, więc może o to w tym wszystkim chodziło, nie jestem pewien. Wiem jedno. Zrobiłem, co musiałem zrobić. Nie mam pojęcia, dlaczego ani jak, i Bóg jeden wie, że nie dokonałem tego sam. Tak czy inaczej, jestem gotów nadrobić stracony czas, jeśli tylko mi na to pozwolisz. I wiem jeszcze coś. Nie mógłbym kochać cię bardziej, niż w tej chwili.

- Nieźle - powiedziała cicho. - Jak na prawnika.

- To była moja mowa końcowa. Proszę o drugą szansę uszczęśliwienia ciebie. - Wyrwała jedną rękę z mojego uścisku i otarła oczy. Minęła chwila. Czułem, że drżą mi nogi. - Czy przysięgli ustalili werdykt? - wyjąkałem. Skinęła głową.

- Tak. - Wzięła moją twarz w dłonie i nachyliła się ku mnie. - Nie ruszaj się - szepnęła. - Zaręczymy się.

DZIENNIK HENRYEGO BRONSONA

31 sierpnia 1994. Jako młody naukowiec w jarzmie najwybitniejszych umysłów mojego pokolenia, wiedziałem, że osiągnięcia zawodowe to środek do spełnienia i miara własnej wartości. Konsekwencje były takie: stracone lata, spędzone na przeklinaniu losu, który doprowadził do tragicznego zderzenia polityki z nauką w chwili, kiedy dostałem swoją szansę. Później jednak miałem żonę, potem dziecko i przez kilka cudownych lat obie były ze mną. I teraz wiem, jest to takie pewne jak każde niezmienne prawo natury, że naszą wartość wyliczyć można tylko w sercach tych, których kochamy i którzy odwzajemniają naszą miłość.

Koniec końców, rodzina była moją największą radością.

Podziękowania

Moja żona Kerry przebrnęła przez wszystkie etapy podróży, którą była ta książka.

Dodawła mi otuchy, pomagała znaleźć czas i kierowała pracą pomocą aprobujących pomruków, kiedy byłem na właściwym tropie, i ostrzegawczych, kiedy z niego zbaczałem. To jej zawdzięczam powstanie tej powieści, a także wszystko, co w moim życiu najlepsze, poczynając od Caitlin i Bena.

Pat Joinnides i Rubee ScrWani odważnie zgodzili się przeczytać książkę początkującego powieściopisarza. Jak zwykle, mówili, co myślą. Nikt nie mógłby mieć droższych przyjaciół.

Doris Mortman wielkodusznie przedstawiła mnie Peter Lampack Agency. Loren Soeiro przeczytała rękopis i zasugerowała wiele poprawek, a potem wraz z

Peterem i Sandrą Blanton wprowadzili na rynek gotowy produkt. Jestem im ogromnie wdzięczny za rady i wysiłki podejmowane w mojej sprawie.

Teraz, kiedy już wiem, czym zajmują się redaktorzy, zdaję sobie sprawę, jak wielkie mam szczęście, że trafiłem na Adriana Zackheima i Carolyn Marino z HarperCollins. Robili wszystko, by wyciągnąć jak najwięcej z materiału, który dostali wraz z Marjorie Braman dodawali mi odwagi i nie owijając w bawełnę, przygotowywali mnie do stawienia czoła opinii publicznej.